

Jacek Szczyrba

PUNKT LAGRANGE'A

Jacek Szczyrba

PUNKT LAGRANGE'A

WYDAWNICTWO

PODZIEMNE

Poznań 2016

© Jacek Szczyrba
© Wydawnictwo Podziemne 2016.
ISBN 978-83-944722-1-4
Projekt okładki: Jarosław Kisiel

www.wydawnictwopodziemne.com

*„...Prawdziwym szczytem osiągnięć
jest pobicie armii wroga bez walki...”
Sun Tzu „Sztuka Wojny”*

*„... Moi kochani przyjaciele, sądzę, że macie bardzo poważny problem. Czy w to wierzycie, czy nie, jesteście w stanie wojny. I możecie tę wojnę bardzo szybko przegrać, tracąc cały swój dobrobyt i wolność, jeśli nie zaczniecie się bronić. Mam nadzieję, że patrząc w swoje kolorowe telewizory zauważyliście już, że wojna ta toczy się teraz na całym świecie. Ma ona wiele twarzy, ale to ciągle jest ta sama wojna. Niektórzy nazywają ją „wyzwoleniem narodów”, inni „walką klas” lub „politycznym terroryzmem”. Jeszcze inni mówią o „antykolonializmie” czy „walce o demokrację”. Niektórzy wymyślają nawet takie zabawne nazwy jak „wojna sił patriotycznych” lub „ruchy pokojowe”. Ja nazywam ją światową komunistyczną agresją...”
Jurij Bezmienow „List miłosny do Ameryki” 1983*

Prolog

Wysoki, szczupły mężczyzna wszedł do restauracji i skierował się do stolika w głębi lokalu. Ta część wnętrza była słabo oświetlona, człowiek, który siedział przy stoliku krył twarz w cieniu. Wnikliwy obserwator zauważyłby, że jego jedna ręka jest niesprawna. Może zwichnięta, złamana? Nie miał założonego gipsu, ale trzymał ją ukrytą pod zarzuconą na ramiona marynarką, może na temblaku.

— Dzień dobry, panie kapitanie — odezwał się przybysz.

— Czołem, panie majorze!

— Ciszey... Nie róbmym przedstawienia. To nieoficjalne spotkanie, zapomniał pan?

— Przepraszam, majorze. — Człowiek z cienia mówił z szacunkiem w głosie, ale jego wzrok był zimny. — Proszę, niech pan siada. O czym chciałby pan ze mną rozmawiać?

— O przyszłości zawodowej. Pańskiej przyszłości...

— Czy zrobiłem coś, co mogło by jej zagrozić? — W głosie kapitana zaczęła pobrzmiwać ledwo wyczuwalna nuta hardości.

— A jak pan sądzi? Czy nie ma pan sobie nic do zarzucenia? — Przybysz zawiesił głos. Mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem. — Jest pan z siebie zadowolony?

— Chodzi panu o ostatnią akcję?

— O ostatnią fuszerkę, chciał pan powiedzieć, kapitanie. Tak, właśnie o to mi chodzi! Dlaczego, do sakramenckiej cholery daliście się tak zaskoczyć?! Jak to w ogóle możliwe, że trzech zawodowców nie jest w stanie wykonać po cichu, bez świadków prościutkiej roboty? To miało być zwykłe zniknięcie. Takie rzeczy się zdarzają. Ot, człowiek wychodzi z domu i już nie wraca. Może się utopił w jeziorze, może wpadł do studni, nie wiadomo. Dlaczego nie wiadomo, kapitanie? Bo nie ma świadków! Nikt nic nie widział, rozumie pan? Naprawdę nie wiem, jak tak doświadczony oficer jak pan mógł dopuścić do czegoś podobnego... I co to za pomysł, żeby go zgarniać spod domu, gdzie mogło być mnóstwo świadków?

— To nie był zwykły figurant, panie majorze. On miał szósty albo i siódmy zmysł. Nawet ludzie od Kornela przyjeżdżali do niego z Wrocławia na szkolenie z technik operacyjnych... Nie dało się go tak po prostu obserwować. Na mieście urywał się jak chciał. Jakby się rozpływał w ulicznym ruchu. To stara szkoła, przedwojenny oficer, do tego doświadczenie z okupacji...Nie mogliśmy go aresztować gdzieś na mieście, bo kiedy rozpoczynaliśmy inwigilację stawał się niewidzialny...

— Co mi pan tu pierdoli, kapitanie?! Jeden człowiek, bez zaplecza, bez sprzętu, wodzi za nos ekspertów z resortu? Wyszkolonych oficerów Służby Bezpieczeństwa?!

— Powtarzam, to nie był zwykły, szary człowiek. To wyjątkowy talent. Jedyna metoda, żeby go zdjąć, to czekać pod domem...

— I dać przedstawienie szerokiej publiczności?!

— Zrobiliśmy to możliwie po cichu, bez hałasu...

— Więc kto, do kurwy nędzy, był wtedy w lesie?! Kto wpakował panu kulkę w ramię, kto rozpędził trzech wyszkolonych funkcjonariuszy?! Jakie są postępy śledztwa?

— Ciągłe szukamy... Sprawdzamy rodzinę, znajomych. On nie miał dzieci, podejrzanych nie mamy zbyt wielu...

— Jeśli to się rozniesie... Wie pan czym to grozi? Pamięta pan pogrzeb na Żoliborzu jesienią osiemdziesiątego czwartego? Właśnie! Wtedy rozgłos był nam potrzebny, chodziło o reaktywację dogorywającej opozycji i odwrócenie jej na naszą stronę. Ale tym razem potrzebujemy ciszy, absolutnego spokoju. Teraz przeprowadzamy „transformację ustrojową”. Macie znaleźć tego z lasu. Co to w ogóle jest?! Jakaś Irlandia Północna?! Ulster? Lepiej, żeby śledztwo było owocne. Inaczej polecą głowy, kapitanie, rozumiemy się?

— Tak jest, panie majorze!

— Pozbyliście się przynajmniej ciała?

— Tak jest! Nie ma obawy, nikt go nigdy nie znajdzie...

— I niech się pan o to modli, jeśli pan potrafi, kapitanie... Albo lepiej za to wypije. Bo jakby na przykład jakiś dziennikarz z Wolnej Europy się czegoś dogrzebał... Wie pan, co się wtedy z panem stanie?

Kapitan milczał, a im dłużej milczał, tym cięższe się jego milczenie stawało.

— Nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia? — Przybysz zachowywał pozorny spokój. — A może coś jednak pana gryzie? Ma pan jakiś problem...? Oprócz braków w wyszkoleniu?

— Tak, mam! — nie wytrzymał kapitan — nie rozumiem, dlaczego jednych likwidujemy, wydalamy z kraju, przewencyjnie pałujemy, a z innymi cackamy się, jakby byli jakimiś cholernymi książętami?! Z Kuroniem góra spotyka się od dawna i podejmuje go jak przywódcę zaprzyjaźnionego mocarstwa... — przerwał, bo zrozumiał, że się zagalopował. Jego rozmówca jednak nie wyglądała na urażonego, wręcz przeciwnie, uśmiechnął się szeroko.

— Wiem, co panu leży na wątrobie. Frustruje pana, że nie jest pan informowany o szczegółach planu... No cóż, zdaje się, że wasi wtajemniczają od podpułkownika wzwyż, kapitanom pozostają domysły. Nic pan na to nie poradzi. Ale ja uchylę rąbka tajemnicy... zresztą, co to za tajemnica, myślę, że już się pan zaczął powoli domyślać. Chodzi o to, że nie po to hodowaliśmy w znoju opozycję, żeby ją teraz niszczyć. Właśnie teraz będzie nam ona bardzo potrzebna. Oczywiście nie każda opozycja, tylko ta, która rozumie ciężar odpowiedzialności, jaką chcemy ją obarczyć. Wie pan, ktoś za ten burdel będzie musiał odpowiedzieć, a w zamian za tę usługę coś musi od was dostać. Więc niech pan się nie zżyma na Kuronia, jeszcze zrobicie go ministrem, zobaczy pan! A póki co, trzeba mu wyczyścić przedpole, więc niech się pan zmobilizuje i następnym razem, jak ekstremista będzie miał zniknąć, to niech do cholery zniknie bez świadków! Jasne?

Człowiek tytułowany kapitanem chciał coś powiedzieć, ale uznał chyba, że nie ma to sensu. Zwiesił tylko głowę i wbił wzrok w stojący na stoliku kieliszek krystalicznie przezroczystej, dobrze zmrożonej Wyborowej.

— Pan się napije, kapitanie, śmiało — zachęcił przybysz — bez krępacji!

Kapitan wychylił kieliszek. Delektował się przez chwilę palącym zimnem rozlewającym się po żołądku.

— A jak tam pańskie hobby? — Ciągnął przybysz. — Proszę się pochwalić nowym nabytkiem. W resorcie słyszy się to i owo o panu...

— Właśnie sprowadziłem Mirafiori Abartha — kapitanowi zabłyśły oczy — jest sygnowany autografem Waltera Röhrla na nadwoziu. Unikat... Mam taką małą kolekcję, same włoskie legendy *rally crossu*...

— Tak, wiem. Brawo, bardzo ładne hobby, tylko proszę uważać, żeby ono pana kiedyś nie zgubiło. To kosztowna zabawa... Dobrze, kapitanie, pora

przejsć do sedna. Nie spotkałem się tu dziś z panem, żeby gadać o ostatniej wpadce, ani o rajdowych autach. Mam dla pana bardzo konkretną propozycję.

— Zamieniam się w słuch.

— Ja też mam swoją pasję, kapitanie. Kolekcjonuję informacje. Nikt mi za to nie płaci, robię to dla własnej przyjemności. Lubię być dobrze poinformowany. Informacja, to dziś najlepiej notowana waluta. Za odpowiednie informacje można kupić wszystko. Człowiek dobrze poinformowany podejmuje trafne decyzje. Mało tego, podejmuje je znacznie wcześniej, niż matołkowie niedoinformowani. Dzięki temu zyskuje się przewagę. To również polisa ubezpieczeniowa na przyszłość. Nadchodzą pewne... zmiany. I mimo, że to my jesteśmy ich inicjatorem, nie wszyscy z nas na nich skorzystają. Można oczywiście cierpliwie czekać, co z tego wyniknie, z której strony zawieje wiatr, ale to bardzo ryzykowne podejście. Kto wie, co właściwie się wydarzy? Może dzisiejsi gówniarze z ulotkami, których pan tak dzielnie tropi, za parę lat zajmą miejsce piętro wyżej niż pan? Gdyby awansował pan na majora, podpułkownika, wtedy trafiłby pan do grona rozgrywających, to pan rozdawałby karty po zmianie dekoracji, którą właśnie przygotowujemy. Ale pan ma pecha, kapitanie, awanse jakoś pana omijają. Niepokojące, prawda? Może być też tak, że zgodnie z planem uda się panu przetrwać wszystkie etapy nie tracąc pozycji. Ale jeśli się nie uda? Co wtedy? Wie pan, jak mściwi potrafią być ludzie? Głupie pytanie! Oczywiście, że pan wie! Przecież wielu z pańskich informatorów rozmawia z panem właśnie z chęci zemsty. A niech pan sobie wyobrazi, że kiedyś ktoś inny będzie chciał się zemścić na panu. Jakiś syn dzisiejszego działacza zamordowanego przez nieznanych sprawców, jakiś wywrotowiec, niedokładnie przerobiony na psychicznie chorego. Możliwości jest sporo. Zaznaczam, że nie mówimy o bliżej nieokreślonej przyszłości. To się zbliża. Proszę się uważnie przyglądać, to jest właśnie początek końca. Dwa lata, rok, może mniej...

— Do czego pan zmierza, majorze? — Kapitan starał się zachować pokerową twarz, ale był gorszym pokerzystą, niż mu się wydawało. Przybysz doskonale rozpoznał napięcie na twarzy swego rozmówcy.

— Do tego, że pora wziąć inicjatywę we własne ręce. — Ciągnął. — Innymi słowy pora wysiąść z czerwonego tramwaju na przystanku „Przedsiębiorczość”. Proponuję, żeby zaczął pan pracować dla mnie.

— Przecież od lat pracuję dla pana!

— Błąd! Teraz pracuje pan dla towarzysza Wiktora Michajłowicza Czebrikowa. Ja jestem tylko pańskim oficerem prowadzącym. Proponuję, żeby od dziś pracował pan WYŁĄCZNIE dla mnie.

— To dość ryzykowne, pomijać Centralę. Jeszcze nikomu nie wyszło to na dobre...

— Ryzykowne jest czekanie na niepewną przyszłość z założonymi rękami, kapitanie.

— Co miałbym właściwie robić?

— W zasadzie to samo, tylko na nieporównanie większą skalę.

— Mam produkować kolejne raporty o działalności wywrotowej?

— Tak, ma pan produkować kolejne raporty. Tyle, że nie tylko o działalności wywrotowej. I nie tylko o dysydentach. Ma pan zacząć zbierać informacje o każdym indywiduum w tym kraju, które dziś coś znaczy lub będzie znaczyć w przyszłości. Po jednej i drugiej stronie barykady.

— Dostaje pan takie raporty. Może nie ode mnie, ale przecież dostaje pan...

— Kolejny błąd, kapitanie. Dostają takie raporty, zgoda, ale jestem tylko pośrednikiem. Wszystko trafia do Moskwy i tam jest archiwizowane. Mnie marzy się prywatne archiwum. Od dziś chcę mieć monopol na tego typu informacje. Wykaże pan inicjatywę, ruszy pan głową i poszuka osób, które dziś jeszcze są w cieniu, bo są za młodzi, żeby coś znaczyć, ale za parę lat wejdą w odpowiedni wiek. Chodzi mi o ludzi którzy będą stanowić establishment w tym kraju. Przedsiębiorcy, bankowcy, politycy, naukowcy. Dzieci wpływowych rodziców... Zresztą jestem pewien, że sam pan wie najlepiej, o czym mówię. I powtarzam jeszcze raz: niech pan się przyjrzy obu stronom barykady.

— Czy mam odejść z firmy?

— W żadnym wypadku. Pozostanie pan na stanowisku.

— Kto to będzie finansował?

— O to niech pana głowa nie boli. Będzie pan dostawał godziwe wynagrodzenie, adekwatne do efektów. Proszę sobie dobrać kilku pomocników, najlepiej jakichś początkujących czekistów. I niech pan zadba, żeby żaden z nich nie poznał celu naszego przedsięwzięcia. Mogą znać tylko fragmenty, nigdy całość. I jeszcze jedno...

— Tak?

— Niech pan nie ulegnie pokusie rozpoczęcia samodzielnej działalności. Mam na pana wystarczający materiał. To naprawdę się nie opłaci. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły?

— Nie, panie majorze. Znam realia...

Obaj siedzieli jeszcze chwilę w milczeniu. Przybysz zmierzył wzrokiem swego rozmówcę, a miał spojrzenie, od którego topiły się najbardziej harde charaktery. Teatralny trik, ale cudownie skuteczny. Tamten nie ośmielił się odezwać.

Major bez słowa wstał i ruszył do wyjścia.

Rozdział I

Warszawa

Tuż przed początkiem końca...

Szary gołąb zatoczył jeszcze jedno koło i skierował się w stronę studni utworzonej przez ściany kamienicy przy ulicy Wroniej. Krążył przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy wylądować, czy może przeprowadzić szybki atak na obserwującego go kątem oka człowieka. Wreszcie najwyraźniej podjął decyzję, bo, odwiecznym zwyczajem wszystkich gołębi świata zmienił geometrię płatów, wypuścił klapy i podwozie, starannie wybrał trajektorię podejścia i po mistrzowsku, tuż przed przyziemieniem napaskudził prawie idealnie trafiając w but bezbronnej postaci. Dobieg zakończył kilkadziesiąt centymetrów dalej. Stary człowiek wychylił się spod zderzaka samochodu i cisnął w ptaka niedopałkiem carmena. Chybił, a gołąb jakby chcąc skomentować fuszerkę zrobił jeszcze jedną kupę, choć już nie tak spektakularną, jak poprzednia.

— Texas! Wsiadaj za kółko i rusz wajchą! Muszę naciągnąć linkę! — Krzyknął stary do kilkunastoletniego wyrostka stojącego nieopodal.

Chłopak, wysoki i kościsty, z trudem zajął miejsce za kierownicą malucha. W końcu sapiąc i stękając przesunął dźwignię.

— Coś ciężko chodzi. Towotu przydałoby się napchać w prowadnicę...

— Do rozumu sobie towotu napchaj, może co dobrego z tego wyniknie! Nie pouczaj starego wyjadacza! Którędy linka idzie, którędy? No, słucham!

— Przy wydechu...

— Zgadza się, przy wydechu. Bardzo dobrze kursant! A przy wydechu co jest?

— Przy wydechu jest.... półoś? — Zaryzykował Texas.

— Półoś! — Parsknął gniewnie stary. — Półoś to ty masz w portkach, huncwocie! Przy wydechu jest temperatura! Jaka to temperatura? Słucham!

— Wysoka? — Wystękał chłopak z trudem, bo fotel kierowcy był przysunięty do samej kierownicy i wymuszał permanentny wdech.

— Bardzo dobrze, kursant, widzisz, jak chcesz, to potrafisz pomyśleć! Ale przed wojną, to byś mógł co najwyżej z daleka popatrzeć na pięćsetósemkę. Tu trzeba mieć, o tu! — Zrzędził stary pukając się w czoło. — Towot wytopi się w dwadzieścia minut i tyle z niego zostanie, o! To trzeba WYREGULOWAĆ, to ma chodzić, jak szwajcarski zegarek. To ma być mechanika precyzyjna, to ma się przesuwac jak zamek w moim browningu, jak rękawiczka po smukłej rączce Rity Hayworth, jak ekler w sukience tej lafiryndy spod piątki, comprende?

— Comprende, comprende! Będzie to w ogóle działać?

— A czy kiedyś coś nie działało, jak się odpowiednio przyłożyłem? — Odparł stary.

Wyczołgał się spod auta, wytarł dłonie w kombinezon i sklął swój krzyż, który przypominał o sobie ostrym bólem.

— Niech szlag trafi reumatyzm! Mówię ci Texas, starość jest do dupy!

— A od kiedy ty jesteś tak ze starością spoufalcony, stryju? Starość to ty znasz ale z opowiadań, niejednego trzydziestolatka byś...

— Dobra, dobra, nie rezonuj mi tu! Chodź no i popatrz na to ustrojstwo. Linkę poprowadziłem wzdłuż wspornika zderzaka, tak, że z zewnątrz nic nie widać. Ciągniesz dźwignię, przesuwasz linkę, zwalniaasz zawleczkę w zderzaku, o tu. Schył się! Widzisz?

— Widzę.

— Dobrze. Zawleczka się cofa i wypuszcza nasze niespodzianki. Proste, jak konstrukcja cepa. Nawet ty będziesz umiał to obsługiwać.

— A co z silnikiem? Przybyło mocy? — Texas zignorował złośliwość.

— Koniecznie chcesz się ścigać, co? Tylko moc i moc... A o moment obrotowy to nie łaska się zatroszczyć? Co ci przyjdzie z większej mocy na samej górze obrotów? Tłumaczyłem ci, że w mieście liczy się moment, łapserdaku, moment obrotowy daje ci przewagę na krótkich dystansach. Ale ty mnie oczywiście nigdy nie słuchasz. Owszem, na odcinku silnika mamy pewien postęp. Dałem nowy rozrząd, splanowałem głowicę i spolerowałem wszystkie progi w wydechu. — Stary, wyraźnie zmęczony usiadł na leżaku na środku podwórka. — Uważaj, bo teraz to najszybszy kaszlak w dzielnicy. Żaden duży Fiat ci nie podskoczy.

— A sto trzydziestka dwójka? — Texas wrócił za kierownicę i zajął się regulowaniem ustawienia fotela. — Podobno w Śródmieściu mają dwa takie nieoznakowane radiowozy.

— Dwulitrowe fiatowskie DOHC? Nawet nie próbuj. Nie ta liga. Poza tym pamiętaj, co ci mówiłem. To nie jest zabawka do ścigania się dla przyjemności. To tylko narzędzie pracy, więc nie popisuj się nim. Przyjdzie chwila, że trzeba będzie wycisnąć z niego wszystko, co się da. Wtedy pokażesz, co potrafisz. Ale teraz nie prowokuj losu, zrozumiano?

— Tajes, panie rotmistrzu! — Wrzasnął Texas parodiując ułański dryl.

— Co to miało być?! Tak, to możesz strzelać kopytami przed tą twoją dzierlatką. Jak już salutujesz, to rób to całym ciałem, masz być spięty i wyprostowany, jakby cię kasztanka Marszałka w dupę kopnęła! Zrozumiano? No! Spocznij! Teraz posłuchaj mnie uważnie. — Wyszeptał stary i rozejrzał się dookoła, jakby szukając niepowołanych uszu. Jednak na podwórku oprócz nich i gołębi nie było żywej duszy. Dawno już nauczyli się, że delikatne kwestie lepiej omawiać poza mieszkaniem. Sprawdzali co prawda regularnie wszystkie ściany, zakamarki, telefon i żyrandole, ale najlepszą ochroną wciąż pozostawało unikanie kompromitujących rozmów w czterech ścianach. — Jutro przyjeżdża kurier z Wrocławia.

— Od Kornela?! — W głosie młodego dało się wyczuć emocje

— Ile razy ci mówiłem, że takich pytań się nie zadaje?! Nieważne od kogo! Ważne, że przywiezie bibułę, którą trzeba przerzucić do lokalu na Pradze. Potem stamtąd ktoś to będzie kolportował dalej, to już nie nasza sprawa. My musimy zorganizować przerzut z Centralnego na Pragę. Jest duże prawdopodobieństwo, że kurier będzie miał ogon i trzeba ten ogon zgubić. Zrobimy tak, jak ostatnio, ja na przynętę, potem ty przejmujesz kuriera z towarem. W razie wpadki, powiesz, że podwozisz przypadkowego stopowicza. Jakies pytania?

Texas oparty o drzwi malucha popatrzył na stryja spode łba.

— Kiedy wreszcie zaczniecie działać bardziej poważnie? Bibuła, ulotki, książeczki z malutkimi literkami... Tu trzeba zrobić coś konkretnego, żeby czerwonym kapcie spadły...

— Proszę, proszę! Mądręgo to i przyjemnie posłuchać. — Stary podniósł oczy ku niebu. — Tyle pokoleń w pocie czoła bezsensownie pracowało u podstaw, przekazywało z ojca na syna tradycję i wiedzę, żeby okupantom nie udało się wziąć naszych umysłów pod but, a tu przychodzi pan Texas, nasze objawienie, nasze słońeczko, jutrzeńka rozświetlająca ciemną noc i mówi: To wszystko jest nic niewarte, zaprzestańcie tych jasełek! Ja wam pokażę prawdziwą walkę, chodźcie za mną, wyjdźcie w pole, postawcie kosy na sztorc! Nic to, że oni mają czołgi i transportery opancerzone, racja jest po naszej stronie! Wyjdźmy na ulicę i przelejmy krew, mamy w tym wprawę, zrobmy komuchom

krwawą łaźnią! A potem popełnijmy zbiorowe harakiri, ładnie będziemy wyglądali w BBC. Słowo daję, nie wiem, w kogo tyś się wdał...

— Czy ja coś powiedziałem o szarzy na czołgi?! — Zaperzył się młody.

— Ty nie musisz tego mówić, ja to widzę po twoich oczach! Ty byś chciał skąpać te ulice we krwi, chciałbyś ich wieszać na latarniach... Rozwalać ich za Katyń i kolaborację.

— A co, może im się nie należy?!

— I owszem, należy się, ale ponieważ nie da się ich postawić przed uczciwym sądem, musimy o tym zapomnieć i skupić się na tym, co jest dziś realne. Czyli na pracy u podstaw. Prostowanie ich kłamstw, podtrzymywanie wiary w sens oporu, nauczanie, pocieszanie, przekonywanie...

— Jasne, my będziemy drukować bibułę, a nieznani sprawcy będą mordować co bardziej niepokornych...

— To co proponujesz? Wyjść na ulicę, zastrzelić dwóch z nich i dać się pozabijać reszcie? Tego chcesz?! Właśnie tak straciliśmy w Powstaniu najcenniejsze jednostki. Dzięki temu czerwonemu łatwiej było złamać nas po wojnie.

— Nieprawda! — Zaperzył się młody próbując bezskutecznie wyczyścić z oleju sfatygowane trampki. — Dzięki pamięci o Powstaniu czerwonym nigdy nie udało się złamać naszego ducha...

— Co ty tam wiesz, młokosie. Ja tam byłem, a ty nie. Gdybyś widział to, co ja widziałem... Poza tym cenna jest umiejętność patrzenia perspektywicznie. To dlatego dziś większość stanowi tak durną masę, bo gorące głowy, takie jak ty zamiast myśleć tylko czekały, żeby rzucać butelkami z benzyną, a potem iść czwórkami do nieba... Żadna sztuka dać się zabić, choćby i z honorem. Walka ma sens tylko wtedy, kiedy jest skuteczna. A my dziś nie możemy pozwolić sobie na starcie w polu, musimy prowadzić inną grę... Plan, trzeba mieć plan, według którego będziesz działał. Inaczej powiększysz tylko i tak już spory chaos. Więcej zimnej kalkulacji, mniej emocji.

— Dobra, dobra, aluzju poniał. To jak mamy to jutro rozegrać? Jaki jest ten twój plan?

— Jest tak...

Stary nie zdążył jednak wyłuszczyć szczegółów, bo na podwórko trzeszcząc i skrzypiąc wtoczył się trójkołowy rowerek prowadzony przez coś małego i niemożliwie umorusanego. Owo coś podjechało do Texasa, zadarło głowę i wyrecytowało:

— Jest kanalo! Jest kanalo!

— Żadna to dla mnie nowina. — Mruknął Texas. — Odkąd sięgnę pamięcią dookoła jest jedno wielkie kanalo. Czego się drzesz?!

— Kanalo! — Wywrzeszczało małe.

— Mów po ludzku! O co chodzi?

— No psecies mówię! Jest kanalo!

— Jakie kanalo?!

— No, sewlolet kanalo! Stoi tu niedaleko i właściciel umalł i jego zona spsedaje. Ale nie powiem gdzie, jak mi nie das telminatola!

— Camaro, Maciusiu, Camaro. — Włączył się stary.

— No mówię, kanalo!

— Gdzie on niby stoi? — Texas nadal udawał, że go to w ogóle nie obchodzi. Przeczuwał, że mały raczej nie wygada się odruchowo, ale zawsze warto spróbować.

— A das kasetę z telminatolem? — Maciuś okazał się jednak wytrawnym negocjatorem.

— Nie dam, ale pożyczę. Jeśli to naprawdę Camaro i jeśli jest jak mówisz. Bo jeśli coś kręcisz, będzie kocował! To gdzie ta gablota?

Kiedy dotarł do miejsca wskazanego przez małego Maćka, słońce powoli schodziło ze sceny i długie cienie przechodniów i samego Texasa nadawały okolicy jakiegoś nierzeczywistego, hollywoodzkiego wręcz charakteru. Emocje sprawiły, że chłopak nie zwrócił uwagi na obraz malowany promieniami ognistej kuli, tonącej gdzieś na wysokości ulicy Okopowej. Co nie znaczyło, że był niewrażliwy na piękno. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie pozostawał obojętny wobec prawdziwego piękna. Potrafił godzinami studiować idealne proporcje, opływowe linie, strome krzywizny, przechodzące nagle w płaszczyny i niepokojące wklęsłości. Tak, Texas był koneserem. Może jeszcze nieco nieopierzonym, ale z pewnością dobrze się zapowiadającym. To właśnie zmysł estetyczny skłonił go do zawarcia bliższej znajomości z sąsiadką z drugiego piętra. Jola Ustian (przez złośliwe koleżanki przezywana Doustian). Wśród co lepiej zorientowanych w tej delikatnej materii, niewiasta znana była pod pseudonimem Jolka Kompressor, a Texas po pierwszym spotkaniu w jej mieszkaniu (kiedy to wykorzystywali bezlitośnie nieobecność rodziców), musiał przyznać, że autor owego przydomku umiał sprawnie połączyć wiedzę techniczną z namiętnością poety. Bo też obcowanie z Jolą wywoływało dreszcze i uniesienia porównywalne jedynie z tymi, których dostarczają najbardziej wyrafinowane dzieła techniki, tak lubiane przez dużych i małych chłopców. Gdyby towarzystwo z ulicy Wroniej było bardziej za pan brat z literaturą i historią klasyczną, Jola zyskałaby zapewne inny pseudonim, na przykład Messalina. Ale jedyny mieszkaniec kamienicy, który mógł dostrzec podobieństwo osobowości (ale nie inteligencji, niestety) Jolki i żony słynnego rzymskiego cesarza, niejaki Bergman, po pierwsze rzadko dzielił się z bliźnimi swoimi spostrzeżeniami, a po drugie jego wpływ na otoczenie był raczej niewielki. I tak porównania historyczne musiały ustąpić porównaniom motoryzacyjnym. W tym miejscu zapytacie, jak sądzę, o szczegóły wyglądu Joli, fizys, figurę i ogólnie, że to tak ujmę image sceniczny. No cóż, nie wypada się uchy-

łać od tego obowiązku narracyjnego, chociaż, słowo daję, nie wiem, czy po-
dołam zadaniu, bo aby opisać to zjawisko potrzeba talentów, którymi
obdarzeni są tylko nieliczni wybrańcy. Ale, dobrze, nie zważając na niedo-
statki warsztatowe, spróbujmy roztoczyć wizję tej niezemskiej nieledwie
istoty. Otóż w tym miejscu zacząć należy od oblicza. A w obliczu, jak wiadomo
najważniejsze są oczy. Oczy, mówię! No! A więc oczy Joli były błękitne,
z lekkim odcieniem szmaragdu, co doskonale konweniowało z jej blond
lokami, sięgającymi w konfiguracji rozpuszczonej boskiego zadu, którego nie
powstydziliby się najbardziej rasowa klacz. A kiedy Jola spojrzała na jakiegoś
młodzieńca, przysłaniając źrenice długimi rzęsami, to taki delikwent, żeby nie
wiem jak był zaabsorbowany codziennymi sprawami, nagle zamierał jak za-
hipnotyzowany. A że reszta powłoki cielesnej Joli w niczym nie ustępowała
opisanym wyżej atrybutom, stan hipnotyczny tylko się wzmacniał... I oto Texas,
zaspokajając głód piękna, mógł bez końca kontemplować perfekcyjne nie-
wieście kształty i to bez względu na konfigurację przestrzenną, w jakiej aktu-
alnie znajdowała się Jola. A trzeba przyznać, że dziewczyna potrafiłaby
zadziwić najbardziej utalentowane gimnastyczki, ze słynną Nadią Comaneci
włącznie. Proste, statyczne układy horyzontalne i wertykalne były dla Joli zbyt
banalne, aby poświęcać im przesadnie wiele energii. Z prawdziwą maestrią
potrafiła łączyć awangardę z klasyką. Przy jej talentach pojęcia takie jak „góra”
i „dół” traciły swoje dotychczasowe znaczenie. A w chwilach wyjątkowych
uniesień przechodziła do czegoś, co piloci myśliwscy nazwaliby niechybnie
„lotem odwróconym”. Texas, który nigdy pilotem myśliwskim nie był, miał na
to zjawisko swoje własne, niezwykle trafne określenie, jestem jednak zbyt
skromny, żeby je tu zacytować. Były niestety również cienie, bo jakżeby ina-
czej. Cały problem z Jolą zaczynał się już po, że to tak nazwiemy, przyzemie-
niu, kiedy dziewczę próbowało nawiązać konwersację. Wtedy pryskał cały
czar. Magia, która jeszcze sekundy temu inspirowała wyobraźnię Texasa, zni-
kała bez śladu. Bo inteligencja Joli nie przytłaczała swoją głębią. Widocznie
naturze, czy może losowi, albo opatrności (co kto woli) inwestując w ciele-
sność dziewczyny zwyczajnie nie wystarczyło już kapitału na doinwestowanie
intelektu, co sprawiło, że bydlątko z trudem odróżniało „pulpit” od „pulpny”,
a „bynajmniej” od „przynajmniej” nie odróżniało wcale. A tak się złożyło, że
Texas na tym punkcie był bardzo wyczulony, i kiedy odpoczywając po nie-
zwyczajnie wyczerpującym immelmannie (żeby już pozostać przy lotniczych po-
równaniach), usłyszał, że Jola „pragnie go najbardziej na świecie, bynajmniej
w tej chwili”, zadumał się głęboko, co też jest w tych dwóch słowach takiego,
że pół narodu je nagminnie myli. Ale też nasz młodzieniec nie spotykał się
z Jolą w celu rozprawiania o naturze wszechrzeczy i umiał oddzielić kwestie
ważkie od dupereli. Z czasem zresztą, nauczył Jolę wyłączać audio, niby to
w celu wspólnego smakowania ciszy, więc ten drobny feler nie mącił już

więcej seansów rozkoszy. I tak trwało to już dwa tygodnie i dziś właśnie od rana szykował się na kolejny odcinek, kiedy niespodziewanie jego umysł został bez reszty zdominowany czymś innym. Dacie wiarę? Zdrowy, prawidłowo rozwijający się nastolatek z własnej woli rezygnuje z zaspokojenia niezwykłych wydawałoby się żądź na rzecz bliżej nieokreślonej, ale z całą pewnością zardzewiałej, kupy metalu! Stał pod drzwiami i nacisnął guzik domofonu.

— Słucham. — Rozległ się skrzekliwy głos.

— Ja w sprawie samochodu... Podobno jest do sprzedania...

— Proszę wejść na podwórko, zaraz przyjdę.

Chwilę później pojawiła się przygarbiona kobieta o zmęczonym spojrzeniu. Poszli w głąb podwórka. Na samym końcu stał garaż, a właściwie szopa z lekko zapadniętym dachem. Właścicielka otworzyła drzwi.

Serce Texasa zamarło na chwilę, a potem ruszyło w przyspieszonym tempie. Mały Maciek miał rację. Ten smarkacz rzadko mylił się w kwestii marek aut. Chevy Camaro, rocznik '70, może '71. Nagle z jakichś zakamarków pamięci wypłynęły słowa stryja, wypowiedziane kiedyś na tę właśnie okoliczność:

— Pamiętaj, młokosie, najważniejsze to zachować rozsądek, zwłaszcza w sytuacji stresowej. Nie napalać się, nie nakręcać, stać z boku i utrzymywać dystans. To ci pozwoli rozwiązać najpoważniejszy nawet problem wykorzystując wszystkie zalety chłodnego umysłu. To złota zasada... Ale ma wyjątki. Nadejdzie taka chwila, kiedy będziesz wybierał swój pierwszy samochód. To ważny moment w życiu. Tu nie można sobie pozwolić na fałszywy krok. Tu sam rozsądek to za mało. Jeśli podejdziesz do tego zupełnie na zimno, popełnisz błąd, nabawisz się frustracji przy pierwszej usterce. A potem stracisz cierpliwość i w przyływie desperacji będziesz chciał zepchnąć landarę do Wisły. Wiem, co mówię, trzy razy byłem żonaty. Więc zanim podejmiesz decyzję, zanim złożysz swój podpis na papierze, popatrz na samochód jeszcze raz, a potem zajrzyj w najgłębszy zakątek własnego jestestwa i wsłuchaj się w siebie. Czy czujesz coś więcej tam, w środku? Czy patrząc na maskę widzisz tylko lakier i chrom, czy może dostrzegasz coś więcej? Czy widzisz ciężar tych dwustu tysięcy kilometrów przejechanych na zbyt ubogiej mieszance, czy widzisz te zimy odciskające piętno na dolnych krawędziach drzwi? Czy czujesz żar słońca, który wypalił te plamy na desce rozdzielczej? Jeśli twój umysł rejestruje wszystkie te znaki, a mimo to pali się w tobie ogień namiętności, jeśli tętno ci przyspiesza, a dłonie zaczynają się pocić, to znak, że stoisz przed tą właściwą maszyną. Wtedy się nie wahaj...

Texas przełknął ślinę. Na pierwszy rzut oka samochód robił wrażenie padliny, trupa, nad którym zaraz zaczną kołować sępy. Spuszczone powietrze w obu przednich kołach, niewiarygodne ilości kurzu, ptasich odchodów

i innych, bliżej niezidentyfikowanych nieczystości robiły przygnębiające wrażenie.

Samochody starzeją się tak jak ludzie. Człowiek, który co dzień, regularnie przebiega dziesięć kilometrów, nie przesadza z używkami, odżywia się racjonalnie mając te, powiedzmy sześćdziesiąt lat, może być w doskonałej formie, a drugi, nałogowy alkoholik, żyjący w wiecznym stresie, przesiadujący non stop za biurkiem, zanim zejdzie na zawał nim skończy czterdzieści wiosen będzie wyglądał jak dziadek tego pierwszego. Podobnie jest z samochodami. Egzemplarz eksploatowany z odpowiednią dawką rozsądku nawet po dwudziestu latach może być w pełni sprawny i zachować parametry niewiele odbiegające od fabrycznych. Ten tutaj miał za sobą najwyraźniej nietypową historię. Było to zresztą charakterystyczne dla wszystkich egzotycznych marek, które trafiały do tej części Europy. Samochód był ewidentnie łagodnie traktowany przez większą część swojego żywota. Za to ostatnimi czasy musiał widocznie trafić do motoryzacyjnego czyścica. Los jeszcze nie wydał na niego ostatecznego wyroku, ale jasnym było, że znalazł się na drodze, która mogła okazać się jego ostatnią. Dla niewprawnego obserwatora byłoby to tylko pozbawione sił witalnych truchło. Texas jednak wiedział, że ma przed sobą zagrożoną w letargu legendę, obiekt marzeń wszystkich zdrowych na umyśle nastolatków od Bugu po Odrę. Wiem, wiem, co teraz powiecie! Że co to niby za rarytas, o czym ja tu w ogóle opowiadam?! Że gdyby to było coś bardziej szlachetnego, powiedzmy jakiś Anglik, dajmy na to Jaguar XSJ, albo Aston, albo chociaż Włoch na przykład Alfa Romeo Montreal, czy Lancia Fulvia, no coś stylowego, a do tego przystosowanego do pokonywania zakrętów i hamowania przed przeszkodami, to wtedy, owszem, można by mówić o ekscytacji. Ale jankes? Zza oceanu? Toż każde dziecko wie, że w tamtej krainie powstają pojazdy z natury rzeczy przystosowane do jazdy wyłącznie na wprost, że gwałtowniejszy manewr może się skończyć dachowaniem, że każde koło żyje swoim własnym życiem, a rozedrgane zawieszania, symboliczne hamulce i fotele, które wygodne są tylko przy uprawianiu seksu, bywały tematem niewybrednych żartów we wszystkich europejskich biurach konstrukcyjnych. Czyli, że całą amerykańską motoryzację lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych można skwitować jednym zdaniem: *unsafe at any speed*.

Ale Texas wiedział coś, o czym wy nie wiecie. Owszem, taki seryjny Camaro czy Firebird, to faktycznie pomyłka drogowa, ale jeśli się nim odpowiednio zając, okazać zainteresowanie, serce, to z trzęsącej się na każdym zakręcie galarety na kołach można zrobić przyklejoną do asfaltu bestię, dysponującą w dodatku trzema setkami mechanicznych rumaków. Jasne, że z burbona pędzonego na kukurydzy z Ohio nie robi się nigdy napoju dla angielskiego konesera szkockiej, ale Texas nie należał do snobów. Po prostu lepiej czułby się za kierownicą dobrego, starego, sprawdzonego *muscle cara*,

niż w jakimś wymuskany Bentleyu, czy Jaguarze. Zresztą chłopakowi nawet do głowy nie przyszło grymasić. Rozpoczął oględziny, starając się przy tym nie okazywać emocji. Wyczuwał, że może zrobić dobry interes. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby chciała się pozbyć kłopotu i wizyta chłopaka była dla niej wybawieniem. Najpierw jednak trzeba było dokładnie oszacować rzeczywisty stan samochodu. Mimo pierwszego odpychającego wrażenia nie wyglądało to źle. Przede wszystkim Camaro był kompletny. Wszystkie listwy, zderzaki, lampy były na swoim miejscu. Podniósł maskę, spodziewając się najgorszego: jakiegoś diesla z Mercedesa, albo chłodnicy od Żuka. Odetchnął z ulgą, każdy element, który ukazał się jego oczom był umieszczony zgodnie z wolą inżynierów koncernu General Motors. Co ciekawe, model, który miał przed sobą nie był jakąś ubogą wersją sprowadzoną do kraju po najniższych kosztach. Według napisu na błotniku miał do czynienia z odmianą SS, czyli Super Sport, dość rzadką nawet w Stanach. Skąd się wziął w Środkowej Europie? I jak trafił do tego kurnika? Musiał tu stać od kilku lat, w przeciwnym razie byłoby o nim głośno w okolicy. Tymczasem żaden z tutejszych mechaników, ani taksówkarzy, o ludziach Ciętego nie wspominając, nic o nim nie słyszał. A zatem był to prawdziwy samorodek. Najważniejsze, to utrzymać sprawę w tajemnicy. Texas wiedział, że jeśli wieść się rozniesie, zaraz pojawią się rekiny wyczuwające łatwą zdobycz. A wtedy on zostanie przelicytowany. Jego zasoby finansowe były bardzo ograniczone. Mógłby poprosić o wsparcie stryja, ale i tak miałyby marne szanse. Od tej pory priorytetem było zachowanie znaleziska w tajemnicy... Maciek! Psiakrew, jeśli szczeniak będzie miał jęzorem... Texas miał nadzieję, że kasetą video z „Terminatorem” będzie gwarantem ciszy w eterze. Cóż, i tak nic więcej nie mógł w tej chwili zrobić. Dobrze, teraz należało ostrożnie rozpoznać oczekiwania właścicielki...

— Trochę zaniedbany... Opony do wymiany, długo stał... — Zaczął Texas bez sensu.

— Mąż był marynarzem, prawie go nie używał... Ostatnio nie miał siły się nim zajmować.

Texasowi zrobiło się jej żal. Samochód pewnie był chwilowym kaprysem człowieka, który nagle znalazł się w wolnym świecie i mając możliwości chciał zaznać prawdziwych emocji. Chłopak szybko jednak przywołał się do porządku. Interes wymagał chłodnego umysłu. Przełknął ślinę i przeszedł do sedna:

— A ile by pani za niego chciała?

— No, nie wiem, nie bardzo się na tym znam... Myślałam... cztery miliony...

— Cztery miliony? — Texas zaczynał mieć wyrzuty sumienia. Pierwszy lepszy cinkciarz dałby bez zmruczenia okiem z osiem. A czuł, że kobieta opuściłaby jeszcze z tej i tak śmiesznie niskiej ceny. Co robić? Jakoś nie umiał rozebrać tego zupełnie na zimno...

— Proszę pani, mogę dać za niego pięć milionów. Ten samochód jest wart o wiele więcej, ale mam tylko tyle. Więcej nie dam rady...

— Chcesz dać więcej, niż cena wywoławcza? Dlaczego? — Na twarzy kobiety malowało się bezbrzeżne zdumienie.

No i masz! Texas był na siebie tak wściekły, że sam by sobie głowę obił. Tyle wyszło z jego zimnej krwi! Teraz baba pewnie w ogóle mu go nie sprzeda. Tak to bywa, jak się jest miękkiem...

Kobieta popatrzyła na niego dziwnie, jakby rozważając jakąś kwestię. W końcu podjęła decyzję:

— Dobrze, zgoda! Pięć milionów. I dziś ma stąd zniknąć. Nie chcę go więcej oglądać...

I tak oto wszystkie pieniądze, jakie Texas zarobił ostatnio w warsztacie stryja stały się właśnie wspomnieniem. Co prawda, ze swoimi talentami chłopak nie miał większych problemów z odłożeniem w niedługim czasie podobnej sumy, ale i tak trzeba było znaleźć jakieś wytłumaczenie na okoliczność rozmowy z ciotką. A trzeba zaznaczyć, że z ciotką, mówiąc oględnie, żartów nie było. Nawet stryj z trudem wykręcał się od poważniejszych represji, kiedy to wiedziony instynktem łowcy zakupił zniecka na Kole przednią lampę, czy gaźnik do swojego Harleya. I zapomnijcie tu o jakichś sztuczkach z chowaniem trefnych nabytków po szufladach, czy tajnych schowkach. Ciotka w warsztacie poruszała się równie sprawnie, co w kuchni. Jej uwadze nie uszła nigdy najmniejsza zmiana. Jakieś podejrzone wybrzuszenie pod gałganem przykrywającym skrzynię biegów, czy zbyt błyszcząca obudowa filtra powietrza i awantura gotowa. Ale policyjny nos ciotki, oddajmy jej sprawiedliwość, niejednokrotnie uratował stryjowi skórę. Texas pamiętał, jak kiedyś jacyś patentowani frajerzy bawiący się w konspirację przyprawdzili na regulację gaźnika Dacie z bagażnikiem wyładowanym sprzętem drukarskim. To właśnie ciotka zauważyła podejrzanego Fiata z dwoma smutnymi panami w środku, stojącego niedaleko na ulicy. Oczywiście Dacii nawet nie tknęli, a frajerzy już się więcej nie pojawili.

Innym znów razem dwóch ludzi z grupy Ciętego podstawiło nowiutką dziewięćsetjedenastkę z jakąś usterką elektryki. Texas miał wtedy masę innej roboty, ale musiał wszystko rzucić i wziąć się za Porsche, bo z Ciętym trzeba było utrzymywać dobre stosunki. Chłopak nie bardzo rozumiał, o co w tym układzie chodziło. Stryj niby gardził tymi cinkciarzami i szopenfeldziarzami, a tu nagle zaczyna się z nimi układać, robić im różne przysługi, szykować samochody. A do tego nie zawsze rozliczali się w gotówce, czasem przekazywali staremu jakieś informacje, nazwiska, papiery. Nigdy jednak nie zapytał stryja otwarcie, patrzył tylko podejrzliwie. W końcu stary nie wytrzymał i puścił farbę:

— Widzisz, Texas, czasem trzeba się trochę ubrudzić, żeby być skutecznym w tym, co się robi...

Niewiele to jednak wyjaśniło. W każdym razie nie wracali już do tej rozmowy. Po prostu Cięty miał pierwszeństwo przed innymi. No i wtedy właśnie zajęli się tym Porsche. Ale niestety okazało się, że interesuje się nim jeszcze ktoś. Jak zwykle ciotka pierwsza wypatrzyła intruzów w okolicy. Paru kozaków, jak się później okazało z Pragi przybyło na gościnne występy do centrum. Obserwowali garaż kilka godzin krążąc po okolicy. Ciotka wszczęła alarm i Texas odprowadził Porsche przed nocą na teren Ciętego, dając mu jednocześnie znać o konkurencji zza Wisły. Co ciekawe, obcych zgarnęli tajniacy. Przyjechali w dwa Polonezy i uwinęli się błyskawicznie, po tamtych nie zostało więcej śladu. Tak, ciotka była ich doskonałą tajną bronią kontrwywiadowczą. Co nie zmieniało sytuacji. Trzeba było się przygotować na ciężką przeprawę.

Było dobrze po północy, kiedy zaparkował swoją zdobycz na podwórzu kamienicy. Potężny, ośmiocylindrowy silnik stygł przy akompaniamencie miauczenia walczących o kawałek stoniny kotów.

W oknie na parterze wciąż paliło się światło. Stryj słysząc nieznaną dźwięk silnika wyszedł na zewnątrz.

— Tylko mi nie mów, że wydałeś wszystkie pieniądze na tego dzemsa.

— I owszem, wydałem. Ale było warto, popatrz...

— Patrz! I nie wiem, co na to powie ciotka... Ale tym razem to już twoje zmartwienie.

— Jakoś damy radę, stryju. Rok temu, jak kupiłeś tego Harleja też było ciężko, ale w końcu jakoś wszystko przyszło...

Stary wszedł do Chevroleta i gestem nakazał Texasowi to samo. Wrócili do przerwanej rozmowy na temat jutrzejszej roboty.

Następnego dnia byli na Centralnym na godzinę przed przyjazdem pociągu z Wrocławia. Pojechali w dwa samochody. Stary prowadził Poloneza z lewymi tablicami. To właśnie on miał przechwycić jako pierwszy kuriera. Jeśli kurier miałby ogon, milicja nie powinna ich ruszyć. Niebiescy nigdy nie wtrącali się w operacje bezpieczniaków. Po prostu mieliby dyskretną obstawę w drodze do punktu docelowego. Texas pojechał podrasowanym maluchem. Samochód miał legalne tablice rejestracyjne, ale nadwozie od linii szyb w dół pokryte było grubą warstwą kurzu. Wyglądało to, jakby ktoś wybrał się poczciwym autkiem na rajd terenowy. W rzeczywistości brud był efektem żmudnych wysiłków wspartych talentem i solidnym doświadczeniem w kamuflowaniu pojazdów. Stryj opracował specjalną mieszankę na bazie talku, która po rozproszaniu na samochodzie przy użyciu pistoletu lakier-

niczego perfekcyjnie udawała naturalny kurz. Chodziło, rzecz jasna o utrudnienie odczytania numerów rejestracyjnych. Z perspektywy śledzącego radiowozu, maluch był nie do zidentyfikowania. Oczywiście w razie zatrzymania cały kamuflaż trafi szlag. Ale najpierw ktoś musiałby Texasa zatrzymać. A to łatwe nie było.

Pozostały do spotkania czas wykorzystali na rozpoznanie terenu. Samochody zostawili na parkingu od strony Alei Jerozolimskich, po czym spacerując niespiesznie, udając podróżnych obserwowali auta i przechodniów starając się odnaleźć ewentualny komitet powitalny. Po kilkunastu minutach wytypowali dwóch kandydatów. Kremowa Łada stała w idealnym z punktu widzenia obserwacji miejscu. Wyraźnie widać było dwie postacie siedzące na przednich fotelach. Mógł to być oczywiście przypadek, ale Łada i jej numery zostały odnotowane w pamięci. Drugim podejrzanym był biały duży Fiat kilkakrotnie okrążający dworzec. Podobnie, jak w przypadku Łady w środku siedziało dwóch ludzi. Charakterystyczna antena na dachu zdradzała radiowóz SB. Czasem tajniakom udawało się lepiej maskować środki łączności, ci jednak byli wyjątkowo niechlujni. A więc dwa samochody pod Centralnym. Jeśli rzeczywiście czekali na człowieka z Wrocławia, należało się spodziewać jeszcze co najmniej dwóch nieoznakowanych radiowozów, które najprawdopodobniej dołączą w trakcie operacji. Poza tym ktoś musiał jechać z kurierem pociągiem. To jednak nie miało większego znaczenia. I tak stryj w Polonezie miał odegrać rolę przynęty. Pozostawała jeszcze kwestia kamuflażu samego stryja, co było sprawą niebagatelną. Przyjmując, że będzie widoczny zza kierownicy samochodu należało pomyśleć o jakiejś charakteryzacji. Zawsze w końcu istniało niebezpieczeństwo, że esbecy będą usiłovali potem zidentyfikować kierowcę, skoro nie udało im się to z samochodem.

— No dobra, a co z tobą? Pokażesz się w całej okazałości, a potem będzie cię trzeba chować na strychu, jak za okupacji? — Zaniepokoił się Texas.

— Czy ja na którejś akcji zapomniałem o kamuflażu? — Żachnął się stary. — Mam tu małą niespodziankę dla naszych czerwonych przyjaciół. — To mówiąc poklepał sporą torbę przewieszoną przez ramię. — Dobra, dość gadania, na stanowiska!

Zanim pociąg wjechał wreszcie na peron, Texas poszedł na parking i wsiadł do swojego malucha. Z miejsca, w którym zaparkował miał idealny widok i na wyjścia z dworca i na kremową Ładę. Białym Fiatem chwilowo nie miał jak się zająć. Po jakichś dziesięciu minutach w drzwiach pojawiła się dziwna para. Około czterdziestoletni, tęgawy mężczyzna, ubrany w letnią koszulę i dzinsy stanął w drzwiach dworca. W lewej ręce trzymał torbę podróżną, prawą poprawiał na nosie okulary w rogowej oprawie. Tuż za nim pojawiła się postać, która jakby zawieruszyła się w czasie i przestrzeni. Wojskowy szynel

sięgał niemal chodnika, postawiony kołnierz zasłaniał twarz, a całość wieńczyła charakterystyczna, spiczasta czapka, jaką nosiły żołdacy z pierwszej kompanii Siemiona Budionnego. Osobnik w budionnówce rozejrzał się po okolicy, pokiwał wolno głową, jakby dając wyraz aprobachie, że jednak odwrót pod Radzyminem w 1920 roku był tylko chwilowym spowolnieniem eksportu rewolucji, po czym wziął pod ramię swego kompana i obaj ruszyli przed siebie, jakby właśnie wybierali się na degustację frontowego samogonu. Przechodnie na wszelki wypadek omijali szerokim łukiem podejrzanych osobników, a ci, jak gdyby nigdy nic, podeszli do zaparkowanego Poloneza, wsiedli i wyjechali z parkingu na ulicę Marchlewskiego. Texas pomyślał, że musieli to uzgodnić wcześniej, bo kurier nie wyglądał na specjalnie zaskoczzonego maskaradą. Sekundy później kremowa Łada wyjechała spod dworca i ruszyła za nimi. Texas odczekał minutę obserwując parking. Nic ciekawego się jednak nie wydarzyło, wobec czego uruchomił silnik i ruszył w stronę wyjazdu na Aleje Jeruzolimskie. Jechał spokojnie w stronę Ochoty, zerkając na wszelki wypadek w lusterka, chociaż prawdopodobieństwo, że go śledzono było znikome.

Wyobraził sobie, jak cały esbecki konwój podąży teraz za Polonezem z sowieckim żołdatem za kierownicą i uśmiechnął się w duchu. Ustalili wczoraj, że najpierw pojeżdżą trochę po Żoliborzu, zajeżdżając w kilkanaście osiedlowych uliczek. Później przeniosą się na Boernerowo, a potem przez Groty i Jelonki wrócą do Centrum. Tam nastąpić miała zasadnicza część operacji. Warunkiem koniecznym było zgranie w czasie. Ponieważ nie mieli łączności radiowej, ustalili dokładny czas i miejsce spotkania w Centrum. Kurier miał wysiąść z Poloneza dokładnie o 16:30 na skrzyżowaniu Alei Jeruzolimskich i Marszałkowskiej, wejść do przejścia podziemnego przy Rotundzie, zrobić rundkę i wyjść w tym samym miejscu, w którym wszedł. W tym czasie za Polonezem stryja jechałby już najwyżżej jeden radiowóz. Teraz zgubić go to bułka z masłem. Texas miał zgarnąć Wrocławianina na rogu Rutkowskiego i Kruczej dokładnie piętnaście minut później. Cała karuzela miała na celu zgubienie przynajmniej dwóch radiowozów i ułatwienie pozbycia się pozostałych, jeśli faktycznie było ich więcej.

O wyznaczonej porze zdyszany facet, którego widział ze stryjem na Centralnym, otworzył drzwi od strony pasażera i z trudem wcisnął się w fotel.

— Zbyszek jestem! Spierdalamy! — Wydyszał.

— Texas. — Przedstawił się Texas. — Wedle życzenia, mister!

Wrzucił jedynekę, dodał gazu i puścił sprzęgło. Ruszyli Kruczą w stronę Mokotowa, minęli Aleje Jeruzolimskie, po chwili jednak Texas zawrócił na ręcznym hamulcu i pognali z powrotem do centrum. W lusterku kątem oka zauważył nowego aktora w tym akcie. Czarny Mercedes próbował rozpaczliwie powtórzyć manewr Texasa, ale esbek siedzący za kierownicą nie grał w tej

samej lidze. Ciężka limuzyna po podcięciu tylnych kół ręcznym, siłą bezwładu obróciła się stając w poprzek ulicy. Minęło kilka cennych sekund zanim samochód ruszył za nimi. Maluch przeciął na zielonym świetle Aleje, minął Rutkowskiego i wpadł na Plac Powstańców. Na wysokości Prudentialu zatrzymały ich czerwone światła. Rzut oka w lusterko... jest! Mercedes zbliżał się z rykiem silnika. Texas skręcił na chodnik i przepędzając nielicznych przechodniów wbił się w Świętokrzyską, by pięć sekund później skręcić pod kątem prostym w Czackiego. Rozpędził się na prostej, przeciął Traugutta i na wysokości Hotelu Victoria skręcił w prawo. Mercedes ciągle trzymał się z tyłu, ale dystans się nie zmniejszał. Gdy mały Fiat mijał obsadzony obojętnie przyglądającymi się scenie gołębiami kościół Wizytek, pościg wciąż był daleko. Zaczął ich dochodzić dopiero przed placem Dzierżyńskiego. Texas wiedział, że na prostych nie mieli szans. Jego pasażer zaczął się nerwowo rozglądać, jakby w poszukiwaniu torby chorobowej. Nie wyglądał na zbyt pewnego siebie. W końcu jednak się opanował i wyjął ze swojego bagażu urządzenie przypominające na pierwszy rzut oka walkie-talkie.

— Co to za sprzęt, mister? — Spytał podejrzliwie Texas mijając wlokącego się lewym pasem Ikarusa.

— To skaner, kolego, dzięki niemu będziemy wiedzieli, jak bardzo jesteśmy sławni. — Odkrzyknął tamten i uruchomił swoją zabawkę.

Z głośnika popłynęły zniekształcone dźwięki.

— ...sto czternaście, co się tam dzieje?!

— Ja sto czternaście, prawie mi uciekł na Kruczej, w miejscu zawrócił, skurwysyn....

— Mów fosa, kretynie, fosa!! Melduj, gdzie jesteś!

— ...nie słyszę cię, powtórz...

— Gdzie, kurwa jesteś, sto czternaście?! Podaj swoją pozycję!

— Ja sto czternaście, mijam czekistę, powtarzam, mijam czekistę. Mam figuranta na dwunastej, ale to niezły kozak, potrzebuję wsparcia! Powtarzam, dajcie mi tu kogoś! Odbiór!

— Najbliżej jest sto cztery, stoi przy misiach, zagoń figuranta do Cyryla. Jak mnie rozumiałeś? Odbiór!

— Ja sto czternaście, zrozumiałem, wykonuję! Bez odbioru!

Texas cudem unikając zderzenia z tramwajem na wysokości Muzeum Lenina popatrzył niepewnie na pana Zbyszka.

— Jaka fosa? Jaka dwunasta? O co im chodzi?

— Fosa to kod, którym się porozumiewają. Pozycję śledzonego podają według systemu zegarowego. Szósta to z tyłu, dwunasta na wprost i tak dalej, kapewu? Ale reszty kryptonimów nie znam, u nas we Wrocławiu bym się poła-
pał, ale tu...

— W porządku. — Mruknął Texas i w ostatniej chwili wyprzedził hamującego przed nimi Peugeota. — Reszty ja się domyślam. Misie to zoo, chcą nam odciąć drogę przy komendzie na Cyryla i Metodego. Zmiana planu, niech się pan czegoś złapie, mister!

Wyjeżdżając z tunelu na trasie WZ zamiast wpaść na most chłopak odbił w prawo i zjechał w dół w stronę Wisły. Skręcił na Mariensztat i zwolnił.

— Co robisz, dorwą nas! — Zaniepokoił się pan Zbyszek.

— Więcej wiary, mister. — Odparł Texas.

Samochód toczył się powoli, a chłopak obserwował wjazd w ulicę w lusterku wstecznym. Chwilę potem pojawił się czarny Mercedes rozpaczliwie hamując na zablokowanych kołach. Odbił się od krawężnika, a kierowca z wyraźnym trudem opanował auto. Błyskawicznie ruszył w stronę zakurzonego malucha. Texas wciąż czekał.

— Ruszaj, kurwa, na co czekasz?! — Zbyszek stracił panowanie nad sobą.

— Moment...

— Jezu, już nie mamy szans!

— Myli się pan, mister, to on nie ma szans... — Mruknął Texas gapiąc się w lusterko.

Chłopak odczekał jeszcze sekundę i pociągnął dźwignię, którą tak pieczołowicie wczoraj regulowali. Dziesięć kolców ze stali nierdzewnej wypadło na bruk. Mercedes nawet nie zdążył zwolnić, jedno koło ocalało, ale trzy pozostałe felgi stuknęły o nawierzchnię, krzesząc iskry.

— Oj, obsobaczą cię dzisiaj, sto czternaście, obsobaczą... — Warknął Texas i nie niepokoiony już przez nikogo ruszył w stronę Wybrzeża Gdańskiego.

Na Pragę dotarli bez przygód. Skaner pana Zbyszka dostarczył im po drodze sporo uciechy, kiedy słuchali nawoływań wściekłych esbeków. Nawet bez tłumaczenia „fosy” można się było zorientować, że polecą głowy. Ktoś w końcu musiał odpowiedzieć za tak spektakularną porażkę. Bibułę zostawili w lokalu na Kijowskiej. Teraz mogli chwilę odetchnąć.

— Spiesz się pan, mister? — Zagadnął Texas.

— Niespecjalnie, pociąg mam jutro. — Odparł pan Zbyszek.

W takim razie zapraszam do nas. Stryj już pewnie czeka. Mamy taki cichy kąt na Siekierkach...

Na działkę dotarli późnym wieczorem. Stryj rzeczywiście już tam był, przyjął ich w swojej czapce budionnówce.

— Powitać, powitać! Czy wszyscy mamy powody do radości?

— Niech mnie kule biją, panie Romanie, to był majstersztyk! — Pan Zbyszek nie ukrywał zachwyty.

— A tobie jak poszło, stryju? — Zainteresował się Texas.

— A jak miało pójść? Czerwoni, jak to czerwoni, jeśli mają do czynienia z typową sytuacją, to sobie radzą, ale jak trzeba się trochę wysilić, zwłaszcza intelektualnie, to marnie im idzie. Selekcja negatywna, rozumiesz... Przewieźliśmy ich trochę po Żoliborzu, wstąpiliśmy na siusiu na Wolumen, pokręciliśmy się po Wrzecionie i dwa wozy musieli oddelegować do sprawżenia wszystkich miejsc, w których wysiadaliśmy. Potem już poszło łatwo...

— Nie zatrzymali cię?

— Najpierw nie chcieli, bo czekali aż nawiążemy kontakt, a potem już nie mogli... No, dość już o tym, zapraszam do stołu. Panie Zbyszku, przenocuje pan u nas do jutra?

— Szczerze mówiąc, na to liczyłem...

— Doskonale! Texas, zostało jeszcze trochę bigosu?

— Cały sagan, stryju, na tydzień starczy...

Siedzieli w ogrodzie, skupieni wokół wielkiego glinianego garnka z parującym bigosem. Od wścibskich oczu sąsiadów odgradzał ich rząd wysokich tui. Pan Zbyszek, stary znajomy stryja, okazał się dobrze zorientowanym w sytuacji podziemia gawędziarzem. Opowiadał o krążących po kraju plotkach. Podobno władza szykuje się do jakichś negocjacji z opozycją. Już się nawet zaczęli dogadywać, ale tylko z konstruktywnymi, a nie z jakimiś terrorystami. Dla nich, we Wrocławiu i innych miastach nic się nie zmieniło. Ciągnęła zabawa w chowanego.

— Wie pan, panie Romanie, my uważamy, że to jakiś podstęp. A Kornel mówi wręcz o prowokacji. — Opowiadał Zbyszek wyławiając co smakowitsze kęski mięsa z bigosu.

— I bardzo rozsądnie mówi! Dlatego właśnie w ogóle z wami rozmawiam, panie Zbyszku. Nie wiem, na co liczą tamci z KOR-u. Przecież wiadomo, że jak czerwony siada do rozmów, to o coś mu chodzi, ma w tym jakiś interes... pan się częstuje. — Stryj starym bagnetem otworzył butelkę królewskiego i podał gościowi.

— No tak, ale z drugiej strony, może będzie coś do ugrania. Może uda się coś wynegocjować...

— Panie Zbyszku, panie Zbyszku, bo straci pan w moich oczach! Jak tu negocjować? Tak, jak w osiemdziesiątym, a potem wachać spaliny skotów na ulicach? Przecież wiadomo, że słowo komunistów jest nic niewarte. Raz już się sparzyliście, powinniście wyciągnąć z tego naukę. Poza tym... wie pan, mój dowódca z lasu, major Koźniewski powtarzał zawsze, że ze zdrajcami się nie negocjuje. Zdrajców stawia się pod ścianą i strzela w łeb. W ogóle nie rozumiem, jak można teraz z nimi gadać.

— No ale przyzna pan, panie Romanie, że postawić pod ścianą ich się nie da. Przecież my wbrew temu, co pokazują w dzienniku telewizyjnym nie

chcemy do nich strzelać, ani nie jesteśmy szkoleni przez CIA. Może faktycznie trzeba się ugiąć i sięść do rozmów...?

— A pan swoje! — Rzucił stryj i pociągnął łyk piwa. — Toż mówię, że siadać do pokera z tymi kanałiami można tylko mając pod stołem odbezpieczoną broń. Bo o to, że oni ją mają, może być pan spokojny. Więc lepiej nie siadać wcale. Panie Zbyszku, zresztą kto mówi o strzelaniu? Dziś byłaby to czysta głupota. Ale nie dlatego, że do komunistów strzelać jest nierozsądnie, tylko dlatego, że jest to niestety nieskuteczne. Wiem, co mówię, bo przez trzy lata, od czterdziestego piątego sam do nich strzelałem i efektów żadnych to nie przyniosło. Poza tym, że wyrznęli mi cały oddział, a i ja ledwo uratowałem skórę. Ale wtedy byliśmy młodzi i narwani. Poszlibyśmy z gołymi rękami na marszałka Rokossowskiego. To była rozpacz, wie pan... Świadomość, że zostaliśmy sami, że wszyscy mają nas w dupie, nawet ci, którym posyłałiśmy zdobywcze V2, żeby mogli lepiej bronić przed nimi swojego pieprzonego Londynu! A oni się odwrócili, sprzedali nas Gruzinowi w transakcji wiązanej. Więc, jak załapała nas ta czerwona swolocz to strzelaliśmy, choć więcej było w tym desperacji, niż sensu... Chociaż... sam już nie wiem, może właśnie wtedy świat był jeszcze normalny i sensowny, skoro bandytów pakujących się nam bezczelnie do domu witaliśmy ołowiem...

— Świat się zmienił, dziś ci bandyci sami siebie mianowali gospodarzami.

— Taak, pańskie pokolenie musi nam wybaczyć, że zabrakło wtedy amunicji... Ale teraz, możecie to rozegrać mądrzej. Macie niezłą organizację i pewnych ludzi. Zagrajcie inną kartą, werbujcie tamtych, jak oni werbują naszych, każdą metodą, szantażem, przekupstwem. Wejdźcie w ich struktury. Macie swój kontrwywiad, rozwijajcie go. To potężna broń. Nawet pan nie wie, ile można zdziałać takimi metodami. Stwórzcie siatkę własnych agentów w ich szeregach. Informacja, informacja i jeszcze raz informacja, panie Zbyszku! To klucz do sukcesu, trzeba zajrzeć im w karty. Ale nigdy, przenigdy nie negocjować z pozycji przegranego! Zapomnijcie o słowie „kompromis”, nie siadajcie z nimi do rozmów, bo znowu zwycięży prowokacja. Nie wiercie w liberalizację systemu, nie przykładajcie do tego ręki! Niech pan zapamięta: nigdy nie było żadnej liberalizacji komunizmu! Zawsze, czy to w 1956, czy 1968, 1980, czy teraz, to jest tylko iluzja, gra obliczona na stworzenie pozorów zmian. Czerwony ma jeden poważny zgryz: pali mu się gospodarka pod nogami. Więc niech on się spali razem z nią. Nie dajcie się wciągnąć w żadne dzielenie się władzą! Niechże pan zrozumie, że czerwony potrzebuje lipnej opozycji. Jest mu potrzebna, żeby uwiarygodnić własną słabość. Właśnie o własnej słabości, o upadku systemu chce przekonać Zachód. Im na tym zależy najbardziej, żebyście wzięli na siebie odpowiedzialność za katastrofę, która nieuchronnie musi nadejść. Więc niech się to zwali na ich łeb, swojego nie podkładajcie! Dopiero wtedy, gdy już będzie po wszystkim, można myśleć

o przejęciu władzy na waszych warunkach. To gra nerwów, wygra ten, kto do końca zachowa zimną krew. A póki co stwórzcie własny wywiad. To podstawa!

— No tak, ale wie pan — cedził Zbyszek ogryzając kość z resztek mięsa — to jest porywanie się z motyką na słońce. Co innego podsłuchiwać ich rozmowy przez radio, a co innego prowadzić poważną operację wywiadowczą. Owszem, jak pan wie, mamy nawet jednego człowieka w ich szeregach, ale stworzenie siatki, o jakiej pan mówi... no nie wiem...

— To wszystko jest tylko kwestią przełamania pewnego schematu myślenia, panie Zbyszeku. Jasne, oni mają infrastrukturę, zaplecze, finanse, środki łączności i przede wszystkim wsparcie okupanta. Są doskonale przeszkoleni i pozbawieni wyrzutów sumienia. To wszystko prawda. Ale to tylko ludzie i to ludzie nie najwyższej, że tak powiem, próby. W większości przypadków ich horyzonty intelektualne są bardzo ograniczone. Tam, gdzie decyduje brutalna siła, nie można z nimi wygrać, ale przecież w każdym systemie można znaleźć słabe punkty. Ich piętą achillesową jest płaskostopie umysłowe, brak wyobraźni, schematyzm myślenia. Do szkół, które kończyli zwyczajnie nie przyjmowali ludzi zbyt inteligentnych, błyskotliwych, uczciwych. Weźmy chociażby dzisiejszą akcję. Parę tanich sztuczek, w sumie prymitywne środki i proszę, wielka organizacja okazuje się bezsilna. Pojedynek Dawida z Goliatem. Podstęp i zaskoczenie jest warte dziesięciu dywizji. Nie znajdzie pan wśród nich drugiego Einsteina, czy choćby Łomonosowa. A wy tam, we Wrocławiu to przecież prawie wszyscy naukowcy. Matematycy, fizycy, umysły ścisłe. Wojna wywiadów to wojna intelektów. To wielowymiarowe szachy. To umiejętność przewidywania ruchów przeciwnika, ocena jego aktywów i pasywów. To właśnie praca analityczna. W tym jesteście od nich o niebo lepsi. Weźmy ten wasz nasłuch radiowy i rozkodowanie „fosi”. Jesteście na dobrej drodze. Wykorzystajcie to. Trzeba wejść w ich struktury, zwerbować paru ludzi. Proszę pamiętać, że oni podlegają takim samym pokusom, jak wszyscy inni, jak ich ofiary. Zdarzają im się chwile słabości, zdradzają żony, mają nietypowe upodobania seksualne. Poza tym można preparować różne kompromitujące sytuacje, kontakty z obcym wywiadem, walkę frakcyjną. Trzeba posługiwać się ich metodami, bo są skuteczne. Ale to wszystko oczywiście tylko środki do osiągnięcia celu. Celem jest zbieranie informacji. Trzeba wiedzieć, w co grają za kulisami, o co tak naprawdę chodzi. Jakie zmiany się szykują? Może na naszych oczach dokonuje się przełom, a my nic o tym nie wiemy, może są słabsi, niż nam się wydaje? Bez takich informacji będziecie, jak dzieci we mgle. Taka działalność według mnie powinna mieć dziś priorytet.

— Podsłuchiwanie rozmów to dziś szczyt naszych możliwości, panie Romanie. — Zbyszek odstawił pusty talerz, stłumił beknienie i sięgnął po kolejne królewskie. — My tak wysoko nigdy nie mierzyliśmy, prowadzimy głów-

nie akcje informacyjne, nadajemy audycje radiowe, drukujemy zakazanych pisarzy...

— Wiem, to wszystko jest bardzo istotne, odwalacie dobrą robotę. Jest cholernie ważne, żeby wbrew czerwonemu mówić prawdę, bo za, powiedzmy, piętnaście, dwadzieścia lat, kiedy nas, starych zabraknie, ten naród zostanie do reszty ogłupiony. Strach pomyśleć, co wtedy uda mu się wmówić... Wie pan, przedwojenne elity były impregnowane na taką propagandę, ale one niestety „poszły w bohaterzy” we wrześniu, płonęły nad kanałem La Manche w czterdziestym, ginęły w Katyniu, w Powstaniu i tak dalej. Dlatego dziś łatwiej jest nami manipulować. A co będzie w przyszłości? Może jakiś łebski propagandysta wreszcie wmówi tym biedakom, że jest fajnie, że czerwony to w sumie taki ładny kolor, że ciemne okulary to u dyktatora symbol swojej mądrości...

— Przesadza pan, panie Romanie. Temu narodowi można wmówić dużo, ale komunizmu doświadcza na własnej skórze. I powiadam panu, że po takich doświadczeniach nigdy, przenigdy żadnemu inżynierowi dusz nie uda się wmówić tym ludziom, że czerwoni są im braćmi.

— Optymista z pana. Chciałbym mieć pańską wiarę w mądrość naszych rodaków. Zresztą nie odnosi się to tylko do nas. To dotyczy każdej nacji, każdej społeczności. Kropla drąży skałę. Każda brednia sączona do głów odpowiednio długo wywiera w końcu wpływ na umysły. Zwłaszcza te mniej skomplikowane. To nawet nie musi być działanie specjalnie finezyjne, byle było realizowane konsekwentnie...

— O, tu mi kaktus wyrośnie, jeśli zwykli ludzie, nie czerpiący korzyści z komunizmu kiedykolwiek zapalają sympatią do tej hołoty! Przecież to niedorzeczność! Jak pan może sugerować coś takiego?!

— Nie docenia pan roli propagandy, ot co! Zresztą proszę się przypatrzeć tej pozał się Boże „konstruktywnej opozycji”. Czy widzi pan wśród nich jakiegos prawdziwego antykomunistę? Proszę wskazać chociaż jednego, który by otwarcie nawoływał do obalenia systemu. Każdy z nich mówi tylko o reformowaniu, proszę zwrócić na to uwagę. Żaden nie ośmiela się powiedzieć wprost, że tego gada nie da się zreformować, że trzeba go dobić!

— No wie pan, tego tak wprost powiedzieć się nie da... — Zbyszek jakoś nie wczuwał się w rolę radykała.

— Nie da się, powiada pan? To znaczy tylko, że nawet wam wmówili nieodwracalność tego fatum. Wszystko jest kwestią siły przekazu... W sytuacji, kiedy telewizja, prasa, szkoła pełne są kłamstwa, w końcu, w szerszej świadomości zaczyna się ono stawać prawdą. A niech pan zauważy, że oni są w tym dobrzy. Nie potrafią zbudować przyzwoitego traktora, domu, ba nawet butów! Wszystko, czego się tkną, zamienia się w cuchnące gówno, ale w dziedzinie manipulacji umysłami mas są niekwestionowanymi mistrzami świata.

Od tego zresztą zależy ich byt. Więc nie można ich na tym polu nie doceniać, bo to się w końcu zemści. Zawsze uczyłem młodego, żeby pod żadnym pozorem nie wierzył w to, co mówią mu w szkole, że wszystko, co czyta, słyszy, czy ogląda, jest skażone kłamstwem. I jeśli na chwilę wyłączy samodzielne myślenie, znajdzie się w fałszywej rzeczywistości. Więc to, co robicie jest niezwykle cenne, bo otwieracie oczy ludziom skazanym do tej pory na Dziennik Telewizyjny i Trybunę Ludu. Ale przecież nie o tym rozmawialiśmy. Książki Sołżenicyna nie zastąpią niestety konkretnej wiedzy o sytuacji strategicznej. A bez niej będziecie skazani na domysły. Dlatego powtarzam, powinniście bezwzględnie przejść do ofensywy. Zaczynjcie infiltrację. Musicie się uzbroić w informacje, bo dzięki nim będziecie mieli panoramiczny widok na pole bitwy. Bez tego cała wasza działalność jest skazana na porażkę...

— Pan proponuje plucie pod wiatr, panie Romanie.

— Ech, więcej wiary, więcej wiary... Wie pan, gdybyśmy rozmawiali o wyprawie na Księżyc przy pomocy kombajnu Bizon, to bym przyznał panu rację. To zadanie niewykonalne. Ale tak się składa, że przyszło nam żyć w kraju, w którym jedna jedyna dziedzina została opanowana do perfekcji...

— Niech zgodnę: picie bez zakąszania?

— Nie, panie Zbyszku. Konspiracja, wojna partyzancka, sabotaż, wieczne stawanie okoniem. Tak, jak Holendrzy toczący niekończącą się wojnę z nacierającym morzem z konieczności stali się mistrzami w wydzieraniu wodzie najmniejszego nawet skrawka ziemi, jak Beduini opanowali sztukę przetrwania na pustyni, tak my wykształciliśmy umiejętność życia pod okupacją. To naturalny proces ewolucji wymuszony przez położenie, przez ten geopolityczny punkt, w którym przyszło nam funkcjonować. Przez ostatnie prawie dwieście lat (z małą przerwą) nauczyliśmy się, że struktury państwowe są wrogiem, że trzeba zwalczać wszystko, co jest narzucane odgórnie. Każdy nakaz, przepis, pouczenie traktujemy jak zło konieczne, które trzeba ominąć. Nie wiem, czy ten naród kiedykolwiek będzie umiał żyć w warunkach prawdziwej wolności, ale wiem, że pod okupacją wciąż będzie gryzł i kopał. Ja proponuję wykorzystanie tego nieoszlifowanego diamentu, jakim jest rozwijana od pokoleń krnąbrność. Jeśli uwierzycie we własny potencjał, jeśli przestaniecie wreszcie traktować tamtych jak nadludzi, będziecie zdolni do skutecznego działania. I nie mówię tu o walce z bronią w rękę, tylko o penetracji ich struktur na zasadzie perfekcyjnie zorganizowanego wywiadu.

— Proponuje pan otwartą walkę z KGB, bo przecież nasi rodzimi szpicle, to tylko ich forpoczta. Czy ja się nie przesłyszałem?

— Zdziwiłby się pan, jakie ta osławiona organizacja popełnia błędy, jakie są jej słabości. Zresztą proszę popatrzeć na niezwykłą Armię Czerwoną. Pogromcy Guderiana i von Paulusa dostają w dupę od niepiśmiennych górali w Afganistanie. Tak samo jest z walką wywiadów. Czasem pozornie słabszy,

działając na własnym terenie, mając zaplecze logistyczne może wyrządzić olbrzymie straty silniejszemu rywalowi. Poza tym, wie pan, oni też nie są takim monolitem, jakby się mogło wydawać. Wśród nich są potężne rozłamy. I wie pan co? Trzeba te rozłamy wykorzystać. Znajdźcie kogoś, kto spadł w hierarchii z samej góry na dno, kogoś, kto popadł w niełaskę i wykorzystajcie jego frustrację i chęć zemsty. Przeciągnijcie go na swoją stronę, a będziecie mieli wielki atut. Wtedy będziecie wreszcie mogli zajrzeć im w karty.

— To mrzonki, panie rotmistrzu, zejźdźmy na ziemię. Trzeba realnie oceniać własne szanse.

— A jakie szanse dałby pan nam dzisiaj na Mariensztacie, mister? — Wtrącił się Texas do tej pory spokojnie przysłuchujący się rozmowie.

— To co innego, kolego. Przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Do tej pory taki cyrk widziałem tylko na amerykańskich filmach. Ale co innego wykiwać frajera na kilku skrzyżowaniach, a co innego wydać regularną wojnę tajnej policji. To się zwyczajnie nie może udać...

— Wy wszyscy tam we Wrocławiu jesteście takimi optymistami? — Texas popatrzył na Zbyszka z politowaniem.

— Słuchaj, szczeniaku...

— Panowie, spokój! — Stryj zerwał się na równe nogi, a ponieważ cały czas miał na głowie kamuflującą czapkę, a w dłoni bagnet, jego autorytet zmroził bitewny zapach obu kogutów. — Awantur nam nie potrzeba. Proszę wybaczyć Texasowi, gorąca głowa, pan rozumie, panie Zbyszku... W jego wieku wszystko wydaje się łatwe.

— Jasne, nie chowam urazy. A właściwie dlaczego „Texas”? Że niby południowa krew, co?

— Chłopak naczał się książek o Alamo i zupełnie mu odbiło. Zaczął gadać, że powinniśmy się bronić, jak ci w Texasie w 1836 roku. Że w Texasie, to potrafili walczyć o swoje. I tak został Texasem.

— Historykiem nie jestem — pan Zbyszek odstawił kolejną pustą butelkę — ale pamiętam z takiego jednego filmu, że w Alamo obrońców fortu Meksykanie wycięli w pień. Taka skuteczność działania ci się marzy, kolego?

— No mówię, że nieco narwany, przejdzie mu. — Stryj uprzedził Texasa, który już się szykował do riposty. — Lekkomysłny, ale ma niecodzienny talent.

— Tak, widziałem. Mało nie puściłem pawia. Myślałem, że takie przeciążenia, to tylko w samolocie... To pan go tego nauczył?

— Częściowo, ale głównie to samorodny talent. Prowadził już w wieku 10 lat. Ma do tego dryg. Gdyby ktoś w niego zainwestował, Fittipaldi mógłby mu buty czyścić. Wysyłałem go do automobilklubu, ale tylko wzruszył ramionami.

— Nie będąc się zadawał z tymi leśnymi dziadkami! Poza tym wybieram się na uniwersytet, nie będę miał czasu na ściganie.

- Na politechnikę byś poszedł, fach jakiś konkretny zdobyć.
- I co, zostałbym inżynierem bez polotu i fantazji? Niedoczekanie, wołę historię sztuki.
- Humanista, psiakrew! — Twarz stryja wykrzywił komiczny grymas. — Dosyć dyskusji na dziś! Może coś obejrzymy? Texas, co masz na tej kasecie?
- „Rambo”
- „Rambo”? O czym to jest?
- No przecież o tym weteranie z Wietnamu! — Odparł Texas zniecierpliwionym tonem. — Dramat wojenny. Jak można nie znać tego tytułu?!
- Dramat wojenny, mówisz... I co tam jest takiego dramatycznego?
- Weteran z Wietnamu wraca do Stanów i czuje się wyalienowany. Znaczący społeczeństwo go nie akceptuje. Nawet oficjalne władze są przeciwko niemu.
- Oficjalne władze? To akurat rozumiem. Wyrrywają mu może paznokcie? Albo trzymają przez miesiąc w karczerze?
- No... nie.
- A może skazują go w procesie kiblowym na czapę? Albo szantażują, że jak się nie przyzna, to mu zabiją rodzinę?
- Nie...
- No to co mu właściwie robią?
- No... każą się wynosić z takiego jednego miasteczka.
- To faktycznie dramat... A nie spocił się od tego?
- Stryju! — Texas był oburzony — Ale potem wysyłają przeciwko niemu gwardię narodową. A on sam jeden ich wszystkich wyprowadza w pole. Wreszcie go otaczają i musi się poddać. A na koniec jego dawny dowódca próbuje go z powrotem przystosować do normalnego życia. Dramat, jak nic!
- To może tak ja bym napisał im jakiś scenariusz? Tylko, że od mojego dramatu mogliby w tym Hollywood narobić w galoty... Dobra, już, dobra, włączaj, pośmiejemy się trochę, co panie Zbyszku?
- Zbyszek kiwnął głową. Pili wolno piwo...

Niedziela rozpoczęła się dla Texasa nietypowo i to kompletnie rozbiło mu rozkład dnia. Jola Kompresor niemalże siłą zaciągnęła go do siebie tuż po jedenastej, tłumacząc, że rodzice pojechali na działkę i mieszkanie jest do ich wyłącznej dyspozycji. Cóż było robić? Przepuścić taką okazję to grzech, więc Texas uległ dość łatwo, chociaż jeszcze godzinę wcześniej szykował się do czyszczenia gaźnika w swoim Camaro. Jola jak zwykle, prawie bez rozgrzewki przeszła od razu do najbardziej spektakularnych figur akrobatycznych, nie dając naszemu śmiałkowi ani chwili oddechu. Jej ciało składało się i rozkładało,

jak scyzoryk armii szwajcarskiej, wymuszając na Texasie błyskawiczne zmiany... no, powiedzmy kierunku lotu. Z brawurowego wznoszenia z pełną mocą w leżdźwiach, przechodzili do łagodnego lotu ślizgowego, by chwilę potem, całkiem nieoczekiwanie, wpaść w korkociąg i po kilku zwitkach wyprowadzić tuż nad podłogą do lotu koszącego. A wszystko to w warunkach zerowej grawitacji. Texasowi wydawało się chwilami, że tak właśnie musieli czuć się piloci Phantomów wyrzeleni z katapulty lotniskowca do misji wymiatania w delcie Mekongu. Doprawdy, łożko, dywan, biurko, ba, cały pokój Jolki na chwilę przemieniały się w jakiś nierealny gwiazdny myśliwiec, mknący bez opamiętania po nieboskłonie. Kiedy w końcu przeszli do rytualnej, finałowej, pionowej świecy, wznosząc się stromo ku Nieuniknionemu, kiedy minęli już stratosferę i znaleźli się na linii kosmosu, Texas doświadczył tego wyjątkowego, bliskiego nirwany uczucia, kiedy to cała rozkosz wszechświata skupia się w jednym punkcie, by eksplodować wreszcie w wielkim Big Bangu. Wytracivszy impet, obrócili się powoli twarzami do błękitnawej warstwy atmosfery, powiedzieli gwiazdom *good bye* i zaczęli łagodnie opadać z powrotem, by w końcu wylądować w rozgrzanej pościeli, rozświetlonej porannym, czerwcowym słońcem. Gdy łapiąc oddech wracali do rzeczywistości, Texas kątem oka dostrzegł w spojrzeniu Joli nieodpartą chęć podzielenia się już to wrażeniem, już to spostrzeżeniem, jakie musiało się właśnie załęgnąć gdzieś na bezkresnych pustkowiach jej umysłu. Chłopak czuł instynktownie, że jeśli natychmiast nie zareaguje, lada moment cała magiczna atmosfera rozpadnie się na kawałki, niczym myśliwiec Swallow zbliżający się do bariery dźwięku. Jola już, już szykowała się do wyeksportowania w świat swoich karłowatych przemysłów. Nie było chwili do stracenia! Texas w ostatniej chwili przyłożył palec do ust nakazując bezwzględne milczenie. Z sobie tylko znanych powodów dziewczątka nigdy nie sprzeciwiała się w takich sytuacjach. Cisza, a co za tym idzie magia chwili, zostały uratowane.

Było zaawansowane popołudnie, kiedy opuszczał rozkoszny aerodrom na drugim piętze. Na dole napatoczył się Paweł, znany również jako Bergman (ze względu na swoje zamiłowanie do X muzy). Byli kumplami od bardzo zamierzczłych czasów. Ich losy splotły się dzięki czarnemu rynkowi, a wiadomo nie od dziś, że nic tak nie cementuje przyjaźni w wieku lat dziewięciu, jak wspólne interesy. Mniej więcej wtedy, gdy prezydent Carter dokonał swego najbardziej heroicznego czynu i zbojkotował moskiewską olimpiadę, ich umysły opanowała pasja prawdziwych czarnorynkowych paserów. Jedyną dostępną im wymienną na każdy towar walutą były resorowce. Mając dwa lub trzy cenne okazy można było drobnymi barterowymi transakcjami zbić kapitał. Co prawda wymagało to posiadania odpowiednich kontaktów, ale podwórko na Wroniej było dla łębskiego biznesmena odpowiednim miejscem na poznawanie nowych kontrahentów. Trzeba było tylko dotrzeć do właściwych ludzi i znać aktualne kursy walut. I tak na przykład najwyższe notowania miał rzecz jasna

„Matchbox” ze swoimi Mustangami, Chevelle, Challengerami i Bóg wie jakimi jeszcze innymi sennymi marzeniami. Potem plasował się francuski „Majorette”, który ze względu na charakterystyczny lokalny patriotyzm zarzucał rynek różnymi Peugeotami 604, Simcami i Renault 5 we wszystkich możliwych odmianach, więc sami rozumiecie, że wiele warte to być nie mogło. Co prawda były pewne smaczki, jak na przykład Ford Capri 2300 Ghia z czarnym dachem, ale to tylko takie wyjątki potwierdzające regułę. Francuzi byli notowani znacznie niżej od Anglosasów. Dla przykładu wyobraźcie sobie, że za jednego „matchboxowskiego” Forda Galaxie z otwieraną maską silnika trzeba było dać co najmniej dwie Simki i do tego dorzucić jeszcze jakiegoś odrapanego 2CV. Ale tu uwaga! Bywało, że (oczywiście na krótką chwilę) tendencja się odwracała i taki Citroen 2 CV szedł ostro w górę, raz nawet osiągając nieprawdopodobną wartość trzech Chevroletów Bel Air. Wszystko zależało od czynników zewnętrznych. Najwięcej fermentu na podwórkowej giełdzie wprowadzały sobotnie lub czwartkowe telewizyjne premiery filmowe. Po emisji, dajmy na to „Kojaka” posiadacz Buicka Regala z „Corgi” stawał się z dnia na dzień bogaczem. Jeśli nie bał się inwestycji i w szczytowym punkcie hossy wymienił swój skarb na kilka Cadillaców, czy T-birdów, mógł nieźle na tym wyjść. Ale inwestować też trzeba było z głową. Bergman transakcję życia zrobił wymieniając w ciemno zielonego Forda Cortinę z otwieranymi drzwiami i lekko przechodzoną Corvette na nowiutkiego czarnego Trans Ama rocznik 77. Texas pukał się w tedy w czoło sugerując Bergmanowi niedwuznacznie kuku na muniu. No bo w rzeczy samej, kto robi takie szaleństwa?! Każdy wiedział, że Corvette, nawet ze zdartym lakierem to świetna lokata kapitału i tylko frajer pozbywa się takiego towaru za jakieś badziewie. I co powiecie? Dwa dni później puścili w telewizji „Smokie and the bandit” (przez jakiegoś kretyna przetłumaczony jako „Mistrz kierownicy ucieka”) z Reynoldsem i nagle okazało się, że w promieniu dwóch kilometrów Pontiac Bergmana był jedynym dostępnym egzemplarzem! Tak zdobywano i tracono fortuny. Tak powstawały przyjaźnie, sojusze i konflikty. Za kradzież resorowca można było dostać w zęby. To było przestępstwo podlegające najwyższemu wymiarowi kary, jak na Dzikim Zachodzie kradzież konia. Wiele porządných bijatyk wybuchało z takich właśnie powodów. Na dobrą bójkę o resorowca zawsze warto było popatrzeć, a jej przebieg i wynik końcowy był dyskutowany z nie mniejszymi emocjami, co sobotni kryminal. Za dobrego resorowca można było dostać najnowszy prospekt General Motors, pięćdziesiąt kapsli z flagami państwowymi wyciętymi z prawdziwego atlasu, lub popatrzeć na czyjaś starszą siostrę kąpiącą się nago w wannie. Handel wymienny rządził światem. Texas i Bergman zawarli sojusz handlowy na długo zanim otrzymali swoje ksywy. Znajomość przetrwała próbę czasu.

— Hello, Tex! — Rzucił Bergman naśladując akcent południowca.

— You’re talking to me? He’s fucking talking to me! — Odpowiedział Texas slangiem taksówkarzy z Bronxu.

— Przyczesz pióra, gringo! Idziemy do Iluzjonu. — Ton i postawa Bergmana nie dopuszczały sprzeciwu.

— A co dziś serwują? Tylko mi nie mów, że znowu włoska nowa fala. „Złodzieje rowerów” do dziś mi się czkawką odbijają. Nie dam się znowu namówić.

— I dobrze, to nie jest kinematografia dla prostych umysłów. Do tego potrzeba wyczucia i obycia. Ale nie martw się, dzisiaj jest coś w sam raz dla takich nieskomplikowanych młodzieńców jak ty. Co powiesz na „Pata Gareta i Billego Kida”?

— Niech będzie...

— W takim razie, wymarsz! Mamy pół godziny.

Razem z nimi na sali było ośmioro widzów, w tym jedna para zupełnie nie zainteresowana rozwojem akcji na ekranie. Nawet, kiedy James Coburn posyłał Krisa Kristoffersona do wieczności, tych dwoje było zajętych wyłącznie sobą. Na tym polegał urok tego miejsca. Kino „Śląsk”, pełniące obowiązki Iluzjonu Filmoteki Narodowej było przybytkiem wyjątkowym. Przychodziły tu najrozmaitsze indywidua. Od drobnych pijaczków z ambicjami intelektualnymi do pijanych intelektualistów. Zresztą, zdarzali się i trzeźwi, a jakże! Texas pojawiał się tu regularnie raz, dwa razy w tygodniu, głównie za sprawą Bergmana, który miał wyjątkowy talent do zarażania innych swoją pasją. Zresztą już od najmłodszych lat umiał narzucać najbliższemu otoczeniu swoje poglądy i konsekwentnie egzekwować ich wyznawanie. Tego wieczora towarzyszył im jeszcze Tomek „Bolo” Kostrzewski, trzeci kumpel z podwórka przy Wroniej. Bolo, nieco zagubiony w otaczającym go świetle, popadał w konflikt z każdym, kto próbował wtłaczać go w ogólnie przyjęte normy zachowań. Urodzony buntownik, zawodowy outsider, zagorzały czciiciel własnej wolności i niezależności. Jako, że ani Texas, ani Bergman nigdy nie próbowali wytykać mu kroczenia ślepym zaułkiem ku swemu przeznaczeniu, Bolo chętnie dawał się im zaciągać do „Śląska”, słuchając po drodze wykładów Bergmana na temat najnowszego repertuaru. I tak wspólnie odkrywali magiczny świat, zanurzając się w krainy wykreowane przez wizjonerów, którym łaskawy los pozwolił zrealizować swoje wizje. To były uświęcone chwile, kiedy mogli zapomnieć o otaczającym ich codziennym chaosie i ruszyć w nieznanne. Razem z Martinem Sheenem płynęli w górę Mekongu w poszukiwaniu obłąkanego pułkownika zielonych beretów, innym razem odwiedzali opustoszały hotel w górach, gdzie Jack Nicolson malowniczo przegrywał zmagania z własnym szaleństwem. Spoglądali w przepelnione przerażeniem oczy mieszkańców miasteczka Lago, które bezimienny mściciel przemaalował na czerwono, żeby przypomnieć o swojej krzywdzie i wyrównać rachunki. Na pokładzie łodownika ciężkiego transportowca „Nostromo” wchodzili w gęstą atmosferę pewnej klaustrofobicznej planety, aby zbadać źródło tajemniczego sygnału. Chłonęli mroczną atmosferę czarnych kryminałów z Bogartem i Cagneyem,

razem z Bonnie i Clydem podróżowali po Środkowym Zachodzie ery Wielkiego Kryzysu. Słuchali słodkiego głosu Sugar Kowalczyk, pięknej wokalistki żeńskiej Orkiestry Dixielandowej, jadącej pociągiem z mroźnego Chicago prosto na upalną Florydę. Czasem oglądali jakiś film kilka razy, wciąż odkrywając go na nowo. Ich zróżnicowane gusta często były zarzewiem konfliktów. Bergman pozujący na światowego intelektualistę preferował angielskich młodych gniewnych z początku lat sześćdziesiątych, no i oczywiście Włochów, czym prowokował złośliwe komentarze Bola, gustującego w rozrywce nie nachalnie wysokich lotów. Ot, zadowalał się w zupełności „W samo południe”, czy „Rio Bravo”. To były historie skrojone na jego miarę, bez przesadnego zadęcia, proste, klarowne fabuły zrealizowane z istic amerykańskim rozmachem. Texas podzielał po części fascynację obu swoich kumpli, ale oprócz tego wyławiał z repertuaru produkcje wytwórni „Mosfilm”, „Lenfilm” i tym podobnych, z czym Bergman nie mógł się nigdy pogodzić. Kiedyś Texas uparł się i poszli na „Lecą żurawie”. Bergman z początku wzdychał głośno, a w każdym westchnieniu było tyle dezaprobaty i niesmaku, jakby ktoś jemu, Bergmanowi, wyrządził osobisty afront. Stopniowo westchnieniom towarzyszyć zaczęły komentarze, na początku zdawkowe, z czasem jednak coraz bardziej rozbudowane i złośliwe. W końcu nie wytrzymał i wyszedł z kina. Spotkali się po seansie.

— Ty masz coś z głową, Texas. — Rozpoczął Bergman. — Nie dość ci jeszcze rusyfikacji?! Mało masz tego w telewizorze? Musisz nas i siebie katować tym w kinie? Co ty, kurwa, w tym widzisz?!

— Tego, czego ty nie widzisz, geniuszu. — Mruknął Texas. — Uprzedzony jesteś i tyle. Jak słyszysz ten język i widzisz bukwy na ekranie, to ci się lampka zapala i masz blokadę. Jaka rusyfikacja, co ty pieprzysz?! Mamy do czynienia z sowietyzacją, a nie rusyfikacją. Rosja nie istnieje od ładnych paru dekad, zapomniałeś? Ten film nie ma nic wspólnego z rusyfikacją. Przecież to jest historia o zwykłych ludziach, którzy dostają od systemu tak samo w dupę, jak my wszyscy! Chcieliby żyć normalnie, kochać się, bawić, pracować, cieszyć, ale nic z tego. System i historia ich przygniotły i muszą im ulec albo iść do piachu. Ja ich nie nienawidzę, ja im współczuję. Mają tak samo przejebane, jak reszta demoludów, a nawet bardziej, bo to właśnie Rosjanie jako pierwsi padli ofiarą sowietyzacji i u nich ta degeneracja trwa najdłużej! Oni nie mają wyboru, muszą brnąć przez to szambo. Co innego twoje włoskie pięknoduchy. Komunizmu na oczy nie widzieli, nigdy nikt ich porządnie nie spałował, gułag to dla nich abstrakcja, ale naczytali się różnych czerwonych pisemek i dawaj, w pole z żagwią rewolucji! Eksperyment taki bym im zafundował: pięć lat sanatorium na Kołymie, a potem niech się spełniają twórczo. Proszę bardzo, jeśli po takiej kuracji nadal będą opluwali dobrobyt, jaki mieli dookoła siebie, jeśli ciągle będą tęsknili do czerwonego raję, to wtedy czapki z głów. Będą w moich oczach prawdziwymi ideowcami. Na razie są niedoinformowanymi głupcami.

— Nie rób z nich na siłę komunistów! Tu chodzi o kino, o nowatorskie spojrzenie...

— Powiedziałbym ci o co tutaj chodzi, ale mi się dzisiaj nie chce...

Ale był też film, który wszyscy trzej oglądali zgodnie w niemym zachwycie. „Blade Runner”. Ta opowieść uwiodła bez reszty ich wyobraźnię. Bergman zdobył dość wyeksploatowaną już kasetę z przekładem autorstwa pijanego kretyna i sepleniącym lektorem. Ale to nie miało większego znaczenia. Raz na parę miesięcy siadali przed telewizorem i rozpoczynali misterium. Za każdym kolejnym razem ulice tonącego w deszczu Los Angeles wyglądały trochę inaczej. Wciąż pojawiały się szczegóły, które wcześniej umknęły uwadze. Obraz ponurej metropolii pulsował w ich głowach, prowokował, kusił i skrywał tajemnicę. Powiedzieć, że ten film ich fascynował, to tak, jakby nazwać tygrysa takim dużym kotkiem. Gapili się w telewizor, jak zahipnotyzowani, a Vangelis dorzucał drew do ognia. Jego muzyka wypełniała ich do ostatniej sceny i jeszcze długo po zgaśnięciu ekranu. Gdybyście któregoś z nich spytali, co ich tak naprawdę fascynuje w tym filmie, mieliby problem z jednoznaczną odpowiedzią.

Wizja nieistniejącego świata, w którego realizm wierzyło się bez mrugnięcia okiem? Chandlerowski klimat opowieści o samotnym łowcy? Poszukiwanie człowieczeństwa w produkcie rewolucji przemysłowej? Czy może muzyka, to wyjątkowe zjawisko przez ignorantów zwane ścieżką dźwiękową? Pewnie wszystko to razem i każdy element z osobna. Po prostu całość zawierała odpowiednie składniki zmieszane przez filmowego alchemika w odpowiednich proporcjach, a produktem ubocznym była magia unosząca się gdzieś za plecami Deckarda, snującego się po zakazanych dzielnicach tego upiornego miasta. No dobra, nie wszyscy zachwycili się jednakowo i w tym samym czasie. Za pierwszym razem Bolo po seansie wyraźnie miał jakiś problem. W końcu wyrzucił to z siebie:

— Znaczy co, w nieliniowcu się zakochał? To się nazywa jakoś, to zboczenie?

— Ja mam go walnąć, czy ty to zrobisz? — Texas zwrócił się do Bergmana.

— Zostaw go, młody jest, ma jeszcze czas. A ty, Bolo nie przedawkuj aby Lema, bo potem sam widzisz, we łbie ci się myszy lęgną. Nie nieliniowcy, tylko replikanci...

— A jeden diabeł! Nieliniowiec, replikant, cyborg znaczy! Maszyna! To Ford się w maszynie zakochał? Ja pierdołę!

— W maszynie, w maszynie... Właśnie o to chodzi, gdzie przebiega granica między człowiekiem, a maszyną. Czy odpowiednio doskonała maszyna nie staje się w pewnym momencie bardziej ludzka, niż człowiek.

— Jak można nie odróżnić czy to kobitka, czy maszyna? Przecież nie można podrobić wszystkiego...

— Ech, mózgowiec nam się trafił... — Bergman był wzorem cierpliwości.
— O tym właśnie jest ten film. Iluzja, ułuda, kamuflaż. Nie wiesz, gdzie przebiega granica między światem rzeczywistym, a sztucznym, bo technologia taki podział zatarła. Wszystko zostało postawione na głowie. Ludzie stali się pustymi, wypalonymi skorupami, a maszyny zyskały te wszystkie cechy, które decydują o człowieczeństwie. Patrzysz na coś i nie wiesz już, czy to oryginał, czy atrapa. Fałszywa rzeczywistość rozlała się wszędzie, dookoła i nikt już nie potrafi rozróżnić, co jest naprawdę, a co na niby... Nadążasz?

— Nie całkiem, ale się staram...

— No i oby Bóg biotechnologów wpuścił cię za to do rajku...

To był jeden z tych filmów, którego z nieznanych przyczyn nie dane im było obejrzeć na dużym ekranie. Ale za to dysponując kopią na kasecie mogli do niego wracać, kiedy czuli, że przyszedł odpowiedni moment. Na ogół jednak woleli specyficzną atmosferę Iluzjonu, pustawą salę i rwące się, wiekowe taśmy filmowe.

Tego wieczora wracali z seansu w milczeniu, idąc nieśpiesznie Alejami Jerozolimskimi. Gdzieś ponad ich głowami wciąż rozbrzmiewał pukający do nieba bram Dylan. Na Wronią dotarli przed dziewiątą. Pierwszy ciotkę Texasa wypatrzył Bolo. Stała w bramie kamienicy i gapiła się przed siebie pustym, niewidzącym wzrokiem. Kiedy podeszli, jakby ocknęła się z letargu, złapała Texasa za ramię i wyszeptwała zbieleńcami wargami:

— Zabrali go, zabrali, go... Krzysiu, rób coś, ratuj go!

— Ciociu, co jest?! Kogo zabrali?! — Wrzasnął Texas, chociaż zaczął się domyślać i przerażenie ścisnęło mu gardło.

— Zabrali stryja, przyszli i go zabrali!

— Kto?! — Zapytał bez sensu Texas, bo przecież odpowiedź była oczywista.

— Ci, przed którymi tyle razy was ostrzegałam...

— Kiedy?

— Przed chwilą, musieliście się minąć! Rób coś, trzeba go ratować..

Ale Texas już nie słuchał. Wypadł na ulicę i rozglądał się nerwowo po okolicy. Na środku skrzyżowania Wroniej z Ogrodową stał szary Polonez. Tylne drzwi były uchylone, a jakaś postać w środku szamotała się, jakby chciała wyrwać się na zewnątrz. W tym samym momencie facet siedzący z przodu wyskoczył z samochodu i rzucił się do tyłu. Przytrzymał drzwi, cofnął się o krok, kopnął człowieka siedzącego na tylnej kanapie, po czym wskoczył do środka. Polonez ruszył wyrzucając spod kół piach i popędził w stronę ulicy Towarowej.

— Pilnuj ich!! — wrzasnął Texas do Bergmana, a sam rzucił się w kierunku podwórka.

Wpadł do mieszkania, ze skrytki w podłodze wyciągnął zawinięty w szmaty pistolet, starego Browninga HP. Dziesięć sekund później siedział za kierownicą malucha i gnał w poprzek trawników szukając wzrokiem kumpli. Bergman biegł prosto na niego od strony Towarowej gwałtownie gestykulując. Texas zahamował piszcząc oponami.

— Jadą w stronę Wolskiej! — Wydyszał.

— Wsiadaj! Gdzie Bolo?

— Został z twoją ciotką, chyba coś z nią nie tak...

Skręcili z Towarowej w stronę Woli, minęli Pedet. Texas wydusił siódme poty z silnika i w końcu daleko przed sobą zobaczyli szarego Poloneza.

— Nie podjeżdżaj za blisko! Zobaczą nas! — Wrzasnął Bergman.

— Nie drzyj się! Wiem!

Gnali Połczyńską zachowując dystans kilkuset metrów od tajniaków. Skręcili w Lazurową, a później w Górczewską. Wypadli z Warszawy i przemknęli przez Babice. Tu już nie dało się jechać tak szybko. Lokalny ruch i wąska jezdnia wymuszały pewną dyscyplinę. Texas starał się trzymać o dwa, trzy pojazdy za Polonezem, a jednocześnie nie zgubić go z oczu.

— Gdzie go wiozą, przecież nie na przesłuchanie...? — Bergman złapał się uchwytu nad głową, bo właśnie wyprzedzając jakąś Zastawę prawie otarli się o autobus jadący z przeciwka.

— Niedobrze to wygląda. Dlaczego nie zawieźli go do siebie? Słuchaj — Texas nagle zmienił temat — widziałeś, ilu ich było w środku?

— Żartujesz?! Skąd miałbym...

— Tsech było! Zabłali pana lotmistsa. Ale zdążył jednemu wybić zęba...

Texas odruchowo spojrział do tyłu. Głos dochodził spod koca przykrywającego tylną kanapę. Bergman ściągnął go z pasażera na gapę.

— Maciek, szczeniaku, co tu robisz?!

— No!malnie, bawiliśmy się w bombalowanie Libii, ja byłem pielwysym pilotem! A potem psysły mendy po pana lotmistsa. Tłochę się bałem, to się uklyłem. Nie będzies ksycal, Texas?

— Jezu! Jeszcze tego brakowało!

Przejeżdżając przez podwarszawskie wioski musieli zwalniać. Tajniacy wlekli się za jakąś ciężarówką, widocznie uważali, że mają dużo czasu. Texas rozważał różne warianty działania, w tym rozpacziwą próbę zepchnięcia Poloneza z drogi. Wstrzymał się jednak i jechał przed siebie, czekając na rozwój wypadków. Włączył światła i wbił wzrok w przednią szybę.

Bergman starając się oszukać roztrzęsione nerwy włączył radio. Z głośników dobiegł głos, który na ułamek sekundy wyrwał ich ze spirali strachu.

— *Witam wszystkich nocnych marków. Godzina dziesiąta to dla wampirów błądy świt... Większość dopiero budzi się z letargu i leniwie przeciąga w swoich kryptach...*

— Wyłączyć? — Bergman sięgnął do pokrętła.

— Zostaw, niech mówi, to mnie uspokaja...

— *...dziś mam dla was prawdziwych romantyków muzyki rockowej, Ultravox, album...*

— Texas, zgubisz ich!

— Odwal się! Widzisz, że nie mogę podjechać za blisko.

Słuchali dobrze znanego głosu z radia, teraz jego liczne filmowe opowieści nabierały dla nich nowych znaczeń. W oddali błyszczały błądo światła jadących przed nimi samochodów. Dotarli do Leszna i skręcili w prawo, w kierunku Nowego Dworu. Tu ruch był mniejszy, pomiędzy nimi a Polonezem nie było nikogo. Texas wyobraził sobie, jak kierowca jadący przed nim wpatruje się w lusterko i jeszcze zwiększył dystans. Była już ciemna noc i przed sobą widzieli tylko słabe światła pozycyjne śledzonego pojazdu. W końcu, bojąc się, że ich zgubią Texas wcisnęła do oporu pedał gazu. Strzałka prędkościomierza drgając i wibrując wpełzła na pole oznaczone 110. Minęli Cybulice i zobaczyli, jak światła przed nimi skręcają w lewo. Texas zgasił reflektory, przyhamował i skręcił w ślad za Polonezem, wciąż utrzymując dystans. Gdyby go teraz zobaczyli, zorientowaliby się, że to nie przypadek. W tych okolicach ruch był bardzo mały. Wjechali w leśny dukt i przez kilkaset metrów kolebali się na nierównościach. W końcu Polonez błysnęła światłami stopu.

— Siadaj za kierownicą i wykręć, tak, żeby można było szybko się stąd wynieść, tylko hamuj ręcznym, bo nas namierzą po światłach. — Texas zrobił Bergmanowi miejsce za kierownicą.

— Co zrobisz?

— Nie wiem, ale nie idź za mną. Jakby zrobiło się gorąco, pryskaj. I pilnuj szczeniaka, teraz odpowiadasz za niego.

— Sam jesteś sceniak! — Usłyszał z tyłu, ale nie odwrócił się już.

Ruszył przed siebie w kierunku czerwonych świateł. Słyszał przytłumione głosy, ale nie rozróżniał słów. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od Poloneza. Przywarł do ziemi i czekał. Dopiero teraz miał chwilę, żeby spróbować ocenić sytuację. Co właściwie zamierzał zrobić? Jakie miał szanse? Strach jeszcze nie zdążył dojść do głosu, ale Texas czuł, że dłuższa bezczynność z pewnością nie pomoże jego nerwom. Najchętniej rzuciłby się na osłep przed siebie strzelając do każdego, kto mu stanie na drodze. Resztki rozsądku kazały mu jednak pozostać tam, gdzie był. W końcu usłyszał podniesione głosy. Coś się działo. Podczołgał się bliżej. W blasku świateł samochodu zobaczył ciemną sylwetkę pochyloną nad leżącą postacią. Twarz człowieka na ziemi była twarzą kogoś obcego, kogo Texas nigdy wcześniej nie widział. Mimo tego, że znał dobrze te

rysy i sylwetkę, teraz patrzył na zupełnie nieznanego mu człowieka. Oczy, z których zawsze emanowała władcza pewność siebie, teraz w bladej poświacie były oczami wilka złapanego w potrzask. Strach i bezsilna wściekłość zastąpiły spokój, który Texas tak dobrze pamiętał. Sylwetkę, zawsze pełną energii, sprężystą, jakby lekko spiętą do skoku, teraz wyginał ból przesywający całe ciało. Ręce zawsze silne i zadające czasem krótkie, nieludsko szybkie ciosy, przed którymi Texas nieraz musiał się w żartach bronić, teraz obejmowały głowę, chroniąc ją przed kopniakami wysokich, wojskowych butów. Tyle pozostaje z ludzkiej godności, pewności siebie, poczucia bezpieczeństwa. Texas po raz pierwszy w życiu poczuł nadciągającą samotność. Uczucie, które miało mu towarzyszyć już zawsze. Oto człowiek, który stanowił jedyną pewną osłonę przed otaczającą go rzeczywistością przegrywał walkę z własnym przeznaczeniem. Chłopak poczuł mieszaninę zdziwienia i rozczarowania. Jak to możliwe, że jego stryj, wielki rotmistrz z trzeciego pułku ułanów, chodząca legenda, człowiek o żelaznej woli, leżał na ziemi bezbronny, i wszystko, co mógł zrobić, to kulić się przed razami tych bandytów? Chciał ruszyć mu z odsieczą, zrobić cokolwiek, żeby tylko zakończyć ten makabryczny spektakl, ale strach sparaliżował mu ciało. Bał się tej nieznannej siły, która właśnie niszczyła niezniszczalnego w jego oczach człowieka. Strach jednak szybko ustąpił miejsca zwierzęcej wściekłości, która eksplodując pod czaszką pchnęła go do przodu. Wyciągnął broń. Dotyk zimnej kolby przywrócił mu zdolność myślenia. Rozejrzał się, lustrując okolicę. Ilu ich było? Ten, który znęcał się nad stryjem, krępy, szeroki w barach, z nosem jak u boksera i drugi tuż za nim, którego chłopak dobrze nie widział. Ktoś jeszcze? Texas nie zarejestrował wzrokiem nikogo więcej. Był to jego pierwszy błąd. Odbezpieczył i przeładował Browninga. Szedł powoli w stronę samochodu. Tamci nie widzieli go, był poza zasięgiem światła.

— Co za cwany skućiel! Nas fciałeś fiegować, fmaciarzu, nas?! — Wyseplenil kopiący. Najwyraźniej to on nadział się przy szamotaninie na pięść stryja i stracił przedni ząb. — Myślałeś, że Cięty będzie ci w niefończoność płacił informafjami pfosto z Fakowieckiej, a my będziemy na to spokojnie patfec?! Stafy dufniu, Cięty pfacuje dla nas! Wydaje mu się, że jest niezalefny, ale mamy u niego wtykę, o której nie ma pojęcia. To ta jego zdzira, trudno o lepfy kabel. Napfawdę myślałeś, że mofesz z nim handlować naszymi papierami?

— Kończ to, Marian, bo zimno się robi. — Powiedział spokojnie ten drugi. Facet stojący nad stryjem odchylił kurtkę i sięgnął pod pachę.

Texas stanął kilka kroków od nich i wycelował broń. W jego głowie jakiś uśpiony do tej pory mechanizm przywołał obraz z nie tak znów dalekiej przeszłości.

Zamek Browninga szczęknął metalicznie i znieruchomiał w tylnym położeniu odsłaniając dymiącą lufę

— Nie szarp spustu! Nie spiesz się! To nie dupczenie Czarnej Mańki! To strzelanie do celu! — Gderał stary.

— Przecież i tak trafiam... — Texas wcisnął przycisk w rękojeści pistoletu i zwolnił pusty magazynek.

— Trafiasz! — Parsknął stryj. — Za trzecim razem, jak się wstrzelasz. To nie jest broń maszynowa! Masz trafić pierwszym pociskiem, bo kiedyś możesz nie mieć drugiej szansy.

Stali na małej polanie w głębi lasu. Stary oficer znał tu wszystkie ścieżki, zawsze umiał wynaleźć miejsce oddalone od uczęszczanych szlaków na tyle, żeby nikt im nie przeszkadzał. Ten las był niegdyś jego domem, przez trzy długie lata i zimy.

— Dobrze, już wystarczy. Teraz rozłóż Hiszpana i wyczyść. — Texas nie mógł zrozumieć, dlaczego stryj wciąż nazywa Browninga Hiszpanem, przecież broń była wyprodukowana w Belgii, o czym świadczył napis wytłoczony na zamku. Stary usiadł na pniu ściętego dębu. — Gdzie, gdzie?! Najpierw wypychasz dźwignię zaczepu tu z boku! Wszystko zdążyłeś zapomnieć! Dobrze... Teraz zdejmujesz zamek i sprężynę... ostrożnie, nie kładź części na gołej ziemi, bo się zapiaszczą! To jest twoja broń! Masz o nią dbać jak o kobietę! Dobra, teraz złóż go z powrotem i powiedz, co zapamiętałeś z lekcji wykrywania inwigilacji. Jak rozpoznasz, że jesteś śledzony? Słucham!

— Może za chwilę. Teraz chcę porozmawiać o czymś innym... Opowiesz mi wreszcie jak on zginął? — Wycedził Texas przez zaciśnięte zęby.

Stary milczał przez chwilę. Unikał tego tematu, kluczył i mylił tropy, ale chłopak był uparty.

— Przestań wreszcie mnie o to wypytywać. Sto razy ci mówiłem: lepiej, żebyś tego nie wiedział.

— Muszę znać prawdę... Był oficerem, tak? Gdzie go wysłali?

— Daj spokój...

— Był doradcą w Hue, tak?

Stary znieruchomiał.

— Skąd ci to przyszło do głowy?!

— Podśledzałem jak rozmawiałeś kiedyś z ciotką...

Stryj westchnął ciężko i spojrzał ponuro na młodego. Napalony młokos, sam się pakuje w kłopoty.

— Słuchaj, samo mówienie o tym może się dla ciebie źle skończyć. — Zaczął dobitnie, ale Texas wiedział już, że to usłyszy. — Tak, to prawda, wysłali go z grupą doradców w '71. Wtedy już właściwie było po wszystkim, w Paryżu kończyły się rozmowy pokojowe. Przeszedł na stronę Południa, żeby zdążyć

akurat na ostateczną rozgrywkę. Jankesów już wtedy tam w zasadzie nie było, nikt nie mógł powstrzymać Wietkongu. To była zwykła rzeź. Zginął w dżungli, gdzieś na wschód od Hue. Dostaliśmy gryps od jakiegoś majora z 82 dywizji, tak samo szalonego, jak twój ojciec. Został tam do końca i był przy tym, jak umierał... Potem różni rodzimi kolaboranci i inne czerwone pacholki nazywali go zdrajcą. No cóż... ich faktycznie zdradził, dla nas jest facetem, który podjął właściwą decyzję...

— Dlatego muszę się u was ukrywać?

— Jeśli ktoś się o tym dowie...

— Wiem... To właściwie... jaki on był? — Ręce młodego nerwowo przesuwały się po szkielecie Browninga.

— Tak samo niecierpliwy, jak ty. A talent do spluw odziedziczyłeś bez wątplenia po nim... Masz do niego pretensję?

— O co?

— Że zniknął z twojego życia, zanim się na dobre pojawił.

— Trochę...

— Nie powinienes. Mogło być dużo gorzej...

— Na przykład jak?

— Na przykład mógł ci dać na imię Sue...

Huknął strzał. Mężczyzna wykonujący wyrok wygiął się gwałtownie i zawył z bólu. Kula, która go trafiła, przebiła ramię na wylot. Impet uderzenia rzucił go do tyłu. Ten drugi zamarł w bezruchu. Zaskoczenie sparaliżowało go na ułamek sekundy, ale szybko się pozbierał. Runął w bok, żeby uciec z zasięgu światła. Texas wycelował broń w stronę, gdzie tamten powinien się teraz znajdować, ale nie zdążył nacisnąć spustu. Potężne uderzenie w bark prawie odebrało mu zmysły. Ktoś stojący za nim, kogo wcześniej nie zauważył, musiał być wielkoludem. Cios zgął Texasowi kolana i na chwilę sparaliżował prawe ramię. Ból go zdeprymował, ale nie upuścił broni. Widział okrążające go cienie, nie było czasu na celowanie. Już nie starczyło mu wściekłości, żeby dokończyć ofensywę. Musiał pomyśleć o własnej skórze, jeśli chciał żyć. Rzucił się na czworakach do ucieczki, byle dalej od źródła światła. Pełzał na oślep, zaciskając dłoń na kolbie pistoletu. Za sobą słyszał pokrzykiwania esbeków. I coś jeszcze... Metaliczny dźwięk przeładowywanej broni. I głos. Dobrze mu znany, chociaż bardzo już słaby...

— Ktoś kiedyś się o mnie upomni... już do końca będziecie oglądać się za siebie...

A potem pojedynczy strzał. I cisza.

Strach, który do tej pory podążał za Texasem krok w krok nie był zbyt uciążliwy. Strach może być czynnikiem stymulującym do działania, może przez pewien czas wycisnąć z ciała nadludzki wysiłek, zmusić umysł do nadnaturalnej szybkości analizowania zewnętrznych bodźców, może być katalizatorem logicznego myślenia i błyskawicznej oceny sytuacji. Strach dawkowany w odpowiednich proporcjach może być sprzymierzeńcem. Przerazenie jest już tylko destrukcyjną forpocztą szaleństwa. Strach pielęgnowany przez wyobraźnię wzrasta stopniowo, przerazenie to wielka, gwałtowna eksplozja, zabija zdolność kojarzenia faktów nawet w najchłodniejszych umysłach. Texas był przerażony. Jakaś potworna siła ścisnęła mu gardło i wyłączyła większość funkcji mózgu. Biegł teraz na oślep, potykając się o korzenie i spróchniałe pnie drzew. Przerazenie wypełniło całe jego wnętrze, ręce i nogi podporządkowane były tylko jednemu celowi: uciekać jak najdalej od zagrożenia. Z tyłu, gdzieś z oddali zaczęły dobiegać nawołujące się głosy. Ruszała obława. Niemal czuł oddech bestii na plecach. Zrozumiał, że włożył rękę między tryby maszyny, z którą nie może wygrać. Sygnały alarmowe zostały wysłane, impulsy już biegły do ośrodków wykonawczych, stalowe szpony wyciągały się w jego stronę. Jakiś pierwotny instynkt zmusił chłopaka do zmiany kierunku biegu. Skręcił pod kątem prostym w lewo. Jego oczy, były teraz oczami zwierzęcia szukającego drogi ucieczki. Analityczny umysł na nic się tu nie zdał. Do głosu zaczynał dochodzić instynkt. Gnał, czując, że śmierć depcze mu po piętach. Tu już nie chodziło o połamane żebra, czy wybite zęby. Tamci musieli usunąć świadka. Ciemność była jego sojusznikiem, ale doświadczenie myśliwych niwelowało tę przewagę. Na czworakach, drąc paznokciami ziemię wdrapał się na pagórek, który nagle wyrósł mu na drodze. Mimo ciężkiego terenu nie zmniejszył tempa. Przerazenie nie pozwalało mu zwolnić.

Wpadł na polanę. Oczy wychwyciły zmianę w oświetleniu okolicy. Zwolnił. Zatrzymał się. Ochłonął. Stał teraz w srebrzystej poświacie księżycy i wsłuchiwał się w dochodzące dźwięki. Najpierw wyodrębnił łomot własnego serca, potem szum wiatru. Coś jeszcze? Ciszka? Może zrezygnowali?

Znacie dźwięki lasu? Byliście kiedyś w głębokiej głęszy, z dala od cywilizowanego świata? Tak samotni, żeby wreszcie usłyszeć własne myśli? Wtedy właśnie można chłonać las. Całą gamę drgań, trzasków, pomruków, zawoń. Dla nie zainteresowanych to tylko szum, ale dla zwierzyny łownej to sygnały. Dzięki nim ścigany wilk może wytyczyć kierunek dalszej ucieczki. Jeśli myśliwi biorą go w kleszcze, będzie szukał najcichszego zakątka, gdzie usłyszeć można tylko polującą żmiję.

Poprzez szum gałęzi wychwycił jakieś regularne szmery. Nie był w stanie ich zlokalizować, jego nerwowy oddech osłabiał zmysły. Rozejrzył się po okolicy. Teren, który w pierwszej chwili wziął za naturalną polanę z jednej strony

kończył się pionową, jaśniejszą od otoczenia plamą, jakby ktoś leśny pagórek przekroił gigantycznym nożem, żeby zajrzeć do wnętrza. Ruszył w tamtą stronę. Ręka dotknęła zimnego betonu. To nie był pagórek. Sztuczny twór? Tu, w tej głuszy?

Gigantyczny bunkier ukryty w środku lasu, przysypany potężną hałdą ziemi. Z dała od drogi, w środku gęstwiny, zapomniany nawet przez nielicznych mieszkańców okolicznych wiosek. Texas przypominał sobie, że słyszał kiedyś o zewnętrznym pierścieniu umocnień wokół Twierdzy Modlin. Ta budowla musiała być jego częścią. To zresztą teraz nie miało znaczenia. Liczyło się tylko miejsce, gdzie mógłby się ukryć. Głosy obławy nasilały się. Może tamci chcieli, żeby ich słyszał, żeby wiedział, że nadchodzą? Wszedł niepewnie do środka. Znalazł się w absolutnych ciemnościach. Pełził wzdłuż ściany, potykając się o gruz. Dotarł do jakiegoś otworu w ścianie, przeszedł przez niego i przykucnął. Teraz mógł już tylko czekać. To był zły czas, przerażenie powoli ustępowało, ale jego miejsce zajął nieznośny niepokój. Umysł, jak precyzyjny magnetowid zaczął odtwarzać ostanie wydarzenia. Ból i rozpacz mieszała się ze wstydem. Był o krok od tych bandytów, miał wszystkich w zasięgu strzału i nie pomógł mu. Rzucił się do panicznej ucieczki, chociaż mógł zmienić bieg wydarzeń. I te słowa: „ktoś się o mnie upomni...” Czy stryj wiedział, że Texas tam był? Może liczył na odsiecz? Czy te słowa były skierowane właśnie do niego? A on uciekł, jak ostatni tchórz. Poczucie winy i wstydu rozlało się pięknym ogniem po żołądku. Poczul potworne pragnienie. Pić! Chociaż łk wody... Usłyszał głosy dobiegające z zewnątrz i znowu powrócił strach. Był sam, sam jeden przeciwko tym strasznyim zwierzętom. Sam... Jeśli nie liczyć pozostałych dwunastu przyjaciół kaliber dziewięć milimetrów... Cały czas ścisnął w dłoni kolbę pistoletu. Ale wiedział, że teraz nie jest w stanie się bronić. Mógł tylko wierzyć w skuteczność kryjówki. Już nie był wielkim wojownikiem, nieuchwytnym widmowym kierowcą, rozplywającym się w ulicznym ruchu duchem. Teraz był zaszczutym wilkiem, czekającym na wyrok losu. Podświadomość wygrzebała gdzieś z zakurzonej szuflady pamięci słowa:

*„I zginie stary wilk przewodnik,
co życie dobrze zna,
bo z trzema na raz walczy psami
i z ran trzech na raz krwawi...”*

Ta straszna pieśń nabrała dla niego nowego wymiaru. Usłyszał kroki dudniące na betonie. Byli już blisko. Szli po niego.

Rozdział II

Mówią, że najważniejsze jest pierwsze pięć lat. Wtedy to właśnie świeżo przybyły na scenę berbec jest formowany przez otoczenie i te pierwsze lata decydują o wszystkim. Chociaż, nie, to zbyt duże uproszczenie. Ten początek drogi nie decyduje o tym, kim dany osobnik zostanie w przyszłości, czy dostanie szlify oficerskie, czy skończy w rynsztoku, czy będzie pilotował nad-dźwiękowe myśliwce, czy powoził rozpadającym się wozem drabiniastym, czy napisze symfonię, która przyprawi Mozarta w zaświatach o atak zawiści, czy spędzi najlepsze lata wbijając do głów prawo Pitagorasa tępawym bachorem z prowincji. O tym zadecyduje wiele innych zmiennych, a ich wypadkową będzie ostatecznie treść napisu na nagrobku: magister inżynier, albo: tu spoczywa jutrzienka ludzkości, nowego człowieczeństwa, Adam. Ten początkowy okres jest jak forma odlewnicza, w której zastyga charakter nowego obywatela. Od tej formy zależy, czy delikwent w swojej podróży ku nieuniknionemu będzie patrzył na bliźnich z góry i dyktował im warunki, czy zasklepi się w skorupie własnych lęków, kompleksów i fobii, izolując się od świata zewnętrznego, czy obrywając raz po raz lewe sierpowe od życia ugnie się i złamie, czy też odpowie wściekłym, zmasowanym atakiem, który przerazi nawet los, tego perfekcyjnego myśliwego, czy tępy, ośli upór zaprowadzi go

na szczyt swoich zamierzeń, czy marazm i tumiwizm wprowadzą go w dryf wiodący prosto na życiowe wyspisko. Pięć lat. Tyle właśnie czasu potrzeba, żeby okrzepły komponenty składające się ostatecznie na zespół cech nazywanych charakterem. Tak w każdym razie twierdzą niektórzy fachowcy. Ale czasem, los nowoprzybyłego jest zdeterminowany już na starcie. Ba, na długo przed startem. Wtedy cały twórczy proces kształtowania charakteru może być zaplanowany tak, by stworzyć idealny twór: Człowieka Zaprojektowanego. Oczywiście, jeśli projektujący ma świadomość swojej misji.

Widzicie tego mężczyznę? Tak, właśnie tego w czarnym płaszczu. Wysoki blondyn, szczupły, otwarte, szczere spojrzenie. Stoi przy wejściu do warszawskiej hali EXPO XXI, obserwuje przechodniów. Wiek? Trudno określić, co? Otóż to! 43, może 45 lat. Na tyle wygląda? Owszem, ale w rzeczywistości jest trochę starszy, po prostu dobrze się trzyma. Kim jest? Wiem, że nie wiecie, no ale na kogo wygląda? Jakie sprawia wrażenie? Bardzo dobrze! Dystygowany dżentelmen, pewnie cudzoziemiec. Tak, na pewno cudzoziemiec, jest elegancko ubrany, wytwornie można powiedzieć. U nas takich nie produkują. Pewnie biznesmen. Ani chybi menadżer z jakiejś potężnej korporacji. Wzbudza zaufanie, bez dwóch zdań. Wyróżnia się z tłumu szarych, nijakich, trochę wystraszonych i zrezygnowanych tubylców. Co trzeba by zrobić z tubylcem, żeby wyglądał, jak tamten? Ubrać i uczesać? Wsadzić do srebrnego Lincolna? Dać do ręki kubańskie cygaro? Nic z tego, wszystko to za mało. Więc o co chodzi? Czym tamten się najbardziej wyróżnia? Jest coś takiego, czego nie da się podrobić. Co to takiego? Zgadza się! Wyraz twarzy. Z niego można wszystko wyczytać. Ten w płaszczu jest zwycięzcą. W każdej sytuacji i w starciu z każdym przeciwnikiem on jest zwycięzcą. To on narzuca ton dyskusji i nawet jeśli będzie przekonywał, że Ziemia jest płaska, to odruchowo zaczniecie szukać prasy, pod którą można by zgnieść wszystkie globusy. Taki to ma klasę! Od razu poznać, że z zagranicy! Nie to, co ci tutaj. Zgarbieni, niepewni, uciekają wzrokiem, nie wytrzymują spojrzeń. Nieudacznicy jacyś. A tamten, jakby był z innej planety. Emanuje od niego pewność siebie, jakby rzucał wyzwanie reszcie świata. A przy tym jaki jest chłodny i zdystansowany, wzór europejskiego dżentelmena! Pewnie Niemiec, albo Anglik jaki...

Tak myślicie, co? Powiem wam coś: właśnie daliście się złapać na haczyk. Cały ten *image* to kamuflaż. Ale nie martwcie się, jesteście w dobrym towarzystwie. Ten facet wyprowadził w pole więcej ludzi, niż ma włosów na głowie. Przyjrzyjcie mu się uważnie, to jest doskonały przykład Człowieka Zaprojektowanego. Kiedy formowano go w tym szczególnym dla osobowości okresie, w Memphis, w stanie Tennessee pewien kierowca ciężarówki nagrywał swoje pierwsze płyty w wytwórni Sama Philipisa, Battista ustępował miejsca seniorowi Castro, Towarzysz Chruszczow walił butem w stół na posiedzeniu ONZ, JFK przeganiał radzieckie rakiety z Kuby, a chwilę potem

świat wstrzymywał oddech słysząc echo strzałów w Dallas. Rzecz jasna wydarzenia te nie miały bezpośredniego wpływu na późniejsze losy tego człowieka. Jego przyszłość została zaplanowana wcześniej.

W pewien mroźny poranek 1954 roku Iwan Aleksandrowicz Sierow, nowo mianowany przewodniczący potężnej (niektórzy powiedzieliby wszechmocnej, ale to przesada) organizacji wezwał do siebie młodego oficera i przekazał mu rozkaz wraz z obszernym wyjaśnieniem. Oficer ów należał do grupy elitarnych specjalistów szkolonych do bardzo osobliwych zadań. Wysłuchał przemowy zwierzchnika, po czym spakował się i wyjechał do bratniej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, aby wypełnić pierwszą część swojej misji. Osiadł w Warszawie, jako *attaché* kulturalny w radzieckiej ambasadzie i rozpoczął poszukiwania. W ich efekcie poznał młodą studentkę Akademii Muzycznej, prześliczną wiolonczelistkę, jak by powiedział poeta, biegle mówiącą po niemiecku. W rzeczywistości jednak była to równie wszechstronnie, co Rosjanin, przygotowana przez bratnią Informację Wojskową agentka. Dziewczkę zgodnie z planem uległo urokowi radzieckiego towarzysza i wkrótce byli po ślubie. Zamiast jednak wieść spokojny żywot nad Wisłą lub Moskwą, nowożeńcy zniknęli, by objawić się po pewnym czasie w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech Zachodnich. Tam jako rzekomi Niemcy uchodźcy ze strefy radzieckiej rozpoczęli, jak wielu innych, spokojne życie, z dala od trosk mieszkańców krajów „demokracji ludowych”. Centrala wyposażyła ich w „legendy”, metodycznie przygotowane fałszywe życiorysy, ze spreparowanymi dokumentami. W ten oto sposób stali się klasycznymi „nielegalami”. Termin ten oznacza radzieckich oficerów wywiadu, którzy działając na terenie przeciwnika sprawiają wrażenie zwykłych obywateli, skrupulatnych płatników podatków, patriotów, często aktywnych społeczników, w rzeczywistości jednak całkowicie oddanych prawdziwej misji, której cele wyznacza niezmienne Moskwa. Tego typu operacje obliczane są na całe dziesięciolecia, agenci wiodą długo spokojne życie, bez najmniejszych kontaktów ze swoimi mocodawcami, aż nagle ktoś wyznacza im zadanie. Może to być przejęcie zwykłej przesyłki, likwidacja niewygodnego świadka, albo objęcie stanowiska redaktora naczelnego lokalnej gazety. Bywa, że głównym zadaniem nielegala jest założenie rodziny i spółdenie potomka, który po latach sam zostanie nielegaliem, tym skuteczniejszym, że wychowanym na terenie wroga. Takie właśnie zadanie przypadło w udziale naszemu oficerowi. Po kilkunastu miesiącach od przyjazdu wiolonczelistka, ku uciechu jej wybranka powiła zdrowego i ciekawego świata syna. To był drugi etap misji. Młody Jurgen Stromm (bo takie nazwisko przybrali jego rodzice) dorastał w małym, bawarskim miasteczku, bawił się ze swoimi rówieśnikami, chodził do szkoły, słuchał Rolling Stonesów i opływał w luksusy przysługujące zachodniemieckiej klasie średniej. W zasadzie prawie niczym nie różnił się od swoich niemieckich kole-

gów. Prawie. W domu Jurgena nie poruszano drażliwej kwestii pochodzenia i statusu rodziny (matka, mimo agenturalnego przeszkolenia, długo nie mogła się pogodzić z rzeczywistością, a ojciec musiał wykazać się nadludzką siłą perswazji, żeby nakłonić ją ostatecznie do współpracy). Przynajmniej młodziana do jego życiowej misji rozpoczęto od nauki języków. Od najmłodszych lat Jurgen posługiwał się trzema językami: niemieckim, rosyjskim i polskim. W efekcie w każdym z nich osiągnął biegłość charakterystyczną dla rdzennych obywateli danego kraju. Był to warunek konieczny zważywszy teren działania, jaki lata temu wyznaczyła mu Centrala. Młodzieńcze bunty, typowe dla wszystkich nastolatków, były bezliźnie pacyfikowane przez ojca. Jednocześnie stopniowo odkrywano przed Jurgenem jego prawdziwą życiową misję. Pierwszym, dość bolesnym doświadczeniem, było uświadomienie, że „Jurgen” nie jest jego jedynym imieniem. Chłopak od urodzenia miał przygotowywanych kilka równoległych „legend”, czyli tożsamości i po latach mógł swobodnie uchodzić za obywatela RFN, NRD, Holandii, Polski i oczywiście ZSRR, w zależności od aktualnej potrzeby. Trudno z tego punktu widzenia określić, jak w zasadzie brzmiały jego prawdziwe personalia i co właściwie w odniesieniu do tego przypadku znaczy „prawdziwe”. W Centrali, a konkretnie w Zarządzie S odpowiedzialnym za kontrolowanie operacji nielegalistów chłopak otrzymał kryptonim Vadim i z czasem sam tak zaczął o sobie myśleć, uznając słusznie, że nazwiska w paszportach, prawach jazdy i innych dokumentach to tylko część gry operacyjnej. Czy się buntował? Czy próbował kiedykolwiek zmienić swój los? Nawet jeśli w pierwszym odruchu wpadł w panikę, bo jego dotychczasowy świat się zachwiało w posadach, to ojciec szybko zażegnał kryzys i poprowadził syna ku jego przeznaczeniu. Zresztą powiedzmy sobie szczerze, ani jeden, ani drugi nie miał wyboru. Obaj byli tylko częścią wielkiej maszyny i musieli grać swoje role, lub zostać starci na proch w jej trybach. Ale o żadnym buncie nie było mowy, motywacja ojca nie pozostawiała nic do życzenia, a i syn z czasem wczuł się bez reszty w swoją rolę. A nawet więcej. Vadim okazał się złotą inwestycją Centrali. Odpowiednio szkolony przejawiał ponadprzeciętne talenty, które uczyniły go najlepiej zapowiadającym się agentem wpływu na terenie Europy Zachodniej.

W tym okresie miał rzecz jasna, jak każdy nastolatek, idoli, którzy kształtowali jego ideały. Na ścianach swojego pokoju nie wyklejał jednak zdjęć czwórki z Liverpoolu, Boba Dylana, ani Johnny Casha. Swoje fascynacje skrywał głęboko w sercu. Jedną z postaci, która stała się dla Vadima na długie lata inspiracją był niejaki Konon Mołody, znany również jako Gordon Lonsdale. Był to człowiek, który przeniknął do zachodniego świata z kraju proletariatu, by szerzyć rozkład i destrukcję wśród zgniłych imperialistów ku chwale rewolucji. Używając paszportu zmarłego chłopca, syna fińsko-kanadyjskiej pary, przybrał nową tożsamość i osiedlił się najpierw w Kanadzie, a potem w USA

i Wielkiej Brytanii. Przez długie lata brał udział w procesie wykradania informacji o zachodnich programach nuklearnych. Na początku lat 60-tych przyłapany przez Scotland Yard został skazany za szpiegostwo na 25 lat więzienia, wkrótce jednak wymieniono go za brytyjskiego szpiega współpracującego z Olegiem Pieńkowskim. I tak Młody powrócił w glorii chwały do prawdziwej ojczyzny, by stać się legendą i wzorem dla swoich następców. Vadim żywił jakąś dziwną sympatię do tej postaci, szukając w niej być może zrozumienia własnej tożsamości. Postanowił jednak być dużo skuteczniejszy od Młodego i nie dać się zdemaskować.

Swoją działalność rozpoczął wcześniej, zanim ukończył dwudziesty rok życia. W połowie lat 70., był agent CIA, Philip Agee, zwolniony z firmy za nadużycia finansowe i nie najlepsze prowadzenie, szukając zemsty nawiązał współpracę z kubańską Dirección General de Inteligencia, a później KGB. W porozumieniu i z pełną aprobatą swoich nowych mocodawców opublikował w Londynie wspomnienia, w których zdemaskował ponad 200 agentów i oficerów Agencji, a samą organizację oskarżył o niesłychane bezeceństwa. Książka stała się błyskawicznie bestsellerem na rynku. Brytyjskie władze zdecydowały się zdracę wydalić, co wywołało sterowane przez KGB akcje protestacyjne w całej Zachodniej Europie. Wtedy to właśnie Vadim przeprowadził kilka operacji propagandowych w kręgach lewicujących studentów we Francji, Włoszech i w RFN, podsycając protesty. Odkrył w sobie talent do mamienia tłumów i sterowania nastrojami wspaniale naiwnych i nierozumiejących otaczającej ich rzeczywistości komun hipisów, zbuntowanych studentów, sympatyków rodzącego się właśnie czerwonego terroryzmu i wielu, wielu innych spadkobierców rewolucji roku 1968. Bawił się nimi, prowokował, podjudzał, wyprowadzał na ulice, ściśle wypełniając wytyczne swojego pierwszego oficera prowadzącego, którego przydzieliła mu Centrala.

Parę lat później był odpowiedzialny za promocję wydawanego przy wydanej pomocy DGI i KGB „Covert Action Information Bulletin”, w którym Agee dalej obrzucał błotem swoją byłą firmę. Przez długie lata Vadim z dumą obserwował później efekty medialne swoich działań. W każdym hollywoodzkim filmie, w którym agenci CIA grali rolę czarnych charakterów dostrzegał spopularyzowane przez siebie treści. To między innymi dzięki niemu Agencja przeciętnemu zachodniemu zjadaczowi popcornu już na zawsze kojarzyć się będzie wyłącznie z mrocznymi zbrodniami i nielegalnymi interesami stawiającymi świat na krawędzi zagłady. Ta działalność z perspektywy lat wydawała mu się tylko niewinną zabawą, ale ktoś docenił wtedy jego trud i postanowił zainwestować w młody talent.

Vadim przeszedł typową dla oficerów I Zarządu Głównego drogę edukacji. Ukończył MGIMO (Moskowskij Gossudarstwiennyj Institut Międzynarodnych Otnoszenij), a następnie Instytut Czerwonego Sztandaru, zwany

później Instytutem Andropowa, gdzie zadziwił swoich wykładowców znajomością języków obcych. Tam zrozumiał też, że wiedza jego nauczycieli na temat realiów życia na zachodzie była daleka od poziomu, którego można by po nich oczekiwać. Nawet oficerowie, którzy spędzili wiele lat na zagranicznych placówkach wydawali się być kompletnie oderwani od rzeczywistości. Mimo, że patrzyli własnymi oczami na tamten świat, nie rozumieli jego istoty. Swoje spostrzeżenia Vadim zachował jednak dla siebie, wiedział, że żaden stary wyjadacz nie lubi być pouczany przez żółtodzioba. Nauczył się też wiele na temat specyfiki egzystencji w ojczyźnie socjalizmu, a głównie w szeregach organizacji, która była jej zbrojnym ramieniem. Przynajmniej, liczyły się pewne niuanse, niewidoczne dla postronnego obserwatora. I tak na przykład starzy czekiści, ci, co to apogeum kariery przeżywali w szalonych latach pięćdziesiątych, w późniejszym okresie stali się jakby cisi i wycofani. Niechętnie wspominali o swojej młodości górnej i chmurnej, z jakiegoś powodu w ogóle unikali tematu swoich bohaterskich dokonań z owego okresu. Być może było to związane z tym, że nowe kadry, a więc ich następców rekrutowano z szeregów inteligencji mocno przetrzebionej w okresie błędów i wypaczeń. A przecież mogło się zdarzyć, że ten i ów młody oficer zacząłby niepotrzebnie dociekać, kto dwadzieścia kilka lat temu przestrelał kark jego ojcu. Były to drażliwe tematy, których lepiej było nie poruszać.

Spotykał też licznych „studentów” przybyłych z miejsc, gdzie system sprawiedliwości społecznej dopiero budowano, lub przygotowywano się do jego budowy. Setki dziewcząt i chłopców pochodzących z bardzo ciepłych krajów było metodycznie szkolonych na przywódców zorganizowanych band, które w niedalekiej przyszłości miały terroryzować, torturować i zabijać swoich współobywateli, by w ten sposób szerzyć braterstwo i cementować jedność światowych ruchów postępowych. Bandy te w zachodniej prasie nazywane będą (między innymi dzięki podszeptom takich ludzi jak Vadim) „bojownikami o wolność”, „antyreżimową partyzantką”, czy „lewicowymi buntownikami”, a znów, dla równowagi, siły, które próbowałyby powstrzymać tych morderców, zwano malowniczo „skrajnie (koniecznie skrajnie!) pravicowymi szwadronami śmierci”.

Po ukończeniu szkolenia Vadim wrócił do RFN. Początkowo miał być samodzielnym nielegalnym, ale szybko wykazał się taką inicjatywą w znajdowaniu lokalnych współpracowników, że wkrótce awansował na werbownika i zaczął organizować własną rezydenturę nielegalnych.

To jednak daleka przeszłość, dawno przebrzmiało echa sukcesów, którymi nawet nie mógł się oficjalnie pochwalić. Ot co najwyżej w jego aktach pojawiała się pochwała od zwierzchników, wpis o przyznaniu orderu, którego i tak nie mógł nosić, podobnie jak nie mógł paradować w galowym mundu-

rze z błękitnymi wyłogami. Ale to, jak wspomniałem przeszłość, dziś poprowadzi nową operację...

* * *

Szli po niego. Znów usłyszał kroki, tym razem bliżej. Zgrzyt żwiru, chrzęst suchych gałęzi pod podeszwami, ulotne dźwięki odbijały się od betonowego sklepienia i powracały zwielokrotnione echem. Zbliżali się po cichu, bez zbędnej gadaniny. Spokojnie i metodycznie przeszukiwali teren. Z pewnością tętno nie przyspieszało im tak, jak jemu. Byli zdyscyplinowani i oszczędni w ruchach, zawodowi mordercy. Texas oczami wyobraźni zobaczył trzy lekko pochylone sylwetki idące w kilkumetrowych odstępach. Za chwilę obraz rozmył się. A może nie nadchodzą z jednego kierunku? Może go otoczyli i zbliżają się z trzech różnych stron? Nawet jeśli uda mu się wyrwać z bunkra, w którą stronę się nie skieruje, może nadzieć się na jednego z nich. Przyszło mu do głowy, że większe szanse ma siedząc tu, wśród tych betonowych ścian. Do pomieszczenia prowadziło tylko jedno, wąskie wejście. Jeśli chcieli go zlikwidować, musieli przez nie przejść. Skierował lufę Browninga w tamtą stronę. Czekał. Oczy rozpoznawały tylko plamy ciemności o różnym natężeniu. Czuł powiew wiatru od strony, z której przyszedł. Nagle z zewnątrz dobiegły jakieś nowe dźwięki. Ktoś krzyknął, ktoś biegł po betonowych płytach przed bunkrem. Działo się coś nieprzewidzianego. Wrzawa ucichła tak nagle, jak się rozpoczęła. Znów zapanowała cisza. Cisza? Nie, to tylko kamuflaż. Coś pełzło wzdłuż ściany od strony wejścia. Texas usłyszał wyraźnie pękający pod naciskiem kawałek szkła. Kciukiem odciągnął kurek pistoletu i zamarł w bezruchu.

— Texas, Texas, jesteś tu? — Rozległ się teatralny szept.

— Życie ci niemiłe, szczeniaku?! — Texas poczuł, że musi się oprzeć o ścianę. — Skąd się tu wzięłeś?!

— No!malnie, psysedłem z Belgmanem! — Wysepleniał Maciek.

— A gdzie on?

— No!malnie, odwłaca ich uwagę. Chodź, Texas, włacamy do auta!

Ostrożnie wyszli na zewnątrz. Po absolutnych ciemnościach kazamatów światło księżycy niemal raziło w oczy. Słyszeli zanikające dźwięki prześladowców, dochodzące gdzieś z okolic Kazunia. Skierowali się w przeciwną stronę. Trafili na ścieżkę. Po kilkuset metrach dotarli do zaparkowanego malucha.

— Kurwa! — Wychrypiał zdyszany Bergman lekko trzęsącym się głosem.

— Kulwa! — Powtórzył jak echo Maciek.

Vadim dostrzegł w kłębiącym się wokół wejścia tłumie tego, na którego czekał. To jego najnowszy cel. Tomasz Spychowski, świeżo upieczony doktor socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wyjątkowo krnąbrny, hardy i nieprzystępny jegomość. Błyskotliwy umysł i nieograniczony potencjał w przyszłej hipotetycznej aktywności na tym teatrze działań. Wyłowił go w trybie rutynowego przeglądu wyższych uczelni, instytutów naukowych i placówek badawczych. Metoda może i mało efektowna, wymagająca nie byle jakiej cierpliwości i spostrzegawczości, ale miała w sobie też coś z polowania i Vadim nauczył się delektować tymi pierwszymi krokami prowadzącymi do werbunku. Poza tym Spychowski znajdował się w pewnej specyficznej ewidencji, którą Centrala poleciła Vadimowi precyzyjnie przestudiować, i tak oto, dwoma niezależnymi ścieżkami dotarł do tej interesującej postaci. Teraz pozostała już tylko ocena przydatności figuranta. Czasem wystarczy jedno spotkanie, wymiana zdawkowych uprzejmości i staje się jasne, czy dany klient wart jest dalszych nakładów czasowych, czy lepiej od razu dać sobie spokój. Na potencjał Spychowskiego zwrócił uwagę po przeczytaniu jego artykułu do jednej z gazet. Jeszcze parę lat temu nie zareagowałby na te niuanse w opisywaniu tak zwanych przywar narodowych. Ale z każdym kolejnym rokiem wyrabiał w sobie zdolność do określania poglądów ludzi na podstawie najdrobniejszych nawet sformułowań, gestów, odruchów. Przeczytał tekst po raz drugi i był już pewien, że znalazł to, czego szukał. Facet charakteryzował się tą specyficzną mieszanką cynizmu, frustracji, oczekiwań i obaw, które odpowiednio podsycone mogły stać się motywem jego ewentualnej współpracy. Centrala przekazała Vadimowi jakiś czas temu instrukcje dotyczące pozyskiwania nowych agentów na tym terenie. Chodziło o pewien szczególny profil światopoglądowy. Od paru lat było jasne, że dotychczasowe, lokalne środki aktywne już się nieco zużyły. No cóż, czas płynął, sytuacja w regionie zmieniała się dynamicznie, czynnik ludzki był jak zwykle najłabszym ogniwem. Dawno zwerbowane autorytety, celebryci, gwiazdy mediów, z biegiem lat wypaliły się, skompromitowały, lub po prostu zestarzały i ktoś na górze doszedł do wniosku, że potrzebna jest świeża krew. Instrukcja mówiła wyraźnie: szukać nowych twarzy, ludzi z centrum, lub wręcz konserwatystów, żadnych lewicujących młodych gniewnych! Tych już mamy dość! Teraz potrzebni są ludzie z drugiej strony barykady, tacy którzy będą akceptowani przez ślepa i głuchą na nasze dotychczasowe starania część populacji. Mają się stać nowymi mężami zaufania, budzić sympatię wśród warstw mniej postępowych. Jako szczerzy patrioci i jednostki głęboko religijne zaskarbiać sobie szacunek u tej części społeczeństwa, która dotąd była dla nas niedostępna. A kiedy osiągną już ten pierwszy przyczółek, wtedy zaczną giąć ich umysły w sposób całkowicie kontrolowany. I co najważniejsze, ta grupa doce-

lowa będzie przekonana, że pozostała niezłomna w swoich przekonaniach. A w kluczowych momentach wytypowani agenci będą podsuwać odpowiednie sugestie, ot, po prostu podszeptywać właściwe wybory. A czy będzie można oprzeć się takim zaufanym autorytetom?

Kiedyś rzuciłby się do pracy z dzikim zapalem, ale lata pracy w branży stepiły jego entuzjazm, który z czasem skarłowaciał, zgarbił się i przemienił w cyniczną rutynę. Vadim naturalnie znalazł dość szybko potencjalnego kandydata. Oglądał go potem, niczym okaz rzadkiego minerału pod mikroskopem i w zasadzie był z siebie zadowolony. To był materiał! Spotkał się z nim po raz pierwszy w redakcji tygodnika, do którego tamten pisywał swoje felietony i przedstawił się jako Rolf Wagner, wydawca z Niemiec. Dość szybko nawiązał kontakt, tematów do rozmowy nie brakowało. Tyle tylko, że Spychowski miał wredny charakter. Oschły, małowówny, zamknięty w sobie, dziwne cechy u socjologa. Oczywiście lepszy byłby ktoś bardziej uległy i podatny na manipulację, ale z drugiej strony, jeśli raz uda się złamać takiego sztywniaka, to potem współpraca układa się na ogół bez przeszkód. Poza tym całkiem przypadkiem na Spychowskiego znalazł się śliczny hak, który miał być użyty w ostateczności, jeśli gówniarz będzie się do końca stawiał.

Wiele lat wcześniej, kiedy bratnie służby w krajach demokracji jeszcze tej właściwej, pod kierownictwem Centrali przygotowywały wielką i huczną wymianę sztandarów i ideałów, rozpoczęto całkiem nowy eksperyment związany z pozyskiwaniem przyszłych współpracowników. Postawiono wtedy na kadry młode, prężne, mające potencjał, a jednocześnie jakąś maleńką skazę na życiorysie. Ot, ktoś, dajmy na to zamordował starszą panią i odbywa akuratnie karę pozbawienia wolności. Ale poza tym małym potknięciem jest potencjalnie doskonałym materiałem do wykorzystania. Elokwentny, bezwzględny, zdecydowany, pozbawiony skrupułów, słowem idealny kandydat do zwerbowania i umieszczenia na jakimś interesującym Centralę stanowisku. Albo inny przypadek, chłopak z nizin społecznych, pnący się po szczeblach złodziejskiej kariery, ambitny i zdolny. Czy można przepuścić taką okazję? Przecież ktoś taki, jeśli mu w odpowiednim momencie podać pomocną dłoń, już do końca życia pozostanie wierny służbie i nawet po wielu, wielu latach będzie wciąż aktywnym członkiem organizacji. A jeśli przytrafi mu się chwilowa amnezja, jakieś, powiedzmy, małe zaćmienie umysłu i zapomni o swoich zobowiązaniach, czy też cieniach własnej kariery zawodowej, to nie ma obawy, ktoś mu wszystko detalicznie przypomni. Centrala, chwalić bogów, pamięć ma niezawodną.

Taki oto przypadek Vadim miał właśnie na rozkładzie. Spychowski z pewnością nawet nie podejrzewał, że właśnie nadszedł moment uruchomienia jego programu lojalnościowego. Gdyby od początku był otwarty i podatny na

sugestie, werbunek przybrałby bardziej miękki charakter. Ponieważ jednak pozostawał hardy, rozwiązanie nasuwało się samo.

— Długo każesz na siebie czekać. — Vadim wyciągnął dłoń do przybysza.

— Co za pomysł spotykać się tutaj? Zdaje się, że mieliśmy rozmawiać o moim felietonie... — Odparł Spychowski z typowym dla niego dystansem i podejrzliwością.

Vadim zlustrował go wzrokiem i jeszcze raz pogratulował sobie trafnej diagnozy. Nie będzie to takie proste, jak by się mogło wydawać. Co za nabzdyczony gnojek! On mu proponuje posadę w prestiżowym dzienniku, a ten zamiast paść przed nim na kolana ciągle tkwi w swojej skorupie. No dobra, przyjacielu, dostaniesz jeszcze trochę czasu do namysłu, ale najpierw wykonasz swoją pierwszą misję. Była to czysta prywata, bo Centrala nic nie wiedziała o tej inicjatywie Vadima, ale czasem trzeba było łączyć przyjemne z pożytecznym, żeby ostatecznie wyjść na swoje...

— Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił, doktorze. Mała przysługa, dla przyjaciela, chyba nie wymagam zbyt wiele?

— O co chodzi?

— Widzisz, za pół godziny odbędzie się tutaj aukcja motoryzacyjna. Wystawiane są do licytacji bardzo rzadkie egzemplarze, nie da się ich kupić przez internet. Tylko tu występują w takim zestawie. Jeden jest wyjątkowo cenny. Chodzi konkretnie o rajdową wersję Lancii Stratos, po prostu biały kruk dla koneserów. Zresztą po co ja ci to mówię, jako ekspert, sam wiesz najlepiej. — Vadim zdecydował się na delikatną aluzję przed rozwinięciem właściwego natarcia.

Spychowski spojrział na niego, unosząc brew.

— Ja jestem ekspertem od zachowań społecznych, nie od samochodów. Zapomniałeś?

— Popatrz, popatrz, a jeszcze nie tak dawno byłeś najlepszym specem od otwierania Maserati i Lamborghini. Pod nieobecność właścicieli. Podobno też nieźle radziłeś sobie za kółkiem. Cięty nie mógł się ciebie nachwalić. Więc skąd ta skromność, panie socjologu? — Vadim nie przepadał za tą metodą. Jeśli uciekał się do nieeleganckiego szantażu, to znaczyło, że jego naturalny talent perswazji zawodził. Ale nie miał już czasu i musiał gnojka postraszyć.

— Kim ty jesteś? — Głos tamtego był zimny. Bardzo zimny jak na zwykłego przyłapanego frajera.

Vadim spodziewał się wściekłych zaprzeczeń, hysterii, albo ataku agresji. Widział to już setki razy i na ogół potrafił przewidzieć reakcje rozpracowywanego obiektu. Spokój Spychowskiego zaskoczył go, ale postanowił nie zmieniać taktyki.

— Nie mając jeszcze osiemnastu lat ukradłeś w Berlinie Ferrari na zamówienie pewnego, nazwijmy go „przedsiębiorcy” z Kijowa. Wykonałeś dla Ciętego kupę dobrej roboty, Spychacz. Byłeś znany w branży...

— To szantaż? — Tylko drgające szczęki zdradzały napięcie Spychowskiego.

— Bystrzacha z ciebie, Spychacz! Wiesz, jaki ubaw miałby dziekan, gdyby się wydało, że jego ulubiony doktorant skubał luksusowe wozy na zlecenie? A może chciałbyś mu zaproponować jakiegoś Jaguara albo Bentleya za rozsądną cenę?

Przerwał na chwilę, ale nie doczekawszy się odpowiedzi kontynuował:

— Tak właśnie mają się sprawy. I dlatego, nie wdając się w dalsze dyskusje, pójdiesz na aukcję i w trakcie licytacji będziesz podbijał cenę za Stratos, jeśli zobaczysz zainteresowanie na sali. Przerwiesz, kiedy cena osiągnie 150 000 euro. Już załatwiłem wszystkie formalności, zgłosisz się do prowadzącego. A potem pojedziesz za tym, kto kupi Lancię. Ja zabiorę się z tobą. Sam widzisz, że to drobna przysługa, czyż nie?

— Zarabiasz na handlu starymi landarami, Rolf?

— Zimno, doktorze. Cena za jaką pójdzie Stratos ma dla mnie znaczenie tylko o tyle, że jeśli będzie odpowiednio wysoka zagwarantuje, iż nabywca jest osobą, której szukam. Na razie nie musisz wiedzieć nic więcej. Pogadamy później. No co jest? Ruszaj, doktorku, ruszaj, wadium już wplacone, zaraz zaczynają!

Z potężnej hali wydzielono część powierzchni, na której stały samochody przeznaczone do licytacji.

Grupki gapiów kręciły się pomiędzy stanowiskami, zbijając się w większy lub mniejszy tłumek przy wystawianych egzemplarzach. Były to rajdowe wersje seryjnie produkowanych niegdyś modeli.

Renault 5 Turbo zainteresował jakiegoś sześciolatka trzymanego za rękę przez tatusia, przy czym tatuś znacznie więcej uwagi poświęcał nogom stojącej nieopodal hostessy, niż rajdowej „Piątce”. Sporo gapiów zebrało się przy Porsche 911 i Audi Quattro. Spychowski obserwował otoczenie, bardziej skupiając się na widzach, niż na autach. Stopniowo wyławiał z tłumu prawdziwych pasjonatów. Nie dało się ich przeoczyć. Stateczni, poważni panowie z tym niepowtarzalnym błyskiem w oku, jakiego nie wywoła nawet najzgrabniejsza hostessa. Na razie, ze źle udawaną obojętnością, kręcili się w pobliżu aut, próbując ocenić ich atrakcyjność i potencjalną cenę, za jaką można by je kupić, nie wychodząc na idiotę. Pojazdy, które tu zgromadzono wszystkie, co do jednego, były mniejszymi i większymi gwiazdami historii sportu samochodowego. Ale wielka gwiazda była tylko jedna. Na podwyższeniu, górując nad otoczeniem, stał dziwaczny pojazd. Nieproporcjonalnie mały rozstaw osi, prawie pozioma, dziwnie wywinięta na boki przednia szyba, bateria haloge-

nów na masce, charakterystyczne owiewki kończące tył kabiny kierowcy i okrągłe tylne światła, przypominające dysze silników odrzutowca. O ile w pozostałych autach wykorzystano zmodyfikowane seryjne nadwozia zwykłych użytkowych samochodów, o tyle w przypadku tego niezwyklego wehikułu o żadnych cechach użytkowych poza czysto rajdowymi nie można było mówić. Lancia Stratos powstała wyłącznie z myślą o sporcie i rozwiązania konstrukcyjne były całkowicie podporządkowane wyzwaniom *rallycrossu*. Na początku lat siedemdziesiątych wyprodukowanie przepisowych 500 egzemplarzy (warunek otrzymania homologacji i dopuszczenia do startu w mistrzostwach świata) było dla właściciela Lancii, koncernu Fiata zbyt dużym wyzwaniem. Technologicznie Stratos był eksperymentem na tyle ryzykownym, że Fiat wymógł ostatecznie na FIA (Fédération Internationale de l'Automobile) obniżenie progu do 400 sztuk. Z czasem narosła legenda, że Lancia nie wyprodukowała nawet tej minimalnej ilości, fachowcy do dziś się spierają o cyfry, ale najlepiej poinformowani mówią o 392 egzemplarzach. Ryzyko i wysiłek twórcy potwora, Nuccio Bertone, szybko okazały się inwestycją dekady. Niecodzienne proporcje, zawieszenie i sześciocylindrowy, widlasty silnik zapożyczony od Ferrari czyniły ze Stratosa małego, twardego, zawziętego sukinsyna, który zmusił nie raz do kapitulacji zespoły firmowe Forda, Opla i Renault. Przez prawie dziesięć lat ten kurdupłowaty pojazd z gracją łoił skórę konkurencji zarówno na pustynnych trasach Rajdu Safari, jak na oblodzonych nawierzchniach Monte Carlo. Kiedy tylko opadł kurz za ostatnim Stratosem (wypartym z branży przez Fiata 131 Abarth), kolekcjonerzy na całym świecie zaczęli rozglądać się za pozostałymi przy życiu sztukami. Ceny zaczęły osiągać nieprawdopodobne pułapy, a czas pokazał, że nawet najdroższe egzemplarze okazywały się doskonałą lokatą kapitału. W XXI wieku Stratos stał się legendą dostępną dla nielicznych szczęściarzy. Spychowski zatrzymał wzrok na Lancii i stał przez chwilę bez ruchu. Jakiś uważny obserwator mógłby porównać go teraz do zawodowego skrzyпка przymierzającego się do wymarzonego Stradivariusa, ale w pobliżu nikt nie zwracał na niego uwagi. Po chwili ruszył przed siebie i zajął miejsce w przedostatnim rzędzie krzeseł przeznaczonych dla uczestników licytacji. Przed nim siedziało osobliwe trio. Krótco ostrzyżony osiłek o posturze misia polarnego, łysy gnom w dziwacznej skórzanej kamizelce i najmłodszy z nich, może dwudziestoletni gość w kraciatej marynarce i z wyżełowanymi włosami. Spychowski mimochodem przysłuchiwał się ich rozmowie.

— Jo wam godam, ujek, fanołom gupoty! Jak nic to replika! Skąd by wzięły teraz oryginała?! — Gardłował ten w marynarce.

— A ty, synek, skąd żeś taki umny nagle? Mądrała! Jak do wahy trza się było dociepnąć, to udawał głuchego, a tu raz z daleka stratosa obaczył i wielki

ekspert się zrobił! A skąd niby wiesz, że replika? — Zbulwersował się misio-waty.

— Jo tak, aby kombinuja... no bo rajdowy, przecież to unikat. W barwach Alitalii, to tylko jeden się podobnie zachował... to skąd by akurat go tu ścią-gli?

— Skąd, skąd?! Normalnie, ze świata!

— No ale, żeby u nas takie pyszności sprzedawać? Toż to siła pinędzy musi kosztować!

— A my to co, niby? Gorsze jakies? My tera tyż Europa! I mogomy se kupić co chcemy! A ty, Tomuś, co tak nic nie godasz? Co tak siedzisz i miarkujesz? Lampisz się, czy aby której hostessie biusthalter się nie odpiął?

— Nie odpiął, bo żadna nie nosi! Ślepy jesteś, czy co? — Odezwał się gnom. — Patrzę i liczę ile te wózki muszą w sumie być warte i kto na tym tutaj właściwie robi szmalec. Przecież widać, że to nie z jednej prywatnej kolekcji, tylko musieli kilka muzeów namówić do wystawienia eksponatów na aukcję.

— Powiedz no, ujek — drażył ten wyżelowany — chcesz go kupić, co?

— Ty synek blekotu żeś się objadł? Na coś takiego bych musioł całe życie fedrować na przodku i jeszcze by mi zabrakło... Wystarczy mi moja fulvia, co mi jej skończyć nie idzie. Stoi bez dziesięć років i jeszcze drugie tyle postoi, zanim wyjedzie na ulice. Jak się rozniosło, że bedom stratosą sprzedawać, to se podumałem, że trza by się kopsnąć do stolicy, obaczyć kto to cudeńko kupi. Na zlocie pogratulować i browara postawić... Rzadka to ptica...

Tymczasem ruszyła aukcja. Najpierw pod młotek poszła Ascona z 78 roku, Renault 5 nie osiągnął nawet ceny minimalnej, później z dużym trudem udało się znaleźć nabywcę Forda Escorta RS. Wreszcie, kiedy atmosfera osiągnęła odpowiednią temperaturę rozpoczęła się właściwa część balu. Tylko jedna ręka podniosła się, kiedy zaczęto licytować Lancię. Elegancka blondynka, około trzydziestki oferowała 95 000 euro. Po drugim uderzeniu młotka Spychowski dał znak prowadzącemu.

— 100 000 euro za Stratosą, po raz pierwszy...

— 105 000! — Blondynka była najprawdopodobniej przez kogoś podsta-wiona i wyposażona w odpowiednie środki i pełnomocnictwa.

Spychowski taktownie ustąpił przy 220 000 euro, pozostając niezauważo-nym przez zwyciężczynię. Wszyscy ci, którzy chcieli osobiście pogratulować nabywcy i zamienić kilka słów na temat ulubionego konika bardzo się zawie-dli. Po załatwieniu wszystkich formalności zarówno blondynka, jak i Stratos szybko znikli z widoku. Nagle jak spod ziemi wyrósł Vadim i odciągnął Spychowskiego na stronę.

— Brawo, doktorze, brawo! Doskonała robota! Tylko jeden człowiek w kraju byłby skłonny zapłacić takie pieniądze za ten samochód. Teraz postaramy się dowiedzieć, gdzie też nasz koneser się znajduje... Ruszamy!

— Wsiadli do wynajętego przez Vadima Opla i czekali przed halą targową na lawetę ze Stratosem.

— Przykleiłem do Lancii pluskwę, odbiornik będzie czytał sygnał na dystansie do pięciu kilometrów, więc nie musisz mu siedzieć na ogonie. Ale uważaj, żeby się za bardzo nie oddalić, bo go zgubimy. Do roboty, doktorze, pokaż, co potrafisz!

Spychowski usiadł za kierownicą i odczekał, aż laweta wyjedzie z placu manewrowego i opuści teren targów. Vadim uruchomił podrasowany GPS, który odczytywał sygnał z pluskwy. Trop prowadził ich na południe. Minęli Janki i ruszyli w stronę Krakowa. Gra się rozpoczęła.

Jak już wspomnieliśmy, Texas umiał docenić piękno. I to nie tylko to chodzące po ulicach, jeżdżące po asfalcie, czy wyświetlane na srebrnym ekranie ale również płynące z głośników. Tak... niektóre dźwięki układające się w dłuższe wypowiedzi artystyczne też wywoływały u niego zadziwiający dreszcz emocji. Oczywiście najlepiej, żeby wszystkie te formy piękna splotły się kiedyś w jedną całość, tworząc samodzielny świat, w którym można by było się zatracić bez reszty. Los złośliwy, los bezlitosny, los okrutny najczęściej kpi z takich marzeń, za nic sobie mając senne rojenia i bezgłośnie modlitwy do obojętnych bogów. Czasem jednak, z sobie tylko znanych przyczyn, ulega kaprysowi chwili i łaskawie przychyła się do próśb śmiertelników. W przypadku Texasa taki kaprys losu właśnie miał miejsce. W jednym utworze muzycznym ktoś zmieścił wszystkie jego fascynacje. Po raz pierwszy usłyszał ten kawałek, kiedy był jeszcze pacholęciem. Ktoś przyprowadził do warsztatu stryja egzotycznego Vauxhalla, stary model, z lat siedemdziesiątych. Wsiadł za kierownicę, a nie mając kluczyków, jedyne, co mógł zrobić, to włączyć odtwarzacz. Muzyka wypełniła wnętrze auta. I wtedy usłyszał coś, co wstrząsnęło całym jego dziesięcioletnim życiem. Najpierw pisk opon, potem długa seria z Thompsona i dialog jakiegoś twardziela ze słodką (zapewne) blondynką. To musiał być fragment większej opowieści, Texas był tego pewien, ale o co dokładnie chodziło, kto uciekał, a kto strzelał, tego chłopak nie wiedział. Muzyka płynęła w leniwym tempie i było oczywistym, że jest to muzyka ilustracyjna. Chciał koniecznie wiedzieć, o jaki film chodzi. Wyszperał z pamięci kilka tytułów, jakie w swojej krótkiej karierze zdążył poznać, ale żaden nie pasował. Utwór jednak z całą pewnością odnosił się do jakiejś fascynującej opowieści i w młodym umyśle wywołało to małą rewolucję. Pamiętał dobrze „Pół żartem, pół serio”, ale mimo pewnych skojarzeń z tamtą fabułą, muzyka mu się

w żaden sposób nie chciała zgodzić. Przesłuchał taśmę pięć razy i wrócił do punktu wyjścia. Wcisnął przycisk i wysunął kasetę. Nic, żadnego opisu. Nie wiedział nawet, kto był wykonawcą. Cofał taśmę i słuchał od nowa, wciąż i wciąż... Ktoś uciekał samochodem, to jasne, w tle słychać było policyjną syrenę. Odgłosy broni maszynowej, jakaś ostra potyczka z glinami, potem znowu głosy, ktoś oberwał...? I znów ta muzyka... coś jakby... nie potrafił tego jednoznacznie określić... jakieś sceny, jakby z Chicago, albo Nowego Jorku... Tak, to na pewno jedno z tych mitycznych miejsc. Oglądał niedawno jednym okiem „Francuskiego łącznika” zanim ciotka nie wygoniła go do łóżka. Ale to też nie był film, który opisywała ta niezwykła muzyka. Żeby rozumiał chociaż jedno całe zdanie z tych nerwowych dialogów... Długo jeszcze siedział w starym aucie i próbował rozwikłać tę zagadkę. Po kryjomu wyniósł kasetę z samochodu i słuchał jej na swoim zdezelowanym Grundigu, gdy wszyscy w mieszkaniu już spali.

Mijały lata i inne fascynacje odsunęły w cień ten epizod, ale czasem przypominał go sobie i wracał ponownie do niewyjaśnionej historii.

Teraz, kiedy wypadki zaczęły toczyć się tak gwałtownie znów, trochę bez związku przypomniał sobie o kasecie. Wrócili z Puszczy Kampinoskiej z duszami na ramieniu, ciągle oglądając się za siebie. Kiedy wjeżdżali do Warszawy, Texas zdał sobie sprawę, że nie ma dokąd wracać. Nagle stanął przed bardzo konkretnym problemem. Co miał ze sobą zrobić? Gdzie pójść, kogo poprosić o pomoc? Mieszkanie na Wroniej było spalone, z pewnością będą się tam kręcić. Nie chciał wciągać w to kumpli z kamienicy, tamci mordercy na pewno objęli całą okolicę obserwacją. Na szczęście formalnie nie był w żaden sposób bezpośrednio powiązany ani ze stryjem, ani z ciotką. Pokrewieństwo było na tyle dalekie, że nawet bezpieka łatwo nie trafi na niego tym tropem. A zameldowany był wciąż w starym mieszkaniu po ojcu. Wynajętym, niestety, więc chwilowo bezużytecznym jako tymczasowe schronienie. Nocował najczęściej w warsztacie, czasem w mieszkaniu stryja, fakt, ale bardzo nieregularnie, więc jeśli tajniacy prowadzili wcześniej obserwację, to był tylko jedną z bardzo wielu osób przewijających się przez ten lokal. Oczywiście nie miał pewności, że nie został zidentyfikowany, ale nic nie mógł na to poradzić. Co robić, co robić?

Zostawili malucha na jakimś opuszczonym parkingu i rozdzielili się. Nad ranem Texas zakradł się jak złodziej do garażu stryja, ściągnął z Chevroleta plandekę chroniącą samochód przed wścibskimi spojrzeniami i wyprowadził go na ulicę. Ruszył w stronę Białegostoku. Miał nadzieję, że świeży zakup nie zdążył zainteresować szpicli. Zresztą nie miał wyboru, musiał zaryzykować, poza tym samochód był wciąż jeszcze zarejestrowany na poprzedniego właściciela. Widok asfaltu leniwie połykanego przez maskę uspokajał rozdygotane nerwy. Zaczynał odzyskiwać kontrolę nad sytuacją. Dopóki siedział za kierownicą był bezpieczny. Skoro już wprawił w ruch te półtorej tony metalu,

to nie było na świecie człowieka, który mógłby go zmusić do zatrzymania się. Kilka razy w lusterku wstecznym pojawiały się jakieś światła, ale ginęły po chwili. Pewnie rolnicy wyruszali na pole. Minął Wyszków. Zatrzymał się w gęstym lesie przed Ostrowią Mazowiecką. Musiał ochłonąć i przemyśleć swoją sytuację. Włączył kasetę z tą dziwną muzyką, która go tak urzekła przed laty i przymknął oczy...

Zerwać z dawnym życiem, zatrzeć ślady, nie wracać do miejsc, w których bywał, zmienić przyzwyczajenia i obserwować. Obserwować otoczenie, ludzi, którzy go mijają, samochody z pasażerami parkujące w ciemnych ulicach. W jego życiu następowała właśnie duża zmiana i nie mógł nic na to poradzić. Jak z tego wybrnąć?! Nie ma szans! Dopadną go tak, jak dopadli stryja... Jest sam, skazany na los łownej zwierzyny.

Spokojnie! Odetchnij głęboko i zacznij myśleć! Oni nic nie wiedzą, zaskoczyłeś ich. — Zdawał się szeptać jakiś wewnętrzny głos. — Anonimowość to twoja jedyna broń. Myśl, myśl i nie wpadaj w panikę.

Wysiadł z samochodu i stanął pośród drzew. Znów wsłuchiwał się w szum ich gałęzi.

Plan zrodził się sam, jakby poza jego umysłem. Pomysł był nieco niekonwencjonalny, ale to mogło się udać. Poza tym, cóż mogło być konwencjonalnego w tej sytuacji?

Texas za rok miał zdawać maturę. Z mieszkańców kamienicy, oprócz ciotki i stryja, tylko Bolo i Bergman wiedzieli, do którego liceum chodził, wobec tego chłopak uznał, że szkoła powinna być dość bezpiecznym miejscem. W szkole, natomiast była nauczycielka angielskiego... Pani, a właściwie panna Izabela była z pewnością jedną z jaśniejszych stron trudnej ścieżki edukacji, po której stąpała cała męska część młodzieży tego nudnego i nijakiego skądinąd liceum. Niewysoka, smukła i nieprawdopodobnie nieśmiała anglistka była obiektem pożądania wszystkich samców i samczyków w szkole, nie wyłączając pana dyrektora i woźnego. Co bardziej przedsiębiorczy uczniowie przeprowadzali sztubackie ataki na cnotę panny Izabeli, wszystkie jednak, bez wyjątku rozbijały się o skały obojętności. Pozornej. Bo też panna Iza wcale obojętna nie była. Pod obiecująco wypukłym sweterkiem biło szamoczące się, dwudziestoczteroletnie serduszko, spragnione namiętności tak bardzo, że gdyby nie przypadłość w postaci monsturalnej nieśmiałości, Iza zasiałaby nieliczne spustoszenie wśród pruderyjnego ciała pedagogicznego szkoły. Ale właśnie owa nieśmiałość powodowała, że kiedy już, już miłośniczka języka Sheakspeare'a miała rozpuścić swoje długie, kruczoczarne włosy i ulec urokowi co bardziej ponętnego amanta, wtedy właśnie uruchamiała się jakaś wewnętrzna blokada, która natychmiast przywoływała hormony do porządku. A to tylko zagrzewało do walki niestrudzonych zdobywców. Jakich to sztuczek nie próbowano! Uczniowie wymyślali najprzemysłniejsze fortele,

żeby tylko zwabić nauczycielkę po lekcjach do pustej klasy. Wszystko na nic. Wuefista, (z nie do końca jasnych powodów zwany przez kolejne roczniki Lambada) zorganizował nawet na intencję uwiedzenia niedostępnej czarnuli wycieczkę szkolną w Góry Świętokrzyskie. Plan, trzeba to Lambadzie uczciwie przyznać, zasadniczo był poprawny pod każdym względem. Po pierwsze stwarzał okazję. Po drugie wszyscy wiemy, jak romantyczne mogą być Góry Świętokrzyskie, zwłaszcza, jeśli romantyzm wzmocnić odrobiną koniaku „Słoneczny Brzeg”... Po trzecie wreszcie słabowita i cherlawa młodzież licealna strudzona dodatkowo zdobywaniem zamku w Chęcinach oraz degustacją napoju jabłkowego „Bonanza” szybko przestawiła się z trybu „drive” na „park” i wieczorami wiodła raczej stacjonarny tryb życia, dając niez mordowanemu Lambadzie okazję do roztoczenia przed panną Izabelą wizji słonka zachodzącego nad, dajmy na to, dębem Bartkiem. A zatem planowanie było celujące, kwietniowa aura również, spisał się też w roli tła nastrojowego landszaftu tysięcy dębów... a jednak Lambada musiał skapitulować i powrócić do narożnika. A wydawało się przecież, że w końcu przełamał ostatnią linię obrony. Jego dłonie zaczęły zataczać coraz ciaśniejsze kręgi wokół guziczków satynowej bluzeczki anglistki, nie wywołując z początku żadnych protestów. Twierdza wyglądała na otwartą i nie bronioną. Był tuż, tuż, jeszcze chyba nikt przed nim nie dotarł tak daleko... A jednak nagle, bez ostrzeżenia, jakby zapadła kurtyna w teatrze! Guziczki skryły się nagle pod nieprzemakalnym płaszczem, z błękitnych oczu lzy powiało chłodem oraz zdecydowaną odmową.

— Właśnie przegrałeś paczkę 9 mm para. — Mruknął Texas do stojącego obok kumpla z klasy i przetarł szkła lornetki polowej. Stali na wzniesieniu kilkaset metrów od rozgrywającej się sceny i wyglądali jak dwaj oficerowie zwiadu taktycznego lustrujący pole bitwy.

— Cholera, czy ona jest z kamienia?! — Westchnął Grzesiek i zasępił się, bo w końcu zakład, to zakład, sprawa honorowa. Ale podprowadzenie paczki dziewięciomilimetrowej amunicji z wojskowego magazynu to nie spacerek. Ojciec pułkownik był rzecz jasna solidnym atutem, ale i tak trzeba się będzie nieźle nagimnastykować. — Przecież Lambada nie frajer, a jednak i on poległ... Sam już nie wiem...Może ona woli babki...

— Nie sądzę, po prostu trzeba inteligentnie rozwinąć natarcie. No, mniejsza z tym, ruszamy, zaraz odchodzi ostatni autobus do Chęcina. I nie zapomnij o zakładzie. Ma być pełna paczka!

I tak się kończyły wszystkie dotychczasowe próby. Panna Iza pozostawała niezdołana i jak najtrudniejszy szczyt górski wciąż czekała na śmiałka, który zmusi ją do uległości. To ciekawe, że w sytuacji zagrożenia Texas pomyślał właśnie o niej. Przemysłał jeszcze raz swój plan i podjął decyzję. Uruchomił silnik, przesunął dźwignię zmiany biegów na pole oznaczone „D” i powoli wytoczył Camaro na dziurawy asfalt drogi E 67. Wrócił do Warszawy i z budki te-

lefonicznej zadzwonił do mieszkania Bergmana. Umówili się pod kinem Skarpa.

— Tu masz manele. Tyle udało mi się znaleźć w twoim pokoju. — Bergman wręczył Texasowi dwie spore walizki.

— Dzięki. Co z ciotką?

— Źle. — Bergman zwlekał chwilę z odpowiedzią. — Bolo jest przy niej w szpitalu, zabrali ją na Banacha. Nie, nie, nawet o tym nie myśl! — Bergman intuicyjnie odczytał intencje przyjaciela. — Nie możesz się tam teraz pokazać. Szpital jest pod obserwacją. Bolo występuje jako sąsiad, nic się nie martw, ciotka ma dobrą opiekę. Co zamierzasz? Na Wronią raczej nie możesz wrócić... kręcą się ciągle jakieś typy.

Texas patrzył przez chwilę tępo przed siebie.

— Jest coś jeszcze...

— Mów!

— Pani Maria, wiesz, ta co zawsze wszystko wie najlepiej, widziała całą tę chryję. Poszła na milicję złożyć zawiadomienie o pobiciu i porwaniu.

— I co?

— Nic. Na razie spisali zeznania, powiedzieli, że zajmą się tą sprawą, żeby cierpliwie czekać...

— Źle się stało, nie powinna nigdzie z tym chodzić. Mam nadzieję, że nie chłapnie nic na mój temat. Trudno, już za późno... Muszę się gdzieś zamelinować, dopóki sprawa nie przyschnie. Mam pewien pomysł...

— A gdzie będziesz dzisiaj spał?

— Póki co w wozie, potem się zobaczy...

— OK, jakby co, to dzwoń o każdej porze...

— Wiem, dzięki, stary... Adios!

— Trzymaj się!

Koniec roku szkolnego zbliżał się wielkimi krokami. Następnego dnia pojawił się wreszcie w szkole. Cierpkie uwagi wychowawcy klasy zbył lekceważącym milczeniem. Cekał w napięciu na ostatnią lekcję. Angielski. Po dzwonku został jako ostatni w klasie. Podszedł do niej, wyglądała na mocno zaniepokojoną.

— Pani profesor, mam prośbę. Czy mógłbym liczyć na pomoc?

— Prośbę? O co chodzi? — Głos zaczął jej drżeć, a twarz oblała się rumieńcem.

— Widzi pani, potrzebuję pomocy w tłumaczeniu słów pewnej piosenki. Próbowałem sam, ale... potrzebny mi fachowiec...

— Co to za piosenka? — Zapytała podejrzliwie.

— Właśnie nie wiem... nie znam wykonawcy, ani tytułu. Mam ją tu na kasecie.

— Ale tu nie mamy magnetofonu, więc jak..? — Na moment zapadło niezręczne milczenie.

Texas pomyślał, że nie będzie jej proponował przesłuchania kasyety w swoim Camaro, bo gotowa uciec, albo zemdleć. Należało podążać do celu możliwie najbardziej okrężną drogą.

— To może poprośmy dyrektora, on ma w gabinecie więź... — Zaryzykował.

— To już lepiej posłuchajmy u mnie... — Wyrwało jej się bezwiednie.

— Świetnie, kiedy mógłbym wpaść? — Podchwycił błyskawicznie Texas.

— Tylko, że mam taki mały remont kuchni i... — Próbowała się wykręcać pani Iza, bo czuła, że przez nieuwagę zabrnęła za daleko.

— Chętnie pomogę! — Zaofiarował się Texas. — Jakie narzędzia będą potrzebne?

O dziwo skapitulowała. Może po prostu nie miała pomysłu, jak z tego wybrnąć, grunt, że umówili się na następne popołudnie. Mieszkała w kamienicy niedaleko Rozbrat. Texas rozważał przez chwilę taktykę blitzkriegu i nawet zaczął lustrować okoliczne kwaciarnie w poszukiwaniu jakiegoś egzotycznego gatunku róż, ale ostatecznie zrezygnował. Nie chciał jej spłoszyć zbyt wczesnym atakiem. Postanowił najpierw dokonać głębokiego zwiadu, a potem improwizować w zależności od okoliczności.

Zjawił się punktualnie o piątej po południu. Ubrała się na wszelki wypadek w bezpieczny sweterek i džinsy, żadnych guziczków. Texas westchnął. W oczach miała panikę, a w głosie drżenie. W powietrzu tężało napięcie. Poza szkolnymi murami ich różnica wieku nie była już tak oczywista. Była od niego o głowę niższa.

— To może... zapraszam do pokoju... Tam mam magnetofon. — Dodała jakby na usprawiedliwienie.

Poszła przodem, a Texas gapił się bezczelnie na jej tyłek, wiedząc, że ona o tym wie. Kiedy się odwróciła kolor jej twarzy przypominał sztandar bratniego mocarstwa. Przycupnęli na składanej amerykance, na przeciwko meblościanki z epoki Karin Stanek. Podał jej bez słowa kasetę.

— Ależ to „Friends of Mr Cairo”! — Wykrzyknęła po kilku sekundach. — Lubisz Jona i Vangelisa?

— Uwielbiam. No i widzi pani, tajemnice same się przy pani rozwiązują... — Wyszeptał Texas, starając się nie patrzeć na jej biust.

— No proszę, ja też ich lubię... A więc interesują cię słowa tej piosenki? — Zaczęła ostrożnie i przesunęła się w najdalszy kąt amerykanki.

— Tak, muszę wiedzieć, o czym ona opowiada. — Texas niby mimochodem przysunął się do niej o centymetr i rozparł wygodnie wiedząc, że zwierzyna nie ma już drogi ucieczki.

— To aż takie ważne? — Pozwoliła sobie na zalotne spojrzenie, co w jej przypadku było czymś wręcz nieprawdopodobnym.

— Sprawa życia lub śmierci. Proszę mi pomóc i powiedzieć, o czym to jest!

— Dobrze, posłuchajmy jeszcze raz... — Przewinęła taśmę, znów rozległ się anielski głos Andersona.

— A więc, tak... — Odezwała się, kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki — ... dwoje ludzi ucieka przed policją, ich współnik jest ranny. Następnie jest opowieść o... — pomogła sobie przewijając taśmę — jakiejś kobiecie, opisanej jak w powieści Mickey Spillane'a. Przyszła w sobotnią noc... noc ciemnej maskarady... Sam Spade i jego kumpel... Archer... Zginął. Potem jakiś grubas... Miał ten towar... i też go zabili... Czy to ma jakiś sens dla ciebie?

— Olbrzymi, pani profesor, olbrzymi... — Texas przysunął się do niej o kolejny centymetr z wyrazem skupienia na twarzy. — Proszę kontynuować.

— Dobrze, a więc posłuchajmy dalej... Tamtej nocy, jakiś ciemny typ podsunął Samowi podwójny gin. Mickey Finn. To jakaś marka..? Nazwisko..? Nie wiem, nie wiem... Sam widocznie zasnął, bo potem obudził się. Nie było już chłopaków, ale została jego broń. Tamci zostawili list, aby go naprowadzić na trop... Sokoła Maltańskiego..? Niewiele z tego rozumiem, a ty?

— Coraz więcej... Historia się wyjaśnia... Pani jest wspaniała...proszę kontynuować. — Texas wciąż czekał z frontalnym natarciem, nie ma pośpiechu, niech swoją robotę wykona najpierw ciężka artyleria.

— Filmy gangsterskie z wczesnych lat trzydziestych... zachwyciły publiczność..

— Wiem... — Szepnął w jej stronę i znów ledwo zauważalnie skrócił dystans.

— Od Chicago do Hong Kongu... Brudne szczury prohibicji... nabiły kabzy gangsterom... — Głos lży drżał nieco, mówiła coraz mniej składnie, a Texas przysunął się jeszcze bliżej. Teraz patrzył prosto w jej oczy. — Obywatel Kane nadszedł szybko i zdobył Nowy Jork... — Całkiem się już zaplątała, a Texas zaczął odliczać w myśli sekundy do ataku.

— Proszę nie przerywać! To fascynujące!

— Nie najlepiej sobie radzę z takimi tłumaczeniami... Musiałabym mieć wydrukowany tekst, a tak...

— Proszę się nie przejmować. Jest pani boską tłumaczką... — Tu już nie wytrzymała jego spojrzenia, spuściła wzrok. Wydawało mu się, że od jej rumieńców zaczerwieńczyły się ściany w pokoju. Znów cofnęła taśmę i brnęła dalej.

— Dajcie mi Cagneya, albo Jimmy'ego Stewarta na prezydenta... Albo Edwarda G i tych wszystkich facetów, którzy zawsze strzelają między oczy... między oczy...

Przybliżył usta do jej ucha i szepnął:

— Mów dalej, błagam, nie przerywaj. — Czuł drżenie jej ciała.

— Nieme, złote kino, technicolor,... to było tak dawno temu... Ścieżki mojej młodości, wciąż takie czytelne, wyraźniejsze nawet od śladów moich stóp... Gwiazdozbiór, który śledziłam zachłannie... bardziej, niż uderzenia ukochanego serca... O Boże, żeby tylko znów ich zobaczyć... grających na srebrnym ekranie... o, tak! Clark Gable, Fairbanks, Maureen O'Sullivan... Fantazja wypełni moje życie, a ja tak kocham fantazję...

Przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się, wciąż wyczuwała tę dziwną magię. W tle słyszeli szum taśmy filmowej w starym projektorze. A potem nastąpiło to, czego oboje tak pragnęli. Przenieśli się w świat marzeń i dawno zapomnianych fascynacji. Ona na kilka ulotnych chwil wyzbyła się wstydu i przemieniła w księżniczkę z „Baśni Tysiąca i Jednej Nocy”, a on był dla niej Księciem z Bagdadu. Otworzył przed nią świat, o którym tylko śniła. Wzniesli się razem ponad wielką pustynię i żeglowali po niebie dając sobie nawzajem rozkosz, będącą dotąd przywilejem bogów.

Kiedy wrócili do rzeczywistości, muzyka przebrzmiała już dawno, cisza krzyczała w ich uszach. Podniósł się na łokciu, jakby dawał jej do zrozumienia, że musi iść.

— Może... zostaniesz...na noc? — Przywarła do niego.

Nie opierał się, został. Na tę noc i na następne.

— Wyjaśnisz mi o co w tym wszystkim chodzi? — Zaczął Spychowski.

— Tak, myślę, że nadszedł odpowiedni moment. Ale to długa historia, doktorze. Po pierwsze zwolnij. — Cedził Vadim, gapiąc się w ekran. — Utrzymuj 70 na godzinę, jedziemy za ciężarówką, to nie rajd. — Przypomniał. — Dobrze, na razie trzymamy się trasy E-7. O co chodzi, pytasz? Widzisz...

Vadim długo układał sobie tę przemowę. Spośród wielu możliwych metod werbunku wybrał chyba najdziwniejszą. Zamierzał mu po prostu powiedzieć prawdę. No, może nie całą. Jego dawny oficer prowadzący wpadłby zapewne w szal znając te zamiary, ale ostatecznie liczyła się przecież skuteczność, a w tym przypadku wskazane było właśnie niestandardowe podejście.

On i jego ludzie na przestrzeni ostatnich dwudziestu kilku lat robili to na wiele różnych sposobów. Kiedyś w dawnych, dobrych czasach różnej maści marksiści, trockiści, eurokomuniści i lewacy pomniejszego kalibru sami garnęli się do współpracy. Zachód pełen był cudownie naiwnych, lewicujących

intelektualistów. Wystarczyło tylko odpowiednio rozniecać ich rewolucyjny zapach. Vadim znał to z licznych wykładów i spotkań z weteranami sprzed lat. Wiele dekad później, na początku lat osiemdziesiątych było to już tylko piękne wspomnienie. Nowe kadry, które Moskwa zaczęła wykuwać na Zachodzie dwie dekady wcześniej, wtedy jeszcze nie były gotowe, dopiero dojrzewały. Niestety Centrala jakby utknęła mentalnie w latach trzydziestych. Nawet sam Andropow, człowiek wyjątkowo trzeźwo myślący (jak na członka KC), ciągle domagał się drugiego Philby'ego, kolejnej siatki z Cambridge. Wciąż pokazywał im, przyszłym rezydentom portrety tych czterech: Philby, Maclean, Blunt, Burgess (o Caincrossie jeszcze wtedy nie mówiło się głośno). Vadim w duchu wzruszał tylko ramionami, chociaż to przecież do niego przede wszystkim skierowane były słowa przewodniczącego. Ze względu na swoje kosmopolityczne wychowanie i legendę miał być drugim Arnoldem Deutschem. Nie miał co prawda żydowskich korzeni, ani aż tak fantastycznych kontaktów, ale pod wieloma względami został zaprojektowany na kształt i podobieństwo tamtego Wielkiego Werbownika. Deutsch, wyjątkowo utalentowany lis buszując w połowie lat trzydziestych w okolicach ośrodków uniwersyteckich Zachodniej Europy, złowił kurę znosząca złote jaja. Kim Philby, zdolny student Cambridge, komunizujący potomek arystokratycznego rodu, był idealnym kandydatem na kreta wewnątrz struktur administracji państwowej. NKWD udało się pozyskać również czterech znajomych Philby'ego ze studiów. Wszyscy, jako wzorowi absolwenci, zostali później pracownikami służb państwowych. Czyż można sobie wyobrazić skuteczniejszą siatkę szpiegowską? Przez dwadzieścia następných lat Centrala była na bieżąco informowana o większości operacji brytyjskiego wywiadu i kontrwywiadu. Tylko, że cała piątka wpadła w wyciągnięte ręce sowieckiego wywiadu będąc już ideowymi komunistami. Ich legenda była obecna w życiu Vadima od początku jego kariery zawodowej. Wciąż mu świecono w oczy tymi nazwiskami, ale on sam zdawał sobie sprawę, że to prehistoria. W odróżnieniu od swoich zwierzchników wychowywał się na Zachodzie i miał doskonale rozpoznanie w kwestii nastrojów i sympatii politycznych w Niemczech Zachodnich, czy we Francji. Komunizm przestał być aż tak atrakcyjny dla zachodnich elit. Owszem, sporo zbuntowanej młodzieży miało lewicowe skrzywienie, ale znaleźć ideowego komunistę, który zamierza zrobić karierę w aparacie państwowym, było w latach osiemdziesiątych rzeczą niemożliwą. Wiedział, że jest jeszcze za wcześnie. Trzeba było, póki co trochę poczekać... Nowi ludzie, produkt ery „dzieci kwiatów”, dojrzewali do swojego marszu przez instytucje, by za kilka lat przejąć kluczowe stanowiska w aparatach państwowych. Ale do tego czasu trzeba grać na innych zasadach.

Zachodnie kontrwywiady czegoś się jednak nauczyły na własnych błędach. Zresztą nawet lewicowcy trochę się w końcu opamiętali. Najpierw

wyszły na jaw błędy i wypaczenia Józefa Wissarionowicza, potem nobel dla Sołżenicyna za „Archipelag Gułag”. Wszystkie te nieszczęśliwe potknięcia na przestrzeni minionych dekad sprawiły, że szeregi pożytecznych idiotów zaczęły topnieć. W latach osiemdziesiątych presja wywierana przez konserwatywnego aktora w Białym Domu trwale odcisnęła się na działalności specjalistów takich, jak Vadim. Niestety, Centrala wciąż domagała się najwyższego wysiłku w poszukiwaniu potencjalnych następców Philby’ego. Do nikogo na szczycie nie docierało, że era wielkich ideowych agentów bezpowrotnie minęła. Późniejsze samorodki to wszystko po prostu chciwe, cyniczne sukinsyny, pominięci przy awansie nieudacznicy, hazardziści próbujący rozpaczliwie spłacić karciane długi, mszczący się na przełożonych desperaci. Chociażby Aldrich Ames „nasz chłopiec” w CIA, czy Robert Hanssen w FBI. Ale tacy ludzie zawsze mieli jakąś skazę na charakterze, która uniemożliwiała długoletnią aktywność. Zawsze w końcu wpadali przez nieostrożność, chciwość, alkohol, albo kobiety. Tak właśnie było z Amesem. Żyjąc ponad stan, w końcu zwrócił na siebie uwagę kontrwywiadu i został namierzony. Taka przynajmniej była oficjalna wersja. Znalazienie odpowiednich ludzi na wysokich stanowiskach stało się poważnym problemem. W latach siedemdziesiątych zaczęto stosować na masową skalę inną strategię. Wynikała ona z oczywistego wniosku, że nie trzeba od razu werbować szefa wywiadu, komendanta policji, czy dowódcy bazy lotniczej. Wystarczy zająć się ich sekretarkami. I tak, rozpoczęto „szturm na sekretarki”, głównie w Niemczech Zachodnich. Prekursorem nowej metody była wschodnioniemiecka służba wywiadowcza HVA. Ponętne pracownice zachodnioniemieckiej administracji tak łatwo ulegały urokowi podwładnych Markusa Wolfa, że Centrala postanowiła skopiować co ciekawsze scenariusze. Vadim nadzorował kilka takich operacji dekadę później, z niezłymi zresztą skutkami. Metody werbunku bywały najróżniejsze, ale ostatecznie zawsze pozwalano działać hormonom i prawom biologii. Każdy przypadek należało rozpatrywać indywidualnie. Tu nie było reguły. Sekretarki były stosunkowo łatwymi celami, wystarczyło tylko celnie rozpoznać ukryte żale, tęsknoty, marzenia i podsunąć odpowiednią „jaskółeczkę”. Vadim miał całą stajnię agentów, precyzyjnie wyselekcjonowanych ludzi, którzy potrafili zawrócić w głowie najbardziej wybrednej kobiecie. Była to delikatna materia i należało zachowywać wyjątkową ostrożność w czasie trwania operacji. Centrala zawsze przestrzegała przed zbyt frywolnym traktowaniem takich zadań, przed głupimi dowcipami, tak typowymi dla większości mężczyzn. Vadim starał się wymuszać na swoich agentach kliniczne podejście do obiektów działań operacyjnych. Rozpoznanie było bardzo szczegółowe, a pierwszy kontakt zawsze poprzedzano starannym przygotowaniem „agenta Romeo”. Sekretarki i wysocy funkcjonariusze państwowi byli w sumie tylko prostymi narzędziami służącymi do zdobywania

informacji. Werbunek sprowadzał się do gimnastyki seksualnej lub obietnicy wypłaty odpowiednich sum, czasem jedno połączone było z drugim. Od Spychowskiego nikt nie oczekiwał zdobywania strategicznych informacji, jego rola miała być zupełnie inna. Więc i sposób pozyskania agenta musiał być specyficzny. Vadim rozważał przez chwilę postawienie wszystkiego na szantaż, ale ostatecznie zrezygnował. Agent wpływu musi być przekonujący, współpraca nie może opierać się wyłącznie na strachu i nienawiści. To, że zmusił go do wykonania tego pierwszego drobnego zadania, przypominając niewygodną przeszłość, nie wystarczyłoby do długotrwałej współpracy, jakiej Vadim oczekiwał. Szantaż powinien i owszem czaić się gdzieś w przedpokoju, Spychowski musi czuć na dnie duszy przymus, ale nie może to być jedynym motorem jego działań. Ale jakiej użyć przynęty? Co może być wabikiem, za którym ten zamknięty w sobie, lekko gburowaty trzydziestokilkulatek mógłby podążyć? W tym przypadku jakiegokolwiek motywy ideologiczne można z góry wykluczyć. Pod tą szerokością i długością geograficzną, na początku XXI wieku nikt już nie da się złapać wprost na jakąkolwiek ideologię, sącząca się ze Wschodu. W każdym razie nikt tak inteligentny, jak ten tu. A może zwerbować go „pod fałszywą banderą”? Perspektywa kariery? Być może. Argumenty finansowe? Być może, ale nie wyłącznie one. Rosjanin postanowił zrobić coś zupełnie niestandardowego i zagrać w otwarte karty.

— Widzisz, doktorze, szukam pewnego człowieka. Kogoś, kto zawiódł pokładane w nim nadzieje i zakpił z zaufania, jakim go obdarzyłem.

— Jaki ma to związek ze mną?

— Zasadniczy. Zajmiesz jego miejsce. — Vadim zrobił pauzę, ale nie doczekawszy się reakcji kontynuował. — Przewidziałem dla ciebie dwie funkcje. Głównego archiwisty i snajpera.

— W obu przypadkach zawiódę. Nie cierpię kurzu i mam astygmatyzm.

— Pierwszą funkcję na razie zostawmy w spokoju. — Vadim uśmiechnął się lekko. — Przejdźmy do obowiązków snajpera. Podoba mi się twój styl felietonisty. Masz ostre, jadowite pióro, potrafisz w kilku słowach udowodnić każdemu mędrkowi, że jest idiotą. Robisz to z dużą biegłością i bez specjalnego wysiłku. To rzadki talent. Chodzi o to, żebyś go nie zmarnował. Będziesz się rozwijał. Jako socjolog masz szerokie pole do popisu. Możesz zostać dziennikarzem, komentatorem życia społecznego, redaktorem w telewizji, co sobie zamarysz. Dostaniesz się na łamy kilku pierwszoligowych dzienników, zaczniesz być cytowany, będziesz się pojawiać w obu wiodących stacjach telewizyjnych, udzielisz paru wywiadów radiowych. Słowem, staniesz się autorytetem. Każdy przeciętny zjadacz mediów, chcąc uchodzić za obytego intelektualistę, będzie cię cytował. Wkrótce żadna debata publiczna nie będzie mogła się odbyć bez twojego w niej udziału.

— I ty mi to umożliwisz, Rolf?

— Ja tylko pchnę cię w odpowiednim kierunku. Nadam ci pierwszą prędkość kosmiczną, żebyś mógł opuścić studnię grawitacyjną ściągnającą w dół wszystkich, którzy nie mają takiego zaplecza, jakie ty możesz mieć. Kiedy już osiągniesz orbitę, przejmiesz funkcję snajpera. Nie myśl, że jesteś jakimś wyjątkiem. Takich jak ty było już wielu i wielu jeszcze przyjdzie po tobie. Waszą rolą jest utrzymywanie równowagi światopoglądowej mas. Demokracja jest bardzo delikatnym systemem. Żeby uniknąć chaosu, trzeba uruchomić odpowiednie mechanizmy samokontroli. Przecież nie wolno dopuścić do tego, żeby ludzie zaczęli myśleć, co chcą. Do czego by to doszło?! Zresztą, niech by tam! Samodzielne myślenie to jeszcze pół biedy, ale wyobraź sobie, co by było, gdyby tak nagle ludzie zaczęli z tego myślenia wyciągać wnioski! Wtedy przy okazji wycieczek rodzinnych, dajmy na to do urn, mogliby, nie daj Boże, dokonywać samodzielnych wyborów. Demokracja demokracją, ale ludziom z ulicy nie można przecież pozwolić, żeby sami decydowali, kto ma nimi rządzić. To mogłoby doprowadzić do sporych nieprzyjemności. A tego byśmy nie chcieli... Dlatego potrzebni są tacy, którzy powiedzą ludowi, co ma myśleć, kogo lubić, kogo nienawidzić, a przed kim klękać.

— Kim ty naprawdę jesteś, Rolf? Niemcem, Holendrem? Dla kogo pracujesz?

— Nie domyślasz się, doktorze? Jestem rewizorem, jednym z tych, którzy pilnują tu porządku. Reprezentuję interesy jedyne go rzeczywistego dysponenta tej krainy. Krainy krnąbrnej i niewdzięcznej. Do tego całkiem pozbawionej poczucia rzeczywistości. Czasem nam się wymyka i zaczyna jej się wydawać, że Pani Historia zmieniła nagle zdanie i oto można pobrykać. Tak się działo w chwilach zawirowań, burz i niepokojów, kiedy imperia brały się za łąby. Jedni odchodzili, a drudzy jeszcze nie przyszli i powstawała tutaj próżnia, ziemia niczyja. Wtedy natychmiast odradzało się bezhołowie, podnosiła wrzawa, zamęt, jednym słowem chaos. Ale my zawsze w końcu wracamy i zaprowadzamy porządek. I teraz, doktorze będzie podobnie, kto nie wierzy, ten jest ostatni cymbał i z historii ma braki. Tylko, widzisz, zmieniają się metody. Dawniej wystarczyły bagnety i kilku generałów o swojsko brzmiących nazwiskach, ale dziś trzeba iść z duchem postępu. Dzisiaj wszyscy oszaleli na punkcie kolejnej chwilowej mody. Zabawa polega na tym, żeby lud wybierał sobie różne fikuśne kukielki, a potem pozwolił im występować na wszelkich możliwych scenach, okłaskiwał, przytakiwał, wygwizdywał, lub obrzucał zgniłymi jajami, w zależności od aktualnego nastroju. Nie pytaj mnie, jaki to ma sens, bo, słowo ci daję, że nie wiem. Grunt, że moda zatacza coraz szersze kręgi i stała się na tyle popularna, że lud, gdziekolwiek by to nie było, nie może się bez owej zabawy obyć. A skoro tak, to trudno, i my musieliśmy się w końcu przyłączyć do kółeczka. I nawet, powiem ci, bardzo to kółeczko polubiliśmy. Do tego stopnia, że tu stworzyliśmy nasze własne, eksperymentalne kółeczko,

żeby na żywym organizmie przekonać się, jak też to wszystko działa. Poza oczywistymi naukowymi korzyściami z eksperymentu, mamy też, tak całkiem po ludzku dużo frajdy. Bo też wyobraź sobie, ile przyjemności sprawia widok uśmiechniętego, radosnego ludu, któremu daje się złudzenie, że decyduje o czymś ważnym, że oto może sam rozporządzać swoim losem, że może się wypowiedzieć o swoich bólach, potrzebach, a czasem nawet, o zgrozo, dać upust swojemu niezadowoleniu. To cieszy i sprawia dużo satysfakcji. Ale każda zabawa, żeby była bezpieczna, musi mieć swoje granice. Nie może być tak, że lud w swoim płasie zapamięta się do tego stopnia, że uwierzy w prawdziwość tych igraszek. Że zacznie brać zabawę zbyt poważnie, wczuje się w rolę i naprawdę będzie chciał kiedyś podjąć jakąś samodzielną decyzję. Do tego dopuścić nie wolno. Dlatego nad całym eksperymentem czuwa Ktoś, by ktoś inny mógł się bawić. I nie myśl, doktorze, że jest to rola łatwa. Co i rusz gdzieś podnoszą się głosy tych, którzy mieli czelność nie pomylić nieba z gwiazdami odbitymi w tafli jeziora. Zawsze znajdują się tacy, co to muszą zadawać docieklive pytania i drażnić temat. Wystarczy jeden uparty zawodnik, który bez przerwy będzie starał się zadrzeć kurtynę i zajrzeć za kulisy przedstawienia, żeby pociągnąć za sobą innych. Ale najniebezpieczniejszy będzie ten, który swoimi wątpliwościami będzie koniecznie chciał się podzielić z ludem na szerszym forum. A dziś, sam wiesz, wszystko wolno mówić, pisać i drukować. Jest wolność, nikomu nie można zabronić wygłaszania własnych poglądów. Jak zatem nie stracić kontroli, zachowując jednocześnie pozory radosnej, nieskrępowanej zabawy? Powiedziałem, że kiedyś wystarczyły bagnety. Ale dziś ważna jest gra pozorów... Jak sądzisz, doktorze, gdzie dziś znajduje się serce całego systemu? Na kim spoczywa ciężar odpowiedzialności za utrzymanie stanu równowagi? — Vadim zawiesił na chwilę głos, jakby prowadził wykład. — Wybacz to banalne pytanie. Oczywiście takim ośrodkiem decyzyjnym, wyrocznią, cenzurą i policją w jednym są ludzie po drugiej stronie szklanych ekranów. To współczesne, że się tak wyrażę tajne służby. Kto kontroluje ten sektor, ten kontroluje państwo. My dawno temu postaraliśmy się, żeby tutaj współtworzyć i przejąć ten strategiczny resort i do dziś pozostaje on w naszych rękach. A ty zostałeś wyłowiony z tłumu i oto stajesz przed jedyną w twoim życiu szansą, żeby przejść na drugą stronę lustra. Tylko od ciebie zależy, jak tę szansę wykorzystasz.

Spychowski milczał, wpatrując się w drogę przed sobą. Vadim nie był pewien, czy to milczenie jest wyrazem podziwu dla wizji, jakie roztaczał, czy wręcz przeciwnie, oznaką lekceważenia. Zawodowa pewność siebie, nie pozwoliła wątpliwościom wytrącić się z rytmu. Kontynuował:

— Jeśli sądzisz, że proponuję ci brudną robotę przeciwko rodakom, to od razu mogę cię wyprowadzić z błędu. Robiąc to, co ci zaproponowałem, oddasz ojczyźnie nieocenioną przysługę. Twoi rodacy mają pewną przykrą cechę,

która objawia się w krytycznych momentach historii. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i instynktowi samozachowawczemu, zawsze wybierali najbardziej spektakularny sposób, żeby popełnić zbiorowe samobójstwo. I nawet można by to zrozumieć, gdyby metoda okazywała się skuteczna. Gdyby te ofiary przyczyniły się choć raz do odmienienia losu państwa. A to przecież zawsze było utopią. Ale wy nie umiecie uczyć się na własnych błędach. Ciągłe, z tępym uporem próbujecie iść pod prąd i zbieracie za to po dupie. Nam chodzi o to, żeby nadchodzące, nieuchronne koleje losu nie spowodowały tak charakterystycznych dla tubylczego narodu bezproduktywnych eksplozji furii. Znowu skończy się pacyfikacją, będzie krzyk, lament, znów w jakimś malowniczym lasku trzeba będzie kopać głębokie doły. Wiesz dobrze, że tak się to prędzej, czy później skończy. Ile możecie mieć tej „niepodległości”, no ile? Jeszcze pięć, dziesięć lat? Popatrz dookoła. Nikomu nie zależy na istnieniu takiej państwowości w tym miejscu na mapie. To sztuczny twór, który z zadziwiającym uporem wychodzi z nory za każdym razem, kiedy ktoś na Kremlu dostaje zapaści. Ale zapaść mija i do głosu dochodzi geopolityka. Więc apeluję do twojego poczucia realizmu, a wręcz polrealizmu. Słuchaj mnie bardzo uważnie, ważne jest, żeby zneutralizować przyszłych potencjalnych buntowników. Ważne nie tylko dla nas, również, a może przede wszystkim dla was. Zobacz, co zostało po ostatnich waszych fanaberiach. Do piachu poszli wszyscy, którzy stanowili naturalne bogactwo narodowe. Kwiat inteligencji, który mógłby przekazać prawdziwie cenne dziedzictwo przyszłym pokoleniom, został złożony w ofierze. I po co? Powiedz mi, po co? Dlatego, chyba najwyższy czas wyciągnąć naukę z tych doświadczeń i przyjąć dobrą radę: nie idźcie tą drogą! Oczywiście takie inteligentne dysputy możemy sobie prowadzić między nami, ludźmi zrównoważonymi, rozumnymi i pozbawionymi uprzedzeń. Niestety, nie wszyscy podzielają tak zdroworozsądkowy punkt widzenia.

— W tym, co mówisz jest jedna potężna nieścisłość. — Przerwał wreszcie milczenie Spychowski. — To przede wszystkim twoim mocodawcom zależy na tej pacyfikacji nastrojów. Boicie się, co? Panicznie boicie się, żeby nie pojawił się jakiś prawdziwy przywódca, który zbierze całe towarzystwo do kupy i znowu powie wam: Nie! Przed tym chcecie się zabezpieczyć, dlatego szukacie mniej lub bardziej świadomych kolaborantów, którzy przyspieszą proces całkowitego zaniku świadomości narodowej. Tak bardzo boicie się ducha Naczelnika?

— Doktorze, doktorze, apeluję o zachowanie właściwej perspektywy. Bać to się powinien słaby silnego. Tutaj jest nasz prywatny folwark, od dekad zarządzamy tą ziemią i ludem. Zoperowaliśmy wam umysły, już nie potraficie odróżnić dobra od zła, czarnego od białego. Mamy wprawę i doświadczenie. To naprawdę w waszym interesie leży, żeby nie stawiać oporu w krytycznym momencie. To się zupełnie nie opłaca. Oczywiście, dla nas wasz opór bywa

niecو kłopotliwy. Kłopotliwy, doktorze. Dla was skutki oporu zawsze są tragiczne. Rozumiesz różnicę? Dlatego w interesie obu stron leży schłodzenie waszych nastrojów.

— Przepraszam, że przerwę, ale czyje nastroje chciałbyś schładzać? Czy ty aby na pewno mówisz o współczesności? Czy nie cofnąłeś się o dobre kilkadziesiąt lat? Przecież tutaj już nikt nie ma najmniejszego zamiaru łapać za broń i wychodzić w pole. Te czasy dawno minęły. Tych, którzy mogliby wam w jakikolwiek sposób zaszkodzić posłaliście do wieczności, a w ich miejsce postawiliście nieco przygłupich, ale za to wiernych pacholków. Dzisiaj potomstwo owych pacholków jest w posiadaniu wszystkich aktywów, jakie pozostały po tamtym, najwspanialszym z ustrojów. A oni przecież nadal są wam bezgranicznie wierni. Natomiast ten, jak się wyraziłeś lud, jest już tak oglupiony, że nie tylko nie będzie się przeciwko czemukolwiek buntował, ale wręcz nie zrozumie tego, kto spróbowałby go nakłonić do jakiegokolwiek aktywności. Wystarczy, że będziecie nadawać w obu wiodących stacjach telewizyjnych seriale dla kucharek, a wszyscy będą szczęśliwi i zrobią, co im każą wasi ludzie. Więc o czym ty gadasz, Rolf, czy jak ci tam... Iwan, Giennadij?

— Możesz się do mnie zwracać, jak ci się żywnie podoba, doktorze, każde imię będzie odpowiednie... — Vadim wyglądał na lekko rozdrażnionego. — Twój tok rozumowania jest w zasadzie słuszny, ale... Każdy kij ma dwa końce. Głupim ludem jest nam łatwo sterować, to prawda, ale to działa w dwie strony. Powiedzmy, że pojawi się nagle jakaś osobowość, ktoś potrafiący skupiać na sobie uwagę mas...

— I co, zaczniesz tym masom przypominać, skąd ich ród? Tego się boisz, Wasyl? Wolne żarty! Powtarzam, tych, którzy byliby do tego zdolni pozbyłiście się dawno temu. Pozostało coś w rodzaju szkieletowej załogi, wyrobnicy, przystosowani do wykonywania najprostszych czynności. Nie masz się czym przejmować, Jurij.

— Jest takie powiedzonko, doktorze: lepiej zapobiegać, niż leczyć... Zwłaszcza, że kuracja może być bolesna.

— Na czym właściwie polegałaby rola snajpera, Siergiej?

— Możesz się już nie popisywać, wybierz jedno imię i konsekwentnie się go trzymaj. Jako snajper byłbyś odpowiedzialny za wyławianie i odstrzeliwanie tych krnąbrnych. Ot, powiedzmy pojawia się jakiś publicysta albo literat, który zaczyna przedstawiać ludowi rzeczywistość niezgodną z tą z oficjalnej wersji.

— Tej lansowanej w obu wiodących stacjach telewizyjnych?

— Tej samej. Publicysta produkuje się początkowo na łamach prowincjonalnych gazetek, ale wiesz jak jest. Z czasem trafia do grona czołowych oszłomów, a ponieważ jest sugestywny i ma dobry warsztat wkracza w końcu do pierwszej ligi. I zaczyna ludziom otwierać oczy na pewne kwestie. Kwestie, które absolutnie powinny być pozostawione w spokoju. Bo i po co komu wy-

woływanie starych straszyleł? A lud wytrzeszcza gały i nie wie, co o tym wszystkim myśleć. A to bardzo niebezpieczna sytuacja, jak lud się zaczyna wahać. Może nawet dojść do tego, że zacznie myśleć samodzielnie. I dlatego wtedy wkraczasz ty. Jako autorytet bezpardonowo mieszasz faceta z błotem. Będziesz miał do dyspozycji łamy wszystkich krajowych gazet, a i parę zagranicznych też się znajdzie. Swoim ciętym piórem z humorem i swadą posyłasz delikwenta na śmietnik.

— Cóż za wyrafinowane metody! A nie lepiej, żeby delikwent po prostu popełnił samobójstwo, albo umarł na jakąś egzotyczną chorobę?

— Żartujesz?! Wiesz ile dziś kosztuje gram polonu?! — Vadim zaśmiał się klepiąc Spychowskiego po ramieniu. — Poza tym bezpieczniej i skuteczniej jest po prostu ośmieszyć. I to właśnie będzie twoja rola. Twój głos zaraz podchwytną pozostałe media i powtarzają chórem jak echo ten sam przekaz. Facet jest skończony, zanim zacznie być groźny. Oczywiście nie wszyscy od razu przestaną go czytać. Zawsze znajdą się tacy, którzy na złość reszcie będą mieli swoje zdanie. Ale po pierwsze będą w mniejszości, a po drugie będą się bali przyklejenia łatki oszołomów. I nawet, jeśli pozostaną w głębi ducha pod wpływem argumentów owego publicyście, czy dziennikarza, to nie odważą się tego głośno wyartykułować. Na początek będziesz się zajmował ludźmi pióra, jakimiś niepokornymi pisarzami, dziennikarzami, ale z czasem, kto wie, może awansujesz do wyższej ligi. Może staniesz się kiedyś wyrocznią w światku polityki. Wtedy, przyjacielu, będziesz brał udział w znacznie większych, piętro-wych wręcz kombinacjach. Wyobraź sobie takie oto zadanie: jakieś wydarzenie, siła polityczna, a może pojedynczy człowiek staje się niewygodny i trzeba mu zrobić właściwą *publicité* na arenie międzynarodowej i na rodzimym podwórku. Przepis jest następujący: nasze środki aktywne (czyli jakiś twój kolega po fachu) gdzieś w wolnym świecie, powiedzmy we Francji, publikuje w pewnej prowincjonalnej gazetce artykuł kompromitujący nasz cel...

— Gazetka jest oczywiście postępową? — Upewnił się Spychowski.

— Brawo! Widzę, że łapiesz w lot. Otóż następny krok polega na tym, że ty w jakimś krajowym opiniotwórczym dzienniku piszesz artykuł o podobnej wymowie i dla podkreślenia trafności swoich spostrzeżeń cytujesz francuskiego kolegę z owego postępowego pisma. I oto mamy już dwie podobne wypowiedzi uznanych dziennikarzy. Zauważ, że obie pochodzą z niezależnych od siebie źródeł i do tego z różnych krajów! Teraz pora na krok trzeci. Tym razem do akcji wkracza prawdziwy gigant medialny z Włoch, Wielkiej Brytanii, czy wręcz zza oceanu.

— W nim też, rzecz jasna działają wasze środki aktywne?

— I owszem, ale twój tok rozumowania jest tym razem całkiem błędny, bo teraz zaczyna już działać zasada domina. Ktoś, całkiem niezależnie od nas, po prostu zauważył rosnące niezadowolone niezależnych mediów z działań,

przyjmijmy dla uproszczenia, osoby i zwyczajnie podchwytuje melodię. A potem rusza lawina i cel zostaje zniszczony. Światowa opinia publiczna jest już dobrze poinformowana i wie, co o tym myśleć. Jeśli się sprawdzisz, możesz wysoko zajść. Tylko pomyśl, doktorze, garstka wybrańców będzie dyrygowała umysłami milionów. Jeśli wstąpisz w nasze szeregi, sięgniesz wzrokiem horyzontów, o których nawet nie mogą marzyć ci na dole piramidy. Sam widzisz, że twoja rola będzie nad wyraz klarowna. Z naszym wsparciem czeka cię kariera, o jakiej nie śniłeś.

— A bez waszego wsparcia? Co będzie, jeśli odmówię?

— No cóż, jeśli wybierzesz własną drogę będziesz skazany na wielką, niekończącą się samotność. Będziesz, jak wszyscy maluczcy, pukał grzecznie do różnych drzwi, a odpowiedzią zawsze będzie milczenie. Skażesz się w ten sposób na egzystencję poza głównym, obowiązującym nurtem. Będziesz żył ze świadomością, że posiadając błyskotliwy umysł, talent, warsztat zawodowy i szerokie horyzonty myślowe wciąż uderzasz o jakiś niewidzialny mur, który uniemożliwia ci rozwinięcie skrzydeł. Twój tak charakterystyczny cynizm stopniowo zamieni się we frustrację, powoli staniesz się zgorzkniałym, pozbawionym złudzeń nieudacznikiem, jakich wielu spotykasz na swojej drodze. Wtedy przypomnisz sobie naszą rozmowę i propozycję, którą tak nieroztropnie odrzuciłeś. I wtedy, doktorze zapłaczesz nad swoim losem i będziesz chciał zaoferować swoje usługi. Ale będzie już za późno, nikomu nie będziesz już potrzebny. Będziesz zwyczajnie za stary, budowanie autorytetu, nawet z naszą pomocą, musi trochę potrwać...

— A jeśli pójdę z rewelacjami, które od ciebie usłyszałem do oszołomów? Jeśli nagłośnię naszą rozmowę i opowiem o mechanizmach, jakimi się posługujecie?

Vadim wyraźnie się ożywił, jakby czekał na to pytanie.

— Doskonale, prześledźmy ten scenariusz! Powiedzmy, że zainteresujesz naszą rozmową kogoś w miarę wpływowego. Skupmy się na środowiskach nam niechętnych. Powiedzmy, że udzielisz wywiadu, albo opublikujesz artykuł w jakiejś peryferyjnej gazecie. Powiedzmy nawet, że echa twoich wynurzeń dostaną się w jakiś niepojęty sposób do pierwszego obiegu. Wiesz, co się wtedy stanie?

— Wiem, okaże się nagle, że jestem byłym złodziejem samochodów...

— E tam, wcale nie trzeba będzie sięgać tak głęboko. Po prostu, ktoś inny, jakiś ambitny młody człowiek, który nie odrzucił naszej intratnej propozycji skieruje na ciebie swój celownik i kilkoma celnymi strzałami pośle cię w niebyt medialny. Jeśli dalej będziesz się stawiał, publikował swoje spiskowe teorie i walczył o zainteresowanie, rozpoczniemy kontrofensywę. Pojawią się fale SMS-ów i mailingów kompromitujących pana Spsychowskiego. Twoje rewela-

cje zostaną wyśmiane, na salonach będą krążyły dowcipy o twoich urojeniach, może nawet ktoś napisze o tobie skecz kabaretowy...

— Czyli nie mam wyboru?

— Ależ masz, doktorze. Człowiek tym różni się od reszty stworzenia, że posiada wolną wolę. Przecież ja cię do niczego nie zmuszam. Przedstawiam ci tylko różne konsekwencje twoich decyzji. Co z tym zrobisz, to już twoja sprawa. Nie musisz mi odpowiadać od razu. Dam ci trochę czasu do namysłu, ale nie myśl, że masz przed sobą wieczność...

— A ta druga rola, jaką dla mnie szykujesz? Mówiłeś coś o archiwum, jeśli dobrze pamiętam...

— Wszystko w swoim czasie, doktorze. Najpierw pomyśl o pierwszej propozycji. I zwolnij, nie chcemy przecież wyprzedzić lawety. Dobrze, tak trzymaj, zaraz miniemy Białobrzegi...

Laweta ze Stratosem konsekwentnie kierowała się na południe. Vadim przez chwilę wpatrywał się tępo w punkt na ekranie. Czyżby renegat ukrył się w Krakowie? Mało prawdopodobne, w dużym mieście byłby łatwy do namierzenia. Vadim rozesłał wici do swoich kontaktów w większych ośrodkach w kraju. Przez pewien czas prowadził za pośrednictwem siatki informatorów poszukiwania, które jednak nie dały rezultatu. Tamten przepadł jak kamień w wodę. Rosjanin nie mógł uwierzyć, że człowiek, którego wybrał, był aż tak bezczelny i pewny siebie, że postanowił się usamodzielnić. Przez pierwszych kilka lat działalności wywiązywał się wzorowo ze swoich obowiązków. Otworzył biuro detektywistyczne i agencję ochrony, która jednak z ochroną czegokolwiek nie miała nic wspólnego. W rzeczywistości była to bardzo nowoczesna komórka wywiadowcza. Vadim nie żałował pieniędzy na sprzęt i personel. Jego człowiek wynajął grupę ludzi związanych z resortem, którzy prowadzili samodzielne gry operacyjne. W ich wyniku zebrano całkiem okazały materiał, który stał się zalążkiem gigantycznego archiwum. W zasadzie każda znaczniejsza persona w kraju miała tam swoją kartotekę. Finansiści, przedsiębiorcy, politycy, oficerowie armii i policji stanowili cele dla sprawnego, profesjonalnego zespołu inwigilacyjnego. Dane z życia te jawne i te, o których nikt nie chciałby rozmawiać trafiały do komputerów, gdzie były odpowiednio filtrowane i archiwizowane. Wszystko działało jak w precyzyjnym zegarku. Do czasu. Vadim kontaktował się ze swoim człowiekiem raz, dwa razy do roku, kontrolował stan archiwum i wypłacał uzgodnioną sumę. Przez kilka lat maszyna działała bez zarzutu. Aż pewnego razu tamten nie przybył na spotkanie. Zgodnie z planem Vadim ponowił próbę kontaktu, znowu bez skutku. W jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Sprawdził adres, pod którym tamten był zameldowany. Okazało się, że wyprowadził się kilka mie-

sięcy wcześniej, nie zostawiając żadnego kontaktu. W tym miejscu urywały się wszystkie tropy, widać było, że facet dobrze się przygotował do zejścia ze sceny. Co planował? Czyżby chciał samodzielnie rozegrać jakąś partię szachów? Czyżby właśnie zaczął rozstawiać pionki na szachownicy? Był do tego zdolny. Dawno temu Vadim oceniał go jako brutalnego, bezwzględnego ale w sumie dość ograniczonego osobnika. Później, już w trakcie trwania operacji zrewidował swoją opinię. Facet wykazał nie tylko wielkie talenty organizacyjne, ale też pewną przenikliwość i lotność w prowadzeniu projektu. Ale najwyraźniej poczuł się zbyt pewny siebie. Cóż, skoro wybrał taką drogę, sam przypieczętował swój los. Buta i zwykła bezczelność zawróciły mu w głowie na tyle mocno, że zupełnie stracił rozeznanie w sytuacji. A może wykalkulował sobie, że jeśli Vadim przez tyle lat grał samodzielnie, bez wiedzy centrali, to lojalność wobec niego traci sens. Że teraz są sobie równi, a zwycięży ten, który zaatakuje pierwszy. Czy mógł być aż tak naiwny? Kto wie, kto wie... Vadim znów wrócił myślami do swojej decyzji sprzed lat. Czy on sam jest już zdrajcą? Czy gromadzenie własnego archiwum, wbrew wszelkim regułom, dyskwalifikuje go jako członka tej specyficznej rodziny? Zawsze miał świadomość, że jest tylko małym trybikiem w tym mechanizmie. To był jego świat, z niego wyrastał, do niego należał. Na zawsze. I był lojalny. Z początku przyniatała go świadomość, że jego los został zapisany dawno temu, gdzieś w żółtawym gmachu przy Placu Łubianki, a on może tylko realizować scenariusz, czując na sobie wzrok Wielkiego Manipulatora. Z czasem pojął, że tak, jak zwykli, szarzy ludzie identyfikują się z krainą, w której żyją, strukturą państwową albo społecznością, do której należą, tak on całym swoim jestestwem należy do tej niezwyklej organizacji. Cóż to za przedziwny organizm! Dla postronnego obserwatora były to różne, powstające i upadające twory państwowe służące różnym panom, systemom i celom. Ale Vadim znał gada od podszewki, wiedział o nim więcej, niż ktokolwiek inny. Kochał go i nienawdził, gardził i podziwiał zarazem. I wiedział, że jest jakaś nieuchwytna ciągłość pomiędzy poszczególnymi etapami trwania tego tworu. Od Krwawego Feliksa przez Jagodę, Jeżowa, Berię, Andropowa, Kriuczkowa, aż po dzień dzisiejszy, mimo pozornie zmieniających się systemów, zewnętrznych znamion władzy, sojuszy i wrogów, tu toczyła się wciąż ta sama gra. Gra o panowanie na Wschodzie i manipulowanie resztą świata. Bez względu na to, kto aktualnie był u steru, tuż obok, pod dywanem w szalonym tańcu walczyły o wpływ wściekłe psy. Aż nadszedł niepokojący rok 1991. Wszystko zachwiało się w posadach, rozpoczęła się kolejna faza przemiany. Już wcześniej Vadim zaczynał mieć problemy z lojalnością swoich ludzi. Nielegałowie, których prowadził w Niemczech, zaczęli się buntować, byli zaniepokojeni nadciągającymi zmianami. Bali się. Skoro imperium upada, co będzie z nimi? Większość była w stu procentach zależna od Centrali. Jeśli system się rozleci,

komu będą służyć? Kto obroni ich przed zachodnim kontrwywiadem, jeśli Moskwa się od nich odwróci? Wielu nie wytrzymało presji i przedwcześnie zdradziło, chcąc ratować skórę i sprzedać się póki ich rewelacje były jeszcze coś warte. Jeśli Vadim kiedykolwiek żywił jakieś gwałtowniejsze uczucia i kogoś nienawidził, to właśnie tych uciekinierów, jak szczury opuszczających tonący statek. Czas pokazał, jak głupi i krótkowzroczni się okazali.

Nikt, poza bardzo nielicznymi wyjątkami nie rozumiał, co się wtedy wydarzyło. A przecież nie był to wcale precedens.

Pierwszy poważny kryzys zagroził państwu robotników niedługo po Rewolucji Październikowej. W roku 1921 system gospodarczy nowego tworu politycznego zaczął się rozpadać. Długotrwała wojna domowa, fiasko prób rozpalenia żagwi rewolucji w Europie Zachodniej, izolacja polityczna, wszystko to doprowadziło do gigantycznej zapaści, która bezpośrednio zagrażała nowemu państwu. Jeśli reżim miał przetrwać, Lenin musiał natychmiast znaleźć remedium na katastrofalną sytuację. Jednak co można było w tej sytuacji zrobić? Potrzebne były pieniądze. Duże pieniądze. I trochę spokoju, żeby wzmocnić władzę i dokończyć dzieła sowietyzacji. Ale jak tego dokonać, skoro zachodnie państwa, jedyny rezerwuwar środków finansowych, może i niezbyt chętne do zbrojnej interwencji w obronie kontrrewolucji, to jednak wciąż pozostawały wrogie wobec nowego systemu politycznego? Jak przekonać wroga, żeby sypaną kredytami i rozluźnił blokadę gospodarczą? Zadanie, zdawało by się niewykonalne, dla geniuszu Włodzimierza Ilicza okazało się jednak igraszką. Wystarczył prościutki trik. Czego właściwie domagały się zachodnie państwa od rewolucjonistów? Otóż domagały się liberalizacji systemu, powrotu do gospodarki rynkowej, zniesienia terroru. Aha, pomyślał Włodzimierz Ilicz, tylko tyle? To wam wystarczy, żeby uruchomić życiodajne kredyty i inwestycje? No to macie! Proszę bardzo! Oto komunizm się na waszych oczach zliberalizuje! I tak w krótkim czasie wprowadzono w pewnym zakresie reprivatyzację i wpuszczono zachodnich inwestorów, którzy licząc na szybki zysk ożywili sowiecką gospodarkę, budując fabryki i udostępniając najnowocześniejsze technologie, czyli sprzedając słynny sznur, na którym później tak usilnie próbowano ich powiesić. Oprócz tego ogłoszono amnestię, a nawet zaproszono białą emigrację do powrotu do ojczyzny. Proszę, jak pięknie komunizm się przemienił z krwiożerczego, nieludzkiego totalitaryzmu, w system miłujący życie jednostki, wolny rynek i zachodnie standardy! Antykomuniści na całym świecie stracili w ten sposób wszelkie argumenty. No bo skoro komunizm się liberalizuje i humanizuje...

Rzecz jasna cały ten teatrzyk nie trwał długo, po kilku latach, już nie Lenin, ale całkiem nowy, lecz równie mocno miłujący pokój przywódca, jednym ruchem wąsa przywrócił porządek, a tych, którzy szczerze uwierzyli w liberalizację wysłał prewencyjnie na zwiedzanie bezkresnych lodowych

krajobrazów. Albo po prostu do piachu. Natomiast cały ten leninowski fortel zapisał się w historii jako *Nowaja Ekonomiczeskaja Politika*, w skrócie NEP, a jego efektem było zbudowanie fundamentów sowieckiej potęgi militarnej, z którą potem przez kilka dekad Zachód miał boleśnie uwierający problem zwany Zimną Wojną.

Kiedy Ojciec Narodów, Wielki Językoznawca i Chorąży Pokoju w jednym, odszedł z tego świata, powstała po nim próżnię polityczną zagospodarował jeden z jego najwierniejszych poddanych, zasłużony wykonawca czystek lat trzydziestych, Nikita Chruszczow i aby zatrzeć niezbyt miłe wrażenie, jakie na zachodnim świecie wywarł poprzednik, ogłosił ni mniej, ni więcej, tylko, tak jest, liberalizację systemu! I tym razem był to moment szczególny w dziejach. Wcale nie dlatego, że znów cały wolny świat ponownie uwierzył w szczerość intencji reformatora. Głupota zachodnich elit intelektualnych nie była wtedy już niczym niezwykłym. Wyjątkowość tego etapu polegała na tym, że dwóch wybitnych teoretyków marksizmu—leninizmu, Szelepin i Mironow, zauważyło wtedy niesłychany potencjał pomysłu Lenina. Skoro już raz okazał się tak skuteczny, to niby czemu nie zastosować go po raz drugi? Moment był odpowiedni, bo przecież właśnie następowała kolejna szczerza liberalizacja. Ludzie wychodzili z więzień, wszyscy się radowali, więc czemu by nie wprowadzić przy okazji w życie kolejnego, tym razem już dużo bardziej zaawansowanego i obliczonego na znacznie dłuższy okres NEP-u?

I tak powstał wielopłaszczyznowy plan strategicznej dezinformacji, w którym wykorzystano doświadczenie nie tylko wieloletnich oszustw rodzimego chowu, ale też nauki pewnego genialnego starożytnego stratega i teoretyka wojskowości, Sun Tzu, który skuteczny fortel przekładał nad klasyczne działania militarne. No bo po co prowadzić kosztowną wojnę przy użyciu armii, skoro wroga można tak otumanić, żeby sam się rozbroił? zresztą, rozbrojenie to jedno, ale gdyby tak jeszcze udało się równoległe zrealizować główny cel Lenina i zaaplikować komunizm Zachodowi bez kosztownej i bądź co bądź ryzykownej wojny nuklearnej? Gdyby sami, bez militarnego przymusu przyjęli nowy system? Niewykonalne? Tak wam się tylko wydaje! Taki właśnie był długoterminowy cel nowej strategii Kremla, a Vadimowi przyszła w udziale realizacja końcowych etapów planu. Dlatego jako wtajemniczony z pogardą przypatrywał się zdrajcom, którzy przyjmując pozory rozpadu systemu za faktyczną słabość, odwracali się od swoich mocodawców, by szukać ratunku u ofiar całej kombinacji operacyjnej.

Nawet w czasie „Wielkiej Smuty”, jak to niektórzy określali, za Jelcyna, mimo zmiany nazwy i części struktur, Centrala ani na chwilę nie zapomniała o swoich aktywach. Fakt, budżety już nigdy nie były tak wielkie jak w poprzednich dwóch dekadach, ale priorytety pozostały takie same. Bitwa toczyła się nadal, tylko pod innymi barwami klubowymi. Vadim na długo przed

tą niespodziewaną zmianą podjął swoją życiową decyzję. Może górę wziął jego niereformowalny indywidualizm, a może po prostu się przestraszył. Tak, strach mógł mieć tu zasadnicze znaczenie. Vadim bał się, że może podzielić los Philby'ego.

Dawno temu, jeszcze za życia Andropowa, jako młody oficer brał udział w obowiązkowych spotkaniach z najjaśniejszą gwiazdą Pierwszego Zarządu Głównego. Oto wielki Kim Philby! Pokazywano go im, jak małpę w klatce, miał być dla nich symbolem wierności idei i drogowskazem w pracy zawodowej. Efekty były dalekie od zamierzonych. Oczy Vadima wyławiały wiele z tego, co starzec próbował za wszelką cenę ukryć. Frustracja, rozczarowanie i wściekłość. Wtedy narodził się strach, że jego całe życie może wyglądać podobnie. Patrzył oto na człowieka, który poświęcił wszystko, całą swoją karierę, autorytet, oddając się bez reszty idei, która jak sądził odmieni świat. Oto przykład prawdziwego idealisty! Wyparł się wszystkiego, co kiedykolwiek kochał i poszedł na służbę do nowych panów. Przez prawie trzydzieści lat oddawał nieocenione usługi pierwszemu w świecie państwu robotników, wierząc, że zajmuje wysokie miejsce w hierarchii organizacji, której był tak wierny. Liczył na wysoki stopień oficerski, kto wie, może nawet generalski. Przecież był tego wart! Nigdy przedtem i nigdy potem Centrala nie miała nikogo tak cennego. Ale kiedy wreszcie w 1963 roku po zdemaskowaniu musiał szukać azylu w Moskwie, okazało się, że Philby ma status zwykłego agenta, nie tylko nie przyznano mu stopnia generalskiego, ale nie miał nawet patentu oficerskiego. Był po prostu szczytowym osiągnięciem w procesie kształtowania pożytecznych idiotów. Otumaniony barwną wizją nowego ładu, wykreował w swojej głowie obraz utopijnego świata, w którego budowę zainwestował wszystko, co miał. Dopiero zderzenie z rzeczywistością realnego komunizmu sprawiło, że pojął swój błąd. Największy błąd, jaki popełnił w życiu. Ale było już za późno, już znalazł się po drugiej stronie, zostawiając za sobą spalone mosty. Musiał zdać się na łaskę swoich cynicznych gospodarzy. A ci uważali go za jednego z wielu, jego teczka personalna spoczęła obok setek innych i stopniowo pokrywała się coraz grubszą warstwą kurzu. Po tym wszystkim, po tylu wyrzeczeniach, po wieloletnim nadstawianiu karku, jego przyjaciół nie stać było na przyznanie mu tak przecież skromnego dowodu uznania jak stopień oficerski! Vadim znał dobrze kulisy jego historii. Patrzył z politowaniem na starego, śmiertelnie zawiedzionego, zniszczonego alkoholem człowieka, a widział siebie za kilkadziesiąt lat. Skoro sam wielki Kim Philby został potraktowany, jak numer w statystyce, to co może czekać jego, skromnego nielegalego odwalającego nieefektywną, żmudną robotę? Przecież mogli go potraktować tak samo. Że co, że formalnie miał obywatelstwo, stopień wojskowy i należał do grona wtajemniczonych? To niewiele znaczyło. Całe swoje życie spędził poza krajem. Takich nigdy nie obdarza się pełnym zaufaniem, bo

są wystawieni na zbyt wiele pokus. Człowieka takiego jak on, wychowanego na Zachodzie, związanego z tamtą rzeczywistością, choćby miał najwspanialsze zasługi nie wolno wtajemniczyć we wszystko, musi na zawsze pozostać tylko narzędziem. Patrząc wtedy na starego Anglika zrozumiał, jaką naprawdę rolę mu wyznaczono. Świadomość ta towarzyszyła mu przez lata, dojrzewała w nim, pulsowała w miarę zagłębiania się w działalności operacyjnej.

Kim właściwie był? Która z przygotowanych legend była mu najbliższa? Nie potrafił myśleć o sobie inaczej, niż w kategorii lepiej, lub gorzej przygotowanych życiorysów. Nazwiska i paszporty. Jego historię pisał ktoś za niego. On realizował tylko coraz to nowe scenariusze. Był aktorem, udawanie stanowiło treść jego egzystencji. Różni reżyserzy korygowali wszelkie odstępstwa od rozpisanej roli. Lalka na uwięzi. Żenił się ze wskazanymi kobietami i na rozkaz je porzucał. Wzbudzał zaufanie łatwowiernych współobywateli, wykorzystywał ich naiwność i zaprzęgał do wielkiej maszyny, której ogrom nawet dla niego był czasem niepojęty. Brnął wciąż naprzód popychany siłą niewidocznego dla szarych jednostek mechanizmu. Nauczono go, by nie skupiać się na poznaniu celu swoich działań. To nie należało do jego obowiązków. Ale czy można całkiem zobojętnieć? Czy da się uniknąć zadawania pytań? Czy można uciec od własnych korzeni? Czy można oszukać swoją naturę? Chciałby mieć taką moc. A może to tylko kwestia silnej woli? Może wystarczy po prostu bardzo chcieć i uda się oszukać swoje przeznaczenie? Kiedyś wierzył, że to możliwe, że wszystko zależy wyłącznie od motywacji, ale czas wyleczył go z tych złudzeń. Zrozumiał, że musi grać dalej. Czasem tylko dopadał go atak kryzysu osobowości, coś wewnątrz wyło rozpaczliwie domagając się odpowiedzi. Skąd przyszedł, dokąd zmierzał? Duch kosmopolityzmu ścisnął go coraz mocniej za gardło. Pytania, pytania... Niebezpiecznie jest pytać.

Rozważał rzecz jasną opcję, z której skorzystało wielu jemu podobnych. Przejść na drugą stronę, sprzedać za godziwą cenę całą swoją wiedzę. Uzbroić Zachód w informacje, dać ich politykom skuteczny oręż do walki z niedostrzegalną inwazją. Bawił się tą myślą, uśmiechając się gorzko w duchu. Przejść na tamtą stronę? I co potem? Walić głową w mur, próbując przekonać tych ślepców, że zmierzają prostą drogą do samozagłady? Że jeśli nie zawrócą z drogi kompromisów, to za jakiś czas ich wygodny, dostatni świat przejdzie do historii? A może powiedzieć im, że każde inne działanie niż walka, wzmacnia tę drugą stronę? Przekonywać, żeby przestali wreszcie rozmawiać, bo dialog z komunizmem jest jak stąpanie po ruchomych piaskach, zawsze kończy się wessaniem w bezmiar dezinformacji? Zmagać się z całą armią agentów, których między innymi on sam poumieszczał we wszystkich strategicznych punktach?

Wiedział dobrze, że przegra z kretesem tę kampanię. Pójdzie już przetartą ścieżką. Znał dalszy ciąg tego wariantu. Stanie się drugim Golicynem. Ta myśl go zmroziła.

W 1961 roku major Anatolij Golicyn, błyskotliwy analityk pracujący w tej samej firmie, co teraz Vadim, oddał się w ręce Centralnej Agencji Wywiadowczej. Wtedy, na samym początku tej historii nikt jeszcze, łącznie z samym Jamesem Angletonem, szefem kontrwywiadu CIA, nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tego człowieka. Jednak informacje, które stopniowo ujawniał przesłuchiwany w ściśle strzeżonej warowni niedaleko rzeki Choptank, w stanie Maryland, oficer, jedna po drugiej okazywały się bezcenne dla Agencji. Dzięki nim likwidowano kolejne siatki szpiegowskie, penetrujące struktury zachodniego świata. Nie obyło się bez skandali międzynarodowych. Przybysz zza Żelaznej Kurtyny opowiedział o przygotowywanej w Moskwie operacji uwikłania francuskiego wywiadu w kradzież danych technicznych amerykańskich pocisków raketowych i przekazaniu ich Rosjanom. Innymi słowy mówiąc, SDECE miała być według Golicyna do tego stopnia spenetrowana przez KGB, że działająca w jej szeregach sowiecka siatka szpiegowska prowadziła na terenie USA regularną działalność na rzecz Moskwy. Te rewelacje zatrzęsły stosunkami francusko-amerykańskimi. Kennedy wystosował wtedy notę dyplomatyczną do prezydenta De Gaulle'a z informacją, że jego najbliższe otoczenie wymaga oczyszczenia ze szpiegów. Nie wpłynęło to najlepiej na samopoczucie Francuza, ale wydał on odpowiednie rozkazy i do Stanów pojechała wkrótce tajna delegacja mająca przesłuchać Golicyna (któremu nadano kryptonim Martel) pod kątem jego francuskich rewelacji. Ten opowiedział przybyszom, że osobiście brał udział w przygotowywaniu planu i że wkrótce nadejdzie z Paryża do francuskiej oficjalnej placówki wywiadowczej w USA rozkaz zbierania informacji o amerykańskich pociskach. Niedwuznacznie zasugerował przy tym, że rzeczywistym autorem pomysłu jest Moskwa. Philippe Thyraud de Vosjoli, szef francuskiego wywiadu w Stanach, zareagował dość histerycznie, atakując Golicyna, że ten został podstawiony przez sowietów po to, żeby doprowadzić do rozłamów pomiędzy sojusznikami w NATO. Vosjoli po kilku miesiącach zmienił jednak zdanie, kiedy to dostał z Francji rozkaz stworzenia siatki agentów do zbierania informacji o amerykańskich bazach raketowych. Golicyn okazał się wiarygodny, a on się pomylił. Tak doszło do zdemaskowania tzw. „Sapphire Affair”, sowieckiej infiltracji francuskiego wywiadu, a również Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Departamentu Obrony. Czy Francuzi okazali wdzięczność Golicynowi i CIA? Nic bardziej mylnego! De Gaulle obrażony do żywego na wiele lat ograniczył współpracę z Amerykanami, którzy byli na tyle bezczelni, że wytknęli jego gabinetowi tak drastyczną niekompetencję. Podobnie potraktował Golicyna. Ten jednak za nic mając sobie taki afront kontynuował

swoje zeznania sugerując między innymi, że podobna sytuacja ma miejsce w samej CIA. Tego było już za wiele! Wskazanie, jednego, dwóch kretów działających gdzieś na obrzeżu Agencji można było jeszcze zaakceptować, ale sugestie, że cała organizacja jest spenetrowana od środka były po prostu dla większości oficerów stykających się z Rosjaninem zbyt fantastyczne, żeby w nie uwierzyć. Poza tym przyjęcie jego tez skutkowałoby koniecznością gigantycznej restrukturyzacji firmy, a na tym nikomu z najwyższych urzędników nie zależało. Abstrahując już od tego, czy byli wśród nich agenci, czy nie. I tak Golicyn stał się obiektem zaciekłych ataków mających źródło wewnątrz CIA, w myśl zasady, że niewygodne fakty lepiej zignorować i nie drążyć tego tematu. Jego jedynym liczącym się zwolennikiem pozostał Angleton. Kolejny cios wymierzili Golicynowi byli pracodawcy. Niedługo po jego ucieczce, na stronę amerykańską przeszedł niejaki Jurij Nosenko, człowiek podający się za wysokiego oficera KGB. Vadim wiedział jednak, że był to podstawiony figurant, którego legenda z nie do końca zrozumiałych przyczyn została spreparowana tak nieudolnie, że został dość szybko zdemaskowany. Mimo to główny cel, w jakim Nosenko został wysłany — odwrócenie uwagi Agencji od Golicyna – został osiągnięty. Taki był początek wielkiej operacji KGB dyskredytującej tego najważniejszego uciekiniera, jaki kiedykolwiek przedostał się na Zachód i mógł potencjalnie wyrządzić sowietom wielkie straty. Nosenko po utracie wiarygodności został na trzy lata zamknięty w odosobnieniu i poddany serii przesłuchań. Jego zeznania były wzajemnie wykluczającymi się bredniami, ale ostatecznie nigdy nie przyznał się, że jest podstawionym agentem. W końcu, wbrew logice, pod koniec lat 60. został zrehabilitowany i oficjalnie uznany za wiarygodne źródło informacji. Vadim studiując po latach ten przypadek nie mógł uwierzyć, że spece z CIA okazali się takimi idiotami. Może zresztą nie była to kwestia ułomności intelektualnej, a raczej celowego działania. Nie mając dostępu do danych źródłowych, Vadimowi pozostawały tylko domysły. Koniec końców, Golicyn między innymi pod wpływem zeznań Nosenki stracił w oczach CIA wiarygodność, a w połowie lat 70., po odesłaniu Angletona na emeryturę, na długie lata popadł w niełaskę. Gdy przekazał informacje dotyczące wielkiego oszustwa, rzekomej liberalizacji systemu komunistycznego, tego nowego NEP-u i próby narzucenia reszcie wolnego jeszcze świata czerwonej ideologii przebranej w nowe szaty, nikt już nie chciał go słuchać. Vadim będąc małym elementem tego planu, przeprowadzając ostatnią fazę „transformacji ustrojowej” wciąż nie posiadał się ze zdumienia, że Zachód nie potrafił skorzystać z uśmiechu losu, jakim była ucieczka Golicyna. Mimo, że zostali ostrzeżeni i precyzyjnie poinformowani o sensie nadchodzących przemian, woleli to zbagatelizować i ostatecznie przyjąć bezkrytycznie legendę pierestrojki. Najwyraźniej, im prymitywniejsze kłamstwo,

tym łatwiej w nie wierzyli. No cóż, dezercja i przekazywanie im jakichkolwiek informacji nie miało żadnego sensu.

Gdyby uciekł, popełniłby niewybaczalny błąd. Więc porzucił te mrzonki i skupił się na swoim zadaniu. A potem złośliwa myśl załęgła mu się w głowie. Ostrzegać ich? Tych aroganckich, dętych, zapatrzonych w siebie głupców? Po co? W imię czego? Wcale nie chciał ratować tych gównojadów. Nie czuł się związany z tamtym światem. Był mu całkowicie obcy. Przecież arogancją i ignorancją Zachód wręcz zasłużył na swój los! Jakiś maleńki kataklizm dziejowy, jakaś mała rewolucyjka, coś, co wstrząśnie nimi w sposób nieodwracalny. Ich bezpieczny świat będzie gnął i zdychał, a oni do końca będą się bawić, czerpiąc z coraz bardziej pustej kiesy. Aż nadejdzie dzień, kiedy staną się słabi i biedni. A wtedy przyjdzie ktoś, kto zajmie ich miejsce, ktoś silny, agresywny i bezwzględny. Zaprowadzi porządek i powie: Chcieliście komuny? No to ją macie! I od pewnego momentu Vadim zaczął pracować ze wzmożoną siłą, aby ta wizja ziściła się jak najszybciej, by jeszcze zdążył własnymi oczami obserwować Wielki Upadek. Wiedział jednak, że zdwojonym zapałem chce przykryć swoją niechęć do tej drugiej strony. I tak oto w jego sercu zagościła pogarda. Bezbrzeżna i wszechogarniająca.

Aż wreszcie coś w nim pękło. Po raz pierwszy postanowił zrobić coś bez wiedzy Centrali. Nadal wykonywał powierzone zadania, był wzorem lojalnego psa gończego, który rzuca się w pogoń za zdobyczą na sygnał swego pana. Ale pod powierzchnią codziennych zmaganiń rozpoczął własną grę. Grę o swoją przyszłość. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do utrzymania odpowiedniego poziomu konspiracji. Była to tylko kwestia rzemiosła, a on był dobrym rzemieślnikiem. Chciał mieć polisę ubezpieczeniową. Miał już dość kaprysów historii. Przypadkiem mogły go wynieść na wyżyny władzy, ale mogły też na zawsze pogrzyć go w odmętach zapomnienia. Albo dużo gorzej... Więc znalazł młodego kapitana polskiej bezpieki, równie jak on, niepewnego swoich losów i zaproponował mu prywatne przedsięwzięcie. I teraz płacił za wybór złego człowieka. Cóż, nawet jemu zdarzają się takie pomyłki... Ale sytuacja nie była beznadziejna. Przez te wszystkie lata Vadim zdążył tamtego dość dobrze poznać. Wiedział, jakie ma słabości, co lubi i znalazł sposób, żeby wywabić go ze swojej nory. Wszystko wskazywało na to, że pomysł okazał się skuteczny. Kto inny w tym kraju byłby w stanie wyłożyć za ten wóz takie pieniądze, chroniąc jednocześnie swoją tożsamość?

Nagła zmiana na wyświetlaczu GPS wyrwała go z zadumy.

Rozdział III

— Odbili w lewo, doktorze. Wygląda na to, że wybierają się do Rzeszowa.

— Skoro tak ci na tym zależy, to podjadę bliżej do lawety, będziemy ją mieli na oku. Nie wiem, ile wart jest ten twój elektroniczny szmelc, ale jeśli raz zgubi sygnał, to potem możemy szukać wiatru w polu...

— Zachowasz dystans jak do tej pory. Nie bój się, to sprzęt wojskowy, jest odporny na zakłócenia. — Warknął Vadim.

— Jak chcesz, kamandir. — Odparł Spychowski.

Po godzinie jazdy ciężarówka skręciła z głównej drogi i wjechała na teren jakiejś bazy transportowej. Śledzący zatrzymali się na wzgórzu nieopodal. Teraz Vadim nie potrzebował GPS-u. Widzieli wszystko jak na dłoni. Laweta stała zaparkowana na placu manewrowym, kierowca poszedł do budynku administracyjnego i wsiąkł tam na dobre. Odczekali pół godziny, ale nic się nie wydarzyło.

— Wygląda na to, że zrobił sobie przerwę w podróży.

— Albo tu Stratosza odbierze nowy właściciel. — Mruknął Spychowski.

— Wszystko możliwe, doktorze, *pasmatrim*, *uwidim*...

— Jak to się stało, że mówisz po polsku bez akcentu? Na ogół cudzoziemcy nie potrafią opanować nowego języka bez naleciałości z języka rodzimego. U ciebie nie ma nawet cienia rosyjskiego akcentu.

— Mówię w trzech językach bez obcego akcentu.

— To nie jest możliwe. Któryś język musi być twoim ojczystym i to musi rzutować na pozostałe. Więc jak to jest?

— Normalnie, znam biegle trzy języki. I wszystkie są dla mnie ojczyste.
— Odparł sucho Vadim

Spychowski spojrzął na niego spode łba ale nie skomentował.

— Co zamierzasz dalej?

— Czekamy. I obserwujemy Stratosę.

Zapaść zmierzch i cała baza pogrążyła się w letargu. Wyglądało na to, że czekając na rozwój wypadków spędzą na tym wzgórzu noc.

— Rusz dupę doktorze! Pora przygotować obozowisko. Nigdzie dalej nie pojedziemy, dopóki nie zorientuję się, co do dalszych losów Lancii.

— Mogłeś mnie uprzedzić, wziąłbym chociaż śpiwór.

— Pomyślałem o wszystkim. Cały niezbędny ekwipunek jest w bagażniku.

Rozbili namioty i przygotowali miejsce na małe ognisko. Teraz w lecie, od biedy mogli uchodzić za turystów bawiących się w *survival*. Tylko te marynarki i spodnie w kancic... Ale na szczęście żadnych postronnych obserwatorów nie było w okolicy. Rozpalili ogień i przygotowali posiłek z zapasów, które Vadim przezornie zabrał.

— W czym ty się właściwie specjalizowałeś, kamandir? Byłeś agentem operacyjnym, czy siedziałeś na tyłach? Chyba ze mną możesz być szczery? Pogadajmy jak szpieg ze złodziejem. — Rzucił Spychowski.

— Owszem, mogę ci coś niecoś opowiedzieć... trochę prawdy, trochę blagi, nigdy nie będziesz wiedział, kiedy mówię serio... Ale jakoś trzeba zabić nudę.

— No więc jak to z tobą jest? Pracujesz dla..?

— Nie wyciągniesz ode mnie literek, skrótów, ani żadnych nazwisk. Nie ten adres.

— No więc jaką bajkę mi opowiesz? Zaczynałeś jeszcze za Sojuza? Zgadza się? Co robiłeś? Jesteś specem od mokrej roboty? Robiłeś w smierzu?

— No, teraz, to ci się udało! — Vadim roześmiał się serdecznie. — Trochę ci się epoki pomyliły doktoru. Ale czekaj, nie będziemy gadać o suchym pysku, jak zwierzęta. — Wstał i podszedł do samochodu, który przykryli pościnanymi gałęziami. Wyciągnął z bagażnika manierkę i rzucił Spychowskiemu pod nogi.

— Masz! Pokaż, co potrafisz!

— Co to jest?! Nafta lotnicza? — Spychowski pociągnął łyk i przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

— Nie, chociaż liczba oktanów może się zgadzać... To regularny syberyjski bimber, *pierwyj sort!*

— Dzięki, ale musiałbym sobie przestawić zapłon, żeby to pić... no więc odpowiesz na pytanie, czy będziesz się migał?

— Odpowiem, odpowiem. — Vadim upił nieco z manierki i zagryzł kawałkiem suchej kiełbasy, wyciągniętej z plecaka. — Otóż moja specjalizacja to cybernetyka społeczna, przyjacielu. Rzecz jasna wykonywałem bardzo różne zadania, ale najwięcej wysiłku poświęcałem zawsze sterowaniu umysłami mas. W skrócie: jestem strategiem wojny informacyjnej.

— Wojna informacyjna? Z kim i o co?

— Z kim?! A jak myślisz? Oczywiście z szeroko rozumianym Zachodem! O co, pytasz? O dusze!

— Nie przesadzasz aby trochę? — Spychowski przemógł się i mimo nieprzystosowanego zapłonu wlał w siebie trochę oktanów.

— Nic a nic! Prowadziliśmy i prowadzimy nadal największą operację dezinformacyjną w historii. To najprawdziwsza wojna. Zaczęło się kilka dekad temu. Gra toczyła się jednak nie o zajmowanie terenu przeciwnika w znaczeniu geograficznym, ani o przewagę w powietrzu, czy na morzu. Celem naszej wojny było panowanie nad umysłami. I wiesz, co? Wygraliśmy tę wojnę. Prawa ekonomii podcięły nam skrzydła, musieliśmy się ugiąć pod naporem wiatru historii, ale zanim to nastąpiło udała nam się rzecz wielka. Zajęliśmy tereny na dalekim zapleczu wroga, ale w sensie mentalnym. Przejęliśmy kontrolę nad świadomością mas. Mieliśmy przewagę nad społeczeństwami Zachodu. Ich słabość polega na bezprzykładnej naiwności i prostolinijności. Najkrócej rzecz ujmując i generalizując, są to bardzo zacni ludzie. Wierzą w to, co widzą, co się do nich mówi. Są tak wspaniale podatni na manipulację, że po prostu nie można było tego nie wykorzystać. A zachodnia młodzież... poezja, kolego, poezja. Są jak plastelina, jak będziesz ugniatał, taki efekt osiągniesz. Wszystko zależy od odpowiedniego wabika. Ich umysły to gąbka chłonna każdą brednię, jaką tylko sobie wyobrazisz. Przykład pierwszy z brzegu: ruchy pacyfistyczne. Czy żyjąc przez lata w cieniu wielogłowicowych rakiet dalekiego zasięgu można wyobrazić sobie coś bardziej szlachetnego, niż oddolna inicjatywa na rzecz jednostronnego rozbrojenia? Tylko pomyśl, dziesiątki tysięcy bezinteresownych, młodych ludzi przez całe lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte koczowały pod bazami, gdzie krwiożerczy Jankesi szykowali światu bezprecedensową apokalipsę. Ale czy myślisz, że te rzesze kretynów poszłyby ze swoimi transparentami podcinać gałąź, na której siedzą z własnej, nieprzymuszonej woli? Nic z tego. Ich głupotę trzeba było odpowiednio ukierunkować. Przecież zamiast głosować za rozbrojeniem armii, która była ich jedyną szansą obrony przed komunistycznym rajem, mogli pójść na koncerty rockowe, albo dawać w żyłę na domowych imprezach. Cóż za marnotrawstwo potencjału! A zatem, jak sprawić, by przyszłość i nadzieja tych rozsądnych i inteligentnych skądinąd narodów zaczęła grać w naszej drużynie? Jak zmusić całe społeczeń-

stwa do uległości i to bez jednego czołgu na ulicy? Wiesz, nigdy nie darzyłem szczególnym szacunkiem kadry oficerskiej naszej armii. Co za prostackie umysły! Co za straszliwy brak polotu i wyobraźni! W '68 rozjechali Czechosłowację przy pomocy kilku tam dywizji pancernych, dając przedstawienie zachodniej publiczności. Tacy jak ja zmuszali społeczeństwa światowych mocarstw do przejścia naszego światopoglądu bez jednego wystrzału! Dumne i potężne niegdyś narody jadły nam z ręki. Myślisz, że przesadzam, co? Nie zaprzeczaj, widzę to po twoich oczach, doktorze. Dobrze, wyobraź sobie taką sytuację: rok 1940, bitwa o Anglię wchodzi w najgorętszą fazę. Bombowce Luftwaffe metodycznie obracają w perzynę angielskie miasta, a tu nagle, ni stąd, ni zowąd, pod siedzibą dowództwa RAF-u pojawia się tłum domagający się natychmiastowego zaprzestania produkcji Spitfire'ów, rozpuszczenia pilotów myśliwskich do domów i zasiania pietruszki na pasach startowych. To skandal, wrzeszczą protestujący, by tak narażać naszych chłopców! Przecież to nieludzkie! Oni mogą zostać ranni, zginąć, albo co gorszego! I po co to wszystko?! Że przyjdą Hunowie? No to co?! Może da się z nimi jakoś dogadać? A poza tym, czy oni są znowu aż tak źli? Absurd? Zgadza się! Ale nam się podobna sztuka udała! Też trwała wojna i też ważyły się losy. Na Kremlu byli ludzie, którzy całkiem poważnie rozważali możliwość spuszczenia ze smyczy zagonów T-72 i poszczucia ich w stronę zachodzącego słońca. A nam udało się nakłonić całe masy pożytecznych pacyfistów do gry na naszą korzyść. *Better red, than dead*, krzyczeli. Serce rośnie, kiedy widziałem w telewizorze te karne oddziały aktywistów maszerujących z transparentami i nucających *Give peace a chance*. Oczywiście, że to nie przyszło łatwo. To był długi proces urabiania przeciętnego obywatela. To trwało całe dekady. Powolna ale skuteczna indoktrynacja. Używaliśmy do tego celu wszystkich możliwych dróg przenikania do świadomości tych biednych idiotów. Promowaliśmy dziennikarzy, którzy mieli odpowiednie dla nas poglądy, neutralizowaliśmy tych, w których instynkt samozachowawczy brał górę. Poza tym mieliśmy potężnego sprzymierzeńca. Nieświadomego kolosa, który kształtował światopogląd milionów. Jak myślisz, co jest najważniejszą ze sztuk? No, pomyśl, przypomnij sobie słowa Włodzimierza Illicza Uljanowa. Kino jest najważniejszą ze sztuk! Stary szubrawiec miał rację, chociaż nie mógł przewidzieć, jak wielką karierę zrobi X muza. A jakie kino jest najbardziej opiniotwórcze? Tylko mi tu nie wyjeżdżaj z jakimiś europejskimi mistrzami! Kto dziś ogląda Felliniego, czy Antonioniego? Za to wszyscy, czy tego chcą, czy nie, chłoną produkty Fabryki Snów. Tak, doktorze, najbardziej wpływowym propagandzistą na świecie jest Hollywood. Ty jako socjolog musisz być specem od badań opinii publicznej. Zapytaj wytypowaną grupę badanych, jak wyglądała inwazja Aliantów we Francji w 1944 roku. Zaraz jeden po drugim będzie ci opisywał sceny z „Szeregowca Ryana” albo z „Najdłuższego Dnia”. Albo jak prześladowano

Murzynów na Południu Stanów? Od razu przypomną sobie „Missisipi Burning”. Albo jak powinien wyglądać statek kosmiczny? Oczywiście tak, jak przedstawił to Kubrick w „2001 Odysei Kosmicznej”, lub Lucas w „Gwiezdnym Wojnach”. Wszystko, od wyobrażenia o historii, po rojenia o obcych cywilizacjach jest zapisane w umysłach mas przez hollywoodzkich czarodziejów. Nikt z tak zwanego ludu nie czyta nic, może poza programem telewizyjnym, natomiast wszyscy swoją wiedzę o świecie czerpią ze srebrnego ekranu. Jak wyglądało życie w średniowiecznej Japonii? O czym myślisz? No, jakie jest twoje pierwsze skojarzenie? Jasne! „Siedmiu Samurajów”! Jak wyglądała XIX wieczna Ameryka Północna? Oczywiście tak, jak w „Siedmiu Wspaniałych”! Dlaczego o Dzikim Zachodzie wiemy więcej, niż o średniowiecznej Japonii? Bo Hollywood pokazywało na ekranie głównie historię, powiedzmy Doca Hollidaya i Wyatta Earpa, a nie japońskiej klasy panującej. Tak jest z każdą dziedziną życia. I w mojej branży też jest nie inaczej. Lata siedemdziesiąte były pod tym względem wyjątkowe. W zasadzie każdy thriller polityczny z tamtego okresu kończył się ujawnieniem brudnych gier Centralnej Agencji Wywiadowczej. Przypomnij sobie pierwszy z brzegu tytuł: chociażby „Trzy Dni Kondora”. Zgrabna historyjka, z której niedwuznacznie wynika, że za całe zło na świecie odpowiedzialna jest CIA, która knuje ponad głowami obywateli i w ogóle jest poza wszelką kontrolą. Dla każdego, kto choćby trochę otarł się o realia amerykańskiej sceny politycznej to oczywista bzdura, ale jeśli jest ona opowiedziana w sposób tak sugestywny, jeśli sam Robert Redford całą swoją charyzmą wspiera przedsięwzięcie, to nawet ludzie inteligentni i zorientowani w sytuacji zaczynają podświadomie wierzyć w to, co widzą na ekranie.

— Nie chcesz mi chyba wmówić, że całe Hollywood pracowało dla was? To byłby już szczyt megalomanii z twojej strony...

— Oczywiście, niczego takiego nie twierdzę, doktorze. To w tej historii jest najpiękniejsze. Oni to robili zupełnie nieświadomie. Taka po prostu wtedy panowała moda, żeby ujawniać brudne zagrywki wuja Sama, nieważne prawdziwe, czy urojone. Zaczęło się od nieszczęsnego Nixona, słynnej afery i „Wszystkich ludzi prezydenta”, a potem już poszło lawinowo. Powtarzam, taka była moda, to się sprzedawało. Ale scenariusze, jakie wtedy szły do produkcji, były odbiciem nastrojów społecznych, którymi to właśnie my sterowaliśmy. Powiedz, doktorze, co czujesz, gdy ktoś w ciemnym pokoju wymawia słowa Centralna Agencja Wywiadowcza? Założę się, że widzisz dzielnego Redforda zmagającego się z bezlitosnymi zabójcami naślany przez amerykański rząd, albo Roya Scheidera śledzącego z pokładu śmigłowca w kolorze błękitnym wstrętnych spiskowców wylęgających się jak karaluchy w Langley. Z pewnością widzisz to dziedzictwo popiołów, tę spaloną ziemię, jedyną pozostałość po brudnych operacjach tej nieludzkiej organizacji... sam popiół, koniecznie bez diamentu. Nie dziw się, że masz takie skojarzenia. Takim jak ja

placono za to, żeby cały postępowy zachodni lud tak właśnie myślał. A my wykonaliśmy swoją robotę...

— Przesadzasz! Podaj jakieś konkrety, co osiągnęliście w ten sposób? No słucham.

— Ale z ciebie niedowiarek, doktorze! Chcesz konkretów? Proszę bardzo! To właśnie nasz Pierwszy Zarząd Główny, odpowiedzialny między innymi za tak zwane „środki aktywne” wygrał wojnę w Wietnamie. Na początku lat siedemdziesiątych Wietkong leżał na obu łopatkach. Jankesi przeprowadzali ofensywę za ofensywą i wszystko wskazywało na to, że wymiotą czerwonych Wietnamczyków aż do samego Hanoi. I to właśnie nasze zmasowane ataki na zdrowy rozsądek Ameryki doprowadziły do zamiany ich sukcesu militarnego w porażkę. Medialną, zaznaczmy, medialną! Cały świat uwierzył, że to Ameryka jest w tej wojnie agresorem i że ze wszystkich sił trzeba ją powstrzymać. Do tego imperialistyczny agresor dostaje w dupę na całym froncie. W 68 Wietkong przeprowadził ofensywę Tet, pomyślaną jako decydująca operacja, dzięki której amerykańscy chłopcy mieli zostać ostatecznie wyrzuceni z Wietnamu. Tyle, że plan się nie udał. Wojska Ho Chi Minha przegrały w starciu z US Army. Ale w Stanach telewizory pokazywały coś wręcz przeciwnego. Nasi agenci przy współudziale pożytecznych idiotów wykreowali medialną klęskę wuja Sama. Nagle opinia publiczna zaczęła się niecierpliwić, dlaczego najpotężniejsza armia świata nie może sobie poradzić z obdartymi partyzantami z Północy. Słabe głosy sprostowania tej bzdury utonęły w medialnej histerii. To było nasze wielkie zwycięstwo. Biorąc pod uwagę nie tak dawną awanturę kubańską, przyznasz chyba, że musieliśmy się wykazać niezłymi talentami jako manipulatorzy. Oczywiście Hollywood podchwyciło naszą melodię i przyczyniło się do utrwalenia klęski w świadomości widzów. Porównaj sobie filmy opowiadające na przykład o inwazji w Normandii właśnie, z tymi o Wietnamie. Te pierwsze są na ogół rzeczowym zapisem wydarzeń historycznych, bez rozdzierania szat, że oto amerykańscy chłopcy byli bezsensownie prowadzeni na rzeź, podczas, gdy Wietnam został zmitologizowany jako straszliwa wojna bez żadnego celu i sensu. A przecież nawet nie da się porównać walk na plaży Omaha z bitwą o Hamburger Hill chociażby. Niemcy we Francji zgotowali sprzymierzonym prawdziwe piekło, podczas, gdy w Wietnamie Amerykanie przeważali pod każdym niemal względem nad Wietnamczykami z Północy. Ale idąc do kina, czy raczej wychodząc z niego po seansie byłeś przekonany, że to właśnie Wietnam był tym prawdziwym inferno. W dodatku zupełnie niepotrzebnym... No sam powiedz.

— Masz na myśli delikatną psychikę pułkownika Kurtza z „Czasu Apokalipsy”, któremu poluzowała się śruba, kiedy zobaczył w akcji własne lotnictwo?

— Trafieś w sam środek jądra ciemności, że tak powiem... Czy którykolwiek z tych błyskotliwych reżyserów i scenarzystów zainteresował się tym, co działo się w prowincjach zajmowanych przez komunistów? Czy obok takich rozdzierających obrazów jak „Full Metal Jacket” powstał choć jeden film o setkach tysięcy zamordowanych przez Wietkong niewinnych mieszkańców Południa? Przecież każdy z nich, od Coppoli do Kubricka był jak jeden mąż wrażliwym na ludzkie cierpienie obrońcą praw człowieka! Czy którakolwiek większa stacja telewizyjna pokazała warunki, w jakich przetrzymywani byli amerykańscy jeńcy wojenni na północy? Czy powstał choć jeden wstrząsający film o tym, jak przekupieni, naiwni, lub po prostu głupi dziennikarze przekazywali z Wietnamu kompletnie fałszywy obraz wojny? Nie, nic takiego miejsca nie miało! Dlaczego, jak sądzisz doktorze? Jak to możliwe, że w najpotężniejszym państwie na świecie obywatele zostali w majestacie prawa i „niezależnych” mediów okłamani w tak ważnej kwestii? Wmówiliśmy im, że nie ma faktów, jest tylko wszechmocna interpretacja. Co sądzisz o takiej manipulacji?

— Nie tak znowu trudno było zmanipulować upaloną trawą młodzież spod znaku *flower power*...

— Ale zmanipulować w pewnym precyzyjnie określonym kierunku, tak, żeby wykonywali robotę za dziesięć dywizji, nie dotykając nawet broni, to przynasz, że jednak jest sztuka. Pomyśl tylko! Po wygranej przez Amerykę ofensywie Tet opinia publiczna w Stanach, głównie długowłosa młodzież, zaczęła się domagać wycofania jednostek U.S. Army ze względu na nieskuteczność i porażki militarne! Czy ogarniasz rozumem skuteczność naszego kłamstwa? Tak, kolego, rozgrywka z nimi, to nie żadna polityka, to wychowanie dzieci, biorąc rzecz *en masse*... Te dzieci wtedy właśnie zaczęły działać samodzielnie i efekty ich wysiłków przerosły nasze najśmielsze oczekiwania. Powstały takie cudowne inicjatywy jak Weather Underground Organization, Baader-Meinhoff, czy Czerwone Brygady, które odwały za nas kawał na prawdę dobrej roboty. Wiesz ile oddziałów dywersantów musielibyśmy wysłać, żeby osiągnąć to, co oni robili za darmo? Sun Tzu uśmiecha się w piekle.

— Spróbowałibyście tej samej sztuczki po drugiej stronie żelaznej kurtyny i jeśli wtedy efekty byłyby podobne, to owszem, można by mówić o sztuce. Tamci byli po prostu głupi i nieświadomi, tu wszyscy doświadczyli waszej barbarii na własnej skórze. A, nieważne... A tak w ogóle, to kim ty właściwie jesteś z przekonania? Komunistą z twoim cynizmem chyba nigdy nie byłeś, przyznaj się.

— Ech, doktorze, ja komunistą? Zresztą, co właściwie masz na myśli mówiąc o komunizmie? Czym według ciebie jest komunizm? Ja sam mam poważny problem ze zdefiniowaniem tego tworu, chociaż, że tak powiem, robię w branży. Ideologie są niezbędne, żeby utrzymać kontrolę nad masami,

ale pod żadnym pozorem nie wolno w nie wierzyć. To jak z narkotykami. Żaden liczący się handlarz sam się nie szprycuje. Komunizm, trockizm, maoizm, to tylko narzędzia służące do utrzymywania się przy władzy. Jeśli zmienia się sytuacja, należy zmienić narzędzie. Ja w żadne izmy wierzyć z wyjątkiem nie mogłem, bo sam ich używałem w zależności od potrzeb. Świat się zmienia, trzeba z żywymi naprzód iść. Dziś już nie namawiamy do walki klas, nie walczymy z kapitalistami. Dziś sami nimi się staliśmy, bo taki był nakaz chwili, taka nastąpiła konieczność dziejowa. Trzeba być elastycznym i dopasować się do zmieniających się mód. A najlepiej, drogi doktorze owe mody tworzyć...

— No tak, czyli zamiast snuć niezobowiązującą opowieść, wracamy do werbunku. Trochę mnie tym już nudzisz. Ale zupełnie nie rozumiem, skąd tyle zachodu, po co nawijasz mi makaron na uszy? Nie lepiej po prostu przypomnieć mi moją kryminalną przeszłość i zmusić do współpracy? Po co to krasomówstwo, które na dodatek nie bardzo do mnie trafia?

— Daj mi trochę czasu, a trafi. Posłuchaj mnie uważnie, bo rozmawiam z tobą szczerze, a w moim zawodzie nieczęsto mi się to zdarza. Nadchodzi nowa epoka. Epoka globalnego totalitaryzmu. Liczyć się będą dwa, góra trzy światowe imperia. Mniejsze narody i państewka zostaną wchłonięte przez te gigantyczne struktury. Interesy tych maluczkich stoją w oczywistym konflikcie z inicjatorami zmian. Trzeba więc znaleźć sposób, żeby słabsi przyjęli wolę silniejszych. Żeby opowiedzieli się za zmianami i rzekli prawa do samodzielnego decydowania o własnym losie. Oczywiście najlepiej, gdyby to zrobili jednogłośnie. Imperium nie potrzebuje sceptyków, bo z nich mogą wyewoluować jakieś siły ekstremistyczne, które potem w mozole trzeba pacyfikować. A z wojną partyzancką, to wiesz jak jest. Nigdy wszystkich szczurów się nie wytłucze. Konflikty będą się ciągnęły latami. To niepotrzebne koszty, których trzeba uniknąć poprzez dobre planowanie na początku. Dlatego potrzebna jest idea, jakaś polukrowana, strawna dla przeciętnego obywatela wizja, którą można by przykryć rzeczywiste cele całej operacji. Jak już mówiłem równość i braterstwo, walka o interesy klasy robotniczej to chwilowo nie najlepsze smarowidło nowej maszyny. Trzeba było znaleźć coś nowego, równie atrakcyjnego dla gawiedzi. To mogło być cokolwiek, równouprawnienie płci, walka z klimatem, albo z najeźdźcami z kosmosu, wszystko jedno. Im prostszy przekaz, tym lepiej. Ważne, żeby pod pretekstem walki o nową ideę dało się usprawiedliwić wprowadzane stopniowo środki przymusu i ograniczenia wolności. Dzięki temu łatwiej będzie kontrolować społeczeństwa. Im więcej batów, tym lepiej. System totalitarny ewoluuje na naszych oczach, zamiast sił porządkowych stworzony został całkiem nowy mechanizm przymusu. Masy karmione odpowiednio przyrządzonym zestawem jedynie słusznych przekonań same eliminują ze swojego środowiska krnąbrne i niezależnie myślące jednostki.

Czyż to nie jest postęp? Pomyśl, niedługo nie będzie potrzebna żadna zewnętrzna służba, do utrzymania społeczeństw w ryzach. Po co łać pałą i wyrywać paznokcie, skoro można otumanić umysł i w ten sposób wymóc posłuszeństwo? I tak właśnie nastanie era samoistnej kontroli wewnętrznej. *Perpetuum mobile!* Ten proces już się rozpoczął. Przyglądam mu się z boku okiem zawodowca i muszę ci powiedzieć, że według mojej fachowej oceny wybrano całkiem zgrabną metodę. Być może zmieniłbym to i owo, można by na przykład uniknąć takiej różnorodności: prawa kobiet, mniejszości seksualnych, zmiany klimatyczne, walka z rasizmem, aż głowa boli od tak szerokiego spektrum. Można by te wszystkie idee zastąpić jakąś jedną, uniwersalną i w ten sposób przyspieszyć proces. Choć oczywiście ogólnie jestem pełen uznania. Ale to opis działań tylko jednego imperium. A twój kraj, znajduje się w tym szczególnym punkcie w przestrzeni, w którym skupiają się paralizujące siły geopolitycznej grawitacji przynajmniej dwóch... Tkwiąc, można powiedzieć w takim punkcie Lagrange'a... Wiesz, co oznacza ten termin?

— Wyobraź sobie, że wiem, mimo mojego humanistycznego wykształcenia. Tak, tak, drugie mocarstwo stosuje dużo bardziej wyrafinowane metody. Po prostu w odpowiednim momencie głos zabiera towarzysz Mauser...

— Nie, przyjacielu, tego scenariusza chcemy właśnie uniknąć. Nie mieszajmy do tego ingerencji militarnej. Chodzi o to, żeby nie trzeba było używać siły. W ogóle wojna w dawnej formie traci sens. Po co palić atomowym ogniem tereny nieprzyjaciela i tracić w ten sposób potencjalne łupy? To przeżytek i barbarzyństwo. Wojna przyszłości to wojna informacyjna. Inwazje na wielką skalę będą przeprowadzane nie z powietrza ale z ekranów coraz doskonalszych, hiperrealistycznych telewizorów, w mniejszym stopniu z prasy i radia. Spadochroniarzy i piechotę morską zastąpią intelektualiści, tacy jak ty, którzy będą krok po kroku zajmowali tereny na bezkresnych pustkowiach wyjąłowych umysłów niepiśmiennych rzesz debili. A do tego potrzebna będzie całkowita blokada informacyjna. Dlatego muszą się pojawić strażnicy, żandarmi myśli. Nadążasz doktorze?

— A jużci! *Atomnych nieźlia nam kartaczy, nam nada tolko oduraczyć...*, jak pisał poeta. Był też inny facet, który to również przewidział. Odrabiasz pracę domową z Orwella?

— Orwell miał rzeczywiście przebłysk geniuszu. Co prawda pospieszył się nieco jeśli idzie o daty, bo jego wizja może się spełnić dopiero teraz, kiedy technologia umożliwi globalną unifikację propagandy, ale i tak należy nisko schylić przed nim czoło. Tak doktorze, oto nadszedł wyjątkowy moment. Jeszcze nigdy w historii, tak wielu nie było manipulowanych w tak wielu kwestiach przez tak nielicznych.

— Darowałbyś chociaż Churchillowi! To był dumny człowiek. Musi się przewracać w grobie, jeśli słyszy twoje kulawe parafrazy... — Parsknął Spychowski.

— Stwierdzenie nie jest kulawe, doktorze, jest ściśle. Pytanie, po której stronie ty chcesz się znaleźć? Zostaniesz manipulatorem, czy dasz się zmanipulować?

— Dlaczego właściwie miałbym się przyłączyć do was, a nie do tej drugiej strony? Skoro, jak twierdzisz trwanie na pozycjach narodowych to czysta głupota, muszę wybierać pomiędzy dwoma mocarstwami. Ale dlaczego akurat wam miałbym służyć? Co takiego atrakcyjnego mi proponujesz, czego nie dostałbym od tamtych?

— Ależ to oczywiście, doktorze! Przyłączysz się do nas, bo wolisz stać po stronie zwycięzców! A w zbliżającej się właśnie rozgrywce to my będziemy triumfować.

— Czyżby? Ostatnio, w połowie lat osiemdziesiątych nie najlepiej wam poszło... Szczerze mówiąc dostaliście koncertowo w dupę, skąd mam wiedzieć, że teraz będzie inaczej?

— Naprawdę wierzysz w to, że wtedy przegraliśmy?

— A powinienem wątpić?

Vadim dorzucił dREW do ogniska i wychylił łyk z manierki.

— Sądzisz, że wiesz, co się wtedy wydarzyło? Pomyśl przez chwilę samodzielnie i odrzuć cały propagandowy bełkot, który stworzyliśmy na tę okoliczność. Wróćmy na moment do tamtych wydarzeń. Zimna wojna wchodzi w apogeum, dwa mocarstwa stoją naprzeciw siebie, jak dwaj rewolwerowcy i czekają, który pierwszy sięgnie po broń. Naprawdę niewiele im brakuje, by przekroczyć cieką, czerwoną linię. To jest rok, powiedzmy 1982. Komunizm szczyrzy kły nuklearnych pocisków, Moskwa trzyma łapę na połowie świata, co i raz nasza ideologia zalewa kolejne terytoria, od Wietnamu do Grenady. Nagle, zaledwie kilka lat później obie strony zgodnie siadają przy wspólnym stole i jak dwóch przyjaźnie nastawionych dżentelmenów zawierają umowę, w wyniku której jeden z nich uznaje się za pokonanego. Ot i wszystko! Koniec z wrogością, wyścigiem zbrojeń i wzajemną nienawiścią. No i przede wszystkim koniec z wojną wywiadów... A jeszcze przed chwilą obaj trzymali palce na spustach. Sądzisz, że Sojuz tak po prostu, bez jednego strzału się poddał?

— I owszem! To był szach i mat. Mieliście gorszych szachistów!

— Trenowałaś może kiedyś judo, albo aikido? Nie? Nic nie szkodzi. Wytłumaczę ci, o co mi chodzi. W jednej i drugiej sztuce walki najwyższy stopień wtajemniczenia polega na opanowaniu techniki wykorzystania siły przeciwnika przeciwko niemu samemu. Jeśli stoisz naprzeciwko dwumetrowego osiłka z byczym karkiem, to bez sensu jest wyprowadzanie prawego sierpo-

wego, bo nawet jeśli cios dojdzie, to on i tak go nie poczuje. A potem zaraz cię rozłoży jednym uderzeniem, nawet niespecjalnie się wysilając. Znacznie lepiej jest poczekać na jego uderzenie i wykonać unik. Cios trafi w próżnię, bo ty będziesz już gdzie indziej. Mało tego. Wykorzystując zaskoczenie i fakt, że twój przeciwnik traci właśnie równowagę używasz minimalnej siły i pomagasz mu się przewrócić. Właśnie tak! Wykorzystujesz jego siłę użytą przeciwko tobie i bez wysiłku go pokonujesz. My rozpoczęliśmy wtedy taki właśnie manewr. Najpierw był unik. Nie można było już dłużej drwić z praw ekonomii. Z każdym nowo wyprodukowanym pociskiem SS-20 gospodarka wydawała agonalne jęki, każdy nowy bombowiec przybliżał państwo do bankructwa. Sojuz nie mógł już wytrzymać tempa narzuconego przez tego cholernego kowboja. Więc usiedliśmy do rozmów i zgodziliśmy się na postawione warunki. I rzuciliśmy przeciwnikowi tłusty ochłap do żełarcia. Patrzcie moi mili: oto komunizm wyzionął ducha! Tak długo ewoluował, wzrastał, rozlewał się w błyskawicznym tempie po świecie, aż tu nagle wziął i zniknął! Było, nie ma! Takie cuda na kiju, jak w bajce! Zaraz też postawiono na scenie różnych kontraktowych, tekturowych bohaterów i tak długo wmawiano, że to oni pokonali smoka, że niektórzy z nich sami w to uwierzyli. Chociaż jako żywo na herosów nie wyglądali. Rozglądali się lękliwie jeden z drugim, czy to aby nie podpucha, czy zaraz nie dostanie pałą po nerach. Bo przecież tak po prawdzie, to nawet w myślach nie odważyli się posunąć do tego, żeby system uśmiercić. Taka ewentualność ich przerastała. Ale skoro smok sam umarł i nie żyje, to można się trochę napuszyc, czemu nie? Radujmy się! Pokonaliśmy go wspólnie, bo w gruncie rzeczy nikt wcale tego smoka nie lubił. Moskwa szybko podchwyciła nutę. Teraz już będziemy grzeczni i cywilizowani, ogłosili, nie macie się co nami przejmować. I wiesz, co? Ci durnie znowu to kupili! Co dowodzi tylko trafności mojej tezy, że nie ma takiej bzdury, której nie dałoby się wcisnąć zachodnim elitom, byle tylko była odpowiednio opakowana. Natomiast gra wcale się nie skończyła, wręcz przeciwnie. To było tylko taktyczne wycofanie się o jeden mały krok. Zgoda, na polu technologii militarnych zostaliśmy pokonani. Prawdziwe pole bitwy znajdowało się jednak zupełnie gdzie indziej. Strategia, którą przyjęliśmy jeszcze w latach sześćdziesiątych właśnie zaczęła przynosić rezultaty. Była to strategia dezinformacji na niespotykaną dotąd skalę. Walka rozgorzała wtedy na uniwersytetach, kampusach studenckich, w redakcjach postępowych gazet, na wielkich koncertach rockowych jak Woodstock i na małych kameralnych, występach zbuntowanych bardów śpiewających słodkimi głosikami o walce o pokój.

— To Jean Baez też była u was na pensji? — Pokpiwał Spychowski zagryzając samogon suchą kiełbasą.

— Nic bardziej mylnego, doktorku! Już ci mówiłem, my byliśmy jak niewidzialne duchy, jak muzy sączące natchnienie do uszu tych dzieciaków. Gołym

okiem nie dostrzegłbyś naszej aktywności. Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że oni sami do dziś nie są tego świadomi, sądzą, że całkiem samodzielnie wykształcili w sobie tę specyficzną wrażliwość społeczną.

— Zaraz, moment, przecież ty nie mogłeś brać w tym aktywnego udziału. Jesteś za młody. Ile miałeś wtedy lat? 15, 16?

— To prawda, ja dopiero rozpoczynałem wtedy swoją misję, ale przyglądałem się wszystkiemu z boku i znając prawdziwy kontekst miałem niezły ubaw. To wszystko przypominało projektowanie zaawansowanych wizualnie efektów specjalnych do filmu. Zabawa ze złudzeniem była kwintesencją naszej działalności, prosty zabieg zniekształcający percepcję rzeczywistości, wielokrotnie wzmocniony w przekazie medialnym kreował nieistniejący w istocie byt. Temu nie można się było oprzeć, tak jak nie można się oprzeć wizjom hollywoodzkich mistrzów pokazujących nam wyprawy kosmiczne do nieistniejących światów. To wszystko jest niezwykle sugestywną iluzją...

— Gdzie ty się właściwie wychowywałeś?

— Dużo podróżowałem, jeśli to cię interesuje. Mój ojciec piastował... specyficzną funkcję. Moja rodzina ma długie tradycje w branży.

— Domyślam się... no więc co z tymi hipisami, których tak sprytnie omotaliście?

— Rozejrzyj się dookoła, doktorze, a sam się przekonasz. To, o czym opowiadam, było pierwszą fazą operacji. Demoralizacja przeciwnika. To właśnie robiliśmy podpowiadając im, że patriotyzm wyszedł z mody, że nie ma jednej prawdy, a Bóg umarł.

— To akurat powiedział ktoś przed wami.

— Nie przerywaj... My to spopularyzowaliśmy.

— Niech ci będzie...

— Chodzi o to, że zdemoralizowanymi ludźmi łatwiej jest sterować. Jeśli ktoś ma silne korzenie, jest osadzony w tradycji, otoczony rodziną, która tę tradycję kultywuje, to kogoś takiego bardzo trudno jest przekonać, żeby dajmy na to popełnił samobójstwo, albo walczył ze zmianami klimatu. Ale jeśli tego samego obywatela pozbawić nagle takiego oparcia, zerwać jego więź z bliskimi, rzucić na niestabilny grunt i poddać praniu mózgu, to prędzej, czy później stanie się bezwolną kukłą. A wtedy będzie można zrobić z nim wszystko. W każdym społeczeństwie jest mnóstwo świrów. Jeden słyszy głosy. Głos Pana, albo mikrofalówki, nieważne. Drugi jest anarchistą, nienawidzi władzy. Trzeci nienawidzi wszystkiego i wszystkich i ma skłonności autodestrukcyjne. Czwarty z kolei jest niedocenionym, sfrustrowanym pseudo artystą, który za wszelką cenę szuka akceptacji. Wszyscy oni mają różne motywacje swoich działań, ale jedną cechą wspólną: są wrogo nastawieni do instytucji Państwa, jako takiego. Chodzi o to, żeby w społeczeństwie, przeciwko któ-

remu prowadzona jest operacja wszyscy ci degeneraci zaczęli działać zgodnie w jednym wyznaczonym celu, żeby umożliwić im to, o czym marzą: zniszczenie znieprawionej tradycji i kultury, fundamentów znanego im świata. Pomyśl teraz, co się stanie, jeśli takich ludzi wyniesie się na cokoły, pokaże reszcie jako przykład do naśladowania i nazwie się awangardą i kontrkulturą. Dziś wypromować można każdego, to żadna sztuka mając odpowiednie środki. Więc wybiera się, powiedzmy jakąś młodą, naiwną niewiastę, której się wydaje, że jest pisarką. Pisze coś do szuflady, jest pełna frustracji, nikt jej nie docenia, bo faktycznie nie potrafi skleić poprawnie jednego zdania, ale ma niekwestionowaną zaletę. Jest wrogo nastawiona do tradycji i historii własnego kraju, bo to ją ogranicza i zniesmacza. Doskonale! Takich nam trzeba! Bierze się taką sierotkę na warsztat, pokazuje masom, wręcza jakieś nagrody, żeby motłoch wiedział, że to awangarda i już mamy autorytet! Objawienie medialne! Wszystkie nastolatki chcą być takie jak ona. Zresztą, co tam nastolatki! Intelktualiści, ci prawdziwi, ci jedyni, na wyścigi nie mogą się nachwalić nowej gwiazdy. Nikt przecież nie chce wyjść na ciemnego zacofońca. Zaraz też zapieją nad nią z bezmyślnego zachwyty reżyserzy filmowi i teatralni. A zatem, pstryk i mamy nowych bohaterów, nowe bóstwa, nową naukę i sztukę! Niech się staną nową jakością! I stali się. Rozpoczęli swój marsz przez instytucje. Czas na zmianę, krzyczeli! Wszystko to oczywiście w imię wolności i tolerancji, niech mają poczucie walki o słuszną sprawę! Pytasz co z tymi hipisami? A o, popatrz, teraz to elita! Prezesi banków, przedsiębiorcy, politycy, no i *last but not least* artyści, dziennikarze, literaci. Ludzie mediów! Alleluja, chwalmy Pana! Dziś oni już się nie buntują, dziś oni sami podejmują decyzje, ustanawiają prawo, decydują o obronności swoich krajów. Ale ci herosi nigdy nie zostali uleczeni z infekcji, którą im zafundowaliśmy, kiedy byli zbuntowanymi studentami. Teraz oni staną się nośnikami idei, którą z taką beztroską okrzyknięto martwą. Ale ona wciąż żyje, zmieniła tylko skórę, barwy ochronne. I tak oto, bez używania siły, bez naciskania atomowych guzików i wysyłania w powietrze bombowców strategicznych dokonuje się właśnie inwazja. Dziś już nikt nie wie, kto jest bohaterem, a kto zdrajcą. Kto walczył o wolność swojego kraju, a kto się nam sprzedał dla kariery i sławy. Zatarliśmy takie podziały, nie ma bieli i czerni, jest tylko szarość. Odwróciliśmy znaczenia słów i pojęć, po to, żeby nie można już było wrócić do dyskusji czym jest dobro i zło. Rozbroiliśmy ich, przyjacielu. Ciągłe jeszcze masz wątpliwości, kto wtedy wygrał, a kto przegrał, te dwadzieścia parę lat temu..?

Spychowski nie odpowiedział. Siedział wpatrzony w ogień, jakby czekał na dalszy ciąg.

Podwórze posesji na dalekim Mokotowie tonęło w mroku lipcowej nocy. Willa wybudowana chyba jeszcze przed wojną, na oko niezłe zachowana, wśród otaczających ją pudełkowatych bloków z epoki wczesnego Bieruta mogła uchodzić za szczyt luksusu. Stał przed furtką i czekał, wiedząc, że zostanie zauważony. Szybkość reakcji ochrony była godna szacunku. Jakiś cień podpłynął bezszelestnie i od wewnątrz dobiegł go zduszony głos.

— Zgubiłeś coś, kolego?

— Nawet jeśli, to ty mi nie wyglądasz na takiego, co by mógł znaleźć. — Warknął Texas.

— Spierdalaj gnoju, bo...

— Stul pysk, w tył zwrot i kierunek Cięty, marsz! Powiesz swojemu panu, że rotmistrz Stachoń przesyła mu ostatni salut...

— Texas?! — Cień zza furtki próbował dojrzeć coś w niemal absolutnych ciemnościach. — Trzeba było od tego zacząć!

— Trzeba było zainwestować w latarnię. Mogę wejść?

— Właż! Czego się pętasz po nocy?

— Mam sprawę do Ciętego...

— O tej porze?! Nie mogłeś...

— Nie mogłem! Budź starego. Muszę z nim pogadać.

Minął podjazd, na którym przeżył muskuły biały Jaguar E-Type. Chłopak zastanawiał się mimo woli, czy to jakieś zamówienie od ekskluzywnego klienta, czy może Cięty tak właśnie zaspokaja swoje fascynacje brytyjską techniką. Goryl za jego plecami mruknął coś przez *walkie talkie* i drzwi willi uchyliły się. Wszedł do środka i od razu znalazł się w innym świecie. Wnętrze domu było jakby żywcem wyjęte z jakiegoś zamku gdzieś w Szkocji. Wszystko, od mozaiki na podłodze, przez boazerię, tapety, po kryształowe żyrandole sprawiało wrażenie nietutejszych i nie pasujących do otaczających realiów. Wszedł do salonu, instynktownie spodziewając się spotkać kamerdynera w liberii. Powitał go jednak sam gospodarz.

— Przykro mi, że widzimy się w takich okolicznościach. Co cię sprowadza?

Cięty nie był uosobieniem stereotypu PRL-owskiego gangstera. Niewysoki, drobnej budowy, w okularach kojarzył się raczej z uniwersyteckim profesorem. Kindersztuba przedwojennego oficera zdradzała szlacheckie pochodzenie, a w każdym razie staranne klasyczne wykształcenie. Bez wątpienia był wymierającym gatunkiem. Kiedy jeszcze robił interesy ze stryjem, chłopak zaobserwował pewne podobieństwo w sposobie bycia obu mężczyzn. To była jakaś nieuchwytna maniera, sposób wysławiania się, gesty, poczucie humoru, szacunek, z jakim traktowali się nawzajem. Obaj stanowili mocny

kontrast dla pokoleń wyprodukowanych przy akompaniamencie socrealistycznych przyspiewek towarzyszących budowie Nowej Huty.

— Możemy porozmawiać w cztery oczy? — Texas znacząco spojrzął na kobietę w błyszczącym szlafroku siedzącą na kanapie. Cięty, mimo zaawansowanego wieku znany był z zamiłowania do luksusowych używek.

— Zapraszam na piętro, do mojego gabinetu. — Stary znał Texasa na tyle długo by nie kwestionować jego podejrzeń.

— O co chodzi? — Spytał, gdy znaleźli się sami.

— Ma pan przeciek. — Texas nakreślił ołówkiem na kartce leżącej na biurku dwie litery: SB. — Stąd. — Dodał.

— Jesteś pewien? — Zapytał głupio Cięty. Sytuacja była zbyt poważna, żeby chłopak rzucał niesprawdzone oskarżenia. — Kto?

Texas wskazał palcem na dół w stronę salonu.

— Tu możesz mówić swobodnie. Raz w tygodniu sprawdzam osobiście dom. Nie ma podsłuchu, nie bój się.

— Nie boję się. Jestem tylko przewidujący.

— Mocne słowa. Skąd to wiesz?

— Z samego źródła. Od nich. Widziałem egzekucję. Byli szczerzy wobec stryja, bo wiedzieli, że rozmawiają z trupem...

— Byłeś przy tym?! Jak..?

— Nieważne... Zrobi pan coś z tym, czy sam mam się nią zająć?

— Uważaj, żebyś się za bardzo nie zagalopował. — W głosie Ciętego zadźwięczał metal. — O porządkach w moich szeregach póki co ja zadecyduję. Masz minutę, żeby mnie przekonać. Czas start!

— Widziałem, jak go aresztują, pojechałem za nimi do Kampinosu, podszedłem blisko, zanim go rozwalili przyszło im na zwierzenia... Cały czas mieli szpicla tuż pod pańskim nosem. Potem strzeliłem do kata, ale drugi zaszedł mnie od tyłu... Nie mogłem nic zrobić. Ledwo się im wyrwałem.

— Skąd miałeś broń?

— Rodzinna pamiątka.

— Kogucik! Sporo ryzykujesz. W porządku, chłopcze, wierzę ci. Ale jeśli nie masz nic przeciwko, sam się nią zajmę.

— Byle szybko, zanim zdąży wykonać telefon i poinformować ich, że tu jestem.

— Wiedzą, że to byłeś ty? Zidentyfikowali cię?

— W tym cały cymes! Mam nadzieję, że jeszcze nie. Z naciskiem na „jeszcze”. — Texas znacząco popatrzył w kierunku salonu.

— Stąd nie zadzwoni, a na zewnątrz już nie wyjdzie. — Cięty nie wdawał się w szczegóły. — Jeśli to, co mówisz jest prawdą...

— Nie ufa mi pan?

Cięty popatrzył na niego przeciągle. Miał spojrzenie polującego tygrysa. Texas nie spuścił wzroku.

— Jak dotąd ufałem tylko jednemu człowiekowi... Kiedyś uratował mi życie. To było w sierpniu 44, tu niedaleko, na Mokotowie. Gdyby nie Roman i jego Browning HP... Ech, to był duet wart filmu.

Cięty zamilkł. Texas znał tę historię od stryja i wiedział, że Cięty był wtedy podejrzewany przez dowództwo o kolaborację z Niemcami. Taktownie nie podjął tematu.

— Jakie dokumenty od pana dostawał? — Spytał.

— Zostaw to, chłopcze! Wystarczy jednego trupa.

— Dlaczego nie zajęli się panem?

— Jestem im potrzebny. Dzięki mnie zarabiają ciężki pieniądź. Poza tym... to sieć powiązań, zależności... Wolałbys tego nie wiedzieć. — Nagle jakby coś sobie przypomniał. — Co za broń miałeś wtedy ze sobą?!

Texas odsunął nieznacznie połą kurtki odsłaniając charakterystyczną kolbę i zamek pistoletu wetkniętego za pasek spodni.

— Tak myślałem! Widzę, że stary dureń nigdy się go nie pozbył. To do niego podobne. W '81 mógł dostać za to czapę bez sądu.

— Stryj mnie nauczył, że broni nigdy nie oddaje się wrogowi. Mówiłem, że to rodzinna pamiętka.

— Tak, tak, ta wasza pieprzona konspiracja! Harcerzyki... Widzisz, do czego to prowadzi?! Słuchaj, powtórzę tobie, to co mówiłem jemu. Ten system nie zostawia miejsca dla jakiegokolwiek oporu. Nie wierz w istnienie jakiejś prawdziwej opozycji. Są tylko mniej lub bardziej uległe kukły. Prawdziwi wrogowie systemu kończą prędzej czy później tak jak Roman. Nie może być inaczej. Gdzie się nie ruszysz, trafiasz na ścianę tego labiryntu. Nie wiesz komu zaufać, każdy może być odwrócony, każdy może cię sypnąć. Dookoła fałszywi bohaterowie prowadzą fałszywą grę. Istnieją, bo są władzy potrzebni. Ale jeśli który się naprawdę zbuntuje... wtedy jest ciemny las i dół w ziemi, albo jakaś tama na rzece... Oczy i uszy systemu są wszędzie, nie możesz przed tym uciec. Więc, na Boga, nie pchaj się im w łapy! Daruj sobie zemstę, wymierzanie sprawiedliwości, czy jak to nazwiesz. Zgniotą cię, jak muchę, bądź tego pewien. Jeśli chcesz, mogę cię przeszmułować do Szwecji, jestem to winien Romanowi.

— Chcę dla pana pracować. — Wypalił Texas.

Stary zbaraniał. Mrugał przez chwilę oczami, przybierając teatralną pozę zdziwienia.

— Zapomnij o tym. — Szybko powrócił do roli starego wyjadacza.

— Dlaczego?

— Bo jak już pójde do świętego Piotra i spotkam twojego stryja, to nie chcę dostać w zęby. Gdybym cię w to wciągnął.

— Powie mu pan, że zgłosiłem się na ochotnika. Mogę przerzucać wozy przez granicę, mogę zabezpieczać akcje. Radzę sobie za kółkiem.

— Tak, wiem! Mowy nie ma!

— Tak mi pan dziękuje za znalezienie kreta?

— Myślisz, że tak łatwo wejść do mojej organizacji? — Cięty zmienił melodię. — Tu obowiązuje hierarchia. Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz? Że co, chłopcy cię ot tak zaakceptują? Tu się trzeba wykazać. Fakt, że znałem się z Romanem, to zdecydowanie za mało, żeby...

— Pojadę w PKWN Rally i pierwszy przywiozę pański ulubiony trunek. Proszę wystawić swojego najlepszego kierowcę.

Cięty zmierzył go wzrokiem. Takiego wyzwania nie mógł zlekceważyć.

Ognisko rozbłyskało jasnym płomieniem za każdym razem, kiedy dorzucali suchej leszczyny.

— Tak, doktorze — ciągnął Vadim — zdążyliśmy wykonać naszą dywersję, zanim zeszliliśmy ze sceny. Czy można to nazwać porażką? Są różne metody pokonania przeciwnika. Można tego dokonać na drodze konfrontacji militarnej, używając czołgów, łodzi podwodnych i międzykontynentalnych pocisków, ale szczytem sztuki wojennej jest zwycięstwo w ogóle bez walki. Najlepiej sprawić, żeby przeciwnik sam się rozbroił, żeby przestało mu zależeć na własnym państwie, języku, tradycji, historii. Żeby w ogóle było mu wszystko jedno. Pozbawić go jakichkolwiek ideałów, wszystko, w co kiedykolwiek wierzył obrócić w gówno, przekonać go, że „ojczyzna” to pusty, pozbawiony znaczenia dźwięk, że patriotyzm, to najbardziej kompromitująca postawa, jaką można sobie wyobrazić. Nie ma absolutu, wszystko jest względne, prawda jest jak dupa, każdy ma własną. Zastąpić prawdziwe instytucje państwowe sztucznymi tworam, naturalne relacje międzyludzkie zbiurokratyzowanymi organizacjami regulującymi komunikację wewnątrz społeczeństwa. Zamiast naturalnych kontaktów, ingerencja pracowników socjalnych, zamiast prawdziwej nauki, pseudonauka. Do diabła z matematyką i historią na uniwersytetach! Patrzcie, głąby, teraz studiujcie kult ziemi i własną seksualność. Gender! To jest przyszłość! Wierysz w coś — nie wierz! Jesteś czegoś pewien — nie bądź! Ufasz państwu — nie ufaj! Podważyc każdy dogmat, zachwiać każdą prawdą, zniszczyć relacje społeczne, znaleźć najohydniejszych dewiantów i zrobić z nich wzorce do naśladowania! Zdeprawować i zgwałcić dusze! Wywołać procesy gnilne w zdrowych tkankach społecznych, niech gangrena zacznie zjadać powoli ich umysły. Zrobisz to i czołgi nie będą już potrzebne.

Tak się dziś prowadzi wojnę. I tylko my jesteśmy w tym mistrzami, konkurencji brak!

— Mocne słowa, kamandir. I wy tak to wszystko sami, w kilku towarzyszy ze specnazem? Mołodcy!

— Nie doktorku! Ciągłe pieprzą ci się realia. Po pierwsze, nie wyjeżdżaj mi tu ze specnazem, bo to bojówka konkurencji. Po drugie, zapomnij o filmowym archetypie uzbrojonego po zęby agenta. Całą robotę wykonali cywile. Wykładowcy akademicy, studenci przyjeżdżający w ramach wymiany międzynarodowej, kupieni dziennikarze, politycy, pracownicy administracji państwowej. Wiem, wiem! Już chcesz zapytać, czy mieliśmy ich pięć dywizji. Nie przyjacielu, było ich sporo, ale nie jakieś olbrzymie ilości. Po prostu byli bardzo wpływowi. Jeden profesor, czy dziennikarz infekował setki, tysiące... A potem te tysiące, rozpowszechniały chorobę dalej i dalej. Zasada kuli śnieżnej, rozumiesz. Jednym z najcenniejszych przyczółków stały się zachodnie uniwersytety, gdzie nasza ideologia rozprzestrzeniała się z szybkością najstraszliwszej zarazy. Tam hodowaliśmy sobie najwierniejszych z wiernych, zaplecze, które stało się najskuteczniejszą, a do tego nieświadomą swojej prawdziwej roli agenturą. Po jakimś czasie zjawisko nabrało takiego tempa, że nie było siły na ziemi, która by je zatrzymała. Efekty po kilkudziesięciu latach przeszły najśmielsze oczekiwania. Za chwilę w ogóle nie będziemy potrzebowali żadnych zaawansowanych broni. Wystarczy mocniej tupnąć nogą... Wiesz co jest papierkiem lakmusowym? Jasne! Kino! Pewnie znowu chcesz przykładu, co? Proszę bardzo: „Pulp Fiction”. Pamiętasz, jak Christopher Walken przychodzi do młodego Butcha i opowiada mu o jego ojcu, o zegarku i o wietnamskiej niewoli? Śmiałem się, aż mnie brzuch rozbolał. Oczywiście śmiałem się z tych baranów, którzy rżeli obok mnie w kinie. Z czego się śmiejecie, chciałoby się zapytać! Z siebie się śmiejecie! No boki zrywać! Niech mi ktoś powie, że po tej scenie można jeszcze o jakimś zawodowym oficerze armii amerykańskiej, weteranie, bohaterze wojennym myśleć inaczej, niż jak o popapranym idiocie! A przecież twórca nie powiedział wtedy ostatniego słowa, wciąż tworzy nowe dzieła... Nasza szkoła! Hollywood po niemal stuleciu istnienia wciąż jest bóstwem, do którego modlą się setki milionów. Tłumy stopniowo opuściły kościoły i przeniosły się do sal kinowych. Dziś zapomniany i wyszydzany klecha został sam na ambonie, nie ma już swoich owieczek. Jego miejsce zajęli inni, potężniejsi czarodzieje. Sztukę oratorską usunęli w cień, doprowadzając jednocześnie do perfekcji inną sztukę: iluzję. Dziś ci nowi prorocy wyczarowują światy, które długo po tym, jak zgaśnie ekran, żyją swoim własnym życiem w umysłach ludu. Fachowcy z tej branży tak, jak wszyscy inni artyści też byli przez lata poddani działaniu naszych środków aktywnych. I to prędzej, czy później musiało przynieść rezultaty. Zjawisko ewoluowało. Najpierw szlachetnego bohatera walczącego z bezprawiem na amerykańskim pograniczu za-

stępowali stopniowo różni bojownicy o wolność i braterstwo. Ci już nie walczyli z bandytami, tylko z okrutnym, bezwzględnym systemem osaczającym niewinną jednostkę. To był ważny moment, doktorze. Zwróć uwagę, że wtedy właśnie odnieśliśmy pierwszy wielki sukces. Oficer policji, armii, wywiadu, polityk, stał się w Hollywood z dnia na dzień czarnym charakterem. To ich mroczne knowania obnażali długowłosi herosi na Harleyach, czy innych Dodge'ach Challengerach pędzący przez pustynię. Albo kierowcy wielkich ciężarówek formujący gigantyczne konwoje, przemierzający Stany w niemym proteście przeciwko... Właśnie! Przeciwko czemu, jak sądzisz? Otóż to! Przeciwko strukturom opresyjnego państwa! I znów, gdyby taka propaganda urodziła się u nas, powiedzmy na Łubiance, byłaby nieznośnie toporna, drętwa, po prostu niestrawna. Nikt by w nią nie uwierzył. A tam, popatrz! Tamci czarodzieje roztaczają wizje, których piękno uwiarygodni każde przesłanie, choćby najbardziej głupie. Pozwól, że znów posłużę się filmowym przykładem. Naćpany kretyn zakłada się z drugim durniem, że w ciągu 24 godzin przejedzie samochodem z Denver do San Francisco. I jedzie. Narażając po drodze siebie, matki z dziećmi, starszusków i stróżów prawa, próbujących go zatrzymać. Czy o coś mu chodzi? Czy ma jakiś głębszy cel? Jakąś ideę? Nie! Jego szaleńczy rajd jest tylko bezsilnym protestem przeciwko... Tak jest! Systemowi, przyjacielu! Mieszka w najbogatszym kraju na świecie, opływa w dostatek, o jakim mogą tylko marzyć ci, którzy żyją w ustroju, jaki chce zaprowadzić w swoim domu, ale to wszystko nie ma dla niego znaczenia. Ważny jest bunt! Choćby nawet tak absurdalny. Tu kolejny punkt dla mojej drużyny! Po drodze, zanim się roztrząska o dwa caterpillary, nasz śmiałek spotyka całkiem sporo sojuszników, którzy wspierają go w jego kretyńskiej, autodestrukcyjnej misji. Jacyś hipisi, patrzący na świat niewidzącymi od haszyszu oczami, jakiś autystyczny łowca grzechotników... no i oczywiście pojawia się też prorok, przedstawiciel prześladowanej mniejszości rasowej, który go poprowadzi prostą drogą ku samozagładzie... Z klinicznego punktu widzenia historia jest nieprawdopodobnie idiotyczna. Ale za to jak opowiedziana...

— Też widziałem ten film. Nie musisz mi go streszczać.

— No, sam widzisz. Całe Hollywood lat siedemdziesiątych nieświadomie grało w naszej drużynie. Każdy znaczący tytuł...

— Nie każdy, kamandir, nie każdy.

— Tak? A niby który?!

— The Outlaw Josey Wales na przykład...

— Z ciebie to normalnie jakiś sabotażysta! — Uśmiechnął się pod nosem Vadim. — Cały wywód mi chcesz zepsuć jednym wyjątkiem potwierdzającym regułę? To popatrz, jak nagrodzono reżysera za ten i inne jego filmy. Większość postępowych mediów nazwała go faszystą i neandertalczykiem! W ogóle nie zwracaj mi głowy jakimiś dinozaurami! Wróćmy do głównego nurtu i skupmy

się na uwielbianych przez masy bohaterach. Wszyscy oni walczą z systemem, z którym całkiem przypadkiem my też mieliśmy na pieńku... Patrz! Teoretycznie od lat nie istnieje już Sojuz, ani ideologia, która go stworzyła, a obiekty naszych działań wciąż funkcjonują według wszczepionego schematu. Mało tego! Ewoluuja już zupełnie samodzielnie. Tak rosną procenty od inwestycji sprzed kilku dekad. To już teraz samodzielna, samowystarczalna maszyna. Spróbuj któremuś z tych awangardowych twórców powiedzieć prosto w oczy, że właśnie doprowadza do rozkładu własny kraj, że niszczy fundamenty, na których zbudowano jego świat. Zobaczysz, jak się obruszy, jakie wywołasz oburzenie. Nim zdążysz skończyć swoją wypowiedź zostaniesz okrzyknięty faszystą i wyśmiany. Tak to działa, kolego. Dlatego właśnie przyłączysz się do nas, bo nasze jest zwycięstwo. Mamy wszystkie atuty, łącznie z zaskoczeniem. Przeciwnik ciągle szuka wroga na Bliskim Wschodzie, nas w ogóle nie zauważa, a przecież to my wciąż manipulujemy tymi „terrorystami”, żeby grali według naszego scenariusza. Tak oto zaaplikowaliśmy im bezboleśnie kłamstwa. Nowe kłamstwa...

— ...W miejsce starych?

— Można to tak ująć, doktorze.

— Naprawdę nie boisz się, że to gdzieś rozpowszechnię? Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz tak otwarcie?

— Dlatego, bo chcę, żebyś zrozumiał sedno procesów, których jesteś świadkiem. Jeśli pojmiesz, na czym polega istota rzeczy, sam zdecydujesz, że jedyne rozwiązanie, to przyłączyć się do nas. Masz właśnie niepowtarzalną okazję wstąpienia w szeregi elitarnego... nazwijmy to klubu, w którym skupiają się najbardziej błyskotliwe i wpływowe osobistości. Pod naszą kuratelą możecie dokonać wielkich rzeczy: walczyć o globalne rozbrojenie, obalać totalitarne systemy, edukować masy. Czy taką szansę można zmarnować? Jak w ogóle możesz się wahać i sugerować, że odrzucasz moją ofertę? I, naprawdę, doktorze, nie podejmuj nawet argumentu, że mógłbyś nam próbować zaszkodzić, bo nie wiesz, z czym masz do czynienia. Mówisz, że rozpowszechnisz tę wiedzę na zewnątrz? Ależ proszę bardzo! Idź i rozpowszechniaj! Chętnie popatrzę. Tylko gdzie pójdziesz? Do gazet z głównego nurtu? Nie rozśmieszaj mnie! Do telewizji? Jeszcze lepiej! Jasne, w końcu ktoś się tobą zainteresuje, jakiś szmatławiec, który przeczyta tysiąc osób, a twój przekaz zrozumie z tego dwadzieścia procent... A liczy się przecież magia wielkich liczb. Nasze przesłanie trafia do milionów i to ono właśnie kształtuje świadomość mas. Co z tego, że gdzieś ktoś wydrukuje twoje ostrzeżenie, jeśli utknie ono w getcie lokalnej prasy?! Poza tym, przyjacielu, było już wielu przed tobą, którzy o tym opowiadali i to na całkiem poważnych forach. Różni dezenterzy, archiwiści, byli agenci. Niektórzy nawet napisali książki. Ludzie je przeczytali, pokiwali głowami i wrócili spokojnie do swoich zajęć. Może nawet paru się zadumało i doznało

refleksji. Może kilku się spotkało i uzgodniło, że coś trzeba zrobić. Ale nikt ich nie brał poważnie. I nigdy nie weźmie. A wiesz dlaczego? Nie tylko ze względu na wpływ zachodnich dziennikarzy i profesorów, których sobie wychowaliśmy przez ostatnie dziesięciolecia, a którzy stali się autorytetami. Również dlatego, że ludzie zwyczajnie boją się prawdy. Przez lata mieli swój własny świat, w którym było jasno określone, kto jest dobry, a kto zły. Przyzwyczaili się do swoich bohaterów, wrogów i mentorów. Jeśli teraz przyjdzie ktoś i powie im, że wszystko, w co wierzyli było kamuflażem, oszustwem, dezinformacją na skalę ogólnoswiatową, to mu zwyczajnie nie uwierzą. Nie będą chcieli mu uwierzyć. To się im po prostu nie zmieści w głowie. I uruchomią mechanizm wyparcia. Im twardszych argumentów będziesz używał, im sprawniej będziesz dowodził swoich tez, tym większym wrogiem staniesz się dla tych, których spróbujesz przekonać. Dlatego właśnie nie musimy nawet specjalnie bronić się przed próbą ujawnienia naszej strategii, bo każda taka inicjatywa utknie w zalewie dezinformacji głównego nurtu. Jeśli chciałbyś z tym trafić do mas, musiałbyś swój przekaz skondensować do bardzo małych „pigulek informacyjnych”, rozpowszechnić w milionach sztuk i sprawić, by atakował odbiorcę przy każdym rozpakowanym hamburgerze albo wyskakiwał z porannej kawy. Grając jako *outsider* zwyczajnie nie masz szans! Ale manipulacja, o tak, manipulacja pozostaje wciąż naszym głównym orężem. Śnieżna kula się toczy. Po cichu, bezgłośnie. Ciągłe się wahasz? Ciągłe nie wiesz, którą stronę wybrać, doktorze?

Przerwał, dając Spychowskiemu czas na przetrawienie danych. Czekał chwilę na komentarz, ale tamten widocznie wyczerpał limit rozmowności na ten wieczór. Co za mruk! Trzeba będzie nad nim jeszcze popracować.

— Na dziś dosyć zwierzeń. — Vadim wstał i ruszył w stronę swojego namiotu. — Obejmujesz pierwszą wartę. Obserwuj plac, jeśli się ktoś zbliży do Stratosy, natychmiast mi dasz znać, jasne?

— Jasne, kamandir! A nie boisz się, że zasną albo oddalę się z posturunku?

— Nie żartuj, doktorze! Za bardzo wciągnęła cię ta historia, nie zaprzeczaj. Obudź mnie za jakieś trzy godziny. Wtedy cię zmienię.

Cięty był szczęściarzem. Nie ma co do tego wątpliwości. I nie chodziło tylko o fartowną rękę do robienia interesów, chociaż był to niebagatelny plus dodatni. Zwłaszcza na początku jego kariery, kiedy z równym powodzeniem wymieniał złoto i dolary na dobra wszelakiego rodzaju z przepastnych magazynów Waffen-SS, jak i Wehrmachtu. Ale wielkim farciarzem okrzyknięto go parę lat później, w okresie budowania tak zwanej demokracji ludowej. A stało się to za sprawą jego daty urodzenia. Za sanacji była to data jak każda inna.

Taka nijaka, można by rzec. Równie daleko jej było do 11 listopada, co do 3 maja. Była co prawda nieco zbliżona do 15 sierpnia, ale i tak dźwięki orkiestry wojskowej, sławiącej pogromców krasnoarmiejców z 1920 rozbrzmiewały co roku długo po chóralnym „Sto lat” na cześć Ciętego (wtedy jeszcze nie miał tego przydomka). Dopiero po „wyzwoleniu” okazało się, jak łaskawie potraktował go los. Bo Cięty, a właściwie obywatel Stanisław Wojnowski, syn Józefa i Genowefy, przyszedł na świat w Zielonce roku pańskiego 1921, ni mniej ni więcej tylko 22 lipca (dawniej E. Wedel). Łatwo można więc sobie wyobrazić konsternację oficerów Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, którzy przesłuchując potencjalnego imperialistycznego szpiega, członka leśnych band „lejącego wodę na młyn odwetowców”, drżącymi rękami wpisywali jego dane osobowe w odpowiednie rubryki. Bo też i nie do końca było wiadomo, jak tu potraktować obywatela Wojnowskiego. Czy jego data urodzenia to ordynarna prowokacja, wymagająca zdecydowanych działań z kontrwywiadowczymi włącznie, czy też wręcz przeciwnie, lepiej z obywatelem Wojnowskim nie zadzierać i nie mieć za wiele do czynienia? Nie były to łatwe do rozgryzienia dylematy, zwłaszcza dla tych oficerów, którzy celowali w wyszkoleniu politycznym. I tak w przypadku Ciętego wahanie i niepewność obracały się na jego korzyść, dzięki czemu z okresu „błędów i wypaczeń” mógł się wyłgać za ledwie sześcioma miesiącami odosobnienia we względnie znośnych warunkach. Wiele lat później, kiedy stał się królem motoryzacyjnego podziemia jego podwładni dla uczczenia urodzin szefa zorganizowali coś na kształt jubileuszowego rajdu. Z czasem, w środowisku impreza weszła do kalendarza, jak Boże Narodzenie, czy Sylwester. Zasady były bardzo proste. Dwóch najlepszych kierowców organizacji późnym wieczorem wyruszało z Łomianek pod Warszawą do luksusowej willi w podwarszawskiej Radości. Każdy z nich wiozł butelkę trunku mocno wyskokowego, którym po dostarczeniu wznoszono pierwszy toast za zdrowie solenizanta. Kierowca, który dotarł do mety pierwszy przez rok nosił przechodni, srebrny łańcuszek z nieśmiertelnikiem wykonanym, jak głosiła legenda, ze sworznia korbowodu Mercedesa samego Rudolfa Caraccioli. Jedynym zabezpieczeniem imprezy była niepisana umowa między Ciętym, a pewnym wysoko postawionym funkcjonariuszem państwowym, ale i tak czasem zdarzały się interwencje niedoinformowanych patroli drogowki, więc wynik do końca pozostawał niepewny. W PKWN Rally rzecz jasna nie mógł wystartować nikt z zewnątrz. Udział Texasa stawiał wszystko na głowie.

Tomasz Spychowski „Spychacz” był zły. I nie chodziło wcale o to, że Cięty zarządził zmianę w ostatniej chwili, ostatecznie on był szefem. Ale skąd wytrzasnął tego przybłędę?! On, Spychacz ciężko zapracował przez ostatnie pół roku na to, by móc dziś wystartować. Tyle, że nie miał zamiaru ścigać się z jakimś pieprzonym amatorem! Do czego to doszło! Gnojek z zewnątrz, bez

żadnych zasług, bez doświadczenia w robocie ma nagle rywalizować z najlepiej zapowiadającym się fachowcem Ciętego?! Spychacz był wzburzony. Co za obciach! Ale dobrze, chce gnój wyścigu, to będzie miał! Ciekawe czym pojedzie? Pewnie jakimś dychawicznym Polonezem, albo Golfem. Spychacz gardził ludźmi z zewnątrz, tymi nędznymi robakami uwijającymi się wokół swoich codziennych żalonych spraw. Byli tacy nieznośnie pospolici. Ich powolny ale uporczywy marsz pod prąd nurtu codzienności mierzył go. Może dlatego, że sam wywodził się z tej właśnie warstwy. Ale on przecież był od nich o niebo lepszy! Tylko i wyłącznie dzięki własnym umiejętnościom i zaradności wybił się ponad szarą przeciętność i był teraz kimś. Miał cały świat u swoich stóp. Czuł, że może dokonać rzeczy wielkich. Kto wie, może za kilka lat stworzy własną grupę i niezależni się od Ciętego. Tak, dlaczego by nie?! Czy był w czymś gorszy od starego? Czy tamten miał coś, czego Spychaczowi brakowało? Czy Cięty był twardszy, sprytniejszy od niego? Na wszystkie te pytania Spychacz udzielił sobie przeczącej odpowiedzi. A do tego wiedział, że ma jeden niezaprzeczalny atut. Młodość! Coś, czego Cięty nie kupi za żadne pieniądze. Tak, przyszłość wydawała się Spychaczowi bardzo obiecująca. Po raz nie wiadomo który przetarł dłonią chrom na zderzaku i przejrzał się w idealnej gładzi. Rozpierała go duma. Gdyby teraz mogli go zobaczyć ci zastraszeni, zagubieni kretyni z Domu Dziecka. Chciał, żeby podziwiali go, pragnął ich zazdrości i zawiści. Już nie był jednym z nich. Już nie musiał się dzielić każdym ochłapem. Teraz był kierowcą. Prawdziwym driverem, jak na filmie, który widział kiedyś na śnieżącym i bardzo czarno białym telewizorze. Usiadł za kierownicą, by znów zaciągnąć się zapachem prawdziwej skóry. Mało kto dostąpił takiego zaszczytu. Bo też i mało kto umiał otwierać samochody tak sprawnie jak on. A Cięty doceniał takie talenty. Od pierwszego wejrzenia wiedział, że jest do niej stworzony. Błyszcząca, kapiąca luksusem, wywołująca erotyczne dreszcze czarna szóstka z pyskiem rekina należała tylko do niego. Od miesiąca jeździł tą ślicznotką by wozić inne ślicznotki na prawym fotelu. Jego kariera szybowała ku niebu. Był królem.

Wszystko było gotowe. Chłopaki już czekali z flagami w czarno białą szachownicę. Żeby było widać, o jaką datę chodzi, Cięty kazał na białych polach wymalować podobizny Wandy Wasilewskiej, Osóbki-Morawskiego i jeszcze jakiegoś trzeciego działacza, o którym Spychacz nie słyszał i mówiąc szczerze nie chciał słyszeć. Cały ten cyrk z polityką i historią mało go obchodził. Cięty robił z tego jakąś demonstrację niezależności, czy coś. Że niby kpił w ten sposób z władzy. Spychacz nie bardzo się w tym orientował. Dla niego liczyła się adrenalina. No gdzie ten frajer? Wysiadł z samochodu i zaczął przechadzać się nerwowo po poboczu. Pewnie skrewił, kiedy zobaczył jego BMW. I dobrze. Zaoszczędził sobie tylko wstydu.

Nagle od strony trasy E-7 błysnęły światła. Samochód zbliżał się powoli, za chwilę był tuż, tuż, ale z tej strony Spychacz wciąż nie mógł zidentyfikować marki ani modelu. Widział tylko, że to coś dużego. W końcu przybysz podjechał do niego, zwolnił, ryknął przeciągle silnikiem i buksując tylnymi kołami ustawił się równoległe do czarnego rekina, jakby był na defiladzie. Spychacz zmierzył go niechętnym spojrzeniem. Co to za dinozaur? Trans Am? Camaro? Coś w tym rodzaju. To z tym wynalazkiem ma się ścigać? Był zdegustowany. Ale nagromadzone napięcie domagało się rozładowania. Zbyt długo już czekał. Wskoczył za kierownicę.

— Jadę rozgrzać gumy! — Rzucił do chłopaków.

Wypadł na asfalt obrzucając obserwujących go ludzi piachem i żwirem. Opony zawyły potępieńczo, tył rekina zatańczył kazaczoka i gdy wreszcie koła złapały przyczepność, samochód wyrwał do przodu, rozganiając chmary komarów unoszące się nad doliną Wisły. Za chwilę widać było już tylko czerwone ogniki świateł pozycyjnych. Texas patrzył w milczeniu na ekshibicjonistyczny pokaz i wsłuchiwał się w sonatę rozpisaną na sześć cylindrów i co tu dużo mówić niezbyt szczelny układ wydechowy. Daleko przed nim BMW obrócił się w miejscu o 180 stopni pomagając sobie momentem obrotowym i gnał teraz w ich stronę grząc basem. Nagle, ucho Texasa wychwyciło coś fałszywego w czystych dotąd dźwiękach. Gdzieś pomiędzy trzema a trzema tysiącami pięciuset obrotów silnik stracił rytm. Zmiana była ledwo uchwytana, ale Texas wiedział już, że na długich prostych rekinowi będzie wypadał zapłon. Prawdopodobnie świeca, może pompa wtryskowa. Popatrzył na otaczających go cwaniaków. Wyglądało na to, że nikt poza nim nie zauważył usterki. Spychacz wyhamował tuż przed gapiami, zawiął tyłem i, jakby strzelał obcasami na musztrze, ustawił się tuż obok Camaro. Kierowca spojrzął na Texasa, a w oczach miał czystą pogardę. Texas chciał powiedzieć coś w rodzaju „deska nie może się bronić”, ale zrezygnował. Zajął miejsce za kierownicą, uruchomił silnik i czekał. Ktoś, kogo Texas dobrze nie widział podniósł klapę bagażnika jego Camaro i zamontował w środku drewnianą skrzynkę z napisem Ballantines, po czym klepnął dłonią w dach auta. Tęgawy facet w czarnej ramonesce stanął pomiędzy maskami samochodów, wywinął młynka biało czarną flagą, trzymał ją przez ułamek sekundy w poziomie, po czym gwałtownie uniósł do pionu. Ruszyli. Samochody prawie stykały się błotnikami, pierwsze metry pokonali lepkiem poślizgiem. Dopadli asfaltu i jechali teraz niemal koło w koło w stronę trasy Warszawa — Gdańsk. Do skrzyżowania pozostało czterysta, trzysta, dwieście pięćdziesiąt metrów... Texas zaczął obliczać w myśli łuk, po którym mógłby wejść w lewy zakręt, nie zderzając się jednocześnie z BMW, który wychodził właśnie na zewnętrzną. Nadal jechali prawie idealnie równo. Wpadając na skrzyżowanie obaj mieli już zablokowane koła. Mimo, że starali się hamować pulsacyjnie, nerwy wzięły

górze. BMW szedł w poślizgu odrobinę dłużej, Texas puścił hamulec wcześniej i na granicy przyczepności wpadł na „siódemkę”. Wyszedł na prowadzenie, ale tamten był blisko. Widział w lusterku podwójne reflektory i słyszał ryk rzędowej szóstki. Miał osiemdziesiąt mil na liczniku i przed sobą długą prostą, kiedy kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł ciężarówkę wyprzedzającą nocny autobus. Oba pasy były zajęte. Rzecz niezwykła, biorąc pod uwagę porę. Wiedział, że lora nie skończy manewru, zanim się zbliżą. Oczy zaczęły szukać nerwowo miejsca na poboczu. Wąsko. Pas ziemi za białą linią upstrzony był czarnymi plamami dołów wybitych kołami parkujących samochodów. Lekko odpuścił, wiedząc, że tamten to wykorzysta. BMW wyskoczył na lewy pas, zrównał się z Texasem i też zwolnił, bo nie miał co ze sobą dalej zrobić. Bariierka odgradzająca obie jezdnie uniemożliwiała przeskok na drugą stronę. Ciężarówka wciąż mozolnie przyspieszała ale obaj wiedzieli, że droga jeszcze przez kilka sekund będzie zablokowana. Zbliżali się do skrzyżowania z Wóycickiego. Texas odczekał jeszcze chwilę i odbił gwałtownie w prawo. Wykorzystując skrzyżowanie, wyprzedził z prawej strony autobus, zrzucił bieg z drive’u na dwójkę i przyspieszał teraz z bulgotem silnika, widząc już rozwidlenie Wisłostrady. Zawahał się przez pół sekundy. Niepisany regulamin wyścigu nie przewidywał jakiejś konkretnej trasy. Można było wybierać do woli. Byle tylko dotrzeć do celu przed tym drugim. Założenie było takie, że wszyscy jednakowo znajdą miasto. Odbił w lewo i zerknął w lusterko. Rekin został jakieś sto metrów z tyłu ale szybko odrabiał stratę. Minęli most i Trasę Toruńską. Tamten doszedł go na wysokości Placu Komuny Paryskiej. Znow siedział mu na zderzaku. Według wskazań zegara na desce Chevroleta robili teraz jakieś dziewięćdziesiąt mil i wciąż było daleko do kresu możliwości obu maszyn. Pora pomyśleć o przeskoczeniu Wisły. Na ciasnych ślimakach Trasy Łazienkowskiej ciężki i miękki Camaro nie miał szans z rasową szóstką. Texas wiedział, że musi wpaść na rozjazd pierwszy, bo inaczej zostanie daleko w tyle. Był na prawym pasie, BMW wciąż próbował go wyprzedzić, ale śladowy ruch na trasie i instynkt samozachowawczy póki co powstrzymywały Spychacza przed pójściem na całość. Obaj wiedzieli, że do ostatecznej rozgrywki pozostało jeszcze parę kilometrów. Texas poprawił się w fotelu.

Niebieskie światło pojawiło się nie wiadomo skąd i odbite w lusterku zakłuło boleśnie w oczy. Jęk syreny rozlał się po ulicach śpiącego miasta. No tak, teraz stawka poszła w górę. Dojeżdżali do trasy WZ. Oczy lustrowały nerwowo okolicę. Znow niebieska łuna. Tym razem z przodu. Wzięli ich w dwa ognie. Nadgorliwcy. Texas spojrział w lewo, ściągnął tamtego wzrokiem. Puścił na chwilę kierownicę, złożył dłonie jak do modlitwy i rozdzielił je na boki. Spychacz zrozumiał, kiwnął głową i wdepnął hamulec. BMW został w tyle ginąc w kłębach dymu palonych opon. Chwilę potem zjechał na prawy pas i wbił się na drogę dojazdową do tunelu pod Krakowskim Przedmieściem.

Texas przejechał kilkadziesiąt metrów hamując, powtórzył manewr Spychacza i Nowym Zjazdem wślizgnął się na most Śląsko—Dąbrowski. Daleko przed sobą, już na Pradze dostrzegł światła czarnego rekina. Spychaczowi najwyraźniej udało się sprawniej zawrócić. Noga spadła na pedał gazu i Chevrolet z rykiem przemknął nad rzeką. Pogoń, nawet jeśli wciąż podążała za nimi, musiała zostać daleko w tyle, bo w lusterku nie było żywej duszy. Spychacz, zgodnie z oczekiwaniami Texasa za Szpitalem Praskim zjechał z mostu, wbił się na Wybrzeże Szczecińskie i byłby wysforował się daleko do przodu, gdyby nie polewaczka, zalewająca jezdnię wodą ze zbiornika. Texas wykorzystując chwilę wahania rywala nie zwalniając zjechał na lewy pas i przebijając się przez potoki wody pognął na południe. Przed mostem średnicowym wbił pedał hamulca w podłogę. Hamował gwałtownie, ale wiedział, że nie zdąży, w ostatniej chwili zwołał pedał i sięgnął odruchowo do dźwigni ręcznego hamulca. Dłoń złapała tylko powietrze, w tym modelu Camaro nie było ręcznego, a on wciąż nie mógł się do tego przyzwycząić. Skręcił kierownicą ostro w lewo. Samochód zarzucił tyłem, zmiotł drewniane, białe czerwone barierki i rozgonił klnących robotników. Droga na całej szerokości była zagrodzona. Naprawa nawierzchni. Dwóch ludzi w plastikowych kaskach rzuciło się na niego wygrażając kułakami. Ale Camaro już był w ruchu, już ryczał na pełnych obrotach, już przyspieszał, buksując kołami. Texas wyminał w ostatniej chwili hamującego BMW. Spychacz nie miał już miejsca na żaden manewr. Kiedy samochód w siwym dymie palonych opon wreszcie stanął, wrzucił wsteczny i ruszył w ślad za Chevroletem. Kiedy już wydawało się, że szalenciec będzie chciał resztę drogi pokonać tyłem, rekin wykonał obrót, zawijając przednią osią, jak baletnica kiecką. Kierowca wbił jedynekę i nie tracąc rytmu pognął za znikającymi światłami Camaro. Dopadli Grochowskiej, pędzili teraz dziurawą nawierzchnią, tracąc co i raz przyczepność. Na Rondzie Wiatraczna Texas, zgodnie z wcześniejszymi obawami, stracił prowadzenie. Camaro po prostu wypadł na zewnątrz łuku i w poślizgu wyleciał na chodnik, cudem nie tracąc opon na prawych kołach. Ruszył bez zwłoki, skrcając sobie drogę przez pętlę autobusową. Długa prosta. Spychacz rozpędził swojego BMW do samobójczych stu pięćdziesięciu na godzinę i zbliżał się do skrzyżowania z Marsa.

Załadowana stalowymi rurami Scania wytoczyła się leniwie z Ostrobramskiej wprost przed czarnego demona. Spychowski nie miał czasu nacisnąć na hamulec, skręcił kierownicę lekko w lewo, o centymetry mijając przedni zderzak tira. Przy tej prędkości nie mógł jednak opanować masy samochodu. Siła bezwładności obróciła go o 180 stopni i rzuciła na przeciwny pas. Rekin sunął kilkadziesiąt metrów obracając się bezwładnie. Zamiast jednak roztrzaskać się o elewacje budynków stojących przy jezdni, w pewnym momencie dostał zastrzyk mocy, który zgasił obroty, wyprowadził BMW z poślizgu i auto znów pędziło przed siebie, co prawda pod prąd ale bez najmniej-

szych uszkodzeń. Texas obserwował początek zajścia mając scenę przed maską. Zwolnił lekko pozwalając Scanii opuścić skrzyżowanie, następnie przyspieszył, i powrót Spychacza do żywych podziwiał już we wstecznym lusterku. Zbliżali się do ostatniej, decydującej prostej. Camaro nie zwalniając zjechał z Płowieckiej i odbił w prawo. Texas kątem oka zarejestrował fontannę iskier tryskającą spod podwozia BMW przeskakującego na prawy pas ponad betonowym krawężnikiem i podążającego w ślad za nim. Na esowatym zjeździe Camaro znów stracił większość swojej przewagi. Nadwozie zabujało się dramatycznie na boki, a koła po wewnętrznej łuku oderwały się od asfaltu. Texas opanował pijackie podrygi auta i z niepokojem obserwował we wstecznym lusterku zbliżające się światła przyklejonego do asfaltu rekina. Chwilę potem Spychacz wyskoczył z lewej i teraz znów gnali burta w burtę. Mieli przed sobą kilka kilometrów niezbyt szerokiej i niezbyt równej, ale za to prostej jak strzełił drogi. Tutaj zawieszenie, ani hamulce nie miały większego znaczenia. Liczyła się moc. Wciąż przyspieszali, mijając w wariackim tempie uśpione domy. Po przekroczeniu stu dziesięciu mil Texas przestał zerkać na prędkościomierz. Bał się oderwać wzrok od drogi. Wydawało mu się, że samochód odrywa się od jezdni i unosi ponad dziurawym asfaltem. Wcisnął pedał gazu do oporu, Camaro drżąc i wibrując jeszcze przyspieszył rozganiając reflektorami mrok. Rekin po lewej wył jak szlifierka i ciągle utrzymywał się tuż obok. Texas czuł, że zaraz coś się musi wydarzyć. Samochód zgłaszała mu kres swoich możliwości. Wskazówki zegarów na desce rozdzielczej drgały nerwowo, silnik dał się wniebogłosy, wychylając wskaźnik temperatury na ostrzegawcze pole. Obrotomierz wrzeszczał rozpaczliwie, oscylując przy końcu skali. Cała deska rozdzielcza przypominała twarz wykrzywioną w dzikim grymasie wysiłku i bólu. Tak maszyna dawała znak człowiekowi, że dłużej tego nie znieśie. Nie mogli bezkarnie jechać wciąż z taką prędkością. No dalej, do cholery, odpuść, ty pieprzony samobójco! Ale tamten szedł obok, jak cień. Teraz każda najmniejsza przeszkoda, jakiś zbłąkany pies, czy sarna mogły wysłać ich do wieczności. Widlasta ósemka Camaro dochodziła do kresu swoich możliwości, kiedy nagle tamten wyraźnie zwolnił i zaczął zostawać w tyle. Najpierw rekiniasty pysk przesunął się na wysokość bocznej szyby, potem został gdzieś za tylnym zderzakiem Chevroleta. Wyglądało na to, że brutalna moc wygrała z wyrafinowaną techniką. Teraz pozostało jeszcze wejść w ostatni zakręt. Zbliżali się do mety. Texas widział już przed sobą skrzyżowanie z uliczką, w którą musiał się zmieścić z tą rozpędzoną kupą drżącego metalu. Tu już nie było miejsca ani czasu na finezję. Obliczył na oko punkt, od którego powinien zacząć hamować i kiedy go osiągnął wdepnął hamulec. Samochodem zarzuciło, ale utrzymał z grubsza orientację równoległą do osi jezdni. Sunął przy akompaniamencie pisku gum. Spychacz zdezorientowany minął go z lewej i już nie miał szans, by wbić się w skrzyżowanie. Camaro śli-

zgał się ciągle z nieruchomymi kołami i wytracał prędkość. Kiedy już wydawało się, że zmaltretowane przednie zawieszenie zrobi szpagat, Texas na pół sekundy puścił hamulec i skręcił kierownicę w prawo. Samochód obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i, nadal w poślizgu, utrzymał się na asfalcie nie dotykając nawet krawężnika. Spychacz w tym czasie zawracał po rozpaczliwym hamowaniu, już nie był w stanie odrobić straty. Camaro z rykiem silnika wpadł w otwartą na oścież bramę i wyhamował na białym żwirze podjazdu przed oświetloną willą. Texas zgasił silnik, ale nie wysiadał. Nie miał siły ruszyć się z kierownicy. Gospodarz imprezy stał na schodach i patrzył na stygnący samochód.

— Historia, jak to historia, lubi się powtarzać. Tak jak kiedyś Focke-Wulfy ustąpiły Thunderboltom, tak dziś Bayerische dostało w dupę od GM-a... — Mruknął do wściekłego Spychacza, który zdążył właśnie dojechać i wysiąść ze swojego rekina.

— Jechał Spychacz ciemną nocą, jechał przez stolicę, chciał szefowi flaszkę przywieźć, pomylił przecznice. — Wyrecytował chudy facet oparty niedbale o balustradę balkonu.

— Zamknij się, Fairlane! — Warknął Spychacz. — Dajcie jakieś szkło, bo mi od tych błazeństw w gardle zaschło!

Cięty podszedł do Texasa i odebrał od niego skrzynkę z whisky.

— Ostry z ciebie gówniarz. Teraz już nie masz odwrotu. Chodź, przedstawę cię chłopakom.

— Spychacza już znasz... Ten na górze, to Fairlane 500, poeta, jak słyszałeś. Samorodny talent. Oprócz tego artysta plastyk. Robi w metalu, przekuwa cyferki na żeliwnych odlewach.

Zgodnie z umową zmienili się po drugiej w nocy. Vadim zaczynał rozumieć, że dotarcie do celu może mu zająć więcej czasu, niż przewidywał. Samochód był zbyt oczywistym tropem, żeby ktoś tak doświadczony, jak człowiek, którego szukał po prostu zawiózł go do swojej siedziby. Najprawdopodobniej cała ta podróż na południe kraju była tylko kamuflażem. Zdaje się, że czeka ich dłuższa przejażdżka. Tuż przed świtem jego przewidywania okazały się trafne. Nagle wokół lawety zaczęli kręcić się jacyś ludzie. Lancja została sprawnie przeładowana do stojącego nieopodal kontenera na dwuosiovej naczepie. Nie minęło dziesięć minut, a do naczepy podpięto ciągnik siodłowy i transport opuścił plac manewrowy kierując się znów w stronę Tarnowa.

— Wstawaj, mamy problem! — Obudził kopniakiem Spychowskiego i nie zważając na jego przekleństwa wyciągnął go z namiotu. — Ruszamy w drogę! Zbieraj bety i siadaj za kółko! Natychmiast!

— Co jest?! — Spychowski zerwał się ze śpiwora, przeganiając senne odrętwienie.

— Wpakowali Stratosę do kontenera, sygnał z pluskwy będzie dużo słabszy. Możemy go zgubić. Będziesz musiał trzymać się blisko niego.

— A nie mówiłem! Uwielbiam współczesną technikę.

W pośpiechu wrzucili namioty do bagażnika i wskoczyli do samochodu. Kilkaset metrów pędzili wąską polną drogą, po chwili wpadli na asfalt. Poza nimi na trasie nie było nikogo. Vadim włączył GPS, ale tak, jak przewidywał nie udało mu się odebrać sygnału z Lancii. Widocznie wewnątrz kontenera było ekranowane. Sprytnie, bardzo sprytnie, pomyślał. Spychowski wycisnął z Opla wszystko, co zaoferował producent i po kilku kilometrach dogonili ciężarówkę.

— Jaki masz plan, kamandir? Mam mu siedzieć na ogonie?

— Nie! Trzymaj się bliżej, ale na granicy widoczności. Nie może się zorientować, że się nim interesujemy.

Jechali tak kilkanaście minut, po czym tir odbił w stronę Tarnobrzegu. Wyglądało na to, że zwiedzą dziś jeszcze wiele malowniczych miejsc. Vadim ustawił lusterko po swojej stronie tak, by widzieć drogę za samochodem. Jakiś czas patrzył w milczeniu na to, co działo się za nimi.

— Martwi cię to BMW, kamandir? — Spychowski też zauważył towarzysztwo na pustej drodze.

— A myślisz, że są powody do niepokoju?

— Nie wiem. Mam ich zgubić?

— W żadnym wypadku! Jedź tak, jak do tej pory.

Srebrna limuzyna trzymała się kilkadziesiąt metrów za nimi i od dobrych kilkunastu kilometrów nie próbowała się zbliżyć, mimo, że wlekli się niecałe 80 na godzinę.

— Jeśli jadą na wycieczkę krajoznawczą, to nie mam nic przeciwko. Poobserwujemy sobie ich trochę i tyle — mruczał Vadim, gapiąc się w lusterko — to wolny kraj, każdy może jechać tak, jak mu wygodniej.

Mijali małe wioski stale utrzymując dystans do jadącego na przedzie tira. BMW też trzymał się za nimi nie zmniejszając odległości. Vadim już miał zamiar coś przedsięwziąć, gdy limuzyna nagle przyspieszyła i zaczęła ich wyprzedzać.

— No i jedź z bogiem kolego. — Odetchnął Vadim.

Samochód zrównał się z nimi i nagle wydarzenia zaczęły toczyć się w przyspieszonym tempie. Pasażer otworzył szybę i wychylił się, jakby chciał o coś spytać. Spychowski odruchowo zwolnił i w tym samym momencie BMW w ułamku sekundy zjechał na ich pas miażdżąc przy akompaniamencie dartej blachy lewy bok i przesuwając Opla jak piłkę futbolową na wąskie pobocze.

Vadim jakby na zwolnionym filmie obserwował zbliżający się potężny dąb. Zdążył zacisnąć zęby w oczekiwaniu na uderzenie. Doznał przykrego uczucia rezygnacji przed nieuniknionym. Jego mózg zdążył w ułamku sekundy wyprodukować wizję, którą długo potem będzie się starał wymazać z pamięci. Nim minie mgnienie oka stanie się stertą kości, kończyn i organów, zmieszaną z równie nieatrakcyjnymi szczątkami dzieła mechaniki precyzyjnej. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Spychowski zamiast walczyć z prawie dwoma tonami metalu, napierającymi z lewej strony, odbił kierownicą w prawo, zredukował bieg, dodał gazu i wpadł na sąsiadujące z szosą pole kukurydzy. Pozbawiony nagle oporu BMW, siłą bezwładności przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów w prawo i ocierając się o masywne drzewo próbował wrócić na drogę. W tym samym czasie Spychowski prześlizgnął się po polu, odbił z powrotem w stronę szosy i wykorzystując pochyły zjazd dla maszyn rolniczych wyskoczył na asfalt tuż za BMW. Odbił jeszcze trochę w lewo, przyspieszył, po czym wbił się w tylny błotnik limuzyny. Potem zadziałał moment obrotowy. Auto obróciło się bokiem do jezdni, a Opel, wykorzystując resztki prędkości, uderzył w drzwi kierowcy i pchał teraz przed sobą zawodzący oponami wrak. Myśliwy niespodziewanie stał się zwierzyną. Usłyszeli przed sobą huk. Widocznie krawędź felgi zsunęła się z opony i BMW stracił resztki potencjału. Spychowski zatrzymał się, cofnął i ruszył na jedynce ponownie wbijając się w bok pojazdu napastników.

— Wystarczy! — Wrzasnął Vadim. — Zostaw go! Jedź za tirem!

Ruszyli ostro w pogoni za niknącą w oddali ciężarówką. Spod maski Opla zaczęła się wydobywać struga białej pary, gęstniejąca z każdym przejechanym kilometrem. Po jakimś czasie wskaźnik na desce rozdzielczej zaczął wskazywać wzrost temperatury. Chwile samochodu były policzone. Musieli szybko zmienić wóz.

— Masz talent.. — Vadim spojrzał na Spychowskiego. — W życiu nie widziałem czegoś takiego, maestro.

— Ja widziałem, znałem kiedyś gościa, który zrobiłby to lepiej...

Tira widzieli teraz tylko na długich prostych, w całym zamieszaniu stracili w stosunku do niego około kilometra. Kiedy wjeżdżali do Tarnobrzegu silnik miał już tylko połowę mocy. Wskazówka termometru stanęła na czerwonym polu. Tir ze Stratosem zatrzymał się na ulicy prowadzącej do rynku. Vadim kazał Spychowskiemu stanąć kilkadziesiąt metrów z tyłu, tak, żeby mieli ciężarówkę na widoku, sami pozostając niezauważonymi.

— Znowu będziesz musiał się wykazać, doktorze. Potrzebujemy pilnie nowego auta. — Rzucił.

— Na to wygląda.

— Ja tu zostanę i posprzątam bałagan, jaki zostawiliśmy, a ty rozejrzyj się po okolicy i zorganizuj nam jakiś transport.

Vadim odprowadził wzrokiem Spychowskiego idącego niespiesznym krokiem w stronę rynku. Następnie zajął się wycieraniem ich odcisków palców z deski rozdzielczej i reszty wnętrza. Z plecaka wyjął przedmiot przypominający dezodorant i spryskał dokładnie środek samochodu. Gdyby teraz komuś przyszło do głowy zatrudnić psy do poszukiwań uczestników porannego wypadku, zmysł węchu biednych czworonogów zostanie „oślepiiony” na kilka dobrych godzin. Sprawdzał jeszcze raz wszystkie zakamarki, na wypadek, gdyby jednak pozostały jakieś „wizytówki”. Nic, czysto. Przypomniał sobie grubawego pracownika wypożyczalni Hertza na Okęciu, tak skrupulatnie wypełniającego formularz na nazwisko Rolfa Wagnera. Właśnie kolejna tożsamość przeszła do historii. Ludzie pojawiają się i znikają... Rolf Wagner, prezes nikomu nieznanego (bo nieistniejącej) firmy Zodiak GmbH, rozwiedziony, dwójka dzieci, konto w jakimś banku w Hamburgu... Kolejne nazwisko, kolejna legenda, kolejny życiorys...

Nagle drgnął, powrócił do teraźniejszości. Pod zaparkowaną ciężarówkę podjechał Nissan Patrol z dwuosiową przyczepą przystosowaną do przewozu aut. Z terenówki wysiadła smukła blondynka. Vadim zmrużył oczy. Był prawie pewien, że to ta sama kobieta, która wylicytowała Stratosę w Warszawie. Kierowca ciężarówki wysiadł z soferki i zaczął się krzątać koło naczepy. Mieli niewiele czasu. Jedyna pociecha, że jeśli Lancia znajdzie się na odkrytej lawecie, znów będzie mógł użyć sygnału z pluskwy. Porzucił zdemolowanego Opla i ruszył w ślad za Spychowskim. Spotkali się na rynku. Stali przed rzędem zaparkowanych samochodów.

— Wybrałeś coś? — Rzucił Vadim.

— Bierzemy Suprę.

Rosjanin spojrział bez entuzjazmu na poobijaną Toyotę, pamiętającą bez wątpienia I Wojnę w Zatoce, a kto wie, może i inwazję na Grenadę.

— Nie lepszy będzie tamten Golf, albo ta apetyczna Astra?

— Przeceniasz mnie, kamandir. Wypadłem z obiegu kilkanaście lat temu. Otworzę każdy samochód, pod warunkiem, że był wyprodukowany w latach osiemdziesiątych. Poza tym potrzebujemy zapasu mocy, na wypadek, gdyby twoi szanowni znajomi znów chcieli nas zepchnąć z drogi...

— Jak uważasz. Ty tu jesteś ekspertem. Bierz się do roboty, musimy się spieszyć!

— Lepiej idź popilnuj twojej przynęty... No co, chcesz podglądać zawodowca przy robocie? — Dodał Spychacz na widok pytającego spojrzenia tamtego.

Vadim odwrócił się bez słowa i poszedł sprawdzić, jak idzie przeładunek. Stał w bezpiecznej odległości i patrzył, jak przykryty plandeką Stratos jest wciągany na lawetę. Stojąca z boku blondynka wydawała jakieś polecenia kierowcy, który co i raz entuzjastycznie przytakiwał. Kim ona mogła być, jaką

rolę grała w tym spektaklu? Czy została wynajęta, czy jest integralną częścią gry? Oparł się o ścianę budynku i taksował ją wzrokiem. Nawet z tej odległości jej sylwetka pobudzała wyobraźnię. Wąska talia, wyraźnie zarysowane biodra... Podniecenie na moment wypchnęło dyscyplinę z jego umysłu i uśpiło ostrożność. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk klaksonu. Biała Supra zatrzymała się obok niego przy krawężniku.

— Cięty miał rację. Kiedyś byłeś wart swojej wagi w złocie. Ile ci to zajęło? Minutę?

— Daruj sobie, musimy się gwałtownie oddalić. Czy ten twój szmelnik teraz odnajdzie Lancię?

— Masz na myśli pluskwę i odbiornik? Myślę, że tak...

— To wskakuj, przyskamy. Ten samochód jest tu pewnie znany...

Zabrali z Opla plecaki i wyrwali ostro w kierunku Lublina. Zwolnili przy małym zagajniku po przejechaniu pięciu kilometrów. Spychowski zjechał z drogi i ustawił samochód pomiędzy drzewami, prostopadle do jezdni, tak, żeby mieli dobry widok na auta jadące od strony Tarnobrzegu.

— Dobra, jedzie. — Mruknął Vadim znad ekranu GPS-u. — Zaraz nas minie.

— Niezła sztuka, ciekawe, czy wie, jak bardzo wodzi cię za nos?

— A więc ty też rozpoznałeś naszą znajomą z aukcji?

— Trudno przegapić takie nogi...

Ruszyli, dając lawecie dwa kilometry forów. Vadim zastanawiał się, ile wie człowiek, na którego zastawił sidła. Element zaskoczenia stracił raczej bezpowrotnie. Ci z BMW rozgryźli ich zamiary bezbłędnie, od razu odrzucił teorię, że to mógł być zwykły przypadek. Przez ułamki sekund widział ich twarze, ale nie rozpoznał nikogo. Nowi ludzie z firmy? Być może, być może... Jeśli tak, to oni jego też raczej nie rozpoznali. Ale alarm został uruchomiony. A zatem tamten już wie. No cóż, nic na to nie można teraz poradzić. Z drugiej strony, wcale nie musi być pewien, kto go tak usilnie tropi. Z pewnością ma wielu wpływowych wrogów. Pewnie teraz zastanawia się, który z nich stracił cierpliwość i rozpoczął polowanie. Tak czy inaczej ostatni etap operacji trzeba będzie zakończyć wariantem siłowym. Vadim najbardziej obawiał się, że tamten porzuci przynętę i trop zniknie raz na zawsze. Na razie, nic jednak o tym nie świadczyło. Wręcz przeciwnie, wiele wskazywało na to, że za wszelką cenę zamierza ściągnąć do siebie Stratosę, zacierając przy tym ślady. Dobrze, grajmy dalej w tę grę.

Pierwsza wypatrzyła go Iza. Wróciła z zakupów i zdenerwowana złapała Texasa za ramię.

— Jakiś facet leży do góry brzuchem na masce twojego samochodu i nuci „My darling, my pony and me”. To chyba jakiś wariat.

— Fałszuje i ma przykrótkie sztruksy? — Texas zmrużył oczy.

— Jakbyś przy tym był, honey.

— Bergman, stary draniu! Jak mnie znalazłeś? — Mruknął i wybiegł z mieszkania.

Chwilę potem był już na dole. Tamten nawet się nie ruszył, ale przestał kutować Deana Martina.

— Nie bój, nie bój, nie porysuję lakieru. Już nie noszę lusterka z Brigitte Bardot w tylnej kieszeni.

— Jak mnie znalazłeś?!

— A jak myślisz? Ta gablota cię kiedyś zgubi. — Bergman zsunął się wreszcie z maski i oparł niedbale o zderzak Chevroleta. — Dlaczego się go nie pozbędziesz?

— Nie mogę. On jest symbolem mojej wiary w wolność jednostki. — Odpowiedział cytatem Texas. — O co chodzi? Pali się?

— Zależy komu... Co się z tobą dzieje, Tex? Znikasz na całe miesiące, nikt nic nie wie. Przed nami chyba nie musisz się chować? Teraz tu mieszkasz? Ciekawe, ciekawe. I masz ładną sąsiadeczkę. Taka czarnula, z zabójczym tyłeczkiem, przed chwilą mnie minęła, mówię ci, żyleta, żyleta. Może zwróciłeś na nią uwagę? A propos tyłeczka, Jolka Kompresor ciągle o ciebie wypytuje. Dobra, dobra, nie o tym chciałem mówić. Mam coś, co cię może zainteresować.

— Wał śmiało!

— Pamiętasz, co powiedział wtedy Maciek Canalo?

— W tamtą noc?

— Właśnie! Canalo mówił, że twój stryj wybił jednemu górna jedynekę! Kojarzysz?

— Tak, co to ma do rzeczy? — Texas zmarszczył brwi.

Wszystkim wyleciało to z głowy, ale Bergman ma pamięć jak Atari. — Posłuchaj teraz uważnie. Znasz Dorotkę? Taka mała blondyneczka, co mieszka nade mną.

— Jasne, kojarzyę!

— No więc ona pracowała do niedawna jako asystentka u jednego proteyka od zębów na Żoliborzu. Facet ma coś w rodzaju prywatnej kliniki, ale pracuje też na etacie w MSW jako dentysta.

— Mów dalej...

— Trochę się do Dorotki przystawiał, a jej się to nie podobało. Wstydziła się komuś o tym powiedzieć, a nie chciała już tego dłużej znosić i rzuciła robotę u konowała. Ale zanim się rozstali, żeby się odegrać rozszabrowała mu część kartoteki. Po prostu wyniosła dokumentację klientów z kilku miesięcy...

— A ty skąd niby wiesz o tym wszystkim?

— A stąd, że Dorotka po całej przygodzie musiała odreagować i komuś się wyplakać w mankiet. I wyobraź sobie, padło na Bola! Chłopak okazał jej dużo serca i zrozumienia, chciał nawet wyrwizęba trochę sponiewierać, ale mu to wyperswadowałem. Jeszcze tego nam brakowało, żeby...

— Do rzeczy, chłopie, do rzeczy!

— Dobra, dobra! Koniec końców Bolo pokazał mi te papiery, co to je Dorotka tak sprytnie doprowadziła. I okazało się, że część z nich dotyczy pacjentów z MSW! Kumasz? Facet trzymał karty zdrowia ludzi z ministerstwa u siebie w biurku! Przejrzałem je, tak z głupia frant sztuka po sztuce i znalazłem dwa przypadki zamówienia protezy zębów. Jeden, niejaki pułkownik Żerdziński zamówił mostek, ten cię nie interesuje. Ale był jeszcze ktoś. Pewien kapitan z IV departamentu. Dokładnie dwa dni po wydarzeniach z lasu... W klinice wstawili mu wtedy górną jedynekę. I co powiesz, Tex?

— Że kłopoty, to twoja specjalność, Marlowe... Ale to jeszcze nic nie znaczy, może to przypadek.

— Żaden przypadek! Mam tu jego kartę, patrz!

Z boku brudnawego arkusza, na marginesie ktoś napisał drukowanymi literami: UWAGA! RANA POSTRZAŁOWA RAMIENIA.

Texas wpatrywał się przez chwilę w nazwisko widniejące na karcie.

— Przypadek rządzi światem, co? Dobra robota, stary. — Powiedział powoli. — Pora odnaleźć pana kapitana i złożyć mu wizytę.

— Jak chcesz to zrobić? Odwiedzisz go na Rakowieckiej, albo w Pałacu Mostowskich?

— Jeszcze nie wiem. Ale mam nazwisko, to już coś!

— Na pewno nie chcesz tego zgłosić gdzieś do oficjalnych władz? — Spytał cicho Bergman.

— A wyglądam ci na samobójcę? Zastanów się, człowieku! Siedzimy w samym środku cuchnącego bałaganu. Najgorsze, co mógłbym teraz zrobić to się ujawnić. Jedyne rozwiązanie to rozegrać to po cichu. Szkoda, że nie ma więcej tropów. Żeby chociaż adres...

Bergman popatrzył na niego spode łba i milcząc wyciągnął zza pazuchy jeszcze jeden dokument. Powoli pokazał go Texasowi.

— Co to jest? Zaraz, zaraz... kopia skierowania na rekonwalescencję? — Texas wpatrywał się w napisany na maszynie tekst. — Ośrodek rekreacyjny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w... — Oderwał wzrok od kartki i spojrzał na Bergmana. — Niech ci bozia w dzieciach wynagrodzi, chłopie!

— To raczej zimny trop. Minął ponad rok...

— Zawsze coś, stary, zawsze coś. Chyba przejadę się nad jakieś jezioro...

Rozdział IV

Chłodny podmuch wiatru zamiótł kilka liści pod nogi przybysza. Wrzesień przyniósł co prawda zapowiedź przedwczesnej jesieni, ale Mazury jeszcze nie całkiem pozbyły się uroków odchodzącego lata. Jezioro wciąż kusilo krystaliczną wodą. Rozpoczął obchód trzymając się w bezpiecznej odległości od ogrodzenia, aby nie zwrócić uwagi obsługi ośrodka. Po raz setny przyłożył do oczu lornetkę i ocenił sytuację. W zasadzie była tylko jedna droga dająca szansę na pozostanie niezauważonym. Jezioro sąsiadowało z ogólnodostępną drogą i tu nie było siatki, tylko bagnisty brzeg porośnięty wysokimi szuwarami. Stąd do głównego budynku administracyjnego było około ośmiuset metrów, z czego większość przez wodę. Cały odcinek wodny można było pokonać wzdłuż brzegu, kryjąc się za wysoką roślinnością. Nie wiedział, jak ścisła była ochrona, czy w ogóle ktoś pilnował wstępu, ale wolał założyć, że ma przed sobą teren dość dobrze kontrolowany. Wrócił do samochodu ukrytego w lesie i wyciągnął z bagażnika gumowy materac. Odczekał godzinę do zmierzchu, po czym wrócił do punktu wypadowego. Nadmuchał materac, rzucił go na wodę, położył się na nim i zaczął wiosłować rękami starając się robić jak najmniej hałasu. Trzymał się blisko szuwarów, tak żeby być poza zasięgiem wzroku potencjalnych strażników. W miarę zbliżania się do celu rozpatrywał kolejne scenariusze działania. Wielki kompleks budynków, w tym hotel, stołówkę i coś, co wyglądało na salę sportową oświetlała anemiczne światło latarni. Budynek, który go interesował najbardziej tonął w mroku, co było okolicznością sprzyjającą. Najwyraźniej nawet w resorcie czasem psuły

się żarówki. No cóż, kryzys... Podpłynął niezauważony do moła, wepchnął materac pomiędzy drewniane bale i zgięty w pół ruszył w stronę ośrodka. Dopadł jednej z bocznych ścian i zamarł w bezruchu. Wstrzymał oddech i słuchał. Spośród całego spektrum dźwięków wrześniejszej nocy, wyłowił ciche głosy dobiegające z okolic czegoś, co w myśli nazwał salą sportową. Droga od frontu była odcięta. Wycofał się na tyły budynków i pełzł schylony pod parapetami okien. Głosy stawały się coraz głośniejsze, ale z tej strony sali nie było drzwi, więc uznał, że póki co jest bezpieczny, chyba, żeby przyszło im do głowy wychodzić przez okna. Po chwili głosy oddaliły się i znikły za pożegnany trzaśnięciem drzwi. Był sam. Wychylił się i zajrzał do środka. Pusto. Pchnął lekko okiennicę, ustąpiła z cichym zgrzytem. Podciągnął się na parapet i wślizgnął do środka. Był zdziwiony łatwością, z jaką się tu dostał. Wyglądało na to, że ostatnio dyscyplina w ministerstwie nieco się rozluźniła... A może to tylko chaos przed nadchodzącymi przetasowaniami? Blade światło księżyca wydobywało z mroku fragment ściany i mocno nieaktualny czerwony plakat, którym ktoś dowcipny albo może złośliwy postanowił zilustrować „pierwsze, częściowo wolne wybory”. Raczej niezwykły rekwizyt w takim przybytku. Plakat wisiał na dwóch linkach przymocowanych do wózka na podsufitowej prowadnicy. Podeszedł bliżej i spojrzął na mocno podziurawiony wizerunek Gary Coopera. Zrozumiał swoją pomyłkę. To nie była sala sportowa, tylko strzelnica, a plakat służył za tarczę, na której strzelcy doskonalili swój kunszt.

— W co oni cię wplątali, szeryfie..? — Mruknął w stronę plakatu, po czym ruszył do wyjścia.

Przemknął korytarzem prowadzącym do budynku, którego szukał. Nerwowo odczytywał napisy na tabliczkach przy kolejno mijanych drzwiach. „Gabinet odnowy”, „stomatolog”, „internista”, „gabinet zabiegowy”. Jeśli wcześniej miał jakieś wątpliwości, to teraz się ich pozbył. To z pewnością nie był zwykły ośrodek wczasowy. To gdzieś tu, ponad rok temu musiał się kurować człowiek z raną postrzałową. Ów kapitan czekista, dowódca komanda od mokrej roboty. Texas wiedział, że ma mało czasu. Budynek był z pewnością pod stałą obserwacją. Na pewno nie tak ściśle kontrolowany, jak, powiedzmy gmach na Rakowieckiej, ale i tak musiał mieć oczy z tyłu głowy. Wciąż szukał odpowiedniego pomieszczenia, ale bez sukcesu. W tym półmroku niewiele widział, a bał się zapalić latarkę, żeby się nie zdekonspirować. Odruchowo dotknął kolby browninga. W razie wpadki musiałby iść na całość, a tego chciał uniknąć. Doszedł do końca korytarza. Cofnął się z powrotem do drzwi, którymi wszedł. Przecież muszą gdzieś tu mieć... Jest! „Rejestracja” — z trudem odczytał napis na drzwiach. Dłoń w czarnej, skórzanej rękawicze nacisnęła klamkę napotykając na opór. No jasne, to było do przewidzenia. Schylił się i zasłaniając dłoń fragment pod klamką na dwie sekundy włączył latarkę punktową. Zwykły, typowy zamek na przedpotopowy klucz. Jeszcze rok temu

byłaby to dla niego poważna przeszkoda, ale ostatnie miesiące spędzone z chłopakami Ciętego wiele zmieniły w jego życiu. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął specjalnie przygotowany na tę okazję kawałek odpowiednio ukształtowanego, twardego drutu. Chwilę potem był już w środku. Znalazł segregatory z kartoteką i zaczął przeglądać je nerwowo, nasłuchując jednocześnie obcych dźwięków na korytarzu. Odnalezienie nazwiska nie sprawiło problemu. Co z tego, skoro na tej karcie też nie było adresu. Przydział służbowy, stopień, numer legitymacji. Zaklął pod nosem i zrezygnowany oparł się o blat biurka. Nie lubił podejmować takiego ryzyka na darmo. Co dalej, co dalej?! Zwątpienie rozparło się beczelnie w jego trzewiach. Skąd w ogóle mu przyszło do głowy, że znajdzie tu jakieś wskazówki? Poczul cały bezsens swojego uporu. Był tylko robakiem, drobnym insektem, a próbował porwać się na but, który go kiedyś omal nie zmiażdżył. Zrozumiał wreszcie w pełni dysproporcję sił. Ta lekcja pokory paradoksalnie uspokoiła nerwy i przywróciła właściwą ocenę sytuacji. Był oto sam na terenie wroga. Zamiast na informacje, trafił na barierę biurokratycznego systemu, któremu próbował sypać piach w tryby. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się stąd wydostać bez wszczęcia alarmu. Wycofał się powoli tą samą drogą, którą przyszedł. Minął dziurawego Gary'ego Coopera i nagle zamarł. Dźwięk zbliżających się kroków zaskoczył go na środku pomieszczenia. Do okna nie zdąży, nie ma szans. Rozejrzał się nerwowo dookoła. Nieopodał były jakieś drzwi. Ruszył tam biegiem starając się robić jak najmniej hałasu. Znalazł się w ciemnym pomieszczeniu. Ktoś otworzył zewnętrzne drzwi od strony korytarza i wszedł do strzelnicy. Texas był w pułapce. Jeśli tu zajrzę...

Mógł tylko czekać na rozwój wypadków. Usłyszał głosy. Dwóch mężczyzn rozmawiało po angielsku. Jeden miał silny, twardego akcent, sugerujący pochodzenie gdzieś z Bliskiego Wschodu. Iza podczas długich zimowych wieczorów nauczyła go rozróżniać narodowość rozmówcy po niuansach akcentu. Jeden z ludzi za ścianą był bez wątpienia Arabem. Akcent drugiego pozostawał dla Texasa zagadką.

— Czy to już wszystko, co ma mi pan do zaoferowania, majorze? — Niski głos z arabskim akcentem.

— A czego pan oczekiwał? Stingerów? Wie pan, są specjalistyczne firmy, które je panu sprzedadzą i jeszcze zafundują polowanie na słonie w Kenii. Wolny rynek... — To ten głos trudny do zidentyfikowania.

— Nie taki znowu wolny, majorze.

— A, tu pana boli! Nie sprzedadzą, co? Nie chcą rozmawiać z człowiekiem, który ma krew na rękach? Żle by to wyglądało na łamach New York Timesa, tak? No cóż, z pańską reputacją... Dlatego właśnie przestanie pan robić obrażone miny i udawać, że jak się nie dogadamy, to pójdzie pan do konkurencji. Przestanie pan się targować i przedłużać ten spektakl. Nie bę-

dziemy tu przecież tkwili do zimy. Oferujemy towar najwyższej jakości i obaj doskonale wiemy, że nie znajdzie pan nigdzie lepszej oferty. W każdym razie nikt inny jej panu nie przedstawi. Proszę iść do Czechów i samemu sprawdzić.

— Czy ja mam paranoję, czy my rozmawiamy o dwóch różnych rzeczach? Tłumaczyłem wyraźnie, na czym mi zależy! Zamówiłem broń przeciwlotniczą, a wy mi próbujecie wcisnąć przeciwpancerną! Czy to jest poważne podejście?!

— Drogi panie, znałem kiedyś pewnego sierżanta, który przy pomocy RPG-7 posłał do wieczności kilka Herculesów...

— Sugeruje pan...

— Proszę mi nie przerywać! Czy kiedyś zostawiliśmy pana z wadliwym towarem? Czy kiedyś odmówiliśmy przeszkolenia pańskich klientów? Czy kiedykolwiek były kłopoty z częściami zamiennymi, lub amunicją?

— Nie, ale...

— Dobrze, wiem, o co chodzi. Przygotujemy specjalne szkolenie dla doradców wojskowych, których pan wskaże i nie policzymy za to ani grosza. Do tego dla wszystkich pobyt w jakimś urokliwym ośrodku z basenem i dziwkami, przy których każdemu stanie przez duże S. Jest pan usatysfakcjonowany?

— Rozumie pan chyba, że tu chodzi o moją reputację? Jeśli dostarczę towar, który będzie równie przydatny, co maczuga...

— Proszę mnie nie obrażać! Wie pan doskonale, do czego zdolny jest zdyscyplinowany bojownik o wolność uzbrojony w taki granatnik! Wystarczy podejść na odpowiednią odległość.

— Właśnie! Od tego powinien pan zacząć! Skuteczne strzelanie z pańskiego szmelcu wymaga podejścia na kilkadziesiąt metrów do celu! To pewna śmierć, mówimy o monitorowanych obiektach! Moim klientom chodzi o to, żeby samemu pozostać poza zasięgiem wroga!

— Wszystko jest kwestią szkolenia. Ta broń trafia w cel z kilkuset metrów. Przygotujemy najlepszych instruktorów, niech się pan tym nie martwi.

— Mogę dać 75 procent ceny wyjściowej.

— Pańskie pomysły przyprawiają mnie o ból serca. Tylko dlatego, że jest pan naszym stałym gościem dam panu pięcioprocentowy upust. Kubańczyków już dawno posłałbym do diabła, proszę to docenić.

— Kubańczykom sprzedajecie najnowocześniejszy sprzęt, a mi próbuje pan wcisnąć to, co akurat macie w magazynach.

— Czasem wiekowa, sprawdzona w boju, pewna broń jest lepsza niż nieprzetestowane nowinki. Zresztą, po co ja to panu tłumaczę? Dobrze, zakończmy już ten targ. Dla lepszej współpracy w przyszłości zejdem jeszcze o dwa procent. Mam nadzieję, że pan to docenia?

— Doceniam. Ale z tą przyszłością może być różnie. Po tym, co nawyprawił ten wasz reformator, nie wiem, jak długo jeszcze będziemy mogli robić

razem interesy. Cały postępowy świat wstrzymał oddech. Jak pan wie, mnie te wasze gierki ani ziębią, ani grzeją, ale moi klienci są bardzo zaniepokojeni. Najpierw nakładliście im tych waszych historii do głów, przekabaciliście ich po swojemu, a teraz sami wszystko trwonicie. To się źle skończy.

— Proszę się nie obawiać, wszystko zostanie po staremu. Może mi pan wierzyć. No co, czego się pan boi, że nagle zapalają miłością do Wuja Sama i straci pan zajęcie? Że zapanuje światowy pokój i wszyscy się będą miłować? Niech pan będzie spokojny, postaramy się o to, żeby nie poszedł pan z torbami.

— Tak, najbardziej dbacie rzecz jasna o moje interesy. — Rubaszny śmiech.

— A nie jest tak? Kto inny zafundowałby panu tyle nowych rynków zbytu? Od Angoli po Ulster... brać i wybierać!

— Mam nieodparte wrażenie, że ostatnio chcecie naszymi rękami załatwiać wszystkie swoje problemy. Wy sami nigdzie się już nie angażujecie, nie robicie nic, wolicie wysyłać umyślnych, którzy odwalą brudną robotę.

— Myli się pan całkowicie! Robimy więcej, niż pańscy klienci mogliby sobie wyobrazić. Po prostu działamy w innej skali. Wy porywacie im samoloty i wysadzacie ambasady, a my niszczymy ich morale. Prowadzimy tę samą wojnę, różnimy się tylko metodami. Niedługo przekona się pan, która jest skuteczniejsza. Proszę spojrzeć, ile lat już współpracujemy. I nareszcie ta współpraca zaczyna przynosić wymierne efekty. Teraz, za chwilę nastąpi mała zmiana dekoracji. My zamienimy się w baranka, a pańscy klienci staną się złym wilkiem. Ale tak naprawdę wszyscy będziemy zwalczać tego samego wroga. Taka walka niejedno ma imię... No, na dzisiaj wystarczy interesów! W Warszawie zgłosi się do pana kapitan... — na dźwięk nazwiska nagle Texas drgnął, jakby się obudził ze snu. To było nazwisko człowieka, którego szukał! — Z nim ustalili pan wszystkie techniczne szczegóły operacji. — Dokończył głos.

— Mam jeszcze jedno pytanie, majorze. — Znów arabski akcent.

— Byle nie na temat skuteczności RPG-7. Więcej i tak już nie opuszczę.

— Nie o to chodzi. Proszę mi odpowiedzieć, jak to jest, że pan i pańscy polscy koledzy z bezpieczeństwa wchodzić w kompetencje armii? Do tej pory zawsze z nią załatwiałem takie transakcje. W zasadzie to nie moja sprawa, ale wolałbym wiedzieć, na czym stoję.

— Widzi pan, jak wszędzie tu też obowiązuje konkurencja. To, jak pan wie, podstawa wolnego rynku. A armii też należy się od czasu do czasu jakaś szpila w bok. Pan tylko na tym zyska. No, zapraszam na drinka, jutro o dziewiątej rano przyślę po pana samochód. Po południu będzie pan w Warszawie.

Kroki w pomieszczeniu obok oddaliły się i zaczęły niknąć gdzieś na korytarzu. Texas siedział jeszcze przez chwilę za drzwiami przetrawiając to, co

usłyszał. To nazwisko wciąż brzmiało w jego uszach. Znow był odrobinę bliżej celu. Teraz nie może zgubić tropu. Drugiej szansy nie będzie. Wyszedł na zewnątrz i rozglądając się po okolicy dotarł do miejsca, gdzie zostawił materac. Zlustrował najbliższy teren i wyłowił wzrokiem jakąś postać zbliżającą się od strony zabudowań. Strażnik. Przyczaił się w wodzie pod moło i czekał aż tamten zakończy obchód. Upewniwszy się, że jest czysto, wypłynął na materacu w drogę powrotną. Po kilkunastu minutach był bezpieczny na brzegu przy drodze. Wrócił do samochodu, przebrał się w suche ciuchy, uruchomił silnik i nie zapalając świateł podjechał na wzniesienie po przeciwległej stronie jeziora. Miał stąd idealny widok na ośrodek. Ściął nożem kilka gałęzi, przykrył nimi Chevroleta, usiadł w fotelu i zapadł w sen. Śnił mu się Gary Cooper z Matką Boską w klapie.

Obudził go przejmujący chłód. Miał zdrętwiałą szyję i był głodny. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć ósma. Wysiadł z samochodu, oparł się o pień drzewa i zaczął wpatrywać się w budynki na drugim brzegu jeziora. Miał nadzieję, że ów major dotrzyma słowa i zapowiedziany samochód przyjedzie po egzotycznego handlarza bronią. Otworzył bagażnik w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znalazł tylko starą paczkę krakersów. Nie planował tak długiej eskapady.

Godzinę później sięgnął po lornetkę. Polonez w kolorze zielonego groszku podjechał przed główne wejście do hotelu. Z fotela pasażera wysiadł wysoki mężczyzna około trzydziestki. Sprężyste ruchy i pewność siebie zdradzały zawodowego oficera. To musiał być ten major. Chwilę później z hotelu wyszedł tęgi facet w popielatym garniturze. Ciemna karnacja kontrastowała z siwymi włosami. Szedł wolno, stawiając ciężkie kroki. Mógł mieć około pięćdziesiątki. Wojskowy przywitał się z nim, pomógł włożyć walizkę do bagażnika i zamienił kilka słów z kierowcą. Arab wsiadł na tylne siedzenie, wychylił się i krzyknął coś na pożegnanie do oficera. Samochód ruszył i po chwili zniknął za drzewami. Texas zastanawiał się przez chwilę, który z tych dwóch był dla niego cenniejszym tropem, zdecydował w końcu trzymać się pierwotnego planu i ruszył w ślad za Polonezem. Doszedł go przed Nidzicą i trzymał się już do końca o kilka samochodów za nim. O 13:30 wjechali do Warszawy. Polonez zatrzymał się przed hotelem „Solec”.

Texas wiedział, że w pojedynkę niewiele zdziała. Potrzebował bodaj porady. Zadzwoił do Bergmana. Spotkali się w „Śląsku”, leciał akurat „Popiół i diament”. Usiedli w ostatnim rzędzie. Traf chciał, że w momencie, kiedy Cybulski szukał na podłodze zagubionej części rozłożonego visa, w starym projektorze urwała się taśma, więc mogli spokojnie pogadać.

Najpierw rzecz jasna musieli wysłuchać zwierzeń Bergmana, taki był rytuał, nic na to nie mógł poradzić.

— Wiesz, stary, mam takie marzenie.. — zaczął jak zwykle kumpel.

— Wiem, chciałbyś bzyknąć żonę swojego wykładowcy, tę intelektualistkę w okularach, już mówiłeś. — Texas ziewnął ostentacyjnie.

— To też... Ale teraz mówię o czymś naprawdę wielkim. Chciałbym wyprodukować artystycznego pornosa... Żadna tam „Emmanuelle”, tylko coś naprawdę ambitnego, na miarę Kubricka, Bunuela, Eisensteina. — Rozmarzył się Bergman. — Słuchaj, dwoje zwykłych ludzi, ona jest, dajmy na to księgową w kopalni odkrywkowej węgla brunatnego, a on...

— Jej lekarzem ginekologiem? — Podsunął Texas.

— Nie, to musi być początkowo coś ulotnego, nieuchwytnie erotyczne napięcie, nie może od razu wkładać w nią palców! Niech on będzie... nauczycielem muzyki w pobliskim liceum. Spotkają się przypadkiem na festynie z okazji obchodów rewolucji.

— To już nieaktualne. — Zauważył znudzony Texas, chciał wreszcie przejść do meritum.

— Nieważne, mogą się spotkać na czynie społecznym, powiedzmy żniwa gdzieś w Rzeszowskim, gorący sierpień, ona idzie zakurzoną drogą, opalone na złoto, jędrne łydki drgają przy każdym jej kocim kroku... On, robotnik rolny gdzieś z Bieszczad, ogorzały na twarzy, wyposzczone spojrzenie prostego, ale uświadomionego światopoglądowo...

— Zaraz, przecież on miał być nauczycielem muzyki. — Texas nie krył zniecierpliwienia.

— Tworzę! — Zgromił go Bergman. — Teraz mam inną wizję. — Tu przymknął oczy i mówił dalej rozmarzonym głosem. — Pogłębiona psychika bohaterów, uważasz. Wodzą za sobą wzrokiem, prowokują się wzajemnie. Ona, wreszcie uwolniona od męża, od codziennego życia w mieście, płonie i pragnie spełnienia. On zwozi zboże swoim ursusem. Jego wybranka, gdy ją mijają, ociera lubieżnie wewnętrzne strony swych ud... napięcia, głęboko skrywane, doprowadzają wreszcie do wielkiego, gigantycznego pieprzenia na dachu silosu zbożowego pobliskiego PGR-u! Co o tym sądzisz?

— Nie sprzeda się, ze względu na anachroniczność scenariusza, czuję, że za chwilę PGR-y przejdą do lamusa. — Westchnął zrezygnowany Texas.

— To samo mi powiedział potencjalny inwestor. — Bergman wyraźnie posmutniał. — A, do diabła z wami, cholernymi defetystami! I tak to nakręcę! Zmienię miejsce akcji, profesje bohaterów.

— Słuchaj, mam sprawę. — Texas wszedł mu w słowo.

— Mów. Już się zamykam!

Opowiedział Bergmanowi z grubsza rewelacje z wypadu na Mazury.

— Stary, rób jak chcesz, ale to już większy kanał. — Bergman z miejsca spowaźniał. — Handel bronią? Ktoś go może obserwować, to pachnie interwencją kontrwywiadu.

— Ty, Bergman, chyba jednak za dużo filmów oglądasz. Jakiego kontrwywiadu?! Nie rozumiesz istoty sprawy! Ten śniady działa za przyzwoleniem wszelkich możliwych organów, z kontrwywiadem włącznie. Zwyczajnie opylają mu arużę, a on to rozprowadza dalej do różnych postępowych sił.

— Co chcesz zrobić?

— Prędeż czy później doprowadzi mnie do tego kapitana. Muszę go tylko jakoś obserwować, ale nie mam koncepcji, jak samemu nie leżć mu przed oczy...

— To akurat proste, jak pomyślunek Stirlitza. Naślij na niego Jolkę!

— No nie wiem... Nie chciałbym jej w to wplątywać.

— A, to już twoje zmartwienie. Ale pamiętaj, że innych aktywów raczej nie masz. Chyba, że sam chcesz sobie przyprawić cycki i założyć blond perukę.

— Naślać Jolkę, powiadasz...

— Twój wybór, stary, twój wybór.

— Jasne, wiem. Co słyhać na Wroniej? — Texas zmienił temat.

— O pani Marii słyzałeś?

— Co u niej?

— Nie żyje. Wpadła pod tramwaj.

— Dobijasz mnie, stary! Myślisz, że to ma jakiś związek z...?

— A jak sądzisz? Ciągle chodziła na komendę dowiadywać się, jakie są postępy w śledztwie w sprawie twojego stryja, złożyła nawet doniesienie do prokuratury.

— Bardzo nierozsądnie. Bardzo! Co się jej przytrafiło?

— Podobno była na fleku, przebiegała przez tory tramwajowe w niedozwolonym miejscu.

— Ona?! Na fleku?! Nawet w sylwestra piła tylko wodę sodową!

— Właśnie.

— Skurwysyny! Znikąd nadziei.

Texas nie czekając na koniec seansu wstał i zaczął się przeciskać do wyjścia.

— Nie zaczekasz do końca filmu? — Zawołał za nim Bergman.

— Nie, nie podoba mi się zakończenie tej historii. Oni chcieliby, żeby to się zawsze tak kończyło.

— Czy chciałabyś poznać prawdziwego biznesmena, złotko? — Texas metodycznie masował plecy Joli. Jego ręce błędziły najpierw po karku, potem zeszyły w okolice łopatek, by w końcu rozpocząć zdecydowany marsz na południe...

— Biznesmena? Takiego, co ma willę i basen z taką niebiesciutką wodą?
— Zapytała Jola rozmarzonym głosem.

— Właśnie! A do tego limuzynę z połączanymi klamkami i wyścigowe konie w stajni.

— Koni nie lubię! Strasznie śmierdzą, bynajmniej te, które widziałam dotąd. Au! Nie szczypl! No wiesz?!

— No to zamiast koni wyobraź sobie salon Tiffaniego, wyłącznie do twojej dyspozycji.

— Tiffaniego? Od razu zgłodniałam.

— To jak, chciałabyś poznać kogoś takiego?

— Bo ja wiem... Jeśli byłby zabawny.

— No to ubieraj się! Dziś wieczorem musisz komuś zawrócić w głowie, skarbie!

Następnego dnia spotkali się w Saskim Ogrodzie, koło fontanny.

— Jak ci poszło? — Zagaił Texas.

— A jak miało pójść? On jest taki śmieszny, mówię ci!

— Jak to zrobiłaś?

— Normalnie — rzuciła od niechcienia Jolka — upuściłam koło niego torebkę. Od razu rzuciło się ją podnosić takich dwóch dużych panów w ciemnych okularach, ale Rashid ich powstrzymał i sam mi ją podał.

— Kto taki? — przerwał Texas.

— No, Rashid, przecież mówię, tak się nazywa na imię!

— Rozumiem, słońce, opowiadaj dalej, proszę. — Zachęcił ją ciepło.

— A o czym tu opowiadać, potem było jak zwykle. Tyle, że wczoraj dostałam dla odmiany różę, taką pąsową, mówię ci, jaka wdechowa...

— Zaprosił cię do siebie?

— No proszę cię! Popatrz na mnie! Oczywiście, że zaprosił, ale tylko mu namotałam, nawywijałam rzęsami i w ostatniej chwili powiedziałam, że muszę już do domu...

— Brawo! Umówiliście się na dziś?

— No przecież! Przyjedzie po mnie o siódmej. Słuchaj, co ty masz do Rashida? Dlaczego ja mam z nim...?

— Bo to świetna partia dla ciebie, ślicznotko! Zorientuj się, jak ma na nazwisko i w którym pokoju mieszka. Poproś, żeby zabrał cię na jakieś spotkanie ze swoimi znajomymi.

— To takie ważne? Będą pewnie strasznie nudni...

— Zrób to dla mnie, złotko, dobrze?

Jak zwykle nie oponowała. Zawsze robiła to, o co poprosił. Handlarz zaprosił ją na kolację pod koniec tygodnia. Było jasne, że ma być ozdobą jakiejś

transakcji. Gra zaczęła nabierać rumieńców. A zatem pozostawał jeszcze problem poznania treści rozmów znajomych tego, jak mu tam... Rashida. Naturalnie będzie rozmawiał z nimi po angielsku (z Jolą porozumiewał się łamaną polszczyzną, zresztą język miłości nie wymagał przesadnie rozbudowanego słownika), wobec tego dziewczę niewiele z tego zrozumie. A nawet jeśli zrozumie treść, to nie przekaze mu znaczenia. Nie miał wyjścia, musiał ją wyposażyć w podsłuch. Tylko jak miał, do cholery, to zrobić?! Jego wiedza z zakresu elektroniki była bliska zeru, a możliwości sprzętowe ograniczały się do prymitywnych dyktafonów. Poza tym patrząc na kreacje Joli, nie wyobrażał sobie gdzie mogłaby ukryć coś więcej niż spinkę do włosów. Może podłożyć sprzęt gdzieś w pobliżu stołu w restauracji? No tak, ale wtedy musiałby mieć wcześniej informację, w którym miejscu będą się spotykać. Poza tym, zawsze mogą w ostatniej chwili zmienić zdanie. Czyli, nie ma rady, pozostaje Jolka... Może ukryć magnetofon w torebce, a mikrofon wyprowadzić gdzieś przy podłodze? Nie, to raczej kiepski pomysł. Za duża odległość od źródła dźwięku. Nie ma wyjścia, musi znów zmobilizować Jolkę, co gorsza ingerując w jej styl ubierania. Przeczynał chryję... Pod Pałacem kupił cały niezbędny ekwipunek, następnego wieczora zakradł się do Jolki na Wronią. Zrobili sobie poligon doświadczalny w jej pokoju.

— Nie, no coś ty! Jak ja będę wyglądała w takim boferku?! — Wybrzydzała dziewczyna.

— Ależ doskonale będziesz wyglądała! O co ci chodzi, słońce? To taki styl retro... — Przekonywał ją.

— Nie chcę żadnego retro! To mnie postarza!

— To może pożycz tego srebrnego lisa... — Zaryzykował. Nie zważając na realia, trendy, porę roku i końcowy efekt, Texas tak się zapamiętał w planowaniu operacji, że zatracił zupełnie poczucie rzeczywistości. W przedpokoju zobaczył lekko wyliniałe, ale wciąż imponujące futro z lisa należące do matki Joli. Już widział oczami wyobraźni, jak faszeruje gadzinę dyktafonem marki Sony. Jolka ochłodziła jego zapał.

— Lisa?! W lecie?! Nie ma nawet połowy września. Oszalałeś?!

— Słuchaj słońce, załóż co chcesz, tylko ukryj jakoś ten mikrofon i przewód, dobrze? — Westchnął zrezygnowany.

— W ogóle nie rozumiem, po co to wszystko. To nieładnie go tak szpiegować! Co to za pomysły?! — Dąsała się Jolka.

Objął ją ramieniem i oprowadził wolno dookoła pokoju.

— To bardzo ważne, skarbie. — Mówił powoli, szepcząc jej namiętnie do ucha. — Przecież już się zgodziłaś, więc nie zawieź mnie teraz, bardzo cię proszę. — Był uosobieniem czułości.

— Ale nie każ mi się ubierać tak dziwacznie, jeszcze mnie ktoś znajomy zobaczy...

— Kiedy ci tłumaczę, że mikrofon musi być ukryty, inaczej... — I tak minęły dwie godziny.

W końcu, tuż przed północą doszli do konsensusu. Jolka wybrała zwiewną, granatową kieckę do pół łydki z okazałą falbanką na dekolcie, w której od wewnątrz można było od biedy ukryć mikrofon. Kłopot polegał na tym, że wszyscy obecni przy stole w to miejsce będą się gapili najbardziej. Texas nie miał już jednak siły na dalsze użeranie się o jakieś dyskretniejsze wdzianko i pocieszał się, że pod latarnią najciemniej. Dyktafon ukryła za podwiązką pończochy, a przewód poprowadziła w fałdach sukienki, tak, że trzeba było wiedzieć, gdzie patrzeć, żeby coś zauważyć. Texas uznał efekt za zadowalający, kazał jej jeszcze raz zdjąć i założyć całość, żeby się upewnić, że jutro sama da sobie z tym radę. Skończyli przed pierwszą. Plan pachniał taką amatorką, prowizorką i brawurą, że to się mogło udać. Bezcelność grała na ich korzyść. Spojrzał na nią jeszcze raz i pomyślał, że nawet pluton Richardów Sorge nie miałby z nią szans.

— Tylko pamiętaj, zaraz po spotkaniu idziesz do toalety, cały sprzęt zdejmujesz i chowasz do torebki, jasne?

— Jasne, jasne! A co mam robić potem?

— Zrób to, na co masz ochotę, a jeśli nie będziesz miała ochoty, to tego nie rób.

— Jak chcesz, Tex, jak chcesz. — Zawiesiła głos na chwilę. — Słuchaj, powiesz mi wreszcie, co się z tobą dzieje? Gdzie zniknąłeś? Wyprowadziłeś się tak nagle.

— Kiedyś ci wszystko wyjaśnię, obiecuję. Ale nie dziś.

Chciała, żeby został do rana, ale wymówił się mnóstwem pracy. Na ulicy Rozbrat czekała Iza. Była cierpliwa, ale nie chciał tego nadużywać.

Upływ czasu można obserwować na wiele różnych sposobów. Dla Texasa ziarnami przesypanych się w klepsydrze były odchodzące w zapomnienie modele samochodów. Mroki historii przykryły litościwie dekadę lat osiemdziesiątych, wraz z coraz bardziej rozmywającym się w pamięci obrazem opakowań zastępczych, twarzy redaktora Marka Tumanowicza i transporterów opancerzonych w pokrytych śniegiem ponurych zaułkach miasta. Wraz z tymi wspomnieniami zaczęły też znikać symbole ulic z tamtych lat. Najpierw wyginęły Warszawy. Zupełnie bezboleśnie, niezauważane, a jeśli już to z pogardą, wymarły, jak niegdyś dinozaury, pozostawiając po sobie gnijące po wsiach i podmiejskich złomowiskach szczątki. Pierwsze znikły pick-upy, nawet dekadę wcześniej z rzadka tylko pojawiające się na głębokiej prowincji, póź-

niej przyszedł czas na „garbate” z dzieloną przednią szybą. Były jeszcze kombi, głównie karetki pogotowia ale te wycofano z taboru jeszcze w latach siedemdziesiątych. Aż wreszcie mechaniczna selekcja naturalna dosięgła najnowsze sedany — woły robocze praskich taryfiarzy. Minie kolejnych dziesięć lat, zanim nieliczne, cudem ocalałe egzemplarze opuszczą motoryzacyjny czyściec i staną się obiektem nowego kultu, który przywróci ich chromom dawny blask. Póki co, wypchnięte poza główny nurt warszawskiego ruchu, kryły się wstydliwie przed kpiącymi uśmieszkami przechodniów. Ich miejsce zajęły nie mniej pogardzane, choć wciąż dźwigające na swych barkach główny krwio-bieg krajowego osobowego transportu duże Fiaty. Nie wszyscy potrafili ze-starzeć się i odejść z godnością. Trabanty i Wartburgi, jak stare kokoty ustroiły się w nowe piórka made in West Germany, by jeszcze przez kilka lat udawać prawdziwe samochody pod egidą Volkswagena. Koszmarne ten eksperyment, rodem z powieści Mary Shelley, długo jeszcze straszyl widmem ener-dowskich lekkoatletek i ponurych podwładnych Markusa Wolffa. Na scenie pojawiły się też nowe gwiazdy, oglądane dotąd na prospektach lub w kinie. Jaguary, Mercedesy, Chryslery, rzadziej jakiś przechodzony model Maserati. Tak swój sukces w nowej rzeczywistości obwieszczała reszcie rodaków klasa świeżo przefarbowanych z czerwonego kapitalistów. Osiedlowe parkingi, ulice, ronda i skwery nadal jednak okupował gatunek, którego populacja wy-mknęła się onegdaj spod kontroli socjalistycznym planistom. Jak królik w au-stralijskim stepie, tak ten model rozplenił się, nierzeczywiście jakaś biblijna plaga, stając się dominującym władcą szos. Mały Fiat, znieawidzony i wyszydzany, kochany i hołubiony, symbol socjalizmu z ludzką twarzą, okrutna kpina z er-gonomii i ludzkiej godności. Jego panowanie na drogach i ulicach pozostanie niezagrożone do końca stulecia.

Były też miejsca, gdzie czas jakby wbrew prawom historii zatrzymał się i stworzył rodzaj skansenu, coś na kształt wizjera do zaglądania w przeszłość. Ot, choćby tu, na rogu Grzybowskiej i Żelaznej. Dookoła stare mury, wciąż noszące ślady rzezi, gdy na nie patrzyliście zdawały się ronić wieczne łzy spły-wające z pustych oczodołów wrytych przez serie ze Schmeisserów, Stenów i pociski „szaf”. Tuż obok, nie wiedzieć kiedy wyrosło osiedle betonowych, kil-kunastopiętrowych bunkrów, zbudowanych według koszmarnego przepisu Le Corbusiera straszyl bawiące się w piaskownicach dzieci żelbetem i popę-kanym szkłem, a w wietrzne dni wydmuchiwało nieszczęsnych przechodniów swoistą dyszą Venturiego, tworzoną przez wąskie przesmyki pomiędzy blo-kami. Nieopodal, początkowo nieśmiało, z biegiem czasu coraz bardziej zde-cydowanie zaczęły powstawać konstrukcje mające w przyszłości reprezentować instytucje i firmy jeszcze niedawno należące do obcego, nie całkiem zrozumiałego i trochę mitycznego świata. I właśnie w samym środku tego bałaganu, na rogu tych dwóch ulic znajdował się skansen, jakby żywcem przeniesiony z innej epoki. Właściciel zwykł siadać na stołku w otwartych

drzwiach swojego królestwa i przypatrywać się beznamiętnie zmieniającemu się miastu. Obojętność przenikała każdy zakamarek tego przybytku, od ginącego w mroku wnętrza, przez przetłuszczony beret gospodarza, po smętną tabliczkę z nieśmiałym napisem „Regulacja Gaźników”. Wszystko było tu anachroniczne, każdy przedmiot, każdy sprzęt zdawał się być pogodzony z losem i nieuchronnością postępu technicznego, uosabianym przez dumne sąsiedztwo chełpiące się po drugiej stronie Grzybowskiej bezczelnym szyldem „Serwis Układów Wtryskowych”. Texas często zatrzymywał się nieopodal i obserwował jak stopniowo topnieje kolejka oczekujących na regulację dużych Fiatów, Wartburgów, Dacii po jednej stronie ulicy i rośnie ruch Mercedesów, Peugeotów i BMW po drugiej. Z każdym rokiem dysproporcja się powiększała, ale człowiek w berecie wbrew prawom rynku i wichrom historii wciąż uparcie trwał na swoim miejscu, patrząc wodnistymi oczami na przewalającą się leniwie rzekę pojazdów. Czasem, zniechęca, pod rozpadającym się warsztatem parkował jakiś niezwykły przybysz, roztaczając dookoła woń egzotyki i zbyt bogatej mieszkanki. Texas polował na takie okazje od dawna i nigdy nie mógł oprzeć się pokusie zajrzenia do skansenu, by podziwiać te cuda. A zdarzało mu się upolować prawdziwe białe kruki, trzeba było tylko cierpliwie poczekać. Czego tam nie było... Angielskie pękate Humbery, rachityczne Hillmany, francuskie Simki, czasem przewinał się gigantyczny Chevrolet Impala, czy jakiś wyciągnięty z naftaliny Packard. Nie dało się jednak nie zauważyć, że ruch w warsztacie powoli, ale nieprzerwanie zamierał. W końcu gaźnik stał się taką samą ofiarą postępu, co niegdyś żaglowce i postać w berecie nie miała już nic do roboty. Dach garażu zapadał się coraz bardziej, wrota osunęły na zawiasach, szorując po ziemi przy każdym ruchu, narzędzia pokryła warstwa kurzu i pajęczyny, a właściciel wciąż obojętny, ze stoickim spokojem patrzył niewidzącymi oczami przed siebie. Aż przyszedł dzień, kiedy zniknął na zawsze, jakby zapadł się pod ziemię wraz z całym swoim zatchłym królestwem.

Taki był obraz zmieniających się ulic stolicy po wyprowadzeniu sztandaru.

Cięty nie doczekał nowej rzeczywistości. Odszedł nagle, gdy jego Jaguar, nafaszerowany semtexem, wyleciał w powietrze pewnego styczniowego poranka. To nowi szeryfowie w mieście dali o sobie znać, usuwając starą gwardię. Zza wschodniej granicy nadciągnęła fala będąca forpocztą kapitalizmu bez ludzkiej twarzy. Słabi, mało bezwzględni, staromodni, musieli ustąpić miejsca na scenie.

Texas po śmierci Ciętego usamodzielniał się porzucając definitywnie złodziejski proceder. Wszedł w światek posiadaczy wytworów amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego, których powoli, ale nieprzerwanie, zaczęło przybywać w całym kraju. Z czasem stał się niekwestionowanym autorytetem w środowisku, a łącząc nabytą uprzednio wiedzę, z absolutnie fantastycznym talentem do wyszukiwania silników, skrzyń biegów, gaźników i całych samo-

chodów, nie miał praktycznie konkurencji na rynku. Jeśli na przykład ktoś nadludzkiem wysiłkiem woli i portfela stał się posiadaczem, powiedzmy Mustanga Bossa rocznik '69 i do pełni szczęścia potrzebował czterogardzielowego gaźnika edelbrocka, to pierwsze kroki kierował do warsztatu Texasa, małej, wynajętej klitki przy Dobrej, gdzie zawierano najbardziej egzotyczne motoryzacyjne transakcje. Jakiś nowobogacki bubek potrzebuje do sprawdzonego Charger'a nowego silnika? Nic prostszego! W Lublinie, przy drodze na Zamość, gnije w najlepsze półciężarówka Dodge'a z oryginalną czterysta czterdziestką. Że bez pakietu „magnum” i z niższym stopniem sprężania? Nic nie szkodzi, dla szanownego pana przywieziemy silnik, podrasujemy trochę wałek rozrządu, damy nowe zawory i będzie chodził, jak ten w „Bullicie”. A o to przecież chodzi, no nie? Rynek może i nie był zbyt duży, ale taka nisza była w sam raz jak na jego potrzeby finansowe. Trik polegał na tym, żeby wiedzieć, kto jest w potrzebie i gdzie w kraju, lub w bliskiej zagranicy znajduje się pożądaný towar. Texas poświęcił sporo czasu na objazd różnych odległych i zapomnianych miejscowości w poszukiwaniu skarbów. Zajeżdżał do najbardziej zapadłych dziur kierując się instynktem, plotkami, przecuciem i zwykłą ciekawością. Z każdej wyprawy wracał uzbrojony w wiedzę, która wkrótce miała zaprocentować. Pod Tarnowem, w zagrodzie na gnojowisku leży ścierwo Oldsmobila F 85, raczej bez szans na reanimację, ale za to z całkiem zdrowym GM-owskim 455 Rocket V8. Taki skarb, na takim opuszczonym przez Boga i ludzi zadupiu! A znów po Mrągowie jeździ Trans Am pierwszej generacji, w pięknym stanie. Cóż z tego, skoro pod maską klekocze sześciocylinówka z mercedesa... Świętokradztwo i barbarzyństwo w jednym. Niesprzedawalny mutant. No tak, ale gdyby znaleźć gdzieś oryginalną czterysiętkę można by Pontiac'a sprzedać za gruby pieniądz. Syn pewnego badylarza spod Krakowa tylko czeka na takie auto. Sprzeda się na pniu. Texas skrupulatnie zestawiał ze sobą wszystkie te informacje i w odpowiednim momencie składał oferty. Kupował części i auta po cenie złomu, a sprzedawał jak wczasy w Bułgarii. Interes się kręcił, jego gwiazda świeciła coraz jaśniejszym blaskiem.

Taki nieoficjalny sposób działania pośród wielu wad miał jedną niezaprzeczną zaletę. Pozwalała mianowicie pozostawać w cieniu, poza kontrolą wszelkich państwowych instytucji, w ogóle poza systemem. A Texas anonimowość i niewidzialność cenił sobie bardzo wysoko.

Tymczasem Jolka Kompresor szalała na salonach bez skrupułów korzystając z okazji, jaką dawała jej namiętna znajomość z Rashidem Sahakiem. Handlarz zadomowił się w Warszawie uznając to miejsce słusznie za bezpieczną kryjówkę. Będąc pod dyskretną ochroną swoich polskich aniołów stróżów nie musiał się martwić wrogami, których narobił sobie na całym świecie od Waszyngtonu po Tel-Awiv. Wyjeżdżał na dwa, trzy tygodnie, po czym wracał, by znaleźć ukojenie nerwów w ramionach Jolki. Latem wyjeżdżali do Juraty, zimą do Karpacza, lub Zakopanego. Texas trzymał rękę na

pulsie i dzięki Jolce znał każdy ruch Araba. Kontakty z dziewczyną ograniczył do absolutnego minimum, wiedział, że prawdopodobnie jest pod dyskretną obserwacją. Spotykali się nieregularnie, najczęściej sam najpierw ją obserwował przez jakiś czas, a gdy się upewnił, że nie ma ogona siadali w jakiejś dyskretnej kawiarni, żeby zrelacjonowała mu najświeższe wiadomości, lub przekazała taśmę z dyktafonu. Czasem obserwował ją podczas spotkań, jeśli miał okazję robił z bezpiecznego dystansu zdjęcia starym Zenithem TTL wyposażonym w teleobiektyw. Czarno białe filmy wywoływał u siebie w warsztacie, dbając aby nikt ich nigdy nie oglądał. Sahak spotykał się głównie z owym majorem, znanym Texasowi z wyprawy na Mazury. Rzadziej, najwyraźniej w zastępstwie majora zjawiał się jakiś porucznik, wielki, tłusty wieprz, gapiący się na Jolkę z miną Apacza wstępującego na ścieżkę wojenną. Texas miał niejasne podejrzenia, że już kiedyś ich drogi się skrzyżowały. Na razie jednak wciąż brakowało mu precyzyjnych informacji. Najwyraźniej major i porucznik byli odpowiedzialni za dostarczanie towaru według zamówień, które Sahak przywoził ze swoich wojaży. Jolka osiągnęła taką wprawę w ukrywaniu sprzętu podsłuchowego, że jakość nagrań stale wzrastała. Czasami, kiedy Rashid kazał jej iść przypudrować nosek nie uczestniczyła w spotkaniu, ale odpowiednio ukryty w hotelowym pokoju dyktafon odwała całą robotę. Dzięki temu Texas zgromadził sporą wiedzę na temat aktywności handlarza i asortymentu oferowanego przez gospodarzy. Niekiedy były to moździerze, czasem pistolety maszynowe, przestarzałe PM-63, innym razem tłuczone masowo AK-74, rzadziej jakiś bardziej wyspecjalizowany sprzęt, na przykład celowniki noktowizyjne do broni snajperskiej. Wszystko to jednak nie miało dla Texasa praktycznego znaczenia. Zasadnicze informacje o człowieku, którego szukał wciąż pozostawały niedostępne. Podczas kolejnych spotkań ani razu nie padło już tamto nazwisko. Czyżby się wycofał z interesu? No cóż, możliwe. Był coraz bardziej rozczarowany. Oczekiwał, że jego plan zapocentruje jakimis konkretnymi. Dysponował pełną wiedzą o lewych interesach dotyczących handlu bronią, a nie mógł znaleźć jednego człowieka, który napaskudził mu w życiorys. Ślad po owym tajemniczym kapitanie rozplynął się, jak duch Włodzimierza Illicza na Placu Czerwonym. Jedynym łącznikiem był teraz ten major, który podsuwał Sahakowi towar. Texas czuł, że to właściwy trop. Domyślał się też, czyje interesy ów oficer reprezentował. Tylko jak dobrać się do takiej zwierzyny? Znowu trafił na barierę, zdawałoby się nieprzenikalną. Jego śledztwo utknęło na wiele miesięcy.

Pomysł, jak to zwykle bywa, przyszedł całkiem niespodziewanie. Pewnego dnia wybrali się z Izą do British Council. Kiedy ona buszowała w bibliotece szukając Oscara Wilda w oryginale, on od niechcenia przeglądał dział historii najnowszej. Nagle jego uwagę przykuła opasła publikacja. Przekartkował kilka rozdziałów, spojrzął na obwolotę. Wpatrywał się przez chwilę w notkę

o autorach. Zważył książkę w dłoni wciąż gapiąc się na okładkę. Gdyby był bardziej podatny na emocje pewnie wykrzyknąłby: Eureka! Jednak uleganie emocjom nie było jego dominującą cechą. Odłożył więc książkę na półkę. Myśl, która błędziła gdzieś po obrzeżach świadomości stała się nagle wyraźniejsza, nabrała konkretnych kształtów.

Każdą informację można zdobyć. Wszystko jest kwestią podaży i popytu. Właśnie uświadomił sobie, że posiada towar, za który ktoś inny byłby w stanie dużo zapłacić. I oto znalazł kontrahenta, człowieka, który miał, lub mógł zdobyć wiedzę tak bardzo Texasowi potrzebną. I *vice versa*, informacje, które dla niego były niewiele warte, tamten mógł uznać za bezcenne. Do tego człowiek ten był w zasadzie dość łatwy do odnalezienia i wcale nie należał do kręgu pracowników wyspecjalizowanych służb, do których osobom postronnym nie dane było się zbliżyć.

Kiedy pół godziny później szli z Izą Alejami Jerozolimskimi pocałował ją w policzek i wyszeptał do ucha:

— Nie chciałabyś się ze mną wybrać do Londynu, darling?

— Mówisz poważnie?! Co za zmiana, nagle chcesz gdzieś ze mną pojechać? — Sarkazm. — Wielki samotnik zabiera swoją bogdankę w podróż... Czy sobie zasłużyłam? — Kwaśna mina i podejrzliwe spojrzenie.

— W zasadzie, to odwrotnie, bogdanka zabierze w podróż swojego ryceza. Czy możesz zadzwonić do wuja i zorganizować nam zaproszenie? Na jakieś dwa, trzy tygodnie.

— Zamierzasz przez trzy tygodnie spacerować po Green Parku i szeptać mi czule słówka? Cudownie!

— W Green Parku, w Regent's, na Picadilly i gdzie tylko sobie zażyczysz. Aha, czy masz jeszcze jakichś znajomych w Cambridge?

— W Cambridge?! Z twoim angielskim? Jeszcze mi wstyd przyniesiesz. A właściwie o co chodzi? Wybierasz się na studia?

— Na razie na korepetycje z historii...

Nie skomentowała, uniosła tylko swoją śliczną brew.

Rozdział V

Supra była od samego początku łatwa i jak zwykle w takich przypadkach szybko okazała się być złośliwą dziwką. Może zresztą miała po temu powody. Najwyraźniej nie traktowano jej za młodu z należyтым szacunkiem. Luz w kierownicy sprawiał, że jazda w głębokich koleinach przypominała spacer na linie nad przepaścią, a trafienie w skrzyżowanie wymagało od Spychowskiego cyrkowej ekwilibrystyki. Puste amortyzatory w najmniejszym nawet stopniu nie tłumily drgań sprężyn zawieszenia, a popękane uszczelki dachu typu targa wywoływały potępieńcze wycia powyżej siedemdziesiątki. Na szczęście zabójcza blondyna w Nissanie nie szarżowała, więc jechali w miarę spokojnie, trzymając się kilometr za nią. Vadim zaczął stopniowo nabierać przekonania, że w takiej konfiguracji dotrą wreszcie do miejsca przeznaczenia. Po jakichś pięćdziesięciu kilometrach jego nadzieje legły w gruzach.

W natłoku wydarzeń umknął im ten oczywisty fakt, że teraz poruszali się skradzionym wozem. Może i nie był to jakiś szykowny model, ale jego właściciel, najwyraźniej bardzo do niego przywiązany musiał widocznie od razu zgłosić kradzież, a dyżurny na posterunku przekazał odpowiedni meldunek w eter. Radiowóz, który ich minął nagle zawrócił wśród zawodzenia syreny. Vadim westchnął ciężko.

- Możesz coś na to poradzić? — Spojrzał pytająco na Spychowskiego.
- Myślałem, że ty masz w zanadru jakiś trik na taką okoliczność, kamandir.
- Może i mam, ale nie chcę się za wcześniej odkrywać.
- OK, w takim razie zapnij pasy i zmów pacierz.

Toyota wyrwała do przodu wyprzedzając jadącego przed nimi Stara. Po chwili ich oczom ukazał się Nissan z lawetą. Spychowski rzucił znaczące spojrzenie Vadimowi.

— Pieprzyć Stratos! Teraz mamy poważniejsze zmartwienia. I tak musi jechać przez Lublin, będziemy wiedzieli, gdzie go szukać.

Spychacz posłusznie wyprzedził blondynę i pognali przed siebie, z niepokojem obserwując w lusterkach podążający ich śladem pościg. Na szczęście dla nich silnik supry był jedynym podzespołem funkcjonującym bez zarzutu. Policyjny Focus był na dłuższych prostych bez szans. Wiedzieli jednak, że nie mogą zbyt długo jechać główną szosą. Było kwestią minut, żeby się natknęli na blokadę. Musieli odbić gdzieś w boczną drogę. Daleko przed nimi zamajaczyła zieleń drzew jakiegoś zagajnika. Szosa na tym odcinku przebiegała lekkim łukiem. Spychowski przyspieszył, żeby zyskać kilkadziesiąt cennych metrów przewagi na radiowozem. Kiedy minęli linię lasu prześladowca zniknął im na chwilę z oczu. Spychowski przyhamował, skręcił gwałtownie w gruntową ścieżkę i po chwili Toyota znikła w zaroślach. Trzydzieści sekund później drogą za ich plecami przetoczył się z wyciem syreny radiowóz.

— Co dalej? — Spychowski wyraźnie zrelaksowany wyciągnął się w fotelu.

— Jedziemy bocznymi drogami, musisz się trzymać nie dalej, niż pięć kilometrów od Stratos. Inaczej go zgubimy. Cofnij do szosy, a potem skręć tu — Vadim pokazał mu ekran GPS-u.

Nissan jeszcze ich nie dogonił, wciąż mieli przewagę. Odbili w prawo, dojechali do jakiejś wsi, skręcili w lewo i przez pewien czas jechali równolegle do głównej drogi. Nawierzchnia była fatalna, więc Spychowski zwolnił na tyle, żeby nie powypadały im plomby z zębów. Wyświetlacz pokazywał, że obserwowany obiekt wyprzedził ich nieco, ale poruszał się na tyle wolno, że utrzymywali się wciąż w zasięgu. Kilka kilometrów dalej szczęście ich opuściło. Asfalt skończył się nagle i wpadli na dziurawą, polną drogę prowadzącą w stronę rzadkiego lasu. Spychowski nie dotknął nawet hamulca i Vadim musiał złapać uchwyt nad głową, żeby utrzymać się w fotelu. Kiedy dopadli linii drzew wystające z drogi korzenie zmasakrowały zawieszenie toyoty. Mimo jęku wahaczy wciąż starali się utrzymywać tempo. Teren jednak wziął górę, musieli zwolnić. Vadim z niepokojem wpatrywał się w ekran. Pulsujący punkt nieubłaganie przesuwał się w stronę krawędzi wyświetlacza.

— Za chwilę go zgubimy. — Spokojnie stwierdził fakt. — Szukaj jakiejś drogi na zachód.

— Nie jestem cudotwórcą, a ten złom już ledwo zipie.

Po chwili sygnał z Lancii zaczął zanikać. Jeszcze kilka sekund i stracili kontakt. Vadim klął po niemiecku, rosyjsku i polsku zupełnie bez obcych akcentów. Kilkaset metrów z przodu pojawiły się jakieś zabudowania.

— Stój! Zaparkuj grata tu z lewej. — Zakomenderował Vadim.

Zanim jeszcze Supra całkiem wyhamowała wyskoczył i rzucił się do bagażnika. Wyciągnął najniezbędniejsze rzeczy i wrzucił do plecaków. Na dnie bagażnika znalazł jakieś szmaty, skręcił z nich coś na kształt powrozu, otworzył wlew paliwa i wepchnął prowizoryczny lont do środka.

— Masz ogień, doktorze?

Dobiegali do domostw, kiedy zza pleców doszedł ich huk eksplozji. Gnali przed siebie, byle dalej od wraku. Znaleźli się w małym miasteczku położonym wśród pól i lasów. Wąska ulica świeciła pustkami, jeszcze nikt nie zareagował na wybuch. Minęli większość zabudowań, zbliżali się teraz do terenu ogrodzonego zardzewiałą siatką. Na środku stał rozpadający się budynek przypominający halę fabryczną. Sterczące kły resztek szyb broniły dostępu do czarnych oczodołów okien. Budynek kończył się wielkim garażem, w którym kiedyś trzymano pewnie kombajny. Teraz jedynym lokatorem był sfatygowany Passat z długim biczem anteny CB na dachu. Poza nimi na całym terenie nie było żywej duszy. Okolica sprawiała wrażenie wymarłej. Słup dymu unoszący się nad lasem sprawiał przygnębiające wrażenie. Vadim łapiąc oddech spojrzał na Spychowskiego i zapraszającym gestem wskazał na Volkswagena. Tym razem żadne sztuczki nie były potrzebne. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Po kilku minutach kluczenia wśród pól znaleźli w końcu rokującą nadzieję asfaltową drogę. Jechali na północ. Dobrnęli do drogi krajowej nr 19 i skierowali się na Lublin. Vadim sam siebie przekonywał, że laweta musiała przejeżdżać właśnie tą drogą. Równie dobrze mógłby zagrać w ruletkę.

— Pospiesz się, doktorze! Jeszcze nie wszystko stracone.

— Skąd wiesz, że pojechała akurat tędy?

— Miałem nadzieję, że nie zadasz tego pytania. Masz lepszą propozycję?

Spychowski nie odpowiedział. Zamiast tego włączył CB i ustawił częstotliwość na kanał 19. Sięgnął po gruszkę i nacisnął guzik.

— Spychacz wchodzi w ciasny zakręt, pragnienie go trapi, jak przyjedzie do cię, dziewczko, z miejsca cię obłapi...

— Odbiło ci?! — Vadima najwyraźniej nie zachwyciły proste rymy.

— Jeśli chcesz odnaleźć Stratosę, to się nie wtrącaj. — Spychowski z niezmałonym spokojem kontynuował. — Spychacz idzie bokiem, zaraz wpadnie na wzniesienie, wypnij kuper moja miła, a będzie spełnienie.

Tym razem protesty odezwały się z radia. Wysłuchał spokojnie wiadomości o swoim świętej pamięci rodzicielu, po czym odparował:

— Spychacz dotarł do przedmieścia, zaraz zaparkuje, będzie sprawdzał, moja panno, czy słodko smakujesz.

Nie zważając na coraz dosadniejsze groźby (w tym karalne) od nieobytych z prawdziwą poezją truckerów, Spychowski kontynuował recytację jeszcze przez ładnych parę kilometrów. Nagle, kiedy Vadim w desperacji planował wyrwać wtyczkę z radia, z głośnika dobiegł ich zniekształcony trzaskami głos:

— Uciekajcie moi mili, dziewczęta i chłopcy, jedźcie Spychacz, co to nie odpuści kozie, ani owcy! Wszelki duch, czy to naprawdę ty?!

— Koledzy, jak ścieżka na... — Włączył się jakiś nowy, ale nie dane mu było dokończyć.

— Przymknij się bałwanie! Ja teraz mówię! Fairlane 500 wzywa Spychacza! ...Fairlane 500 wzywa Spychacza!

— Cześć Fairlane! Spychacz mówi! Wciąż kursujesz po tym zadupiu?

— Zamknijcie się, kretyni, bo dogadać się nie idzie!

— Spychacz, to naprawdę ty?

— Mam ci jeszcze coś zacytować, stary pierdoło? Przejdźmy dwa piętra niżej, bo nas zlinczują.

— Roger, roger! Schodzę o dwa w dół.

— Spychowski ustawił niższy kanał i sięgnął po gruszkę mikrofonu.

— Jesteś, Fairlane?

— Jestem, skąd się tu wziąłeś, stary draniu?! I co się z tobą działo przez te wszystkie lata?

— To długa historia, chłopie... Słuchaj, mam awaryjną sytuację, potrzebuję wsparcia.

— Nawijaj, przechodzę na odbiór!

— Gdzie jesteś dokładnie?

— Za dwie minuty wjadę do Lublina.

— Słuchaj uważnie! Czy widziałeś po drodze Patrola z cycatą blondyną za kierownicą?

— Tylko we śnie, stary...

— To się skup! Patrol ciągnie lawetę, a na niej stoi Stratos w barwach Alitalii. Widziałeś dziś takie cudo?

— Jaja sobie robisz? Mówimy o Lancii Stratos?!

— Zgadza się! Mijałeś takie zjawisko?

— Nie, ale gdybym widział, odmówiłbym zdrowaśkę!

— Słuchaj, Fairlane, to bardzo ważne! Wdepnij trochę i poszukaj tego zestawu przed sobą. Musi być nie dalej, niż dwa kilometry z przodu. Jak mnie zrozumiałeś?

— Głośno i wyraźnie! Jak za dawnych lat, co? W porządku, jadę na pusto, zaraz poszukam ci tego cuda.

— Dzięki, stary! Daj znać, jak coś zobaczysz.

— Roger, roger!

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Vadim popatrzył na Spychowskiego badawczo, ale nie skomentował. Po pięciu minutach głośnik znowu ożył.

— Jest! Jak Boga kocham, jest! Biały Stratos, wymalowany, jak do rajdu! Jedzie przypięty do Patrola z niezłą cizią za fajerą...

— Gdzie jesteś? — Rzucił Spychowski do mikrofonu.

— Lublin. Laweta kieruje się na Warszawę. Mam za nią jechać?

— Nie, stary, teraz już sobie poradzę. Wielkie dzięki, jestem twoim dłużnikiem.

— Spychacz?

— Co jest?

— Chodzi o ciężki szmal, zgadza się?

— Cała cysterna szmalu, chłopie.

— Wiedziałem! Cięty zawsze mówił, że wysoko zajdziesz.

— Nawet nie wiesz, jak wysoko, chłopie! Często tędy jeździsz?

— Za często, za często... Wystarczy, że mnie wywołasz na dziewiętnastce, musimy kiedyś opić to spotkanie. Następne może się trafić za kolejne dwa-dzieścia lat.

— Odezwę się. Teraz muszę lecieć.

— Wiem. Pozdrów ode mnie tę blondynę.

— Roger, roger! — Zakończył Spychowski i odwiesił gruszkę.

Drogę przez Lublin pokonali łamiąc wszystkie możliwe przepisy. Na razie jednak nikt ich nie ścigał. Wyjechali z miasta wyprzedzając wszystko, co jechało przed nimi. Po dwudziestu kilometrach zobaczyli przed sobą charakterystyczny kształt nadwozia z okrągłymi światłami na tylnym pasie.

— *Voilà*, kamandir! Masz swoją zgubę!

— Harcerzyk z ciebie, harcerzyk...

Minęli Garwolin, w Kołbieli skręcili na Mińsk Mazowiecki, a później skierowali się na Białystok. Teraz było już jasne, że wyprawa pod Rzeszów była jednym wielkim kamuflażem obliczonym na zatarcie tropu. Trzymali się w bezpiecznej odległości od Patrola i nie przekraczali ograniczeń prędkości. Kilometry znikwały pod kołami.

Rozdział VI

Londyn zdobyli nie z powietrza, a z morza. Na pokładzie promu dobili do Dover. Po kilkunastu godzinach w trzęsącym się autobusie patrzyli na wzbudzony Kanał jak na Morze Karaibskie. Sforsowali z marszu oficera imigracyjnego, używając jako tajnej broni zaproszeń podpisanych przez wuja Izy. Ponownie zapakowali się do autobusu i po niedługim czasie stanęli na przystanku pod Victoria Station. Rodzina Izy mieszkała w Barnet na północy Londynu, niedaleko stacji metra Brent Cross. Wuj dziewczyny, Henryk Zagórski, emerytowany squadron leader jednego z polskich dywizjonów Royal Air Force po wojnie, na złość gospodarzom, którzy po kapitulacji Rzeszy zaczęli patrzeć na emigrantów ze szczerą niechęcią, został na wyspie i dorobił się sporego majątku. Teraz żył z procentów i patrzył na świat z dystansem człowieka niezależnego. Na widok siostrzenicy ucieszył się jak nastolatek, Texasa natomiast obrzucił uważnym, żeby nie powiedzieć podejrzliwym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: no, młody człowieku, sprawdźmy, co ona w tobie widzi.

Sprawdzenie rozpoczęło się już pierwszego wieczora. Iza pojechała do centrum na polowanie w sklepach na Oxford Street, a Henryk zabrał Texasa na wycieczkę do Northolt. Początkowo nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Obejrzeni starą bazę lotniczą, cmentarz i pomnik „tych nielicznych”. W pewnym momencie Henryk położył rękę na ramieniu Texasa i z miną naczelnego wodza rzekł:

— No, młodzieńcze nadeszła pora, by sprawdzić, czy nadajesz się na myśliwca.

Weszli do niepozornego baru, który wewnątrz wyglądał, jakby wojna nigdy się nie skończyła. Na ścianach wisiały oprawione w drewniane ramy zdjęcia maszyn w szykach bojowych, pilotów, mechaników i Mae West, prezentującej imponujący biust rozpychający wydekoltowaną suknię. Pod ścianą stał nieco sfatygowany fragment ogona zestrzelonego Junkersa 88.

— George, mamy gościa. — Henryk wywołał barmana z wąsikiem *á la* Clark Gable. — To facet mojej siostrzenicy, z Warszawy. — Dodał znacząco.

— Robimy tak jak ostatnio? — Słowa Georga mogły nieco niepokoić, ale czujność Texasa uśpiona nadmiarem wrażeń zupełnie zawiodła.

— Przygotuj naszemu nowemu przyjacielowi Messerschmitta.

— Dwusilnikowego? — Upewnił się George.

— Jasne! Tyle, że odrzutowca. I zadzwoń po chłopaków.

— A co dla ciebie?

— Podwójny Bombay Sapphire, please!

— Słyszę cię głośno i wyraźnie! Wykonuję! — Zameldował barman i podszedł do telefonu. — Ben? Tu George... Scramble! Piętnastu bandytów na dwudziestu aniołach próbuje wykończyć mojego klienta! Czekamy na kawalerię, weź ze sobą Obronę Wybrzeża, bo chyba będzie przymusowe wodowanie. — Dodał patrząc z powątpiewaniem na Texasa. — Over now!

Po chwili przed Texasem stanęła szklanka z oszronionymi krawędziami, wypełniona złotawym płynem.

— No cóż, chłopcze, za spotkanie! — Henryk stuknął szkłem o szkło.

Texas wchłonął zawartość szklanki i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Świat rozjechał się na boki i trzeba było go po trochu składać na powrót w jedną całość. Zanim jednak odzyskał równowagę mentalną, do baru weszły „chłopaki”.

— Henry, you bloody fighter! Who did you shoot down today? — Pierwszy z nich, siwy i chudy jak szczapa gentleman około siedemdziesiątki uściśnął dłoń Henrykowi i popatrzył ze współczuciem na Texasa.

— Panowie, pozwólcie, że przedstawię! Texas, z Warszawy!

— Texas... To imię..? — Siwy stropił się nieco. — Ben, gdzie leży Texas? — Zwrócił się do kolegi, puciołowatego łysielca w marynarce w kratę.

— Zdaje się, że w Arizonie... Nieważne! Może byś nas przedstawił swojemu gościowi, Henry?

— Naturalnie, wybaczcie. Texas, przedstawiam ci elitę Królewskich Sił Powietrznych: Harold Holborn, sześćdziesiąt misji bojowych nad Berlinem, Essen, Bremą i diabli wiedzą czym jeszcze. Szczerze mnie nienawidzi, bo

zawsze chciał być myśliwcem, a wylądował za sterami Lancastera, czy jakiejś innej niezgrabnej krowy i teraz zawisć przez niego przemawia.

— Ty stary, wyliniały, nieopierzony nielocie...

— Tylko nie stary, tylko nie stary!

— Chyba sam się przedstawię, bo ci dwaj nieprędko skończą. — Drugi z przybyłych wyciągnął do Texasa dłoń. — Ben Stirlingshire, Coastal Command, nie ma to jak porządna, pewna niezatapialna łódź latająca.

— Wobec tego, teraz moja kolej. Sir! — Texas zwrócił się do przyglądającego się ze stoickim spokojem George'a. — Żubrówka dla moich nowych przyjaciół!

— Zuub.. Zubr..?! Co to jest u licha?! — Zainteresował się Ben.

— To długa historia, boys. — Rzekł Texas. — Ale mamy dużo czasu. No więc żubr, to taki Polish bison, you know.

Dwie godziny później Henryk spojrzął na zdjęcia wiszące na ścianie.

— Odporność na Luftwaffe udowodniłeś, pora przetestować twoją znajomość sylwetek samolotów.

— Świetny pomysł! — podchwycił lekko już bełkoczący Ben. — Za każdą pomyłkę kolejeczka! Proszę bardzo! Co to jest? — Rzucił Henryk, wskazując na wiszące za barem zdjęcia.

— Dornier 17. Nie mogliście się bardziej wysilić, panowie? — Uśmiechnął się Texas stawiając przed Benem następną żubrówkę.

— A niech go rekin połknie! Skąd go wytrzasnąłeś, Henry?

— Mówiłem już, to Iza go złowiła. Jak widać ma niezłe oko. Dobrze, chłopcze, skoro tamto było takie proste, to może coś trudniejszego...

— W porządku, ale jeśli zgadnę, sam chcę sobie wybrać nagrodę.

— Co proponujesz? — Ożywił się Harold.

— Muszę się dostać na wykład tego oto gentlemana. — Texas wyciągnął kartkę z nazwiskiem i podsunął pilotom. — Bardzo mi na tym zależy. Bez wsparcia z powietrza raczej mnie na ten uniwersytet nie wpuszczą.

— Ben, chyba ty masz tam córkę?

— Wnuczkę, przyjacielu, wnuczkę, córka studiowała dwadzieścia lat temu. Dekady ci się posklejały.

— Wszystko jedno! Chyba możemy mu załatwić wejściówkę na tę uczelnię, co chłopcy?

— Da się zrobić. — Skinął głową Henryk. — Ale najpierw odpowiedz. Co to jest? — Tu wskazał na kolejne zdjęcie.

Texas przypatrywał się przez chwilę intensywnie, Ben wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść z podniesionym kciukiem i obrócił go znacząco do

dołu. Zapadła nerwowa cisza. Henryk wstrzymał oddech. Czyżby chłopak poległ tak blisko celu?

— Focke Wulf 200 Kondor. — Wycedził wreszcie Texas i wychylił jednym haustem drugiego już tego wieczora Messerschmitta.

Wiwaty zatrzęsły starymi murami.

Odprowa bojowa ciągnęłaby się pewnie jeszcze długo, gdyby nie interwencja Mrs Holborn, która zaszła ich od słońca (czy raczej księżycy, biorąc pod uwagę porę) i niczym nocny myśliwiec przechwyciła swojego małżonka, za nic mając sobie tłumaczenia, że paliwa zostało im jeszcze na dobrych parę godzin lotu. Henryk w międzyczasie przyziemił w bujanym fotelu, zdając się całkowicie na automatycznego pilota i dopiero okrzyk George'a (bandyci na szóstej!) wyrwał go z letargu.

Było dobrze po północy, kiedy opuszczali lokal w nieco rozproszonym szyku, ale za to czujnie obserwując tylną półsferę, na wypadek ataku obcych maszyn.

— I to proszę państwa jest w zasadzie wszystko na temat uciekinierów z sowieckich służb wywiadowczych. Rzecz jasna to tylko zarys tego zagadnienia, ale sądzę, że przedstawiłem wszystkie najważniejsze aspekty.

Prelekcja zbliżała się do szczęśliwego końca. Chris wiedział, że ostatnie zdanie, które wypowiedział nie było prawdą. Już niedługo pojawi się nowy element tej układanki. I on będzie pierwszym, który to opisie. Otarł dyskretnie pot z czoła. Był nieco rozdrażniony. Czy naprawdę nie można było wynająć sali z przyzwoitą klimatyzacją? Przecież mamy czerwiec! Poruszy ten temat na najbliższym spotkaniu u rektora. Ostatecznie, jako pracownik naukowy najlepszego uniwersytetu w kraju, może chyba liczyć na odrobinę przywilejów?

— Czy ktoś z szanownych słuchaczy ma jakieś pytania? — Zwrócił się do siedzących na sali.

Podniosło się kilka rąk. Nie tak znów wiele, jak na liczbę zgromadzonych. Upał wszystkim dawał się we znaki. Wskazał kogoś dopominającego się głosu w pierwszym rzędzie.

— Jak pan ocenia rolę Pieńkowskiego w kontekście kryzysu w Zatoce Świń? — Akcent zdradzał przybysza zza oceanu, chyba ze wschodniego wybrzeża. Rumiany okularnik w koszulce polo. Typ, co to nawet nie mając nic do powiedzenia, musi się popisać wåtpliwą erudycją.

— Drogi panie, ten temat ma bardzo bogatą literaturę, trudno mi teraz odnieść się do niego w całości. Co konkretnie pana interesuje? — Chris nie krył zniecierpliwienia. Czy oni śpią na tych wykładach?! Przecież poświecił

Pieńkowskiemu dobre dwadzieścia minut wystąpienia. Amerykanin najwyraźniej speszony powstrzymał się od dalszych pytań. — Ktoś jeszcze?

— Tak! Ja mam pytanie! — Głos z tyłu sali. Fatalny, twardy akcent, schludna marynarka i dżinsy.

— Proszę — Zachęcił Chris uśmiechając się swoim zwyczajem.

— Dlaczego pominął pan całkowicie kwestię strategicznego planu długofalowej dezinformacji projektu Szelepina, sir? — Wysoki młody człowiek wstał i skłonił się lekko.

Chris jęknął w duchu, chociaż spodobało mu się to „sir”. No tak, zawsze znajdzie się jakiś nawiedzony tropiciel teorii spiskowych. Ale dlaczego akurat dziś, w taki upał?! Uśmiech na jego twarzy stał się nieco kwaśny, nie mógł jednak zignorować natręta zbyt ostentacyjnie.

— No cóż, jako historyk nie mogę zajmować się wszystkimi niepotwierdzonymi teoriami, zwłaszcza, jeśli ludzie, którzy je rozpowszechniają nie mają najlepszej reputacji. Ja rozumiem — tu pozwolił sobie na nutkę protekcjonalizmu — że plan, o którym raczył pan wspomnieć, może elektryzować i inspirować młode umysły, jeśli jednak prześledzić kulisy ujawnienia owego planu, łatwo można pojąć, jak niewiele trzeba by popaść w paranoję. Historyk potrzebuje dowodu, potwierdzenia, my nie tropimy sensacji, my prowadzimy badania naukowe. — Wyjaśniał cierpliwie, a w jego głosie prawie nie wyczuwało się złośliwości. — Badania, które podlegają surowej weryfikacji. Rewelacje, o które pan pyta, nie wytrzymują nawet pobieżnej analizy. Zwyczajnie nie mają poparcia w faktach, więc, choć jako materiał na sensacyjną powieść mogą, przyznając, frapować, to z profesjonalnego punktu widzenia są, pan wybaczy, bełkotem. Czy ta odpowiedź pana satysfakcjonuje?

— Dlaczego źródło ujawniające na przykład ostatniego z piątki z Cambridge jest bardziej wiarygodne od źródła mówiącego o planie Szelepina, sir? — Ten wysoki stał nadal i wpatrywał się w wykładowcę bez cienia skruchy. Na sali zapadła nie wróżąca nic dobrego cisza.

Chris spojrział na ignoranta nie udając nawet, że jego uśmiech ma coś wspólnego z sympatią. Apatia wywołana upałem ulotniła się jak duch odprężenia w roku 1981. Aha, więc należysz do tych bezczelnie dociekliwych? Dobrze, Chris przyjął w myśli wysoką gardę i rozpoczął przygotowanie artylerijskie. Oczy zabłyśły mu niczym generałowi Montgomery’emu dyskutującemu z Pattonem szczegóły inwazji kontynentu.

— Jak zapewne szanowny kolega wie, wysłane z palca sensacje dotyczące rzekomego planu dezinformacji stworzonego jakoby na zlecenie sowieckiego politbiura, jak również inne bezpodstawne pomówienia pochodzące z tego samego źródła, doprowadziły do największego w historii sprzymierzonej służby wywiadowczej chaosu i wewnętrznego rozbitcia. Złamano wiele karier, utracono ze stanowisk wielu wartościowych i błyskotli-

wych oficerów, i co otrzymano w zamian? Powiem panu. Otóż nie otrzymano nic. NIC! Czy uważa pan, że warto poświęcać tej sprawie nasz jakże cenny czas i podsycać atmosferę podejrzeń i oskarżeń, nie mając nawet cienia rzetelnego dowodu?

— A co, jeśli mimo wszystko źródło wcale się nie myliło? Przecież większość jego zeznań okazała się niezwykle cennym materiałem wywiadowczym, z powodzeniem wykorzystanym potem w działaniach operacyjnych. Może po prostu zawiodła metoda interpretacji danych? Może bariera mentalna pomiędzy myśleniem wschodnim i zachodnim uniemożliwiła właściwą ocenę wagi otrzymanego przekazu? Czy byłby to pierwszy raz, kiedy sowieckie metody otumaniały zachodnich intelektualistów? Czy mam panu profesorowi przypomnieć skutki operacji Trust, czy choćby sprawę fałszywej V Komendy WIN w moim kraju, na którą tak naiwnie dało się złapać wielu wartościowych i błyskotliwych oficerów? Historia kompromitujących pomyłek zachodnich wywiadów jest długa i niezwykle barwna. Czy naprawdę tak trudno wyobrazić sobie, jak łatwo można ulec dezinformacji przeciwnika? Zwłaszcza wtedy, gdy się go kompletnie nie rozumie.

Większość zgromadzonych na sali niewiele pojęła z toczącego się właśnie pojedynku, ale instynktownie wyczuwała, że cios wyprowadzony przez bezczelnego cudzoziemca był celny. Prelegent wolnym, metodycznym ruchem zdjął z nosa okulary i przetaił je specjalnie do tego przygotowaną chusteczką z logo uczelni. Obserwującym go słuchaczom zdawało się, że w jego dłoniach tkwią nie okulary, ale sześciostrzałowy Colt Peacemaker, który lada moment zakończy starcie i po prowokatorze nie zostanie nawet ślad.

— Well, well, well! I cóż my tu mamy? Najwyraźniej zawitał do nas ktoś niezwykle dobrze poinformowany. Wygląda na to, że powinniśmy się natychmiast zamienić miejscami. — Zjadliwy uśmiech wypełził na twarz Chrisa. — Chciałby pan może podważyć opinię niezależnych ekspertów? Ot, tak machnąć ręką na wyniki analiz ludzi, którzy całe swoje zawodowe życie poświęcili służbie wywiadowczej? Dalej, śmiało! Proszę nas oświecić, chętnie posłuchamy opinii prawdziwego znawcy. Niech pan wyświadczy nam tę przysługę i nie pozwoli dalej błędzić!

— Nie chcę urazić niczyjej dumy zawodowej. — Odezwał się barbarzyńca. — Chcę tylko zawiązać dyskusję na temat, który ciężko uznać za wyczerpany i jednoznacznie zgłębiony. Moje przykłady dowodzą tylko, że nawet zawodowcy czasem się mylą. A im większy prestiż takiego specjalisty, tym trudniej przychodzi mu przyznanie się do błędu. Teoria mówiąca o strategicznej dezinformacji Kremla jest, przyznajmy, śmiała, ale czy wydarzenia ostatnich kilku lat aby jej nie uwiarygodniły? Czy to nie o takich zmianach pisał przypadkiem autor tego ostrzeżenia? Czy nie przewidział on niemalże błędnie tak zwanego „upadku” systemu wszelkiej pomyślności i sprawiedliwo-

ści społecznej? Czy Zachód nie zachłysnął się właśnie zwycięstwem i nie odłożył do lamusa swoich kosztownych zabawek militarnych, by tam już po wsze czasy rdzewiały ku chwale światowego pokoju i pojednania? Czy czasem nie mamy do czynienia z fazą przemiany, o której autor pisał tonem bijącego na alarm mędrca? Czy cały cywilizowany świat nie pogrąży się właśnie w fatalnej fikcji stworzonej na okoliczność zaaplikowania największej w dziejach mistyfikacji? Być może już ostatniej...

— Temat, który pan poruszył jest bez wątpienia fascynujący, ale powtarzam jeszcze raz, jako historyka w ogóle mnie nie interesuje. Nie możemy zajmować się spekulacjami i przypuszczeniami. My poświęciliśmy się gromadzeniu wiedzy historycznej, składającej się z weryfikowalnych faktów! Pseudo politologiczne wynurzenia to nie nasza specjalność. Proszę się z tym udać do Fredericka Forsytha. Z pewnością przyjmie pana z otwartymi ramionami. My się tym zajmować nie będziemy.

— I o to im właśnie chodzi... — Mruknął pod nosem cudzoziemiec, po czym skłonił się i usiadł.

Chris wzruszył ramionami i odetchnął. Najwyższa już była pora, bo przekroczył wszelkie limity czasowe. Studenci ruszyli do wyjścia. Zebrał materiały, założył marynarkę i wyszedł z budynku. Szedł w stronę parkingu, gdy usłyszał ten sam głos ze wschodnim akcentem:

— Panie profesorze! — Chris odwrócił się. Przybysz zbliżał się powoli i patrzył na niego przez szkła przeciwsłonecznych okularów.

— Cóż to, młody człowieku? Czyżby chciał pan znów wracać do teorii spiskowych? O czym teraz sobie porozmawiamy? O potworze z Loch Ness, czy może o teorii drugiego strzelca w Dallas? Uprzedzam, że te tematy mało mnie interesują.

— Mnie również. — Odparł oschle cudzoziemiec — Podobnie, jak teorie dotyczące strategicznej dezinformacji. Nie interesuje mnie, czy wpakujecie się w zastawioną pułapkę, czy nie, to wasz problem. Chciałem tylko zwrócić na siebie pańską uwagę, sir.

— W jakim celu?

— Bo chcę przekazać coś, co może zainteresować pana, a z całą pewnością zainteresuje pańskich... przyjaciół. Jako zupełnie anonimowego przechodnia, mógłby mnie pan posłać do diabła.

— A teraz niby nie mogę? — Profesor uśmiechnął się lekko. — No dobrze, o co chodzi?

— O to. — Przybysz wręczył Chrisowi czarno białe zdjęcie formatu A4 i kasetę magnetofonową.

— Co to jest? — Profesor rzucił podejrzliwe spojrzenie na fotografię.

— To jest prezent, podarek dla rządu Jej Królewskiej Mości, z wyrazami najgłębszego szacunku.

— Nie rozumiem...

— Człowiek na tym zdjęciu to Rashid Sahak, z tego co wiem, jeden z najbardziej poszukiwanych na świecie dostawców broni dla różnej maści ruchów, nazwijmy je, wyzwoleniec. Wy nazywacie ich, zdaje się, terrorystami. Jestem pewien, że zarówno pańscy przyjaciele, jak i przedstawiciele zaprzyjaźnionej służby wywiadowczej, będą żywo zainteresowani poznaniem wszystkich szczegółów na temat miejsca pobytu, przebiegu transakcji i kontaktów tego człowieka. Na tej kasecie jest próbka materiału z podsłuchu z jego spotkań z dostawcami i klientami. Mam tego nieporównanie więcej.

— Kim pan jest? I jak się pan właściwie nazywa? — Głos Chrisa robił się coraz chłodniejszy.

— Funky Koval, do usług!

— Proszę zwrócić się do odpowiednich służb państwowych, panie Koval. Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie? Kogo właściwie pan reprezentuje? Chyba nie oficjalny rząd pańskiego kraju?

— Reprezentuję wyłącznie sam siebie. Nikt za mną nie stoi, samodzielnie wszedłem w posiadanie materiałów, które, jak sądzę, będą interesujące dla pewnych ludzi tutaj. Intuicja podpowiada mi, że pan jest najwłaściwszą osobą, do której mógłby się zgłosić ktoś taki, jak ja, sir. Czy będziemy rozmawiali stojąc tu?

— Chris wskazał mu drogę do swojego samochodu.

— Podrzucić pana do Londynu? Może po drodze ustalimy co dalej?

— Będę zobowiązany.

Wyjechali z miasta sprawnie omijając tworzące się właśnie korki. Na autostradzie M11 dołączyli do strumienia pojazdów zmierzających w stronę stolicy. Profesor spojrzął kątem oka na irytującego cudzoziemca.

— Pan specjalizuje się w tematyce sowieckiego wywiadu?

— W pewnym sensie... Ale daleko mi do prawdziwych znawców, sir. — Obcy swoim zwyczajem skłonił się lekko.

— A jednak ma pan krańcowo odmienne zdanie od mojego, w pewnych kwestiach.

— No cóż, z mojej perspektywy mam po prostu lepszy widok na zjawiska, które wy znacie tylko z relacji pośredników.

— Mam zatem rozumieć, że cała ta wielka przemiana była blefem, czy tak? Interesujące. Czyli sugeruje pan, że daliśmy się wyprowadzić w pole, że Moskwa oszukała cały zachodni świat?

— Co w tym takiego dziwnego? — Odparł niedbale cudzoziemiec. — Przecież dajecie się im robić w konia regularnie, co kilka dekad. To taka trady-

cja. Oni używają wciąż tych samych chwytów pod nowymi nazwami, a wciąż to kupujecie bez mrugnięcia okiem.

— Fascynujące rzeczy pan opowiada! Jakież przykłady?

— Nowaja Ekonomiczeskaja Politika.

— Ależ drogi panie, NEP był czymś krańcowo odmiennym! To było odejście od komunizmu wojennego, gospodarka w Rosji po wojnie była zrujnowana, potrzebne były pewne drobne reformy...

— Czy coś się zmieniło?

— No wie pan?!

— Tak wtedy, jak i teraz potrzebny był kapitał. Wasz kapitał. Tylko to mogło ich uratować. Tak samo wtedy, jak i teraz wpompowaliście im do portfela grube miliardy, licząc na liberalizację systemu. Naiwnie wierzyliście, że macie do czynienia z ludźmi, z którymi można po prostu robić interesy, że trzeba im pomóc, a oni odwdzięczą się pokojową koegzystencją. Wystarczyło parę pochlebstw, że oto jesteście zwycięzcami, że pokonaliście potężnego wroga, a kupiliście bezrefleksyjnie całą tę historię.

— A więc do czego dzisiejsze zmiany mogą doprowadzić według pana?

— Zapytał Chris ze zjadliwym uśmiechem.

— To pan jest historykiem, profesorze. Proszę sobie przypomnieć, czym zakończył się NEP po 1929 roku: wielkim terrorem. Czym zakończyła się umowa Lend-Lease? Zimną wojną. Co nastąpiło po chruszczowowskiej odwilży? Przykręcenie śruby przez Breżniewa. Jaki był dalekosiężny efekt rokowań pokojowych i wycofania się Ameryki z Wietnamu? Inwazja Afganistanu w 1979 roku! Wy macie jakiś feler, jakąś skazę na waszej politycznej inteligencji, która nie pozwala wam uczyć się na własnych błędach. Ciągłe szukacie u nich jakichś rozłamów, szczelin, w które można by włożyć klin i rozsadzić wszystko od wewnątrz. Więc oni wam to właśnie dali na tacy. Proszę bardzo: to nasz wielki reformator! Samotny przywódca walczący z partyjnym betonem. Jeśli nie będziecie mu przeszkadzać, jeśli pozwolicie mu toczyć nierówną walkę z twardogłowymi, dobro w końcu zwycięży.

— Więc co musiałyby się właściwie wydarzyć, żeby uwierzył pan, panie... Koval w rzeczywisty upadek komunizmu? — Chris ciągle uśmiechał się protekcyjnie. — Bo co my tu mamy do tej pory: rozkład centralnego sterowania gospodarką, upadek systemu monopartyjnego, likwidację tajnych policji, wycofanie sowietów ze Środkowej Europy... Ale panu, jak widzę, ciągle mało?

— A pan, panie profesorze, naprawdę myśli, że te drugorzędne cechy są najważniejszym wyznacznikiem, sednem systemu komunistycznego? Nie dostrzega pan tej wspaniałej umiejętności adaptacji komunizmu do aktualnej sytuacji zewnętrznej? Tej zdolności do mimikry? Ani gospodarka sterowana centralnie, ani kolektywizacja to nie jest prawdziwy cel i istota komunizmu!

— Więc co jest tą istotą? — Chris przybrał cierpliwy ton, jakby rozmawiał z trudnym dzieckiem

— Władza absolutna, panie profesorze. — Odpowiedział równie cierpliwie cudzoziemiec. — A środkiem do osiągnięcia tego celu jest rozprzestrzenienie ideologii na całym globie. Tu nic się nie zmieniło od czasów Lenina, pryncypia są ciągle te same, użyto tylko innych metod. Siła militarna została zastąpiona podstępem. Mało tego! Z komunizmem już nikt nie walczy, bo przecież komunizm upadł. Piękne, kolorowe, połączone wsie potiomkinowskie... Teatrzyk dla frajerów. Stąpili wam jedyne ostrze, które jeszcze mieliście, zrobili was po raz kolejny w konia! Szkoda tylko, że za waszą głupotę najwyższą cenę płać zawsze takie kraje jak mój...

— Za to wy macie jakąś niereformowalną tendencję do odgrywania wiecznie pokrzywdzonego cierpiętnika. To was uszlachetnia? Doznajecie w ten sposób oczyszczenia? Młody człowieku, świat nie kręci się wokół pańskiego kraju, proszę to wreszcie zrozumieć!

— Słusznie! Zostawmy w spokoju nasze drobne bolączki i przejdźmy do meritum. Czy jest pan zainteresowany dalszymi informacjami na temat Sahaka?

— Cóż, jeśli pańskie rewelacje okażą się coś warte...

— Doskonale! Proszę zatem przeanalizować materiał, który panu dałem. Jeśli chce pan otrzymać resztę, czekam na informacje, które z kolei mnie interesują. Chcę wiedzieć wszystko o tym drugim człowieku ze zdjęcia. Kim jest, komu służy, gdzie bywa, czym się zajmuje... Wszystko.

— Dlaczego sądzi pan, że akurat ja potrafię zdobyć takie informacje?

— — Bo obraca się pan w odpowiednim towarzystwie. Przeczytałem pańską ostatnią książkę, napisaną wspólnie z tym sowieckim zbiegiem.

— Doprawdy? I co pan o niej sądzi? — Chris uniósł brew.

— Interesująca... miejscami.

— A miejscami?

— A miejscami jakby pisana pod dyktando według najnowszych wytycznych z Kremla.

— Jak mam to rozumieć?!

— Taki doświadczony oficer, na jednej z najważniejszych placówek dyplomatycznych, powinien chyba wiedzieć więcej o przygotowywanej „transformacji”, niż tylko zgrane frazesy publikowane w codziennej prasie? Jego analiza pierestrojki jest rozbijającą powierzchowna, żeby nie powiedzieć naiwna. Tak jakby miał uwiarygodnić kolejną w historii operację dezinformacyjną.

— Sądzi pan, że cała machina weryfikacyjna naszego kontrwywiadu zawiodła? Na Boga! Dlaczego nie pojawił się pan wcześniej?! Może wspólnie

udałoby się uniknąć takiej kompromitacji..., a teraz już za późno. — Chris nawet nie próbował ukryć kpiącego uśmiechu.

— Pytał pan o moją opinię. Oto ona. — Odparł obojętnie cudzoziemiec. Jechali przez chwilę w milczeniu

— Jak pana znajdě? — Odezwał się wreszcie Chris.

— To ja pana znajdě, profesorze. Proszę się pojawić dokładnie za dwa tygodnie o godzinie dziesiątej rano na Trafalgar Square, pod kolumną. Jestem pewien, że tyle czasu wystarczy na zebranie odpowiednich danych. Ktoś się do pana zgłosi i powie: „tylko głupcy ignorują Golicyna”. Odpowie pan: „Panie, spraw, bym przestał błędzić”. Wtedy dostanie pan resztę materiałów i przekaże swoje. Zapamięta pan hasło i odzew?

— Złośliwiec z pana, panie Koval... — Chris nie przestawał się uśmiechać kątem ust. — Złośliwiec...

Zbliżali się do okolic zwanych Wielkim Londynem.

Wieczorem zadzwonił do jedyne go człowieka, który mógł mu pomóc nie wszczynając ogólnego alarmu. Zależało mu, żeby na razie nie robić zbyt dużo hałasu. Z Olegiem znali się już parę lat. Zaczęło się od zawodowych zainteresowań Chrisa. Mówiąc szczerze początkowo traktował Rosjanina jak entomolog traktuje wyjątkowo rzadki okaz owada. Ale trudno się dziwić. Nie co dzień historyk staje przed sezamem kryjącym wiedzę dostępną bardzo wąskiej grupie wtajemniczonych. Oleg był w połowie lat osiemdziesiątych rezydentem KGB w Londynie, renegatem, który przez ponad dekadę pracował dla Brytyjczyków, aż w końcu postanowił oddać się pod ich opiekę. Wiele wody upłynęło od tamtej pory w Tamizie, a oni wciąż nie mogli uwierzyć, że zimna wojna się tak po prostu skończyła.

Umówili się w małej kafejce niedaleko Park Lane.

— Witaj, Chris! Co cię sprowadza do starego, przeterminowanego, nikomu niepotrzebne go szpiega? — Szczupły siwy mężczyzna mówił z lekko wyczuwalnym słowiańskim akcentem. Christopher pomyślał, że nie będzie zaczynał od tej szalonej historii. Niezależnie od spotkania na uniwersytecie, chciał skonsultować z Rosjaninem pewną delikatną sprawę.

— Witaj Olegu Antonowiczu! Wiesz, że zawsze, kiedy naruszam twoją prywatność przychodzę z kłopotami.

— Ostatnio zwracano się do mnie w otczestwie kiedy do was przeszedłem. — Skinieniem głowy przywołał kelnera. Zamówili po koniaku. — Skoro zaczynasz tak oficjalnie, to domyślam się, że znów mamy trzęsienie ziemi?

— Czy mówiąc „do was” masz na myśli również mnie? Widzę, że ty też zaczynasz ulegać wpływowi tych lewackich pismaków! Wstydź się, Oleg! —

lrytowało go, że plotka o jego związkach z kontrwywiadem zataczała coraz większe kręgi. Oficjalnie rzadko zaprzeczał, pomny zasady, że tylko winny się tłumaczy. Ale prywatnie dość obcesowo ucinął wszelkie spekulacje.

— Spokojnie, miałem na myśli ogólnie majestat Jej Królewskiej Mości. A ty nie bądź taki skromny, Chris! — Oleg podniósł kieliszek Camusa i stuknął w szkło swojego rozmówcy. — Jak się jest takim ekspertem, to oczywiście, że...

— Że jestem na pensji MI5?! — Wycedził gość.

— Nigdy nie ośmieliłbym się czegoś takiego sugerować. — Zarechotał Rosjanin. — No dobrze już, nie denerwuj się. O co chodzi? Wykryliście kreta u siebie, czy podłożyliście kogoś im?

— Ani jedno, ani drugie. Wygląda na to, że chłopaki trafili na coś naprawdę dużego. Ktoś przeszedł do nas stamtąd.

— Nie?! Poważnie?! To chyba odesłacie go z powrotem do nadawcy? Przecież teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Historia się skończyła! — Zakpił beztrosko Oleg.

— Zasadniczo nikomu nie jest do śmiechu. Wracają stare upiory. Facet pracował przez kilka lat na Łubiance i po kryjomu wynosił kopie dokumentów.

— Dużo tego jest? Z jakiego okresu są te dokumenty. — Oleg przestał się uśmiechać.

— Z całego okresu, przyjacielu, z całego...

— Nie żartuj, tego się nie da zrobić. Wiesz ile zajęłyby te papiery? Musiał skupić się na jakimś konkretnym temacie. Jedna, góra dwie sprawy. Żaden oficer operacyjny nie ma dostępu do kompleksowej wiedzy w takim zakresie.

— Chodzi o tysiące agentów, Oleg. Tysiące kryptonimów i nazwisk. W zasadzie jest to wgląd w całą historię twojej byłej firmy od czasów Dzierżyńskiego. Niektóre tematy to odgrzewane kotlety, ale są też perełki. Zupełnie nowe sprawy, o których nikt nie miał pojęcia. To dotyczy całego świata. Włochy, RFN, Francja, a i o naszym rodzimym podwórku też jest tam tyle, że nie jedno czoło zrosi zimny pot.

— Chryste, chłopie, kto do was przeszedł? Andropow z zaświatów? To może być prowokacja! Powtarzam ci, żaden oficer operacyjny...

— To archiwista, Oleg, po prostu archiwista. Był odpowiedzialny za przenoszenie akt z Łubianki do Jasieniewa. Miał dostęp do WSZYSTKIEGO! Kopiował dokumenty przez kilkanaście lat.

— Czego chce w zamian?

— Niczego. Chce się tylko w spokoju zestarzeć, to wiekowy jegomość.

— Jaki jest w tym twój udział?

— Chcę napisać z nim książkę, tak jak napisałem z tobą. Zapowiada się polityczne trzęsienie ziemi. Wielu ludziom, których dotąd tylko podejrzewano zostaną postawione poważne zarzuty. Jest kilka zupełnie nowych tropów. Nie

tylko w Europie. Za Atlantykiem już przebijają nogami, żeby się dostać do tych papierów. Wiele autorytetów spadnie z cokołów. Chcę opisać to, z czym do nas przeszedł. Co o tym sądzisz?

— Nie jestem pewien. Dobrze go sprawdziliście? A co, jeśli... — Oleg zawiesił głos, dając pole dla obaw, trapiących każdego historyka grzebiącego się w tematyce wywiadowczej.

— Daj spokój, Oleg! — Chris wyglądał tak, jakby sam siebie chciał przekonać. — Boisz się, że w rankingu sowieckich uciekinierów spadniesz na drugą pozycję? Facet został sprawdzony ze sto razy, wiesz sam jak to jest. Poza tym jego materiały są zweryfikowane przez inne źródła, nie ma mowy o żadnej fałszywce...

— Może jedno wielkie kłamstwo jest opakowane w całą masę prawdziwych, tyle że nikomu niepotrzebnych informacji. Jesteś już dużym chłopcem, Chris, zrobisz, co uznasz za stosowne... Ale doradzam ostrożność. W każdym razie, z tą książką się wstrzymaj, przyjacielu. Zrobisz sobie mnóstwo wrogów. Mówisz, że labourzyści już cię mieszają z błotem? No to powiem ci, że jeśli facet rzeczywiście ma te wszystkie akta, one są autentyczne, a ty to opiszesz, staniesz się wrogiem ludu. Twierdzisz, że upadną jakieś autorytety? Szczerze w to wątpię. Znajdzie się mnóstwo obrońców, którzy nie pozwolą ich skrzywdzić. Za to ty staniesz się chłopcem do bicia. Zimnowojenny paranoik to będzie najdelikatniejszy epitet, z jakim się spotkasz. Wiesz jak to jest z posłańcem przynoszącym złą nowinę. Niebezpiecznie jest się zajmować historią najnowszą, nigdy nie wiadomo, komu nadepniesz na odcisk. Nie da się mówić całej prawdy i pławić w uznaniu i zaszczytach. Ludzie, których historię opiszesz, zniszczą cię. W każdym razie będą usilnie próbowali. Nie mógłbyś się zainteresować dla odmiany dynastią Tudorów? To dużo bezpieczniejsze zajęcie, bo wszyscy już nie żyją.

— Nie takiej rady od ciebie oczekuję. Chcę, żebyś pomógł mi zweryfikować pewne kopie dokumentów, które facet nam przekazał.

— Drobiazg. Jeśli tylko będę w czymś przydatny.

— Dzięki! Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć! Mam jeszcze jedną sprawę... raczej nietypową, w zasadzie powinienem się z tym zgłosić od razu do kontrwywiadu, ale najpierw chciałem to skonsultować z tobą.

— Taka mała niesubordynacja wobec przełożonych, co? Nieładnie, nieładnie. Dobra, dobra, nie unoś się! No. mów śmiało, mój czas należy do ciebie. — Oleg wychylił niespiesznie resztkę koniaku.

— Miałem dziś dziwne spotkanie. Jakiś człowiek z Warszawy, przedstawił się jako Funky Koval, o ile sobie dobrze przypominam i chciał koniecznie ze mną porozmawiać. Dość irytujący gówniarz. Mówił, że nie wie, do kogo ma się zgłosić ze swoją sprawą. To jakaś podejrzana historia, ale kompletnie nie wiem, jak to ugryźć. On twierdzi, że Rashid Sahak siedzi teraz w Polsce i w naj-

lepsze handluje bronią kupowaną bezpośrednio od polskich spółek związanych z byłą bezpieką. Wiesz, o kim mowa? Słyszałeś o Sahaku?

— Czytam gazety, Chris. To nie jest chyba jego prawdziwe nazwisko, ma kilka tożsamości. Jest jednym z większych graczy na rynku. Jankesi dużo by dali za jego głowę. Dlaczego nie poszedł do nich? Kim jest ten Polak? To oficer wywiadu? Chce pracować dla was? To jest, o *pardon!* Jakie dla was?! Dla MI5, rzecz jasna!

— Udam, że tego nie słyszałem. W tym problem. Nie mam pojęcia, kim on jest. Nie chciał na ten temat rozmawiać. Aha, czytał naszą wspólną książkę i poddał w wątpliwość twoją autentyczność jako uciekiniera. — Chris nie mógł oprzeć się małej złośliwości.

— Już go lubię. — Mruknął lakonicznie Rosjanin, w głębi duszy jednak, poczuł ukłucie niepokoju, coś, co, jak sądził, zostawił za sobą dawno temu. Miał dosyć mnożenia wątpliwości wokół swojej osoby, był zwyczajnie tym zmęczony. — Więc o co właściwie mu chodzi, temu... Polakowi?

— Chodzi o wymianę barterową. Informacja za informację.

— Chyba nie dasz się na to złapać? To bardzo stary numer.

— Może tak, może nie... Jeśli facet mówi prawdę, to może być rewelacja.

— Zawiadomiłeś... wiesz kogo?

— Jeszcze nie. Mówiłem przecież, najpierw przychodzę do ciebie.

— Czego on chce konkretnie?

Chris wyciągnął z teczki fotografię. Przedstawiała dwóch mężczyzn siedzących w jakiejś restauracji. Zdjęcie było wykonane najprawdopodobniej z daleka przez teleobiektyw.

— Z lewej to Sahak. Ten Koval chce wiedzieć, kim jest drugi człowiek ze zdjęcia.

— A skąd niby ja miałbym to wiedzieć?!

— Bo to podobno twój kolega z firmy. Tak przynajmniej twierdzi Koval. Chce wiedzieć wszystko na jego temat, każdy najmniejszy szczegół jaki uda mi się zdobyć.

— Sądzisz, że znam wszystkich oficerów KGB czy SWR?

— Masz kontakty. Jesteś gwiazdą, Oleg. Wszyscy wiedzą, że każdy znaczący emigrant z Rosji swoje pierwsze kroki w Londynie kieruje do ciebie. Popytaj, wiem, że jesteś w stanie zdobyć te informacje...

— Chcesz w to wdepnąć, mimo, że nie wiesz, w co się pakujesz? Taki duży, a taki głupi!

— Jest ryzyko, jest zabawa.

— Dobrze, uruchomię kilku ludzi. Ale to chwilę potrwa. Wiesz, dyskrekcja i takie tam.

Pięć dni później uścisnęli sobie dłonie nad stawem w Regent's Park. Szli powoli alejką. Chris udawał, że nie zauważa dwóch roślących gentlemenów podążających za nimi w pewnym oddaleniu. To królowa dbała o bezpieczeństwo swego poddanego. Oleg wciąż pozostawał atrakcyjnym celem. Nawet, jeśli niektórzy uważali, że państwo, które zdradził już nie istniało.

— To dość tajemnicza postać. — Rosjanin od razu przeszedł do sedna. — W zasadzie trudno stwierdzić coś z całą pewnością. Facet jest jak duch. Pojawia się w pewnych środowiskach, zrobi wokół siebie szum, namota intryg i znika bez śladu. Potem wypływa w zupełnie innym miejscu, pod innym nazwiskiem. Typ amanta. Kobiety za nim szaleją. Wywołał kilka skandali... najprawdopodobniej precyzyjnie zaplanowanych. Nikt z moich informatorów nie był w stanie podać jego prawdziwego nazwiska. Właściwie wszyscy zgodni byli tylko co do jego kryptonimu. Kiedyś, jeszcze przed tym całym cyrklem figurował w Centrali jako Vadim.

— Kto to jest, Oleg? Oficer, czy tylko wynajęty agent?

— Nie mam pewności. Ale na mojego nosa, to nielegal przeszmuglowany na zachód jako dziecko w czasie, kiedy powstawała NRD. Było wtedy niezłe zamieszanie, robiliśmy nie takie numery.

— Specjalizacja? Dywersja, sabotaż, zabójstwa polityczne?

— Zdziwisz się. Kojarzono go głównie z wydawnictwami i redakcjami dzienników, głównie w RFN i Francji. Kontakty z dziennikarzami, intelektualistami. Ośrodki uniwersyteckie.

— Co to oznacza według ciebie?

— To proste, stary. Nasz pupil najprawdopodobniej był odpowiedzialny za tworzenie agentury wpływu. Ruchy rozbrojeniowe, pacyfiści, Greenpeace, postępowe wydawnictwa. Ogólnie: pranie mózgow. Cholernie trudna do wykrycia i udowodnienia działalność. Może zresztą robił i inne rzeczy, ale niczego więcej się nie dogrzebałem.

— Jakież nazwiska?

— W osiemdziesiątym piątym w Paryżu zapamiętano go jako Kurta Brammera, Niemca z Kolonii, właściciela wydawnictwa naukowego, dwa lata później ktoś go poznał jako Holendra, nie znam nazwiska. Przypominam sobie, że w '70, albo '71, kiedy jeszcze odwaliałem pańszczyznę w rezydenturze w Kopenhadze spotkałem się ze strzępkami informacji o jakiejś wschodzącej gwiazdce, nielegalnym genialnie zakamuflowanym gdzieś w Niemczech Zachodnich. Podobno sam Andropow się nim interesował. Ale konkretów niestety nigdy nie poznałem. W każdym razie, jeśli to faktycznie ten Vadim, to bądź pewien, że handel bronią to jedynie część jego aktywności i to nie największa. Takie tam dorabianie do pensji. Z całą pewnością będzie szukał

w Warszawie młodych talentów. Dziennikarze, artyści, absolwenci nauk społecznych. To jego żywioł.

— Dobre i to. Dzięki za wszystko, Oleg, świetna robota!

— Jeszcze jedno... Facet mówi płynnie po polsku, jakby to był jego ojczysty język. Może uchodzić oczywiście też za Niemca lub Holendra. Posługuje się jeszcze całkiem niezłe angielskim i dość podle francuskim.

— Jesteś nieoceniony! Jak mogę się odwdziżyć?

— Zmień specjalizację. Nie chcę patrzeć, jak ci dorabiają zęby złego wilka...

— Za późno, chłopie! Już jestem na czarnej liście.

— Przynajmniej masz dobre towarzystwo.

— Słuchaj, Chris... — Oleg zawahał się na sekundę. — A ile są warte materiały tego Polaka o Sahaku? Sprawdziłeś dokładnie, co z nich wynika?

— Pewności nie mam. Z nikim, oprócz ciebie jeszcze tego nie konsultowałem. Ale mój nos mówi mi, że to może być dynamit. Jeśli mam rację, później zajmie się tym już odpowiednia służba.

— A jak chcesz dokonać wymiany? Pójdiesz tam sam? Co potem? Wiesz, jak zareagują nasi przyjaciele, kiedy dowiedzą się, że pozwoliłeś mu zniknąć? Nikt cię za to nie pochwali.

— Może i jestem tylko zwykłym naukowcem, ale też potrafię zadbać o pewne... środki bezpieczeństwa. — Chris uśmiechnął się, swoim zwyczajem zaciskając usta.

To był wyjątkowo upalny poranek. Plac tonął w słońcu. Cztery odlane w metalu lwy szczyrzyły paszcze, jakby w ten sposób chciały odprowadzić nadmiar ciepła nagromadzony w ich gigantycznych cielskach. Mimo wczesnej pory Trafalgar Square zaczynał się już zaludniać. Turyści snuli się leniwie pomiędzy fontannami obserwowani obojętnie przez jednookiego admirała, który stojąc na szczycie smukłej kolumny zdawał się wciąż rozpamiętywać swoje chwile chwały i cierpienia na pokładzie flagowego HMS Victory.

Chris spacerował powoli pomiędzy zaaferowanymi przechodniami, spoglądając od czasu do czasu na zegarek. Starał się wyglądać swobodnie, ale nie udało mu się uniknąć pewnej nerwowości. Konspiracja nie była jego chlebem powszednim. Zdawał sobie sprawę, że postępuje lekkomyślnie, z drugiej jednak strony sprawa zaczęła go pasjonować. Pewną rolę odegrały tu również ambicje zawodowe. Historia rodziła się na jego oczach, ba, sam mógł się stać rozgrywającym.

Po raz kolejny rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę wylotu Whitehall, gdzie oparty o siodelko turystycznego motocykla stał krępy mężczyzna

w skórzanej kurtce. Scena i aktorzy drugoplanowi byli gotowi. Brakowało tylko odtwórcy roli głównej. Dochodziła dziesiąta. Chrisa zaczynały zjadać nerwy. Rozglądał się dookoła szukając kogoś, kto zwróciłby na niego uwagę. Wielonarodowościowy tłum przemieszczał się chaotycznie z jednego końca placu na drugi. Dobrze odkarmieni Amerykanie z niedopinającymi się na brzuchu spodniami kontrastowali ze szczupłymi Azjatami. Biznesmeni z City w nienagannie skrojonych garniturach prosto z Savile Row spieszyli na spotkania dające szanse powiększenia czyjegoś stanu posiadania. Pod schodami National Gallery grupa gejsz reklamowała występy jakiegoś japońskiego teatru. Chris patrzył przez chwilę zafascynowany na drobiazgi malutkimi kroczkami kobiety w kwiecistych kimonach. Westchnął w końcu i powiódł wzrokiem dalej, w stronę Pall Mall. Nadal nic, co można by nazwać kontaktem. Czyżby ten Polak zakpił sobie z niego?

— Tylko głupcy ignorują Golicyna. — Głos odezwał się tak niespodziewanie, że Chris aż drgnął. Odwrócił się i zamarł. Dwa kroki przed nim stała niewysoka Japonka, bez wątplenia członkini zespołu promocyjnego, który przed chwilą podziwił.

Zaskoczenie odebrało mu na chwilę głos. Twarz gejszy pokryta grubą warstwą makijażu utrudniała określenie jej wieku. Oczy przysłonięte były szklami okularów przeciwsłonecznych. Stała tak i patrzyła na niego z wyczekiwaniem.

— Panie, spraw, abym przestał błędzić. — Zmobilizował się wreszcie i powrócił do swej roli.

Patrzyli na siebie przez chwilę w pełnym wyczekiwania milczeniu. Ponad ich głowami z wolna zaczął się rozchodzić dyskretny zapach amatorszczyzny. Chris próbował w myślach usystematyzować wątpliwości, co do stojącej przed nim gejszy, ale były one zbyt nieuchwytny. Z Japonką coś jednak wydawało się być nie tak. Tylko co? Może chodziło o te okulary przeciwsłoneczne?

— Zdaje się, że ma pan coś dla mnie. — Dziewczyna odezwała się nienagannym angielskim. Ani cienia dalekowschodniego zaśpiewu.

— Owszem, na co mogę liczyć w zamian? — Zapytał głupio, ale w sumie, co mądrego mógł wymyślić w takiej sytuacji?

W odpowiedzi uniosła mały pakunek, który ścisnęła w dłoni. Nadal jednak żadne z nich nie kwapiło się do wymiany. Mijający ich przechodnie zaczęli się przyglądać z zaciekawieniem dziwacznej parze. Chris wyciągnął rękę z teczką formatu A4 i sięgnął jednocześnie wolną dłonią po pakunek Japonki. Chwyliła teczkę, a on w tej samej chwili niemalże wyszarpnął paczkę, którą wciąż kurczowo ścisnęła. Odwróciła się na pięcie i szybko znikła w kolorowym tłumie. Zdaje się, że nie tak miała wyglądać ta wymiana, ale nerwy po obu stronach zrobiły swoje. Nie dała mu czasu na sprawdzenie zawartości, ale jakoś instynktownie wiedział, że dostał właściwy towar. A zatem transakcja

była uczciwa, bo i on oparł się pokusie podłożenia do swojej teczki jakichś bezwartościowych śmieci. Poufne materiały zebrane przez nieocenionego Olega zmieniły właśnie właściciela... Miał nadzieję, że nikt nie oskarży go o zdradę stanu. No cóż, teraz wszystko w rękach zawodowców. Znow poszukał wzrokiem człowieka przy motocyklu.

Tymczasem Thomas Henley, były oficer Scotland Yardu, założył kask, podniósł przyłbicę, dosiadł swojej hondy i rzucił do mikrofonu ukrytego w rękawie kilka słów, które jak sygnał startowy poderwały do działania resztę zespołu:

— Delta 2, tu Delta 1, obiekt w ruchu, idzie na ciebie, daj jej kilkanaście jardów przewagi i ruszaj!

— Zrozumiałem, Delta 1, wykonuję! — Usłyszał w odpowiedzi.

Chris nie zdecydował się na zawiadomienie o swoim konspiracyjnym debiucie odpowiednich służb, postanowił jednak mimo wszystko zabezpieczyć operację wynajmując prywatnego detektywa. Miało to taką niezaprzeczalną zaletę, że nie musiał się z niczego tłumaczyć, a jednocześnie kontrolował całkowicie sytuację i miał na oku tego dziwnego smarkacza. Postanowił zlokalizować miejsce, w którym cudzoziemiec zatrzymał się w Londynie i w odpowiednim momencie przekazać informacje wyżej. Zdawał sobie sprawę, że jego dalsza samodzielna gra mogłaby być źle zinterpretowana przez służby Jej Królewskiej Mości, a on był w końcu uczciwym poddanym. A że wykazał się obywatelską inicjatywą, to tylko świadczyło na jego korzyść. Tak to sobie w myślach tłumaczył.

O Thomasie Henleyu usłyszał od znajomego, który wynajmował go kilka miesięcy temu w sprawie domniemanej zdrady małżeńskiej i detektyw spisał się nad wyraz dobrze. Chris był pewien, że z tak banalną sprawą jak śledzenie obcokrajowca, poruszającego się po obcym mieście, Henley i jego ludzie poradzą sobie śpiewająco.

Prywatny glina był tego samego zdania. Rutynowa robota nie wywołała u niego mocniejszego bicia serca. Swoich dwóch agentów ustawił w strategicznych punktach placu, tak, że wszyscy mieli panoramiczny widok na sytuację. Kiedy Japonka przejęła teczkę, sprawny zespół rozpoczął dyskretną inwigilację. Podpisując zlecenie Chris dał mu do zrozumienia, że będzie miał do czynienia z amatorami, więc stopień trudności nie był specjalnie wysoki, ot, po prostu pokręca się trochę po mieście, znajdą adres śledzonego, lub śledzonej i zainkasują honorarium. Jak to śpiewał Mark Knopfler

*It's a mystery to me — the game commences
For a usual fee — plus expenses*

Henley zanucił pod nosem, chcąc dodać odrobinę patosu nudnej w gruncie rzeczy robocie. Nagle w słuchawce rozjazgotał się poirytowany głos.

— Delta 1, tu Delta 2, znikła mi w tłumie tych cholernych gejsz! Dammed, Delta 3, widzisz ją?

— Jak to ci znikła, przecież miałaś ją na wyciągnięcie ręki?! — Thomas nie wierzył własnym uszom. — Delta 3, widzisz obiekt?

— Negative! — Odezwał się drugi głos. — Wszystkie są takie same! Jedna w drugą ten sam kuper i te same drobne krocзки, jakby się sklonowały!

— Nie pieprz mi głupot o kuprach i kroczkach, Delta 3! Obiekt niesie teczkę, tyle chyba potrafisz wypatrzeć?

Przez chwilę w eterze panował chaos. Henley pomyślał, że był blisko podobnej kompromitacji, kiedy w '85 nie udało mu się zamknąć obławy na pewnego gangstera w Dokach. Ale przecież teraz, na Jowisza mieli do czynienia z amatorami! I do tego cudzoziemcami!

— Tu Delta 2, widzę obiekt! Przekazuje teczkę! Mężczyzna, rasy białej, około sześciu stóp wzrostu, szczupły, szara kurtka, czerwona czapka bejsbolówka. Idzie w twoją stronę, Delta 3! Widzisz go?

— Widzę, nie drzyj się, Delta 2, lebiego! Przejmuję obiekt, ubezpieczaj z dystansu. Delta 1, kieruje się na wschód.

No, kompromitacja zażegnana. Henley odetchnął. Rutyna... największy wróg zawodowca.

— Przyjąłem, Delta 3! Delta 2, ruszaj przodem, odetnij mu drogę na wszelki wypadek!

— Roger! — Usłyszał w odpowiedzi.

Thomas obserwował swojego pracownika jadącego na służbowym motocyklu w stronę Duncannon Street. OK, znów wszystko pod kontrolą. Ruszył powoli za swoim zespołem. Trzymając się w odpowiedniej odległości ubezpieczał operację na wypadek jakichś niespodzianek.

— Tu Delta 3, zbliża się do Charing Cross. — Usłyszał w słuchawce.

Zapowiadała się robota w metrze. Średnio trudne zadanie, biorąc pod uwagę ilość śledzących, drobna przykrość polegała na tym, że tracą łączność radiową. To jednak nie powinno stanowić dużego problemu, dawno temu każdy z nich opanował takie techniki.

— Delta 2, tu Delta 1, schodzisz za obiektem na dół. Delta 3, zejdziesz za nim na peron i dasz mi znać, w którą stronę pojedzie. Jak mnie zrozumiałeś?

— Głośno i wyraźnie! Wykonuję, Delta 1!

— Tu Delta 3, nie tak szybko, boys... Obiekt zawrócił, idzie Strand w stronę Craven Street, zaraz mnie minie! Delta 2, przejmij go, nie mogę teraz zawrócić, bo się połapie!

— Roger, Delta 3!

Henley zaklął pod nosem. Amator! Jasne! Zdaje się, że jego klient kompletnie nie docenił przeciwnika. Kim jest ten gość? Czyżby wpakowali się w jakąś grubszą kabałę?

— Delta 3, tu Delta 1! Przejmuję obiekt, ubezpieczaj mnie, ale na Boga trzymaj się z daleka, nie rób widowiska! — Warknął do mikrofonu i wbił się w coraz gęstszy ruch uliczny.

Chwilę później mignęła mu z lewej czerwona bejsbolówka. Zatrzymał motocykl, zaparkował go pomiędzy ciasno upchanymi przy krawężniku autami i pieszo podążył za cudzoziemcem. Obiekt szedł wolno z powrotem w stronę placu Trafalgar, oglądając wystawy sklepowe. Pod pachą trzymał tekturową teczkę. Thomas przyspieszył nieznacznie, starając się skrócić dystans. Wiedział, że jeśli raz go zgubi w tłumie, to koniec. Dobrze, teraz tylko kontrolować ruchy śledzonego i pamiętać, żeby się za bardzo nie zbliżyć. O, właśnie tak! Jeszcze wysłać kogoś na szpicę, na wszelki wypadek.

— Delta 3, rusz dupę i przetnij mu drogę od Whitehall!

— Wykonuję, Delta 1!

No, i tak to powinno wyglądać! Ech, jak sam nie weźmie spraw w swoje ręce, to się wszystko sypie.

Oderwał wzrok od obiektu tylko na sekundę, może dwie. Pomiędzy nimi szło nie więcej, niż dziesięciu przechodniów, dystans około stu jardów, w pobliżu żadnej bramy, w którą mógłby mu uciec, tylko dwa sklepy. Ale, żeby wejść z ulicy do któregoś z nich potrzeba było więcej, niż dwóch sekund. Trzeba zmienić kierunek marszu, podejść do budynku, otworzyć drzwi. Tego nie dało się zrobić bez zwrócenia uwagi Henleya. A jednak człowiek w czerwonej bejsbolówce zniknął! W mgnieniu oka rozpułnął się... właśnie, nawet nie w tłumie! Zniknął wśród zaledwie dziesięciu postaci poruszających się przed wyszkolonym obserwatorem. A zatem to musi być któryś z nich! Zmienił wygląd? Tak nagle?! Bzdura!

— Delta 3, widzisz gdzieś obiekt? — Starał się, żeby w jego głosie nie było słyhać rozpaczliwych tonów.

— Negative!

Można było się tego spodziewać. Zaraz, może to ten student idący tam z przodu? Nie, obiekt był wyższy, przecież nie ukucnął nagle! A ten z lewej, ten z torbą przewieszoną przez ramię? Za gruby, poza tym skąd nagle wzięłaby się torba? Nie ma, nie ma! Takie rzeczy się nie zdarzają! Nie można zniknąć ot tak na jego oczach! Henley miotał wściekłe przekleństwa, wciąż rozglądając się dookoła. Wstyd i upokorzenie kłuły boleśnie jego zawodową dumę. Fakt pozostawał jednak faktem, śledzony człowiek zdematerializował się będąc w zasięgu wzroku. Jakby jakiś pieprzony David Copperfield przykrył go czapką niewidką. Thomas nabrał powietrza do płuc i zwolnił kroku. Zdaje

się, że będzie musiał po raz pierwszy w swojej karierze tłumaczyć się przed klientem ze spieprzonej roboty.

Iza czekała na niego pod Tower. Kimono zamieniła na jeansy i obcisłą bluzkę. Już z daleka widział, że jest wściekła.

— Może mi łaskawie wytłumaczysz wreszcie, o co chodziło w tej całej maskaradzie?! — Bez żadnych wstępów przeszła do meritum.

Mówiła cicho ale wyczuwał, że ledwo nad sobą panuje.

— Mówiłem ci, musiałem to tak załatwić, nie było innego wyjścia. Świetnie się spisałaś! Czy mogę się jakoś zrewanżować? — Zapytał niewinnie.

— Tak, możesz. Opowiedz mi wszystko! Z detalami! Żadnych wykrętów i półśówek!

— Słuchaj, miałem tu coś do załatwienia, to cię nie zainteresuje. Takie tam, stare sprawy.

— Znowu zaczynasz! — Tym razem nie dała się zbyć byle czym. — Nie traktuj mnie, jak idiotki! Kim był ten człowiek na Trafalgar? I co było w koperce, którą mi dał? Gdzie to jest teraz? W co ty się wpakowałeś? — Zarzuciła go pytaniami.

Texas patrzył jej prosto w oczy i zbierał wszystkie siły, całe swoje doświadczenie, jakby miał stawić czoła najlepszemu na świecie oficerowi śledczemu.

— Musiałem wymienić się pewnymi materiałami. Nie można było z pewnych względów zrobić tego w inny sposób. — Pod ciężarem jej spojrzenia stracił nieco na wiarygodności.

— Kim jest Golicyn?

Odetchnął z ulgą, bo mógł wreszcie ominąć niewygodne tematy i sprwadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory.

— Widzisz, to długa historia... — Ujął ją pod rękę i poprowadził wolno przez most na południowy brzeg rzeki.

— Mam czas.

— To były sowiecki oficer wywiadu. Uciekł na Zachód z całą masą informacji. Wiedział tyle, że stał się niewygodny nie tylko dla swoich byłych panów, ale również dla zachodnich agencji wywiadowczych. Zbyt wiele trzeba by zmienić, gdyby okazało się, że miał rację. Więc z czasem został okrzyknięty paranoikiem i zmarginalizowany. Wtedy właśnie napisał swoją najważniejszą książkę, gdzie ujawnił kremlowskie kłamstwo, kłamstwo tak wielkie, że aż trudne do zrozumienia. Dla wszystkich, którzy w to kłamstwo uwierzyli, ta książka była bardzo niewygodna, bo dowodziła, że okazali się naiwnymi frajerami. Więc na wszelki wypadek została przemilczana, zepchnięta w medialny niebyt, tak samo, jak jej autor. Ale ja obawiam się, że Golicyn miał rację.

— Ale dlaczego jego nazwisko miałam wymienić na spotkaniu? — Iza najwyraźniej zapomniała już o złości. Może po prostu spodobało jej się, że wreszcie w coś ją zaczął wtajemniczać.

— To taka mała złośliwość z mojej strony, darling. — Uśmiechnął się lekko pod nosem. — Ten człowiek, którego spotkałaś na placu też uważa Golicyna za głupca. No, mniejsza z tym! Pora na obiad. Może znajdziemy jakąś miłą knajpkę z widokiem na Tower Bridge?

Usiedli przy małym stoliku we włoskiej restauracji na South Bank. Naprzeciwko nich, na środku Tamizy kotwiczył okręt muzeum, krążownik HMS Belfast, górując nadbudówkami i masztami nad otoczeniem nadawał panoramie miasta jakiegoś nierzeczywistego wymiaru. Był tu obcym elementem, jakby wyrzutem, przypominającym obojętnym przechodniom, że ich spokojna, bezpieczna egzystencja, to tylko krucha iluzja. Nikt jednak nie przejmował się tym memento.

Iza już całkiem spokojna studiowała menu. Burza została zażegnana i to w sumie małym kosztem. Texas mógł sobie pogratulować. W zasadzie plan na czas pobytu w Londynie został wykonany w stu procentach.

— Pora przygotować się do powrotu, darling. — Texas wznosił toast kieliszkiem wytrawnego Amarone.

— Po co wracać? Żle ci tu? Przecież możemy zostać, wuj załatwi wszystkie formalności.

— Mam pewną sprawę do załatwienia w kraju, mówiłem ci. — Texas patrzył w zamyśleniu na masywny kadłub zacumowanego na wprost nich okrętu.

— Co jest tam aż tak ważnego, żeby rezygnować z życia w cywilizowanym kraju?! Przecież możesz tu robić to samo, co tam, za godziwe pieniądze. Tu też jeżdżą amerykańskimi wozami. Jesteś świetnym mechanikiem, wuj pomoże ci uruchomić własny warsztat. Zresztą sama już nie wiem, kim ty jesteś. Ale w każdej dziedzinie, jaką się zajmiesz odniesiesz tu sukces. Jestem tego pewna! Zostańmy na wyspie, ja już nie chcę tam wracać. — W jej głosie zaczęły pobrzmiwać błagalne tony. Zrozumiał, że przygotowywała się do tej rozmowy od dawna.

Nie odpowiedział, patrzył w dal, gdzieś ponad jej głową.

— Znam to milczenie. — Odezwała się cicho. — Podjąłeś już decyzję i nic je nie zmieni, zgadza się?

Siedzieli przez chwilę mierząc się wzrokiem.

— Co tam jest takiego, że nie możesz o tym zapomnieć? To tylko przeszłość, to już nieaktualne! Cokolwiek by to nie było, tu możesz zacząć wszystko od nowa. No powiedzże coś! — Podniosła głos. — A, niech cię cholera, Tex! Nie potrafisz do ciebie trafić. Ty masz swój świat i tylko to się dla ciebie liczy.

Zawsze byłam tylko dodatkiem. Mam tego dość! Rób jak chcesz, ja tam już na pewno nie wrócę! Chcę normalnie żyć, chcę wykorzystać moją szansę!

Wstała gwałtownie od stolika, przewracając krzesło. Odeszła, ścigana spojrzeniami nielicznych gości.

Texas spojrzął jeszcze raz na sylwetkę okrętu. W świetle wieczornego słońca wyglądała, jak wycięta z tektury teatralna dekoracja.

— Szczęściarz z ciebie, stary. — Mruknął pod nosem. — Twoja wojna się już skończyła.

Długo patrzył za odchodzącą postacią. Z każdym krokiem stawała się coraz mniejsza, aż w końcu znikła, połknięta przez otchłanny cień Tower Bridge. Powlókł się bez przekonania wzdłuż Tooley Street. Pustka w sercu wsysała myśli jak czarna dziura materię. Przy Potters Fields kopnął wściekle puszkę walającą się na chodniku. Mijając Vine Lane o mało nie rozdeptał szarego kocura wylegującego się leniwie na rozgrzanym betonie. Kot popatrzył na Texasa nieprzytomnym wzrokiem, ale nie uciekł. Jego zdziwione spojrzenie zdawało się mówić: weź się w garść, dwunożny! I uważaj, tu, na dole też toczy się życie. To go otrzeźwiło. Przypomniał sobie, po co tu przyjechał, plan wymagał konsekwentnego działania. I poświęcenia. Pora wracać.

Rozdział VII

Kościół pękał w szwach. Czerń garniturów tworzyła tło dla jaskrawych kreacji, niby aksamit ułożony pod ekspozycję diamentów. Nawet teraz wielu gapiów nie do końca mogło uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Wieść gruchnęła gwałtownie i niespodziewanie. Zaskoczenie było kompletne. Owszem, baby podwórkowe na Wroniej coś tam gadały, że nowy absztyfikant jakoś często podjeżdża limuzyną po tę latawicę, ale baby jak to baby, zawsze gadają, kto by tam na to zwracał uwagę! Aż tu nagle sensacja! Początkowo nikt nie chciał dać wiary, Wszyscy uznali, że to plotka, nie mająca poparcia w faktach. Ale w końcu sam gospodarz, pan Gienek Świtaj potwierdził. A jak pan Gienek coś mówi, to można to przyjąć za pewnik. Jak w osiemdziesiątym drugim, w lipcu, powiedział, że gorzała pójdzie w górę, to zaraz po mundialu sprawdziło się co do joty. Kto mu zaufał i zapasy zrobił, nie pożałował, a kto niedowiarek, ten za ćwiartkę żyta musiał od sierpnia bulić o dwadzieścia procent więcej.

A jak było z metą starej Dolniakowej na Woli? Powiedział pan Gienek, że będzie nalot? Powiedział! I co? Dwa dni nie minęły, a już z dzielnicy patrol się pojawił i całe dobro zarekwirował, a sama Dolniakowa ledwo co się od dołka wyłgała. Czy za mało dzielnicowemu odpalała, czy jakościowo towar był lichey, tego już się nikt nigdy nie dowiedział, grunt, że nie zaufała panu Gienkowi i miała za swoje. Więc teraz już nikt słów pana Gienka nie podważał i oto wszyscy przyjęli ten fakt do wiadomości: Jolka Kompressor wychodzi za mąż! Wieść błyskawicznie rozeszła się po całej ulicy Wroniej. Zresztą, co tam

Wronia! Od plotek, domysłów i spekulacji zaczęło huczeć w kamienicach od Ogrodowej, przez Chłodną, Kotlarską, aż po samą Grzybowską. Wszystkie bruki, po których raczyła stąpać na swych niezależnie zawieszonych, samopoziomujących, rozkładanych do hangarowania nogach, zdawały się szeptać i podawać wciąż dalej i dalej tę nieprawdopodobną wieść. Okoliczne drzewa, które niejedno już widziały, szumiąc, z rozmarzeniem wspominały to melodyjne, rytmiczne kołysanie bioder Jolki, kiedy przechadzała się wzdłuż warsztatów samochodowych przy Chłodnej. A gdy tak szła, głowy mechaników kolejno wychylały się spod masek Mercedesów, Opli i Fiatów. Oto nadchodziła mistyczna chwila. Chwila, kiedy niebo łaskawie zstępowało na ziemię i pozwalało popatrzeć na siebie. Było na wyciągnięcie ręki, tuż obok. Przepływało po dziurawych chodnikach na swym luksusowym zawieszeniu, przywodząc na myśl Jaguara. Sami sobie dopowiedzcie, tego mechanicznego, czy jego zwierzęcy pierwowzór... Silniki mijających zjawisko samochodów jakby samoistnie zwiększały obroty, mrużąc w rytm „Diamonds are the girl's best friends”, a pneumatyczne układy hamulcowe Ikarusów wtórowały: Tiffany's! Cartier! Jolka, trzeba jej to przyznać, miała wycucie dramatyzmu. Mimo pewnych niedoborów intelektualnych, posiadała tę rzadką umiejętność kuszenia mężczyzn, która odpowiednio pielęgnowana stawała się w końcu sztuką samą w sobie. A Jolka szybko wyrosła na legendę omawianą i obmawianą w całej okolicy. Ale nie myślcie sobie, że była jakąś tam puszczałką, jakich wiele, że szła z pierwszym lepszym. Nic z tych rzeczy! Sama wybierała sobie ofiary i to wcale nie z okolicy, o nie! To wszystko były chłopaki z lepszych dzielnic. Żoliborz, Saska Kępa, Mokotów. Żadnych kiziorów ze Szmulek, czy waluciarzy z Różycą! Bo Jolka miała klasę! I umiała się cenić. A kiedy jeden wybraniec się dziewczęciu znudził lub zbankrutował, wybierała kolejnego, ot, po prostu wskazując paluszkami w stronę tłumu samczyków walczących o jej względy. Była też oczywiście znajomość z egzotycznym handlarzem bronią, ale ta rozgrywała się w sferze całkiem niedostępnej dla świadomości zwykłych śmiertelników i maskowana skrętnie nigdy nie wyszła poza krąg wytyczony przez techniki operacyjne Texasa. Ale Jolka z całym swoim zwierzęcym magnetyzmem i wyrachowaniem sama wpadła kiedyś w sidła namiętności. A to właśnie za sprawą Texasa i jego zamięłowania do lotów koszących i figur wyższego pilotażu. Tamci przychodzili i odchodzili, a ona zawsze w głębi duszy wierna była tylko jemu. Tak sobie to przynajmniej (bynajmniej?) tłumaczyła. To znaczy nie rezygnowała z tamtych dzianych bawidamków z wyższych sfer (i oczywiście z Rashida Sahaka), ale traktowała ich czysto instrumentalnie, jako drogę do awansu społecznego. Za to Texasowi duszę i ciało oddawała całkiem bezinteresownie, czerpiąc z tego czystą, nie skażoną żadnymi dylematami moralnymi rozkosz. Pozwalała mu na te wyuzdane igraszki na granicy stratosfery, o jakich nie śniło się żadnemu z jej sezo-

nowych amantów. Była mu oddana, jak mały psiak, ale on jako urodzony realista nigdy nie wiązał z nią planów na przyszłość. I nie wymagał od Jolki wierności, bo wiedział, że to tak, jakby zmuszać czterosilnikową „latającą fortecę” do wykonania pętli. Po prostu pozwalał by fala namiętności niosła ich jak najdłużej i by rozkosz była udziałem ich obojga w proporcjach fifty-fifty. Poza tym lubił ją. Tak po prostu. Było w niej tyle zapału i energii, że przy umiejętnym pokierowaniu mogła osiągnąć najbardziej nawet ambitny cel. Oczywiście planowanie owego celu musiało uwzględniać jej możliwości umysłowe, a zatem skupiać się powinno raczej na walorach cielesnych... Texas jednak nigdy nie dawał odczuć, że jej umysł nie jest, nazwijmy to, intelektualnym fajerwerkiem, że czegoś jej brakuje. Tamci, sezonowi, często naigrawali się z niej, dając do zrozumienia, że nie dorasta do ich poziomu, a uroda jest jej jedynym atutem. Jolka z czasem nabawiła się kompleksów na tym tle i kiedy tylko któryś z bawidamków uderzał w tę nutę, z miejsca dostawał szlaban na słodkie krągłości i rozkoszne doliny jej ciała. Natomiast Texas nigdy nawet nie zasugerował, że widzi w niej tylko głupiutką laleczkę. Owszem, czasem, po chwilach wyjątkowych uniesień nie pozwalał jej się odezwać, kładąc palec na ustach, ale przecież chodziło, jak wiemy o zachowanie magicznej atmosfery. Poza tym robił to z taką czułością i taktem, że nie śmiała mu się przeciwstawić i nie czuła się urażona. I w ten oto sposób wspólnie osiągnęli stan nirwany, tak rzadko występujący w przyrodzie.

Texas był pierwszym, który dowiedział się o matrymonialnych planach Jolki i o jej najnowszej zdobyczy. Zawsze mówiła mu o wszystkim, bo był dla niej czymś więcej, niż tylko kochankiem. Był jej powiernikiem, a to jest instytucja niedostępna dla zwykłego kochanka, że o małżonku nie wspomnę. A on umiał słuchać i za każdym razem poświęcał jej zwierzeniom tyle uwagi, ile właśnie potrzeba było, żeby poczuła się dla niego kimś ważnym. A musicie wiedzieć, że nie było łatwo wydestylować z potoku słów wypowiedzianych przez Jolkę tego kluczowego przesłania, tej bolączki, z którą akurat do Texasa przychodziła. Nigdy nie mogła powstrzymać się od dygresji, wytrwać przy dłużącym się wątku, skupić na istocie problemu. Wyglądało to tak, jakby dziewczę za pomocą słów chciało w jednej chwili wyrzucić z siebie strumień świadomości, wszystkie doznane krzywdy, przyjemności, rozkosze i frustracje. Cały ten proces miał wszelkie cechy chaosu i tylko najwytrwalszy słuchacz był w stanie dotrzeć do meritum. Texas był w tym mistrzem. A ona mówiła mu dosłownie o wszystkim, każdą decyzję życiową musiała przedyskutować właśnie z nim. Tak było chociażby z wyborem kierunku studiów. Bo Jolka miała ambicje, nie myślcie sobie! Zapragnęła mianowicie zostać wielką panią redaktor, a najkrótsza droga do celu prowadziła według niej przez wydział dziennikarstwa na warszawskim uniwerku. Texas był co prawda pewien, że redaktorką i to naczelną Jolka mogłaby zostać i bez wyżej wymienionych stu-

diów, ale pochwalił jej wybór, a po cichu współczuł już profesorom, którzy z urzędu musieliby oceniać talenty zawodowe przyszłej pani redaktor. Jak zatem wspomnieliśmy, każdy ważny krok w życiu Joli musiał być zatwierdzony przez Texasa, jej guru. I tak oto opowiedziała mu ze szczegółami o nowej znajomości, która w jej rankingu awansowała z sezonowych na długoterminową. A chłopak w duchu przyznał jej kolejny punkt za życiową zaradność, chociaż ze smutkiem pożegnał się już w myśli ze strumieniem informacji dotyczących kokosowych interesów Sahaka. Szczęśliwy (lub nie-szczęśliwy, zależnie od punktu widzenia) wybranek, Jerzy Gładysiek, bił na głowę swoich konkurentów, głównie za sprawą szanownego papy, który okazał się być niezwykle postępowym i pozbawionym przesądów byłym pezetpeerowskim sekretarzem jakiejś lokalnej POP. Kiedy partia przeniosiła się do krainy wiecznych proletariuszy, stary Gładysiek postanowił, jak wielu jego kamratów, spróbować sił w bankowości i jak się okazało z sukcesem. Ktoś mógłby tu powiedzieć, że mając monopol i zaplecze finansowe tylko ostatni kretyń nie odniósłby sukcesu na wyposzczonym rynku, ale to byłoby przecież zwykłe, zawistne gadanie, jakie nie przystoi ludziom rozumnym na pewnym poziomie. Liczą się tylko zwycięzcy, a kto nie maszeruje, ten ginie. Gładysiek należał do zwycięzców, a przechodząc magiczną transformację zostawił daleko w tyle całą resztę, którą w przyпыłwie szczerości zwykł nazywać bandą zdeorientowanych baranów. Wkroczył w nową epokę z podniesionym czołem, jak na rasowego kapitalistę przystało. Ostatecznie miał powody do dumy. Zamiast rozpamiętywać lata minione, tęsknić do dawnych dobrych czasów, wspominać z rozrzewnieniem czerwone dywany, służbowe wołgi i wczasy na Krymie, wybrał przyszłość. Natomiast swoją przeszłość zamiótł co rychlej pod dywan, bo i po co rozpamiętywać jakieś stare dzieje i szukać wczorajszego dnia? I oto od kilku lat czerpał zasłużone korzyści z tej strategicznej decyzji, jakiej nie bał się podjąć w kluczowym momencie dziejowym. Jego syn, nie do końca wdał się był w tatę, nad czym świeżo upieczony bankier mocno ubolewał. Jurek, pucołowaty dwudziestokilkulatek, jakoś nie miał melodii do biznesu. No nie szło mu po prostu. Za to wykazywał silny pociąg do luksusowych limuzyn w kolorze czarnym, przesiadywania w nocnych klubach oraz do platynowych blondynek, posiadających współczynnik oporu aerodynamicznego, o jakim mogą tylko pomarzyć konstruktorzy koncernów Bayerische Motoren Werke czy Daimler Benz. Bo też, powiedzmy sobie szczerze, kto zajmowałby się biznesem, czy studiami, mając tak mocne zaplecze w postaci tatka bankiera? I właśnie siedząc kiedyś w „Hybrydach”, płasząc w oparach dymu, którego składu nie podjąłby się opisać nawet najwytrawniejszy chemik, młody Gładysiek ujrzał anioła. Na ten widok zaniemówił, otworzył usta i łapał przez chwilę powietrze, przywodząc na myśl rybę gapiącą się na nadzianego na haczyk robalka. I rzecz jasna połknął przynętę,

oraz haczyk razem z żyłką, wędką i kołowrotkiem. Bo trzeba przyznać, że tego wieczora Jolka Kompressor osiągnęła wyżyny kusicielstwa i gdyby ktoś przyznawał za to nagrody, bez wątpienia dostałaby jednogłośnie Oscara pomnożonego przez Palmę Canneńską. No bo sami powiedzcie, czy można było się jej oprzeć? Wyobraźcie sobie MM idącą chodnikiem w „Niagarze” (tak, tak, właśnie to kołysanie mam na myśli), lubieżne spojrzenie Catherine Deneuve w „Piękności Dnia” *Buñuela* i Grażynę Szapołowską, kuszącą porucznika Sławka 07 Borewicza, a potem zsumujcie to wszystko i pomnóżcie przez wysokość obcasów, jakie Jolka założyła tego wieczora (minimum 12 cm), a otrzymacie efekt, który wprowadził w amok całą męską część klienteli „Hybryd”, w tej liczbie wyżej wzmiankowanego Jurka „Niebieski Ptak” Gładyska. Potem poszło już łatwo. Jolka wprawnym okiem oszacowała kotłujący się wokół niej samczy tłum i po mistrzowsku, metodą „z brzęku twoich kluczyków towar markę wyniucha” wyłowiła naszego Jurka, jak bociek żabę z bajora. W czasie krótszym, od trwania piosenki Kaliny Jędrusik „Bo we mnie jest seks” Jolka owinęła sobie biednego Jurka wokół swoich bosko rzeźbionych, alabastrowych nóg (i Bóg jeden wie, czego tam jeszcze), tak, że chłopaczyna przestał dostrzegać cokolwiek poza nią na tym świecie. A Jolka, przeprowadziwszy rozpoznanie bojem (ang. *armed reconnaissance*) szybko doceniła potencjał przyszłego teścia i z morderczą gracją zacisnęła swe malownicze uda na szyi młodego Gładyska, aby się jej broń Boże nie wyrwał. W ten oto sposób, od słowa do słowa, znaleźli się oboje przed ołtarzem, wywołując ferment w całej okolicy. Wszyscy, którzy znali Jolkę na tyle dobrze, by dostąpić zaszczytu bycia zaproszonymi na ceremonię, przypatrywali się z niedowierzaniem panu młodemu rozmyślając przy tym, jakież to potężne żądze przyćmiły mu zdolność rzeczowej oceny sytuacji.

Trzej nieodłączni kumple taksowali wzrokiem rozgrywającą się scenę, wymieniając zdawkowe uwagi.

— To teraz komuchy biorą śluby kościelne? Koniec świata! — Bolo, w prążkowanej marynarce i w jeansach Levi Straussa wyglądał niezwykle szykownie. Dorotka, ta blondyna spod dwudziestki, stojąca przy wejściu do kościoła co i raz odwracała główkę i zerkała na Bola zalotnie.

— Jakie komuchy, jakie komuchy? — Klarował Bergman. — Teraz to najprawdziwsi kapitaliści. Patrz i ucz się! głąbie! Gumowy kręgosłup to dziś największa zaleta! Trzeba umieć dostosować się do nowej rzeczywistości, a nie trzymać kurczowo przegranych pozycji.

— Ciekawe, czy przyjedzie? — Zagadnął Bolo.

— Kto, Texas?! Nie bądź naiwny, młodzieńcze. — Wycodził Bergman. — Love story ci się marzy? To nie film. Nie będzie jej przecież porywał sprzed ołtarza. Nie znasz go? Splunie tylko przez ramię i ruszy przed siebie, jak to on.

— A ja wam mówię, że przyjedzie! — Upierał się Maciek Canalo. — Chociażby po to, żeby zobaczyć konkurencję...

— Co ty tam wiesz, mały... Jaka to dla niego konkurencja?! Texas się wypnie na nich oboje i tyle go zobaczymy. — Bergman, swoim zwyczajem nie wyzywał się sceptycyzmu.

— Co za ciało, co za ciało... — Mruczał Bolo, gapiąc się na majaczący w oddali, przy ołtarzu, opięty białą suknią kuperek panny młodej. — Takie dobro się zmarnuje! Widzieliście tego dupka?

— Masz na myśli pana młodego. — Upewnił się Canalo.

— Tak, właśnie jego mam na myśli! Co za pokraka! Co sobie wyobrażę, jak to coś obłapia naszą Jolkę, to mi się śniadanie wraca...

— Spokojnie. — Uśmiechnął się sardonicznie Bergman. — Jeszcze nie wie, co go czeka. Patrzcie, czy mnie wzrok nie myli?! Co to tam takiego mu nad głową majaczy?

— Toż to... tak jest! Różki, jak malowanie! Jeszcze „tak” nie powiedziała, a ten już ma poroże, niczym rasowy jelonek!

— Dalibyście spokój! Jak wam nie wstyd?! — Obruszyła się pani Gorgoniowa spod siódmego. — Taki piękny ślub, tacy wszyscy aliganczy, a wy zawsze wszystko musicie zepsuć, gałgany.

Reszta dialogu utonęła w nadciągającym bulgocie ośmiu cylindrów w układzie widlastym. Błękitny Camaro zaparkował przy kościelnej bramie. Maciek Canalo popatrzył na Bergmana z wyższością. Chwilę potem Texas podszedł niespiesznie do stojących skromnie z boku kumpli.

— Cóż za piękna ceremonia. — Zagaił.

— Rób coś, człowieku! — Syknął Bolo. — Chyba nie pozwolisz, żeby słowo stało się ciałem! Nie żal ci?

— A żal, żal. — Odparł beznamytnie Texas. — Głównie pana młodego. Widzicie, co mu się pnie nad głową?

— Wszyscy to widzą.

— Wszyscy oprócz niego. Biedaczek...

— A ja myślę, że się mylicie! Mi się wydaje, że ona będzie mu wierna. — Zaczął Canalo, ale już nie dokończył, bo jego wypowiedź zagłuszył szyderczy rechot pozostałych komentatorów, tak głośny, że Gorgoniowa znowu udzieliła im reprimendy, a nawet zagroziła wezwaniem kościelnego.

— Oj, nie mogę, aż mnie brzuch rozboleł. — Bergman na chwilę przestał się śmiać. — Canalo, powiedz coś jeszcze, proszę.

— Niech już lepiej nic nie mówi. Ech, Canalo, żebyś ty o kobietach wiedział tyle, co o komputerach. — Westchnął Texas.

— W ogóle cię to nie rusza, Tex? — Dopytywał się Bolo.

— A co ma mnie ruszać? Ja z nią tylko... powiedzmy... latam czasem... samolotem. Płąsamy sobie w przestworzach. Ot i wszystko!

— Jeśli ty z nią latasz samolotem, to tamten mi wygląda na amatora symulatora lotów. — Westchnął Bergman. — Ten związek to świętokradztwo! Jej potrzeba prawdziwego chłopa! Takiego, co będzie ją trzymał krótko, a ten to jakaś dupa, nie chłop!

— Miłość niejedno ma imię. — Rzucił filozoficznie Texas. — Poza tym, cóż chcecie? Dziewczyna jest obrotna, zdaje sobie sprawę, że ciało to jej jedyny życiowy kapitał, stara się go czym prędzej zainwestować. A talentu do takich inwestycji, jak widać trudno jej odmówić. Więc w czym problem?

— Problem w tej pokrace! Jak takie coś... — Zaczął Bolo, ale Texas nie dał mu dokończyć.

— To jej decyzja, jej droga do szczęścia i jej życie. Nam nic do tego. Chciałbyś może stać się wyrocznią i pokierować jej losem, Bolo?

— Do cholery, Tex, jesteś aż takim zimnym bydlakiem? Przecież ty i ona,... ona i ty... Czy ty nic nie czujesz? Nigdy nie byłeś zakochany?

— Raz. To była zmysłowa, niezmiernie opływowa, diablo szybka Corvette Sting Ray rocznik '65. Złamała mi serce, od tej pory nic już nie było takie samo.

— Barbarzyńca! — Bolo był oburzony, ale widać było, że gra pod publiczkę. Blond Dorotka strzygła uszami nieopodal.

— Stary, popatrz na to z innej perspektywy. To dla niej życiowa szansa. Jaką przyszłość miałaby ze mną, czy w ogóle z którymś z nas? Widzisz ją jako kurę domową obierającą codziennie ziemniaki? Bo ja jakoś nie... Ona jest stworzona do lepszego życia, do czerwonych dywanów, do plaż Lazurowego Wybrzeża, do kasyn w Monte Carlo, do Ferrari z odkrytym dachem. I tamten może jej to zapewnić, więc niech dziewczę wykorzysta swoje pięć minut!

— Jesteś wyrachowany, cyniczny drań! — Bolo nie krył oburzenia.

— A skąd! Jestem po prostu realistą i tyle.

— Texas, cholera, przecież ona jest jedną z nas, jest częścią naszego świata, jak możesz pozwalać, żeby jakaś pierdolona nowobogacka kanalia nam ją odbierała?! — Ostatnie słowa Bolo prawie wykrzyczał.

— Właśnie! Skoro jesteśmy przy kanaliach. Byłbym zapomniiał. Co wiemy o panu młodym i jego szanownym rodzicielu? Bergman, masz coś o nim?

— Trochę... — Bergman ściszył głos. — Mętny świeatek raczkującego kapitalizmu wyrosłego na gruncie „Kapitału” Karola Marksa. Niezłe kontakty, znajomości z rozdającymi karty w nowej rzeczywistości. Ale nie wiem, czy ci się to do czegoś przyda, Tex. Przecież on nie ma nic wspólnego z tamtymi... — Texas spojrział na Bergmana tak, że tamten spuścił wzrok.

— Oni wszyscy mają ze sobą wiele wspólnego, stary, bardzo wiele... mruknął Texas. — To jedna rodzina. Mówiąc precyzyjnie rodzina na obraz

i podobieństwo rodzin nowojorskich, lub chicagowskich, rodem powiedzmy z miasteczka Corleone. Tyle, że lepiej zorganizowana, bo z uwzględnieniem drylu wojskowego. Mógłbyś, z łaski swojej powęszyc trochę koło teścia Joli? Uruchom swoich kolegów krytyków z wyższych sfer, niech rozpuszczą języki, to potrafią najlepiej. No wiesz, jakieś plotki, zwłaszcza te zdementowane... Kogo zna, kto zna jego, i tak dalej, ok?

— Komu ty to mówisz?! W ciągu tygodnia będziesz wiedział, co mówi się o nim w warszawce...

— Przymknijcie japy! Właśnie wychodzą! — Syknął Canalo.

Rzeczywiście, tłum jakby pod wpływem rozbrzmiewającego właśnie hymnu weselnego *Mendelssohna* rozstąpił się i środkiem roztaczając blask namiętności oraz wierności małżeńskiej przemaszerowała młoda para. Chociaż, nie! Właściwie powinienem napisać: przemaszerowała promieniejąca zwycięskim blaskiem panna młoda dzierżąc kurczowo pana młodego i rzucając na boki tryumfalne spojrzenia. Tak to mniej więcej wyglądało.

— Widzieliście?! — Nie wytrzymał Bolo. — Widzieliście?! Puściła do Teksasa oko! Przyznaj się zbereźniku, pewno wczoraj pomagałeś jej przymierzać suknię ślubną? Stuknąłeś ją w wieczór przedślubny?! No gadaj, pogromco cerowanych dziewczyc!

— Nie rozmawiam o tak delikatnych zagadnieniach z gburami, co to nie są w stanie docenić prawdziwego uczucia. — Mruknął bezczelnie uśmiechnięty Teksas.

— Nie wypieraj się Tex! Wszyscy wiedzą, że Liz Taylor i Richard Burton przy was niewinne aniołki. — Podsumował Bergman.

Pod wieczór dotarli do Augustowa. Laweta minęła miasto i skierowała się dalej na północ, w stronę Suwałk, ale po kilku kilometrach wreszcie skręciła z głównej drogi i odbiła w bok. Vadim już wiedział, że zbliżają się do celu.

Kazał Spychowskiemu skrócić dystans, na krętej drodze i tak nie mogli być dostrzeżeni. Punkt na ekranie zatrzymał się nagle. Odczekali chwilę stojąc na poboczu. W linii prostej dzieliło ich jakieś półtora kilometra. Wyglądało na to, że Stratos dotarł do celu. Po pół godzinie również nic się nie zmieniło. Podjechali jeszcze kilkaset metrów, ukryli samochód w lesie i resztę dystansu przeszli pieszo. GPS zaprowadził ich do ogrodzonej posiadłości położonej na skraju lasu. Vadim bał się podchodzić za blisko, spodziewał się systemów zabezpieczeń i uzbrojonych straży. Ogrodzony teren leżał w niecce utworzonej przez otaczające go zalesione pagórki. Postanowili obejść cel od zachodu, gdzie wznieśnienia były wyższe. Wspięli się na najwyższy punkt i położyli na brzuchu. Vadim wyciągnął z plecaka lornetkę i przyłożył ją do oczu.

— To jest to, doktorze! — Odezwał się po chwili. — Właśnie tego szukałem.

Willa za ogrodzeniem nie kłuła w oczy luksusem, ale można było się domyśleć, że to efekt zamierzonego działania. Całość przypominała jakąś południowoamerykańską hacjendę zagubioną w dżungli. Do budynku przylegał garaż, w którym bez problemu zmieściłoby się kilka pojazdów. Na środku, przed pojazdem stała Lancia Stratos, dopiero co sprowadzona z lawety. Dwóch ludzi uwijało się przy Patrolu. Dwóch innych, z bronią długą przechadzało się wzdłuż ogrodzenia. Wewnątrz budynku też można było dostrzec ruch. Vadim nie mógł odnaleźć człowieka, którego szukał, ale nabrał już pewności, że dotarli do właściwego miejsca. To kluczenie, zacieranie tropów, ten budynek ukryty w leśnej głuszy, to wszystko bardzo pasowało do człowieka, którego tak długo szukał. Teraz pozostała do zrealizowania końcowa faza planu.

— Wiem już wszystko, co musiałem wiedzieć. Wracamy do wozu, doktorze.

Wycofali się do głównej drogi. Vadim pokierował Spychowskiego z powrotem przez Augustów i dalej za miasto.

To było jak przyływy i odpływy. Czasem jego wewnętrzny ogień przygasł, wydawało się, że całkiem już się wypalił, że strawił wszystko, co spotkał na swojej drodze, zostawiając tylko zgliszcza. Texas stawał się wtedy pustą, wyzutą z pasji skorupą płynącą z prądem życia. Codzienne czynności powtarzane mechanicznie usypiały wszelką aktywność. Po co i o co walczyć, czy nie lepiej skupić się na pogoni za plastikowym szczęściem kuszącym blaskiem za każdym zakrętem? Czy nie łatwiej i bezpieczniej po prostu zapomnieć? Zakop to wreszcie w najciemniejszym kącie podświadomości i żyj, baw się, wybierz przyszłość, zdawał się szeptać otaczający go, roztopiający się w entropii tłum. Czego szukasz? Jesteś pewien, że chcesz to znaleźć? I tak niczego nie zmienisz, będziesz tylko Syzyfem ustępującym ciągle przed osuwającym się głazem. Gonisz za mirażem, duchem, złudzeniem. Czego chcesz, śmiertelniku: sprawiedliwości, zemsty, prawdy? Po co ci prawda? I jaka prawda? Twoja? A w czym twoja prawda, śmiertelniku, jest lepsza od innej? A może wydaje ci się, że jest tylko jedna prawda? Naprawdę tak sądzisz? O naiwny! A może szukasz sprawiedliwości, co? Chciałbyś może, żeby zbrodniarze odpowiedzieli za swoje czyny i zostali uczciwie ukarani? Widzisz, śmiertelniku — zdawały się mówić wesoło uśmiechnięte szklane ekrany — sprawiedliwość to piękna rzecz, ale funkcjonuje tylko do pewnego poziomu. Jeśli ty dopuścisz się zbrodni, bądź pewien, że sprawiedliwość dopadnie cię, jak jastrząb mysz. Zostaniesz osądzony i skazany, a resztę swoich dni spędzisz bardzo samotnie. Ale skąd śmieszny pomysł, żeby wymierzać sprawiedliwość tym, którzy sami decydują, co jest sprawiedliwe, a co nie? Co tam mruczysz pod nosem? Że sprawiedliwość jest jednakowa dla wszystkich? Że każdy podlega tym samym prawom i musi się poddać obiektywnemu osądowi? Jeśli rzeczywiście tak

myślisz, tym gorzej to świadczy o twojej percepcji rzeczywistości. A może szukasz zwykłej, prymitywnej zemsty? Czy chcesz po prostu krwi i samosądu? Tak? Takie są twoje prawdziwe motywy? A więc jest to zwykła podłość, śmiertelniku! A ty jesteś tylko żalosnym, spragnionym jatki zwierzęcym anarchistą! Tak, zwierzęcym! Zemsta to barbarzyństwo! Czy nie rozumiesz, co się wokół ciebie dzieje? Dlaczego stoisz z boku i nie chcesz przyłączyć się do budowania nowej rzeczywistości? Chyba zdajesz sobie sprawę, że wielkie przemiany wymagają czasem ofiar? Ale trzeba nad tym przejść do porządku, bo taka jest specyfika tego punktu geograficznego, w którym przyszło ci żyć. W tym punkcie zawsze muszą być ofiary. Prześń z tym wojować, bo nic i tak na to nie poradzisz. Więc rozchmurz się, każda noc w końcu minie i świt rozjaśni mroki. A potem nadejdzie czas kompromisu. O tak, kompromis to wspaniały wynalazek! Kompromis i pojednanie w imię nowego, lepszego świata. Więc musisz zapomnieć i wybaczyć. Przełknij krzywdę, ból i zniewagę, a swoim wrogom okaż miłosierdzie. Bądź rozumnym człowiekiem na pewnym poziomie. Popraw się i doszlusuj do ludzi wykształconych i kulturalnych. Dorównaj do tych, którzy potrafili wznieść się ponad podziały, ponad różnice. Dobrze już, dobrze, nie chodzi o to, żeby różnice znikły zupełnie, ale o to, żeby różnić się pięknie! Przecież to taka niska cena za raj, który teraz wszyscy mamy! Więc przestań sypać piach w tryby nowej maszyny i przyłącz się do nas! Natychmiast!

I jak tu zareagować na takie *dictum*? Stać twardo i dawać odpór? Można, oczywiście, że można, ale jak uczy doświadczenie, każde drzewo, choćby nie wiadomo jak silne, w końcu doczeka się na taki podmuch wiatru, który je przewróci. Więc może się ugiąć? Może dać się temu wichrowi szcesać i nieco przygiąć do ziemi? W końcu to nic nie będzie bolało. Mało tego, taki płąs elastycznego karku pozwoli się przystosować do nowej rzeczywistości, a kto wie, może nawet w przyszłości czerpać z niej korzyści. Postawa zasadniczo rozsądna i komfortowa. Cóż z tego, skoro nie dla wszystkich dostępna. Weźmy takiego Texasa, na przykład. Konstrukcji jego kośćca za nic nie dawało się nazwać elastyczną. Taka wada postawy, można by rzec. O żadnym zginaniu i szcesywaniu i mowy być nie mogło. Czyżbyśmy zatem mieli do czynienia z impasem? Nic bardziej mylnego! Otóż możliwa była jeszcze trzecia droga, a mianowicie wykorzystanie owego wichru (niech będzie, że wichru historii) w sposób, jaki wykształciły niektóre ptaki oraz konstruktorzy wyczynowych szybowców. Trzeba mianowicie odnaleźć w tej zawiei prądy wznoszące, kominy i utrzymywać się w ich głównym nurcie. Dać się wynieść wysoko, a potem z odpowiedniego pułapu ocenić sytuację i jak jastrzęb zanurkować do celu. A zatem sztywne skrzydła i kark, a resztę można pozostawić aerodynamicznie.

I tak dryfował w obojętnym powietrzu codziennych spraw, pamiętając wciąż o nabieraniu wysokości. Trwało to miesiąc, dwa, pół roku, rok... A potem coś się wydarzało. Nieoczekiwanie zauważył z góry trop, który zdawał się zniknąć bezpowrotnie. Wtedy pasja powracała. Stawał się chłodną, opanowaną maszyną realizującą swój precyzyjny program. Zmierzał do celu z morderczą konsekwencją, chociaż nigdy nie szedł prostą drogą. Unikał bezpośredniego kontaktu, zawsze poruszał się po spirali z każdym okrążeniem zbliżając się do sedna. Ten cykl powtarzał się mniej lub bardziej regularnie i za każdym razem dostarczał mu nowych danych.

Świadomość, że polowanie wciąż trwa, utrzymywała go w stanie permanentnego czuwania. Rutyna dnia codziennego nigdy nie wypełniła go do końca. Zawsze zostawał margines, który przeznaczal na planowanie dalszych ruchów. Bywały lata, kiedy nie posunął się do przodu nawet o krok, ale nie uważał tego czasu za stracony. Wręcz przeciwnie, wiedział, że czekanie w bezruchu zawsze w końcu przyniesie efekt. To był specjalny rodzaj cierpliwości, charakterystyczny dla myśliwych najwyższej próby. Rzadka sztuka, której nauczył go dawno temu jego mentor. To było wiele lat wcześniej. Nazwanie ich relacji przyjaźnią byłoby nadużyciem. Tamten zachowywał za duży dystans, był zbyt chłodny i opanowany, żeby tracić czas na takie głupstwa, jak przyjaźń. Poza tym jego doświadczenie i pozycja na terenie, który razem dzielili była na tyle mocna, że w pełni usprawiedliwiała wyższość, z jaką traktował Texasa. W zasadzie można powiedzieć, że go tolerował, to wszystko. Texas wyczuł doskonale, gdzie jest jego miejsce i nigdy nie wchodził tamtemu w paradę. Kiedyś podkradł się za nim myśląc, że pozostanie niezauważony i obserwował go przy robocie. Patrzył zafascynowany na zimny profesjonalizm myśliwego. To nie było zwykłe polowanie, lecz wyrafinowana partia szachów.

Kamienica przy Wroniej miała wielu mieszkańców, przychodzili i odchodzili, jedli, spali, kochali się, rodzili i umierali. Lokatorzy. Stanowili szare tło dla jedyne go, prawowitego władcy budynku i okolicy. To on udzielał im łaskawie gościny, a jeśli ktoś tego nie docenił, jeśli złamał obowiązujące reguły, spotykał się z gwałtowną reakcją. Nikt nie odważył mu się sprzeciwić, nawet pan Gienek Świtaj, gospodarz domu, schodził mu z drogi. Imperator zwykł przechadzać się po swoich włościach i biada temu, kto nie otworzyłby przed nim drzwi, kiedy tego zażądał. Czasem siadał na podwórzu i leniwie, nieledwie z pogardą przyglądał się swoim poddanym. Niektórzy szepotali po kątach, że miał w sobie coś z oficera jakiejś dawno zapomnianej armii. Istotnie, uważny obserwator dostrzegłby w jego chodzie podobieństwo do sposobu poruszania się najemników Boba Denarda w dżunglach Konga. I jeszcze ten wzrok, te przymrużone oczy zdające się mówić: „ech, wy cholerni cywile...”

Był kotem. Wielkim, czarnym, zjawiskowym kotem. Kiedy się poruszał wydawało się, że płynie, każdy ruch był precyzyjnie odmierzony i wykonany

z zabójczą elegancją. Gdybyście go zobaczyli, powiedzielibyście, że w poprzednim wcieleniu miał ciało tygrysa. Była w nim jakaś dostojność władcy. Wzbudzał respekt, bez dwóch zdań. Nie wiadomo było, jak się naprawdę nazywał. Nawet obcy nie odważali się jednak zawołać do niego „Mruczek”, czy jakoś równie idiotycznie. To byłoby poniżej jego godności. Roman Stachoń, stryj Texasa, powiedział o nim kiedyś, że przechadza się po podwórzu jak cesarz i od tej pory wszyscy tak się do niego zwracali, co kwitował wyniosłą obojętnością. Piwnice budynku to był rewir, który odwiedzało się tylko w ostateczności. Składowisko rdzewiejących rowerów, starych szmat, zapomnianych narzędzi było królestwem myszy i szczurów. Od lat było to największe pole bitwy w okolicy. Ściągały tu koty ze wszystkich sąsiednich ulic. Piwnica stanowiła wyjątkowo atrakcyjny teren łowiecki. Ale żeby móc polować trzeba było mieć zgodę Cesarza. A z tym było różnie. Texas próbował rozgryźć zasadę, według której władca przydzielał przybyszom koncesje na polowanie, ale nie mógł zgłębić tego skomplikowanego procesu. Ot, proszę, taki chudy rudzielec z warsztatu na Chłodnej miał w zasadzie nieograniczony dostęp. Kiedy mijał Cesarza schodząc w dół do piwnicy, władca patrzył na niego bez emocji, jakby mówił: na mojej prerii jest dość bizonów dla nas obu. Jeśli potrzebujesz mięsa, możesz zabić ich tyle, ile ci potrzeba. W zamian za to, ja będę mógł polować od czasu do czasu na twoim terenie. A znowu ten pręgowany z Ogrodowej miał absolutny szlaban. Wiele razy robił podchody, aż w końcu Cesarz uciekł się do środków przymusu bezpośredniego, pozbawiając intruza większej części lewego ucha, co ostatecznie zniechęciło go do dalszych prób. Nie chodziło o całkowite odizolowanie piwnicy od przybyszów z zewnątrz. To był raczej rodzaj gry, polityki, która miała na celu stworzenie sojuszy na wypadek jakiegoś większego konfliktu. Tak to przynajmniej wyglądało...

Czasem Cesarz znikał na całe dni i wtedy obcy wykorzystywali okazję. Zakradali się do piwnicy i buszowali, dopóki pan Gienek ich nie przepędził swoją miotłą. Tymczasem prawdziwy władca bawił poza swoim terytorium. Nikt nie wiedział, gdzie właściwie wtedy przebywał. Czy chodziło o kolonizację nowych rewirów, czy może o kobietę, pozostawało to tajemnicą Cesarza, który swoje podboje traktował bardzo osobiście i nikomu nie pozwalał się wtrącać. Ale potem zawsze wracał i robił obchód włości, sprawdzając, czy pod jego nieobecność ktoś nie wszedł w szkodę.

To pierwsze polowanie, którego był świadkiem, Texas zapamiętał bardzo dobrze. Cesarz wiedział, że szczur jest gdzieś w pobliżu. Wiedział też, że zwierzyna jest wyjątkowo ostrożna. I niebezpieczna. Żaden kot nie ryzykował ot tak starcia ze szczurem. Nie dało się po prostu zaskoczyć go z marszu, to nie wchodziło w rachubę. Potrzebna była taktyka. Najlepszy był jak zwykle bardzo prosty plan. A zatem najpierw dywersja gdzieś w odległym kącie, aby

nagonić zwierzynę w rejon właściwej operacji. Potem cicho jak duch prze-
mieścić się na pozycję. Teraz pozostało już tylko czekanie. Cesarz zamierał na
całe kwadransy. Texas ze swojej kryjówki widział go jak siedział w smudze
bladego światła padającego z małego świetlika. Drobin kurzu osiadały mu
na wąsach, a on trwał w bezruchu z oczami utkwionymi w jeden punkt.
Wyglądał jak pogrążony w medytacji, jakby nieobecny i wycofany, ale chłopa-
k wiedział, że w rzeczywistości jest napięty jak sprężyna i gotowy do skoku.
Precyzyjny mechanizm do zadawania śmierci. Teraz Texas nie mógł się już
wyczołgać. Gdyby to zrobił, gdyby swoim niezgrabnym ciałem wywołał fał-
szywe dźwięki, zepsułby wszystko. Cały wysiłek poszedłby na marne. Wiedział,
że Cesarz nigdy by mu tego nie darował. To, że teraz tolerował jego obecność
było wyrazem największego zaufania, jakim zawodowiec może obdarzyć nie-
dorosłego amatora. Więc tkwił w bezruchu, wstrzymując oddech. Wydawało
mu się, że czekaniu nie będzie końca. Zwątpienie co i raz pukało do jego
duszy. Przecież tu poza nimi dwoma nie ma nic żywego. O proszę jaka cisza.
Ani jednego dźwięku z wnętrza piwnicy, tylko przytłumione odgłosy z po-
dwórza. Ktoś wraca na skrzypiącym rowerze z miasta. Pewnie pani Maria spod
czternastego, zawsze o tej porze robi zakupy. Ale tu nic się nie dzieje. Tym
razem myśliwy musiał się pomylić. Cały plan na nic! Po co ten wysiłek?
Wracajmy na górę. Czy nie lepiej spróbować jutro?

Kot jakby odczytał jego myśli i haniebny brak wiary, bo nagle odwrócił
nieznacznie głowę i obrzucił Texasa pogardliwym spojrzeniem. Gdyby od po-
lowania zależało twoje istnienie, człowieku, zdechłbyś z głodu, zdawały się
mówić przymrużone ślepia. Polowanie to przede wszystkim cierpliwość. Jeśli
masz odpowiednie narzędzia, jeśli jesteś na bogatym w zwierzynę terenie
i masz dobry plan, to do pełnego sukcesu potrzebujesz jeszcze cierpliwości.
Popatrz na mnie. Widzisz te pazury i kły, widzisz moje oczy i uszy, widzisz mię-
śnie drgające pod futrem? Wszystko to razem tworzy najdoskonalsze narzę-
dzie do zdobywania świeżego mięsa. Teren, jak wiesz, jest wyjątkowo bogaty.
Plan jaki wybrałem jest prosty ale skuteczny. Wypłoszyłem go z tamtego kąta,
więc gdzie niby miałby pójść? To jedyna droga i on nią w końcu pójdzie.
A zatem wszystko, co nam pozostało, to czekać. I nie tracić wiary! Chyba nie
wątpisz, że on tu jest? Nie możemy sobie pozwolić na zwątpienie. Nie teraz,
kiedy sprawy zaszły tak daleko. Rozumiesz, człowieku? Więc weź się w garść
i przestań się wiercić!

Po takiej reprymendzie Texas nie odważył się już pomyśleć o odwrocie.
Zrozumiał, że bierze udział w rytuale, którego doniosłości ledwo się domyśla.
Ale przecież mięśnie już tak bardzo boją. Siedzi poskładany jak szczyryk, a tu
ani palcem ruszyć. Żeby tak chociaż wyprostować na chwilę plecy... tylko
trochę... Nagle oczy przywykłe już do ciemności wychwyciły ruch! A może
tylko mu się zdawało? Myśliwy siedzi nadal nieporuszony, a przecież jest

bliżej. Może to złudzenie? Nie, to nie złudzenie, znowu się poruszyło! A więc jednak! Teraz całkiem wstrzymał oddech, tylko na łomot serca nie mógł nic poradzić. Wydawało mu się, że ten odgłos wypełnia całe pomieszczenie.

Wielki, tłusty szczur wysunął pysk spod starego kartonu po telewizorze „Rubin”. Najpierw przez kilka sekund lustrował okolicę, potem podjął decyzję i wypelził na środek podłogi. Cesarz wciąż czekał. Jeszcze nie, jeszcze chwila... Jeszcze kilka centymetrów. Wiedział, że ma tylko jedną szansę. Jeśli źle obliczy skok, tamten zniknie w czeluściach labiryntu starego żelastwa. Teraz kot wydawał się Texasowi snajperem przyczojonym i czekającym na okazję do tego jednego, jedyne go strzału prosto w skroń. Cekał... wciąż cekał... Cel ruszył powoli, ciągle wypełniony dziedziczną genetycznie nieufnością. Sunął niemrawo przed siebie, nie widząc, ani nie czując zagrożenia. Jego nos poruszał się nerwowo, węsząc dookoła. Jeszcze kilka centymetrów i będzie w zasięgu... Już? No dalej, atakuj, za chwilę będzie za późno! Texas o mało nie krzyknął na całe gardło: Atakuj!! Ale Cesarz wciąż zwlekał. Jego zmysły odbierały bez porównania więcej sygnałów niż oczy Texasa, a komputer pokładowy przeliczał dane i wyświetlał w głowie ciągle ten sam komunikat: cel poza zasięgiem. A potem, właściwie nie wiadomo kiedy, w ułamku sekundy już nie było go na swojej pozycji. Już był nie tu, tylko tam! Wystrzelił do przodu jak pocisk i zanim ludzkie oko zarejestrowało ruch, jego kły wbijały się w gardło ofiary. Szczur umarł z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia w oczach. Jak to możliwe, żeby w cichym, ciemnym bezpiecznym pomieszczeniu śmierć zaskoczyła go tak zupełnie nikąd? Nigdy już nie odpowiedział sobie na to pytanie, życie spłynęło z niego po długich, białych kłach i rozlewało się po podłodze lepką plamą. Texas patrzył zafascynowany, jak kot po kilku sekundach wypuszcza z okrwawionego pyska martwą ofiarę. Jego spojrzenie znów prześlizgnęło się po twarzy człowieka. Widzisz, mówiłem ci, cywilu: cierpliwość... cierpliwość jest skuteczniejsza od gilotyny.

Spotkali się całkiem przypadkowo. Jesienią Texas wpadł na chwilę na Wronią. Sprawa mieszkania wciąż pozostawała nieuregulowana. Testament, jaki pozostawiła ciotka mówił, że prawo własności przechodzi na Texasa, ale chłopak wciąż bał się iść do sądu i dociekać swoich praw. Mimo, że upłynęło tyle czasu, zmieniły się realia, policja polityczna przeszła do historii, on wolał się jeszcze nie ujawniać przed urzędami państwowymi. W każdym razie na tyle, na ile było to możliwe w jego sytuacji. Mieszkaniem opiekował się teraz Bolo i jak na tryb życia, jaki prowadził, utrzymywał je we względnie znośnym stanie.

Texas zobaczył Jolkę, kiedy wchodziła przez bramę do kamienicy, sfrunął po schodach szybciej od błyskawicy. Stanęli naprzeciwko siebie. Wiedział, że była już wtedy zaawansowaną adeptką dziennikarstwa, nie wątpił, że jej

gwiazda rozbłyśnie niebawem na nieboskłonie rodzimego rynku prasowego, a kto wie, może i samej jej wysokości królowej telewizji. Że co? Czy słyszę jakieś pomruki niedowierzania i powątpiewania wśród Szanownych Czytelników? Moi drodzy, więcej wiary! Skoro Muniak Staszczuk jest przez niektórych uważany za wybitnego rockmana, to Jolka Kompressor, i owszem, może jak najbardziej zostać dziennikarskim objawieniem. Jeszcze się zdziwicie, komu będzie zadawała podchwytliwe pytania. Texas w każdym razie nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Od ich ostatniego spotkania upłynęło już trochę czasu, nie wiedział, jak go potraktuje.

— Witaj... Czym zasłużyliśmy na ten zaszczyt? — Zaczął chłodno.

Rzuciła mu się na szyję. Była jakaś inna. Coś się w niej zmieniło. W jej uścisku, w dotyku tak dobrze mu znanego ciała Texas wyczuł coś, czego nie było nigdy przedtem. Desperacja, ból i strach. Odsunął ją na chwilę na wyciągnięcie ramion i spojrzął w twarz. Oczywiście, te niesamowite błękitne otchłanie były zmażone niepokojem.

— O co chodzi, mała? Coś nie tak?

— Och, Tex... Wpadniesz do mnie?

Czy mógłby jej odmówić? Weszli na górę. Jola przyjechała do matki, ale nie zastała jej w domu, widocznie zagadała się u jakiejś sąsiadki. A zatem znów znaleźli się sami w jej pokoju. Jak za dawnych czasów. Chciał ją wypytać, co się stało, ale nie pozwoliła mu.

— Później, Tex, później! Teraz chcę cię poczuć... Nie zostawiaj mnie... Chodź tu! — Szeptała spragnionym głosem.

O ile poprzednio ich obcowanie przypominało lot odrzutowym myśliwcem z włączonym dopalaczem, o tyle teraz zaczęło się to raczej sentymentalną podróżą dwupłatowcem nad jakąś karaibską plażą, pławiącą się w promieniach wieczornego... Albo nie, wróć! Żadna tam plaża! Monumet Valley! Tak jest! Właśnie tak! Czerwone skały, strzelające w niebo na pograniczu Utah i Arizony, oglądane z otwartej kabiny samolotu akrobacyjnego byłyby lepszym porównaniem. Bo z początku może i była w tym nutka sentymentalizmu, ale raptem w Jolce znów obudziła się bestia, która usnęła tylko na chwilę, znużona małżeńską rutyną. Być może to Texas był katalizatorem, który wywoływał w dziewczęciu namiętność stymulującą efekt podobny do wstrzyknięcia podtlenu azotu do silnika spalinowego. W każdym razie wyżej wzmiankowany dwupłatowiec, którym obecnie lecieli, okazał się równie sprawny w manewrach poziomych, jak i w pionowej świecy wzdłuż stromego klifu... Kiedy wreszcie wylądowali, i zalegli w pościeli, Texas nie uciszał jej. Wręcz przeciwnie stanowczo domagał się zwierzeń. Dopiero teraz zauważył siniaki na ramieniu i nodze.

— Bił cię?

Nie odpowiedziała. Spuściła tylko oczy, po policzkach potoczyły się łzy. Jeszcze nigdy nie widział jej tak bezradnej.

— To nic, Tex... uderzyłam się... To nic...

— Ech, kobiety, kobiety... Dlaczego ze wszystkich możliwych opcji wybieracie najgorszą? Długo masz zamiar go znosić?

— A co mam według ciebie zrobić?! — Eksplodowała z furją. — Iść na policję? Nie wiedziałam, że tak będzie... Na początku inaczej to wyglądało... Czepia się o wszystko, nigdzie sama nie mogę pójść, ciągle mnie o coś podejrzewa... Sprawdza, z kim się spotykam...

— A czego się spodziewałaś?! Że będzie ze stoickim spokojem akceptował twoje wysoki? Nie oszukujmy się, nie jesteś aniołem... — Spokojnie klarował Texas. Jolka się wściekła jak nigdy.

— Proszę, proszę, kazania będzie mi tu prawić! A co ja jestem, zakonnica jakaś?! — Wrzasnęła.

— No z zakonnica to faktycznie ciężko cię pomylić. Chociaż pewnie niejedną ksiądz chciałby mieć taką w swojej parafii.

— Ty..! — Zabrakło jej słów, więc rzuciła poduszką, chybiając jego głowę o milimetry, za to strącając doniczkę z nasturcją. Texas widział, że przeholował. Była załamana.

— Dlaczego taki jesteś? — Znów była bezradną dziewczynką — Wielki pan Texas — chlupała — zawsze chłodny i z dystansem. Nawet jak się kochamy, to jesteś jakby gdzieś daleko. Nigdy się nie angażujesz, potem tylko milczysz i nie wiem, czy jesteś jeszcze ze mną, czy w myślach już pędzisz tym swoim cholernym samochodem po autostradzie. Tylko o niego dbasz, mnie zawsze traktowałeś, jak... jak... lalkę! Tak ja to bynajmniej czuję... (tu Texas zgrzytnął zębami, ale twarz miał pokerową). A, do diabła z tobą! — I rozplakała się szlochając głośno.

Siedziała zawinięta w kołdrę, uroczo potargana i bardzo nieszczęśliwa. Texas nie skomentował jej wybuchu, zamiast tego objął ją i przytulił. Od razu wyczuł, że tego właśnie potrzebowała teraz najbardziej. Przyłgnęła do niego i lkała cichutko.

— Tex, przecież, gdybyś wtedy powiedział choć słowo, żebym go zostawiła, żebym była tylko z tobą, to ja poszłabym za tobą... wszędzie... Ale nie, ty ciągle uciekasz, ciągle za czymś gonisz, ciągle stoisz z boku. Dlaczego tak jest, Tex, dlaczego?!

— Cicho mała, cicho. Dokonałaś wyboru, to wszystko.

— I co ja mam teraz zrobić? Nie chcę tu wrócić i żyć w tych slumsach. Zawsze chciałam się stąd wyrwać, zobaczyć świat, być między ludźmi, bawić się.

— No więc masz to wszystko, o co ci chodzi?! Że on nie jest księciem z bajki? Że nie traktuje cię jak księżniczki? A, to już jest cena, jaką musisz zapłacić za ten kolorowy świat, w który cię wprowadził. Coś za coś!

— Jak możesz tak mówić?! Traktujesz mnie, jak... dziwkę!

Chciał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Pomyślał tylko, że one nigdy nie posiadają umiejętności nazywania rzeczy po imieniu, zwłaszcza, gdy chodzi właśnie o nie. Nie skomentował. Zamiast tego ujął jej głowę w dłonie i pocałował w czoło. Cała złość nagle z niej uleciała, pozostał tylko ten jej nieznośny smutek.

— Wiesz, ostatnio byliśmy u znajomych. — Znienacka zaczęła opowiadać Jolka. — To takie miłe małżeństwo. Znaczący na początku byli mili, a potem... On jest kolegą ojca Jerzego, pracuje w ministerstwie, tym tajnym, no... zapomniałam, w każdym razie to bardzo ważna figura, nawet ma spinki do koszuli z takimi fikuśnymi dwiema literkami.

— Z monogramem. — Podpowiedział mimochodem Texas.

— Nie, to po prostu od jego imienia i nazwiska, głuptasku.

— No tak... — Westchnął zrezygnowany. — I co z tą szychą?

— No i najpierw było bardzo miło, siedzieliśmy w salonie, mówię ci, jeszcze nigdy nie widziałam takiego puszystego dywanu... Aż się chciało rzucić ciuszką i w nim pobaraszkować. Oni rozmawiali o jakichś ministerialnych sprawach, w ogóle się na tym nie znam. A jego żona, to tak na mnie patrzyła, jakby mnie chciała wzrokiem spalić. Żmija jedna! A ja tylko tak przypadkiem usiadłam na kolanach temu panu. No wiesz, dla żartu, bo taki był poważny. A ta jęzda... wylała na mnie herbatę! Niby przypadkiem, ale widziałam, że specjalnie. I Jerzy potem, w domu na mnie nawrzeszczał. Co za gbur! Nie wiem, o co ta cała afera. — Paplała.

Texas słuchał piąte przez dziesiąte. Nagle zamarł.

— Coś ty powiedziała?!

— Co, coś nie tak? No że to żmija była! Mówię ci, taka złośliwa małpa...

— Nie to! To przedtem! Gdzie on pracuje?!

— No... w ministerstwie...

— Jakim?! Mów!

— Nie krzycz na mnie! W ministerstwie.. wewnętrznym, czy jakoś tak.

Texas wziął ją w ramiona i popatrzył głęboko w oczy. Trochę się wystraszyła, że będzie krzyczał, ale nie, mówił spokojnie i w ogóle był bardzo miłusi.

— Posłuchaj mnie uważnie, kotku. Chcę, żebyś wybrała się z Jerzym jeszcze raz do tych miłych państw.

— Ale...

— Nie przerywaj. Pójdiesz tam i będziesz bardzo słodka. I skromna. Nie usiądziesz gospodarzowi na kolanach i nie będziesz mu pokazywała dekoltu.

- Jak możesz! Ja nigdy...
- Cisza jest, teraz ja mówię! Będziesz milutko szczebiotała z panią gospodynią...
- Z tą żmiją?!
- Tak, właśnie z nią! Ale przez cały czas będziesz słuchała, o czym mówią panowie. O jakich ważnych sprawach rozprawiają, jakie nazwy i nazwiska wymieniają. Zorientujesz się też, czy gospodarz przynosi z pracy jakieś dokumenty i gdzie je trzyma. Jasne?
- Ale po co?
- Bo ja cię o to proszę, kruszynko. Teraz bardzo ważna rzecz. Tu masz nazwisko pewnego człowieka. — Napisał coś na kartce papieru i podał jej. — Jak już ten miły pan straci dla ciebie głowę, zapytasz go, czy mógłby ci go znaleźć. Powiesz, że to... powiedzmy kolega twoich znajomych. Zresztą wymyśl coś, jesteś w tym mistrzynią. — Podpuszczał ją. — Bądź grzeczna i zrób to, dobrze?
- A nie będziesz więcej na mnie krzyczał?
- Nie będę, obiecuję.

Rashid Sahak porzucony nagle przez blondwłosego anioła długo nie mógł dojść do siebie. Rozpacz z powodu rozstania i wściekłość na niestałą w uczuciach niewiastę targały jego chłodnym i twardym dotąd sercem. Na zewnątrz zimna, kamienna twarz, a wewnątrz duszy gorący żal i smutek. Taka różnica temperatur wywołuje niechybnie potężne naprężenia i nawet najtwardsze materiały doprowadza do uszkodzeń strukturalnych. Pracownicy firmy Sahaka, KLM Foreign Trade and Investment Company mówili potem, że nic nie zapowiadało kryzysu. Interesy szły świetnie, a szef cieszył się doskonałym zdrowiem. Oto jak zdradliwe bywają pozory!

Ciało Sahaka znalazł pracownik ochrony wieżowca Intraco przy ulicy Stawki w Warszawie, gdzie mieściła się siedziba firmy biznesmena. Biedak leżał z roztrzaskaną głową na asfaltowym podjeździe, a wokół jego nienaturalnie wygiętej sylwetki rozlewała się powoli ciemna, lepka plama.

Przez długie tygodnie dociekano potem, co mogło być przyczyną tak desperackiego czynu. Nikomu nie przyszło do głowy zapytać o to osoby, która w jakimś sensie była bezpośrednią sprawczynią tego samobójczego kroku. Cóż, może po prostu nikt nie skojarzył zniknięcia owej osoby z życia nieszczęśnika z jego rozpaczliwą decyzją. Co było tylko dowodem na to, że sprawy osobiste wpływowych biznesmenów odwiedzających nasz kraj pozostają tematem tabu i organa ścigania nie ośmielają się ingerować w tak intymną

sferę życia. I słusznie, do czego by to doszło, gdyby wywlekać na światło dzienne tak drażliwe szczegóły! Bogu dzięki, jeszcze są pewne zasady!

Tak więc przyczyny samobójczej śmierci Rashida Sahaka pozostały dla świata doczesnego wieczną tajemnicą. Gdy na lotnisku Okęcie trumna z jego ciałem wjeżdżała po pochylni do luku ładunkowego transportowego Boeinga dwóch elegancko ubranych dżentelmenów obserwujących dyskretnie z bezpiecznej odległości załadunek, wymieniało między sobą zdawkowe uwagi. Byli zgodni co do jednego: gdyby oficjalne protesty ich rządu przeciwko wspieraniu terroryzmu odniosły skutek, nie poznaliby tego fascynującego kraju tak dogłębnie. Dziś, bogatsi o nowe doświadczenia, wracali do domu, gdzie stęsknieni szefowie oczekiwali niecierpliwie wyczerpujących raportów. To była ważna sprawa, ostatecznie chodziło o kraj aspirujący do członkostwa w sojuszu północnoatlantyckim. Ale raporty dopiero za parę godzin. Teraz można jeszcze odprężyć się po długim okresie napięcia. Oddychali więc głęboko, chłonąc rześkie powietrze z lekką domieszką zapachu nafty lotniczej. Mieli powody do dumy. Poczucie dobrze wykonanego zadania było w pełni uzasadnione. Prawidłowo przeprowadzone samobójstwo to w ich branży najwyższy stopień wtajemniczenia.

Rozdział VIII

— Och, Tex... Zostaw, już nie mam siły. Tak dawno tego nie robiliśmy. Ale się stęskniłam.

— Czy byłaś grzeczną dziewczynką?

— No, wiesz... zależy jak na to spojrzeć. Au!, nie gryź mnie, będę miała ślad! Jeszcze Jerzy zobaczy!

— Wybrałaś się do tych znajomych?

— Tylko to cię interesuje?

— No, nie dąsaj się, Joluś!

— O tak! Masuj mnie tak... mmm... niżej... tak dobrze...mocniej...

— Czy dowiedziałaś się tego, o co cię prosiłem?

— No... nie do końca. Straszne zamieszanie wywołałam, mówię ci! Marcin poruszył niebo i ziemię, żeby go znaleźć.

— Co za Marcin?!

— No przecież ten pan z ministerstwa, głuptasku!

— Jasne, teraz jesteście po imieniu.

— No więc dzwonił do różnych znajomych, a oni znowuż do swoich znajomych, a tamci jeszcze dalej i nic. Ale za to znaleźli kontakt do innego pana. To podobno stary znajomy z pracy tego pierwszego, tego, co to mi jego nazwisko zapisałeś. O tu masz jego adres.

— Jesteś moją małą Matą Hari, słońce!

— Kim?

- Mniejsza z tym. Teraz połów się na plecach...
- Mmm...

Jakie macie skojarzenia widząc szyld: „Agencja Detektywistyczna”? Nie, nie chodzi mi tym razem o przybytek pokazywany tak często na srebrnym ekranie. Żadne tam wymuskane biuro w zachodnim Los Angeles, gdzie Jack Nicholson przyjmuje wyuzdane blondynki, chcące sprawdzić wierność swoich mężów, ani tonąca w papierosowym dymie ponura klitka w Harlemie z napisem na szklanych drzwiach: „John Shaft, Prywatny Detektyw”. Pytam co myślicie, widząc taką instytucję w kamienicy na Kruczej w Warszawie albo na Starówce, na przykład w Olsztynie? Czym też mogą zajmować się prywatni detektywi w tych malowniczych miejscach? I jaki mają *image*? Czy snują się ciemnymi zaułkami w długich prochowcach z podniesionymi kołnierzami? Czy strzelają bystrzymi spojrzeniami spod przeciwsłonecznych okularów, czy poły ich marynarek skrywają krótkolufe Smith & Wessony kaliber 0,38? A może potrafią jedną celną ripostą wprawić w osłupienie emerytowanego portiera z Hiltona? Wszak cięty język zawsze był znakiem rozpoznawczym każdego szanującego się prywatnego gliny. Jest to atrybut równie ważny, co dobrze naoliwiona broń, czy lekko zdezelowany samochód. Cholewa Ryszard, były porucznik IV Departamentu MSW formalnie był prywatnym detektywem. Świadczyła o tym licencja, wizytówki i napis na drzwiach jego biura. Jeśli jednak idzie o pozostałe, wyżej wymienione atrybuty, to miłośnik prozy Raymonda Chandlera byłby mocno zawiedziony. Nie tylko dlatego, że ogolona na tyso głowa łącząca się z tułowiem za pośrednictwem krótkiej i nabitej jak opona traktora szyi, a także cała kłocowata sylwetka nijak nie pasowały nie tylko do prochowca, ale i do postawionego kołnierza. Cholewa Ryszard nigdy nie słyszał o Raymondzie Chandlerze, ani o Philipie Marlowe, a gdyby ktoś dociekliwy próbował go wypytywać w tej kwestii, usłyszałby co najwyżej, że pan Ryszard chętnie by jednego z drugim kurwisyna zamknął na 48, gdyby mu akuratnie utrudniali śledztwo. Ostatecznie miał jeszcze dość znajomości w resorcie, no nie? Zawsze może zwrócić się do któregoś z chłopaków i poprosić o działanie prewencyjne, czy jak to się tam teraz uczenie nazywa. Zmiany zmianami, a sztama w ferajnie musi być, bez względu na ustrój! Tak to sobie pan Ryszard tłumaczył, chociaż na dnie jego bezpieczniackiej duszy tliła się iskierka zawiści, czasem rozpalająca się do rozmiarów sporego ogniska, dorównującego tym, w których kiedyś palili stare faktury i rachunki. Chodziło panu Ryszardowi o wielką niesprawiedliwość, jakiej doświadczył w czasach, kiedy wszyscy jego koledzy załapywali się na rozmaite smakowite posady. Tak szybko zmieniali pozycję w hierarchii społecznej, że pan Ryszard ledwo mógł nadążyć. Jedni poświęcili się handlowi, sprytnie rozdysponowując kapitał na

przykład Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrzznego PEWEX, inni oddali się bez reszty usługom, zakładając liczne agencje ochrony, które z czasem przybrały formę całkiem sporych gangów, kontrolujących każdy segment gospodarki. Tylko on, Cholewa Ryszard został nabity w butelkę i kiedy koledzy po fachu stawali się na jego oczach prawdziwymi biznesmenami, on miał zaledwie skromne biuro detektywistyczne w małym przypominającej metropolię dzielnicy Olsztyna. A przecież dawniej to on zawsze odwał najcięższą robotę, może nie?! A kto inny potrafił tak jak pan Ryszard spałować zatrzymanego, żeby śladów na ciele nie było, a zeznanie z przyznaniem się do winy i owszem było?! Kto jeszcze umiał tak sprawnie operować szufladą biurka i kombinerkami, żeby w dwie minuty wyłamać ze stawów wszystkie palce reakcyjniście? Tak, tak, zawsze jak potrzebny był fachowiec, posyłali po niego. A czy pan Ryszard kiedy nie wywiązał się z zadania? Czy kiedy ociągał się z wykonaniem rozkazu przełożonego? Nigdy! I co? Czy jego trud i poświęcenie zostały docenione? A gdzie tam! Tamte wymuskane inteligenciki, co to zawsze się od poważnej roboty migały, tylko knuły po kątach i włożyły do dupy przełożonym, dziś kręcą całym tym bajzlem, a on, Cholewa Ryszard wciąż zajmuje się jakąś drugorzędną, nieefektywną brudną robotą! Za każdym razem, kiedy na ekranie telewizora oglądał twarze swoich dawnych kolegów, rozpierających się w skórzanych fotelach, udzielających wywiadów i brylujących na salonach, czuł ukłucie zazdrości i bezsilną złość. Co to za sprawiedliwość, kurna?! Dlaczego oni znowu spijają śmietankę, a on grzęźnie w tej nędznej dziurze?! Cała ta sytuacja frustrowała go do głębi. Marian, co prawda twierdził, że jeszcze się odkują, że jeszcze tamci będą jeść im z ręki. Niech tylko Ryszard robi, co mu Marian każe, a fortuna sama się do nich uśmiechnie. Ale czas mijał, on tyrał za dwóch, a fortuna wcale się nie uśmiechała, a wręcz krzywiła się niemiłosiernie, jakby chciała powiedzieć: „no co się tak gapisz, bałwanie?! Jedni są od zaszczytów, a inni od tyrania. Wiesz już, do których ty należysz? No! To zasuwaj!”. Kilka razy chciał już rzucić to wszystko w diabły i zająć się jakąś uczciwą robotą, na przykład wymuszeniami, ale wtedy pojawiał się zawsze Marian i przemawiał do niego używając słów, których znaczenia pan Ryszard nie zawsze rozumiał. Jeśli przemowa nie całkiem go przekonała, twarz Mariana przybierała bardzo nieładny wyraz, a słowa, jakich wtedy używał były, co prawda całkiem dla Ryszarda zrozumiałe, ale lepiej by było, gdyby już słuchał tych niezrozumiałych, za to wypowiedzianych dużo łagodniejszym tonem. Tak, Mariana lepiej było nie drażnić. Równy z niego był gość i sporo razem przeszli, ale jak się zdenerwował... Ryszard wolał nie widzieć, jak Marian wpada w gniew. I tak, zawsze w końcu pan Ryszard wracał do tego nudnego zajęcia i na jakiś czas przestawał uważać się nad swoją niedolą. Lubił wspominać dawne czasy. Były jakieś takie, jakby tu rzec... klarowniejsze. I robota była prostsza! Jak robił w inwigilacji, to sam wie-

dział, za którym księdzem chodzić, kogo obserwować i czego się można po figurantach spodziewać. Był dobry w swoim fachu, opanował różne triki, no i znał miasto (sto razy bardziej wolał Warszawę od tego cholernego zadupia). A jak przychodziło do obróbki, to też wiadomo było jak mocno śrubę docisnąć, a nawet, jak czasem trochę przesadził i połamał przesłuchiwanemu żebra, to nikt mu uszu nie natarł. A dziś?! Dawne techniki przeszły do historii. Komputery, podsłuchy, mikrofony kierunkowe, elektronika! Trzeba wykorzystać przewagę technologiczną, tak mówił Marian. Zainwestował w sprzęt, nie można powiedzieć! Oddziały firmy w Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Warszawie i tu, w Olsztynie wyposażył w takie cudności, że rozumem ogarnąć nie szło. Czego to ludzie nie wymyślą! Dawniej, dla przykładu, żeby namierzyć figuranta w aucie, trzeba było mozolnie ganiać za nim po mieście w kilka samochodów. Tu się zgubił, tam znów zatrzymał się na trzy godziny i weź tu człowieku kota nie dostań! A teraz, proszę bardzo! Nadajniczek maleńki do podwozia przyczepisz i już z kilku kilometrów możesz spokojnie wszystko na ekranie obserwować! Postęp, jak nic! Ale z tym postępem też była i bieda. Powymyślali tych cudactw tyle, że jakby nie kominował, wszystkiego nie spamięta! Z drugiej strony, robota musi być wykonana, a przy tej ilości spraw operacyjnych i obiektowych tylko technika mogła ich uratować od gniewu Mariana. I tak pan Ryszard musiał co i rusz wynajmować jakichś specjalistów, studencików, informatyków i innych mądralińskich. Irytujące to było towarzystwo. Jeden mądrzejszy od drugiego! Zapytać takiego o najprostszą rzecz, dajmy na to jak zmienić zakres zasięgu wyszukiwania i od razu techniczny wykład gotowy! I mądry się taki i ważniaka struga, nie powie normalnie, jak człowiek, który guzik nadusić, tylko gada z angielska jak jakaś ciota. No z nerw można wyjść! Pan Ryszard nie szanował inteligencików (z wyjątkiem Mariana rzecz jasna). Sam szkół za bardzo nie kończył, ale bo też i za najlepszą szkołę uważał twardą rzeczywistość. Poza tym swój rozum miał! Ech, wziąć by takiego inżynierka na warsztat, pokazać mu parę narzędzi, zagrać w ruletkę starym naganem, zaraz by sobie normalną mowę przypomniał! Ale tamte dobre czasy minęły, co zrobić... Zamiast sponiewierać studencików, trzeba z nimi dobrze żyć, skoro dobro służby tego wymaga. Tak, tak, dobro służby! Bo pan Ryszard, mimo że od wielu lat był na swoim, wciąż pracę traktował jak służbę. Ostatecznie wciąż nad wszystkim czuwał Marian, jak za dawnych lat. A Marian wiedział najlepiej!

Tego dnia, a był to ni mniej, ni więcej, tylko piątek, pan Ryszard wybierał się wreszcie na długo oczekiwany urlop. Nie za długi, zaledwie cztery dni, ale po tak ciężkiej robocie, dobre i to. Nareszcie odsapnie od pracy, gładzenia żony, krzyków dzieci, wsiądzie do swojego jeepa i ruszy nad jezioro. Ustawi wędkarskie krzesło, zarzuci przynętę i otworzy zimne piwo. Potem, zanim przyjadą chłopaki jeszcze ulubiona gazetka. Ostatecznie trzeba wiedzieć, co

tam na świecie się wyprawia. Lubił pan Ryszard czytywać ten tygodnik, taki był jakby skrojony na jego miarę. O ile nie przepadał za pismakami, o tyle redaktora Jurka lubił, a nawet poważał. Poznał go raz na takim rauciu u jednego generała. Było tam dużo różnych ważniaków, niektórych jeszcze nie tak dawno sam przesłuchiwał. Bardzo grzeczni wtedy byli, słabymi głosikami pytali, czy za potrzebą mogą wyjść. A teraz, proszę, jacy wszyscy pewni siebie! Jeden taki docent, to tak się szarogęsił, takich zwrotów górnolotnych używał, że Ryszard w końcu się zdrząźnił, złapał go za krawat, przyciągnął jedną ręką i już chciał mu przypomnieć, gdzie jego miejsce, ale właśnie wtedy pojawił się redaktor Jerzy i całe zajście obrócił w żart, że niby takie towarzyskie nieporozumienie. I nawet zamienił z Ryszardem parę słów, nie tak, jak te inne cwaniaczki, co to go ostentacyjnie ignorowały, dając do zrozumienia, że nie należy do towarzystwa. A redaktor Jerzy okazał się równiacha. Golnęli po stakanie, powspominali dawne czasy, pośmiali się z najnowszych dowcipów. Ryszard, żeby nie wyjść na gbura przypomniał, jak to Jerzy utarł onegdaj nosa Jankesom, kiedy chciał im posłać śpiwory dla nowojorskich bezdomnych. Ubaw wtedy miał cały departament, świetna robota! Tak, Jerzy to była postać! Ryszard nie dałby złego słowa o nim powiedzieć. Raz nawet, jak jeden cham na stacji benzynowej zaczął coś niedobrego o Jerzym gadać, to pan Ryszard nie namyślając się długo zaprawił frajera prawym sierpowym, aż się tamten nogami nakrył i łeb o dystrybutor rozwalił. Zaraz mu rura zmiękła! Tak trzeba było z tą hołotą do końca, a nie tam w jakieś układy wchodzić! Gdyby to od Ryszarda zależało, inne dziś porządki by panowały, oj inne... Ale Marian twierdzi, że tak być musiało, że to konieczność dziejowa była, czy jakoś tak. Tak, Marian wie najlepiej. Mniejsza z tym, nie na pana Ryszarda głowę to problemy, ważne, że dziś wreszcie fajrant!

Nad jezioro dotarł pod wieczór. Rozkładaniu biwaku towarzyszył jednostajny pomruk setek krwio pijących komarów. Ryszard niewiele sobie robiąc z ich obecności zaległ wreszcie w leżaku i leniwie obserwował drgania spławika w wodzie. Myśli odplynęły gdzieś daleko. Umysł zapadł w stan letargu. Nie myśleć, chociaż na tych parę godzin wyłączyć się i dryfować przez ocean odprężenia. W takich właśnie chwilach instynkt samozachowawczy również bierze wolne i bardzo trudno go zmusić do pełnienia symbolicznej choćby warty. Zagrożenie pojawiło się tak nagle, że umysł zamiast szukać dróg ratunku, roztrząsał kwestię, jak mogło do tego dojść. Był fachowcem, może i nie jakimś błyskotliwym supermenem, ale na tyle doświadczonym, żeby nie dać się zaskoczyć byle komu. Właściwie nie wiedział, jak to się stało, że nie usłyszał zbliżającej się postaci. Jego zmysły, wciąż wystarczająco wyostrzone, mimo upływu lat, powinny go ostrzec. Ze zgrozą przypomniał sobie, że już raz kiedyś dał się tak zaskoczyć. Owej nocy w Kampinosie. Tamto wspomnienie powracało czasem i budziło niepokój gdzieś na dnie żołądka. Tyle lat minęło,

czasem łudził się, że sprawa rozeszła się po kościach, Marian nieraz klarował mu, że dorwą kiedyś drania i nie zostanie po nim ślad. Ale lata mijały, a śledztwo nigdy nie przyniosło rezultatów. Zmobilizowali wtedy całe swoje doświadczenie. Działali trochę na oślep, bo zabroniono im wciągania w to firmy. Musieli sprawę załatwić po cichu, bez rozgłosu. Może dlatego polegli na całej linii... To było niepojęte! Przecież ten motłoch był zawsze taki pokorny, taki uległy. Tak łatwo było łamać „niezłomnych”. A tu nagle ktoś z tego motłochu, tej żalosnej zbieraniny nagle pokazuje kły. Ktoś ujął się za ich figurantem! Stawił fizyczny opór! Mało, tam, fizyczny, użył broni! Kto mógł się ośmielić strzelać do nich, do funkcjonariuszy?! Kto w ogóle ośmielił się mieć gnata? Posiadanie broni było zarezerwowane dla nich, dla zbrojnego ramienia, nikt inny tego przywileju nie posiadał! Czerń była od wykonywania poleceń, miała się stawiać na przesłuchania i przyginać głowy do ziemi w trakcie pałowania. Owszem, byli tacy, co to się stawiali, ale to tylko tak, pod publiczność, puszczając do nich oko. A tu nagle, coś takiego... Kontrrewolucjonista! To stawało na głowie ich dotychczasowy porządek! Przeczuwał, że nierozwiązanie tamtej zagadki kiedyś się zemści. Teraz wiedział, że właśnie nadszedł ten moment. To instynkt, który w krytycznych momentach rozjaśnia umysł. Obcy zjawiał się jak duch, tak samo, jak wtedy. Stał przed nim i milczał, zasłaniając sobą zachodzące słońce, tak, że Ryszard nie mógł zobaczyć jego twarzy. Widział natomiast dobrze wylot lufy skierowanej prosto w swoje czoło.

— Wiesz, skąd się znamy? — Głos tamtego był spokojny, cichy i przyjacielski, jakby rozmawiał o pogodzie. Ryszard czuł, że ma niewiele czasu. Spoczęły mu się dłonie. To musiał być on, cały czas czuł, że kiedyś przyjdzie po raz drugi.

— Wiem. — Nie widział sensu zaprzeczać, nie mógł opanować drżenia głosu. Minęło już tyle lat, a jednak...

— No dalej, gadaj, pełnym zdaniem.

— Ty jesteś ten... z lasu...

— Chcesz żyć? — Cholewa zadrżał. Sam nie raz zadawał to pytanie różnym figurantom, kiedy chciał ich złamać. Przybysz jednak nie robił tego dla taniego efektu, mówił serio, składał mu konkretną propozycję. W sposobie, w jaki zjawiał się wtedy i teraz była jakaś żelazna konsekwencja.

— Tak. — Wychrypiał. Musiał maksymalnie przedłużyć ten dialog. Myślał teraz intensywnie. Kilkanaście centymetrów od jego prawej ręki leżała torba wędkarska. W wewnętrznej kieszeni spoczywał jego stary, wysłużony Tokariew. Rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć, czy zabierając broń przeładował ją i zabezpieczył, czy tylko wsunął magazynek w rękojeść. Wiedział, że teraz to dla niego śmiertelnie ważna kwestia.

Porozmawiamy trochę, ty i ja... — Ciągnął tamten. — Zadam ci kilka pytań. Na niektóre znam odpowiedzi, na inne nie. Ty i tak nie wiesz, na które.

Jeśli będziesz się za długo wahał, umrzesz. Jeśli spróbujesz się ruszyć, umrzesz. Jeśli skłamiesz, zanim umrzesz, będziesz cierpieć. Chcesz o coś zapytać, zanim zacznę?

— Wszystko zrozumiałem. Ale o co chodzi? Po co to... — Grał na czas. Słońce zachodziło, zaraz zapadną ciemności, wtedy jego szanse wzrosną.

— Gdzie są dwaj pozostali? — Przerwał przybysz.

— Nie wiem... przysięgam! — Ostatnie słowo wykrzyczał, bo usłyszał metaliczny dźwięk odciaganego kurka pistoletu.

— Jak się kontaktujecie?

— Spotykamy się raz na dwa tygodnie.

— Gdzie?

— W Łodzi, w takiej knajpie z manekinem, przy Piotrkowskiej.

— Kiedy najbliższe spotkanie?

— W przyszłą środę.

— Godzina?

— 12:30...

— Masz ich numery telefonów?

— Nie, to zabronione! Tylko osobiste kontakty.

— Łżesz! — lufa pistoletu drgnęła nieznacznie.

— Nie kłamie! Telefony są zbyt ryzykowne. Wyłącznie kontakty bezpośrednio o określonych porach w tym samym miejscu. — Lufa opadła o kilka milimetrów.

Cholewa całą siłą woli starał się nie patrzeć w stronę torby z Tokariewem. Jego prawa ręka przesuwała się powoli w tamtą stronę, w lewej wciąż ścisnął nerwowo swój ulubiony tygodnik.

— Kto wam płaci?

— Nie wiem, przysięgam! — Wrzasnął profilaktycznie Cholewa, chociaż przybysz nawet się nie poruszył.

— Ja tylko dostaję wytyczne i robię, co mi Marian każe... — Dodał i jęknął w duchu, bo czuł, że się pogrąża.

— Marian?

— No, tak, on jest szefem... — Cholewa wymacał wreszcie dłonią kieszeń torby, Teraz powoli odsunąć zamek... Dlaczego tak ciężko idzie? Jeszcze kilka centymetrów.

— Nad czym pracujesz? I jak nazywają się tamci dwaj? Adresy!

— Ja nie mogę... naprawdę, to... oni by mnie...

Lufa tym razem pochylała się w dół wskazując jednoznacznie w prawe kolano. Teraz już był we władaniu przerażenia. Palce chwyciły rękojeść w ebonitowych okładzinach. Z największych zakątków duszy zanosił modły do losu,

żeby broń była przeładowana. Jeśli naboju nie ma w komorze, umrze jak ostatni pajac. Zaczął coś mówić, zupełnie nieskładnie, żeby tylko odwrócić uwagę tamtego. Lewą ręką podniósł gazetę, jakby chciał mu coś pokazać. Kiedy biała płachta zasłoniła część sylwetki, prawa dłoń skierowała Tokariewa w brzuch prześladowcy. Palec zwiększył nacisk na język spustowy, poczuł dobrze znany opór sprężyny. Serce wstrzyknęło porcję adrenaliny do żył, dając nową nadzieję. Był za wolny zaledwie o pół sekundy. Pocisk z Browninga przebił gazetę dokładnie na wysokości tytułu, tuż ponad literą „i”, po czym wszedł siedzącemu w mostek i utkwiał w kręgosłupie. Siła uderzenia pode-rwała rękę ugodzonego. Spadająca gazeta przykryła mu twarz, tytułem do góry, tak, jakby złośliwy los chciał w ten sposób zilustrować pośmiertny głos niemego protestu denata.

Rozdział IX

Ulica Piotrkowska tonęła w strugach deszczu. Texas mókł i kłął w duchu swój samotniczy charakter. Odkąd sięgał pamięcią zawsze wzdragał się przed prośbami o pomoc. Nigdy nie umiał przewyciężyć wrodzonej dumy. Mniejsze, większe i całkiem duże problemy należało rozwiązywać samodzielnie. To przeświadczenie było tak oczywiste, że nigdy nie przyszło mu na myśl poddawać go krytyce. Każda przeszkoda była jego prywatnym wyzwaniem, zawracanie głowy komuś innemu, proszenie o pomoc było oznaką słabości i należało się tego wystrzegać. To mu weszło w nawyk. Ale teraz, kiedy podjął grę, zwyczajnie nie dało się skutecznie działać dalej w ten sposób. Potrzebował współnika, wiedział o tym. Kogoś, kto wesprze go w tej czysto tajniackiej robocie. Choćby teraz. Jak niby ma w pojedynkę śledzić naraz dwóch ludzi? Dajmy na to, że uda mu się namierzyć spotkanie tych dwóch w opisaną przez grubasa knajpię. Za którym z nich ma ruszyć, gdy się rozdziela? Jak rozpoznać człowieka, na którym zależy mu najbardziej? Zdać się na łut szczęścia? Jeśli będzie ich tylko dwóch ma pięćdziesiąt procent szans, że wybierze właściwego. Ale skąd pewność, że nie przyjdzie ktoś jeszcze? Potrzebował zespołu, wyspecjalizowanej grupy konspiratorów prowadzących działania wywiadowcze. Musiał mieć pełny obraz sytuacji, żeby nie działać po omacku.

Z drugiej strony zastanowił się, kogo właściwie mógłby poprosić o pomoc? Bergmana? Coraz bardziej oddalał się od niego, wtopił w nowe towarzystwo. Korzystał z życia wśród wyższych sfer. Stawał się powoli ich czę-

ścią. Psiakrew, przecież był dobry i zasłużył na to, by być docenionym, Texas nie miał mu tego za złe. Miał też świadomość, że jego dawny kumpel powoli przesiąka tamtym światopoglądem. Nawet, jeśli w głębi duszy się z tym nie zgadza, to, no cóż, jeśli wszedłeś między wrony... Kiedyś spotkali się po prawie rocznej przerwie. Wtedy pojawiły się pierwsze poważne symptomy. Znowu wrócili w rozmowie do tamtej nocy w Puszczy Kampinoskiej. Bergman nie krył zniecierpliwienia.

— Stary, kiedy wreszcie zapomnisz? Nie możesz rozpamiętywać tego przez resztę życia! To już przeszłość, było, minęło. Daj sobie spokój z szukaniem zemsty. Zobacz, więcej zyskaliśmy, niż straciliśmy. Nasi wrogowie już nie są groźni, odpuść im.

— O tak! Okażmy miłosierdzie! Wybaczymy wrogom w imię wspólnej przyszości! Może łaskawie pozwolą nam korzystać z dobrodziejstw wolności, którą nam tak wspaniałomyślnie podarowali. Dziękujmy im, że nie rozwalili nas wszystkich. Przecież mogli, nie?

— Trzeba im pozwolić żyć w nowej rzeczywistości. Przecież nie można ich postawić poza nawiasem.

— Jasne! Mają takie dobre intencje! Aż żal nie wykorzystać tego potencjału! — Zakpił Texas.

— To nie ludzie byli źli, to system ich do zła zmuszał. Ich też trzeba zrozumieć, oni byli w to uwikłani, niekoniecznie z własnej woli...

— Zaraz mi łzy pociękną po policzkach na myśl o ich rozedrganych sumieniach! Ciekawe, czy z podobną gorliwością broniłbyś, powiedzmy gestapowców? Czy oni nie zasługiwali na analizę swoich win? Może też byli tylko słabymi ludźmi w szponach nieludzkiego systemu? Może mieli dylematy moralne? Może musieli wybierać mniejsze zło? Nie! Narodowym socjalistom takich praw nie przyznaliście! I słusznie! Dlaczego wobec tego stosujecie taryfę ulgową dla internacjonalistycznych?!

— Jesteś upartym, zatwardziałym, konserwatywnym, zapatrzonym w przeszłość osem!

— Dziękuję! Ale to zbyt łaskawe, z pewnością mam też jakieś wady.

— Ty Texas jesteś jakimś kuriozum! — Zniecierpliwiał się Bergman. — Popatrz dookoła, obudź się! Nikt już nie walczy, walka się skończyła, teraz są inne priorytety! Weź się za budowanie, a nie za niszczenie! Tacy jak ty tylko jątrzą, plują jadem! Dla was liczy się tylko nienawiść, tylko to potraficie! Nienawidzić!

— Kurwa, przecież byłeś tam z nami! Widziałeś wszystko na własne oczy! Czy przywilej stąpania po salonach całkiem wymazał ci pamięć? Co oni zrobili z twoją głową, amigo? Czy zbrodnia już nie zasługuje na karę? Czy są jakieś nowe wytyczne? Czy komunistyczni zbrodniarze nie zasługują na wymierze-

nie sprawiedliwości tylko dlatego, że kapitulacja nie była wynikiem klęski militarnej, ale cichego geszeftu wielkich tego świata?!

Rozstali się w gniewie. Texas jednak szybko ochłonął. Rozumiał go w gruncie rzeczy. Bergman miał przed sobą karierę, był wziętym krytykiem filmowym, pisał do kilku gazet, jego recenzje stawały się wyrocznią. Czy miało sens zawracać go z tej drogi? Nie każdy potrafił oprzeć się pokusie kompromisu. Tylko, że to tak szybko poszło... Jeszcze nie tak dawno sam mu podsuwał trop, mobilizował do działania. Czy rzeczywiście wierzył w to, co mówił? Czy możliwe jest takie odwrócenie światopoglądu o sto osiemdziesiąt stopni? A może to wszystko kwestia środowiska, w którym się obracał? To w ogóle ciekawy przypadek, że można przeryć komuś mózg i zmusić do myślenia pod dyktando. Nie to, żeby Texas był jakoś specjalnie oburzony, po prostu z ciekawością, a wręcz fascynacją obserwował proces przemiany przyjaciela. Wiedział, że nie ma już na niego wpływu, że wymknął się z jego świata. Interesujący był jednak sam proces pozyskiwania przez system nowego wiernego. To było coś wartego odnotowania. Co przeważało szalę? Jeszcze można by zrozumieć, gdyby tamten miał jakieś uwarunkowania rodzinne, pezetpeperowskie, lub korowskie korzenie (co w sumie na jedno wychodziło), ale nic z tego. Jego starzy byli tak daleko od polityki, jak to tylko możliwe. A więc jednak nowe środowisko... Tak czy inaczej stało się jasne, że Bergman szedł już w innym kierunku. Oczywiście, Texas nie wątpił, że gdyby go poprosił o wsparcie, otrzymałby je. Gdyby poprosił... Tylko czy to był człowiek, któremu mógł jeszcze zaufać?

Więc może Bolo? Ten wyalienowany buntownik? Tak, on by w to wszedł. Był nieobliczalny, działał bez zastanowienia. Szalona głowa. Miał w sobie coś z gladiatora. Przypominał mu trochę bohatera „Cyrku Straceńców” granego przez Burta Lancastera. Oglądali wspólnie ten film dawno temu. Też podążał drogą bez powrotu. Texas z nich wszystkich znał Bola chyba najlepiej. Los tego człowieka jak to się często zdarza został zdeterminowany przez otoczenie, w którym dorastał. Od najmłodszych lat miał śmiertelnego wroga i prędeż, czy później musiał stawić mu czoła. Kilkuletni dzieciak widząc swojego ojca staczającego się w alkoholowy armagedon szybko staje się mężczyzną. Jego dzieciństwo było jedną, niekończącą się pijacką awanturą. Wcześniej zaczął stawiać naprzeciw człowieka, wobec którego czuł tak sprzeczne uczucia, że aby nie osunąć się w szaleństwo wykształcił własny mechanizm obronny. Wtedy jeszcze nie wiedział, że jest to typowy scenariusz, powtarzany w wielu podobnych przedstawieniach. Po prostu uciekł do wewnątrz siebie. Stworzył własny świat, w którym czuł się bezpiecznie, gdzie nikt oprócz niego nie miał wstępu. A jeśli ktoś zignorował ostrzegawcze tablice, mógł swoją głupotę przypłacić życiem. Ojciec Bola przekonał się o tym, gdy kiedyś o jeden raz za dużo przyniósł do domu swoją pijacką zawieruchę, sponiewie-

rał matkę i próbował podporządkować sobie syna. Ale Bolo był już wtedy wojownikiem i nie było na tym świecie człowieka, który mógłby mu narzucić swoją wolę. Przy pomocy sprężynowego noża byłby definitywnie rozwiązał problem i przypieczętował swój los, gdyby nie Texas, którego w ostatniej chwili matka Bola wezwała na pomoc. Texas widząc, co się dzieje, nie próbował nawet perswazji, wiedział, że nie ma czasu. Rzucił się szczupakiem na kumpla i w ułamku sekundy wytrącił go z morderczego szału. Potem spędził wiele godzin w warsztacie stryja Texasa nie zamieniając słowa. Milcząc czekali, aż rozpacz i wściekłość ulotnią się, jak kałuża wysokooktanowej benzyny. Bolo od tej pory prowadził niewypowiedzianą wojnę ze światem zewnętrznym, od szkolnych belfrów zaczynając, a na władzach państwowych kończąc. Był apatyczny i niedostępny, jeśli nie życzył sobie kontaktu z zewnątrz, to każdy, kto próbowałby tę niechęć przełamać rozbijał się o niewidzialny mur. Jedyna aktywność, jaką konsekwentnie wykazywał, to treningi kung fu w jakiejś podejrzanej szkole walki, które jak grzyby po deszczu wyrosły po krajowej premierze „Wejścia Smoka”. Wściekłość i ból rozładowywał na sali treningowej walcząc w full kontakcie z podobnymi sobie. Stał się naprawdę niebezpiecznym człowiekiem, prędeż, czy później wykorzystałby to lokalny półświatek. Potem zaczął jeździć jako kierowca tira i ich kontakty nie były już tak częste, jak dotychczas, chociaż wciąż podtrzymywali znajomość. Texas stanowił rodzaj bariery chroniącej Bola przed wejściem w jednokierunkową uliczkę. W zasadzie darzyli się zaledwie niezbędnym minimum zaufania, co pozwalało Bolowi balansować na krawędzi. Czy teraz można mu było powierzyć jakąś bardziej wymagającą rolę w nowym przedstawieniu? Ten facet wpakowałby się w każdą kabałę, przyciągał kłopoty, jak magnes opiłki. Zły wybór...

Maciek Canalo? To wciąż szczeniak. Nieopierzony romantyk. Gdyby chodziło o włamanie się do jakiejś bazy danych, byłby idealny. Nawiedzony informatyk...

Texas westchnął ponuro i powlókł się przed siebie rozchlapując kałuże na chodniku. Knajpa z manekinem... W tym mieście wystrój lokali zmienia się z miesiąca na miesiąc. Może wskazówka była już nieaktualna? Przeszedł ulicę w jedną stronę i zawrócił idąc przeciwnym chodnikiem. Jedyna kawiarnia odpowiadająca opisowi tego wiepra to „Niebieski Anioł”, mała klitka wystylizowana na lata trzydzieste. W kącie witryny na krześle Thoneta siedziała plastikowa Marlena Dietrich w kapeluszu i pończochach. Manekin wyglądał, jakby był pożyczony z wystawy Domów Towarowych Centrum. Ech, niski budżet... Texas puścił oko do Marleny i wszedł do środka.

Mała witryna skrywała, jak się okazało długie, choć wąskie wnętrze. W panującym półmroku próbował ocenić siedzących w lokalu klientów. Na razie nikt nie odpowiadał jego oczekiwaniom. Była dwunasta piętnaście. Usiadł na

końcu sali i czekał. Miał stąd widok na wejście i większość stolików. Chwilę później stukając najwyższymi obcasami, jakie widział, kocim krokiem podszła do niego całkiem żywa Marlena w czarnej, aksamitnej marynarce ledwo zakrywającej nagie biodra. Miała blond włosy uczesane na chłopczycę i bardzo czerwone usta.

— Czy mogę w czymś pomóc? — Zapytała nachylając się nad Texasem. Nie nosiła stanika.

— Bez wątpienia. — Odparł. — Chciałbym, żeby zaspokoila pani moja... ciekawość.

— Słucham...

— Czy na takie nogi trzeba mieć pozwolenie?

Uśmiechnęła się nieznacznie. Była uodporniona na podobne teksty.

— Owszem, ale ja posiadam je nielegalnie. — Wyszepiała podając mu menu.

Zamówił kawę i siedział jakiś czas bez ruchu. Z kieszeni na piersi wyciągnął nienapoczętą paczkę Cameli. W zasadzie nie palił, ale w takim miejscu... Kelnerka musiała mieć jakieś konszachty z diabłem, bo nim zdążył pomyśleć o zapałkach jej smukła dłoń zakręciła mu pod nosem kółkiem srebrnego Zippo.

— Jeszcze jakieś życzenia? — Ten sam lekki uśmiech.

— Taak... Czy mogłaby mi pani zanucić „Lili Marlene”? — W odpowiedzi uśmiech zakwitł jeszcze bardziej. Bez słowa oddaliła się w stronę stojącego na stoliku pod ścianą staromodnego gramofonu. Dotknęła igły i Texas zaczął się obawiać, czy biedne urządzenie nie rozjarzy się od tego dotyku żywym płomieniem. Zamiast tego z tuby popłynęły bardzo odpowiednie w tym miejscu dźwięki.

*Underneath the lantern,
By the barrack gate,
Darling, I remember
The way you used to wait...*

W duchu pochwalił jej wybór. Wersja angielska brzmiała dużo lepiej od niemieckiej.

W tym samym momencie drzwi wejściowe otworzyły się i weszło dwóch mężczyzn w płaszczach. Wysocy, dość barczyści. Wybrali stolik pod oknem i usiedli. Inna kelnerka, też w czarnej marynarce podała im karty. Wyglądało, że są tu częstymi gośćmi. Jeden z nich położył na stoliku telefon komórkowy wielkości małej cegły. Texas wypił łyk kawy i zaciągnął się Camelem. Teraz, tak jak przewidział, musiał dokonać wyboru. Może rzucić monetą? Przypatrywał się mężczyznom uważnie. Wyglądali na dość zdenerwowanych. Ten z lewej klarował coś gestykulując gwałtownie, drugi zaprzeczał ruchem głowy. Nie

podnosili głosów, więc nie było szans, żeby podsłuchać, o czym mówią. Wyczuwało się otaczające ich napięcie. Już wiedzą, pomyślał Texas. Ktoś ich zawiadomił o losie grubasa.

Przypatrywał się im, sam pozostając poza zasięgiem ich wzroku. A może po prostu... Z takiego dystansu trafiał w paczkę zapalek... Uśmiechnął się w duchu. Prokurator i obrońca toczyli w jego głowie spór. Przerzucali się argumentami, próbując przekonać milczącego obserwatora. Sędzia jednak przywołał ich do porządku. Materiał dowodowy wciąż był mizerny. Za wcześniej na proces i wyrok. Do roboty, panowie! Texas zaciągnął się CAMELEM, strzepnął popiół i dopił kawę. Dobrze, nie ma pośpiechu, im dłużej to będzie trwało, tym lepiej. Niech śledztwo toczy się kilkoma torami, żadnych gwałtownych ruchów. Po prostu zbierać informacje, jak najwięcej danych. Zdusić emocje, wychłodzić umysł. Być tylko dobrze naoliwionym mechanizmem, precyzyjnym i niezawodnym.

Mężczyźni rozmawiali jeszcze kilka minut. Z miejsca, w którym siedział, nie mógł w żaden sposób wysondować, który był zwierchnikiem. Trudno, musi czekać na rozwój wypadków. Po chwili siedzący z prawej wstał, z trudem upchnął komórkę w kieszeni płaszcza, rzucił banknot na stół, uściśnął dłoń swojemu rozmówcy i wyszedł. Drugi siedział jeszcze chwilę, po czym też zaczął zbierać się do wyjścia. Texas wstał, podszedł do baru, zapłacił trzepoczącej rzeszami Marlenie i ruszył w ślad za wychodzącym.

Deszcz przestał padać, przechodnie snuli się leniwie po Piotrkowskiej. Texas szedł w bezpiecznej odległości za mężczyzną w płaszczu. Dla bezpieczeństwa wybrał tego drugiego, który wyszedł ostatni. Tamtemu najwyraźniej się nie spieszyło, zatrzymał się przy kilku witrynach sklepowych, skrzył się w przecznicę, kupił w kiosku gazetę, w końcu wstąpił do jakiegoś sklepu. Texas początkowo nie mógł rozpoznać szyldu, widział go pod zbyt ostrym kątem. Zbliżył się powoli i mijając wejście kątem oka przeczytał nazwę: Jedność Łowiecka. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się w bramie, obserwując jak mężczyzna za szybą rozmawia ze sprzedawcą i przymierza się do myśliwskiego sztucera. Mierzył przez chwilę do wymyślanego celu, po czym odłożył broń na ladę. Po chwili wyszedł i skierował się w stronę pobliskiego parkingu. Wsiadł do terenowego Mercedesa i wytoczył go powoli na ulicę. Texas zaczął się rozpaczliwie rozglądać za taksówką, jeśli teraz go zgubi, to koniec. Miał świadomość całej swojej nędznej amatorszczyzny, jego śledztwo wisiało na włosku, bo prowadził je dysponując nader skromnymi siłami. Mercedes kluczył w wąskich zaułkach, Texas musiał biec, żeby nie stracić go z oczu. Gnając na złamanie karku zauważył jadącego w przeciwną stronę Peugeota z białym kogutem na dachu. Machnął ręką i zanim samochód całkiem się zatrzymał już siedział na tylnej kanapie. Kazał taksówkarzowi zawrócić i po chwili podążył w ślad za swoim celem. Terenówka kierowała się

na łódzkie przedmieścia, po kilkunastu minutach znaleźli się w zalesionym terenie, przy ulicy stały małe domki jednorodzinne. Mercedes zatrzymał się przy jednym z nich. Kierowca wysiadł i poszedł otworzyć bramę prowadzącą na podjazd do niewielkiego garażu. Peugeot minął go, przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym Texas kazał kierowcy zatrzymać się, zapłacił za kurs i wysiadł. Kiedy Mercedes zniknął w garażu, a kierowca za drzwiami domu, zbliżył się do posesji, mijając furtkę odczytał nazwisko na domofonie: G. i J. Wilnowicz. No cóż, nie zgadzało się ono z tym z karty przyniesionej przez Bergmana. Ale teraz był to jedyny trop. A zatem należy bliżej przyjrzeć się panu Wilnowiczowi. Minął budynek i nie oglądając się poszedł dalej.

Wieczorem wrócił do „Błękitnego Anioła”, podszedł do znajomej kelnerki-Marleny, wręczył jej czerwoną różę i w milczeniu patrzył przez kilka uderzeń serca prosto w jej oczy.

— Czy... to oświadczyły? — Wyszepiała uśmiechając się niepewnie.

— Na razie tylko pokorna prośba, królowo...

— Słucham, kowboju.

— Pamiętasz facetów, którzy siedzieli rano przy tym stoliku?

— Tak, to nasi stali goście.

— Rezerwują stolik z wyprzedzeniem?

— Tak, jeden zawsze dzwoni wcześniej.

— A jeśli macie jakąś imprezę zamkniętą, remont, albo...

— Wtedy ja dzwonię do niego i informuję, że muszą zmienić termin.

— Czy mogłabyś mi dać jego numer?

— Myślałam, że poprosisz o mój... — W jej głosie zadźwięczała nutka zawodu.

— A mama pozwala ci rozmawiać z nieznanymi?

— Nie, ale jestem krnąbrną córką... — Zmrużyła oczy, po czym wyjęła z pudełka na barze wizytówkę i zapisała na niej dwa ciągi cyfr. — Na ten drugi numer możesz zadzwonić dziś po dwudziestej. Poproś Karolinę...

— Jestem twoim dłużnikiem, królowo.

— Wiem...

Wrócił do domu pod wieczór. Wyjechał z Warszawy z samego rana, wschód słońca przywitał go za Nadarzynem. Gnał przed siebie, wpatrzony w przednią szybę swojego Camaro i wyprzedzał wszystko, co pojawiło się przed maską. Długo wahał się, zanim ostatecznie postanowił go odszukać. Nie lubił nikogo prosić o cokolwiek i zaciągać długów wdzięczności. Ale tamten był jedynym człowiekiem, do którego mógł się zwrócić. Jeśli nie zapo-

mniał całkiem motywów swoich działań sprzed lat, to może uda się namówić go do współpracy. Ostatecznie dla takich ludzi jak on, gra toczyła się nadal. Nie tak wiele się zmieniło, a tamci z Wrocławia mieli wciąż największe doświadczenie w tej robocie. Adres znalazł na jakimś starym liście, który tamten przysłał w '90, czy '91 roku do ciotki. Widocznie nikt mu nie przekazał, że żona stryja zmarła tuż po tym wszystkim. List leżał przez całe lata w jakiejś szufladzie i czekał na odpowiedni moment.

Texas wiedział, że Wilnowicz może być złudnym tropem. W każdym razie stawianie wszystkiego tylko na niego byłoby bardzo nierozsądne. Miał numer tego drugiego faceta, ale nie bardzo wiedział, jak mógłby to wykorzystać w swoim śledztwie. Potrzebował wsparcia.

Do Wrocławia dotarł przed południem. Odnalazł budynek na jednym z osiedli na obrzeżach miasta, zadzwonił do drzwi. Czekał kilkadziesiąt sekund, zanim usłyszał skrzypienie podłogi za drzwiami. Otworzył mężczyzna około trzydziestki, tęgawy, z przeredzoną na czubku głowy czupryną.

— Słucham.

— Czy zastałem pana Zbigniewa Chrzanowskiego?

Facet zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Spóźnił się pan. O jakieś osiem lat...

— Wyprowadził się?

— Kim pan jest?

Texas zawahał się, nie chciał spowiadać się obcemu. Mierzyli się przez sekundę wzrokiem.

— Czy pan Zbyszek wyprowadził się stąd? — Texas powtórzył pytanie.

— Można tak powiedzieć. Wyprowadził się, na cmentarz.

To go zaskoczyło, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

— Czego pan tu szuka? — Gospodarz najwyraźniej nie był zachwycony wizytą.

— Czy jest pan jego krewnym? — Zaryzykował Texas.

— Jestem jego synem. — Rzucił tamten. — O co chodzi?

— O to. — Texas wręczył mu pierwszy tom odbitego na powielaczu „Archipelagu Gułag”. Książka była mocno wyeksploatowana, egzemplarz miał dwadzieścia kilka lat.

— Dostałem to od pańskiego ojca, dawno temu.

— Pan z Warszawy...?

— Tak. Od rotmistrza Stachonia.

— Od rotmistrza? On przecież...

— Tak, on nie żyje. Jestem jego siostrzeńcem.

— Zaraz, zaraz, ty musisz być... Texas!

— Zgadza się, mister. Mogę wejść?

Mieszkanie było nieprawdopodobnie zagracone. Wszędzie, w każdym kącie upchane były książki. Piętrzyły się na regałach w korytarzu, w pokojach, nawet w kuchni. Usiedli w pokoju, który mógł uchodzić za gościnny.

— Mów mi Romek. — Gospodarz nieco się ożywił. — Słyszałem o tobie, ojciec mi opowiadał, że niezły był z ciebie kozak. Byłeś tu sławny, Kornel chciał się z tobą skontaktować po tym, jak...

— Po tym... zacząłem unikać rozgłosu.

— Wiem, zniknąłeś na kilka lat, a potem to wszystko przestało się liczyć. Słucham, co mogę dla ciebie zrobić?

— Twój ojciec zajmował się czymś w rodzaju kontrwywiadu, mam rację?

— Tak, stare dzieje. Ojciec i kilku jego kumpli byli odpowiedzialni za ochronę organizacji. Prowadzili nasłuch radiowy, czasem przechwytywali jakieś meldunki, złamali kod, używany w rozmowach między radiowozami a centralą. Pamiętam to jak przez mgłę, byłem wtedy dzieciak... Wykorzystywali specjalne skanery do przeszukiwania częstotliwości używanych przez jaruzelów. Sprzęt dostali z Zachodu, był jakiś kanał przerzutowy, ojciec miał kilka sztuk. Potem zaczęli projektować sami, złożyli jedno takie urządzenie. Dzięki temu czerwonym ciężko było przeprowadzać aresztowania z zaskoczenia. Ojciec większość rozmów wychwytywał i dawał sygnał ostrzegawczy reszcie.

— Ale mimo to Kornel wpadł... Mielście u siebie wtyczkę?

— Sam masz wtyczkę, w dupie! Zapamiętaj sobie, w tej organizacji nie było szpicli!

— Czyżby? — Texas nie spuścił wzroku.

— W każdym razie nikogo na dłuższą metę. Jak kogoś zaczęli podejrzewać, od razu odsuwali ścierwo od dostępu do informacji. Kornel wpadł, bo miał pecha, był kocioł w mieszkaniu, nie zdążyli go ostrzec.

— A twój ojciec? Czym się zajmował potem?

— Przez parę lat wykładał jeszcze na politechnice, później... miał problemy... nie mógł przełknąć tego wszystkiego, zaczął pić. Spotykali się czasem w dawnym gronie, większość skończyła na bezrobociu, byli już tylko starymi, przegranymi ludźmi. Zostali oszukani. Po raz kolejny.

— Nie oni jedni...

— Po co przyjechałeś?

— Miałem sprawę do twojego starego.

— Mów!

— Szukam pewnego człowieka... jednego z tych, którzy... — Głos Texasa był przerażająco spokojny.

— Byłeś przy tym...? Widziałeś ich? — Wszedł mu w słowo Romek, Texas milczał przez chwilę.

— Potrzebuję specjalisty...

— Ty chcesz... nie, stary, to szaleństwo! Nie wiesz, jacy oni są potężni. Zakładasz sobie stryczek.

— Kogoś od telefonii komórkowej. Programista albo łącznościowiec.

— Opuść, Texas! Po co ci to? Co chcesz zmienić w ten sposób?

— To musi być ktoś od was, nikomu innemu nie ufam...

— Jezu, ty naprawdę chcesz to zrobić! Człowieku, nikt im jeszcze nie podskoczył! To zawodowcy, a my wszyscy jesteśmy amatorami! Dlatego oni wygrali, a tacy, jak mój stary poszli na śmietnik. Opuść, bo sam tam trafisz. Tego się nie da zrobić! Nie odnajdziesz ich.

Texas milczał przez chwilę przyglądając się Romkowi beznamytnie. Gospodarz zastanawiał się, czy jego argumenty przyniosły jakikolwiek efekt. Przez moment łudził się, że przybysz zrezygnuje. Ale Texas zrobił tylko dramatyczną pauzę.

— Najlepiej, żeby to był ktoś ze starej gwardii, z doświadczeniem. Ale jednocześnie ktoś, kto się orientuje w nowych technologiach i ma dojścia do informacji niejawnych, może być jakiś profesor. Wiem, że zawsze mieliście dobre kontakty i jeszcze lepszych fachowców. Aha! I żeby to był ktoś, kto nie zrobił kariery po zmianie sztyldów.

— Już śmierdzisz padliną, chłopie. Telefonია komórkowa, powiadasz... — Westchnął Romek. — Tak, jest tu jeden taki.

— Czy będzie skłonny do współpracy?

— Tego nie wiem. Sam go zapytaj.

Spotkali się następnego dnia wieczorem. Usiedli przy stoliku w małej kawiarni z dala od wścibskich oczu. Romek przyprowadził brodatego grubasa na oko około sześćdziesiątki.

— To jest człowiek, o którego pytałeś. Co prawda nie profesor, zwykły inżynier, ale za to weteran sprawdzony w akcji.

— Janusz. — Gruby wyciągnął dłoń na powitanie.

— Texas, miło mi.

— Texas, dużo się tu o tobie mówiło swego czasu, no, no, kto by pomyślał, że cię w końcu poznam osobiście. Z czym przybywasz? Romek mówił, że potrzebujesz specjalisty.

— Zgadza się, mister. Szukam pewnego człowieka. Niestety, niewiele danych mogę podać, żeby go jednoznacznie zidentyfikować.

— Mów, co wiesz.

— Właściwie dysponuję tylko numerem jego komórki. — Gruby wpatrywał się w Texasa przenikliwie.

— Drobiazg, już go prawie mam.

— Wiem też, że regularnie kontaktuje się z pewnymi osobami. Niestety, nie znam ich personaliów, ani adresów.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Chcę mieć jak najwięcej informacji o tych ludziach, częstotliwość kontaktów, miejsca, w których przebywają, wiem, że teoretycznie są techniczne możliwości zlokalizowania aparatu. Sam nie wiem, co jeszcze. Po prostu wycisnąć jak najwięcej danych z tego jednego numeru. Czy to jest według ciebie wykonalne?

Grubas milczał przez chwilę, w końcu odezwał się:

— Mogę ci najpierw zadać jedno pytanie?

— Skoro nie możemy tego uniknąć.

— Nie to, żebym ci nie ufał, słyszałem o twoich wyczynach. Po prostu chcę wiedzieć, w co się pakuję? Z kim właściwie będę miał do czynienia?

— Z tymi samymi ludźmi, z którymi ganialiście się dwadzieścia parę lat temu. Jak widzisz nic się nie zmieniło.

— A co ty masz do tego?

— Jestem coś winien jednemu z nich. Chcę spłacić dług.

— Znam prostsze sposoby wpędzenia się w kłopoty.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie. Czy to się da zrobić?

— Zrobić się da. Pytanie jak samemu pozostać w cieniu. Takie działania są monitorowane. Wkraczamy na śliski grunt, to pachnie kryminałem, albo i czymś gorszym.

— Przeznaczyłem na tę operację pewną sumę... — Zaczął Texas, ale Janusz nie dał mu dokończyć.

— Naprawdę myślisz, że robię to dla kasy? Rozmawiam z tobą, bo pamiętam, co mówił Zbyszek, kiedy wrócił od was z Warszawy. Mówił, że nie ma rzeczy niemożliwych, że możemy przejąć inicjatywę. Że wszystko jest kwestią wyszkolenia i organizacji. Wrócił tu jako odmieniony człowiek, był chodzącym wulkanem optymizmu. A dla nas nastały wtedy ciężkie czasy. Pętla zaciskała się coraz mocniej. Likwidowali nam lokal za lokalem, chodzili za nami nawet się z tym nie kryjąc. W eterze zapadała złowroga cisza i nie wiedzieliśmy, co zamierzają. To było jak zapowiedź czegoś bardzo niedobrego. Więc potrzebowaliśmy wsparcia, nadziei. I Zbyszek opowiadając o twoim stryju i o tobie, o tym jak działacie, dał nam taką nadzieję. Tylko dlatego teraz z tobą gadam, każdego innego, który złożyłby mi taką propozycję poszczułbym psami. Chcesz wiedzieć, czy ci pomogę? Nie wiem, kogo szukasz, ani jaki masz plan, ale to, w co się pakujesz cię przerasta. Ci ludzie to nie są już tylko dobrze wy-

szkoleni zawodowcy. Teraz to magnaci finansowi, tworzą sieć powiązań, której nie da się tak po prostu obejść. Jeśli zrobisz jeden fałszywy krok, zadasz o jedno pytanie za dużo niewłaściwej osobie, uruchomisz alarm i diabli wiedzą jak wysoko ten sygnał się odezwie. Załóżmy, że zajdziesz na tyle daleko, że zaczniesz być dla tego kogo szukasz groźny. Z miejsca staniesz się celem nawet o tym nie wiedząc. Dobrze się zastanów, zanim rozpoczniesz swoją krucjatę.

— Cieszę się, że to mówisz, mister. To oznacza, że trafiłem do właściwego człowieka. Oczekuję prostej odpowiedzi na proste pytanie. Masz ogólny obraz sytuacji. Tak, czy nie?

— Myślisz, że twój stryj by tego chciał? Nie wskrzesisz go w ten sposób. Sam możesz się z nim przedwcześnie spotkać.

— Tak, czy nie?

— Niech cię diabli Texas! Lubisz stawiać ludzi pod ścianą.

— Nie chcę cię do niczego zmuszać. Jeśli odmówisz, zrozumiem. Ale odpowiedź muszę znać teraz.

— Chcę cię jeszcze o coś zapytać.

— Wał śmiało!

— Twojego stryja zgarnęli następnego dnia po wizycie Zbyszka.

— Tak, i co z tego?

— Nigdy nie pomyślałeś, że to może on.

— Nie, on z tym nie miał nic wspólnego.

— Zbyszek do końca miał wyrzuty sumienia, że może jednak ściągnął za sobą ogon, którego nie udało się wam zgubić.

— Bzdura! Pozbyliśmy się wtedy wszystkich szpicli. To nie była jego wina. Sypnął ktoś inny.

— Ale wtedy, na początku mogłeś mieć jakieś podejrzenia.

— Nie miałem. Wiedziałem, kto to był.

— Dzięki. W imieniu Zbyszka.

— Za co?

— Za to, że nigdy go nie oskarżałeś.

— No więc... Tak czy nie?

— Kto jeszcze wie o twoich zamiarach?

— Trzech ludzi, którzy wtedy ze mną byli.

— O trzech za dużo!

— Jeśli komuś ufam na tym łez padole, to właśnie im. Byli wtedy ze mną, kiedy...

Grubas milczał przez chwilę. Mierzyli się wzrokiem.

— W porządku, chłopcze. Namierzymy ci tych ludzi.

Każdy ma jakieś zasady. Jeden przyjmuje je z zewnątrz, drugi tworzy własne i kurczowo się ich trzyma. I to jest w porządku. Bez zasad człowiek stoczyłby się z autostrady życia i szczeł już to w jakimś przydrożnym rowie, już to roztrzaskany na dnie przepaści. Ale co zrobić, kiedy zasady w ogólnych założeniach słuszne, w szczegółach okazują się zupełnie „nieżyciowe”? Z tym właśnie dylematem od lat zmagał się Texas. Chodziło mianowicie o jego samotnicze skłonności, które swoje apogeum osiągały w pracy zawodowej. Choć interes rozwijał się znakomicie, klientów przybywało, on wciąż nie mógł się przemóc i zdecydować na współnika. Po prostu dogmatyczny indywidualizm nie znosił wizji obcego osobnika pętającego się po jego królestwie. Wolał odpuścić kilka zleceń, niż złamać swoją zasadę. W końcu jednak nadeszła taka chwila, kiedy musiał skapitulować. Wszystko przez III generację F-body, czyli sportowe wozy stajni General Motors wyprodukowane w dekadzie lat osiemdziesiątych. W tym okresie inżynierów zza oceanu opanowała dziwna i niewyjaśniona mania komplikowania prostych i sprawdzonych, a przede wszystkim niezawodnych rozwiązań technicznych. Do lamusa odeszły malownicze czterogardzielowe gaźniki, klasyczne aparaty zapłonowe i proste, zrozumiałe przełączniki elektryczne. Dobra, znana, oswojona mechanika zaczęła ustępować krnąbrnej i kapryśnej elektronice. Dopóki wozy z lat siedemdziesiątych były w znacznej przewadze na rynku wszystko było w porządku. Kiedy jednak nowe dziwolągi zaczęto stopniowo sprowadzać do kraju, jasnym się stało, że nadeszła era wąskiej specjalizacji. Texas z ciężkim sercem zdecydował się przyjąć do terminu Maćka Canalo. Skoro już nie można uniknąć tej przykrości, niech to będzie ktoś znajomy.

Z elektroniką Canalo radził sobie co prawda śpiewająco, ale brakowało mu pewnego obycia i wyczucia branży. Zdarzały mu się więc niejaki potknięcia. Oprócz czysto technicznych usług, do jego obowiązków należały też bezpośrednie kontakty z klientami.

— Co mamy w rozkładzie na jutro? — Zapytał Texas.

— Przyjąłem Pinto na regulację zapłonu. — Canalo wyglądał na dumnego z siebie.

— Blekotu się objadłeś?! Ile razy ci tłumaczyłem, że pewnych modeli nie obsługujemy? — Westchnął Tex. — Trzeba mieć ambicję, ignorancie! Ford Pinto nie przysporzy nam splendoru. Co odpowiesz, jak cię kiedyś wnuki zapytają o osiągnięcia zawodowe?! Że grzebałeś się w najbardziej haniebnym pojeździe zaprojektowanym przez pijanego księgowego, fabrykanta wdów i sierot?! Do bani z taką robotą! Co mamy następnego?

— Mustanga! — Odparł niepewnie czeladnik.

— Rocznik?

— '79.

— Chryste Panie Nazareński! — Texas uniósł oczy ku niebu i załamał ręce.
— Dlaczego pokarałeś mnie tym gamoniem? Czym ci zawiniłem, ja nieszczęsny?

— Z Mustangiem też coś nie tak? — Zapytał skromnie Maciek.

— A co ci mówiłem? Prawdziwe Mustangi skończyły się w '73. Potem to już tylko co najwyżej wałachy produkowali. Tego ścierwa też nie obsługujemy!

— Coś ty taki wybredny? Samochód to samochód.

— A komputer to komputer. Czy ja cię pouczam, jak zresetować kody błędów w Trans Amie?

— No to ja już nie wiem, co mam przyjmować! Tego nie, bo bez fantazji, tamten nie, bo wstyd przed potomkami będzie... Ty weź się, Texas zdecyduj, prowadzisz warsztat, czy muzeum!

— Nie gardłuj mi tu, szczeniaku! Ambicję trzeba mieć, ambicję! Ale co ja ci będę tłumaczył, jak ty nie odróżniasz co to Mopar, a co Ford. Dobra, masz coś jeszcze?

— Mam! Ale też ci pewnie nie podpasuje.

— Przestań się bawić tym miernikiem i mów jak człowiek, kogo umówiłeś!

— Pamiętasz srebrnego Plymoutha z Saskiej Kępy?

— Tego przechodzonego Satellite'a? — Texas znał wszystkie wozy potencjalnych klientów w mieście.

— Zgadza się. Ten też ci nie pasuje?

— I tu jesteś w mylnym błędzie! Pasuje i luz ma! Dawaj go na jutro! I nie zapomnij zagadać z właścicielem.

— A po co ja mam z właścicielem gadać jak robota stoi?!

— Rytuał taki jest, mówiłem. To nie stacja obsługi FSO. Tu przyjeżdżają ci, co mają wiatr w podeszwach, fantazję znaczy! Nadążasz? Czyli trzeba zagadać. Że model rzadki, że takim Newman jeździł, że chromy ładne, że listewki, że kierownica... Masz się zainteresować. A co u małżonki, a jak tam w pracy? Więź z klientem budujesz, jasne? Ja muszę lecieć, mam interesy do załatwienia.

Potem Texas swoim zwyczajem zniknął i nie było z nim żadnego kontaktu. Następnego dnia Maciek był zły. Co on sobie wyobraża, że całą robotę będzie odwałował sam? A jak trzeba wyciągnąć silnik? Elektroniką miał się zajmować, a nie jakimiś starymi kłopotami. Dosyć! Rzuci tę robotę przy pierwszej okazji! A tamtego co tak długo nie ma? Może klient zrezygnował... I dobrze, poczeka jeszcze kwadrans w warsztacie i jedzie do siebie. Odetchnął. Tak, na pewno już nie przyjedzie.

Dziesięć minut później Plymouth pisała hamulcami przed drzwiami warsztatu. Canalo zgrzytnął zębami. „I nie zapomnij zagadać z właścicielem”. Cwaniaczek! Maciek domyślał się, gdzie skurczybyk polazł! Wieczorem w Iluzjonie grają „Le Mans”. Założyłby się o każde pieniądze, że Texas tam wła-

śnie miał te swoje interesy do załatwienia. Wspólnik! Jasne! A tamten, czego tak trąbi? Poczekać minutę nie łaska?! I nic mu nie powie! Żadnego zagadywania! Będzie zbywał wyniosłym milczeniem klienta i jego pieprzonego Satellite'a. Niech wie, że ma do czynienia z chłodnym zawodowcem, co to niejedną gablotę widział. Wyszedł powoli na zewnątrz przywdziewając maskę obojętności.

— O w mordę! Ale felgi! — Wyrwało mu się mimo woli.

No bo jak tu zachować obojętność, kiedy się widzi takie cudo?! Oryginalne koła, z nowiutkimi, chromowanymi kołpakami, a do tego opony z najprawdziwszymi, białymi trymami, żadne tam malowane olejną! Toż to wóz od razu nabiera innego charakteru. Nie, no teraz Satellite dostał jakby nową osobowość. Canalo przyglądał się z całkiem nieprofesjonalnym zachwytem na twarzy.

— Niezłe, co? — Facet w skórzanej kurtce i okularach w drucianej oprawce wysiadł i z wyższością patrzył na Maćka. Miał sękatę dłoń i wodniste spojrzenie.

— No, teraz wygląda, jak Gina Lollobrigida na najwyższych szpilkach!

— No i antrapa nie połamana, popatrz pan!

W rzeczy samej, wóz uśmiechał się błyszczącą apetycznym chromem atrapą chłodnicy (przez zawodowców zwaną antrapą), co dodatkowo oddalało go od klimatów kojarzących się z wrastającymi w ziemię rdzawymi zwłokami. A całkiem niedawno wydawało się, że jego dni są policzone. Żeby jeszcze dołożyć brakującą listwę boczną, to będzie kompletny. Drzwi mają trochę wykwitów, ale to drobiazg, najważniejsze, że galanteria w całości. Jeszcze tylko listewkę boczną trzeba by założyć, a burchel na drzwiach się załata. — Ciągnął okularnik, po słownictwie sądząc w branży nie od wczoraj.

Canalo uznał się za pokonanego.

— Ale skąd wziąć teraz taką listewkę? Żeby do czterodrzwiowego, to jeszcze by dobrał, ale do coupe, to zupełna kaplica.

— No właśnie chciałem, żeby szef coś poszukał. Może sprowadzić? Ja nie mam czasu się tym zająć. I szarpie na wstecznym.

— Olej w skrzyni trzeba wymienić. — Mruknął odruchowo Maciek.

— Coś pan, przecież z duperelą bym nie przyjeżdżał. Nowy olej jest. To coś ze skrzynią.

— Zajrzymy. Pan przyjedzie w sobotę. Z wozu wszystko zabrane?

— Moment. — Okularnik wyjął z bagażnika podłużny pakunek w skórzanym futerału.

— Myśliwy? — Canalo przypomniał sobie instrukcje Teksasa.

— Trochę polujemy ze znajomymi. — Odparł skromnie gość odsuwając zamek futerału sztucera.

— Profesjonalny sprzęt... Ładna sztuka. — Maciek budował dalej więz z klientem.

— Jedyne w całym kole łowieckim.

— Dużo jelonków położył?

— Będzie trochę. I dzików i saren. To do soboty, tak? I pamiętajcie o tej listewce!

Texas wrócił w piątek i zaczął od zlustrowania wozów w warsztacie.

— Ładne koła, tylko listewka na błotnik by się jeszcze przydała. — Powiedział patrząc na Plymoutha. — Z właścicielem zagadałeś?

— Zagadałem. — Canalo był z jakiegoś powodu rozdrażniony.

— Coś taki rozmowny?

— Od urodzenia gęba mi się nie zamyka.

— No opowiedz coś. Czegoś się o nim dowiedział?

— Łowca jeleni.

— Gdzie? W Iluzjonie?

— Nie. Ten od Plymoutha poluje. Myśliwy znaczy.

— Serio? Znaczący z resortu... interesujące. — Texas zamyślił się na chwilę.

— A gdzie poluje?

— A skąd mam wiedzieć? — Canalo wzruszył ramionami. — Ma Sig Sauera wartego chyba z połowę tego wozu. Właśnie... Jutro odbiera, muszę jeszcze skrzynię włożyć. — Dodał znacząco.

— Dobra, spadaj. Sam dokończę.

— A jutro?

— Masz wolne. Jutro ja będę z klientem więz budował. Porozmawiamy sobie o polowaniach, sztucerach i zwierzynie... Najważniejsze jest zdobywanie informacji u samego źródła. — Mruknął, ale Canalo już tego nie usłyszał. Pędził do Iluzjonu. Jeszcze zdąży. Dziś leciał „Klute”...

Błękitny Chevrolet zahamował kłaniając się nisko przednim zderzakiem. Jak zwykle pierwsze zwróciły na niego uwagę dzieci... i koty.

Nie! Wróć! To nie ta historia!

Co ja z tymi kotami?

Dzieci, mówię! Rzuciły się w stronę auta zapominając o kłótni, którą przed chwilą toczyły. Ten samochód nie pasował do otoczenia, był obcym elementem. Tu, na wschodzie kraju taki widok należał do rzadkości, przybysz z pewnością przyjechał z daleka.

Do kościoła było stąd jeszcze kilkadziesiąt metrów, ale kierowca postanowił przebyć ten dystans na piechotę. Szedł powoli przykuwając uwagę kilku

spieszących na targ kupców. Czuł niechętnie spojrzenia na plecach. Minął plebanię i wspiął się po schodach prowadzących do nawy głównej małego, zbudowanego w charakterystycznym dla XIX wieku neogotyckim stylu kościoła. Usiadł na ławce w bocznej nawie i czekał. Wiedział, że duchowny powinien się niebawem pojawić w konfesjonale.

W tak małym miasteczku jak to nic nie uchodzi uwadze stałych mieszkańców. A pojawienie się egzotycznego przybysza musi wywołać zrozumiałe zainteresowanie. Ksiądz proboszcz Stefan Madejski wychyliwszy się z okna plebanii, obserwował wchodzącego po schodach człowieka i zachodził w głowę, kim też może być ów niecodzienny gość. Że przyjezdny, to widać na pierwszy rzut oka. Choćby po tym dziwacznym samochodzie. Na turystę jednak nie wyglądał. Zresztą skąd teraz, przed sezonem turysta? Poza tym, czy to miejsce było aż tak atrakcyjne, żeby przyciągać globtroterów spragnionych atrakcji? Ani tu rzeki, ani zabytków, a do najbliższych jezior będzie dobre sto kilometrów. Sam kościół, też nie stanowił żadnej gratki dla koneserów architektury, ot po prostu budynek, jakich wiele w całym kraju. Czego więc szuka tu ten człowiek? Proboszcz poczuł lekkie ukłucie w okolicach mostka. Organizm zawsze reagował w ten sposób na sygnały ostrzegawcze, jakie wyśłała wyobraźnia. Czy tym razem rzeczywiście były powody do niepokoju?

Ksiądz Madejski objął tę parafię kilka lat wcześniej po tragedii, która dotknęła jego poprzednika. Głośna to była sprawa w tych okolicach. Dziś na budynku już nie został nawet ślad, wszystkie okopcenia zakryła warstwa nowego tynku, środek odmalowany, wymieniona podłoga. Całkiem, jakby tamte wydarzenia nigdy nie miały miejsca. Ale z ludzkiej pamięci wszystkiego wymazać się nie da. Mieszkańcy do dziś wspominają tamtą noc. Płomienie pojawiły się koło północy i błyskawicznie opanowały cały parter. Zanim przyjechał wóz straży pożarnej, przez kilka minut okolicą wstrząsało nieludzkie wycie. Istota, która nie była już człowiekiem, ale odczuwała wciąż bardzo ludzki ból, walczyła do końca. Jeśli nie o ratunek, to bodaj o szybką śmierć. Ale koniec nie nadchodził. Chociaż ogień trawił nogi do kości, chociaż ból rozrywał ciało i prawie odbierał świadomość, mózg wciąż funkcjonował i otrzymywał bodźce. Minęło pięć długich minut, zanim rozdzierający głos palonego żywca umilkł. Sąsiedzi zapamiętali bardzo dokładnie każdą sekundę tego konania, a zgroza jak najlepszy utrwalacz wypaliła w ich pamięci głęboką, nieusuwalną bliznę.

Mówiono, że pożar spowodowała niesprawna instalacja grzewcza, że to był nieszczęśliwy wypadek.

Nawet najgłupszy w okolicy, Mietek Kołodziej, nie uwierzył w zapewnienia oficjalnej wersji. Mietek, zresztą jako jedyny nie bał się mówić tego otwarcie. Zwłaszcza, gdy pokosztował miejscowego specjału „Złocista Pokusa”, robił

się wylewny ponad miarę. Bywało, wychodził na rynek i napotkanym przechodniom opowiadał o wydarzeniach poprzedzających pożar na plebanii.

— Nachodziły, skurwysyny, nachodziły księdza dobrodzieja! — Darł się Mietek. — Szyby na plebanii wybijały, dzwoniły z pogroźkami! Kręciły się jakieś gałgany, zawsze po cywilu, ale ja od razu poznał, co one za jedne! Psia swołocz! Aż ubiły, ubiły nam księdza dobrodzieja! Bo się zastraszyć nie dał. Bo gadał, co myślał! Luudzie!! Nie werzta, że pożar sam wybuchł! Ubiły nam księdza czerwone gady!!

A potem Mietek zniknął. Nikt nie wiedział, co się z nim stało i nikt pytać nie śmiał. Ot, po prostu, pijak był, pijaka nie ma! A było to, ksiądz Madejski pamiętał doskonale, w tym roku, kiedy to po raz pierwszy nikt nie zaganiał mieszkańców na pochód pierwszomajowy do niedalekiego Białegostoku. Przydzielono mu tę parafię kilka tygodni po tamtych wydarzeniach i zasugerowano, żeby nie interesował się zbytnio losem swojego poprzednika. Niebezpiecznie było drążyć ten temat, nic dobrego by z tego nie wynikło. Pożar sam wybuchł i koniec! Żadna inna ewentualność nie wchodziła w grę. Zapomnieć, nie pytać! Każdy rozsądny ksiądz postąpiłby zgodnie z takimi właśnie dobrymi radami. Madejski był jednak niepokorny. Do tego w jego sercu tkwiła zadra, o której nigdy, nikomu nie powiedział, a która uwierała i sprawiała, że w pewnych kwestiach wykazywał ponadprzeciętną wrażliwość.

Miał siostrę Krystynę, która wiele lat temu, jeszcze w czasach potępania okresu błędów i wypaczeń, nie dała wiary reformatorskim zapędom towarzysza Wiesława i przy pierwszej sprzyjającej okazji przeniosła się za Wielką Wodę, by wieść wygodne życie na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Kilka lat potem, firma, w której pracowała Krystyna Delaney (de domo Madejska) otworzyła filię w Korei Południowej. Polce zaproponowano posadę w biurze w Seulu. Pisywała wtedy do brata listy dzieląc się swoimi wątpliwościami, co do kolejnej poważnej zmiany w jej życiu. Ksiądz odpisywał jej ogólnikowo, wiedząc, że ich korespondencja poddawana jest rutynowej inwigilacji, w końcu jednak przekonał siostrę, żeby propozycję przyjęła. I tak rozpoczęła nowy etap w swoim życiu. Mąż i córka pozostali w Los Angeles, a Krystyna dzieląc swój czas pomiędzy pracę i częste podróże do Stanów, pięła się po szczeblach kariery.

1 września 1983 roku, w okolicy Sachalinu sowieckie myśliwce zestrzeliły południowokoreańskiego Jumbo Jeta wykonującego lot KAL 007. Samolot był nieuzbrojony i przewoził 246 pasażerów. Wrzawa medialna, jaka potem wybuchła z trudem przedostała się za żelazną kurtynę, a standardowa dezinformacja *made in Moscow*, zwykle towarzysząca tego typu przekazom, dodatkowo utrudniała rzeczową ocenę sytuacji. Ksiądz Stefan początkowo zareagował niedowierzaniem. Nie, chyba tak daleko by się nie posunęli. Żeby

z zimną krwią zestrzelić samolot pasażerski?! Nawet Kreml w dzisiejszych realiach nie odważyłby się na coś takiego! To niepojęte!

Stopniowo jednak, wyłapując strzępki wiadomości z serwisów informacyjnych uporczywie zagłuszanego Głosu Ameryki zaczął zdawać sobie sprawę, że to się naprawdę wydarzyło. A potem jakiś nieuchwytny niepokój zakradł się do jego umysłu. Krystyna! Z miejsca zaczął się sam uspokajać. A bo to był jedyny lot ze Stanów? Jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat tym samolotem?

Dopiero tydzień później dowiedział się, że to, co było tak mało prawdopodobne, okazało się prawdziwe. Wracała z konferencji w Nowym Jorku lotem KAL 007... Loteria przypadków.

Jak na duchownego, który powinien zachowywać stoicki dystans do rzeczywistości, zareagował nietypowo. Wszystko to, z czego zdawał sobie sprawę, ale co pozostawało dotąd w sferze teoretycznych sporów, nagle okazało się dotyczyć go bezpośrednio. Barbarzyńcy nie byli już tylko odległym zagrożeniem, teraz wkroczyli do jego życia. Jak to możliwe, żeby reszta świata to wciąż tolerowała? Czy nikt nie widzi, że z nimi żaden dialog nie jest możliwy? Każdy gest inny, niż rewanż będzie odczytany jako słabość. Traktowanie ich jak równorzędnych partnerów zawiodło, czy tego nie widzicie?! Nie dogadacie się bo nie ma wspólnej płaszczyzny kulturowej! Dalej, do cholery, przestańcie się z nimi cackać! Zróbcie coś, zanim przekonają się o własnej bezkarności!

I tak oto Madejski zapragnął odwetu. Zawstydził się tak prymitywnej reakcji, chciał stłumić w sobie to niechrześcijańskie uczucie, ale gniew był silniejszy. Czuł, że miłosierdzie chwilowo ulotniło się z jego serca, co nie ułatwiało mu wypełniania misji w parafii. Ból i wściekłość były jednak silniejsze, niż wyrzuty sumienia.

Być może to właśnie sprawiło, że mimo kategoriycznych zakazów zainteresował się losem swojego poprzednika. Stopniowo, metodycznie zaczął gromadzić informacje. Początkowo wykorzystywał okazję jaką stwarzała posługa duszpasterska i po prostu rozmawiał z mieszkańcami miasteczka. Prości ludzie, najpierw nieufni, stopniowo otwierali się przed nowym proboszczem i mówili mu wszystko, co pamiętali o tamtej sprawie. Zaczął zestawiać informacje i wyciągać wnioski. A jednym z owych wniosków była konstatacja, że bez fachowej pomocy nie rozwiąże tej zagadki.

W Białymstoku spotkał człowieka, który korzystając z chwilowej koniunktury politycznej próbował, tak jak Madejski, wrócić do tajemniczej śmierci księdza i sprawę wyjaśnić w majestacie prawa. Był to młody prokurator, energiczny i pełen wiary w możliwości jakie stwarzała nowa rzeczywistość. Śledztwo ruszyło z kopyta, a Madejski jak mógł pomagał w zbieraniu danych. Wspólnie doszli do zaskakujących wniosków i niewiele brakowało, a dotarliby

do kluczowych dla śledztwa informacji. Trwało to kilka miesięcy i zakończyło się dla prokuratora tyleż niespodziewanie, co boleśnie. Czerwiec owego roku zaczął się burzą tak gwałtowną, że nawet najstarsi obywatele nie pamiętali silniejszej nawałnicy. Przez chwilę wydawało się, że po kataklizmie atmosfera się oczyści i mimo pogodowych anomalii wszystko wróci na właściwe tory. Nic podobnego. Burza rozpoczęła się w nocy, nadeszła gwałtownie i mimo, że niektórzy wróżyli ją od pewnego czasu, dla większości była szokiem. Cały dotychczasowy, trzyletni dorobek, nadzieje, szanse i oczekiwania udanych zbiorów legły w gruzach. Burza wytrąciła oręż z wielu rąk i wielu musiało znów zaczynać od zera. Niejednemu spadł but z nogi. Ba! Oba buty: prawy i lewy. Czerwcowy zamach natury na spokój i dobrobyt przerażał najtwardszych. Tak to bywa z letnimi kapryсами aury. Taka burza może wiele zmienić... Zwłaszcza burza nocna. Zmiana pozbawiła prokuratora sprawy, którą z takim entuzjazmem prowadził. Odebrano mu ją, rzucając jakiś pretekst dla przykrycia prawdziwych przyczyn. Rozgoryczony, postąpił wbrew wszelkim regułom. Skopiował najważniejsze akta i przekazał je na wszelki wypadek Madejskiemu, wtajemniczając go jednocześnie we wszystkie niuanse sprawy. Od tej pory proboszcz działał już całkowicie poza oficjalną drogą, wiedząc, że tylko w ten sposób może poznać prawdę. Po kilku latach stał się swego rodzaju ekspertem od tajemniczych zgonów, jakie w ostatnim dziesięcioleciu trapiły szeregi duchownych, a także mniej pokornych świeckich obywateli. Potrafił rozpoznać metody i wskazać, oczywiście czysto hipotetycznie, jednostki operacyjne, które w owych metodach się specjalizowały. Była to wiedza trudna do przecenienia, a jednocześnie całkiem nieobecna w głównym nurcie życia społecznego. Zresztą i bardzo dobrze. Bo też i po co komu taka wiedza? A bo to mało problemów każdy ma i bez tego?

Madejski kilkakrotnie wystąpił na łamach mniej poczytnej prasy i prowincjonalnej telewizji skierowanej do starszych i gorzej wykształconych, gdzie dzielił się wynikami swoich poszukiwań, wzbogacając dodatkowo wywody dygresjami na temat organizacji, która dokonywanie tajemniczych zaginięć oraz wywoływanie niewytłumaczalnych zgonów opanowała niemal do perfekcji. Rzecz jasna mało kto się takimi tematami zainteresował, bo jak tu dzielić uwagę pomiędzy gadające o jakichś głupotach głowy, a „Koło Fortuny”?! Mimo to był ktoś, kto występy Madejskiego śledził z dużą uwagą. Ten ktoś postanowił w końcu złożyć księdzu wizytę osobiście.

Madejski stał jeszcze przez chwilę przy oknie, czekając, czy przybysz aby nie wyjdzie po chwili z kościoła, ale drzwi wejściowe ani drgnęły. Niepokój znowu powrócił. Co to za człowiek? Przecież nie przyszedł do spowiedzi. A jeśli... Ksiądz stał chwilę nieruchomo, po czym powziął decyzję. Nałożył stulę i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę kościoła. Wspiął się po schodach i wszedł do środka. Po jaskrawym słońcu poranka, oczy nieprzywykłe do

ciemności nie widziały prawie nic, za chwilę jednak wzrok przyzwyczał się do półmroku i duchowny dostrzegł pochyloną przy pustym konfesjonale sylwetkę. A więc nie mylił się. Ruszył wolno w tamtą stronę obserwując nieufnie klęczącą postać. Zajął miejsce za drewnianą przegrodą i czekał, ale tamten wciąż pozostawał w bezruchu. Madejskiemu ciarki przeszły po plecach. Czy tak właśnie skończył poprzedni proboszcz? Człowiek po drugiej stronie wciąż milczał.

— Czy twoje brzemię jest aż tak ciężkie, synu? — Ksiądz zdecydował się przemówić pierwszy, byle tylko przerwać ciszę.

— Tym cięższe, że nie czuję skruchy. — To nie zabrzmiało, jak głos potrzebującego spowiedzi.

— Czy chcesz wyznać swe grzechy? — Madejski starał się opanować drżenie rąk.

— Nie, padre. Moje grzechy będą obciążały tylko moje sumienie, nie chcę obarczać nimi bliźnich.

— Więc co mogę dla ciebie zrobić, synu?

— Przybyłem tu porozmawiać...

— Na jaki temat?

— Na temat kogoś, kto spłonął żywcem. — Madejski zadrżał po raz kolejny, ale opanował się szybko. Nie był człowiekiem lęklwym. Inaczej nie objąłby tej parafii.

— Dlaczego chcesz o nim rozmawiać?

— Bo mam wrażenie, że interesuje nas ta sama historia, padre. Tylko obaj poznawaliśmy ją z innej strony.

— Kim ty jesteś?

— To nie ma znaczenia. Ważne jest to, że działam w tej samej sprawie.

— Szukasz? — Madejski zawiesił głos.

— Tak, padre, ja też szukam nieznanych sprawców. Czy możemy przejść stąd w jakieś inne miejsce? Nie najlepiej czuję się na kolanach, nawet w obliczu Pana.

Przeszli do sadu za plebanią. Przybysz nie chciał rozmawiać w pomieszczeniu. Był dość oszczędny w słowach, w zasadzie cedził informacje na swój temat, jakby była to jakaś tajemnica. Zresztą może i była, Madejski nie chciał wnikać w te sprawy. Interesowało go natomiast coś innego.

— Dlaczego zgłosiłeś się akurat do mnie? Przecież jest prokuratura, policja. Takimi sprawami powinno zająć się państwo.

— Państwo?! Jakie państwo?! Ta fasada, która zastąpiła poprzednią? Nowa fasada, zamiast starej? Czy ten miraż nazywasz państwem, padre?

— Ten twór może nie jest doskonały, ale tylko taki nam dano. Musimy próbować go zmienić, skoro nie jesteśmy nim zachwyceni. Trzeba zreformować od wewnątrz to, co należy do starych struktur, ale nie wolno występować przeciwko.

— Zreformować?! — Wszedł mu w słowo przybysz. — Czy ja się nie prześlasyłem?! Czyżby ksiądz też uległ tej iluzji stworzonej na użytek naiwnych mas, którym wystarczy kilka kłamstw, żeby zaakceptowały przypudrowaną maskę starej kurwy jako niewinną twarzyczkę malowanej dziewczycy? Ileż to razy odgrywali przed wami ten sam spektakl? Grudnie, sierpień, marce, październiki... Kolejne fazy tej samej strategii. Nie mamy własnego państwa. Czy to aż tak trudno zauważyć?! Nie mamy, bo niby skąd miałoby ono się wziąć? Kto miałby je nam podarować? I dlaczego? Skoro nawet nie byliśmy na tyle uczciwi wobec siebie samych, żeby jasno postawić sprawę i przyznać, że zatarciliśmy wolę walki o prawdę, że okupant już całkiem przerobił nas na „ludzi sowieckich”, nic nam się dziś już nie należy! Żadne państwo! Tylko zagroda dla bydła, do której z taką pokorą daliśmy się zagonić! I to właśnie nam zafundowano i kazano nazywać niepodległym państwem.

Ksiądz milczał. Szukał kontrargumentów, ale po chwili uświadomił sobie, że tamten powiedział na głos to, przed czym on sam uciekał w myślach.

— Więc co według ciebie należy zrobić? — Zapytał wreszcie. — Odrzucić całkowicie tę grę? Stanąć z boku i obojętnie patrzeć? Czy...?

— Czy... Właśnie sam odpowiedziałeś sobie na pytanie, padre.

— Co właściwie chcesz wiedzieć? — Madejski westchnął zrezygnowany.

— Wiem, że parę lat temu miała miejsce seria zabójstw księży. Wszystkie były upozorowane na wypadki, lub napady rabunkowe. Bardzo dobrze upozorowane. To musiała być robota zawodowców, a najlepsi zawodowcy wywodzili się z jednej organizacji. Właśnie ich szukam.

— Dlaczego sądzisz, że ja mógłbym ci pomóc?

— Zbyteczna skromność, padre. Obaj wiemy, że stał się ksiądz najlepszym znawcą tematu wśród zwykłych śmiertelników, to znaczy wśród ludzi spoza resortu.

Madejski przyglądał się przenikliwie dziwnemu rozmówcy. Przez chwilę przemknęła mu myśl, że może to prowokator, nasłany szpicel, który ma za zadanie sprawdzić, jak daleko w swoim prywatnym śledztwie zaszedł prowincjonalny proboszcz. Madejski podświadomie wiedział jednak, że przybysz nie jest wysłannikiem tamtego środowiska. To był ktoś inny, czuł to. Ten człowiek, tak jak on sam szukał prawdy o wydarzeniach sprzed paru lat. Może czegoś jeszcze poza prawdą, pomyślał Madejski widząc zimne spojrzenie tamtego.

— Nie przypuszczałem, że moje nieliczne wystąpienia w mediach kogoś na serio zainteresują. Już prędzej spodziewałem się wizyty funkcjonariuszy z tej drugiej strony.

— Tego nigdy nie można wykluczyć, padre. Oni wciąż są, patrzą i słuchają.

— Wiem.

— Jaka była ich struktura organizacyjna? — Zapytał cicho. — Komu podlegali?

Madejski znieruchomiał, choć przecież od dłuższej chwili spodziewał się takich pytań.

— To nie są bezpieczne tematy...

— Życie w ogóle jest niebezpieczne. — Odezwał się matowym głosem przybysz. — Ktoś idzie ulicą, wraca, powiedzmy do domu nie spodziewając się, że przeznaczenie czeka tuż za rogiem. Nagle podjeżdża samochód, wypada z niego trzech bandytów, porywają przechodnia i wiozą do lasu... Łamią mu żebra, kopią, aż traci świadomość, miażdżą palce. A na koniec jeden wyciąga broń, przystawia ofercie do skroni i pociąga za spust. Koniec. Człowieka nie ma. A jeszcze godzinę wcześniej planował, co zje na kolację, gdzie pojedzie na weekend, z kim pójdzie na wódkę. Taak, życie to niebezpieczna przygoda... Zwłaszcza dla ludzi o sztywnych karkach.

Milczeli przez chwilę, ale słowa już nie były potrzebne. Madejski patrzył pod nogi. Po źdźbłe trawy maszerował jakiś owad. Wszedł na krawędź i próbując zachować równowagę kontynuował wspinaczkę. Z tej perspektywy wyglądał, jakby poruszał się po skraju ostrza brzytwy. Taki biegacz na ostrzu, pomyślał machinalnie duchowny.

— Nawet jeśli ich odnajdziesz, nic nie zrobisz. — Odezwał się wreszcie ksiądz. — Napotkasz niewidzialną barierę, której nie będziesz w stanie przebić.

— Czy to była osobna jednostka? — Przybysz pytał, jakby chciał wiedzieć, jaka będzie jutro pogoda.

Madejski westchnął ciężko. Odciągnął rozmówcę w najdalszy zakątek sadu i mówił szybko przechodząc niemal do szeptu.

— To była sekcja należąca do struktury IV Departamentu, coś w rodzaju szwadronu śmierci. Grupa starannie dobranych i wyszkolonych fachowców. Specjalizowali się w nękaniu, zastraszaniu i likwidacji... Działali głównie przeciwko nam, ale byli na tyle skuteczni, że wypożyczano ich i innym departamentom. Zajmowali się też opozycją. A teraz uważaj! To nie byli zwykli mordercy z kryminału. To w większości wszechstronnie wykształceni ludzie, z dyplomami wyższych uczelni. Psychologia, filozofia, często erudyci, chociaż trafiali się i zwykli sadyści. To była безпеca cywilna, ale podobnych fachowców mieli i wojskowi. Konkurowali ze sobą, starali się nawzajem kontrolować.

— Wokół jakich środowisk się dziś skupiają? Muszą przecież utrzymywać kontakty między sobą.

Madejski ponownie westchnął, po czym mówił cicho przez kilka minut. Tamten słuchał z beznamiętną miną nie przerywając. Gdy ksiądz skończył, odezwał się wreszcie.

— Co skłoniło księdza do zajęcia się tą sprawą?

— Cóż to, młody człowieku? Przeprowadzasz wywiad prasowy? — Zakpił duchowny.

— Nie, padre. Po prostu interesują mnie ludzie, którzy nie stracili pamięci.

— Pamięć, powiadasz... Czasem zastanawiam się, czy to właśnie nie dobra pamięć sprowadzi na mnie kiedyś nieszczęście. Są tacy, którzy wspomnianie przeszłości uważają za największą zbrodnię. Ot popatrz, jeszcze dziesięć lat temu postać w sutannie większości rodaków kojarzyła się z czymś stabilnym, ostoją, enklawą, do której można uciec przed mroczną rzeczywistością. Dziś jesteśmy opluwani i wykpiwani nawet przez tych, którym dawaliśmy jeszcze nie tak dawno schronienie. Dziś oni właśnie dokonują operacji na zbiorowej pamięci. To operacja bezbolesna, więc większość może jej nawet nie poczuć...

— Obawiam się padre, że będzie jeszcze gorzej. Zapłacicie wysoką cenę za kurczowe trzymanie się prawdy o przeszłości. Szansę dostaną tylko ci z was, którzy zrozumieją nową konieczność dziejową i pozwolą sobie pamięć zoperować bez protestów.

— Kim ty jesteś? — Madejski ponowił pytanie. — Nie wyglądasz mi na żarliwie wierzącego, a jednak wydajesz się stać po stronie Kościoła. Więc jak to jest, synu?

— Czy to aż tak trudno zrozumieć, że można nie wierzyć w interpretację, ale doceniać fundamenty?

— To, co chcesz zrobić... — Zaczął Madejski, ale przybysz nie dał mu skończyć.

— To, co chcę zrobić to zaspokojenie podstawowej, elementarnej potrzeby. Po to między innymi powstają wspólnoty, narody, cywilizacje. Żeby zaspokajać takie potrzeby jednostek, które nie mogą się same bronić. Tu ten mechanizm zawiódł, państwo tym samym straciło monopol na wymierzanie sprawiedliwości.

— Wiesz chyba, że jako duchowny powinienem cię odwieść od tego zamiaru?

— Proszę, padre, wysłucham wszelkich racji, jestem gotów dać się przekonać. Byle tylko ciężar argumentów był odpowiedni...

— Obawiam się, że byłbym mało przekonujący. Sam siebie nie mogę przekonać...

— Kryzys wiary?

Ksiądz odwrócił się na chwilę od rozmówcy, jakby chciał dać sobie czas na znalezienie właściwych słów. Nie był pewien, czy to dobry moment na takie tematy. Nie chciał się przed nim zwierzać. Odwrócił się ponownie, ale tamtego już nie było. Ulotnił się bezszelestnie. Madejski ruszył w stronę ulicy, chcąc go dogonić. Po chwili usłyszał przytłumiony ryk potężnego silnika. Przyspieszył kroku, ale kiedy ujrzał wreszcie samochód, niknął on już w tumanach wznieconego kołami kurzu. Patrzył przenikliwie za odjeżdżającym.

— Dorwij ich, synu... — Szepnął, chociaż ten dziwny człowiek nie mógł przecież już tego usłyszeć.

Ksiądz wiedział, że będzie musiał się z tych słów wypowiadać.

Dla niektórych las nocną porą jest siedliskiem niemyłych skojarzeń. Miejsca, które w słoneczny dzień kuszą rozświetlonymi polanami i soczystą zielenią, po zmroku zmieniają się nie do poznania. Są tylko ciemniejsze i jaśniejsze plamy, a jeśli do tego dochodzi zachmurzone niebo, wędrówka po lesie staje się dla większości ludzi przykrym wysiłkiem. Dla większości, ale nie dla wszystkich. Porucznik Grzegorz Wilnowicz w las zapuszczał się głównie nocą. I to zarówno w sprawach zawodowych, jak i hobbystycznie. Kiedyś, za dawnych, dobrych czasów w lesie niejednokrotnie odrabiał nadgodziny. Jako były oficer Sekcji D IV Departamentu MSW, niekiedy zwanej również Wydziałem VI, oficjalnie nieistniejącego oddziału, a przez samych członków nazywanego czasem Departamentem Nieznanych Sprawców, często w leśnej kniei kończył prowadzone przez siebie sprawy. Wizyty owe miały charakter sezonowy i rozpoczynały się z reguły w początkach kwietnia, a kończyły mniej więcej w połowie października. W tym bowiem okresie ziemia była w miarę miękka i łopata wchodziła w grunt z dużą łatwością. Zimowe mrozy skutecznie uniemożliwiały wykonywanie obowiązków służbowych. W każdym razie w lesie. Wilnowicz znał na pamięć wszystkie podwarszawskie puszcze i lasy, i zawsze potrafił doskonale znajdować odpowiednie rejony do zakończenia kolejnych spraw. Umiał perfekcyjnie trafiać na takie miejsca, gdzie nie było zbyt dużo korzeni drzew. To zresztą była pierwsza rzecz, na którą kazali im zwracać uwagę. Takie tam tajniki pracy operacyjnej. Korzenie stanowiły duży problem. Trzeba, dajmy na to szybko wykopać dość głęboki dół, tak, żeby uniknąć przy tym niepowołanych gapiów. Wybór miejsca miał tu zasadnicze znaczenie. Wybierzesz miejsce na chybił trafił, nakopiesz się człowieku jak kto głupi, a potem trafiasz na gruby korzeń dębu i robota stop! Trzeba szukać dalej. A noc krótka, zwłaszcza w lecie. A przecież dół trzeba jeszcze zakopać i o kamuflażu pomyśleć, żeby jakiś przypadkowy kundel czego nie-

potrzebnie nie wygrzebał... Tak więc doświadczenie odpowiednie trzeba mieć i wiedzieć, co się robi!

No, ale to były takie nocne, służbowe obowiązki. Dla przyjemności zaś, porucznik zapuszcza się w las po nocy zaczął stosunkowo niedawno, mniej więcej na początku ostatniej dekady dwudziestego stulecia, kiedy to polowania stały się wśród byłych pracowników resortu nową modą i okazją do towarzyskich, „bezalkoholowych” spotkań w kole łowieckim. Wilnowicz zawsze miał niezłe oko. Tak jak wcześniej na służbowej strzelnicy deklasował wszystkich kolegów uzyskując zawsze najlepsze skupienie, tak i na polowaniach z reguły wystarczał mu jeden strzał. Zwłaszcza, gdy w piersiówce miał tequilę. Po żadnej innej wódce nijak się do strzału nie mógł złożyć tak skutecznie, jak po dobrej Olmece Blanco. Oczywiście o żadnej soli, czy cytrynie nie było mowy. Wystarczyło wcześniej zrobić dobry podkład z bigosu i można było śmiało wyruszać na polowanie. Tej nocy wybrali się na dziki z podchodu do Puszczy Białej. Wilnowicz jak zwykle poszedł w las samotnie, zostawiając swoich kompanów daleko na północnym wschodzie. Nikt go nie szukał i nie przywoływał, wszyscy doskonale znali jego zwyczaje. Zawsze chodził swoimi drogami i potrafił zrobić kilkanaście kilometrów po lesie, pod warunkiem wszakże, że jego piersiówka była odpowiednio zaopatrzona. Swoją kniejówkę kaliber 30—06/12 oparł o ramię, lufami do góry i ruszył w głąb lasu, szybko odnajdując stary szlak. Byli tacy, co twierdzili, że kniejówka na podchód to fatalny pomysł. Że nic innego, tylko sztucer, panie, jest najlepszy na podchód na dzika. Spudłujesz raz, to możesz nie tracąc celu z oczu przeładować i strzelać zwierza drugi i trzeci raz, jak potrzeba poprawić, argumentowali. Pudłujcie sobie ze swoich szpanerskich winchesterów do woli, panowie, odpowiadał na to Wilnowicz. Ja pozostanę przy moim ulubionym boku i zamiast pudłować, pierwszym pociskiem dzika położę. A jak mu z jakichś niepojętych powodów będzie mało, to Breneką poprawię i sprawę definitywnie zakończę. Nie potrzebuję pojemnych magazynków do robienia dziur w niebie, jak wy.

Na każdym polowaniu padały te same argumenty i toczyła się ta sama dyskusja. I teraz było podobnie. Porucznik jednak tej nocy wdawać się w żadne dyskusje nie miał ochoty. Łyknął tylko tęgą porcję z piersiówki, poprawił przewieszoną przez pierś torbę myśliwską i ruszył na południe oddalając się stopniowo od miejscowości Długosiodło, ich bazy wypadowej na tę noc. Jak zwykle podczas polowania miał przy sobie tylko broń długą. Swojego Colta, pocziwiał „czterdziestkę piątkę” zostawił w domu. Z powodu tego pistoletu koledzy z resortu podśmiewali się z niego czasem, że odgrywa Johna Wayne’a. Większość używała służbowych P-83, ale Wilnowicz uznał, że dawne wytyczne już go nie dotyczą w nowej rzeczywistości i sprawił sobie taką właśnie egzotyczną broń. Lubił mieć przewagę w sile ognia, a amunicja kalibru

11,43 mm dawała gwarancję, że jeden celny strzał rozstrzygnie każde starcie. Dziś jednak nie chciało mu się targać ze sobą ciężkiego Colta po lesie.

Szedł niespiesznie kierując się w rejon, gdzie jak wiedział dziki miały żerowisko. Małe pole wśród lasów, na którym dwa tygodnie temu zakopali płytke w ziemi kilkanaście kilo ziemniaków jako przynętę. Zwierzyna chadzała tam po nocach, za dnia leśniczy sprawdzał ślady. Takich miejsc w okolicy było kilka, on wybrał akurat to, bo wiedział, że nikomu z reszty nie będzie się chciało taplać w mokradłach, które były akurat po drodze. Chciał być sam, potrzebował trochę czasu na przemyślenia. Nie to, żeby się jakoś poważnie niepokoił. Od tajemniczej śmierci Cholewy minęło kilkanaście miesięcy, początkowe zaskoczenie dawno już minęło. Nie czuł strachu, zresztą oddając mu sprawiedliwość, niełatwo było go nastraszyć. To jego się bano, to on zawsze wzbudzał lęk. To, z czym mieli do czynienia, to była zwykła, rutynowa sprawa, ot, po prostu potrzebny był dobry śledczy i tyle. Tak próbował sam siebie przekonać. Kulę, która utkwiała w kręgosłupie tego nieszczęsnego idioty, Cholewy, Marian kazał przezornie oddać do zaprzyjaźnionego laboratorium. W ogóle dużo trudu ich kosztowało, żeby sprawę przejęła Warszawa, a nie lokalne łapsy. Z chłopakami ze stołecznej zawsze szło się dogadać, nie to co z tymi prowincjonalnymi glinami, pełnymi kompleksów i uprzedzeń. No, w każdym razie dostali nieoficjalnie, rzecz jasna, wyniki badań balistycznych. Marian jakby coś przeczuwał, wyciągnął akta tamtej starej sprawy. Miał nosa do takich rzeczy. Chociaż laboratorium nie było pewne w stu procentach, bo pocisk był znacznie zdeformowany, to jednak układ bruzd był dość podobny do tamtej, starej, dobrze zachowanej kuli. Dawali siedemdziesiąt procent szans, że oba pociski były wystrzelone z tej samej broni. W sądzie by to nie wystarczyło, ale było w sam raz, żeby wzbudzić ich czujność. Jeszcze raz wrócił pamięcią do tamtych wydarzeń.

Zaczęło się od tego, że rozkazano im pracować nad kimś spoza ich zwykłego kręgu zainteresowań. Wilnowicz był wtedy od jakiegoś czasu w niezłych tarapatkach. Wracał z imienin, nawet dużo nie wypił, cholerny pech! Musiał zasnąć za kierownicą, złapał pobocze, samym końcem zderzaka ją zawadził... Głupia baba, po co się włóczyła po nocy?! Patrol akurat niefartownie się napatoczył. Następnego dnia wezwał go naczelnik, była komisja dyscyplinarna. Siedzieć może by nie poszedł, ale ze służby pogoniliby jak nic. Marian go wtedy wybronił, ujął się za nim w dowództwie. Równy kumpel.

Robili od lat na zagadnieniu „kościelnym”, to była ich specjalizacja i tu czuli się najpewniej. Gdyby chodziło o jakiegoś wikarego, czy proboszcza, sprawa byłaby rutynowa. Ale góra ni stąd, ni zowąd kazała zająć się tym cholernym weteranem. Diabli nadal! Jak w ogóle dotrwał do tych czasów?! Takiego kozaka powinno się zneutralizować jeszcze za Bermana! Nie miał prawa przeżyć do 1956! Coś dziurawa była jednak wtedy kontrola... Jak tylko

Marian przyszedł wtedy do nich z rozkazami, Wilnowicz nie omieszkął wyrazić swojej dezaprobaty. Przecież to nie ich działka! Niech się nim zajmą ci z trójki, to ich podwórko! Widział, że Marian też zachwycony nie był, natomiast Cholewie, temu prostakowi, jak zwykle było wszystko jedno. Trzeba stuknąć, to się stuknie, byle samemu nie myśleć. Co za kretyn... Że też z takim musiał pracować... Ale cóż, wszystko, co mógł zrobić to trochę pogderać. Rozkaz to rozkaz, choćby tylko ustny! Rozpoczęli inwigilację. Łazili za figurantem we trzech, z kamuflażem, a jakże, wszystko według instrukcji. Ale ten stary drań, jakby wyczuł, że jest na widelcu i urywał im się znieca, nawet nie wiedzieli kiedy. Wchodzi dajmy na to do przejścia podziemnego pod Centralnym. Jeden idzie za nim, drugi przed nim, trzeci ubezpiecza ich w samochodzie na powierzchni. No i git! Łączność radiowa jest, na kilkaset metrów można się porozumieć. A ten, nagle, jakby się ulotnił, jakby jakaś pieprzona kamfora, albo co... Był i nie ma. Marian z nerw wychodzi, Cholewę i jego sztorcuje, a oni przecież wszystko zgodnie ze sztuką robili, jak na szkoleniu! Po kilku takich numerach, doszli do wniosku, że nie ma co, jak mają go zgarnąć, to tylko spod domu. I tak też zrobili. Nie przewidzieli tylko, że stary miał taki mocny prawy sierpowy. Najbardziej nie przewidział Marian... Zanim frajera sponiewierał, dostał taką petardę w zęby, że ja przepraszam! Ale, koniec końców, jeszcze się taki nie narodził, co by trzem naraz poradził. Wzięli go pod fleki, zawieźli do lasu, tego, co zwykle i... Właśnie. Co się wtedy wydarzyło, do dziś nie mogli pojąć. Już kończyli robotę. Obróbka wtedy była solidna, bez obciachu. Najpierw on i Cholewa się przyłożyli. Zgodnie ze sztuką, jak się należało. Cholewa, to nawet na akcję zakładał takie specjalne buty, ze stalowymi czubkami. Lubił tę robotę, od razu można było poznać. Pewnie dlatego góra go im wtedy przydzieliła. Pracował tak ostro, że, aż się zziątał. A i on sam, też nie zostawał w tyle. Tak, chyba jednego całego zebra mu nie zostawili, frajerowi. Potem, jak zwykle na koniec włączył się Marian. Ten się nie lubił babrać w posoce. Od razu wyciągnął gnata i... W pierwszej chwili Wilnowicz myślał, że to Marian strzelił, ale nie. Patrzy na niego, a ten, jakby taranem w ramię dostał. W tył poleciał, trafiony z małej odległości. Wpadli wtedy w panikę, to fakt. Ale tylko na chwilę. Marian był twardziel, zaraz się pozbierał, lewą ręką złapał za broń i robotę dokończył. A potem zaczęło się polowanie. Ganiali po lesie do rana, jak głupi. Do wozu wrócili przed szóstą, ledwo żywi, wściekli i przerażeni. Musieli o tym napisać w raporcie, nie było wyjścia. Jeśli to wyjdzie na jaw... Woleli nie myśleć, co się wtedy stanie. O dziwo wszystko rozeszło się po kościach. Żadnej afery, żadnego dochodzenia. Marianowi tylko zmyli głowę. Mogło być dużo gorzej. Sami, na własną rękę przeczesali potem cały teren. Przytargali nawet wykrywacz metali. Tylko dzięki niemu znaleźli kulę, która przeszła przez ramię Mańka na wylot.

Przegadali potem u Mariana w domu wiele godzin, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Stary, oprócz żony nie miał rodziny, dzieci, krewnych, nikogo. Kręcili się wokół niego różni ludzie, jacyś gówniarze z kamienicy, w której mieszkał. Prowadził taki mały warsztat samochodowy. Ludzie Ciętego często wstawiali mu mniej lub bardziej trefne wozy. Ale to były powszechnie znane sprawy, mieli u Ciętego wtyczkę. To nie mógł być nikt od niego. Zresztą, po co miałby to robić ktoś z tego środowiska? To były wszystko przytomne chłopaki, nie kładliby łba pod topór. Więc kto? Ktoś od Kornela? Jakiś profesor, czy docent z politechniki? Wolne żarty! Oni wszyscy byli tylko mocni w gębie, kiedy siedzieli za stołem z gorzałą w szklankach. Nie nadawali się do żadnych akcji odwetowych. A zwłaszcza w takim tempie! Co za koordynacja działania! Musiał ich śledzić, innego wytłumaczenia nie było. I miał broń... To już bardzo śmierdziało. A może... Tak, to przyszło im do głowy dość szybko. Może to była robota kogoś z resortu? No, wtedy siedzieliby po uszy w gówni! Jeśli to jakaś prowokacja, jeśli na przykład wojskowi po raz kolejny chcieli się im dobrać do dupy. Może znowu ktoś szukał kozła ofiarnego? Tylko kto niby tym razem miałby nim być, skoro Mirek poszedł na zieloną trawkę? Ale mijaly dni, tygodnie i miesiące, a sprawa nie ujrzała światła dziennego. A więc to nie była gra wewnętrzna. Dzierżyńskiemu niech będą dzięki! No dobra, ale co to w takim razie było? Trzech zawodowców (niech będzie, dwóch i jeden idiota) nie było w stanie trafić na najmniejszy nawet ślad, nic, zero! To było mocno niepokojące. Długo jeszcze wspomnienie tej nocy wywoływało dreszcze. Z biegiem lat jednak, stopniowo, zapomnieli o tej ponurej nocy w Puszczy Kampinoskiej.

Do czasu, kiedy zginął Cholewa. Marian twierdził, że to przypadek, że głupi kretyń zadarł być może z jakimś lokalnym gangiem, zataił sprawę i dostał znieścacka kulkę. No cóż, mogło tak być... A badania balistyczne pocisku? Według Mariana kula była tak zdeformowana, że wynikiem analizy można było sobie dupę podetrzeć. Z bruzd na resztkach stalowego płaszczka ktoś mógłby równie dobrze wyczytać *dzied maroz, krasnyj nos*. Wilnowicz nie do końca podzielał spokój przełożonego. Podświadomość mówiła mu, że oto ich stary znajomy z lasu właśnie powrócił, żeby skończyć to, co zaczął przed laty... Rozum bronił się jeszcze słabo przed tymi przeczuciami, ale coraz gorzej mu to wychodziło. Wyobraźnia zaczęła wchodzić na coraz wyższe obroty. Mijały miesiące, rok, półtora, a niepokój nie chciał się ulotnić. Od czasu do czasu potrzebował trochę spokoju i uporządkowania myśli. Samotna wyprawa na dzika była jak znalazł. Pociągnął kolejny łyk z piersiówki.

Był zbyt inteligentny, żeby nie roztrząsać kwestii, co go właściwie skłoniło do wstąpienia w szeregi bezpieki. Zastanawiał się nad tym często. Kiedyś, będąc wobec siebie brutalnie szczery, doszedł do wniosku, że głównym motywem była chęć dominacji. Był urodzonym sadystą, zdawał sobie z tego

sprawę. A resort dawał mu możliwość realizowania swoich upodobań. A przy tym wyróżniał się spośród swoich kolegów czymś więcej, niż tylko prymitywnym sprytem i brutalną siłą. Przewyższał ich inteligencją, w każdym razie większość z nich, może nawet samego Mariana. Wszystko to sprawiło, że Wilnowicz stał się bardzo sprawnym narzędziem w służbie systemu. Zanim został funkcjonariuszem ukończył psychologię na uniwerku, co dawało mu dodatkową przewagę w gnębieniu figurantów. Jego okrucieństwo było, można by rzec, podbudowane naukowo. Lubił wykorzystywać swoją wiedzę w pracy. Nie zdarzyło się, żeby torturowany przez niego człowiek zachował tylko dla siebie jakąś strategiczną wiedzę. Oprawca bywał finezyjny, umiał manipulować, podsycać nadzieję na ocalenie, mamił złudzeniem litości, tylko po to, żeby w ostatniej chwili odebrać resztki godności i człowieczeństwa. Był wirtuozem przesłuchań, czasem co starsi przełożeni porównywali jego skuteczność do legendarnej Luni Brystygierowej.

Czy był złym człowiekiem? Takie pytanie uważał za źle postawione. Nie rozpatrywał swojej postawy w kategoriach dobra i zła, nie uznawał takich pojęć. Nie wierzył też w determinizm historyczny Marksa. Po prostu przystosował się do systemu, który uważał za wynik splotu przypadków i celowych działań. Na komunizm patrzył jak na proces ewolucji biologicznej, chociaż nie był też fanem Darwina. Nie uważał, że nie było innej alternatywy, że marksizm musiał zwyciężyć. To zwykły przypadek, splot historycznych zbiegów okoliczności. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby występować przeciwko temu. Może to zresztą też przypadek, może gdyby zetknął się z komunizmem w innych okolicznościach, zamiast być jego mieczem i tarczą, walczyłby z systemem tak, jak ci, których tyle razy przesłuchiwał i torturował. Wybrał swoją drogę, bo... właśnie, co go tak naprawdę do tego popchnęło? Był stuprocentowym bezideowcem, to wiedział bez żadnych wątpliwości. A zatem? Czy gdyby znalazł się w innym środowisku, wstąpiłby do KOR-u, bo akurat wszyscy inni wstępowali? Nie, chyba jednak nie. Nie chciał przecież pluć pod wiatr, walczyć o przegrane sprawy. Czuł się raczej fachowcem do wynajęcia, specjalistą, którego talenty ktoś mógł kupić i dobrze za nie zapłacić. Robił to w czym był najlepszy, ale nie dał się wciągnąć w ideologiczne spory. Był ponad to.

Las zgęstniał, coraz trudniej było iść naprzód. Zaczął kluczyć wśród wysokich jałowców, starając się jednocześnie, by wypadkowa zmiennych kierunków prowadziła go z grubsza na południowy wschód. Co i raz trafiał na zrytą do czarnej ziemi ściółkę. Porzucił filozoficzne rozważania i skupił się na robocie. Była duża szansa, że natknie się na jakiś spory okaz, najlepiej by było, gdyby trafić całe stado na żerowisku. Trzeba tylko zrobić odpowiednio ciche podejście, ale o to się nie martwił. Znał się na cichych podchodach. Poczul, że alkohol zdążył już nieco wywietrzeć mu z żył, więc nie zwlekając tyknął kilkadziesiąt mililitrów natchnienia. Po chwili jego ruchy znów nabrały odpowied-

niej płynności, a gałęzie jakby same zaczęły ustępować mu z drogi. Zmrużył oczy i powiódł spojrzeniem po okolicy, bo zdawało mu się, że coś się poruszyło tam po lewej. Zamarł i obserwował. Las leciutko drgnął i jakby zapląsał. Oho, trzeba wzmóc czujność! A wiadomo, że na czujność nie ma to jak odrobina okowity... gorzałki znaczy się. Po chwili ruszył, lekkim łukiem omijając sosnę. Prawie omijając. Cholerne gałęzie! No i masz, kaptur rozpruty, policzek piecze! Rozwiązanie? Tak jest! Dezynfekcja! Po chwili wznowił uparty marsz. W dali, dokładnie na wprost coś zamajaczyło wyraźnie jaśniejszą od nocy plamą. Ki czort?! To nie mogły być pozostawione przez okolicznych mieszkańców śmieci, za wysoko. Na oko ze dwa metry nad ziemią. Jeśli nie śmieci, to co? Wszedł na teren raczej mało uczęszczany przez turystów, a i miejscowi rzadko się zapuszczali w te strony. Ruszył w kierunku plamy. W miarę jak się zbliżał plama zaczęła przybierać coraz bardziej geometryczne kształty, aż ostatecznie jego oczom ukazał się papierowy prostokąt formatu kartki A4 oprawiony w delikatną, drewnianą ramkę. Obrazek wisiał na gałęzi drzewa dokładnie przed jego nosem. Wyciągnął kieszonkową latarkę. Jego dłoń w podróży do kieszeni zaplątała się, całkiem przypadkiem, w korek piersiówki. Kiedy wreszcie snop światła zalał biały prostokąt, okazało się, że na papierze znajduje się jakiś obrazek i krótki napis. Zamrugał oczami i przysunął się bliżej. Obrazek okazał się być fotografią szczupłego mężczyzny, w ciemnej koszuli z wąskim, białym kołnierzykiem pod szyją. Kołnierzyk ciągnął się dookoła szyi, bez rozcięcia na wysokości guzików. Pod zdjęciem, widniało imię i nazwisko z poprzedzającymi je dwiema literami: Ś.P. Zmarszczył czoło mrugnął jeszcze dwa razy i już wiedział: miał przed sobą nekrolog. Tylko co tu, w głębi lasu robi nekrolog? Miejsce nekrologu jest na cmentarnej bramie, a nie w takiej głuszy. Wzruszył ramionami i skierował się zgodnie z wcześniejszymi zamierzeniami. Chwilę potem stąpnął był tak nieszczęśliwie, że potknął się, syknął z bólu i w ostatniej chwili podparł swoją kniejówką, pakując obie lufy w wilgotną ziemię. Pieprzeni leśnicy! Nie mogliby się wziąć do roboty i wyrównać tych wykrotów?! Mało nie skręcił kostki! I jeszcze ubabrał lufy swojej ulubionej broni! Wstał, przytrzymał sosnę, która najbezpieczniej na świecie zamierzyła się na niego konarem, po czym wrócił na szlak. Nagle, znów na wprost przed nim dojrzał kolejną białą plamę. Kolejną? Nie, to musi być ta sama. Zmylił drogę? On?! Wykluczone! Ale w rzeczy samej zbliżał się oto po raz drugi do białego prostokąta wiszącego na gałęzi. Wyciągnął latarkę i zaświecił. Znowu czyjeś zdjęcie. Ale inne. I podpis. Wytężył wzrok... I zgroza złapała go za gardło.

Znał i twarz ze zdjęcia i nazwisko, które widniało poniżej. Znał bardzo dobrze. Mózg przewinął taśmę ze wspomnieniami sprzed lat. Ciemny przedpokój, zapach benzyny wylewającej się z kanistra, błysk płomienia zapalniczki i rozdzierający krzyk przerażonego człowieka. To była prosta robota. Poszli

wtedy we dwóch, z Marianem. Szybka, sprawna akcja, bez świadków. Skąd tutaj to zdjęcie?! Poczul, że drżą mu ręce. Ścisnął mocniej broń i powiódł wzrokiem dookoła. Nic, cisza, ani żywej duszy. Czy na pewno?! Nagle zmysły zaczęły mu nadsyłać urojone sygnały ostrzegawcze. Każdy dźwięk brzmiał podejrzenie, każde poruszenie gałęzi wzbudzało strach. Ruszył przed siebie, nie wiedząc, w którą stronę podąża. Miał jednak nadzieję, że wciąż utrzymuje poprzedni kierunek. Nagle jego spojrzenie utkwilo w jednym punkcie. Gapił się jak zahipnotyzowany. Tym razem nie miał wątpliwości, co oznacza biała plama. Trzeci nekrolog wisiał nieco niżej, niż poprzednie. Czul, że w miarę zbliżania serce zaczęło żyć w piersi swoim własnym życiem. Przyspieszył kroku, chciał jak najszybciej odczytać nazwisko i spojrzeć na fotografię...

Tego też znał, chociaż, to nie był jego figurant. To była robota Cholewy, pamiętał jego szczegółowe opowieści. Nawet Marian się wtedy skrzywił. Młody proboszcz, gdzieś ze wschodu, chyba z Białegostoku. Tyle lat minęło. Kto mógłby o tym pamiętać? Nagle, zupełnie nieoczekiwanie Wilnowicz uspokoił się. Jak mógł tak dać się nabrać?! To przecież musi być kawał dawnych kumpli z departamentu! To oczywiste, tylko oni mogli się tak makabrycznie zabawić jego kosztem! No, tym razem przeholowali, strach zastąpiła wściekłość. Czul, że połamie dziś kilka nosów. Chciał krzyknąć coś na całe gardło, w porę jednak uświadomił sobie absurdalność swojej reakcji. Wiedział, że musieli tu gdzieś być, obserwowali go i śmiali się w kułak. Nie da im tej satysfakcji. Wyciągnął kompas, ustalił kierunek i ruszył sprężystym krokiem przed siebie.

Czwarty nekrolog zauważył w ostatniej chwili, o kilka kroków przed sobą. Tak się zapamiętał w swojej wściekłości, że zupełnie zapomniał o obserwacji okolicy. Drżącymi rękami wyciągnął piersiówkę i jednym haustem opróżnił ją do dna. Powróciła niepewność. Czul, że animusz będzie mu teraz potrzebny. Zbliżał się krok po kroku do wiszącego memento. Biel papieru hipnotyzowała, nie mógł odwrócić wzroku. Jaka twarz czeka na niego tym razem? Paniczna fala wspomnień uderzyła do głowy wyganiając resztki rozsądku daleko precz. Ścisnął mocniej strzelbę.

Ciemna postać wyplęnęła nie wiadomo skąd. Zjawia nagle stanęła krok przed nim, chwyciła żelazną dłonią lufę jego kniejówki, wyrwała mu ją z bezradnych rąk i odrzuciła daleko w zarośla. Strach rozlał mu się po trzewiach tak gwałtownie, że organizm nie wytrzymał stresu. Po nogawce pocięła mu gorąca strużka moczu. Oczy rejestrowały rozmazaną, ciemną sylwetkę. Przewyciężając zgrozę próbował zajrzeć jej w twarz. Omal nie krzyknął. To nie mógł być on! To niemożliwe! To sen, koszmar, który zaraz się skończy. Chciał się przebudzić, ocknąc w mokrej od potu pościeli. W zimnym świetle księżycy ujrzął smutną, szczupłą twarz. Patrzył w oczy człowieka, który nie żył od bardzo dawna. Nie mógł żyć! Jego szczątki zgniły dawno temu, nikt nie

wiedział tego lepiej od niego... Chciał krzyknąć, ale nie mógł. Serce waliło mu jak młot. Upiór przewiercał go martwymi oczami, jasna plama koloratki boleśnie kłuła pamięć. Nie mógł pojąć tego, czego właśnie doświadczał. Nagle zjawia poruszyła się, prawa dłoń uniosła powoli jakiś przedmiot. Wilnowicz rozpoznał dobrze znany kształt, na oksydowanej stali zatańczyło odbite światło gwiazd. Czy to mściciel, czy powrócił do tego świata, aby odpłacić mu za wszystkie zbrodnie, wyrównać rachunki? To się nie mogło dziać naprawdę! A jeśli jednak? Czy to oznacza, że zostanie osądzony? Nie, nie, nie! Za co i kto ma go sądzić?! Przecież on nie jest winien! Winien był system! System, który ich zmuszał, łamał każdego, kto się sprzeciwił. System. System był też ich stróżem. Dzięki niemu czuli się bezpiecznie, zawsze można było skryć się w jego labiryncie. Ale tu i teraz? Gdzie podział się ten stróż? Gdzie jest ta niewidzialna tarcza, którą system ochroni swojego poddanego? Tu i teraz był zdany na siebie. I na tego, który stał przed nim. I milczał. Wilnowicz zadrżał, czuł upokarzającą wilgoć moczu w nogawce. Szaleństwo zapukało do jego duszy, jeszcze chwila i osunie się w otchłań pijackiego delirium.

— Wybierasz się na grubego zwierza, przyjacielu? — Przemówiła postać.

To go otrzeźwiło. Nagle spostrzegł swoją pomyłkę. Skołowany umysł powołał do życia byt, który nie istniał. Wyobraźnia poniosła go jak ślepa kobyła. Tamte rysy, koloratka, martwe oczy rozplynęły się jak dym z ogniska. Nie znał mężczyzny, który stał przed nim. Oczy przywykłe do ciemności rejestrowały szczegóły fizjonomii, ale pamięć nie była w stanie połączyć twarzy z konkretnym człowiekiem. Mimo półmroku był pewien, że widział go pierwszy raz w życiu. Czyżby...? Obcy w lewej ręce trzymał ostatni nekrolog.

— Przyjrzyj się. — Usłyszał łagodny głos. — Poznajesz?

Nie musiał patrzeć na zdjęcie. Wiedział, kto na nim był. Chciał sięgnąć po kordelas przypięty do pasa, ale nie zdążył. Zimny metal stuknął go bezczelnie w skroń.

— Kto wtedy pociągnął za spust? Cholewa, Marian? Czy ty? — Znowu cichy, spokojny głos.

Może gdyby dziś nie zawarł bliższej znajomości z madame Olmecą zachowałby większy rozsądek. Ale teraz, po tylu zastrzykach animuszu, widząc, że ma do czynienia ze zwykłym śmiertelnikiem, obudził się w nim lew. Poza tym musiał zmyć z siebie śmierzdzące piętno upokorzenia. Zanurkował w dół próbując złapać tamtego za nogi i przewrócić, jak to ćwiczył wiele lat temu na treningach. Wydawało mu się, że zrobił to błyskawicznie, ale było to tylko złudzenie. Jego ruchy, powolne i niezdarne przywoływały na myśl niedźwiedzia chorego na epilepsję. Tamten bez trudu uniknął nieudolnego ataku, cofnął się i celnym kopnięciem ciężkiego buta zmasakrował Wilnowiczowi żuchwę.

— Zadałem ci pytanie. — Ciągnął obcy z niezmałonym spokojem. — Kto wykonał wyrok?

— Spierdalaj! — Wychrypiał Wilnowicz wypluwając ząb. Chciał wstać, ale chwilowo było to wyzwanie ponad jego siły.

Tamten zerwał mu z ramienia torbę myśliwską i zaczął grzebać w środku. Po chwili wyciągnął zapasową flaszkę, którą Wilnowicz przezornie zabrał ze sobą, w obawie, że piersiówka zdąży wyparować do rana. Bał się trzeźwienia w porannej mgle.

— Chyba powinniśmy jakoś uczcić nasze spotkanie po latach, co? — Zagaił tamten. — Powspominamy dawne czasy. Jak widzę, wciąż lubisz nocne spacerunki po lesie... — Rzucił Wilnowiczowi pod nogi nienapoczętą butelkę tequili.

— Pij! — Powiedział cicho, jego słowom towarzyszył metaliczny dźwięk. Pijak rozpoznał go jako napięcie sprężyny kurka. — Do dna! — Szepnęła cicho zabójca.

Nawet bez tego polecenia Wilnowicz to właśnie miał w planach. Ból odebrał mu chęć do walki. Chciał już tylko się napić i odpłynąć w bezpieczny niebyt. Odkręcił korek i przytknął butelkę do ust. Zakrztusił się i zaniósł suchym kaszlem.

— Nie ma to jak spotkać starego kumpla. — Dobiegł go gdzieś z oddali głos. — Nareszcie możemy szczerze porozmawiać, jak to przyjaciele. Teraz pogadamy o naszym wspólnym znajomym. Opowiesz mi o Marianie. Nie będziemy się spieszyć, do rana daleko... Pij...

Kierowca dalekobieżnej ciężarówki zeznał potem, że ten pijak nie dał mu żadnych szans manewru. Wytoczył się z lasu tak nagle, wtargnął wprost pod koła tak gwałtownie, że nie było czasu nawet na reakcję kierownicą. Uderzył go przednim zderzakiem. Widział, jak odbija się od szoferki i leci z powrotem w stronę drzew. Samochód przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, zanim udało się wyhamować masę dwudziestu ton. Kierowca wyskoczył na asfalt i podbiegł do leżącego na poboczu. W świetle porannego słońca ujrzął wywrócone białka jego oczu...

Augustów został już daleko za nimi. Spychowski zdecydował się z własnej woli wydać z siebie głos.

— O co teraz chodzi? Myślałem, że dotarliśmy już do celu. Gdzie znowu jedziemy, kamandir?

— Po narzędzia...

— Mógłbyś, do cholery wyrażać się jaśniej?! — Spychowski wręcz krzyknął. To było do niego niepodobne. Czyżby tracił nerwy? Zmęczenie im obu dawało się we znaki.

— Spokojnie doktorze, wszystkiego się dowiesz za chwilę. Póki co zaba-
wią cię powtórką z historii najnowszej...

— Czyń swoją powinność... skoro musisz.

— Tym razem jest to historia, z którą byłem osobiście związany. Cofniemy się o dwadzieścia kilka lat w czasie. Widzisz, ten wasz generał, no ten od ciem-
nych okularów, nie był darzony wtedy mówiąc delikatnie przesadnym zaufa-
niem na Kremlu. Ów brak zaufania nie był zresztą poparty jakimiś konkretnymi
argumentami. Zawsze przecież okazywał się lojalny, nigdy się nie postawił, nie
sprzeciwił, jak chociażby towarzysz Nicolae w bratniej Rumunii. Po prostu
Breżniew, a za nim prawie cały KC, bardzo podejrzliwie traktowali tego syna
polskiego, nie bójmy się tego słowa, obszarnika. Było nie było wychowany
w duchu kontrrewolucji, za faszystowskiego, sanacyjnego reżimu w głębi
duszy mógł być wciąż pełen wahań i sprzecznych uczuć. A co się stanie, jeśli
w chwili prawdy nie odważy się wydać odpowiednich rozkazów? Jak na przy-
kład ten mięczak Kania. Miał czelność powiedzieć, że nie będzie strzelał do
bezbронnych robotników, że nie dopuści, by powtórzył się rok 1970, że nie
wystąpi przeciw własnemu narodowi. Najwyraźniej zapomniał, kanalia, komu
zawdzięcza to, że miał możliwość stanięcia na samym szczycie hierarchii i pomyliły mu się priorytety. To nie naród go wywyższył, tylko my! Co za karygodny
brak konsekwencji! Skoro raz się sprzedał, to albo pozostaje stuprocentowo
lojalny, albo idzie na dno, *tertium non datur*. I zresztą zasłużenie poszedł na
dno. Ale czy jego następcą nie okaże się równie miękki? Tu już nie chodziło
o bratnią pomoc w Czechosłowacji, czy spacyfikowanie jednej kopalni. To
miał być prawdziwy test. Zaprzec się wszystkiego, co było mu kiedyś bliskie,
skierować lufy przeciwko narodowi, z którym, chciał nie chciał, był związany
na całe życie. A przecież kiedyś, dawno temu, zanim został generałem, ba,
zanim w ogóle włożył mundur, był przykładnym, bogobojnym szczerym pa-
triotą. Pamiętam, jak kiedyś w Jasieniewie, w „lasku” zarykiwaliśmy się ze śmie-
chu, czytając wytrzaśnięte w jakiś niepojęty sposób wypracowanie szkolne
małego Wojtusia na temat wierności ojczyźnie. Pracę napisał chyba jeszcze
w szkole powszechnej i mogłaby być wzorem dla każdego polskiego naro-
dowca. Kto wie, gdyby nie trafił na wschód, gdyby uszedł z innymi przez
Francję do Anglii, jestem pewien, że byłby prawdziwym antykomunistycznym
bohaterem, może również trafiłby do podręczników historii, tyle, że po dru-
giej stronie barykady. Popatrz doktorze, jak przedziwnie plotą się ludzkie
losy... Ale wracajmy do magicznego roku 1981. O roku ów! Kto ciebie widział
w naszym kraju! Jako się rzekło, towarzysz Leonid nie ufał generałowi. Ale
zrobić, tak po prawdzie, wiele nie mógł. A coś przecież trzeba było zrobić!
Jakoś musieli się zabezpieczyć na wypadek, gdyby w dorosłym Wojciechu
obudził się nagle mały Wojtuś. Tak zrodził się plan na wypadek zwycięstwa
kontrrewolucji. Zawsze warto mieć plan B. Plan A był bardzo dobry, bo czyż

można sobie wyobrazić lepszą kontrolę wielomilionowego ruchu związków zawodowych, na którego czele stoi kukła sterowana przez naszych podwykonawców? Ale takie gry wojenne zawsze zawierają pewien element ryzyka. Poza tym Moskwa była wtedy wyjątkowo nieufna, wszędzie węszyła podstęp. Wszystkim rezydentom na Zachodzie kazała szukać spisku zachodnich militarystów. Były to pierwsze objawy obłędu. Tutaj też chcieli się podwójnie zabezpieczyć. Dlatego Centrala zdecydowała, że w wypadku bierności władz, jeśli siłom reakcji, mimo głównego hamulcowego, uda się zdobyć władzę, pozostanie tylko sabotować działania nowych panów. Przewidziano wysłanie kilkunastu grup odpowiednio dobranych agentów, którzy mieli wykonać akcje dywersyjne, destabilizujące łączność, transport kołowy, lotniczy, w ogóle całą gospodarkę renegata.

— To mi wygląda na ciężką paranoję. — Przerwał mu Spychowski. — Robić takie podwójne zabezpieczenie, kiedy i tak kontrolowali całą sytuację.

— Zgadza się, miało to znamiona paranoi. Zresztą nie tylko to. Mniej więcej w tym samym okresie dostaliśmy wytyczne dotyczące zbierania najmniejszych śladów przygotowań Zachodu do uprzedzającego ataku atomowego. Andropow naprawdę wierzył, że taki plan istnieje, chociaż poza tym był całkiem rozsądny. Cała ta akcja umoczyła naszych najlepszych agentów w beznadziejnej i bezsensownej robocie na długie miesiące i przeszła do historii jako Operacja Rjan. Kupa śmiechu z tym była... z przewagą kupy. Więc to, co się działo tu, to tylko fragment większego zamieszania. W każdym razie szkolono nawet oddziały posługujące się płynnie językiem polskim. Ale, żeby chłopcy od zadań specjalnych mogli wykonać swoją robotę, musieli mieć na miejscu zapewnione odpowiednie wyposażenie. Trzeba było umieścić na terenie całego kraju skrytki z bronią, środkami łączności, i całym specjalistycznym sprzętem. I znów wezwano mnie. Jak ostatni rekrut ganiałem wiosną i latem pamiętnego roku po waszym pięknym kraju i siałem ziarna, które miały wzejść i przysłużyć się w walce z polską kontrrewolucją, gdyby generał skrewił.

— Zaraz, zaraz, przecież mieliście tu na miejscu bazy wojskowe, dlaczego, nie skorzystaliście?

— Tu właśnie leży Breżniew pogrzebany. To nie była robota armii, tylko nasza. A my z armią zawsze mieliśmy na pieńku. Wtedy Andropow nie chciał, żeby ktokolwiek, poza nami znał szczegóły operacji. Konkurencja, rozumiesz? Obawy okazały się jednak mocno przesadzone, wszystko poszło zgodnie z planem. A moje ziarna pozostały w ziemi i nikt nigdy nie zebrał ich plonu. Założę się, że żelastwo leży po dziś dzień i czeka na swojego odkrywcę.

— Chcesz powiedzieć, że mamy grzebać na oślep w jakichś kartoflach i szukać przedziewiałych kłamotów?

— Kto powiedział, że na oslep? Mówiłem ci, że byłem osobiście odpowiedzialny za całą operację. Lokalizację skrytek znam na pamięć, niektóre zostały zniszczone, wiesz, budowy, powódzie, rozwój infrastruktury. Ale kilka było tak rozmieszczonych, że musiały przetrwać do dziś. I raczej nic tam nie przedziewiało, sprzęt zatopiony był w szczelnych pojemnikach z olejem. Rozmawiasz z zawodowcem, doktorze.

— Czego właściwie szukamy?

— Domyśl się. Przecież nie złożymy wizyty mojemu znajomemu z pustymi rękami. On ma, jak widziałeś, wielu pretorianów. Domyślam się, że raczej trudno będzie się do niego dostać. Potrzebujemy odpowiedniego sprzętu... Tutaj zwolnij.

Zatrzymali się na małym parkingu, zostawili Passata i poszli wąską ścieżką w głąb lasu. Po kilku minutach Vadim zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Nie był pewien, minęło już tyle lat... Podeszedł do drzewa, którego gałęzie zwisały ciężko nad niskim pagórkem. Dotknął pnia, przejechał dłonią... Jest! Stalowy bolec wbity na całą długość w drzewo był niemal całkowicie przedziewiały, ale wciąż dobrze wyczuwalny. Marker. To było dokładnie naprzeciwko.

„Stanąc plecami do markera, przejść dwadzieścia pięć metrów, kopać metr w głąb pomiędzy dwiema sosnami.” Głosiła instrukcja, którą sam kiedyś napisał dla bezimiennego dywersanta.

Odetchnął i zachichotał nerwowo. Ruszył odmierzając krokami odległość. Spychowski przyglądał mu się w milczeniu.

— Wierzysz w Boga, doktorze? — Rzucił zniecierpliwiony Vadim, po czym rozłożył saperkę i zaczął powoli odgarniać warstwy ziemi.

— Co to za pytanie?!

— Dobrze, jak każde inne. Odpowiedz.

— Obawiam się, że ta teoria nie jest mi potrzebna, żeby funkcjonować. A ty? Masz jakichś bogów, którym bijesz pokłony?! — Zapytał z niedowierzaniem Spychowski. — Czyżbyś w głębi ducha był, dajmy na to, buddystą?

— Źle zgadujesz. Ale faktycznie, mam swojego boga.

— Tylko mi nie mów, że medytujesz przed portretem Berii...

— Mój bóg pochodzi z Dartford w hrabstwie Kent. — Vadim przerwał na chwilę kopanie. — I na początku nie miał w sobie nic z boga. Ot, zwykły śmiertelnik, tyle, że obdarzony ponadprzeciętnym talentem. A talent taki, jak jego, jest jak odbezpieczony granat. Jeśli straci się nad nim kontrolę, szybko nadchodzi koniec. Wielkość mojego boga polega na tym, że swój talent potrafił ujarzmić. To był proces, który obserwowałem, kiedy już stał na scenie i zmagał się z ludzką słabością. I wygrał. Przejął całkowitą kontrolę nad tym Darem. To wzbudziło mój podziw. Osiągnął doskonałość w bardzo młodym wieku, napi-

sał utwór, w którym ujawniła się cała jego wielkość. W historii rocka ten kawałek jest dla mnie odpowiednikiem największych arcydzieł literatury...

— „Delilah” Toma Jonesa?! — Nie wytrzymał Spychowski.

— Nie kpj, kolego, bo właśnie ujawniam ci ukryte, transcendentne fascynacje oficera wywiadu. — Rzucił wesoło Vadim. — Tego nie przeczytasz w kolorowym tygodniku. Tylko u mnie, sekretne wyznania szpiega!

— No dawaj, bo się skręczę! „Paranoid”? „Smoke on the Water”?

— Pudło, doktorku! Coś dużo bardziej wyrafinowanego! Coś absolutnie genialnego!

— To może Roger Waters...? „Another brick in the...”

— Zimno, mróz!

— Mam! „The End” Morissona!

— Może i niezły, ale on akurat był przykładem tego, któremu własny talent eksplodował prosto w twarz. Nie opanował mocy. Zachłysnął się swoją wielkością, był za słaby na takie igraszki. On nie mógł być bogiem. Próbuje dalej.

— Poddaje się!

— Najdoskonalszym tekstem w historii rocka jest „Sympathy for the devil”, przyjacielu! — Vadim odrzucił kolejną warstwę ziemi.

— Jagger?! — Spychowski był wyraźnie zawiedziony. — Oczekiwałem kogoś bardziej egzotycznego. Dlaczego on, a nie na przykład Lennon?

— Nie żartuj, nie można uznawać boskości kogoś, kto daje sobą sterować, jak teatralna marionetka! On był jedną z tych pożytecznych lalek, o których ci opowiadałem. To dziecko błądzące we mgle! Najlepszy przykład skuteczności naszych metod... Nawet nazwisko na to wskazywało. Od Lennona do Lenina tylko krok.

— Co i rusz ranisz moje serce, kamandir. Czy musisz tak bezwzględnie rozprawiać się ze wszystkimi mitami mojej młodości?

— Nikt cię nie zmusza, żebyś mi wierzył. Tkwij sobie w swojej błogiej nieświadomości, jeśli taka wola.

— Przecież on śpiewał tylko o miłości i braterstwie, a ty na siłę włączasz go w swoje gierki... Masz jakieś skrzywienie na tym punkcie.

— *Imagine all the people...* — Zanucił pod nosem Vadim. — Widzisz tę utopię? Wyobrażasz ich sobie? Wszystkich ludzi na raz? Równych sobie, miłujących się i żyjących w idealnej harmonii. Ja od razu widzę ich za drutami gułagu. Toż to marksizm w najczystszej postaci.

— Masz paranoję! Mniejsza z tym. Elvisa też zmanipulowaliście? Król też pracował dla was?

— Ten cholerny konserwatysta?! Żartujesz?! On miał duszę prawdziwego południowca, to za twardy materiał do obróbki...

— Ale dlaczego akurat „Sympathy for the devil”? — Spychowski wrócił do sedna. — Jest tyle lepszych kawałków...

— W warstwie muzycznej, może... Ale ja zawsze bardziej zwracałem uwagę na tekst, niż na muzykę. Takie skrzywienie zawodowe...

— No więc dlaczego akurat „Sympathy”? Wyjaśnij.

— Bo Jagger opisał tam dokładnie rolę takich, jak ja w najnowszej historii. Nic dodać, nic ująć. Miał jakiś przebłysk geniuszu, kiedy tworzył. Pewnie do dziś nie zdaje sobie sprawy, że ktoś to może tak interpretować. Kiedyś, dawno temu pozbawiono mnie tożsamości, przynależności państwowej, ktoś potłukł mój światopogląd, jak pustą butelkę, ale kiedy usłyszałem pierwszy raz „Sympathy” już wiedziałem, że będzie to mój osobisty hymn, moje credo. Tym właśnie jestem, człowiekiem zamożnym, o dobrym smaku... więc, jeśli mnie spotkasz, okaż trochę kurtuazji, trochę współczucia i trochę smaku.

— Megaloman z ciebie, kamandir, megaloman... — Mruknął Spychowski.

— No, koniec gadania! — Vadim nagle skończył kopać i powoli zsunął się do powstałego zagłębienia. — W plecaku jest bateria dziewięciowoltowa i kawałek drutu. Podaj mi to z łaski swojej i cofnij się, jeśli ci życie miłe.

— Co tam wykopałeś? Minę przeciwpiechotną?

Vadim nie odpowiedział. Odgarnął jeszcze kilka razy ziemię, aż saperka trafiła na coś twardego. Zewnętrzna pokrywa pojemnika. Oczyszczył ją dokładnie z ziemi i delikatnie usunął, uważając, żeby nie uderzyć tego, co znajdowało się poniżej. Aluminiowa skrzynia z uchwytem zachowała się nadszpiewanie dobrze. Teraz nadszedł moment prawdy. Schowek zabezpieczony był ładunkiem wybuchowym, na wypadek, gdyby ktoś niepowołany próbował dostać się do środka. Wiedział, jak rozbroić pułapkę typu „mołnia” i miał wszystkie potrzebne narzędzia. Problem polegał na tym, że po trzydziestu latach urządzenie było mocno nieprzewidywalne. Ostrożnie położył podaną przez Spychowskiego baterię na wierzchu pojemnika. Nożem oczyścił stalowe śruby na uchwycie. Teraz pozostało tylko podłączyć przewody i zamknąć obwód.

— Cofnij się za tamto drzewo. — Mruknął na widok pytającego spojrzenia towarzysza. — I zatkaj uszy...

— Nie można tego zrobić zdalnie?

— Za krótkie przewody. Poza tym przy dłuższych pojemność baterii by nie wystarczyła.

— A jeśli...

— Wtedy — Vadim zatoczył ręką łuk nad pojemnikiem — to wszystko będzie twoje... Nie wycofasz się? — Zapytał, bo tamten nawet nie drgnął.

— Nie chcę przegapić spektaklu. Zaczynaj.

Vadim poluzował śruby, zakręcił na łbach miedziane przewody, po czym jeden podłączył do dodatniego bieguna baterii. Drugi trzymał przez chwilę w dłoni, rzucił spojrzenie na kamienną twarz „Spychacza”, potem dotknął drugiego styku. Z wnętrza pojemnika dobiegł metaliczny dźwięk. Rosjanin wydał z siebie ledwo słyszalne westchnienie. Przekręcił uchwyt pojemnika o dziewięćdziesiąt stopni i otworzył wieko. Wyciągnął ze środka podłużną skrzynkę z tworzywa sztucznego, otworzył zamek. Chwilę potem trzymał w dłoniach lśniąca od smarów broń.

— Wiesz, co to jest? — Zwrócił się do Spychowskiego?

— Wygląda jak kałach, tylko kolba jakaś taka...

— Przydałoby ci się szkolenie wojskowe. U Ciętego, ani na uniwersytecie raczej cię tego nie uczyli, co? To jest SWD, Snajperskaja Wintowka Dragunowa. Nieco przestarzały, ale wciąż skuteczny karabin wyborowy. Zapewni nam przewagę na dużym dystansie.

Szczęście, jak to zwykle bywa, odwróciło się od nich kiedy już czuli smak zwycięstwa. Na przedmieściach Augustowa nadziali się na patrol drogówki. Spychowski zobaczył ich z odległości kilkuset metrów, ale zawrócenie w takiej sytuacji mogło wzbudzić niepotrzebne podejrzenia. Jechali więc powoli, licząc, że po prostu ich miną bez żadnych komplikacji. Najwyraźniej nuda późnego, letniego popołudnia sprawiła, że stróże prawa postanowili dla zwykłej rozrywki wyłuskać akurat tego, niczym nie wyróżniającego się Passata i dokonać rutynowej kontroli. Rosjanin zerknął nerwowo na futerał z bronią leżący na tylnej kanapie. Postać z wyciągniętym lizakiem była złośliwym prezentem od losu.

— Zgub ich, mistrzu. — Syknął Vadim. W jego głosie czuć było mieszaninę zmęczenia i zniecierpliwienia.

Spychowski zredukował bieg i kopnął pedał gazu otwierając maksymalnie przepustnicę. Passat ryknął swoimi nędznymi osiemdziesięcioma końmi i po chwili w tylnym lusterku zobaczyli ruszającą za nimi pogoń. Wpadli do Augustowa, ścigani rykiem policyjnej syreny. Musieli oderwać się na tyle od radiowozu, żeby porzucić wóz i bezpiecznie się oddalić. Spychacz skręcił w przecznicę i zaczął kluczyć wśród wąskich uliczek zabudowanych jednorodzinными domami. Zatrzymali się na małym placu pomiędzy posesjami, zabrali plecaki, Vadim wyciągnął z auta futerał z Dragunowem, po czym obaj ruszyli szybko w stronę centrum miasta.

Kompromitujące kłamoty ukryli na opuszczonej budowie i wolnym krokiem podążyli bez celu przed siebie. Wzmógł się ruch policyjnych radiowozów świadczył, że ktoś bardzo serio potraktował ich niewinną rejteradę. Postanowili wtopić się w wakacyjny tłum. Dzień miał już swoje najlepsze godziny za sobą, wieczór zastał ich, gdy mijali lokal rozrywkowy Albatros.

Kilkadziesiąt metrów dalej jakaś para wysiadła właśnie z białej limuzyny. Wokół niej kłębił się elegancki tłum gości weselnych.

— To nasz azyl na najbliższe godziny, doktorze. Ogarnij się, będziesz zabawiał druhny.

Spychowski z powątpiewaniem popatrzył na swoją wymiętą marynarkę, ale nie zaprotestował. Zmęczenie odebrało mu chęć do dyskusji. Powlókł się za Vadimem w stronę domu weselnego.

Rozdział X

W ogólnym rozgardiaszu wmieszali się w tłum i nie niepokojeni przez odzwiernych przeniknęli do środka. Postanowili się rozdzielić i przeczekać do rana, kiedy wesele będzie już dogorywało. Wtedy spodziewali się okazji do opuszczenia Augustowa bez wzbudzania podejrzeń potencjalnych policyjnych patroli, które teraz z pewnością ze wzmożoną czujnością krążyły po mieście. Przy odrobinie szczęścia mogli nawiązać jakąś znajomość i wykorzystać ją w dalszej części podróży. Kto wie, może nawet któryś z biesiadników wywiózłby ich z niebezpiecznego rejonu. O ile rzecz jasna znajdzie się ktoś, kto będzie w stanie nad ranem utrzymać pion. Tak, czy inaczej Vadim był zdania, że osobno mają większe szanse pozostać niezauważonymi.

Sam skierował się w stronę czegoś, co w zamierzeniu twórcy, przez optymistów zwanego zapewne architektem, miało wyobrażać bar. Stał przy skraju blatu, odwrócił się w stronę sali i obserwował sytuację. Tłum, z początku anonimowy, podczas rozkładania na czynniki pierwsze stawał się coraz bardziej przewidywalny, a jego składniki łatwiejsze do oceny pod względem przydatności przy porannym odwrocie. Większość, niestety już nie rokowała nadziei. Dawno minął moment początkowej drewnianej atmosfery, kiedy krawat namoczony w żurawinie wywołuje jeszcze zażenowanie. Teraz większość części składowych tej rytualnej daniny składanej Tradycji wchodziła właśnie na najwyższe obroty dzięki, czy może raczej pomimo, niestrudzonemu gierojom mordującym właśnie na syntezatorze i perkusji „Twist and Shout”. Będąc realistą, Vadim nie próbował nawet szukać sprzymierzeńców

na parkiecie. Skierował wzrok w ciemniejsze zakątki sali, wiedząc, że tylko tam, wśród „nieprzystosowanych” ma szansę na sukces. Początkowo łączył pewne nadzieje z pulchnym jegomościem ubranym w prążkowany garnitur, krawat w grochy i nieprawdopodobnie różową koszulę. Obiekt wyglądał na samotnego, spiętego i co najważniejsze trzeźwego. Po chwili jednak w pobliżu pojawiła się równie pulchna niewiasta z jakimś podlotkiem i cała trójka opuściła lokal.

Zrezygnowany, odwrócił się w stronę barmana.

— Co pan poleca, szefie?

— Mieszmamy, czy lecimy czystą? — Odpowiedział pytaniem tamten.

Vadim zawahał się przez chwilę. To było dobre pytanie. Od tej decyzji mogło wiele zależeć. Powinien zachować równowagę, nie tylko psychiczną przez kilka najbliższych godzin.

— No cóż, zaordynujemy na początek burbona bez lodu.

— Znaczący... czysta ma być? — Nie zrozumiał barman.

— Po prostu nalej na dwa palce z tego flakonika z napisem Jim Beam, przyjacielu.

Facet za barem, wyraźnie lekko obrażony, sięgnął na półkę i dość sprawnie zrealizował zamówienie. Zrobił to wprawiając całe ciało w charakterystyczne, marionetkowe ruchy, mające dać świadectwo wirtuozerii i absolutnego profesjonalizmu. Rosjanin powoli wchłonął pierwszą setkę i czekał na reakcję organizmu.

Czuł, że ma dziś niezłą kondycję, zamówił więc dubla i ponownie, teraz już z większą dozą optymizmu i wiary w człowieka rozejrzał się po sali. Jak zwykle w takiej sytuacji zmysły mu się wyraźnie wyostriły. Jego uwagę przykuła postać wyróżniająca się na tle reszty. Długowłosa blondynka stała tyłem do niego w wejściu do sali tanecznej. Zatrzymał na niej wzrok i obserwował przez kilka chwil. Był niemal pewien, że to ta sama kobieta, która licytowała Stratosę, a potem wiozła go tutaj. Przypadek? No cóż, to w końcu małe miasto i niezbyt wiele możliwości rozrywki w sobotni wieczór. Może to być całkiem sprzyjająca okoliczność. Odruchowo próbował określić, na czym polega jej wyjątkowość. Miała na sobie granatową suknię, odkrywającą plecy. W lewej ręce trzymała torebkę, prawą gestykułowała, klarując coś komuś stojącemu w cieniu. Zgrabna, świadoma swojej atrakcyjności, pewna siebie. Co jeszcze? Samotna? Być może. Trzeźwa? Może po kieliszku wina, z pewnością całkowicie panowała nad sobą. Wszystkie te myśli automatycznie przelatywały mu przez głowę, nie pozostawiając czasu na głębszą analizę. Uśmiechnął się w duchu. Nic nie wykorzeni raz nabytej rutyny. Dobrze, no więc na czym w końcu polega jej wyjątkowość? Oprócz urody coś jeszcze zwróciło jego uwagę. Przez chwilę próbował to coś wydobyć na powierzchnię i nazwać. Co było w jej zachowaniu, że nie pasowała do otoczenia? Chyba znudzenie. No

tak, to na pewno, ale nie tylko. Znudzenie wymieszane z poczuciem wyższości? Coś w tym rodzaju. W porządku, a więc to będzie punkt zaczepienia. Powoli zaczął ustawiać swoje oddziały na niewidzialnej mapie taktycznej, przygotowując przedpole. Przede wszystkim ściągnąć ją wzrokiem, wzbudzić zainteresowanie. Sam wielokrotnie powtarzał swoim ludziom, że jedno wymowne spojrzenie warte jest tysiąca słów. Jeżeli nie uda się wzbudzić zaufania, zainteresowania, czy pożądanego tym pierwszym spojrzeniem, można sobie darować dalsze próby werbunku. Dopiero jeżeli ten pierwszy etap zakończy się powodzeniem, można iść dalej. Zwłaszcza, jeśli celem była kobieta. Był sam przy barze, więc czekał cierpliwie, aż blondynka spojrzy w jego stronę, wiedząc, że zostanie zauważony. W końcu przerwała rozmowę z niewidocznym osobnikiem i, jakby była całkiem świadoma obserwacji, skierowała się w stronę Rosjanina. Kiedy szła, ostentacyjnie gapił się na nią, nie próbując nawet odwracać wzroku. Około trzydziestki, szczupła, zgrabna, może minimalnie za szeroka w biodrach. Znowu bezwiednie zaczął wyławiać detale, zamiast skupić się na dobrze rokującej całości. Skarcił się w duchu i szybko przywołał do porządku, chociaż Jim Beam próbował właśnie rozsiać się wygodnie w jego umyśle i uśpić instynkt łowcy. W tym świetle trudno mu było ocenić twarz, dopiero kiedy podeszła bliżej, mógł się prześlizgnąć wzrokiem po jej obliczu. Zrobił to klasycznie, rzucając spojrzenie, kiedy jego tułów był już w półobrocie w stronę baru. Ułamek sekundy, ale jemu to wystarczyło. Zarejestrował jej lekko wyniosłe spojrzenie, mocną oprawę oczu, i usta odrobinę za szerokie, żeby zrobić z niej modelkę, ale wystarczająco zmysłowe, żeby użyć jej jako przynęty dla jakiegoś arabskiego przemysłowca.

Arabowie byli pod tym względem przewidywalni w stu procentach.

Znowu wyobraźnia i rutyna zaczęły brać górę, postanowił więc skupić się na chwili obecnej.

— Pani chyba nie należy do rodziny panny młodej?

— Skąd taki wniosek? — W żyłach miała chyba więcej, niż jeden kieliszek wina, ale to akurat mogła być okoliczność sprzyjająca.

— Takie kocie ruchy, jak te przed chwilą, są chyba uwarunkowane genetycznie, a panna młoda, z całym szacunkiem, wydaje być się spokrewniona z kaczką.

To ją zaskoczyło, najwyraźniej nie spodziewała się adoratorów, w każdym razie nie takich, którzy grali w jej lidze. Przez sekundę patrzyli sobie prosto w oczy. Vadim powoli zrozumiał, że popełnił błąd. Jego taktyka była dobra na wiejskie dziewczęta, pragnące wyrwać się za wszelką cenę z domu rodzinnego, ewentualnie znudzone i zdeprawowane mężatki rozpaczliwie szukające potwierdzenia swojej atrakcyjności. Tymczasem miał przed sobą zwierzynę dużo bardziej wymagającą. Nie oznaczało to oczywiście, że przez to mniej łąsa na okazywanie zainteresowania. Po prostu poprzeczka była po-

stawiona dużo wyżej, tanie sztuczki zostałyby skwitowane wzruszeniem ramion. Zwierzyna popatrzyła z lekkim politowaniem i przerwała milczenie.

— Przepraszam, mam trochę zaburzoną percepcję. Czy to miał być komplement?

— Owszem, jaki odniósł skutek?

Mierzyła go przez chwilę spojrzeniem, próbując najwyraźniej określić jego rolę w otaczającym ich zamieszaniu.

— Pan chyba nietutejszy?

— O, to z pewnością był komplement, dziękuję.

— Proszę nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Czy prowincjonalne wesele jest bezpiecznym miejscem na podryw?

— To zależy dla kogo. Boi się pani?

— Niespecjalnie, jestem tu, można powiedzieć służbowo.

— Niech zgadnę. Jest pani odpowiedzialna za część artystyczną? Wieczór poezji śpiewanej? Mały recital na cześć młodej pary? Proszę mnie nie trzymać w niepewności i zdradzić szczegóły repertuaru.

Jeśli teraz go zignoruje, to pierwszą rundę przegrał. Może nawet, co raczej było jednak mało prawdopodobne, zakończyć się nokautem. Podniósł szklankę z Jimem Beamem, swoim jedynym, chociaż nieco zdradliwym sprzymierzeńcem i czekał.

— Pudło! Nie będzie romantycznych akcentów wokalnych, gdy poranne wstaną zorze. Jestem znajomą fotografa. Produkujemy dokumentację zdjęciową z tej jakże uroczej imprezy. Wie pan, retuszowane zdjęcie pary młodej nad makatką między świętym obrazkiem a jeleniem na rykowisku.

Pogratulował sobie w myśli i ostrożnie ruszył dalej. Postanowił też unikać tematów samochodowych.

— Czyli jednak jest pani artystką. Proszę mi powiedzieć, jakich technik retuszu pani użyje, aby pan młody dobrze komponował się z jeleniem?

— O, to już jest zadanie leżące raczej w gestii panny młodej...

Parsknął śmiechem, przyznając jej w duchu punkt za refleks. Po krótkiej, zabawnej wymianie zdań z barmanem udało mu się zamówić dla niej Margaritę. Nie wyglądała na przesadnie zajętą aranżowaniem zdjęć. Podjęła grę, pozwalając mu przejść inicjatywę.

— Chyba nie jest pani zachwycona udziałem w tym przedsięwzięciu?

— Ma pan na myśli wesele? To prawda, znam trochę kulisy tego, jak pan to określił, przedsięwzięcia. Gra pozorów. Zniesmacza mnie to. Ale cóż, każda rozrywka w sobotni wieczór jest lepsza od nudy.

Wypiła łyk Margarity i spojrzała na niego przeciągle.

— Mam na imię Marta. A kim pan jest? Jeszcze nie raczył się pan przedstawić.

— No cóż... Pani wybaczy. Miło mi panią poznać. Mam nadzieję, że odgadnie pani moje imię. Choć to, co panią zniesmacza, jest istotą mojej gry...

Zawahała się przez chwilę, jakby coś sobie próbowała przypomnieć. Powoli dokończyła Margaritę. Jej spojrzenie miało temperaturę skrzydeł wadłowca wchodzącego w atmosferę, ale słowa były zimne.

— Przykro mi, ale obawiam się, że nie mam współczucia dla diabłów.

Odwróciła się i odeszła malowniczo kołysząc biodrami. Przysięgłby, że kołysaniu towarzyszyła dobrze mu znana melodia. Ale, kto wie, może to tylko opary burbona, który niepostrzeżenie stał się trzecim graczem w tej rozgrywce. Dobrze, ślicznotko, pomyślał, przetestujmy zatem bezkres twojego intelektu.

Marta wyszła na taras i przez chwilę rozkoszowała się gorącą, letnią nocą. Ten dystyngowany mężczyzna zaintrygował ją. Takiego jeszcze nie miała na swoim rozkładzie, a trzeba przyznać, że mogła się poszczycić bogatą kolekcją. Był od niej sporo starszy, ale świetnie się trzymał, wyczuwała w nim jakąś egzotykę. To lubiła najbardziej, egzotykę. W myśli otworzyła już drzwi do swojej sekretnej kartoteki i zastanawiała się chwilę, do której szufladki włożyć ten interesujący okaz. Było tam kilka kategorii: „przewidywalny banał” — tu z pewnością nie pasował, „single shot — fire and forget” — też raczej nie, wiedziała, że z pewnością nie nasyciłaby się jednym razem, „true romance” — absolutnie nie, nie z tym jego lubieżnym spojrzeniem. A zatem pozostawało „mister nobody” — tak, to była właściwa szufladka, a ten mógł być w niej faworytem, czuła, że po wszystkim nadal pozostałby dla niej zagadką. Chyba tego właśnie dziś potrzebowała. Pociągała ją świadomość, że na wyciągnięcie ręki jest coś dla niej nowego, niespotykanego, tajemniczego. Poczwała odprężające podniecenie wędrujące z żołądka w dół. Nie próbowała tego powstrzymać. A zatem, kim jest ten człowiek?

Napięcie związane z transportem tego piekielnego samochodu powoli z niej odpływało, potrzebowała odprężenia. Ale czy zawieranie znajomości na tym weselu to dobry pomysł? Ciągłe miała w pamięci upomnienia ojca. Terroryzował ją swoimi obsesjami na temat bezpieczeństwa i konspiracji. Miała uważać na nowo poznawanych ludzi i stale się kontrolować. Krąg znajomych Marty był bardzo skromny. Całe życie upływało jej w napięciu, miała tego dość. Dlaczego musi płacić taką cenę za nie swoje decyzje? Wciąż nie miała rodziny, życia prywatnego, była częścią stworzonego przez ojca systemu. Sama siebie przekonywała, że chciałaby pójść własną drogą i zostawić to wszystko za sobą. Czyżby? Naprawdę tego właśnie chcesz? Jakiś wewnętrzny głos pytał szyderczo, słysząc jej myśli. Chcesz być zdana tylko na siebie? Zrezygnujesz z bezpiecznego zaplecza, z powiązań i koneksji ojca? Pójdiesz własną drogą? Wiesz, jak zmieni się wtedy twoje życie? Będziesz zdana wyłącznie na siebie. Myślisz, że jesteś gotowa funkcjonować samo-

dzielnie? Będziesz musiała pożegnać się z wygodnym, luksusowym życiem. Jesteś gotowa poświęcić to wszystko za wybór własnej, dumnej drogi?

Poza tym dawała sobie sprawę z jeszcze jednego aspektu takiej decyzji. Ojciec by ją znienawidził. On nie tolerował nieposłuszeństwa w swoich szeregach, a Martę traktował jak najwierniejszą poddaną. Gdyby zawiodła jego zaufanie ich relacje pogorszyłyby się dramatycznie. Wiedziała, że jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Przeszłość ojca była dla Marty mroczną historią, którą stopniowo, z biegiem lat odkrywała. Pamiętała pierwsze opowieści matki, kiedy jeszcze była z nimi. Tatuś jest stróżem porządku, pilnuje, żeby nikomu nie działa się krzywda, broni ich przed złymi ludźmi. Widziała tych złych ludzi w telewizji. Rzucali petardy i kamienie, demolowali radiowozy, wypisywali wulgarne hasła na murach. Dla niej było oczywiste, że ktoś musi z nimi robić porządek. Bała się ich i prosiła tatę, żeby ją i mamusię przed nimi obronił. A on zawsze odpowiadał, że póki pełni służbę, nic im nie grozi. Był wtedy dla niej ostoją bezpieczeństwa i gwarancją spokojnego snu.

A potem ojciec przyniósł do domu strach. Wrócił kiedyś z ręką na temblaku, blady i milczący. Matka długo płakała tamtej nocy, słyszała ich przytłumione głosy. Następnego dnia przyszli do domu jacyś ludzie i rozmawiali z ojcem przez kilka godzin. Siedziała przerażona w swoim pokoju i wyławiała strzępki zdań. Mimo woli usłyszała historię, którą chciała szybko wyrzucić z pamięci, ale nie mogła. Była już na tyle duża, żeby zrozumieć sens tej rozmowy. I zaczęła zadawać sobie pytania, czym tak naprawdę zajmuje się jej tata. Co robił wtedy w lesie, o czym rozmawiał z tymi strasznymi ludźmi w pokoju obok?

Po latach umiała już złożyć w całość wszystkie fragmenty tej układanki. I przyszedł dzień, kiedy spojrzała na ten obraz okiem dorosłego człowieka. Była wystarczająco inteligentna, żeby odrzucić wdrukowany w dzieciństwie przekaz. Teraz stanęła przed koniecznością własnej interpretacji. Naturalny bunt przeciwko ojcu, chęć odwetu za to, jak potraktował matkę, pomogły jej dokonać bezlitosnego osądu. Ekspłodowała mu prosto w twarz z siłą wszystkich cząstkowych żali i pretensji. Strzeżcie się odruchów, powiadają, bo mogą być szczerze. Zwyzywała go od morderców i katów. A on stał spokojnie i słuchał, jakby wiedział, że proza życia zaraz zweryfikuje jej poglądy. Bo przecież naturalną konsekwencją jej słów byłoby całkowite wyparcie się ojca, własnych korzeni, pozycji, statusu, a na to była za słaba. I ojciec miał rację, nie reagując. To rzeczywistość sama doprowadzi ją do porządku. Więc, gdy wreszcie ochłoneła, popatrzyła chłodnym okiem dookoła, w jej głowie rozpoczął się proces racjonalizowania i relatywizowania, którego efektem było wygnanie tego pierwszego osądu gdzieś w najdalszy zakątek podświadomości.

Coś przerwało ciąg wspomnień. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. W pierwszej chwili myślała, że to odnalazł ją niedawny adorator, ale szybko dostrzegła pomyłkę. Ten był dużo młodszy. Staął w drzwiach prowadzących na taras i patrzył na nią w milczeniu. Podobnie jak ten poprzedni kompletnie nie pasował do otoczenia. Czy dzisiaj rozpruł się jakiś worek z amantami? Co tu się dzieje? Czyżby aż tak silne sygnały wysyłało jej ciało? W głębi duszy wyła ze zbyt długo tłumionego niezaspokożenia. Czy to aż tak widać?

Tamten wbijał w nią dziwne, laserowe spojrzenie. Czowała się jak na polowaniu i to nie ona była łowczym. Ruszył powoli w jej stronę z dziwnym, bladym uśmiechem błędzącym w kąciku ust. Szedł powoli, jak tygrys osaczający swoją ofiarę. Gdy zbliżył się na dystans konwersacyjny, poczuła się niezręcznie. Któreś musiało się pierwsze odezwać. Czyste wariactwo! Poczuła — to niewiarygodne! — że rumieni się, jak nastolatka. Nie wytrzymała spojrzenia i spuściła wzrok. Co za bezczelny...

Próbowała bezskutecznie doprowadzić się do porządku. O co mu chodzi?! Na tarasie byli całkiem sami. Poczuła niepokój. Jej ciało tylko czekało na taki bodziec. Podniecenia nie dało się już oszukać kilkoma głębokimi oddechami. Wiedziała, że nie powinna pić tej ostatniej Margarity.

Był już całkiem blisko. Wciąż tylko patrzył i milczał. Co się tu dzieje?! Rozdzielało ich już tylko kilkadziesiąt centymetrów lepkiej, wilgotnej nocy. Zaraz oszaleję! — Pomyślała.

Delikatnie wzięła ją za rękę i bezwolną poprowadził na parkiet. Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego. Położył dłonie na jej talii. Był bardzo delikatny, jak na to swoje spojrzenie bojowego cyborga. Kim, do cholery, był ten człowiek? I dlaczego pozwalała mu przejąć inicjatywę? Czowała, jak gdzieś w głębi jej duszy przeskakuje jakaś dźwigienka, lub zapadka, czy może sprzęgiełko, coś, co sprawi, że za chwilę pozwoli temu facetowi zrobić ze sobą wszystko.

Zanim Vadim zdążył ruszyć w ślad za Martą, poczuł, że ktoś chwyta go mocno za łokieć. Kiedy mózg kazał nogom błyskawicznie złapać równowagę, prawa ręka, jak łeb kobry, spadła na nadgarstek napastnika i wygięła go boleśnie w dół. Ruch był tak szybki, że tamten powinien się co najmniej przestraszyć. I z pewnością tak by było, gdyby napastnik był trzeźwy. Ten jednak, wygiął tylko plecy pod nieprawdopodobnym kątem, po czym jak wańka—wstańka wrócił do pionu nawet nie zauważając obronnej reakcji Vadima

— Stefan, stary łajdaku, jak się cieszę, że cię widzę... hep! No popatrz, jaki ten świat mały! No co jest... hep... nie poznajesz mnie?! To ja, Waldemar! Taki szmat czasu... hep!

Vadim już mniej więcej w połowie wypowiedzi zrozumiał, że źle odczytał intencje nowego kompana. Widział faceta pierwszy raz w życiu, to nie ulegało wątpliwości. Każda sekunda wahania mogła jednak zepsuć idealną szansę na zintegrowanie się z tłumem.

— Waldziu, ty żyjesz, morda moja! Popatrz, a myśmy z chłopakami już cię prawie pochowali... Gdzieś się podziewał?

— Z jakimi chłopakami? — Tamten wydawał się nieco zdezorientowany. — Nieważne... hep! No przecież, że żyję! I to jak! Popij wodą!

— Ano, w rzeczy samej, kałdun ci rośnie, jak nie przymierzając maciorze przed porodem. Znaczy się, na biedę nie narzekasz? — Vadim beczelnie parł naprzód.

— A jak! Bieda jest dla frajerów, Stefciu, nie dla nas! Kompinować trza umieć! Popij wodą! — Dodał Waldek dla podkreślenia wagi wypowiedzi. — A jak tam twoja ferma? Założę się, że wydymałeś współnika... hep!... zawsze byłeś w tym dobry! Przyznaj się, puściłeś go z torbami?

— Nic się przed tobą nie ukryje, Waldziu!

— Ma się tą kiepełę! Hep!

— A ty co porabiasz? Ciągłe w tej dziurze? I co robisz na tym weselu?

Trzy pytania na raz rzucone prosto w twarz trochę tamtego zbiły z tropu, ale ochlapus szybko wziął się w garść i wybełkotał:

— Co tu robie?! Co JA tu robie?! — Wyglądał na autentycznie zdziwionego pytaniem. — Nie żartuj, Stefciu, no przecież to samo, co ty... hep! Z tego małżeństwa tęgie mogą być profity dla takich, jak my, łebskich gości. Toż syn starego Ludwisiaka wżenia się właśnie w rodzinę Gębów, tak czy nie?!

— No jak nie, jak tak! Tyle, że po prawdzie to póki co wżenia się w młodą Gębównę, co nie?

— No tak, morda moja, tak, ale każdego jeden wie, że nie dla jej wdzięków wątpliwych, rozumiesz mnie, to robi i nie bez powodu brzuch jej nadmuchał. Przecież jasne jest, że tu się rozchodzi o ciężki szmal. Popij wodą!

— Właśnie, Waldziu, nie będziemy tak gadali o suchym pysku, jak zwierzęta. Barman!

— Waldek, nie czekając na jakiś konkretny toast, wlał w siebie dwie zamówione przez Vadima pięćdziesiątki śliwownicy, czknał, oblizał się i kontynuował.

— Mówię ci Stefan... heep! ...ciężki szmalec...hep!

— No to dawaj, oświeć mnie, bo wypadłem trochę z obiegu.

— Stefciu, co ty mi tu za kocopały wciskasz?! Ty z obiegu wypadłeś?! Ty?!

— To długa historia, Waldziu... No to, co, na drugą nóżkę? I opowiadaj, opowiadaj...

— No więc tak: Ma stary Gęba fabrykę mebli, czy jej nie ma?

— No ma, jak w pysk strzelił, Waldziu. — Szarżował Vadim.

— No! A ojciec pana młodego jest radnym w powiecie, czy nie jest?

— Już drugi raz masz słuszną rację, Waldemar!

— No! Ruszają w powiecie budowy nowych i remonty starych szkół, czy nie ruszają?

— Ty, Waldziu, masz łeb na karku, widzę. — Rzucił z niekłamanym podziwem Vadim.

— A jak! Mówiłem ci ...hep! Poza tym Ludwisiak ma chody w ministerstwie, to wiadomo nie od dziś. Zgadnij teraz, która firma dostanie kontrakt na wyposażenie nowych szkół w meble?

— Teraz kumam! Ale jaki ty w tym masz interes, królu złoty? — Vadim podsunął Waldkowi następną kolejkę wódki.

— A taki, Stefan, że zainwestowałem w hurtownię płyty wiórowej i jak Gęba dostanie kontrakt, to chcę być, rozumiesz mnie...hep! blisko... O ceny martwić się nie musimy, rozumiesz, bo konkurencja będzie miała, rozumiesz mnie, słabiutkie notowania... Hep! Popij wodą!

— Daleko zajdziesz! — Vadim w ostatniej chwili złapał osuwającego się ze stołka Waldka i osadził go na powrót przy blacie baru.

— Ale uwaga, Stefek! — Waldek ocknął się i całkiem przytomnie kontynuował. — Nie chwal dnia zanim Mariola galotów nie ściągnie! Hep! Widziałeś tego grubego brojlera z wąsikiem? — Waldek machnął ręką mniej więcej w stronę sali balowej.

— Tego w jasnej marynarce?

— O to, to! To właśnie jest ta konkurencja... heeep! Zawada, gnida jedna, już sobie zęby ostrzył na ten kontrakt. Ale za krótki on tera, za krótki. Patrz, Stefciu, jaki wściekły, jak ślepiami strzela! Jakby mógł, to by Gębę własnym krawatem udusił! Wredna gadzina, Stefciu, wredna swołocz! Ma to w genach, a gena, Stefan nie wydłubiesz... Popij wodą!

— To nie rozumiem, w takim razie, po co go tu zaprosili? Żeby w oczy ludzi kłuł?

— Ech, Stefan, ty chyba faktycznie... hep... z choinki żeś się urwał! Przecież on jest ojcem drużby pana młodego! Jak go nie zaprosić? Hep! Dopiero skandal by był!

— A, czyli patowa sytuacja, brachu?

Vadim chciał rozwinąć temat narastającego weselnego napięcia, ale jego rozmówca właśnie był ostatecznie poległ. Bezwładne ciało osunęło się z gracją na podłogę i po chwili spod baru zaczęło dochodzić miarowe chrapanie. Vadim, nie zwracając na siebie uwagi oddalił się w stronę, z której dochodziły okrzyki kolejnych toastów. Nie zdążył pokonać połowy dystansu, gdy kątem oka dostrzegł umundurowanych policjantów wchodzących do lokalu.

Dwa młokosy z patrolu, pewnie dostali rozkaz skontrolować wieczorne imprezy na okoliczność pościgu za skradzionym Passatem. Drobna przykrość, ale mogła go drogo kosztować, gdyby sprawy poszły w złą stronę. Jeśli zaczęła legitymować gości... Poszukał wzrokiem Spychowskiego, bez skutku. Dotarł do sali biesiadnej. Młoda para siedziała za stołem, część gości wywijała hołubce na parkiecie. Bez słowa zajął wolne miejsce po prawicy pana młodego. Kilku biesiadników podniosło na niego pytający wzrok. Mundurowi rozmawiali dyskretnie z barmanem. Chwilę potem ruszyli w tłum zaczepiając tego lub owego gościa. Vadim powiódł tajemniczym spojrzeniem po gapiących się na niego w milczeniu ludziach, po czym złapał wielki kielich z niedopitym szampanem, stuknął w niego widelcem wyjętym z czyjejsz sałatki z majonezem, wstał i przemówił:

— Kochani! Zebraliśmy się tu dzisiaj w chwili tak uroczystej, aby uczcić to doniosłe wydarzenie!

Tu zrobił dramatyczną pauzę, a w oczach otaczających weselników zamigotały wielkie, świecące znaki zapytania. Mundurowi weszli nieśmiało do sali i prześlizgnęli wzrokiem po mniej lub bardziej przytomnych twarzach. Vadim beczelnie brnął dalej.

— Pozwólcie mi na wstępie złożyć serdeczne uszanowanie rodzicom pary młodej. Wszyscy znamy wkład państwa Gębów w rozwój naszej lokalnej infrastruktury. To dzięki ich staraniom nasz region może się pochwalić takimi wspaniałymi wynikami, to dzięki ich aktywności nasza młodzież nie musi już opuszczać rodzinnych stron. Z kolei szanowni rodzice pana młodego konsekwentnie wspierają wszelkie korzystne dla naszego miasta inicjatywy, sprawiając, że staje się ono wzorem przedsiębiorczości dla całego województwa. Nie, nie, szanowny panie Ludwisiak, proszę nie zaprzeczać. — Tu Vadim machnął ręką mniej więcej w stronę, osobnika, którego wytypował na ojca pana młodego i najwyraźniej nie pomylił się, bo ten skłonił lekko głowę, choć wyraz twarzy miał równie niepewny, co na początku wystąpienia. — Wszyscy doceniamy pańską skromność, ale dziś jest ona zupełnie nie na miejscu. Kochani, dajmy wyraz naszemu szacunkowi dla rodziców młodej pary!

Oczy siedzących za stołem wciąż rozpaczliwie szukały wśród sąsiadów jakiegoś naprowadzającego zdania, sugestii, ba, pojedynczego słowa, które wyjaśniłoby, kim, do cholery jest ten dystygowany dżentelmen. Odpowiedź jednak nie przychodziła. A napięcie zostało już zbudowane i domagało się rozładowania. Pierwszy klaskać zaczął chudy staruszek, siedzący na lewym skrzydle stołu, a czynił to z tak szczerym zapałem, że po chwili burza oklasków rozbrzmiała, odbijając się echem od wysokiego stropu sali. Waldek, śpiący dotąd snem sprawiedliwego na fotelu w hallu (jakaś dobra dusza musiała go tam widocznie przenieść spod baru), ocknął się, popatrzył dookoła niewidzącym wzrokiem, po czym wstał i chwiejnie skierował się w stronę

stołu weselnego, sprawdzić, czy aby kogo nie biją. Vadim tymczasem z niepokojem obserwując policjantów kręcących się po sali, zaczerpnął powietrza, żeby kontynuować przemowę, ale nie dane mu było skończyć. Oto ojciec pana młodego wstał, zachwiał się lekko, powrócił do pionu, uniósł pełny kieliszek i wypalił:

— Zdrowie naszego szanownego... tego... gościa!

Na takie *dictum*, drugi jegomość, najwyraźniej ojciec panny młodej pode-rwał się energicznie i aby nie zostać w tyle zawtórował:

— Cieszymy się, że tak znamienita persona zaszczyliła naszą skromną uroczystość! Zdrowie!

Potem poszło już samo. Jakaś lampucera, siedząca na drugim końcu stołu, podeszła z kieliszkiem wina do Vadima, stuknęła w szkło stojące przed nim i trzepocząc rękami przemówiła:

— Pan zapewne musi być z ministerstwa? Szczerze mówiąc, spodziewaliśmy się takiego gościa.

— Droga pani, jestem tu dziś incognito, proszę mnie nie zdemaskować. — Szepnął Vadim.

— Ach rozumiem! — Tu puściła do niego perskie oko. — Będę milczała jak grób! Ale, ale, czy możemy troszeczkę pokonspirować na osobności? Mam do pana pewną prywatną sprawę.

Zanim zdążył odpowiedzieć, na horyzoncie pojawił się cudem zmartwychwstały Waldek. Stanął nad nimi i roztaczając wokół pijacką aurę wybełkotał:

— Ty, Stefcu, ciwaniura jesteś! Nic nie wiem, nic nie wiem! Niby tyż to! A tu proszę... hep! Od razu z grubej rury... hep!

— Wynoś mi się stąd, Waldek, ale już! — Zapiąta wściekła nie na żarty lampucera. — Mówiłam już, żebyś się trzymał ode mnie z daleka, pijanico!

— Popij wodą! — Zbył ją lekceważąco Waldek, po czym znowu zwrócił się do Vadima. — No to chodź, Stefan, pogadamy o ministery... tego, ministeryto... ryjalnych sprawach... hep!

Ale lampucera nie dała się tak łatwo zignorować. Wstała, złapała Waldka za poły marynarki i wypchnęła zza stołu. Vadim, korzystając z zamieszania, oddalił się, odprowadzany zachwyconymi spojrzzeniami rodziców pary młodej.

Przysiadł w drugiej, bardziej kameralnej sali. Zanepokoilo go zniknięcie Spychowskiego. Pewnie pije gdzieś w kącie, miał nadzieję, że nie natknął się na patrol. Nagle poczuł klepnięcie po ramieniu. Grubas w jasnej marynarce patrzył na niego ponurymi, lekko zamglonymi oczami.

— Najmocniej przepraszam, że niepokoję, Zawada jestem. — Wybełkotał i wyciągnął pulchną dłoń.

— Słyszałem, słyszałem, dużo się o panu mówi w Warszawie! — Vadim postanowił grać konsekwentnie do końca.

— Nie może być?! — Gruby aż się zarumienił. — Poważnie?! Czyli mój projekt do was dotarł?

— Czy dotarł?! Ależ drogi panie Zawada, dyskutujemy go od kilku dni! Tylko widzi pan, sytuacja się dynamicznie zmienia.

— Otóż to, otóż to, panie Stefanie! — Gruby zniżył głos. — Tu się rozgrywa regularny szwindel, tak nie może być! Oni się teraz dogadają ponad naszymi głowami, a przecież nie tak miało to wyglądać!

— No cóż, panie Zawada, na układy nie ma rady.

— Może i rada by się znalazła. Wy tam w Warszawie nie takie problemy rozwiązujecie. Ot, wystarczy jakąś maleńką kontrolę nasłać, nic wielkiego... A ja potrafię docenić trud urzędnika.

— Panie Zawada. — Vadim zawiesił głos. — Urzędnik nie jest wszechmocny, jak można działać na ślepo? Co innego, gdyby był jakiś trop, jakiś punkt zaczepienia... ale tak?

— Punkt zaczepienia?! A willa, co to ją Ludwisiak w półtora roku pobudował, bez złotówki kredytu, to pies? A ten Lexus, którego sprezentował parze młodej?! Znam jego sprawki na przewyloc! Kontrol, drogi panie Stefanie trzeba nasłać, co rychlej!

— Jak trzeba skontrolować, to się skontroluje. Ale czymże jest szary urzędnik państwowy? Sam nic nie zdoła... Bez obywatelskiego wsparcia będzie bezradny, niczym szczenię. Natomiast, gdyby obywatel wykazał się najpierw własną inicjatywą... A, to co innego! Wtedy urzędnik miałby wręcz obowiązek wesprzeć taką postawę...

— Znaczy co niby ten dany obywatel miałby...? — Zawada stropił się nieco.

— Przede wszystkim nie bać się nazwać zła po imieniu! Pokazać, że nie godzi się na żadne układy! Wystąpić z podniesionym czołem i wykrzyzczyć w twarz łajdakom, co o nich myśli. Niech wiedzą, że prawo zawsze zatryumfuje!

— E, nie uchodzi tak... Znaczy, że niby... tak podejść i prosto w twarz?

— Prościutko! No, panie Zawada, przecież panu się ten kontrakt, tak po ludzku, należy. Obaj o tym wiemy.

— No, jak psu skwarka się należy! — Zapalił się grubas. — Ile ja zem się nachodził za tym... tym... z przeproszeniem, panie Stefanie obkurwieńcem, Ludwisiakiem! Już prawie papier podpisany był! A tu nagle okazuje się, że młody Gęba zbrzuchacił tę tumidajkę i masz! Cały plan poszedł się je... znaczy rozsypał się w drebiezgi! Stary Gęba zaraz dał na zapowiedzi i poszło na tempa.

— Panie Zawada, pan jest inteligentny człowiek, od razu widać. I sam pan zrozumie, że słuszna jest pana racja! Godzi się tak krzywdę w sobie tłamsić? I gryźć się i w brodę pluć? Niech pan to po męsku załatwi, zamiast się mazgać po kątach! Całe ministerstwo udziela panu moralnego wsparcia!

— Znaczy Warszawa mój plan... klepnie?

— Jak cysatą Zośkę w tyłek, panie Zawada! No, odwagi! Jesteśmy z panem!

Zawada zebrał się w sobie, wypił haustem kieliszek zgrabnie zgarnięty z tacy przechodzącej kelnerki, podkręcił wąsa i lewym halsem, potrącając jakąś parę, oddalił się w stronę większej sali. Vadim, nie poświęcając mu więcej uwagi, rozejrzał się dookoła szukając blondynki, która tak niespodziewanie zniknęła mu z ekranu radarów. Wzbierający nagle tłum pchnął go w stronę sali balowej. Ponieważ właśnie przebrzmiały dźwięki nieśmiertelnego „Windą do nieba” 2+1, nastąpiła zmiana dekoracji. Światło przygasło, jakby to był środek zimy i dwudziesty stopień zasilania, a z agregatu pod podestem dla orkiestry buchnęły kłęby białej pary. To niechybny znak, że nadszedł czas tańców wolnych, tworzących nastrój nostalgiczny. Leniwy alt wokalistki wyciągał „I’m sorry”, a wszyscy na parkiecie zdawali się wierzyć, że to sama Brenda Lee zawitała na imprezę. Vadim zmrużył oczy i przypatrywał się przez chwilę tańczącym. Przez opary sztucznej mgły dostrzegł parę wyraźnie różniącą się od innych. Różnica polegała na stopniu zaangażowania, podczas gdy reszta taktownie zachowywała dystans do partnera, tych dwoje przylgnęło do siebie intensywnie patrząc sobie w oczy. Vadim pokręcił głową z niedowierzaniem. Więc tu się oboje ukryli...

— Ale z ciebie cicha woda, doktorze, ale cicha woda... — Mruknął pod nosem.

Ponieważ nie wyglądało, żeby Spychowski i blondynka mieli szybko zejść z parkietu, Vadim wycofał się znów do małej sali. Podeszedł do szwedzkiego stołu i zajął się kanapką z szynką.

Nagle, od strony stołu w głównej sali zaczęły dochodzić wrzaski przebijające się przez gwar rozmów i muzykę. Vadim ruszył w tamtą stronę i ujrzał Zawadę i starego Ludwisiaka, tarzających się po podłodze wśród mieszanki sałatek, wędlin, oliwek, dwóch damskich szpilek nie do pary i welonu panny młodej. Najwyraźniej Zawada wziął sobie do serca rady szanownego gościa z ministerstwa... Do płaszących w pozycji horyzontalnej doskoczyło kilku gości weselnych. Zapowiadało się regularne mordobicie.

Vadim wrócił do sali balowej, ale Spychowskiego już tam nie było. Znalazł go przy barze, stanął bokiem do niego i wycedził:

— Zaraz tu będzie gorąco, doktorze, chyba powinniśmy zmienić lokal.

— To twoja robota, kamandir?

— Skąd?! Ja tylko wcieliłem się w rolę, którą oni sami mi przypisali... ty też, jak widziałem, nie próżnujesz. Gruchaliście jak gołąbki chyba ze dwie godziny... Zbałamuciłeś ją chociaż skutecznie?

Na tyle, że mamy zapewniony transport. Koleżanka ma ją odwiedzić do domu. Wsiądziemy przed skrzyżowaniem w tę boczną drogę, resztę możemy przejść pieszo.

— To marny plan. Ona jest w to bezpośrednio zaangażowana, musimy rozegrać to inaczej. Nie rozpoznała cię?

— Nie. Na aukcji siedziałem z tyłu, a ona w pierwszym rzędzie. Czy to nie dziwne, że ją tu spotkaliśmy?

— To małe miasto, a takie wesele przyciąga różne okoliczne wipy... Gdzie ona jest teraz?

— Zdaje się, że trochę przeholowała z szampanem. Główka słaba.

— Ech ty, Gigi Amoroso... Chyba nie zdążysz jej już docucić. Niech śpi do jutra. Na nas pora, zaraz tu będzie niebiesko od glin. — Rzekł Vadim zaniepokojony odgłosami dochodzącymi od strony sali biesiadnej. — Ruszamy!

Wyszli na ulicę, przemierzili kilkaset metrów i znów musieli szukać schronienia. Nagle zaroilo się od radiowozów, choć tym razem chodziło zdaje się o awanturę, z której się właśnie wypisali. Weszli do pierwszej z brzegu knajpy i usiedli w kącie chcąc przeczekać zamieszanie. Całkiem nie a propos z głośnika popłynęła rzewna pieśń. Nostalgia znalazła drogę do ich dusz, bo obaj dobrze pamiętali tę melodię i głos Gilberta Becaud. Dziwna mieszanka francuskiego tekstu i rosyjskich czastuszek. „Nathalie”.

*Plac Czerwony był pusty
Przede mną szła Nathalie
Miała ładne imię, mój przewodnik
Nathalie*

*Mówiła powściągliwymi zdaniem
o Rewolucji Października
Myślałem już
Kto po śmierci Lenina
Będzie w kawiarni Puszkina
Pił czekoladę*

*Plac Czerwony był pusty
Wziąłem ją pod ramię, uśmiechnęła się
Miała włosy blond, mój przewodnik
Nathalie, Nathalie...¹*

1) Piosenka w przekładzie Wojciecha Młynarskiego.

Vadim patrzył przed siebie tępym wzrokiem, po czym ni stąd, ni zowąd wybuchnął wariackim śmiechem. Spychowski spojrzał na niego ze źle maskowanym politowaniem.

— Odbiło ci, kamandir? — Burknął. — Kto jak kto, ale ty powinienesz kontrolować spożycie. Co cię tak rozbawiło?

— To, że Nathalie też musiała być z mojego departamentu...

*I teraz, cóż mam zrobić
Zaśmieję się, by nie płakać więcej
Spalę całą nocę
A rankiem znieawidzę cię.*

*A któregoś wieczoru w moim lustrze
Wyraźnie zobaczę koniec drogi
Bez kwiatów i bez łez
w chwili pożegnania.*

*Naprawdę nie mam już nic do zrobienia
Naprawdę, nie mam już nic.*

Było po drugiej w nocy, kiedy mogli wreszcie spokojnie wyjść na zewnątrz. Wrócili po broń i resztę ekwipunku, złapali taksówkę i ruszyli z powrotem w stronę hacjendy. Wysiedli dwa kilometry od celu, odczekali, aż światła taryfy znikną za zakrętem i ruszyli pieszo w las. Kiedy dotarli na miejsce niebo na wschodzie zaczęło już różowieć.

— Jaki masz plan, kamandir? — Spychowski ziewnął i oparł się o sosnę.

— Czekamy. Takie wizyty najlepiej składać koło czwartej nad ranem. Wtedy sen jest najmocniejszy...

— Za chwilę sam zacznę chrapać...

Rosjanin wyciągnął z plecaka termos z kawą i podał Spychowskiemu. Była już zimna, ale wciąż mocna. Wypakowali Dragunowa i wykorzystując plecaki ustawili stanowisko strzeleckie. Vadim odkręcił z lufy karabinu szczelinyowy tłumik płomieni i zastąpił go wykonanym na specjalne zamówienie jego firmy tłumikiem huku. Gdy skończył, wytarł dokładnie broń filcową szmatą, wyjął z plecaka skórzane rękawiczki, założył je, a drugą parę podał Spychowskiemu.

— W środku staraj się niczego nie dotykać, a jeśli już musisz, to najpierw je załóż.

Gdzieś w koronie drzewa ponad ich głowami odezwał się puszczyk. Wkrótce nastąpi zmiana warty, nocne drapieżniki ułożą się stopniowo do snu. Ich miejsce zajmą inni, równie skuteczni myśliwi.

Szanowany Obywatel sięgnął po szklanę szkockiej. Wychylił niespiesznie łyk i czekał aż whisky spłynie do żołądka rozgrzewając gardło. Wstał z fotela i wyszedł do ogrodu, by po raz kolejny nacieszyć oko. Jak każdy kolekcjoner nigdy dotąd nie był w pełni usatysfakcjonowany. Kolejne egzemplarze w jego kolekcji wzbudzały tylko coraz większy apetyt. A przecież ten zbiór w ciągu ostatnich dwudziestu lat stał się unikatowy już nie tylko w tym kraju, ale w całej Europie. Mało które muzeum mogło się pochwalić takimi perłami. Jemu jednak wciąż było mało. Prawdziwa pasja ma to do siebie, że jest nienasycona. Zawsze czegoś będzie brakowało do pełni szczęścia, zawsze gdzieś w głębi duszy będzie się czuło niedosyt. Tym razem jednak było inaczej. Czuł, że oto osiągnął sam szczyt. Nie było już nic powyżej. Wszystkie jego poprzednie zdobycze były tylko szczeblami na drodze do tego arcydzieła inżynierii. A zatem wreszcie ją ma! Po tylu latach... Chciał jak najszybciej usiąść za kierownicą i ruszyć przed siebie, gnać okolicznymi szutrowymi drogami, których remont wywalczył z takim mozolem w starostwie. Zduślił w sobie jednak ten zapach. Wiedział, że najpierw należy wszystko sprawdzić. Potrzebny jest porządny przegląd, zanim będzie można wytoczyć Stratosę na drogę. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie posłuchania muzyki. Z trudem usiadł w fotelu, położył rękę na kierownicy, omiół wzrokiem zegary i przekręcił kluczyk. Sześć cylindrów za jego plecami rozbrzmiało jak orkiestra symfoniczna. Wcisnął lekko pedał gazu i obserwował wskazówkę obrotomierza drgającą, niczym batuta dyrygenta. Poczuł odprężenie, jak po wyczerpującej operacji. Zresztą, czy to wszystko nie było właśnie tym, precyzyjną kombinacją operacyjną? Pieniądze to tylko jeden z koniecznych warunków udanej transakcji. Dla niego kluczową kwestią było pozostanie w cieniu. Świątek motoryzacyjnych snobów był tu mały i bardzo hermetyczny. Niełatwo było zachować anonimowość. A on akurat o rozgłos wcale, ale to wcale nie zabiegał. Kim mogli być ci dwaj pod Tarnowem? Do wyboru nie było znowu aż tak wielu kandydatów. Właściwie tylko jeden człowiek z dawnych znajomych znał jego słabość. Czyżby to właśnie ten cholerny major go szukał? Nawet jeśli, to przecież nie może występować jako przedstawiciel swojej firmy. Obaj grali wbrew wszelkim regułom. A więc konfrontacja w kameralnym gronie. To wyrównywałyby ich szanse. Zresztą nie martwił się tym tak bardzo. Wiedział, że i tak nie oparłby się pokusie kupna tego wozu. Poza tym to mógł być przypadek... Tak, na pewno przypadek. Zresztą Marta i tak ich w końcu zgubiła. Wprowadził Stratosę do garażu i wyłączył silnik. Najważniejsze, że miał go wreszcie pod własnym dachem.

Był Człowiekiem Godnym Szacunku. Ciężko sobie na to zapracował. Nie miał ziemniaczanej twarzy, ani leninowskiej kurtki. Ba! Jego retoryka wcale a wcale nie była parcia. Miał styl i manieri całkiem jakby z innego resortu.

Zainwestował w wiele branż. Posiadał udziały w największych fabrykach przemysłu drzewnego w kraju, w agencjach ochrony i pewnym dynamicznie rozwijającym się banku. Jego firma spedycyjna wyrosła na potentata, a jej sieć oplatała kontynent od Biskajów po Ural. Może niekoniecznie było to skutkiem jego niezwykłych talentów menadżerskich, ale uważał, że na tym rynku owe talenty to rzecz zgoła niepierwszorzędnej wagi. Widział już tylu cwaniaków po zachodnich uczelniach, z prestiżowymi dyplomami, którzy musieli ustąpić miejsca im, Ludziom Godnym Szacunku, że patrzył na tamtych z niejakim politowaniem. Oni zwyczajnie nie rozumieli reguł gry pod tą szerokością geograficzną. Owszem, działając na pewnym, niezbyt wysokim pułapie trzeba było wykazać się elementarnymi umiejętnościami, żeby funkcjonować. I to wystarczało. Kiedy jednak taki delikwent przebił się nieco wyżej i zaczęło mu się wydawać, że może bezkarnie grać o najwyższe stawki, nagle zaczynała działać niewidzialna ręka lokalnego rynku. Ot, taka anomalia. A to okazywało się, że księgowość u owego parweniusza coś szwankowała i rozliczenia podatkowe nie były w idealnym porządku, a to bank odmawiał w decydującym momencie kredytu, a to wreszcie przytrafiła mu się jakaś życiowa tragedia. No cóż, życie jest okrutne, nikt nie jest w stanie się ustrzec przed jego złośliwym poczuciem humoru. Może się przecież zdarzyć, że ktoś z najbliższej rodziny takiego przedsiębiorcy ginie, lub zostaje dajmy na to porwany w tajemniczych okolicznościach. A bo to brakuje na świecie bandytów? Wypadki chodzą po ludziach. A po takim wypadku człowiek myśli o wszystkim, tylko nie o tym, żeby być dalej grubą rybą w biznesie. I trudno się dziwić. Tyle nieszczęścia spada na raz na jedną głowę! To zrozumiałe, że można się wtedy załamać i wycofać z życia publicznego. Z depresją nie ma żartów. Tak więc firmy Człowieka Godnego Szacunku rozwijały się bez większych przeszkód, a jemu samemu, dzięki wyjątkowej ostrożności udało się uniknąć rozgłosu. Najważniejsze przedsięwzięcie wciąż pozostawało szczęśliwie w cieniu i tylko wąska grupa specjalistów miała mglisty obraz wspólnych działań.

Propozycja, z którą przed laty zwrócił się do niego ów major z bratniej służby miała w sobie taki potencjał, że żal było zostawiać inicjatywę po stronie tamtego. Skoro już podjął decyzję, pozostały tylko kwestie techniczne. Ot i wszystko! Przejął kontrolę nad całością i przeniósł wszystkie struktury pod nowe szyldy, pozacierał ślady, zmienił otoczenie, słowem: zniknął. A strumień danych płynął teraz wyłącznie dla niego. Było to bogactwo trudne do przecenienia. A on potrafił w praktyce wykorzystać informację z wielką inwencją. Będąc profesjonalistą umiał rzecz jasna ocenić zagrożenie, które ściągnął na swoją głowę. Było to wkalkulowane ryzyko, a działania zabezpieczające, które podjął, skutecznie je neutralizowały. Czasem tylko, kiedy szedł jakimś ciem-

nym zaułkiem, powracał niepokój, ale na tę aktywność podświadomości nie mógł już nic poradzić.

Dla tych, którzy byli od niego potężniejsi stanowił zagrożenie ze względu na swoją nieprzeciętną ambicję. Ale ciągle pozostawał w cieniu, wiedząc, że nie przyszedł jeszcze czas na starcie. Umiał przy tym realnie oceniać własne szanse i rozumiał, że zarabianie dużych pieniędzy to chwilowo najwyższy pułap, na jaki może się wspiąć. O tym, żeby wejść piętro wyżej i zacząć samodzielnie kształtować rzeczywistość na razie nie mógł marzyć. Ludzie Honoru byli graczami poza jego zasięgiem. Jak każdy czekista szczerze i z głębi serca nienawidził wojskówki. To było jak dawna rywalizacja o względy Komitetu Centralnego. Armia kontra cywilna безпеaka, wszystko kręciło się wokół tego konfliktu. Aż w końcu delikatna równowaga została zachwiana i szala przechyliła się na tę drugą stronę. Przez długi czas nie mógł pogodzić się z faktem, że jego formacja została przeznaczona do odstrzału, a przewodnią rolę przejęła wojskowa konkurencja. On i jego ludzie zostali negatywnie zweryfikowani, podczas, gdy tamci, nie mniej zasłużeni, przeszli do kolejnej fazy czyści jak łąka. To było upokorzenie, które bardzo boleło. A więc to im przypadła rola kozłów ofiarnych, których trzeba było złożyć na ołtarzu przedstawienia pod tytułem „Transformacja”! Po tylu latach nienagannej służby dostali raptem łaskawe przyzwolenie na skromne korzystanie z owoców nowej rzeczywistości, podczas gdy wojskowi bez najmniejszych zmian strukturalnych dalej rozdawali karty. Zdawał sobie sprawę, że sytuacja ta była bezpośrednim skutkiem przegranej ich protektora. Mirek, jak go poufale nazywali, generał związany na stałe z bezpieczeństwem, wierny czekista został w połowie lat osiemdziesiątych ostatecznie pokonany przez konkurencyjną frakcję. Wyrzucono go poza nawias resortu pod pretekstem jakiejś starej afery. Żelazo w kieszeni otwierało się na samą myśl o tym. Wszyscy w tym brali udział, ale zapłacił tylko Mirek. Zgrzytanie zębami nic by tu jednak nie pomogło. Porządek ustanowiony dwie dekady temu nadal pozostawał w mocy. Więc siedział przyczajony w swojej norze i czekał. Czuł, że przyjdzie moment, kiedy wojskowi coś spartolą, że sytuacja wymknie się im spod kontroli, a wtedy nastąpi jego pięć minut. Zdawał sobie sprawę, że w sumie niewiele by zmienił. I tak grałby do tej samej bramki, co tamci. Chciał być po prostu rozgrywającym, a nie rezerwowym. W czym był gorszy od innych?

Pozycja, którą zajmował na scenie (czy raczej pod nią) miała też swoje zalety. Wciąż był niewidoczny. Podczas gdy kolejne zawieruchy odślaniały wstydliwie skrywane meandry życiorysów różnych dętych frajerów walczących o miejsce na świeczniku, on cierpliwie czekał. Jego ludzie pukali czasem do różnych drzwi i składali propozycje osobnikom odrzuconym przez konkurencję. Frustratów nie brakowało, a jeśli taki frustrat posiadał wiedzę strategiczną, a choćby i tylko taktyczną, zawsze był przez Człowieka Godnego

Szacunku doceniany. Tak między innymi gromadzony był materiał w postaci bazy danych, informacji zastrzeżonych, które były bombą z opóźnionym zapłonem. Pozostawało tylko czekać na odpowiedni do odpalenia moment.

Póki co sondował swoje możliwości na szczuble lokalnym. Zgromadził kapitał, który aż prosił się o zainwestowanie w terenie. Informacja była jego bronią masowego rażenia, ale mogła być też precyzyjnym skalpelem. Poligonem doświadczalnym stał się pewien wpływowy burmistrz, który blokował mu uruchomienie niezwykle intratnej inwestycji. Pech burmistrza polegał na tym, że miał syna. To znaczy, to oczywiście żaden pech, sęk w tym, że syn nie wylewał za żołnierz, a jak już nie wylał, to wrodzona ułańska fantazja kazała mu ruszać w miasto na swojej Hondzie Gold Wing. Podczas jednej z takich eskapad najwyraźniej źle ocenił odległość od przechodzącej przez ulicę staruszki i wysłał ją przedwcześnie w zaświaty. Ojciec z miłości do syna sprawę zdusił w zarodku, wpływając na serdecznego przyjaciela, komendanta policji. Nie mógł jednak wymazać z akt relacji pewnych świadków i wyników badań krwi sprawcy, co z kolei nie umknęło uwadze fachowcom Człowieka Godnego Szacunku. I tak burmistrz otrzymał propozycję uruchomienia owej inwestycji. Siła argumentów przekonującego była tak wielka, że wprost nie mógł jej się oprzeć. Co nie zmieniało faktu, że i tak, najwyraźniej poruszony wyrzutami sumienia, zrezygnował potem ze stanowiska przed końcem kadencji. Oficjalnym powodem był — jakże by inaczej? — zły stan zdrowia. Wirtuozeria Człowieka Godnego Szacunku polegała na tym, że całą kombinację przeprowadził za pomocą podstawionych ludzi, nie ujawniając się przed nieszczęsnym burmistrzem, który do końca nie wiedział, kto go tak bezlitośnie sponiewierał. Było to o tyle rozsądne posunięcie, że burmistrz był człowiekiem dobrze ustosunkowanym, posiadającym niezwykle wpływowych, a co za tym idzie niebezpiecznych przyjaciół, również wśród Ludzi Honoru, którzy dużo stracili wraz z rezygnacją ich protegowanego. System zaczynał działać.

Drgnął na dźwięk zbliżających się kroków.

— A więc masz wreszcie swoją gwiazdę... — Marta podeszła do niego i oparła się o błotnik Stratosy.

— Tak... Świetnie się spisałaś. Widziałaś coś podejrzanego na trasie? — Wysiadł z auta i stanął obok niej.

— Ciągłe oglądasz się za siebie? — Zapytała chłodno. To zabawne, pamiętała, że podobne słowa wypowiedział ten stary w tamtą noc. — Ściga cię twoja przeszłość... Nigdy nie zaznasz spokoju. — Dodała.

Znowu ją naszło. Nienawidził, kiedy tak mówiła. Przed wielu laty podsłuchiwała ich rozmowę. Wtedy jeszcze spotykali się u niego w domu, w Warszawie. Mówili półsłówkami, zawodowym slangiem, ale ona od dziecka była domyślna. Potem tak długo drażyła temat, aż w końcu zmusiła go do opowie-

dzenia całej historii, z pominięciem najdrastyczniejszych szczegółów, rzecz jasna. Nie uwierzyła we wszystko, co mówił, czuła, że prawda wygląda dużo brutalniej. Była w wieku, kiedy bunt wobec świata, a przede wszystkim wobec rodziców jest oczywistością. Domyśliła się wszystkiego, chociaż zaprzeczał bardzo sugestywnie. Chciała stać się jego sumieniem, wzbudzić poczucie winy. Przypuściła szturm z całą naiwnością i zapałem rozkapryszonej piętnastolatki. Z biegiem lat jej przeszło, zapał i pasja ulotniły się bez śladu, za to potrzeby materialne rosły z dnia na dzień. Zrozumiała, że kompromis jest dużo wygodniejszy niż bunt. Ale czasem wpadała jeszcze w tamten nastrój, dziś znów ją dopadło. Przemówiła tonem wyroczni, jakby wiedziała więcej, niż mógłby zaakceptować. Myślała, że najbardziej obawia się tego człowieka z lasu. A przecież prawdziwym, realnym zagrożeniem był ktoś naprawdę niebezpieczny. Ktoś sprytny i nieobliczalny, i to jego należało się bać. O archiwum jednak na szczęście niewiele wiedziała. Mówiła irytująco dobitnie, chociaż więcej w tym było intuicji, niż rzetelnej wiedzy.

— Jego nie możesz, zastraszyć, ani szantażować. Nie możesz z nim negocjować, bo to co sobie zamierzył nie podlega negocjacji. Słowo „kompromis” jest dla niego pustym dźwiękiem. On jest niepodatny na twoją dezinformację i propagandę, bo był uczestnikiem i świadkiem historii, którą chciałbyś zafałszować. To jednoosobowy departament sprawiedliwości. Nie dobierzesz się do jego pamięci, bo on jest jej jedynym władcą i strażnikiem. I właśnie ta pamięć cię zgubi. Nie przekupisz go, bo nie dysponujesz kapitałem, którym zakneblowałbyś jego krzywdę. Nie możesz go szpiegować, używając jego przyjaciół, bo on nie ma przyjaciół i nikomu nie ufa. Wszelki opór wobec niego jest bezcelowy. Nie będziesz wiedział, kiedy uderzy. Może za pięć lat, a może za pięć minut. Przed nim nie uciekniesz, bo jest od ciebie szybszy i sprytniejszy. To spadkobierca tych wszystkich, dla których opór był sensem istnienia. Ale on jest od nich skuteczniejszy, bo na drodze ewolucji udoskonalił taktykę. Nie ciężą mu wyrzuty sumienia, nie jest ograniczony żadnymi nakazami i zakazami. Nie udało ci się go policzyć i zaszufłakować, ani założyć mu kartoteki. Na nic zda ci się kontrola struktur państwowych, bo on działa poza państwem. Nie możesz użyć przeciwko niemu swoich agentów, bo nie będą wiedzieli, kogo mają szukać. On rozplywa się w labiryncie anonimowości i jedyne, co możesz zrobić, to podążać fałszywymi tropami, które ci zostawi.

Patrzył na nią ponuro, wiedział, że krzyki nic tu nie pomogą, musiała się wygadać. Potem jej to mijało.

— Pytasz skąd się wzięł? No cóż, to kwestia rachunku prawdopodobieństwa. Kiedyś ktoś taki po prostu musiał się pojawić. Każda akcja wywołuje reakcję. Tysiąc razy uderzałeś bezkarnie, za tysiąc pierwszym pojawił się opór. Wywołując chaos, atomizując części składowe organizmu, na którym żerujesz, spowodowałeś niekontrolowany ruch materii, który w końcu przewyciężył

entropię i wygenerował z siebie ład. Bo ład jest naturalną konsekwencją ruchu cząstek. Nie da się w nieskończoność bez oporu palić, gwałcić i rabować. Sam zgotowałeś sobie swój los. Każde działanie pozostawia ślad w przeszłości, czasem ten ślad się rozmywa i znika, a czasem materializuje się jako lina przywiązana wprost do twojej szyi. Wiesz, że ktoś jest na drugim końcu tej liny, że zbliża się, że tylko czeka na odpowiedni moment. Więc przestań się miotać i szarpać liną. To nic nie da. Odetchnij i spokojnie czekaj, bo oto nadchodzi nieuniknione. Słyszysz te kroki? To on! Zbliża się. Jesteś gotowy? ...*A gdy otworzył pieczęć czwartą, usłyszałem głos czwartego zwierzęcia mówiącego: Przyjdź! I ujrzałem: oto koń trupioblady a imię siedzącego na nim Śmierć...*

— Skoro jesteś jedyną sprawiedliwą, dlaczego wciąż tu tkwisz? Idź swoją drogą, żyj swoim życiem i zapomnij o mnie. Dlaczego tego nie zrobisz? — Zapytał złośliwie. — Proszę bardzo, droga wolna, idź, znajdź sobie pracę, zostań sekretarką albo księgową. Chcesz niezależności? Nikt cię tu siłą nie trzyma. Co, ciężko zrezygnować z wygodnego bezpieczeństwa? Ciężko przejść na samofinansowanie? Za to grać wyrocznie, udzielać reprimendy, udawać niewinną, to twoja specjalność!! Jesteś jak twoja matka, hipokryzja w czystej postaci! Nie uciekniesz od swoich korzeni. Jesteś tym, czym jesteś, nie zmienisz tego. Dlatego nadal będziesz pracowała dla mnie, beze mnie jesteś niczym.

Odwróciła się na pięcie, słyszał wściekłe stukanie oddalających się kroków. Wiedział, że szybko jej przejdzie, była jak model na uwięzi, nigdy daleko nie odlatywała. Lubił uzależniać od siebie ludzi, nawet tych najbliższych, to dawało mu poczucie kontroli. Kontrola otoczenia była ważną częścią jego życia.

Poranny dzień zamienił się w parny wieczór. W weekendy zwykle ochrona była zredukowana do dwóch ludzi, a dziś jeden z nich zachorował. Wziął walizki i kazał osamotnionemu strażnikowi spuścić psy. Marta szykowała się na jakieś wesele w mieście, pewnie wróci nad ranem, a może i później. Sprawdził działanie kamer, monitorujących teren wokół domu. Sam przed sobą zawstydził się swojego niepokoju. Siła sugestii... Przecież zabezpieczył się wyjątkowo dobrze. Dopił whisky i ostatecznie lekceważąc wszystkie przecucia i niepokoje po jedenastej położył się spać. Tak bywa, że nawet mając świadomość zagrożenia umysł produkuje ostatecznie uspokajający obraz rzeczywistości. Nieuleczalna potrzeba spojrzenia z optymizmem w przyszłość...

— No i jak, doktorze, rozważyłeś moją propozycję? — Vadim przyłożył policzek do kolby Dragunowa i przez celownik optyczny lustrował teren za ogrodzeniem.

- Masz na myśli moją karierę sprzedawcy używanych idei?
- Cóż to słyszę?! Skąd ten sarkazm? Dlaczego nie nazwiesz się krzewicielem awangardy i nowoczesności?
- Może powinieneś poszukać kogoś bardziej nadającego się na gwiazdę, jakichś innych kandydatów na medialne wnuczęta Aurory?
- Wnuczęta Aurory? ...wnuczęta Aurory... Dobrze! To twoje?
- Chciałbym... To Herbert.
- Frank?! — zapytał z niedowierzaniem Vadim
- Nie, Zbigniew.
- Pierwsze słyszę...
- A zatem wstydz się...
- No cóż, jestem tylko prostym oficerem wywiadu... okaż wyrozumiałość, człowiek uczy się całe życie. Więc jak będzie? — Vadim wrócił do pierwotnego tematu.
- Nie wiem, czy nie przeceniasz moich możliwości, kamandir.
- Możliwości, to ty dopiero będziesz miał. Całe masy będą powtarzały jak echo twoje słowa, staniesz się gwiazdą, nie tylko tu. Czeka cię światowa kariera, specjalizację jeszcze ci wybierzemy, to kwestia drugorzędna i tak będziesz się wypowiadał na wszystkie kluczowe tematy. To zależy teraz od ciebie.
- Czyli miałbym zostać medialnym snajperem, usuwającym niewygodnych?
- O, to tylko część twojej funkcji, mówiłem ci. Oprócz takich chirurgicznych działań, sam kształtowałbyś rzeczywistość... Czego się boisz? Wpadki? Nie żartuj. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby agent wpływu kiedyś wpadł i został postawiony przed sądem. Taki zarzut jest nie do udowodnienia. Poza tym, jeśli już wejdiesz na Olimp, to będziesz nie do ruszenia, wszystkie główne media staną za tobą murem, będziesz miał żelazne wsparcie.
- Przemysłu, to... A co z funkcją archiwisty? Czy dobrze pamiętam, tak to chyba nazwałeś? O jakie archiwum właściwie chodzi?
- Wszystko w swoim czasie. Niedługo do tego wrócimy. Najpierw musimy znaleźć się tam... — Vadim wskazał budynki przed nimi.
- Patrzyli w milczeniu na oddaloną o kilkaset metrów willę i otaczającą ją posesję. Nadchodzący świt odsłaniał stopniowo scenę, na której mieli zagrać główne role. Póki co zaniepokoiły ich sylwetki trzech statystów, kręcących się wzdłuż siatki. Wielkie, czarne dobermany pełniły najwyraźniej rolę strażników. Czemuż by nie? Z pewnością były tańsze i lojalniejsze od ludzi.
- Zaczynamy przedstawienie. — Mruknął Vadim, składając się do strzału.
- Jeden z dobermanów ruszył właśnie w kierunku ogrodzenia zwabiony bażantem spacerującym prowokacyjnie tuż po drugiej stronie siatki. Vadim

ocenił, że cel znajduje się nie dalej, niż jakieś pięćset metrów od nich, a więc sporo poniżej możliwości SWD, nawet biorąc pod uwagę tłumik. Ranek był prawie bezwietrzny, więc poprawka nie była potrzebna. Wstrzymał oddech, odczekał, aż pies znieruchomieje i nacisnął spust. Lufa wydała z siebie matowy dźwięk, coś jakby westchnienie. Pocisk kaliber 7,62 mm roztrzaskał czaszkę dobermana, zanim ten zdążył wydać z siebie najmniejszy skowyt. Zwalił się na ziemię jak robot pozbawiony zasilania. Dwie pozostałe bestie zaintrygowane nietypowym zachowaniem kompana zbliżyły się powoli do trupa. Snajper metodycznie zastrzelił je czystymi, celnymi strzałami. Spychowski popatrzył na Vadima z niemym uznaniem.

— Miałeś mnie za jajogłowego, co? — Uśmiechnął się strzelec. — No cóż, zalety szkolenia operacyjnego... Ruszamy!

Zbiegli w dół, dopadli stalowej siatki ogrodzenia w miejscu, gdzie byli poza zasięgiem kamer. W wygniecionych marynarkach, przekrzywionych krawatach, z plecakami, wyglądali co najmniej dziwacznie. Vadim wyciągnął z kieszeni małe kombinerki i przecinając w kilku miejscach drut zrobił w siatce kwadratowy otwór. Po chwili byli przy drzwiach wejściowych do domu. Nagle usłyszeli hałas dochodzący ze środka. Cofnęli się odruchowo. Drzwi otworzyły się i na przeciw nich stanął wielki drab w dresie, z dziewięciomilimetrowym Glockiem w dłoni, najwyraźniej strażnik, zaniepokojony nieobecnością psów. Facet był potężny, wydawało się, że do powalenia go potrzebna będzie lokomotywa. Zanim jednak zdążył zareagować i wycelować broń, Vadim wykonał ruch ręką. Jego dłoń wystrzeliła do przodu, a złączone palce wbiły się osiłkowi prosto w grdykę. Cios był tak silny i szybki, że strażnik wyrzucił oczy białkami do góry i z otwartymi ustami, jak ryba łapiąca powietrze przewrócił się najpierw na kolana, a potem zwałił bezwładnie na bok. Vadim wyciągnął magazynek i odrzucił nieporęcznego Dragunowa, po czym sięgnął po leżącego obok martwego strażnika Glocka. Wbiegli do środka. Dom był piętrowy, najpierw przeszukali parter. Żywej duszy. Ostrożnie weszli po schodach. Zaskoczyli go, gdy wychodził z sypialni zbudzony hałasem na dole. Mężczyzna koło sześćdziesiątki, wysoki i masywny, dwudniowy zarost nadawał jego twarzy brutalny wygląd. Miał spojrzenie byka szykującego się do decydującej szarży na torreadora. Tyle, że był to już stary byk, któremu luksusy i dostatnie życie stępiły nieco wolę walki. Nadal niebezpieczny, choć już nie tak szybki i bezwzględny co kiedyś. Był w piżamie, jego twarz, jak ekran duszy emitowała obraz niedowierzania. A więc jednak! I tak oto przyjdzie mu zapłacić cenę za zlekceważenie przecucia.

— Twarzą do ziemi! Ręką na kark! — Syknął Vadim celując mu w twarz.

Tamten z ociąganiem wykonał polecenie. Przeszukali pozostałe pomieszczenia, ale nikogo więcej w domu nie było. Dochodziła czwarta rano.

Sprowadzili go na dół, do salonu, w którym niespecjalnie się ograniczając można byłoby rozegrać partyjkę golfa. Oczywiście, jeśli znalazłby się barbarzyńca, który wywierciłby dołki w dębowych deskach podłogi. Z zewnątrz budynku nic nie zapowiadało takich przestrzeni. Ściany wykończone były boazerią z naturalnego mahoniu. Pod jedną ze ścian stało rzeźbione biurko w stylu empiru, a za nim przeszklona biblioteczka z barokowymi zdobieniami. W rogu na okrągłym stoliku z rozpostartymi skrzydłami prężyła się bezgłowa miniatułka Nike z Samotraki. Wydawało się, że we wnętrzu unoszą się duchy generałów ruszających do ataku pod Borodino. Spychowski związał gospodarzowi ręce drutem i posadził na obrotowym fotelu. Vadim wciąż trzymając Glocka przechadzał się wolno po pokoju i nie patrząc na więźnia przemówił:

— Kapitan Marian Romanowski, człowiek, który nie dotrzymuje słowa. Taki napis będzie wyryty na twoim grobie. Czy masz mi coś do powiedzenia? — Mówił tonem oficera śledczego, dobrze parodiując sposób, w jaki tamten sam prowadził kiedyś przesłuchania.

Zaległa cisza, człowiek w fotelu nie wyglądał na chętnego do rozmowy. Jego oczy były bez wyrazu. Patrzył ponuro przed siebie, kontemplując w milczeniu biel ściany.

— Naprawdę nie rozumiem, czego się spodziewałeś. Powiedz, tak szczerze, serio liczyłeś, że uda ci się zniknąć? Że nie będę cię szukał? Że cię nie znajdę? Twoja naiwność mnie zadziwia.

Zbliżył się do niego, stanął naprzeciwko tak, że tamten musiał odwrócić głowę, żeby na niego nie patrzeć.

— Zdaje się, że jesteś mi coś winien... Zainwestowałem w ciebie sporo pieniędzy. Pora na rozliczenie. Gdzie to jest?

Pytanie zawisło w powietrzu, Romanowski patrzył ostentacyjnie w bok, ignorując Rosjanina. Huk wystrzału rozdarł ciszę i brzmiał w uszach jeszcze przez kilka sekund. Mosiężna łuska z łoskotem potoczyła się po błyszczącej podłodze. Pocisk przebił oparcie fotela, mijając o centymetry głowę siedzącego.

— Przestań pierdolić! — Przemówił wreszcie próbując zapanować nad drżącym głosem. — I nie blefuj! Nie możesz mnie rozwalić, beze mnie tego nie znajdziesz.

Kolejny pocisk przebił mu udo, przeorał mięśnie, poduszkę fotela i wbił się w posadzkę. Romanowski zawył z bólu i chciał złapać krwawiącą nogę, ale drut na rękach mu w tym przeszkodził.

— Gnoju, posłuchaj mnie bardzo uważnie. — Rzekł pogodnie Vadim. — Zaraz pokażę ci, co mogę zrobić i z łatwością uwierzysz mi, że jestem cholernie daleko od blefowania. Doktorze, rzuć no okiem na ten regał. — Zwrócił się do Spychowskiego, wskazując łufą drugi koniec salonu, gdzie na półce błyszczał zestaw hi-fi Marantza z okazałą kolekcją płyt CD. — Znajdź jakiś adekwatny

do sytuacji podkład muzyczny, mój przyjaciel to koneser, więc proszę cię, żebyś się bardzo postarał przy wyborze czegoś odpowiedniego. Znosi się na długi dzień, panie kapitanie. — Znów odwrócił się do siedzącego, który jednak wyraźnie go nie słuchał, zgięty bólem.

Spychowski posłusznie podszedł do regału, Vadim tymczasem wystawił fotel z rannym na środek salonu i cofnął się, jakby rzeczywiście czekał z rozpoczęciem przedstawienia na muzykę. Po chwili usłyszał ją. Wnętrze wypełniły dźwięki, które kojarzyły się z obrazem budowy pierwszych linii kolejowych na Dzikim Zachodzie, ogorzałych twarzy „guns for hire” i biustu Claudii Cardinale. To Człowiek z Harmonijką grał swoją drażniącą uszy melodię. Niepokojąca i wieszcząca nagły zgon muzyka rozlała się leniwie po wnętrzu. Ostre, jak brzytwa, zawodzące dźwięki były ponurym komentarzem do sceny rozgrywającej się w pokoju.

— Doskonale, doktorze, wiedziałem, że znajdziesz coś w tym rodzaju...

Vadim nie dokończył, bo potężne uderzenie z tyłu podcięło mu nogi i rzuciło go na plecy. Uderzył głucho o podłogę, przeturłał się odruchowo w lewo i próbował wycelować broń, ale nie zdążył. Napastnik kopnął go w twarz, przydepnął nadgarstek i wyszarpnął z dłoni Glocka. Rosjanin podniósł wzrok i zdumiał się. Nie znał człowieka, który stał nad nim. Jeszcze przed chwilą był to Tomasz Spychowski, socjolog z nietypową przeszłością, były złodziej samochodów, jego cel, materiał do werbunku. Ale ten, który wbijał w niego teraz spojrzenie zimnych oczu bez wyrazu z pewnością był kimś innym. Ta sama sylwetka, ubranie, twarz, ale to już nie był Spychowski. Wszystko się w nim zmieniło. Oszczędność ruchów, wyraz twarzy, sposób, w jaki go obezwładnił... Emanowała z niego jakaś nieuchwytna, władcza pewność siebie. To był ktoś obcy, a najbardziej obco wyglądał wylot lufy starego Browninga HP, zwanego niekiedy Hiszpanem, którego trzymał w dłoni. Vadim wyłapywał coraz więcej szczegółów i zaczynał rozumieć, że popełnił zasadniczy, monumentalny, cholerny błąd.

— Co jest, doktorze? Znudziła ci się zabawa?

— Miałeś mnie za jajogłowego, co? Wstawaj i podejdź do ściany Vadim.
— Zimny głos, bez cienia emocji, jakby przemówiła maszyna.

Vadim?! Skąd znał ten kryptonim? To wszystko stawało się coraz bardziej niepojęte. Nikt oprócz pewnego starego oficera prowadzącego nie znał tego imienia. Czyżby Centrala przejrzała jego plan i wysłała likwidatora? Co to za człowiek?! Chciał się jakoś dowcipnie odciąć, ale widząc spojrzenie tamtego, zrezygnował. Wykonał polecenie.

— Kładź się na brzuchu, głową do ściany. Ręce szeroko, tak, żebym je widział.

— Kim ty, do cholery jesteś? — Warknął Vadim.

— Zamknij się. — Tamten nawet nie podniósł głosu.

Podszedł do wijącego się z bólu Romanowskiego. Obrócił fotel, na którym tamten siedział i stanął naprzeciwko.

— Ty powinieneś znać odpowiedź. No, dalej, powiedz mu, kim jestem...

— O co tu, do kurwy, nędzy chodzi?! — Wrzasnął Vadim z podłogi. Chciał, nawet nie to, że wstać, ale chociaż popatrzeć na rozgrywającą się scenę, podniósł głowę i zaraz pożałował, bo pocisk z browninga odłupał kawałek tynku, który boleśnie skaleczył go w policzek.

— Leżeć! — Znów spokojny, opanowany głos. — No jak, wytłumaczysz mu? — Obcy zwrócił się do rannego.

— Romanowski, gadaj! Kim on jest?! — Wydarł się Vadim, zapominając na chwilę o kolejnych, niekoniernie ostrzegawczych strzałach.

Człowiek z Harmonijką skończył tymczasem grać. Wschodzące słońce wy dobyło z półmroku wykrzywioną bólem twarz Romanowskiego. Stojący przed nim przyglądał się beznamiętnie, celując mu w głowę.

— Zadam ci tylko jedno pytanie. — Przemówił. — Co zrobiłeś z ciałem?

Instykt samozachowawczy to potężna siła. Kapitan Marian Romanowski dobrze o tym wiedział. W swojej karierze nie spotkał jeszcze człowieka, który w chwili ostatecznych decyzji, kładąc na wadze jakieś sprawy doczesne, lojalność, przyjaźń, karierę, nie poddałby się instyktowi ratowania własnej skóry. Za wszelką cenę. Ból rozjaśnił mu umysł. Wiedział, że dla niego nadeszła właśnie najważniejsza chwila w życiu.

— Poszedł do rzeki... — Mruknął cicho.

— Nie słyszę! Głośno i wyraźnie!

— Cholewa z Wilnowiczem wrzucili go do Wisły.

— Gdzie? Też we Włocławku?

— Nie, to miejsce było spalone. Pod Wyszogrodem. Muszę... zatamować krew... Potrzebuję opatrunku. — Wyrzucił z siebie zrezygnowanym głosem, mając świadomość, że jest żałosny.

— Na mnie nie patrz. — Wycodził egzekutor. — Ja robię w ołowiu.

Lufa Browninga drgnęła lekko.

— Stryj nosił zawsze przy sobie Virtuti. Dostał je za Wrzesień. Co z nim zrobiłeś, kanalio?

— Wszystko utonęło... razem z nim...

Podszedł jeszcze krok do przodu i przemówił, a metal w jego głosie paraliżował zmysły.

— W imieniu nieistniejącego państwa, którego wymiar sprawiedliwości powinien się tobą zająć, oskarżam cię o zamordowanie mojego stryja, rotmistrza Romana Stachonia i pośrednie spowodowanie śmierci jego żony Marii Stachoń. Mając świadomość, że jako strona w tym procesie nie powinienem pełnić roli sędziego ani prokuratora, starałem się zainteresować twoim przy-

padkiem instytucje z definicji zobowiązane do wymierzania sprawiedliwości. Ponieważ jednak ta atrapa państwa, w wyniku działania osobników tobie podobnych, jest tylko karykaturą i pośmiewiskiem, postanowiłem dostosować się do reguł, które sami stworzyliście i złamać procedury, których nie odważyłbym się złamać w państwie prawa. Czy masz coś na swoją obronę?

— Pies cię jebał! — Warknął Romanowski. — Wszystkich was trzeba było wtedy w łeb i do piachu!

W innych okolicznościach użyłby z pewnością bardziej wykwinnych sformułowań, zachowując sens wypowiedzi, ale o tej porze, odczuwając fizyczny ból... Finezja ulotniła się bezpowrotnie z jego słownika. Wściekłość odebrała mu resztki rozsądku. Rzucił się do przodu chcąc wybić stojącemu przed nim człowiekowi broń, ale przeliczył się z siłami. Przewrócił się, wyjąc jak zwierzę. To ból w nodze podciął go i dopełnił czary upokorzenia. Człowiek trzymający broń nawet nie drgnął, patrzył tylko z góry na wijącą się postać.

— Przed południem ma tu przyjechać ciężarówka z kontenerem. Zadzwonisz do kierowcy i każesz mu się zatrzymać na parkingu, sześć kilometrów stąd i czekać na dalsze instrukcje. Wykonać!

— Skąd? — Zaczął Romanowski, ale głos uwiązł mu w gardle.

— Skąd wiem? Masz ładną i inteligentną córkę, ale jak wypije, robi się bardziej gadatliwa, niż po skopolaminie... Podobnie, jak Wilnowicz...

— Gdzie jest Marta? Co z nią zrobisz?!

— Nie to, na co miała ochotę. Nic jej nie będzie. Martw się o siebie.

— Cholewa to też twoja robota?

— Dzwon do kierowcy. — Egzekutor skierował lufę pistoletu w kolano zdrowej nogi Romanowskiego.

Ten z ociąganiem podpełzł do biurka, ściągnął leżącą na blacie komórkę i wybrał numer. Wychrypiał kilka urywanych zdań, wydał polecenie i opadł z powrotem na podłogę.

Do Vadima docierała stopniowo świadomość, kim jest ten człowiek i mróz przechodził mu po plecach. Ale w jaki sposób podszył się pod Spychowskiego? A może to właśnie Spychowski? Czyżby to on rozpędził wtedy w lesie trzech funkcjonariuszy? Bzdura, sprawdził przecież jego dossier, coś tak dużego, jak pokrewieństwo ze Stachoniem nie mogło ująć uwadze firmy. To sierota z domu dziecka, dawno temu wytypowany przez II Zarząd Główny na nielegala. Vadim pamiętał, że wojskowi prowadzili poszukiwania młodych talentów, dzieciaków z rozbitych rodzin, z marginesu. Po wytypowaniu kandydata przygotowywano mu odpowiednią legendę, dokumenty i szkolono pod kątem przyszłych zadań. „Spychacz” był idealnym przypadkiem. Młodociany przestępca bez rodziny. Ten akurat życiorys nigdy nie został jednak wykorzy-

stany, kandydat zniknął na długie lata. Było wtedy zamieszanie związane z inną, dużo poważniejszą operacją. Cóż, zdarzały się takie przypadki.

W latach 90. jego firma w wyniku gry operacyjnej, a w zasadzie zdrowej konkurencji na rynku, przejęła pewne materiały z archiwów Głównego Zarządu Wywiadu, które przesłali tam polscy towarzysze z wojskówki tuż przed „transformacją”. Wśród nich byłateczka Spychowskiego. Parę lat później ktoś na górze postanowił przejąć niewykorzystanego nieleżała od konkurencji. Vadim otrzymał szczegółowe dane i polecenie werbunku na agenta wpływu. Tak do niego dotarł. Niezły kozak, żył przez ten cały czas w pewnym sensie w podziemiu... Ciężko było go znaleźć. Musi mieć piekielny talent. Aż żał go likwidować.

Korzystając z chwili względnej swobody Vadim pełzł powoli w stronę kanapy, na której leżał zdobyczny Glock. Centymetr po centymetrze, metodycznie zbliżał się do celu. Póki tamten jest zajęty Romanowskim, są szanse... Zerwał się z podłogi, dopadł broni i odwrócił błyskawicznie, chcąc strzelić z biodra.

Stojący dotąd nieruchomo przed Romanowskim człowiek, o jedno uderzenie serca wcześniej, przesunął nieznacznie w bok lufę pistoletu i strzelił do ruchomego celu. Kula trafiła Vadima w wątrobę. Pocisk w stalowym płaszczu przeszedł bez odkształceń przez tułów i wbił się w ścianę. Rosjanin targnięty siłą uderzenia poleciał do tyłu.

Upadł na plecy, ciężko, bezwładnie. Lepka czerwień rozlewała się coraz większą plamą na koszuli. Żył jeszcze, chociaż wyraźnie tracił siły. Leżał na plecach ruszając nieskładnie rękami.

— Dobry strzał... jak na amatora. — Wychrypiał. — Chyba jesteś mi winien jakieś... wyjaśnienie.

Texas podszedł bliżej, kopnął Glocka tak, by nie wodził na pokuszenie umierającego. Stał nad Vadimem i przyglądał mu się przez kilka chwil.

— W zasadzie... masz rację. Teraz ty wysłuchasz pewnej historii.

— Tylko się pospiesz... Zostało mi mało czasu.

Cięty zwołał odprawę na siedemnastą. Texas przyjechał pożyczonym od nowego szefa Audi. Dostał kategoryczny zakaz pokazywania się na mieście w swoim Camaro. Zwłaszcza na robocie. Do pokoju wchodził ostatni. W milczeniu spojrzał na ponurą twarz Spychacza. Czasem nienawiść trzeba pielęgnować, żeby wydała owoce w postaci jakiegoś spektakularnego wybuchu. Jednak w ich przypadku żadne zabiegi nie były potrzebne. Nawet bez tego wariackiego wyścigu konflikt między nimi byłby nieunikniony. Cięty dobrze o tym wiedział i zastosował metodę gaszenia pożaru ogniem.

— Texas, Spychacz! Zawieziecie wóz pod granicę, do Terespoła. To ten SEC, którego pewnie już widzieliście przed garażem. Zgłosi się po niego człowiek, który przedstawi się jako major Riepin. Od niego odbierzecie gotówkę w dolarach. Pojedziecie w dwa auta. Tex, weźmiesz Audi, Spychacz prowadzi Mercedesa. Zabezpieczenie jak zwykle. Jeśli po drodze coś się wydarzy, jakiś wypadek, awantura, wyścigi na drodze, nie będę wnikał w szczegóły, odpowiecie za to obaj. Pytania?

Nie mieli pytań. Cięty przekazał Spychaczowi szarą kopertę, odczekał, aż ten pójdzie do samochodu, po czym odciągnął Texasa na stronę. Włączył radio, żeby zagłuszyć rozmowę i przemówił cicho:

— Słuchaj... po tej robocie jeszcze możesz się wycofać. Mam możliwość zorganizować pewne... dokumenty. Spychacz był rozsądny i skorzystał z okazji. Wpływowi ludzie przygotowali mu atrakcyjną przyszłość. Wiesz... jest organizacja, która szuka młodych talentów, to dla niego szansa. W domu dziecka nigdy by takiej nie dostał... Dali mu maturę i niezłe rekomendacje. To łebski gość, chociaż miał fatalny start. Chcę żeby poszedł wyżej, może zrobię z niego prawnika. Tak będzie mi dużo bardziej przydatny. Niedługo stąd odejdziesz. Tobie też mogę pomóc. Wykorzystaj to, że jeszcze nic o tobie nie wiedzą.

— Dziękuję, ale nie jestem zainteresowany. Zostanę tu.

— No cóż. Przynajmniej próbowałem.

Wyruszyli o jedenastej wieczorem. Texas jechał pierwszy i pełnił rolę czujki. W razie kontroli na drodze miał odwracać uwagę od trefnego wozu. Mimo dobrych układów Ciętego, lepiej było dmuchać na zimne. Gęsty deszcz bębnił o szyby i dach, wycieraczki ledwo nadążały zbierać wodę. Jechali wolno, unikając pokusy, jaką była pusta droga. Po godzinie pogoda nieznacznie się poprawiła i deszcz prawie ustąpił. Za Siedlcami Spychacz stracił cierpliwość. Wyprzedził Audi i pognał przed siebie. Texas zaklął i wcisnął gaz. Poza nimi na drodze nie było nikogo.

Właściwie nie wiadomo, co się wydarzyło na tamtym zakręcie. Może kierowca źle ocenił nawierzchnię, może złapał poboczne zalane wodą i ściągnięty gwałtownie na prawo nie mógł już nic zrobić. Zresztą wiecie, jaki jest SEC. Przy tej masie i mocy łatwo przekroczyć granicę, poza którą jest już tylko wieczność. A dojeżdżając do łuku drogi samochód musiał, jak później ocenili biegli, mieć około 180 na godzinę.

Kiedy Audi dopadł zakrętu, Mercedes już się palił. Ogień co prawda nie ogarnął jeszcze zbiornika paliwa, ale czasu pozostało niewiele. Samochód najwyraźniej prawie nie hamował. Wypadł z drogi, przeleciał nad rowem, tuż za poboczem i wbił się centralnie w drzewo. To co zostało ze Spychowskiego leżało pięć metrów dalej. Papiery, które wypadły z szarej teczki wały się po polu gonione słabymi podmuchami wiatru. Texas przemógł się i podszedł do leżącej postaci. Stłumił odruch wymiotny i rozejrzał się dookoła. Odciągnął

szczałki od płonącego wraku i czekał, ale eksplozja nie następowała. Widocznie paliwo z pękniętego zbiornika wypłynęło na zewnątrz i po prostu się dopalało. Ruszył w stronę rozsypanych dokumentów. Pozbierał je, przejrzał pobieżnie i rzucił z powrotem na ziemię. Wrócił do stojącego na poboczu Audi, przekreślił kluczyk w stacyjce, ale zawahał się. Spojrzał na leżące nieopodal ludzkie szczątki i tkwił chwilę w bezruchu. W końcu zgasił silnik, wysiadł i wyciągnął z bagażnika brezentową płachtę. Wrócił na pole i ponownie podniósł papiery. Włożył je z powrotem do teczki i schował za pazuchę. Pokonując obrzydzenie położył zwłoki na brezencie. Z trudem zaciągnął ładunek do szosy. Nie chcąc zostawiać śladów w bagażniku, przywiązał linką holowniczą płachtę do wspornika zderzaka tworząc coś w rodzaju sań i wrócił za kierownicę. Kiedy odjeżdżał mercedes płonął jasnym ogniem od maski po bagażnik. Kilkaś metrów dalej skręcił z głównej drogi i wjechał na łąkę. Po chwili dojechał do małego zagajnika i zatrzymał się. Wysiadł, wyciągnął saperkę i zaczął kopać w miękkiej ziemi. Kiedy dół był wystarczająco głęboki, złożył w nim zwłoki. Wyprostował się nad grobem i szukał w myśli jakiejś formuły, którą należało teraz wypowiedzieć ale nic nie przychodziło mu do głowy. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kluczyki i odczepił od nich breloczek ze zdjęciem Steve'a McQueena opartego o błotnik zielonego Mustanga Shelby. Zważył go w dłoni i wrzucił do grobu.

— Masz na pamiętkę, narwany frajerze. To chyba jedyne, co nas łączyło.
— Mruknął.

Zasypał dół, pozacierał ślady ułamaną gałęzią, wsiadł do wozu, popatrzył na kopertę z papierami zmarłego i ruszył z powrotem w stronę szosy. Deszcz znów przybrał na sile.

— Cwaniak z ciebie. U mnie w firmie nazywają to legendą. — Rzucił po dłuższym milczeniu Vadim. — Jak udało ci się dotrzeć tak daleko?

— Nie słuchałem tych, którzy mówili, że to niemożliwe.

— A uniwersytet, i cała reszta?

— Spychowski ukończył studia i zrobił doktorat. Wiesz, jak jest, podwójna tożsamość to dla ciebie chleb powszedni. Papiery przygotowali w końcu fachowcy.

— Czyli sam podsunąłeś mi Spychowskiego? Jak dotarłeś do mnie?

— Dawno temu podsłuchałem twoją rozmowę z pewnym terrorystą w takim uroczym ośrodku na Mazurach.

— Sahak... — Ranny zaniósł się krwawym kaszlem.

— Tak, wiedziałem, że prędzej, czy później doprowadzisz mnie do niego.

— Texas wskazał zakrwawioną postać siedzącą na fotelu.

Milczeli przez chwilę. Vadim oddychał ciężko. Widać było, że sprawia mu to trudność. Jego twarz zamieniła się w bladą maskę targaną porywami bólu.

— To był twój rozkaz. — Texas stwierdził fakt raczej, niż zapytał.

— Mój... rozkaz? Durniu! Takie były dyrektywy stamtąd, strategia wymianiania... wszystkich, niepokornych.

— Nie unosz się, w twoim stanie to nierozsądne. Zachowaj cyniczny chłód profesjonalisty, jak wtedy, kiedy werbowaleś Spychowskiego. Ja naciskając spust nie czułem nienawiści. Doceniam cię jako zawodowca.

— Bredzisz! Mścisz się właśnie ze ślepej nienawiści. — Vadim zakrzuszył się krwią.

— Mylisz się. — Ciągnął Texas. — Ja jestem tylko obojętnym egzekutorem, wyrównuję bilans. Działam w zastępstwie państwa, które zamordowaliście. Dążę do zachowania równowagi w systemie.

Wydawało się, że tamten już nie przemówi, ale wykonał jeszcze jeden wysiłek, podniósł się na łokciu z wyraźnym trudem, choć głos miał wciąż mocny.

— Widziałem rzeczy..., o których wam, cywilom nawet się nie śniło. Wielkie narody karmione kłamstwem, czołgi w stepie od horyzontu po horyzont... a teraz... to wszystko zginie wraz ze mną, jak... łyzy podczas deszczu.

Łokieć poślizgnął się w lepkiej kałuży i Vadim upadł na plecy. Do dopełnienia parafrazy zabrakło tylko zacinających kropel ulewy i białej gołębiczy.

— Jakie nazwisko chcesz mieć na grobie? — Zapytał Texas.

— Wymyśl jakieś, doktorze. Mówiłem ci, każde będzie odpowiednie.

Vadim w ostatnim przebłysku świadomości pomyślał, że los obszedł się z nim wyjątkowo łagodnie. To nie była zła śmierć. Bo przecież nie każda śmierć jest taka sama. Umiał sobie wyobrazić dużo gorsze, odarte z ludzkiej godności sposoby odchodzenia. Odetchnął, powoli wsłuchując się w ostatnie, soczyste nuty życia. Był wdzięczny temu dziwnemu człowiekowi, że stać go było na podarowanie mu tak łaskawej śmierci. Umarł z otwartymi oczami, patrząc w sufit.

Texas zabezpieczył broń, pozbierał leżące na podłodze łuski i podszedł do patrzącego nienawistnie Romanowskiego.

— Zajmiesz się zmarłym, ja muszę zaraz lecieć. — Oznajmił.

Usiadł przy biurku i spod sterty papierów wygrzebał laptopa, uruchomił go i przez kilka minut stukał w klawiaturę. W końcu wcisnął enter. Stanął ponownie przed gospodarzem i przemówił.

— Ponieważ nie okazałeś skruchy, skazuję cię na najwyższy wymiar kary. Egzekucja zostanie rozłożona w czasie, nie będziesz wiedział, kiedy to nastąpi. W ostatnich swoich słowach mój stryj życzył sobie, żebyś do końca oglądał się za siebie i tak właśnie się stanie. Wysłałem wiadomość do człowieka, któremu mocno zaszkodziłeś swoją działalnością. Pamiętasz pewnego burmistrza

i jego narwanego syna? Tak, twoja córka opowiedziała mi i tę historię ze wszystkimi szczegółami. Jest trochę, jakby to powiedzieć... zniesmaczona twoją postawą życiową. Cóż, młodzież. Zawsze krnąbrna. Wiesz, co się stanie, jeśli mocodawcy tego burmistrza dowiedzą się komu zawdzięczają upadek swojego protegowanego, a co za tym idzie własnych interesów? Tak, to wasza, jak to mówicie, konkurencja. To nie są ludzie, z którymi można się dogadać, przyjacielu, to zwierzęta, gorsze i potężniejsze od ciebie. Są wszechmocni. Może będziesz miał szczęście i po prostu utopią cię w szambie, a może przygotują ci coś bardziej wyrafinowanego. Kto wie, może nawet popełnisz samobójstwo w monitorowanej całej dobie celi. Możesz oczywiście spróbować uciec, ale w wiadomości zawarłem wszystkie dane na twój temat, twoje firmy, twoich współpracowników, ten adres także. Nie będą mieli problemów ze znalezieniem cię. Masz jeszcze trochę czasu, wyobraź sobie, jak to może wyglądać.

Nie czekając na odpowiedź Romanowskiego, wyszedł z salonu, wyjął z kieszeni komórkę z kartą prepaid i wybrał numer.

— Bolo? Tu Tex, przejąłeś ciężarówkę?

— Roger, roger! Szofer się trochę stawiał, musiałem mu dać w ucho, nic wielkiego. Jak ci się podobała moja poezja?

— Do Fairlane'a trochę ci brakuje, ale robisz postępy. OK, jedź na północ, dziesięć kilometrów za Suwałkami zatrzymasz się i zaczekasz na mnie. Aha, niech Canalo zajrzy do środka i sprawdzi, co to jest. — Rzucił Texas i rozłączył się.

Wrócił po plecak Vadima, wyjął GPS i wyciągnął z niego kartę pamięci, a samo urządzenie rozbił kilkoma uderzeniami kolby pistoletu. Zniszczył też laptop, komórkę Romanowskiego i jedyny komputer stacjonarny, jaki udało mu się znaleźć. Następnie zszedł do garażu, włączył światło i zlustrował stojące tam auta. Po chwili znalazł to, którego szukał. Wytoczył Stratosa na zewnątrz, znalezionym pilotem otworzył bramę. Wysiadł z auta, wrócił do budynku i przez chwilę manipulował przy rozdzielni elektrycznej, pozbawiając cały obiekt zasilania. Minutę później gnał Lancią na złamanie karku przez otaczający hacjendę las w kierunku głównej drogi.

Ciężarówka była tak dobrze ukryta, że minął miejsce spotkania. Dopiero widząc we wstecznym lusterku machającego rękami Canalo zawrócił.

— Właściwy człowiek za właściwą kierownicą. — Mruknął Maciek na widok wysiadającego z Lancii Texasa.

— Sprawdziliście, czy nie jest na smyczy? — Zapytał Texas wskazując na ciężarówkę.

— Pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy. — Bolo trącił nogą leżące na trawie dwa małe, czarne pudełka i zwinięty przewód elektryczny.

— To na pewno wszystko? Nie ma tego więcej? — Drążył temat Texas.

Canalo zrobił zniecierpliwioną minę i spiorunował go wzrokiem.

— A czy słonko wstaje co rano na wschodzie? — Warknął.

— Dobra, tylko pytam... Oglądaliście środek? Macie pomysł, co to jest?

— Sam zobacz. — Bolo otworzył drzwi kontenera stojącego na ramie ciężarowego Volvo.

Samochód z kontenerem ustawiony był na leśnej drodze, kilkadziesiąt metrów od przydrożnego parkingu. Weszli do środka. Texas wstrzymał oddech. To było... Właściwie nie wiedział, do czego porównać to, na co patrzył. Środek kontenera urządzone jako pomieszczenie z trzema stanowiskami pracy. Fotele i pulpity z monitorami przypominały te z centrum kontroli lotów w Houston, ściany i sufit wyłożono pikowanym materiałem tłumiącym dźwięki. Wzdłuż ściany ponad pulpitemi zamontowane były wnęki, w których ustawiono rzędy pojemników z płytami CD, opisanymi kilkoma cyframi, prawdopodobnie według jakiegoś kodu. Część kontenera oddzielona była od reszty aluminiową ścianą z drzwiami zabezpieczonymi kodowanym zamkiem.

— Co to według ciebie jest? — Texas zwrócił się do Maćka Canalo.

— Jeszcze nie wiem. Potrzebuję trochę czasu.

— W takim razie do roboty! Spróbuj uruchomić któryś z tych komputerów i sprawdź, o co tu chodzi. Bolo, dokąd prowadzi ta droga?

— Do jakiejś polany, tam się kończy, potem są już tylko bagna.

— OK, będziesz mógł wykręcić na tej polanie?

— Chyba tak.

— To ruszaj! Trzeba się oddalić od drogi. Co z kierowcą?

— Jest w szoferce, związany.

— Dobra, jak wjedziesz głębiej w las, będziemy musieli z nim pogadać... potem go wypuść.

Bolo ustawił Volvo na polanie, przodem do ścieżki tak, żeby w razie potrzeby można było szybko się ulotnić. Stratosę zaparkowali tuż obok i przykryli kilkoma gałęziami. Wyciągnęli z szoferki trzęsącego się kierowcę. Na wszelki przypadek Bolo założył mu wcześniej na oczy opaskę, tak, żeby nie mógł ich rozpoznać.

— Co jest w kontenerze? — Zaczął Texas.

— Nie wiem! Nic nie wiem! Przysięgam! Chcę żyć! — Bełkotał autentycznie przerażony. Najwyraźniej był tylko wynajętym kierowcą i nie wiedział nic o ładunku.

Texas westchnął. Wyglądało na to, że był zdany na talenty Canalo. Odczekał kilkanaście minut i zajął do niego. Maciek nie był zachwycony.

— Jak będziesz co chwilę pytał o postępy, to ja się tylko wkurwię, a robota i tak się nie posunie naprzód!

— Dobra, przecież nic nie mówię. Co to za sprzęt? — Texas wskazał ręką na obudowy komputerów ustawione pod blatem pulpitu.

— Chyba zwykle pecety, ale system operacyjny to jakaś czarna magia. Muszę mieć chwilę spokoju. Idź pogadać z Bolem!

Po mniej więcej godzinie drzwi kontenera otworzyły się i z wnętrza wyjrzała nieco blada twarz Maćka. Zeskoczył na ziemię i podszedł do Texasa i Bola.

— No gadaj! Nie bądź taki tajemniczy! — Nie wytrzymał Bolo.

— Panowie, właśnie wdepnęliśmy w duże gówno.

— Mów!

— Cały ten bajzel — Canalo machnął ręką w stronę ciężarówki — to rodzaj bazy danych. Są tam informacje dotyczące w zasadzie całego spektrum życia gospodarczego, kulturalnego, politycznego i jakiego tam jeszcze chcecie w naszym kraju. To jeden wielki pakiet dla domorosłego szantażysty. Przy pomocy tych kompromatów można usunąć praktycznie dowolną siłę polityczną ze sceny, jak również wykreować całkiem nową. Można sterować poszczególnymi gałęziami pozostałego przy życiu przemysłu, bankowości, mediami, służbą zdrowia... Całość jest przemyślnie usystematyzowana. Można znaleźć informacje według dowolnego klucza. Chcecie zrobić zamieszanie w telewizji, wpisujecie odpowiednie hasło i wyskakują kluczowe nazwiska z odpowiednim materiałem dowodowym, wolicie zamotać w armii, proszę bardzo! Część danych jest zdaje się skopiowana z istniejących archiwów, tak to w każdym razie opisano, część to wynik całkiem niezależnej pracy operacyjnej. Wszystkie dane były zbierane pod kątem przydatności w potencjalnych naciskach, szantażu znaczy. Malwersacje, korupcja, zdrady małżeńskie, pospolite przestępstwa, zaległe podatki. Zdziwilibyście się, jakie tam figurują nazwiska. Mając taką wiedzę można rządzić państwem nie zbliżając się do parlamentu. Wygląda na to, że jest to jedyna tego typu kolekcja. W niej zawierają się również materiały, o które od czasu do czasu wybucha ta głośna bitwa w mediach. Zbiór utajniony, czy jak to się tam nazywa. Tyle, że tu wszystkie materiały są zdaje się dużo bardziej szczegółowe. Jest też podział na dane figurujące w archiwach państw ościennych i te, które znajdują się tylko tu. Całość jest tak wprowadzona do systemu, że można tym żonglować w dowolnych konfiguracjach i dobierać informacje według aktualnych potrzeb. To są dane w postaci elektronicznej. Ale jest też druga część kontenera... Tam jest archiwum najważniejszych dowodów rzeczowych, tak to nazwijmy. Dokumenty, kwity, czasem narzędzia zbrodni, zdjęcia na kliszach, stare taśmy z podsłuchów, jeszcze z ubiegłego wieku. Znalazłem też dane dotyczące miejsc, gdzie ukryto resztę archiwum, bo to tutaj, to tylko część. To by było na tyle. Zdaje się, że już jesteśmy martwi.

— Nie panikuj, młodzieńcze. — Rzekł wolno Texas. — Zaczynij myśleć pozytywnie. Najpierw musieliby nas namierzyć. Na razie świat nie wie o naszym istnieniu...

— To co robimy, wodzu? — Bolo popatrzył na niego niepewnie.

Texas ziewnął, przeciągnął się, popatrzył dookoła zamyślonymi oczami, uśmiechnął się blado, po czym przemówił do kumpli.

— Właśnie, co robimy? No, panowie, jakieś pomysły, propozycje? Jedyna okazja, piłka jest dziś po naszej stronie.

— Ja tam nie wiem. To wy tu jesteście mózgowcy. Kombinujcie. — Mruknął Bolo.

— Canalo? Co według ciebie możemy z tym zrobić? — Texas popatrzył na Maćka.

Ten milczał przez chwilę, bawiąc się przewodami leżącej na ziemi pluskwy.

— Reset systemu. — Odezwał się po chwili.

— o?

— Reset — powtórzył cicho — a potem niech system wstaje od zera.

Rozdział XI

— Kto panów tu wpuścił?! Proszę natychmiast wyjść! — Tęgi mężczyzna około pięćdziesiątki zerwał się z fotela. Wyglądał na choleryka. Wyrzucił z siebie wściekłe słowa tonem typowym dla ludzi mających władzę. Wielkie korporacje dawały takim jak on poczucie siły i bezpieczeństwa.

— Niech się pan uspokoi! — Texas nic sobie nie robiąc z mało gościnnego przyjęcia rozparł się beczelnie na skórzanej kanapie. — I proszę zmienić ton. Przyszliśmy do pana z bardzo delikatną kwestią. W pańskim interesie leży, żeby treść naszej rozmowy nie dotarła do uszu całej reszty. — Intruz wskazał niedbale ręką pokój sekretarki i wielki *open space*, gdzie tłum mrówek uwijał się ku chwale przełożonych.

— A w pańskim interesie leży, żebym nie zadzwonił zaraz po ochronę. Won! — Wycedził grubas i dopiero teraz zatrzymał wzrok na postaci, która stanęła przy drzwiach. Bolo, milczący i ponury grał w tym przedstawieniu rolę złego policjanta. Ostrzyżony na centymetrowego jeża, szeroki w barach, ubrany w czarny garnitur, żuł wolno gumę patrząc spode łba. Jego ogólna postawa wywoływała niemiłe skojarzenia. To nieco ostudziło gospodarza.

— Niech pan siada, panie... Zdanowicz! — Wycedził Texas. — Nie myślę się, prawda? Pan Sylwester Zdanowicz, zgadza się?

— Widzę, że ktoś pana dobrze poinformował. Ale nie przypominam sobie, żebyśmy już wcześniej się spotkali. O co właściwie chodzi? I kim pan jest?

— To, kim ja jestem, niech pozostanie owiane mgłą tajemnicy. My natomiast porozmawiamy sobie o pańskiej kondycji finansowej. Oczywiście, jeśli nie ma pan nic przeciwko... — Texas zawiesił głos.

— Do czego pan zmierza? — Zdanowicz zdążył się już opanować i przywdział swoją codzienną maskę zdystansowanego do rzeczywistości, statecznego biznesmena.

— Zmierzam do tego, że hazard, to straszliwy nałóg.

Zdanowicz przeszył siedzącego na kanapie lodowatym spojrzeniem i milczał. Wydawało się, że zaczyna rozumieć cel wizyty nieproszonych gości.

— Przechodząc do sedna. Ma pan długi jak stąd do Władystoku. A z kolei pańscy wierzyciele stają się coraz bardziej niecierpliwi. I nie są to dżentelmeni, z którymi można wynegocjować odłożenie spłaty. Taak, z miastem nie ma żartów.

— Czego chcesz, ty..?

— Niech pan zachowa spokój. I pozory. Od tego, jak mnie pan potraktuje, dużo teraz będzie zależało... Chyba się już pan zaczął orientować, że nie jestem przypadkowym przechodniem? A więc, obaj wiemy, że próbował pan spłacić tych ludzi. A tak z innej beczki... Jak tam poszła ostatnia kampania promująca nowe produkty pańskiej firmy? Marnie, prawda? Otóż to! A przecież pomysł był wręcz genialny. Co za kreatywność! Tyle przygotowań i wysiłku setek ludzi! Niespotykane wręcz nakłady! A jednak cała akcja zakończyła się kompletną klapą. Dlaczego?

Zdanowicz tym razem nie skomentował. Postanowił przyjąć taktykę wycofania. Niech tamten odkryje karty do końca. Intuicja podpowiadała mu jednak, że to będzie dla niego bolesna licytacja. Krople potu wystąpiły mu na czole. Sięgnął do kieszeni, ale zorientował się, że chustkę, jak zresztą i portfel z cielęcej skóry, a nawet swojego złotego Rolexa Dytonę zostawił w nocy u słodkiej Patrycji. Był jednak na tyle doświadczonym graczem, by nie kłaść teraz w duchu. Wiedział, że musi się skupić i grać do końca.

Filia korporacji, w której zajmował tak eksponowane stanowisko, była tylko jedną z wielu zagranicznych komórek firmy. Amerykańska centrala nie specjalnie ceniła indywidualistów na kierowniczych stanowiskach w swych zamorskich koloniach. Zresztą na żadnym szczeblu hierarchii osoby zbyt ambitne nie były mile widziane. Po prostu do zadań, które stawiano przed firmami-córkami nie potrzeba było pracowników nadprzeciętnie bystrych, inteligentnych, kreatywnych. Strategia marketingowa, nowe produkty, polityka finansowa opracowywane były w centrali i tam orły i owszem były cenione i poszukiwane. Ale cała reszta miała tylko realizować wyznaczony plan od punktu A do Z, i nie wykazywać własnej inicjatywy. Od czasu do czasu zlecano im jakiś mniej ambitny projekt, jeśli wprowadzano produkty dedykowane wyłącznie dla polskiego rynku. Proszę bardzo, wtedy niech się wykażą!

Dla niektórych to jednak było zdecydowanie za mało. Ta sytuacja wywoływała u Sylwestra Zdanowicza, człowieka głęboko dotkniętego takim traktowaniem, silny wewnętrzny sprzeciw. Świadomość, że miał potencjał, którego nikt nigdy nie doceni, ani nie wykorzysta uwierała i kastrowała mu duszę. Ani wysokie pobory, ani prestiż stanowiska, jakie piastował nie łagodziły frustracji, która wzbierała i z każdym rokiem stawała się coraz większym balastem. Z czasem uczucie niespełnienia przybrało postać tak skrajną, że Zdanowicz zdecydował się na krok drastyczny i mocno ryzykowny, jak na kogoś o tak ugruntowanej pozycji zawodowej. Nawet nie czuł strachu, raczej podniecenie i uczucie euforii. Oto zemści się wreszcie za ten brak zaufania, za traktowanie go jak narzędzie do wykonywania najprostszych czynności. Teraz, mocno poniewczasie, zaczął się zastanawiać, gdzie popełnił błąd, kto nie dotrzymał dyskrekcji.

Bezczelny typ siedzący na jego kanapie kontynuował przemowę z irytującym uśmiechem na twarzy.

— Powiem panu, dlaczego ta kampania zakończyła się dla firmy gorzej, niż starcie pod Trafalgarem dla floty Cesarza Francuzów. Otóż jakiś łajdak sprzedał całą koncepcję konkurencji. A zrobił to w najdogodniejszym do tego momencie, kiedy umowy i budżet były już podpisane, ale czasu do rozpoczęcia kampanii pozostało na tyle dużo, że konkurencja zdążyła jeszcze skopiować pomysły i wejść na rynek wcześniej. Co za przebiegły drań z tego szpiega, nie sądzi pan? Myślę, że zarząd koncernu chętnie poznałby nazwisko tego człowieka.

— Niczego mi nie udowodnisz, cwaniaku!

— Naprawdę tak pan sądzi? — Texas nie przemógł się, by przejść na „ty”. Ostatecznie rozmawiał ze starszym od siebie człowiekiem. — Myśli pan, że robiłbym cały ten dramatyczny wstęp, gdybym chciał tylko blefować? — Co mówiąc, sięgnął do kieszeni, wyciągnął dyktafon, włączył go i postawił na biurku. Z głośnika popłynął nieco zniekształcony, ale dobrze rozpoznawalny głos. Wypowiedź przerywał od czasu do czasu aksamitny alt reprezentantki drugiej strony. Treść konwersacji była na tyle niewygodna, że Zdanowicz wstał, podszedł do drzwi i zatrzaskał je odrobinę zbyt gwałtownie, by ukryć stan nerwów. — A może woli pan obejrzeć serię zdjęć z... negocjacji?

— Czego chcesz, kanalio?

Bolo, stojący dotąd nieruchomo, podszedł niespiesznie do pana Sylwestra i złapał go za kłapy marynarki. Tamten cofnął się odruchowo zdjęty zrozumiałym przerażeniem. Bolo trzymał go przez chwilę podciągając do góry, po czym puścił i pchnął w stronę fotela. Sądząc po wyrazie twarzy delikwenta, demonstracja odniosła zamierzony skutek.

— Nie dosłyszałem ostatniego pytania. — Rzekł Texas z uprzejmym uśmiechem.

— Czego PAN chce?

— Już tłumaczę! Zdaje się, że w następnym sezonie wchodzić z nowymi produktami przeznaczonymi wyłącznie na ten rynek. Znów rozkręcona będzie medialna machina promocyjna. Wiem też, że pański oddział firmy cieszy się w tym zakresie pewną autonomią i nie musi bezmyślnie kopiować wzorców amerykańskich. Innymi słowy, możecie stworzyć własną koncepcję kampanii reklamowej bez ingerencji centrali z Nowego Jorku. Czy tak jest w istocie?

— Coś w tym rodzaju. — Przyznał niechętnie Zdanowicz. Wiedział już, że przegrał. Nie mógł tylko pojąć, jak tamten zdobył tę taśmę. — Możemy, a nawet powinniśmy stworzyć własny koncept kampanii, ale ostatecznie i tak potrzebna jest akceptacja w Stanach. Nadal nie rozumiem, do czego pan...

— Zaraz wyjaśnię. Otóż chcę, żeby dla promocji produktu przygotował pan całkowicie nową kampanię reklamową. Pomysł, stylistykę i całą resztę przedyskutujemy na osobnych spotkaniach, teraz chodzi o to, żeby wstrzymać prace nad dotychczasowym konceptem i przygotować zespół do całkiem nowej kampanii.

— Pan chyba oszalał?! Wie pan, ile firm jest już w to zaangażowanych?! To niemożliwe!

— Drogi panie Sylwestrze! Co dla jednych jest niemożliwe, to dla innych dziecinna igraszka. Kto, jak kto, ale pan powinien wykasować ze swojego słownika takie wyrażenia jak „niemożliwe”.

— Wie pan, ile umów trzeba będzie anulować?

— Wiem, że przykrości z tym związane będą niczym wobec perspektywy tłumaczenia się przed zarządem z kontaktów z konkurencją. Wie pan też zapewne, że za szpiegostwo gospodarcze w takiej skali można wylądować w miejscu odosobnienia na dłuższy czas.

W gabinecie zapadła ponura cisza. Przybysz odczekał chwilę, dając rozmówcy czas na oswojenie się ze swoją nową rolą. Dla Zdanowicza były to trudne chwile. Poczuł się zapewne jak zdegradowany do stopnia kaprala major. Chociaż biorąc pod uwagę lokalizację i wystrój biura, w którym się znajdowali, może raczej podpułkownik, albo i pułkownik. Tym bardziej bolesne musiało to być doświadczenie.

— Zależy mi na tym, żeby każdy etap przygotowań był ze mną ściśle konsultowany. Wszelkie samowolne kroki, niesubordynacja, odstępstwa od wcześniejszych ustaleń będą surowo karane. Jestem pewien, że dobrze się rozumiemy. — Texas spojrzał zimno na Zdanowicza, któremu wściekłość i resztki dumy nie pozwoliły zabrać głosu. — Przygotowania proszę rozpocząć niezwłocznie. Jutro przekażę panu pierwsze szczegółowe instrukcje. Czy ma pan jakieś pytania?

Gospodarz bez wątpienia miał mnóstwo pytań, ale chwilowo nie był w stanie ich wyartykułować, wobec czego milczał, co nadawało jego postawie pewnego patosu.

— A zatem do zobaczenia, mister!

Po czym obaj intruzi ulotnili się z gabinetu tak samo niepostrzeżenie, jak się zjawili. W zasadzie można byłoby odnieść wrażenie, że cała scena była wytworem wyobraźni, gdyby nie mały dyktafon wciąż stojący, jak wyrzut sumienia na krawędzi owalnego blatu biurka projektu samego Luigi Colaniego.

Taksówka zatrzymała się przed warsztatem. Texas bywał tu coraz rzadziej, właściwie wszystkim zajmował się Canalo i wynajęci przez niego pracownicy. Że też akurat znalazła taki moment, kiedy był na miejscu.

Jolka wysiadła z samochodu, za rękę trzymała może czteroletniego chłopca. Podeszła niepewnie do biura. Texas patrzył w milczeniu na jej pobłądłą twarz.

— Nie mogłam już dłużej ... — wyszeptała — nie chcę tak żyć... z nim...

W jej spojrzeniu czaiło się nerwowe wyczekiwanie. Texas stał chwilę bez ruchu, jakby wahając się zanim wypowie słowa, na które tak czekała. Nagle malec stojący dotąd spokojnie wyrwał się do przodu i wbiegł do otwartego garażu. Jolka drgnęła, ale Texas powstrzymał ją gestem ręki i sam podążył za chłopcem. Zatrzymali się przed lśniącym chromem Pontiackiem, stojącym akurat na podnośniku.

— Kółko zio! — Wykrzyknął mały.

— Zgadzam się w całej rozciągłości, młodzieńcze, kółko zio! — Texas wziął go pod pachy i posadził na błotniku, skąd chłopiec miał widok na całą komorę silnika. Patrzył zafascynowany na błyszczące pokrywy zaworów i kolorowe przewody. Sięgnął rączką przed siebie, chcąc dotknąć jednego z nich i byłby stracił równowagę, gdyby Texas nie złapał go w ostatniej chwili za szelki spodni.

— Widzę, że też jesteś zwolennikiem tradycyjnego systemu zasilania. Słusznie! Nie ma nic piękniejszego, niż czterogardzielowy gaźnik. Będą z ciebie ludzie.

Jolka podeszła do nich, starając się nie przerywać pogawędki. Stanęła z tyłu i bojąc się odezwać czekała na wynik spotkania mężczyzny z chłopcem. Texas tymczasem pogładził zmierzwioną czuprynę malca, który nie poświęcając czasu niezrozumiałym dylematom zabrał się za zgłębianie anatomii pompy paliwa.

— Nie przejmuj się, stary, to nie twoja wina, że masz ojca idiotę. Jak chcesz, to możemy o nim zapomnieć. — Texas wziął chłopca na ręce i odwrócił się do Jolki.

Nie powiedział nic więcej, ale ona wiedziała już wszystko, czego chciała się dowiedzieć. Podeszła do niego i oparła się czołem o jego ramię.

Z początkiem jesieni ruszyły przygotowania do największej kampanii jaką wdrażano w polskiej filii koncernu. Sztab grafików i copyrighterów opracował koncepcję według ustalonego *briefu*. Wstępny projekt wysłano do centrali, gdzie odpowiedni dział wydał pozytywną opinię i produkcja w kraju mogła ruszyć pełną parą. Zatrudniono najlepszych story-boardowców, rysowników komiksów i niezależnych artystów. Szata graficzna odgrywała w koncepcji rolę pierwszorzędą. Motywem przewodnim w kampanii była fabularna, odcinkowa opowieść towarzysząca wprowadzanym stopniowo na rynek produktom. Związek pomiędzy produktem a treścią opowieści był luźny, a wręcz naciągany, ale przecież nie to było w całym przedsięwzięciu najważniejsze. Wysiłek grona wybitnych zawodowców, podsycany tłustymi honorariami, musiał przynieść oszałamiający efekt. Nikt z członków zespołu nie widział nic niezwykłego w scenariuszu. W swojej karierze robili już nie takie rzeczy i patrzyli na zadanie zimnym okiem profesjonalisty, nie zadając zbyt wielu pytań. Ot, po prostu kolejne zlecenie. Poza tym w trakcie prac nie było odpowiedniej perspektywy, aby ogarnąć jednym spojrzeniem całość przedsięwzięcia. Tylko dwie, może trzy osoby na samej górze oddziału chwilami marszczyły brwi i kręcili z niedowierzaniem głowami. No, ale skoro centrala zaakceptowała... Zachwycano się natomiast precyzją rysunków, kreską opisującą głównych bohaterów, cmokano z uznaniem nad finezją kolorystyki. Zapowiadał się wielki sukces marketingowy. Akcja swoim zasięgiem ogarnie cały kraj, wszędzie, przy każdej drodze, w każdym najmniejszym miasteczku, w centrach handlowych pojawią się billboardy. Przed seansem w kinach wyświetlane będą krótkie filmy reklamujące nowy produkt. Komercyjne telewizje, z którymi już podpisano umowy będą swoim zwyczajem przerywać filmy, aby przenikać do umysłów widzów.

Pod koniec zimy wszystko było gotowe. Medialna machina ruszyła z kopyta. Stopniowo, krok po kroku pojawiały się pierwsze zwiastuny. Najpierw w telewizji i na ulicach miast zaczęto prezentację opowieści obrazkowej, będącej zapowiedzią a jednocześnie osią kampanii. Początkowo niewiele można było z tego wstępu zrozumieć. Odbiorców porażała jednak skala. Całe ściany budynków, a czasem nawet ulice stały się jednym, gigantycznym tłem dla nowej narracji. Pojawiły się jakieś postacie, nawiązujące swoim *imagem* do... tu jeszcze nie do końca można było się zorientować, o jakie tło fabularne chodzi... może świat gangsterski z lat trzydziestych? Nie, jednak chyba bardziej współczesne czasy. Jakież osoby, rozmowy, spotkania.

Plan, tak, chodzi o jakiś wielki plan! Oni coś planują! Gawiedź z zadartymi do góry głowami chodziła po ulicach miast i łowiła każdy nowy szczegół, który pojawiał się codziennie w tej frapującej opowieści. W gazetach, tygodnikach i miesięcznikach ci sami bohaterowie snuli tę samą opowieść. W kinie, w telewizji, na ulicy, wszędzie ten sam przekaz. I nagle niektórzy zaczęli dostrzegać na twarzach przedstawionych ręką mistrzów rysunku, podobieństwo do osób z krwi i kości, do tych, których widywali na co dzień w telewizyjnych migawkach, relacjach prasowych, porannych wiadomościach. Niby nie było to powiedziane wprost, ale przecież na pierwszy rzut oka można było przypisać nazwiska do twarzy wyrysowanych tą finezyjną kreską. O, to na przykład znany biznesmen, to, patrzcie, ten polityk, a ta, tutaj, to przecież wypisz, wymaluj ta dziennikarka z telewizji, o nawet ma, he, he... taką przerwę między zębami. No heca, że nie mogę! Patrzcie, ludzie, patrzcie!

Każdy szczegół został dokładnie oddany i chociaż nigdzie nie padały żadne nazwiska, wszyscy wiedzieli, o kim mowa. No dobrze, słyhać było wsząd zaintrygowane głosy, ale co dalej, o czym będzie ta opowieść?

W ciągu następných kilku dni fabuła zaczęła przyspieszać, zawiązano nowe wątki. Stawało się jasne, że multimedialny komiks opowiada historię najnowszej kraju, odnosi się do wydarzeń, które wszyscy, a w każdym razie większość doskonale pamięta. Ale perspektywa, z której to opisywano była tym razem całkiem inna, niż dotychczas. Nagle okazało się, że to co utrwalono w świadomości ogółu według starannie przygotowanego schematu może być opowiedziane i interpretowane w krańcowo odmienny sposób. Ściany budynków, reklamy telewizyjne, kolorowe strony poczytnych pism przekazywały oto kolejne odsłony spektaklu. Dowody działań pojedynczych jednostek, jak i interpretacje pewnych procesów dziejowych przedstawiane logicznie, a jednocześnie w sposób jasny i zrozumiały, nieodwracalnie przeniknęły w głąb umysłów. Początkowo było to jak odkrycie dekła dołu z szambem, wywoływało wstręt i obrzydzenie, jednak po pierwszym odruchu wymiotnym atmosfera zaczęła się jakby klarować. Do głosu dochodził powoli gniew ludu...

W tym momencie wielu ludzi wstrzymało oddech. Niektórzy już zrozumieli. Inni bali się zrozumieć i odpychali od siebie tę wizję. Byli też tacy, których zdjęła groza. Ci zaczęli się pakować w pośpiechu. Wszyscy jednak byli zgodni co do jednego: nie można było już nic zrobić, machina była za bardzo rozpędzona i nie dało jej się zatrzymać.

I tak oto najbardziej fascynująca opowieść ostatnich dekad ujrzała światło dzienne. To było jak zerwanie kotary skrywającej kulisy teatralne. Tak, tak, oczywiście, były już takie próby wcześniej. Teraz różnica polegała jednak na tym, że przekaz był nieporównanie silniejszy. Poprzednio podobne treści trafiały do nielicznych wybrańców potrafiących czytać i rozumieć sens słów.

Najczęściej były to wąskie kręgi niezależnych specjalistów, historyków, socjologów, politologów, którzy posiadli zdolność abstrakcyjnego myślenia. Tu przekaz był obrobiony na potrzeby przeciętnej odbiorcy i dostosowany do jego poziomu intelektualnego. Kusił atrakcyjną formą, rozpałał wyobraźnię. Historia była, jak scenariusz najlepszej hollywoodzkiej produkcji, tyle, że prawdziwa. Za pieniądze korporacyjnego giganta rozpowszechniono treści dotąd całkowicie niedostępne dla zwykłych, szarych, zajętych codziennym znojem obywateli. Teraz każdy pochłaniał codziennych wyziewów medialnych dostał się w strefę oddziaływania całkiem nowych treści. To, co dotychczas dostępne było nielicznej garstce intelektualistów-outsiderów, zaczęło szerokim strumieniem wdzierać się do umysłów nieco mniej lotnych, za to nieporównanie liczniejszych odbiorców. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza. Mało kto pozostał obojętny. I ta forma! Wszystko było takie... opakowane, ładne, klarowne, jak nie przymierzając guma balonowa Donald. Temu nie można było się oprzeć.

Jakie zatem znaczenia miała owa medialna apokalipsa? Do czego można by porównać efekt końcowy eksperymentu?

W końcowej scenie filmu „Psy wojny”, nakręconego na motywach powieści Fredericka Forsythe’a, najemnik Cat Shannon, wynajęty do przeprowadzenia zamachu stanu w małym, afrykańskim państewku, boleśnie zaskakuje swoich mocodawców. Zamiast wytypowanego wcześniej marionetkowego kacyka, sadza na fotelu prezydenckim człowieka niezależnego, który nie miał żadnych zobowiązań wobec korporacji, która zainicjowała przewrót.

— Nie możesz tego zrobić! — Krzyczy zdziwiony i przerażony przedstawiciel firmy. — Ten kraj został kupiony!

— Będziesz musiał kupić go jeszcze raz. — Odpowiada pogardliwie Shannon, strzelając do niedoszłego prezydenta.

Ot i wszystko! Cała analogia.

Wróćmy jednak do naszej opowieści.

A więc to tak! zakrzyknęli chórem zachwyceni formą, ale oburzeni treścią targetowi odbiorcy — znaczy zrobili nas w bólu! W tym momencie powstała wyrwa w medialnej tamie. Blokada informacyjna została bezpowrotnie zerwana. Strumień irytujących treści wdarł się do najbardziej nawet opornych i obojętnych umysłów.

Mniej więcej w tym momencie sprawie zaczęły przyglądać się organizacje, które zdobywanie i ochronę pewnego typu informacji traktowały, powiedzmy bez przesady, śmiertelnie poważnie. Początkowe, powszechne zdziwienie w tych kręgach zastąpiły rozmaite reakcje, a ich temperatura i artykulacja była ściśle związana z tym, w jakim języku je wypowiedano.

Well, well, well... It's very interesting indeed, don't you think, gentlemen?

— Herrgott!!!

— Jak boga kocham, panie generale, nie wiem, kurwa, kto się...

— Wot, szutniki, szutniki... Smatri, Kola! Tiejpier' nam nada apiat' s naczała...

Tymczasem kampania wchodziła w najgorętszą fazę. Menadżerowie koncernu odpowiedzialni za sprzedaż już wiedzieli, będzie to największy sukces finansowy od początku obecności na tym rynku. Nowe produkty rozchodziły się w oszałamiającym tempie. Odbывało się to niejako przy okazji rozchwytywania materiałów reklamowych serwowanych „w odcinkach”. Niektóre z owych odcinków znikły z ulic i chodników, by po chwili pojawić się na internetowych aukcjach za niebotyczną cenę. Stało się jasne, że wszystkie foldery, ulotki, katalogi, w których umieszczono tę niezwykle komiksową opowieść przechodziły właśnie metamorfozę i zamiast zginąć jak motyl po krótkim, choć intensywnym debiucie, rozpoczynały drugie życie, jako obiekty nowego kultu.

Dotychczasowi tytani przestrzeni medialnej przystąpili rzecz jasna do zmasowanego kontrataku, ale nie mieli, powiedzmy sobie szczerze, łatwego zadania. Najpierw rozjazgotwały się cekaemy obrońców dobrego imienia niegdysiejszych herosów. Ale szybko okazało się, że amunicja użyta w konrofensywie była równie przydatna, co pociski Tomahawk przy polowaniu na muchy. No bo, kogo i co tu atakować? Na placu boju była tylko niewinna, do tego nie nazywająca niczego po imieniu opowiadka obrazkowa. Przecież to tylko taka zabawa formą. Głosy oburzenia, gęste serie mocnych słów siekły w bezsilnej złości reklamowe nośniki zatrutych treści. Szybko okazało się, że atakujący sami wystawiają się w ten sposób na pośmiewisko. Trzeba było znaleźć inną taktykę. I to szybko, bo równowaga światopoglądowa rozchwieła się niebezpiecznie i mogła już nie wrócić do stanu poprzedniego. Uderzono więc rychło w inną nutę. Okazało się otóż, że konsumpcjonizm jest od dziś grzechem ciężkim, że należy szukać prawdy wewnątrz siebie. No, że ogólnie masowy przekaz zawsze niesie ze sobą niebezpieczeństwo manipulacji. Zanim zorientowano się, że to kolejny strzał w stopę, było za późno. Kampania powoli dobiegała końca, co było do opowiedzenia, mimo wściekłego ryku zepchniętych z cokołów, zostało opowiedziane.

A potem zapadła cisza przed burzą.

Epilog

Ciężki śmigłowiec transportowy Mi-6 opadał wolno na smagany lodowatym wiatrem ośnieżony plac. Maszyna była stara i sterana. Brudny kadłub, powgniatany, z zaciekami oleju pod osłonami silników, przypominał bardziej ścierwo starego aligatora, niż przykład triumfu myśli inżynierskiej. Kiedy go projektowano obowiązywały prawa całkiem innego, dawno minionego etapu. Teraz był już tylko reliktem przeszłości, kto wie, może nawet stanowiłby wartość dla kustosza jakiegoś muzeum. Tu jednak, na tych bezkresnych przestrzeniach, był wart tyle ile ładunek, który mógł przenieść na miejsce docelowe. Czyli w sumie nie tak znów wiele, ale jednak na tyle dużo, by wciąż odwlekać odesłanie go na dawno już zasłużony odpoczynek. Więc nadal przemierzał dystanse wydające się tym dłuższe, im silniejsze wiatry i mróz towarzyszyły podróży. Niektórzy mówili, że żadna inna maszyna nie byłaby zdolna do takich wysiłków przez tak długi okres czasu. To oczywiście przesada, ale ludzie, którzy związali swój los z tym aluminiowym dinozaurem chcieli dodać odrobinę świetności narzędziom, jakimi przyszło im się posługiwać, a co za tym idzie przydać świetności i sobie samym.

Dzisiaj przewożono zeków, niegdyś wolne jednostki ludzkie. Co sprawiło, że wyrwano je z ich dotychczasowego życia i zesłano do tej upornej krainy? Ano, właśnie to, że były jednostkami, że nie poczuwały się do obowiązku bycia częścią wspólnoty. Ech, indywidualizm. Cóż to za przedziwna choroba duszy! O, proszę! Siedzą skuleni na brezentowych, składanych fotelach, patrzą lękliwie przez okrągłe iluminatory. W ich oczach próżno by szukać buty i pew-

ności siebie, która wypełniała im umysły jeszcze kilka tygodni temu. Teraz próbują rozpaczliwie wydestylować z ryku silników i wizgu łopat wirnika odpowiedź na pytanie: dlaczego ja?! Czym zawiniłem?! No cóż, gdyby wcześniej wykazali się większą docieklivością, gdyby wzbogacili swoją wiedzę historyczną, gdyby czerpali z doświadczeń poprzednich pokoleń nie zadawaliby dziś tak naiwnych pytań. Znaliby straszliwe pojęcie: Profilaktyka Społeczna. Czym zatem zawinili? JESZCZE niczym. Ale nie od dziś wiadomo, że lepiej zapobiegać, niż leczyć. Oni jednak tej wiedzy nie posiadli, zachodzili więc w głowę, powtarzając wciąż te same bezsensowne pytania. Kilkudziesięciu stłoczonych w ciasnej ładowni, nieprzywykłych do takich warunków ludzi. Jeśli do tej pory któryś z nich miał jeszcze jakieś złudzenia, to teraz widok za oknami sprawił, że wyzbyli się ich. Mieli bilety tylko w jedną stronę.

Drzwi wejściowe otworzyły się jęcząc nieoliwionymi od lat zawiasami. Postać w sfatygowanej, polarnej kurtce z futrzanym kołnierzem wpadła do środka przynosząc ze sobą nienawistny, zimowy podmuch.

— Drzwi! — Rozdarł się ktoś siedzący wewnątrz baraku i cisnął w stronę przybysza but z wysoką cholewką. — Zamykaj, kurwa, bo będziesz rąbał drewno po nocy!

— Zostaw, smarkaczu! — Zgromił młodzika Maciej. — Zachodź, zachodź, lwanie Stiepanowiczu... Zróbcie miejsce, chłopczy!

Przybysz stanął przy stole, ale nie kwapił się do zajęcia miejsca na drewnianej ławie. Wolał rozkoszować się jeszcze przez kilka chwil żarem buchającym z przenośnego pieca, ustawionego na środku pomieszczenia. Widać było, jak ciężar lat i trudy klimatu odcisnęły piętno na jego obliczu.

— Niedobrze się to zapowiada... — Wymamrotał wreszcie, gdy usta odtajały na tyle, że mógł wyartykułować swój niepokój. — Listopad dopiero, a już nie da się przejść z ładowiska do obozu! Mało nie zamarłem... A gdzie tam jeszcze do prawdziwej zimy! Job jej...

— Mów, lwanie, opowiadaj, dużo ich? — Maciej podsunął nowo przybytemu cynowy kubek z czymś parującym i rozsiewającym mocny aromat.

— A będzie ze trzydziestu. Odkąd szyny popękały, wożą ich tą latającą trumną z Magadanu na raty.

— A oni... kto? — Odezwał się ten, który rzucił butem.

— O, patrzcie go! Dopiero co mało mi nosa nie przetrzącił, a teraz pierwszy się dopytuje o nowiny! A idź, szczyłu na mróz i sam się wywiedz, co nowego się na świecie wyprawia! Siedzieć na żopie każdy umie, ale samemu łba nadstawić, to już nie łaska? Lepiej się Ruskimi wysługiwać, co? My zawsze do

brudnej roboty... Ech, Paliaki, Paliaki... — Starzec udawał złość, rozcierając zmarznięte dłonie.

— No, nie wołujsa, drug! My wszyscy tu jedną niedolę cierpimy, nie rozróżnić, kto bardziej ukrzywdzony. Polak, Rusek, my wszyscy ofiary tej samej zarazy. — Mruknął pojednawczo Maciej. — Opowiadaj, Iwan, opowiadaj!

Tu, na tym biegunie pogardy i cierpienia, śmierć była czymś tak naturalnym, jak jedzenie i wypróżnianie. Nie stanowiła tematu tabu, była codziennym elementem egzystencji, nieodłącznym towarzyszem podążającym krok za tobą. Dla tych ludzi śmierć nie była straszna, straszne było życie. Stworzyli własną hierarchię wartości, niezrozumiałą dla ignorantów zza drutów. Tu zubożenie stawało się największym wrogiem, większym nawet, niż głód. Komu zaczęło być wszystko jedno, ten wkraczał na drogę do wieczności. O tępienie wysysało wolę przetrwania. Więc aby nie popaść w szpony zubożenia każdy musiał na własną rękę walczyć o dostęp do informacji. Wiedzieć, to żyć. Takie było niepisane prawo obozu. A dla nich, dla zeków z „Białej Zony”, jedynym źródłem aktualnych wieści byli nowi. Przybywali z całego imperium, zarówno z terytoriów dopiero co wyzwolonych z okowów dyskryminacji i nietolerancji, jak i z tradycyjnie demokratycznej bliskiej zagranicy. Czasem nawet z terenów Wielkiej Rosji. Ostatecznie wszędzie można było spotkać jednostki krnąbrne i nieprzystosowane. Ot, choćby Iwan Stiepanowicz Kazunin. Osadzony jeszcze w 2019, dzisiaj doprawdy nikt już nie pamiętał z jakiego dokładnie paragrafu. Być może ktoś uznał, że jego postawa wyczerpała znamiona legendarnego 58. artykułu kodeksu karnego Kraju Rad... Ale nie! No skąd, co ja piszę?! Przecież to całkiem inny etap... Teraz z pewnością znalazłyby się inne, nie mniej poważne zarzuty. Ale zresztą, czy to ważne, który artykuł akuratnie naruszył? Grunt, że zdążył się załapać na oficjalną reaktywację łagru. Na stulecie Kołymy przyjechały nawet oficjalne władze, były telewizje, reportaże. Cała pompa... A Iwanowi przypisano rolę czarnego luda w tej narracji. Dziwny był to człowiek. Niby naukowiec, profesor, osobnik wykształcony, a nie mógł przyswoić podstawowych prawd. Na wolności wciąż knuł i węszył. Pisał te swoje artykuły, robił wywiady, publikował toto potem w różnych pisemkach, książkach, a nawet w sieci, a jakże! Dopytywał się, domagał, wykrzykiwał, protestował. Wichrzyciel i tyle! To i dograł się, dostał to, co mu się słusznie należało. A przecież wystarczyło trochę tylko ugiąć kark i jak miliony innych siedzieć cicho. Ale nie! On koniecznie musiał dzielić się swoimi przemyśleniami i zarażać innych swoim brakiem wiary. Skoro tak, to proszę bardzo, teraz już może do woli opowiadać. I opowiadał, a trzeba wspomnieć, że miał niemałe grono słuchaczy. Ale spędzając wspólnie całe dnie i noce, tematy do rozmowy szybko się wyczerpywały i reportuar sprowadzał się do „mów do mnie jeszcze”. Każda zatem opowieść była na wagę złota, pozwalała zapomnieć o mrozie i pustce w żołądku.

Czasem tę samą historię opowiadano kilka razy, ubarwiając nieco i zmieniając mniej istotne szczegóły. Prędzej czy później jednak tematów zaczynało brakować i nadchodziło widmo ponurej, czarnej nudy godzin pomiędzy snem, a pracą. Więc kiedy przyjeżdżał nowy transport, każdy zek starał się znaleźć jak najbliższej przyszłość z za drutów. Najgorzej było, gdy nowych przywożono z egzotycznych miejsc i bariera językowa blokowała swobodną wymianę myśli. Wtedy zwracano się znów do Iwana Stiepanowicza, jedyne poligloty w Zonie.

— A co tu opowiadać? — Stary wzruszył ramionami. — Następni do reedukacji. To samo co zwykle... Mało jeszcze rozpaczy widzieliście?

— Opowiadaj, co na świecie! — Ponaglił Maciej. — Prawda to, co klawi-se mówią? Podobnież nie ma już Bostonu...

— A skąd nowym to wiedzieć?! Stamtąd żadne wieści nie dochodzą od miesięcy. Mówili tylko o tym, co sami widzieli. A musicie wiedzieć, ludeczko-wie, że z samiuśkiej Riwiery ich tu ściągnęli, z obozu przejściowego pod Niceą. A tam teraz będzie z piętnaście stopni na plusie, rozumiecie? Jak ich do samo-lotu pakowali, to w samych podkoszulkach i szortach byli. Dostali co prawda trochę waciaków po międzyładowaniu na Krymie, ale i tak niejeden nocy nie przetrzyma... No, rzebiata, zrzutkę robić raz, dwa! Co tam każdy ma w zapasie, skarpety, swetry...

— Wolnego, wolnego! — Młody, ten od buta znowu się zbulwersował. — Najpierw może dowiedzmy się, kim oni są. Bo jeśli to ci od tolerancji i rów-ności, to ja bym ich troszku na tym mrozie pottrzymał... Tak w ramach reeduka-cji, rozumiecie.

— Takiś miłosierny? — Iwan splunął mu pod nogi. — Zapomniałeś już, jak sam żeś skamlał o papachę? No, właśnie — młody spuścił wzrok — tu nie ma poglądów, każdy zostawił je za drutami. Tu jest tylko marznąca żopa. I głód. Dobrze mówię, Macieju?

— To się jeszcze okaże... — Maciej spojrzął bystro na Iwana Stiepanowicza. — Może jednak powiesz nam, co oni za jedni?

— Na moje oko, to będą jacyś inteligenci. Rączki białe, delikatne, wy-kwintne maniery i strach w oczach... Długo tu nie pociągną... — W ustach Iwana brzmiało to groteskowo, bo sam był delikatnej budowy i nigdy nie parał się pracą fizyczną.

— Przeszli przez konwejer i przeżyli, znaczy wystarczająco twardzi.

— Głupis, Macieju! Teraz już nie wszystkich biorą na konwejer. Przyznanie do winy już nie jest konieczne. Zsyłają bez wyroku... Postępi!

— Gadanie! Każdy musi się przyznać i podpis złożyć! Jakaś wina musi przecież się znaleźć!

— Świat idzie naprzód, Macieju, a ty stary i głupi stoisz w miejscu i nogami przebierasz. Teraz jest inaczej, niż za naszych czasów. Teraz zgarniają wprost z ciepłego wyrka i prościutko do obozu przejściowego... a potem tu. I żadnego wyroku już nie potrzeba! Winny, niewinny, to dziś nieaktualne pojęcia. Liczy się potencjalne zagrożenie.

— Dobra, dobra... Gadaj wreszcie, czegoś się dowiedział!

— No więc... — Iwan wychylił kubek i wypił ostatnie krople. — Ostała się już tylko Anglia.

— No zaraz, a ich postępowe elity? A wewnętrzna V kolumna? Przecież byli zarażeni, jak wszyscy pozostali!

— To Anglicy, Macieju... Uratował ich czarny humor i okruchy konserwatyizmu, znaczy się po nowemu: zacofania. Za to cała reszta kontynentu już tolerancyjna, toczą się jeszcze co prawda jakieś drobne potyczki w rejonie Madrytu i Lyonu, ale bratnia pomoc jest tym razem wyjątkowo hojna i długo to nie potrwa.

— A co w Londynie? Szykują kontratak?

— Tego nie wiem, klawisz mnie odegnał, jak tylko zobaczył, że z nowymi gadam. O, jeszcze po pysku dostałem. — Stary pokazał spuchnięty policzek. — Tak, że niczego więcej się nie dowiedziałem. Zresztą nie wyglądało na to, żeby nowi orientowali się w takich szczegółach. Blokada informacyjna, ludczkowie, ot co! Ale pogadać zawsze warto, choćby i tylko dla wieści z Francji... Zobaczymy, gdzie ich rzucą. Jak do sektora B, to znam tam jednego akademika, poproszę, żeby się czego wywiedział... A ty, Macieju dokończyłbyś wreszcie opowieści. Kto wie, może jutro nas rozdziela, może przyjdzie mi skąpieć gdzie w tajdze. Chyba należy mi się chociaż poznać koniec tej historii?

— O, dobrze gada, profesorek! Mów, Canalo, co było dalej! Od dwóch wieczorów nas trzymasz w niepewności. — Podchwycił młody, a i reszta leżąca na pryzkach zamruczała z aprobatą.

Maciej rozprostował plecy, przysunął się o parę centymetrów bliżej pieca i nalał sobie do kubka mętnej, gorącej cieczy koloru słomy. Spojrzał niechętnie na towarzyszy niedoli i mruknął:

— A o czym tu gadać? Po co odgrzewać jakieś stare historie sprzed lat?

— Z nim zawsze tak samo! — Zaperzył się młody. — Najpierw nas rozpalił opowieścią, a potem udaje, że niby gadać nie ma o czym. Mów! No, co? Mamy cię na kolanach błagać?!

— Dobra... no więc — zaczął jak zwykle z ociąganiem. Dla lepszego efektu dramatycznego pociągnął jeszcze dwa łyki z kubka — no więc, potem Texas swoim zwyczajem zniknął. Jakby się pod ziemię zapadł. Chociaż byli tacy, co mu orderzy chcieli przypinać, nagradzać, bohaterem okrzyknąć. Ale on miał to w dupie! Przekazał mi warsztat i wyniósł się z miasta na dobre. Znow

wytoczył swojego Chevroleta na drogę i pognął przed siebie. Wtedy widzieliśmy go ostatni raz. Różne plotki o nim słyszeliśmy, różnie ludzie gadali... A potem głośno się zrobiło o tym generale, co to pamiętacie, wszyscy niby wiedzieli, ale nikt dowodów nie miał. I nagle, znienacka samobójstwo popełnił! To było w.. 19., nie! W 20., tak, bo Bożenka miała dwa latka. Mówili, wyrzuty sumienia go dopadły, ale ja tam swoje wiem. Co innego go dopadło, co innego. I wtedy strach padł na pozostałe sprzedajne gnidy, strach, jakiego nigdy nie doświadczyli, nigdy żadnych sądów, procesów, śledztw nie bali się tak, jak wizji niespodziewanej wizyty. Wiedzieli, że nie dawał ostrzeżeń, po prostu pojawiał się i robił to, co uważał za konieczne. W swoich kalkulacjach nie przewidzieli nigdy takiej ewentualności. Ja myślę, że wtedy jego już w kraju nie było, ale strach pozostał. Bali się już do końca...

Zamilkł na chwilę. Wichura za oknem wyraźnie się wzmagала.

— Tak... to była niezwykła kampania reklamowa... — Stary swoim zwyczajem nagle zmienił wątek. — Nastąpiła w owym czasie jakaś niezrozumiała epidemia ataków serca, zwłaszcza u ludzi na wysokich stanowiskach. Wręcz czuło się, że kraj wstrzymał oddech. Maski opadły z głośnym hukiem, a twarze, które się ukazały w całej okazałości, nie zachwycaly...

— I co było potem? — Dopytywał się miotacz butów, zbyt młody, by pamiętać tamte wydarzenia.

— Ano, potem nastąpiło, to co nastąpić musiało. Po kilku latach dał się słyszeć dziwny pomruk, który nasilał się z każdą chwilą. Rósł, potężniał, aż można już było go bez trudu zidentyfikować. Był to chrzest gąsienic, dźwięk, który jak zwykle zwiastował wyzwolenie. Nie pamiętam już dokładnie, od czego wyzwalał nas tym razem, z pewnością od jakiejś wielkiej plagi, podobnie od konieczności dokonywania wyboru, czy jakoś tak. Znów dała o sobie znać geopolityczna gravitacja działająca najsilniej właśnie w tym punkcie na mapie.

— A co z Texasem?! Opowiadaj, co się z nim potem działo? — Zapytał ktoś z głębi baraku, nie dając opowiadającemu brnąć w nudne dygresje.

— Jakiś czas po jego zniknięciu oglądałem w telewizji wyścig. — Maciej patrzył tępo w zawieję za oknem. — To było chyba w Indianapolis, a może w Daytonie. Pamięć mnie już zawodzi... Widziałem, jak idzie tuż przy bandzie po zewnętrznej łuku, nie dał szans dwóm faworytom, sunął jak po szynach. Dwa samochody zderzyły się przed ostatnim okrążeniem, zapaliła się rozlana benzyna. Niektórzy zjeżdżali do wewnątrz toru, ale on nie chciał tracić cennych ułamków sekund. Przebił się przez kłęby dymu. To było w jego stylu, wszędzie poznałbym ten sposób prowadzenia. Kamerzysta pokazał go potem, jak wysiadał z maszyny. Facet jak dwie krople wody podobny do niego. Ale to nie mógł być on. Nie, to niemożliwe, był już wtedy za stary. Miałby... nie, to na pewno przywidzenie. Wzrok płata czasem dziwne figle.

Maciej zamilkł i wszyscy w baraku wiedzieli, że dziś już nic więcej nie usłyszą. Być może starca już nigdy nie uda się namówić na powrót do tej opowieści. Taki był uparty, jak się zaciął w sobie, to nie było rady. Trudno, może Iwan Stiepanowicz przyniesie jakąś nową historię. Tak, jego długo prosić nie trzeba, aby pełny kubek dostał, a opowieść sama popłynie. Byle była długa i wystarczyła na jak najwięcej wieczorów...

Na zewnątrz usłyszeli wzbierający ryk turbin. Hałas zagłuszył nawet zawodzenie lodowatego wiatru. To przedpotopowa maszyna szykowała się do kolejnego kursu. Gdzieś tam na południu czeka następny ładunek. Nowi władcy budujący nowy porządek dbali o to, by w „Białej Zonie” nigdy nie zabrakło rąk do pracy. Więc już niebawem naprawiono popękane szyny i znów ruszyły, jak dawniej, transporty. Szły na wschód nieprzerwanymi eszelonami. Wciąż transporty i transporty.

KONIEC

Szanowny Czytelniku!

Być może wiele treści zawartych w powyższej powieści uważasz za absurdalne, bo niepasujące do wizji rzeczywistości, z którą obcujesz na co dzień. Może większość sugestii, opinii, dogmatów, z jakimi się stykasz, stoi w jaskrawej sprzeczności z tym, o czym właśnie tu czytałeś. Czy jednak głośniejszy, zmasowany przekaz, musi być z definicji bardziej wiarygodny od słów wypowiedzianych cicho, przez nielicznych, podążających pod prąd obowiązującego nurtu? Wiem, że świadoma odpowiedź na to pytanie wymaga pewnego wysiłku i odwagi. Ale nagroda, jaką będzie wspięcie się na wzgórze wiedzy i ogarnięcie wzrokiem bezkresnego horyzontu wydaje się tego warta.

Możliwość samodzielnego wyrobienia sobie opinii na jakikolwiek temat jest trudna do przecenienia.

Autor wielokrotnie i z premedytacją posługiwał się cytatami, hipotezami i opiniami zaczerpniętymi z witryny:

www.wydawnictwopodziemne.com

